PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO“ *Ps. 143.*

ROK LII. Tom 205.

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1935

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

W walce z poczęciem życia.

Wśród głosów, które domagają się dziś przebudowy ustroju politycznego, gospodarczego czy społecznego, nie brak takich, które reformatorską tą działalnością chciałyby objąć również „tradycyjną“ moralność, zwłaszcza seksualną. Cały kompleks zagadnień, z nią związanych, jest przedmiotem ożywionej dyskusji, a między niemi na pierwszem planie stoją te, które dotyczą wzajemnego stosunku płci i poczęcia nowego życia.

Ustalony dotychczas i uświęcony przez chrześcijaństwo porządek nie podoba się reformatorom. Zgadzają się z chrześcijańską etyką w tem, że akt tak wielki, jak danie początku nowemu życiu, powinien być kierowany rozsądkiem i wolną wolą. Ale wolności woli nie przyjmują w tem znaczeniu, w jakiem ona jedynie jest możliwa u człowieka i jaka czyni go panem siebie, swych popędów i namiętności. Tę odrzucają, wydaje im się trudna; zresztą nie chcą krępować człowieka, pragną mu „ułatwić“ życie. Wprowadzają więc rozróżnienie pomiędzy funkcją rozrodczą a towarzyszącą jej przyjemnością. Nie zważają na to, że w porządku natury dwie te rzeczy są z sobą ściśle złączone i ostatnia ma służyć pierwszej. Rozrywają je sztucznie i głoszą to jako „postęp“, gdyż dzięki niemu człowiek zatrzymuje swobodę używania, a uwalnia się od ciężarów i obowiązków.

Ta podstawowa teza tkwi na dnie propagowanych dziś pod różnemi nazwami systemów — neomaltuzjanizmu, świadomego macierzyństwa, kontroli, regulacji czy racjonalizacji urodzeń. Systemy te (dwa właściwie) różnią się między sobą

oficjalnie wysuwanemi motywami i celami działania. Jedno je wszakże łączy — posługują się tym samym środkiem do celu, twierdzą zgodnie, że sztuczne zapobieganie poczęciu jest i pozostanie środkiem najodpowiedniejszym, tak że do przyszłości należy jedynie udoskonalenie go pod względem sprawności i pewności działania.

Tego, co powiedzieliśmy powyżej, nie zdradza się jednak wszystkim; to pozostaje tylko dla wtajemniczonych. Przed szerokie sfery społeczeństwa wysuwa się inne hasła, czasem rzeczywiście a kiedyindziej łudząco słuszne. „Nie powinno się mieć więcej dzieci, niż można wyżywić i wychować! Świadome macierzyństwo to wyzwolenie kobiety, to zdrowie rodziny i narodu! Liczbę urodzeń należy rozsądnie regulować!" Jak to robić? — O tem się dyskretnie milczy; o tem pouczy Poradnia świadomego macierzyństwa, przedślubna, seksualna czy eugeniczna.

Lecz na zakrojonej na szerszą skalę i demagogicznej nieraz propagandzie różnych Towarzystw regulacji urodzeń, reformy obyczajów, krzewienia świadomego macierzyństwa, eugenicznych czy służby społecznej się nie kończy. Pośrednio śpieszą jej z pomocą także niektórzy działacze społeczni i przedstawiciele nauki. Mamy ekonomistów, którzy pauperyzację Polski wiążą ze zbytnim przyrostem naturalnym ludności; wniosek stąd prosty, że w imię dobra ogólnego należy ten przyrost zahamować, przyczem w sposób wykonania się nie wchodzi. Inni jednak, zwłaszcza niektórzy lekarze, są pod tym względem odważniejsi. Jedni wprost polecają środki zapobiegawcze jako najlepsze zabezpieczenie przed zakażeniem wenerycznem; drudzy jako zbawczy środek przeciw klęsce sztucznych poronień; inni jako konieczny dla celów eugeniki. To znowu lekarz, wykładający na jednej z wszechnic, w broszurach i artykułach wykazuje, że w dzisiejszych warunkach braku należytej opieki nad matką i dzieckiem, polecanie środków antykoncepcyjnych uznać należy za „celowe, słuszne i pożądane".

Już z tych kilku przykładów widzimy, że zagadnienie sztucznego zapobiegania poczęciu jest wielostronnem i skomplikowanem, że można je traktować ze stanowiska moralnego, ludnościowego, gospodarczego, społecznego, polity-

cznego, higjenicznego, eugenicznego i t. d. Jest to więc rozległy front, o którego rozpatrywaniu nie myślimy wcale narazie; wymagałoby to obszerniejszej rozprawy. Sprawą, jaka interesuje nas obecnie, jest ten ruch, mający na celu propagandę sztucznego zapobiegania poczęciu, który przybrał już ustalone formy organizacyjne, pod nazwą neomaltuzjanizmu i regulacji urodzeń. Ponieważ są to dziś dwa główne systemy teoretyczne i równocześnie ośrodki czynnej akcji na rzecz praktyk antykoncepcyjnych, przeto pragniemy dać krótki rzut oka na ich genezę, rozwój i stan obecny.

Jeśli chodzi o zorganizowany i oparty na pewnej doktrynie ruch antykoncepcyjny, musimy go szukać dopiero w czasach nowszych. Wprawdzie pewne środki zapobiegawcze były znane już w starożytności; nie ulega naprz. wątpliwości, że były one w użyciu w Rzymie za Cezarów. Naogół jednak, tak w celach osobistych jak ograniczania ludności, posługiwano się dawniej innemi metodami, jak spędzaniem płodu, które było w praktyce i w krajach cywilizowanych i u ludów dzikich, albo dzieciobójstwem, jakie w tak barbarzyński sposób stosowano w Sparcie i w Chinach.

Co do wieków średnich, nie posiadamy dokładniejszych wiadomości. W każdym razie ze względów czysto ludnościowych praktyki zapobiegawcze nie były chyba wówczas potrzebne, gdyż częste wojny, epidemje i głody regulowały dostatecznie liczbę mieszkańców, a sztuczne poronienia uzupełniały resztę. Środki antykoncepcyjne były jednak gdzieniegdzie przynajmniej znane, a poczynając od połowy XVI w. zastajemy wyraźne o nich wzmianki w pismach lekarzy francuskich i angielskich. Od tego czasu, o ile wiemy, poczęło się użycie ich szerzyć w niektórych środowiskach. Tak naprz. wśród szlachty i zamożnego mieszczaństwa francuskiego możemy je śledzić od końca 16-o wieku; do szerszych jednak warstw społeczeństwa przenika dopiero po r. 1830.

Tymczasem zaszedł wypadek, który miał wpłynąć decydująco na dalsze losy tego ruchu.

W r. 1798 ukazała się w Anglji książka p. t. *An Essay on the principle of population*, poświęcona omówieniu zagadnienia ludnościowego. Autorem jej był Thomas Robert Malthus, pastor anglikański, oddający się z zamiłowaniem

studjom ekonomicznym i od r. 1805 (1804?) profesor historji i ekonomji w *East India College* w Hertfordshire.[1])

Głęboka troska o przyszłość ludzkości bije z tej książki. Spoglądając na wyjątkowo szybki przyrost ludności Anglji i Stanów Zjednoczonych Am. Pn., jaki zaznaczył się już z końcem 18-o wieku, Malthus porównuje go ze wzrostem środków utrzymania (żywności) i dochodzi do przekonania, że ten ostatni jest znacznie powolniejszy od poprzedniego. Możemy uważać za pewnik, powiada, że ludność, o ile przyrost jej nie jest hamowany żadną przeszkodą, podwaja się co 25 lat, czyli, że co ćwierć wieku pomnaża się w postępie geometrycznym (1, 2, 4, 8, 16...). Natomiast ten stan rzeczy, jaki widzimy na zamieszkałych obszarach ziemi, upoważnia nas do twierdzenia, że środki utrzymania, w najpomyślniejszych nawet warunkach, mogą wzrastać jedynie w postępie arytmetycznym (1, 2, 3, 4, 5, 6...).

Wniosek stąd jasny; ponieważ w innej proporcji powiększa się ludność niż środki żywności, przeto powstaje dysproporcja, która grozi katastrofą ludzkości. Że katastrofa ta nie nastąpiła jeszcze, zawdzięczać należy jedynie okoliczności, że szereg czynników zapobiegawczych i represyjnych, które możemy łącznie określić mianem; grzech, nędza i nieszczęście (tak tłumaczy prof. A. Krzyżanowski malthus'owskie *vice and misery*) przyczynia się do zmniejszenia liczby urodzeń, oraz dziesiątkuje ludność, zachowując w ten sposób równowagę pomiędzy jej przyrostem a wzrostem środków utrzymania. One to — w postaci głodu, nędzy, wojen, epidemji, braku higjeny, poronień, dzieciobójstwa — są temi regulatorami, jakie dotychczas ratowały ludzkość. Jeśli jednak chcemy uniknąć tych nieszczęść w przyszłości, nie mamy innego sposobu wyjścia, tylko trzeba koniecznie ograniczyć niepohamowany przyrost ludności.

Tak brzmiała teza Malthus'a, która stała się punktem wyjścia dla potężnego ruchu sztucznego ograniczania urodzeń, znanego pod mianem neomaltuzjanizmu.

---

[1]) Thomas Robert Malthus, ur. dn. 14 (17?) lutego 1766 r. w Dorking (Anglja), pastor anglikański w Ailesbury, a od r. 1805 (1804?) profesor historji i ekonomji w *East India College* w Hartfordshire; umarł dn. 23 grudnia 1834 r. w St. Catherine.

Dziś wiemy, że teza ta o przeludnieniu, grożącem kuli ziemskiej z powodu znacznie szybszego przyrostu ludności niż środków utrzymania, jest błędna. Malthus traktował rzecz zanadto teoretycznie i abstrakcyjnie, wychodził z możliwości wewnętrznych, a nie realnych. Fakt, na którym się oparł, mianowicie niezwykle sprzyjające przyrostowi ludności warunki gospodarcze, jakie panowały (zwłaszcza w Anglji i w Stanach Zjedn. A. Pn.) z końcem 18-o i w 19-ym wieku, były zupełnie wyjątkowe, a tymczasem Malthus uogólnił je czasowo i przestrzennie. Rzeczywistość dowiodła, że postawiona przez niego proporcja pomiędzy przyrostem ludności a środków utrzymania nie odpowiada prawdzie, a przeludnienie, o ile wogóle zachodzi, jest co najwyżej lokalnem, i równocześnie w innych miejscach towarzyszy mu groźba wyludnienia. Nie jest wreszcie nikomu dziś tajnem, że źródłem nędzy tylu ludzi nie jest niewystarczalność środków utrzymania, lecz zła gospodarka i przyczyny natury moralnej.

Lecz wyjaśnienie tych prawd jest dopiero owocem doświadczeń i mozolnych badań ostatnich kilkudziesięciu lat. Za czasów Malthus'a nauka o zagadnieniu ludnościowem znajdowała się jeszcze w zawiązkach, a jego *Essay* olśniewało współczesnych obfitością materjału dowodowego i logicznością rozumowania. Dzieło to doczekało się też 6-u wydań jeszcze za życia autora i można powiedzieć, że prawie wszyscy ekonomiści pierwszej połowy 19-o wieku byli maltuzjanami. Szkoda tylko, że ze szkoły swego mistrza wynieśli przeświadczenie o potrzebie ograniczania przyrostu ludności, ale nie przyjęli metody, jaką on głosił.

Jeśli bowiem Malthus w pierwszem wydaniu *Essay* poprzestał na stwierdzeniu konieczności przeciwdziałania zbytniemu przyrostowi ludności, to w drugiem, znacznie powiększonem wydaniu (r. 1803) podał zarazem sposób wykonania tego programu. Miała nim być powściągliwość moralna *(moral restraint),* przez którą Malthus rozumiał: życie czyste przed ślubem i dobrowolne odroczenie zawarcia małżeństwa aż do czasu, w którym małżonkowie finansowo zdolni będą do wychowania kilkorga (5-6) dzieci; ci, którzy nie mają dostatecznych środków utrzymania, powinni się wstrzymać od zawierania związku. Czystość w stanie bez-

żennym i późne zawieranie małżeństwa — tak brzmiał więc program Malthus'a. Sztucznych metod zapobiegania poczęciu nietylko nie polecał, lecz owszem potępiał ich używanie, jako ubliżające godności ludzkiej, jako grzech i jako krok niebezpieczny, który łatwo może zostać nadużyty i doprowadzić do zbytniego spadku urodzeń.

Ci ekonomiści i teoretycy kwestji ludnościowej, którzy przyjęli podstawowe tezy Malthus'a i prowadzili dalej jego dzieło, zawiedli go wszakże na tym punkcie. Podkreślali silnie potrzebę ograniczania przyrostu ludności, ale przemilczali *moral restraint* i zostawili tem samem pole otwarte dla poszukiwania odmiennych dróg do celu. Okoliczność tę wykorzystali inni. Coraz częściej zaczęły się pojawiać głosy, że wstrzemięźliwość moralna jest w tym wypadku środkiem iluzorycznym, a jedynym skutecznym i w praktyce mającym widoki powodzenia sposobem zaradzenia grożącemu przeludnieniu i nieodłącznym jego następstwom: nędzy, chorobom, zbrodniom i wojnom, jest ograniczanie urodzeń zapomocą sztucznych środków zapobiegawczych.

Nowy ten prąd, który wzmagał się coraz bardziej na sile, szedł więc w kierunku niezamierzonym przez Malthus'a, który bezwątpienia „neomaltuzjaninem" nie był. Czy jednak można powiedzieć, że ta niepożądana ewolucja odbyła się bez jego winy? — Zdaje się, że nie. Mimo podkreślania *moral restraint*, jako właściwego środka zaradczego, panuje w pismach Malthus'a co do pewnych pojęć etycznych duża niejasność; niektóre z nich są wprost mętne i podejrzane co do swej zgodności z moralnością chrześcijańską. Nawet prof. Adam Krzyżanowski, choć naogół stara się moralne poglądy Malthus'a przedstawić w dodatniem świetle, jest jednak zdania, że ci, którzy doktrynę tegoż uważają za identyczną z katolicką, zapoznają jej elastyczność; owszem, dodaje charakterystyczną uwagę: „mylą się (wydaje mi się wszyscy) komentatorowie, uważając go (Malthus'a) za stanowczego przeciwnika t. zw. neo-maltuzjanizmu". [1])

---

[1]) Adam Krzyżanowski: „Czy sprawdziły się przewidywania Malthus'a?" *Przegląd Współczesny* (Kraków) listopad 1924 r., str. 226. — Por. tegoż autora: *T. R. Malthus, Prawo ludności* (Kraków 1925), przedm.

Wobec tego trudno się dziwić, że ruch neomaltuzjański związano z imieniem Malthus'a, jakkolwiek powiązanie to uważa się naogół za niesłuszne, zarówno dlatego, że Malthus nie polecał takich metod, jak i dlatego, że były one w użyciu już znacznie wcześniej. Margrabia de Condorcet zachęcał przecież do nich już w r. 1795 w swym *Esquisse d'un tableau historique des progrès de l'esprit humain*. Nie da się jednak zaprzeczyć, że dzieło Malthus'a dodało odwagi ludziom powyższych poglądów, którzy rozpoczęli też publiczną ich propagandę w Anglji jeszcze za jego życia, mniejwięcej od r. 1818.

Pierwszym, który tu wystąpił na arenę, był Francis Place. W pracy swej, wydanej w r. 1822 w Londynie, wystąpił on przeciw Malthus'owi i wskazując na używane we Francji sztuczne metody zapobiegawcze głosił, że tylko tą drogą można skutecznie zwolnić tempo przyrostu naturalnego. Z akcją jego sympatyzowali i nawet popierali czynnie Richard Carlile, publicysta i agitator, prawdopodobnie Robert Oven, znany współczesnym filantrop i socjalista, a w każdym razie jego syn, Robert Dale Oven, który zalecał neomaltuzjanizm w swej *Moral Physiology* (Londyn 1832). Ruch ten przeniósł się następnie do Stanów Zjednoczonych Am. Pn., gdzie lekarz Knowlton propagował go w swej książce *Fruits of Philosophy* (Boston 1833). Popieraniem powyższych wydawnictw zajmowały się zwłaszcza związki Wolnej Myśli.

Owoce tej propagandy były jednak w Anglji niewielkie. Żywszy natomiast oddźwięk znalazły we Francji, gdzie praktykowany od dłuższego czasu neomaltuzjanizm wystąpił teraz z ukrycia. Jako jeden z przykładów możemy tu przytoczyć głośny okólnik z dn. 11 listopada 1833 r., w którym Dunoyer, prefekt Sommy, polecał wyraźnie podwładnym sobie urzędnikom umiarkowanie co do liczby dzieci, a ubogim kazał udzielać zapomóg o tyle tylko, o ile nie mają więcej niż jedno dziecko. Kiedy jednak we Francji, klasycznym kraju ograniczenia urodzeń, ruch ów rozwijał się w dalszym ciągu, to w Anglji z rokiem 1834 zanikł prawie bez śladu. Zamało przeniknął jeszcze do szerszych warstw, a przytem ogólny dobrobyt podniósł się znacznie (poprawa sytuacji

gospodarczej, rozwój handlu i przemysłu, reforma prawa ubogich). Dopiero w dwadzieścia lat później odżył na nowo.

W r. 1854 ukazuje się mianowicie w Anglji anonimowa książka p. t. *Elements of social science: or physical, sexual and natural religion,* która zdobyła sobie duże wzięcie i została przetłumaczona na kilka języków. Autor, którym, jak się później okazało, był dr. George Drysdale, oparł się na tezie Malthus'a o dysproporcji pomiędzy przyrostem ludności a środków utrzymania, ale we wskazywaniu środków zaradczych poszedł własnemi drogami. Nietylko żądał ograniczenia urodzeń i jako jedyne wyjście wskazał sztuczne zapobieganie poczęciu, ale głosił otwarcie wolną miłość i niczem niekrępowaną swobodę seksualną. Zdaniem jego każdy człowiek ma „prawo do miłości", a ta jest zmienną; nie można więc ustawowo domagać się jej trwałości, ani utrudniać ludziom korzystania ze złączonej z nią rozkoszy przez wiązanie jej z posiadaniem dziecka. Dlatego małżeństwo obecne musi w przyszłości zniknąć, a środki antykoncepcyjne należy wprowadzić do powszechnego użycia. Dzięki nim będzie można cieszyć się miłością bez podejmowania ciężarów, a przytem zażywać dostatku chleba i wygód, gdyż groźba przeludnienia ustąpi.

Sukces książki Drysdale'a nie przyczynił się jednak do widocznego rozszerzenia neomaltuzjanizmu w Anglji. Przyjął się on tylko w pewnych kołach i wegetował w ukryciu. W r. 1877 zaszły jednak dwa fakty, które nadały mu większy rozgłos i pchnęły silniej naprzód.

Pierwszym z nich był proces późniejszej teozofki, ale wówczas jeszcze socjalistki, Annie Besant i jej współpracownika, Charles Bradlaugh, którzy w latach 1876—78 uprawiali w Anglji żywą propagandę neomaltuzjanizmu i wydali w tym celu wspomnianą powyżej książkę *Fruits of Philosophy* Knowlton'a. Oboje zostali oskarżeni o zamach na moralność publiczną i przegrali wprawdzie proces, ale stali się głośnymi w całym kraju, a wydana przez nich książka oraz napisana krótko potem przez A. Besant i przetłumaczona na parę języków broszura „Prawo ludnościowe" ro-

zeszła się tem szerzej. Później dopiero, zostawszy głową teozofów, wyparła się A. Besant neomaltuzjanizmu.

Drugiem ważnem zdarzeniem, które miało miejsce w tymże roku 1877, było powstanie pierwszej Ligi neomaltuzjańskiej *(The Malthusian League)*, którą założył w Londynie dr. Charles R. Drysdale, brat wspomnianego poprzednio reformatora. Zadaniem jej miało być propagowanie idei normowania rozrodczości i temu celowi służył wydawany od r. 1879 miesięcznik *The Malthusian*. Akcja poczęła teraz iść raźniej, ruch neomaltuzjański rozwijał się coraz silniej i zaczął przenikać do krajów sąsiednich.

Równocześnie z rozwojem pracy organizacyjnej krystalizowała się stopniowo sama doktryna neomaltuzjanizmu. Na dnie jej tkwi rzucona przez Malthus'a idea konieczności ograniczania rozrodczości ludzkiej z obawy przed przeludnieniem i płynącemi z niego klęskami, ale ograniczanie nie drogą wstrzemięźliwości, jakiejkolwiek *moral restraint*, lecz zapomocą stosowania sztucznych środków zapobiegawczych. Obok ograniczania urodzeń ma środek ten umożliwić również małżonkom pożycie z sobą bez obawy normalnych jego następstw i tem samem udostępnić im korzystanie z rozkoszy bez podejmowania obowiązków i ciężarów.

Ten ostatni punkt nie przynosi oczywiście chluby neomaltuzjanizmowi; zwolennicy jego wiedzą o tem dobrze i najczęściej nie przyznają się do niego, niektórzy wogóle się go wypierają. Czynią te jednak nietylko niezgodnie z przyjętą praktyką, ale i wbrew logice. Gdy się raz postawi zasadę, że w danym wypadku wolno celowo działać przeciw prawom natury i prawom moralnym, wówczas nie da się wykazać, dlaczego i w innym wypadku nie można podobnie postąpić. Drysdale, głosząc upadek małżeństwa, wolną miłość i swobodę pożycia, jako następstwo uznania praktyk antykoncepcyjnych, był przynajmniej konsekwentny.

W ramach tych pozostał właściwy neomaltuzjanizm do dziś dnia; dalsi jego teoretycy wykończali tylko i upiększali pewne, drugorzędne jego szczegóły. Ważniejsze były tylko różnice, jakie pojawiły się wśród nich w związku z nadzie-

jami, pokładanemi w ruchu neomaltuzjańskim. Na tle tem zrodziły się trzy grupy poglądów: [1])

1) Skrajny neomaltuzjanizm sprowadza wszystkie gospodarcze i społeczne niedomagania do zbyt wysokiej liczby ludności i widzi w ograniczeniu urodzeń jedyny skuteczny środek ratunku (w Anglji Ch. R. Drysdale, w Niemczech G. Stille, Otto). 2) Zdania tego nie podziela umiarkowany kierunek neomaltuzjanizmu, jakkolwiek w dobrowolnej niepłodności upatruję środek do złagodzenia różnych społecznych nieszczęść, które płyną z przeludnienia (w Anglji John Stuart Mill, w Niemczech Otto Zacharias, Max Marcuse, we Włoszech Paolo Mantegazza). 3) Osobny ale nieliczny odłam stanowi socjalistyczna szkoła neomaltuzjańska, która żąda przebudowy obecnego porządku społecznego, a ograniczanie urodzeń uważa za warunek utrzymania przyszłego lepszego porządku (Kautsky).

Akademickie dyskusje nad motywami, zakresem, użytecznością neomaltuzjanizmu rozgrywają się jednak tylko w szczupłem kole naukowców. Szerokie fale właściwego ruchu neomaltuzjańskiego nie oglądają się na nie, a swą siłę atrakcyjną zawdzięczają nie perspektywom rozwiązania zagadnienia ludzkości, lecz swobodzie życia, jaką otwierają i z której starają się zdjąć ciążące dotychczas piętno czegoś hańbiącego i złego. Dla osiągnięcia tego celu wysuwa się zawsze na pierwsze miejsce „klasyczne" racje, mające wykazać konieczność neomaltuzjanizmu: z jednej strony ograniczanie urodzeń jest niezbędne, inaczej grozi przeludnienie a z niem głód, choroby, nędza, wojny, wysoka śmiertelność — z drugiej, sztuczne zapobieganie poczęciu jest jedynem wyjściem, gdyż wstrzemięźliwość moralna jest niemożliwa. Dla nadania większej siły tym dowodom uzupełnia się je odwołaniem do korzyści, jakie dla dobrobytu rodziny i wychowania dzieci będzie miała mała ich liczba.

Dla tych, którzy znowu mogą mieć trudności z tą, bądź co bądź „nową moralnością", nie omieszkano poszukać pewnego jej uzasadnienia. Każdy człowiek, powiada się, potrze-

[1]) Taki podział daje Ludwig Elster w artykule o neomaltuzjaniźmie w *Handwörterbuch der Staatswissenschaften* (Jena) wyd. 4. t. II., str. 808 n.

buje trzech rzeczy: pożywienia, spoczynku i miłości. Tymczasem kiedy wszyscy zgadzają się na konieczność zaspokojenia dwóch pierwszych, to trzecia potrzeba choć równie wrodzona i mająca swe prawa, traktowana bywa pod zupełnie innym kątem widzenia. Tradycyjna moralność odmawia człowiekowi prawa zaspokojenia jej poza małżeństwem, a w samem małżeństwie krępuje go przez nakładanie obowiązku wierności i nieprzeszkadzania rozrodczości. Moralność tę należy więc odrzucić i zastąpić nową, która nie będzie zadawała gwałtu naturze. A ponieważ tylko stosowanie sztucznych środków zapobiegawczych daje nam możność jej zrealizowania, przeto powinniśmy je uznać i szerzyć jako otwierające nową szczęśliwą erę ludzkości.

Daleko rozeszły się więc drogi Malthus'a i zwolenników neomaltuzjanizmu, pomimo, że zawsze uważali się za jego „uczniów". Łączyło ich tylko jedno — głoszenie potrzeby ograniczania ludności, — ale rozdzielił sposób wykonania tego programu. Rozbrat ten miał zaś dalsze jeszcze następstwa. Kiedy teoretyczny neomaltuzjanizm pozostał doktryną ludnościową, to praktyczny stał się systemem regulowania, lub ściślej mówiąc zwalniania od wszelkich reguł, szerokiej dziedziny życia płciowego, w celu otworzenia przed człowiekiem swobody użycia. Tak zrozumiał neomaltuzjanizm Paul Leroy-Beaulieu, kiedy kreśląc dzieje jego powstania nazwał go „teorją wybitnie sensualistyczną, nawskróś epikurejską i to w używanem i grubem znaczeniu tego słowa." [1])

Miał więc słuszność prof. F. Virgilii (Siena), kiedy zdefinjował neomaltuzjanizm jako „dobrowolne ograniczanie rozrodczości, przed i po zawarciu małżeństwa, bez jakiegokolwiek tłumienia popędu i rozkoszy płciowej". [2])

Przeciw tak pojętemu neomaltuzjanizmowi zaczęła się jednak budzić reakcja. Jednym nie podobał się jego program. Głosił konieczność propagandy ograniczania urodzeń, tymczasem liczba tychże spadała niezależnie od niego i obawa

[1]) Paul Leroy-Beaulieu: *La Question de la Population.* Paris 1913, str. 298.

[2]) Filippo Virgilii: *Il Problema della Popolazione.* Milano 1924, str. 353.

przeludnienia malała coraz bardziej. Nietylko nie był więc potrzebny, ale przez swą doktrynę przyczyniał się do rozluźnienia pojęć moralnych. Uważano go za zbyteczny, owszem za niemoralny i brutalny. Żądano represyj przeciw jego organizacjom i wydawnictwom i rzeczywiście zdołano zmobilizować w tym duchu sporą część opinji, a gdzieniegdzie interwencję władz.

W obozie neomaltuzjańskim zorjentowano się, że wieje wiatr niepomyślny i że należy całemu ruchowi nadać nowe formy. Zerwano więc z dotychczasową metodą głoszenia „niebezpieczeństwa przeludnienia", które okazywało się coraz mniej realne, a w każdym razie mało działało na masy i rzucono hasło „świadomego regulowania urodzeń". Nie można, mówiono, dopuścić do tego, żeby dzieci przychodziły na świat jedno po drugiem, niezależnie od tego, czy rodzice chcą je mieć i mogą wychować. Należy tu kierować się rozumem, a roztropność każe mieć dzieci niewiele, bo wtedy można lepiej dbać o nie i zapewnić im szczęśliwą przyszłość. Zyska na tem zdrowie i godność matki, która nie będzie obarczana niepożądanem macierzyństwem i zdobędzie większą swobodę w pracy zawodowej. Zniknie łatwiej niedostatek i trudności gospodarcze, będzie można utrzymać dom na wyższej stopie życiowej. Wzrośnie tężyzna rasy, łatwiej ustanie bezrobocie. A tyle dobrego można osiągnąć sposobem prostym i skutecznym — przez używanie sztucznych środków antykoncepcyjnych. Dzięki nim funkcja rozrodcza zostanie całkowicie poddana woli człowieka, zyska swoboda życia, zmniejszą się obowiązki i ciężary.

Jeśli ten najogólniejszy program porównamy z neomaltuzjańskim, widzimy te same środki i ostatecznie te same korzyści. Tylko motywy są częściowo inne. Poza tem zachodzi jeszcze ta różnica, że neomaltuzjanizm obejmował szersze horyzonty, chciał ratować ludzkość, podczas gdy nowy system zwraca się raczej ku rodzinie i jednostce, malując szczęście jakie im i ich dzieciom przypadnie w udziale, jeśli rozrodczość zostanie poddana określonej „kontroli". Różnica to więc nieistotna, tak że zwolennikom neomaltuzjanizmu nietrudno było przedzierzgnąć się w obrońców nowej doktryny, która otrzymała nazwę — r e g u l a c j i u r o d z e ń,

kontroli lub racjonalizacji urodzeń, a gdzieniegdzie, jak u nas, świadomego macierzyństwa. [1])

Rolę pionierów nowego ruchu odegrały przedewszystkiem dwie kobiety. W Anglji Mary Stopes, osoba bardzo czynna, zajmująca się głównie kwestją seksualną i eugeniką. Napisała ona szereg broszur, cieszących się dużą popularnością wśród tamtejszego społeczeństwa, jak *Married love, Wise parenthood, Radiant motherhood, Contraception.* Hasłem jej jest: przeszkodzić rodzeniu dzieci, które nie powinny się rodzić (chore, upośledzone), a dopomóc do rodzenia się dzieci zdrowych, wartościowych. Poza tem żąda nieograniczonej swobody stosunków małżeńskich i dlatego odrzuca teorję „okresowej niepłodności" (Ogino-Knaus), jako pociągającej za sobą pewien przymus i skrępowanie.

W r. 1921 zakłada M. Stopes w Londynie Towarzystwo dla regulacji urodzeń i postępu rasy *(Society for constructive Birth Control and Racial Progress)* pod patronatem pewnych znanych osobistości, jak Bertrand Russel, H. G. Wells, Westermarck i in.; od r. 1922 organem jego jest *Birth Control News.* Zadaniem tej organizacji jest praca nad wszechstronnem zbadaniem zagadnienia regulacji urodzeń, oraz propaganda jej praktyk. To ostatnie dokonywało się zwłaszcza w założonej w r. 1921 przez M. Stopes w Londynie Klinice dla matek *(The Mothers Clinic),* przeznaczonej do bezpłatnego pouczania mężatek o metodach zapobiegawczych. Dla propagowania podobnych instytucyj zawiązało się Towarzystwo popierania powyższych klinik *(Society for the provision of Birth Control Clinics),* które założyło do dziś dnia około dwudziestu klinik w różnych miastach angielskich.

W Stanach Zjednoczonych Am. Pn. analogiczną akcję wszczęła Margaret Sanger. Z zawodu pielęgniarka (w New York) oddała się potem z właściwą sobie energją sprawie regulacji urodzeń i rozwinęła szeroką działalność w kraju i zagranicą, w Europie, w Indjach i w Chinach. W roku 1914 (1915?) zakłada Amerykańską Ligę regulacji

---

[1]) Nazwy te niezupełnie są ścisłe. Właściwie jest to regulacja, względnie kontrola, poczęcia, a nie urodzeń, przeprowadzana sztucznemi metodami antykoncepcyjnemi.

urodzeń (*American Birth Control League*), która prowadzi żywą propagandę tej doktryny, posługując się w tym celu od r. 1917 organem *Birth Control Review*, oraz wszelkiego rodzaju broszurami i ulotkami, rozdawanemi bezpłatnie. W r. 1916 otworzyła M. Sanger klinikę regulacji urodzeń w New York, która została jednak krótko potem zamknięta przez policję i otwarta nanowo dopiero w r. 1921. Szereg podobnych klinik i Lig powstał od tego czasu w różnych miastach Stanów Zjednoczonych.

Hasła, jakiemi posługuje się M. Sanger, nie różnią się od wymienionych poprzednio: dobro kobiety, matki zwłaszcza, zdrowie dziecka, dobrowolne macierzyństwo, pogodzenie wolności osobistej z obowiązkami społecznemi, troska o dobrobyt pracujących. Brzmi to pięknie, ale gdy się wczyta bliżej w broszury [1]) i wsłucha w przemówienia, namiętne zazwyczaj, zastaje się w nich momenty niepokojące. M. Sanger przemawia naogół w obronie dziecka, ale potrafi również zawołać: „Dlaczego mieć dziecko, a nie auto?" To znowu żąda podniesienia moralności, ale równocześnie głosi to, co sprzyja egoizmowi jednostki i chce otworzyć przed nią swobodę nieograniczonego używania. Niekiedy miewa pomysły ekscentryczne. Nie tak dawno temu, o ile nam wiadomo z początkiem 1934 roku, przemawiała na wielkiem zebraniu kobiet w New York za podjęciem ogólnego *Gebärstreik* dla wskazań gospodarczych, który trwałby tak długo, dopóki sytuacja ekonomiczna Stanów Zjedn. się nie poprawi. Propozycja upadła jednak, ponieważ obecne nie mogły się zgodzić w ścisłem określeniu oznak, po których możnaby poznać, że „poprawa" już nastąpiła.

Kiedy M. Stopes i M. Sanger starały się nadać rozpęd samemu ruchowi regulacji urodzeń, w czem współpracowały z niemi dotychczasowe organizacje neomaltuzjańskie, równocześnie teoretycy nowego systemu pracowali nad wykończeniem jego doktryny. Zasadnicze jej linje podaliśmy już powyżej, obecnie zestawimy jeszcze racje przytaczane dla jej uzasadnienia. I rzecz znamienna, racje te sprowadzają się właściwie do wykazania potrzeby stosowania sztucznych

[1]) Do pism jej należy *Woman and the New Race, Nowe Macierzyństwo* i inne.

środków zapobiegawczych, podobnie jak przy neomalfuzjaniźmie. Cóż więc przemawia za niemi?

1) Przedewszystkiem „nowa moralność płciowa", która rozdzieliła zaspokojenie popędu od funkcji rozrodczej. Do tamtego każdy ma prawo, ostatnia zaś funkcja winna mieć miejsce o tyle tylko, o ile ktoś wyraźnie sobie tego życzy. Przeprowadzenie tego rozdziału w praktyce możliwe jest wszakże jedynie przy użyciu środków antykoncepcyjnych.

2) Dając tę swobodę małżonkom — że mogą „racjonalnie kierować rozrodem" a nie odmawiać sobie nigdy przyjemności — przyczynia się regulacja urodzeń do podtrzymania instytucji małżeństwa, gdyż ułatwia pożycie małżeńskie i nie dopuszcza do „oziębienia miłości". Tem samem zmniejsza liczbę związków nielegalnych, pozwala „realizować małżeństwo normalne i zdrowe".

3) Dzięki temu systemowi kobieta zostaje uwolniona od niepożądanej lub zbyt częstej ciąży, może łatwiej decydować o macierzyństwie; jej godność, zdrowie, szczęście są więc lepiej zabezpieczone.

4) Regulacja urodzeń przyczynia się też do dobra społeczeństwa i rasy, gdyż niedopuszczając do zbyt licznych urodzeń zmniejsza śmiertelność niemowląt, oraz umożliwia przeszkodzenie rozrodowi osób chorych i dziedzicznie obciążonych.

5) Użycie środków antykoncepcyjnych pomaga pośrednio do usunięcia lub przynajmniej zmniejszenia takich klęsk społecznych, jak sztuczne poronienia, prostytucja i choroby weneryczne.

6) Z tego wszystkiego wynika, że „odpowiednie użycie" środków zapobiegawczych może dopomóc do uzdrowienia rozległej sfery naszego życia seksualnego, oraz do pomnożenia szczęścia jednostki i ogółu. Wobec tego musimy regulację urodzeń uznać za „moralną i polecenia godną".

Jeśli więc mamy wierzyć powyższym słowom, to wszelkie racje — lekarskie, eugeniczne, gospodarcze, społeczne, ludnościowe, moralne — przemawiają za regulacją urodzeń. A ponieważ przytem zostawia ona wszystko, czego żąda egoizm ludzki i nieopanowany popęd, gdyż otwiera przed jednostką swobodę użycia, nadając równocześnie stosowa-

nym w tym celu metodom pozory dobra społecznego, przeto dziwić się nie można, że doktryna taka musiała wśród pewnej części społeczeństwa odnieść sukces niemały!

W przeciwstawieniu do neomalfuzjanizmu, który zawiera raczej momenty negatywne — lęk przed przeludnieniem i ograniczanie rozrodczości — regulacja urodzeń stara się wysuwać hasła pozytywne. Oczom powierzchownego obserwatora może się więc przedstawić jako dodatni ruch społeczny, mający na celu dobro matki, dziecka i ogółu. Dla wszystkich zaś, którzy szukają wyzwolenia z krępujących ich przepisów moralnych, głoszona przez regulację urodzeń metoda prewencyjna jest wymarzonem rozwiązaniem, gdyż daje im do ręki gotowe argumenty do usprawiedliwienia swego egoizmu, co więcej pozwala im odgrywać rolę działaczy „społecznych". W tem pogodzeniu swobody użycia z pozorami „służby społecznej" tkwi tajemnica popularności regulacji urodzeń.

Ta podwójna gra nie da się jednak ukryć i mimo wszystko opinja publiczna krajów, w których zorganizowana akcja regulacji urodzeń przybrała większe rozmiary, orjentuje się coraz lepiej w zgubnych jej następstwach i mobilizuje siły do walki z nią. A czyni to nietylko ludność katolicka, ale także wielu członków innych wyznań. Wystarczy przypomnieć, z jakiem oburzeniem część prasy niekatolickiej piętnowała stanowisko biskupów anglikańskich, którzy na zjeździe w Lambeth (w Londynie) w r. 1930 poczynili pewne ustępstwa na rzecz regulacji urodzeń.

Gdziekolwiek zresztą ruch ten rozwinął się silniej tam społeczeństwo przekonuje się coraz lepiej, że głoszone w nim zasady i praktyki nie są ochroną, lecz zamachem na dziecko, kobietę, małżeństwo, zdrowie i dobro ogółu. Małżeństwo przestaje tu być instytucją dla doniosłych, przez Boga jej wyznaczonych, celów. Miejsce miłości prawdziwej, godnej człowieka, zajmuje popęd, szukający zaspokojenia podług upodobań chwili. Kobieta schodzi wówczas na narzędzie i dlatego się ją poniewiera. Dziecko staje się ciężarem i przeszkodą, więc się go unika. Pod tym względem od Drysdale'a do M. Sanger nie zmieniło się nic, tylko nazwa. I tak pozostało do dziś dnia.

Śledziliśmy dotychczas dzieje ruchu neomaltuzjańskiego i regulacji urodzeń w ich kolebce; pozostaje nam dać obraz jego rozwoju w pozostałych krajach. Dla uzupełnienia możemy dodać, że w W. Brytanji neomaltuzjanizm ma jeszcze sporo zwolenników i cieszy się poparciem pewnego odłamu Partji Pracy, a to z powodu znacznej liczby bezrobotnych. Agitacja w tym kierunku była tak silna, że minister zdrowia publicznego okólnikiem z lipca 1930 r. pozwolił na pouczanie o metodach antykoncepcyjnych w ośrodkach opieki nad macierzyństwem i dzieckiem, jakkolwiek tylko w razie wskazań lekarskich.

Wcześnie już przedostał się ruch neomaltuzjański z Anglji do Holandji, gdzie w r. 1882 zawiązała się Liga Neomaltuzjańska (*De Nieuw-Malthusiaansche Bond*), a w r. 1885 powstała, pierwsza zdaje się w Europie, „klinika" neomaltuzjańska. Ruch ten spotkał się jednak z silnym oporem ludności, zwłaszcza katolickiej.

Do Francji, która praktykę ograniczania urodzeń uprawiała dawno, dotarł teoretyczny neomaltuzjanizm nieco później. W r. 1896 dr. Paul Robin — znany z niechlubnej swej działalności koedukacyjnej wśród młodzieży i dlatego usunięty potem z kierownictwa zakładu, który dzięki niemu zdobył u sąsiadów nazwę *la porcherie* — założył w Paryżu Ligę Odrodzenia Ludzkości (*Ligue de la Régénération Humaine*) o programie neomaltuzjańskim i wydawał czasopismo w tym duchu. O ile chodzi o okres powojenny przyznać trzeba, że publiczna propaganda zapobiegania poczęciu nie jest dozwolona przez prawo, podobnie jak sprzedaż środków antykoncepcyjnych. Zakaz ten istnieje wszakże raczej na papierze, w rzeczywistości bowiem środki owe można dostać wszędzie, a pouczanie o metodach zapobiegawczych odbywa się pod inną firmą, m. in. za pośrednictwem Dzieła opieki lekarskiej nad macierzyństwem (*Oeuvre maternelle médicale*), założonem w r. 1907 w Paryżu i rozporządzającem paru czasopismami.

Silnie rozwijał się ruch ograniczania urodzeń w Niemczech. W r. 1892 powstał tu Związek harmonji społecznej (*Sozialharmonischer Verein*), a w r. 1914 Towarzystwo dla zwalczania przeludnienia Niemiec (*Gesellschaft zur Bekäm-*

pfung der Uebervölkerung Deutschlands). Po wojnie światowej zawiązano w Berlinie Komitet dla regulacji urodzeń (*Komitee für Geburtenregelung*), który przy współdziałaniu Kas Chorych zakładał poradnie i polecał środki zapobiegawcze. Do spotęgowania tego ruchu przyczynili się znacznie niektórzy lekarze, zwłaszcza znany seksuolog, Magnus Hirschfeld.

Nie oszczędził ruch neomaltuzjański także innych krajów europejskich. Ajencje jego powstały, naogół dopiero w 20-ym wieku, w Belgji, w Austrji, Czechosłowacji, Rosji, Szwajcarji, na Węgrzech, w Hiszpanji (*Liga de la regeneration humana,* założona w r. 1904) i t. d. We Włoszech północnych wcale liczna grupa lekarzy przystąpiła w r. 1913 do szerzenia idei ograniczenia urodzeń, założyła parę instytutów neomaltuzjańskich i poczęła wydawać dwa czasopisma, w Turynie i Medjolanie; późniejsze ustawodawstwo położyło jednak kres tej działalności.

Z krajów zamorskich ruch ograniczenia urodzeń rozwinął się w niektórych kolonjach angielskich, w Japonji i przedewszystkiem w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. W tym ostatnim kraju największy wpływ ma wspomniana przedtem, założona przez M. Sanger Amerykańska Liga kontroli urodzeń. Obok niej istnieją również inne organizacje, których wysiłek zmierza narazie do obalenia ustawy z roku 1873 (*Comstock law*), zabraniającej propagandy literatury, szerzącej regulację urodzeń i ograniczającej sprzedaż środków antykoncepcyjnych; nawiasem trzeba dodać, że prawo to jest podobnie zachowywane jak we Francji i handel powyższy kwitnie w najlepsze. O zniesienie tego prawa zabiega zwłaszcza Liga dobrowolnego rodzicielstwa (*Voluntary Parenthood League,* założona w r. 1919 przez Mrs Ware Dennett), oraz Narodowy Komitet dla ustawodawstwa federalnego w sprawie regulacji urodzeń (*National Committee on Federal Legislation for Birth Control).* Ten ostatni stara się wyzyskać wszelkie możliwe atuty i niedawno temu (w odczycie urządzonym w Washington) usiłował wykazać, że regulacja urodzeń może dopomóc do gospodarczego podniesienia narodu i dlatego winna zostać włączona do programu NRA.[1]) Prze-

[1]) *National Recovery Administration* (NRA), głośny program prez. Roosevelt'a dla gospodarczej odbudowy Stanów Zjednoczonych.

ciw całej tej akcji występuje jednak energicznie wielka liczba obywateli amerykańskich, nietylko katolików, jakkolwiek obrońcy jej, chcąc pozyskać dla siebie wyznawców wszystkich sekt, wmawiają w społeczeństwo, że jedynie katolicy zwalczają regulację urodzeń.

Rozrost krajowych organizacyj neomaltuzjańskich i regulacji urodzeń doprowadził w r. 1900 do międzynarodowego zjazdu ich delegatów w Paryżu, na którym założono Powszechną Unję dla odrodzenia ludzkości (*Fédération universelle de la Régénération humaine*) z centralą w Paryżu. Unja ta zorganizowała w następnych latach parę zjazdów międzynarodowych, drugi w Liège 1905 r., trzeci w Hadze 1910 r., czwarty w Dreźnie 1911 r. Podczas wojny światowej upadła prawie zupełnie i dopiero po jej ukończeniu została wskrzeszona pod nową nazwą Międzynarodowej Unji Lig regulacji urodzeń (*International Federation of Birth Control Leagues*). Następne jej kongresy międzynarodowe odbyły się kolejno, piąty w Londynie 1922 r., szósty w New York 1928 r.; siódmy zjazd w Zürich 1930 r. zgromadził pod przewodnictwem M. Sanger przedstawicieli około 20-u narodów.

Skoro mówimy o działalności Lig neomaltuzjańskich, trudno nie wspomnieć o głośnym Światowym Kongresie Ludnościowym (*World Population Conference*), jaki odbył się w sierpniu 1927 r. w Genewie. Oficjalnie czysto naukowy, w rzeczywistości został zorganizowany dla celów ruchu regulacji urodzeń i przez jego ludzi. Duszą jego była M. Sanger, a wśród osobistości kierowniczych znaleźli się jej zwolennicy, Little, East, Pearl i in. Zjazd zajął się zagadnieniem ludnościowem ze strony biologicznej, społecznej, gospodarczej, zdrowotnej, politycznej, zawsze jednak podkreślał niebezpieczeństwo przeludnienia. Zamiarem jego organizatorów było stworzenie międzynarodowej Unji dla badania problemów ludnościowych, którąby pracowała pod patronatem Ligi Narodów i z jej pomocą mogła uzyskać wpływy w należących do Ligi krajach. Nadzieje te zawiódły jednak. Unja doszła wprawdzie do skutku, ale Liga Narodów odmówiła jej swej protekcji. Owszem jako reakcja przeciw tej „neomaltuzjańskiej konspiracji" zawiązała się wówczas w Genewie inna, o przeciwnych wprost tendencjach Międzynaro-

dowa Liga dla życia i rodziny (*Ligue Internationale pour la Vie et la Famille*), (84, rue de Lille, Paris), która odbywa co roku swe kongresy w różnych krajach; ostatni odbył się dn. 30 lipca 1934 r. w Hadze.

Tak przedstawia się obraz, bardzo zresztą niekompletny, tego zorganizowanego ruchu ograniczania urodzeń, który jako główny środek wskazuje sztuczne zapobieganie poczęciu. Określić choćby w przybliżeniu rozmiary tego ruchu jest trudno, gdyż nie lubi on światła dziennego i dlatego woli się ukrywać za parawanem innych instytucyj, leczniczych czy społecznych, opieki nad matką i dzieckiem, we wszelkiego rodzaju „poradniach" przedślubnych, małżeńskich, seksualnych. Prawie wszystkie poradnie, o ile nie są prowadzone przez katolików i podług programu katolickiego, są w tym ruchu zaangażowane.[1]) Na ogromną skalę, wszędzie ale zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Am. Pn., rozwija się ruch antykoncepcyjny także pod firmą eugeniki i w jej poradniach.

W jaki sposób uprawia się tę propagandę? — Najlepiej służą temu celowi różne poradnie i „kliniki" dla matek, w których udziela się teoretycznego i praktycznego pouczenia o zapobieganiu ciąży, dostarcza odpowiedniej literatury i potrzebnych środków. Poza tem popiera się i rozszerza tendencyjne broszury i czasopisma, rozdaje ulotki i ogłoszenia po ulicach i po różnych lokalach, oraz rozsyła je do domów. Udziela się pomocy prywatnym instytucjom, pracującym w tym samym duchu. Urządza się odczyty propagandowe, zwłaszcza po mniejszych miastach, wsiach i fabrykach. O ile ustawodawstwo danego kraju stoi na przeszkodzie tej akcji, rozwija się agitację w kierunku jego zmiany, by zdobyć swobodę pouczania o zapobieganiu i sprzedaży odnośnych środków.

Pieniądze niezbędne do tej roboty, dostarcza czynnik, dla którego wszystkie nakazy moralne są zerem, jeśli może

[1]) Jakie nadużycia się tu dzieją, świadczy podany przez dra Schreiber'a fakt, że, w r. 1925 w poradniach „przedślubnych" (!) w Hamburg'u i Linz'u „kandydaci do małżeństwa stanowili zaledwie 10% szukających porady, podczas gdy pozostałe 90% były to mężatki, które przyszły po radę, jak uniknąć ciąży lub pozbyć się niepożądanej" (cyt. Ed. Jordan: *Eugénisme et Morale*, Paris 1931, str. 17).

zarobić — przemysł i handel środkami antykoncepcyjnemi. Przemysł ten znajduje się, podług miarodajnych informacyj, w kwitnącym stanie i on to finansuje reklamę i literaturę zapobiegawczą. Same fabryki niemieckie wyrabiają podobno rocznie sto kilkadziesiąt miljonów kondomów. A jakie olbrzymie dochody przynosić musi wyrób pozostałych środków prewencyjnych, chemicznych i mechanicznych!

Szczegóły te wyjątkowo tylko wychodzą najaw. Propaganda neomaltuzjańska i regulacji urodzin odbywa się nadzwyczaj ostrożnie i to jej ułatwia powodzenie. Nie odsłania ona odrazu swego oblicza, lecz przybiera różne formy, zależnie od warunków miejsca i czasu. Okazuje więc duże umiarkowanie w krajach, w których tradycje moralne i religijne są głębsze; nie będzie tam szerzyła otwarcie wolnej miłości, ani zachęcała jawnie do czynów przez opinję potępianych. Przybierze wówczas kształty akcji społecznej i filantropji, głosić będzie troskę o matkę i dziecko, o los robotnika, o zdrowie i dobro ogółu; będzie się odwoływała do postępu wiedzy, do najnowszych odkryć biologji i medycyny. Takie stanowisko trafi oczywiście łatwiej nietylko do naiwnych, lecz i do tych wykształconych, których horyzont umysłowy nie umie objąć całokształtu zagadnień moralnych i społecznych. W ten sposób zdarzyć się może, że w obozie akcji na rzecz sztucznej regulacji urodzeń znajdą się także jednostki, będące w dobrej wierze, ale niedostatecznie uświadomione.

Nie wdawaliśmy się w bliższą krytykę przytaczanych poglądów, rzucanych haseł, stosowanych metod. Staraliśmy się możliwie ograniczyć do podania historji ruchu neomaltuzjańskiego i regulacji urodzeń. A jednak już takie ujęcie rzuciło wiele światła na wartość tych doktryn pod względem moralnym, społecznym, ludnościowym i państwowym. Głoszone zasady i programy, związek z wyzyskiem i reakcja społeczeństwa w krajach, w których ruch ów przybrał większe rozmiary, mają także swoją wymowę.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Prawa ekonomiczne a socjologiczne.

Ekonomika liberalna twierdzi, że gospodarstwem rządzą nieubłagane i wieczne prawa, wynikające z naturalnych i powszechnych popędów ludzkich, podobne do praw przyrodniczych. Pioruny, pożary, wylewy, śmierć, zapewne są niesprawiedliwe — a jednak są nieuniknione. Głód, bezdomność, brak mieszkań, perjodyczne przesilenia, prostytucja, wyzysk, są tak samo nieodłącznymi towarzyszami ludzkości. Zawsze tak było i być inaczej nie może. Nawet występki i wady ludzkie są źródłem wzbogacenia się jednostek i tem samem postępu powszechnej kultury. W tym sensie pisał Bernard Mandeville, zapomniany dziś prekursor ekonomicznego liberalizmu w głośnej bajce o pszczołach *(public vices, private benefits).* Mniej jaskrawo i ostrożniej wyrażał to Ricardo, pisząc: „Istnieją w społeczeństwie zjawiska smutne, na które nie ma rady w ustawodawstwie, dlatego jest pożyteczną znajomość granic jego wpływu, abyśmy dążąc do rzeczy nieosiągalnych, nie zaniedbali dobra, istotnie ziszczalnego". *(Principles of political economy,* wyd. London 1846, str. 58).

Ale owo twierdzenie, że nie ma rady na pewne „smutne zjawiska" nie przekonywa już dziś ludzi krytycznie myślących.

Przedewszystkiem bowiem postępy nauki doprowadziły dziś do tego, że nawet zjawiska przyrody stały się w mniejszym niż dotąd stopniu nieuchronnemi. Gromochrony zasłaniają nas przed burzami; budowle żelazo-betonowe zabezpieczone są przed pożarami; obwałowania rzek i tamy zasłaniają przed wylewami; racjonalne odżywianie i umiarkowanie

oraz zastąpienie organów chorych lub zużytych zdrowemi i młodemi, przedłużają życie samo; rośliny zmieniły kształt i barwę pod wpływem pracy ogrodnika; obłaskawia się dzikie zwierzęta, a wiele z nich uczyniono przyjaciółmi i nieodłącznymi towarzyszami człowieka. Maszyny i motory ujarzmiły morza; tunele pod kanałem La Manche i pod Gibraltarem niebawem połączą lądy; zamknięcie morza Śródziemnego doprowadzi do zdobycia na morzu nowych przestrzeni lądu na Adrjatyku oraz użyźni Saharę, umożliwiając jej zaludnienie. Aeroplany i wielkie statki lotnicze pokonały powietrze a łodzie podwodne i skafandry nurków przebijają głębiny morskie. Niebawem loty w stratosferę usuną niemal zupełnie odległość. Lot naokoło kuli ziemskiej, którego trwanie Juljusz Verne obliczał na 80 dni, trwałby dziś około dni ośmiu. Rozmowy na tysiące mil odległości są rzeczą którą posługuje się najprzeciętniejszy groszorób, nie rozumiejący najczęściej, na czem polega pokonanie przestrzeni i co ono właściwie oznacza. Udoskonalona telewizja przenosi już dziś tak samo obraz przedmiotu, jak telefon głos ludzki.

I niema końca tym zdobyczom ducha ludzkiego, tym zwycięstwom nad „nieuchronnemi" i „niezłomnemi" zjawiskami przyrody. Wolą i wiedzą ludzką pokonane, dały się nagiąć, by mu służyć; szaleją bez przeszkód tam tylko, gdzie zabrakło wiedzy i woli ich ujarzmienia.

Tak więc nawet w dziedzinie przyrody, niema zjawisk nieuchronnych i nieodmiennych. I tu istnieje ponad czasowemi zjawiskami niezbadana wola Stwórcy. Istnieje głęboka celowość zarówno w tem, co postanowił pierwotnie, jak i w tem, co w drodze ciągłej ewolucji i ciągłego postępu nauk, pozwolił nam dostosować do naszych potrzeb. Odgadywali te intencje Boże Buffon, Geoffroy St. Hilaire, Kepler, Newton i wielu późniejszych wielkich przyrodników.

Ale ludzkość, przyjmując ich konkretne pomysły, odrzuciła lub przemilczała ich filozoficzne idee przewodnie, jako niedogodne dla popularnego kierunku, negującego istnienie Bóstwa.

I w dziedzinie gospodarczej nie może być zjawisk niezmiennych. Ekonomika liberalna, sądząc mylnie, że tak jest, sformułowała na ich podstawie prawa, usiłując dowieść, że

one istniały i dawniej, przed nastaniem ery kapitalizmu, co w wielu wypadkach okazało się błędnem.

A pozatem nie sięgnęła poza rasę białą, a wśród niej poza Europę zachodnią i częściowo środkową oraz Amerykę przeważnie północną, ku narodom „spóźnionym" w cywilizacji kapitalistycznej a w szczególności ku narodom słowiańskim ani też ku narodom azjatyckim o starej i świetnej kulturze. Nie odpowiedziała na nasuwające się pytanie, z jakiego tytułu szczepy romańskie i germańskie mają narzucać całemu rodzajowi ludzkiemu to, co same, a właściwie i wśród nich tylko pewna grupa ludzi, koncentrujących swe zainteresowania wyłącznie na kupowaniu i sprzedawaniu dla zysku, uważają za treść i cel życia, godny ich inteligencji i kultury? Czy i czem owe narody są wyższe od współczesnych im narodów słowiańskich, mongolskich, arabskich, perskich czy hinduskich?

Wszak same uznają głębokość filozofji, bogactwo sztuki, dawność cywilizacji hinduskiej i chińskiej. Dobre mniemanie, jakie mają o sobie biali, a wśród nich szczególnie p e w n e narody, tudzież niezaprzeczony wspaniały rozwój techniki a częściowo i nauk przyrodniczych, właściwie jedyna — czasowa — wyższość rasy białej i Japonji nowoczesnej nad resztą Azji, nie wystarczają jeszcze dla przedmiotowego uzasadnienia przywilejów, dyktujących już nietylko własną wolę rządzenia, ale rzekomo objektywne, „nieubłagane" prawa ekonomiczne.

Prawa te bowiem, gdyby miały być prawdziwe, musiałyby mieć zastosowanie wśród w s z y s t k i c h narodów i we w s z y s t k i c h epokach, a więc także w epoce, gdy ziemia była dobrem wolnem, a następnie feudalizmu i istnienia cechów. Tak istotnie twierdzi Leroy Beaulieu. Pisze mianowicie w głośnym swym *Précis d'économie politique* 1887 — a zdanie to w 20 wydaniu z roku 1902 utrzymał profesor André Liesse bez zmiany: *Ce ne sont pas là des vérités accidentelles, transitoires, variables, suivant les pays ou les temps; ce sont des lois, qui chez toutes les nations, chez toutes les races, dans tous les siècles, se manifestent de la même manière.* A Wieser w dziele *Theorie der gesellschaftlichen Wirtschaft* (1914) twierdzi, że jego teorja użyteczności krańcowej ma

równe znaczenie dla gospodarstwa zamiennego, jak i dla socjalistycznego (str. 41).

Gdyby w odpowiedzi na wątpliwość w tym względzie zwolennicy „praw ekonomicznych" zgłosili to dalsze ograniczenie, że mają one zastosowanie tylko w obrębie i na czas trwania ustroju kapitalistycznego, jak to czyni np. John Stuart Mill, wynikałoby z tego, że w takim razie źródłem ich nie byłaby natura ludzka, lecz jedynie warunki zewnętrzne, wśród których żyje w społeczeństwie, a więc nie w stanie natury — i rozwija się pod wpływem sumy ograniczeń prawnych, człowiek współczesny.

Wniosek ten wskazywałby nieodparcie na czasowość i zmienność „praw", których analogja z prawami przyrody tak szumnie była reklamowana. Ale i wówczas pozostałoby bez odpowiedzi pytanie, dlaczego nawet w czasie trwania i w obrębie ustroju kapitalistycznego owe „prawa" wśród różnych narodów sprawdzają się w różnym stopniu a niekiedy wcale się nie sprawdzają.

Wszak niema tu żadnej analogji z prawami chemji, fizyki czy astronomji, sprawdzającemi się zawsze i w każdym wypadku. Gdy działaniu prawa grawitacji przeciwstawia się opór powietrza, to znaczenie i rolę tej przeszkody, możemy dokładnie zmierzyć i obliczyć. Ale czynnika interesu osobistego, zawiści, zemsty, miłości bliźniego, pobudek religijnych czy patrjotycznych, ustalić czy odważyć niepodobna.

Nauki przyrodnicze w zakresie już dostatecznie zbadanym przepowiadają przyszłość. Dzięki nim znamy drogę planet po elipsach naokoło słońca i czas, w którym droga ta zgodnie z odległością średnią od słońca w przyszłości odbywać się będzie. I znamy ją z taką dokładnością, że niezgodność drogi Uranusa z wynikami rachunku umożliwiła Leverrierowi obliczenie drogi nieznanego wówczas Neptuna i wskazanie miejsca, gdzie by go szukać należało.

Zupełnie inaczej ma się rzecz w ekonomice. Gdy przepowiednie ekonomistów, przygotowywane istotnie z wielkim wysiłkiem wiedzy i bystrości a wygłaszane z niemniejszą pewnością siebie, czasami się sprawdzają, ten szczęśliwy wypadek napawa dumą wróżbitów, którzy podobnie jak astro-

logowie średniowiecza mniej lub więcej z g a d u j ą, bo do ścisłego wnioskowania brak im i nauce dotychczasowej, znajomości szeregu przesłanek.

Częściej przepowiednie dalekie są od tego, co po nich następuje. I wówczas niefortunni prorocy tłumaczą ten rezultat właśnie poprzednim ogłoszeniem w druku swych kombinacyj na przyszłość. Skierowało ono rzekomo czynniki decydujące ku zmianie frontu.

Ale rzecz szczególna: owe „prawa" ekonomiczne nie sprawdzają się i wówczas, gdy konkretne przepowiednie nie miały miejsca, lub nie były ogłaszane, a jednak wedle nauki liberalizmu gospodarczego, skutek pewnych zjawisk gospodarczych, winien był być całkiem inny, aniżeli jest lub był nim w istocie.

Lecz i wówczas nie brak rzecznikom ekonomiki jako nauki ścisłej, wytłumaczenia. Powiadają, że co innego teorja, a co innego praktyka, powtóre zaś, że prawa owe działałyby niewątpliwie w idealnej atmosferze izolacji t. j. gdyby t y l k o o n e, nie paraliżowane przez inne zjawiska oddziaływały na losy gospodarstwa.

Co do pierwszego rozróżnienia, wskazać należy na tezę Kanta (*Vermischte Schriften* 1799, III) — że to co jest trafne w teorji, ujawnia się też w praktyce i naodwrót.

Co do drugiego argumentu to niewątpliwie tak jest: gdyby znane nam były prawa, rządzące życiem gospodarczem ludzkości, a wola ludzka została w jakiś cudowny sposób wyłączona, to każde zjawisko zosobna w razie nie skrzyżowania się z innemi, musiałoby mieć pewien zgóry przewidziany skutek. Ale te przesłanki w istocie nie istnieją a prawa owe nie są nam znane, izolacja zaś jest wprost niemożliwa do osiągnięcia. Wniosek jest więc zupełnie nierealny.

Głośny ekonomista amerykański Edwin Seligman w *Zasadach ekonomji społecznej (Grundsaetze der Sozialoekonomie* — Jena 1930, przekład z XII wydania angielskiego) wyraźnie stwierdza: „Przy badaniu faktów gospodarczych, nie należy przyjmować istnienia motywu egoistycznego w każdym wypadku w nieuszczuplonej aktywności. Ma się rzecz nietylko tak, że istnieją i siły przeciwdziałające, co ma miejsce i w fizyce, ale sam motyw może być odmienny. Nie możemy po-

woływać się na egoizm jako „prawo przyrody" w tym samym sensie, w którym mówimy o przyrodniczem prawie ciążenia. Pierwsze zależy od woli ludzkiej, drugie jest od niej niezależne. Niema w tem znaczeniu praw przyrodniczych w naukach społecznych. Częste powoływanie się na prawa przyrodzone społeczeństwa, jako na coś oddzielnego od człowieka, na co tenże nie ma wpływu, jest błędne. Niema tu praw tego rodzaju, iżby człowiek nie miał władzy zmiany warunków, stanowiących podstawę podobnego twierdzenia." A dalej: „Teorja to nic innego, jak zeznanie o koniecznych związkach między faktami. Jeśli coś jest prawdziwem w teorji, winno niem być i w praktyce... Prawdziwa teorja musi się dać zastosować do każdego faktu, w przeciwnym razie teorja ta nie odpowiada prawdzie... Nie może istnieć dysonans między prawdziwą teorją gospodarczą a prawdziwem życiem gospodarczem, tak samo jak nie może być dysonansu między teorją chemji a jej zjawiskami. Teorję bowiem należy oprzeć na faktach a nie należy nakręcać faktów, aby nadawały się do teorji."

Tak samo ujęcie matematyczne uogólnień ekonomiki społecznej nie jest możliwe. Słusznie bowiem stwierdził Diehl w dziele *Theoretische Nationaloekonomie*, (Jena 1922, I. 203), za Whewellem, że matematyka jest logiką ilości i stanie się pierwej czy później narzędziem tych wszystkich nauk, których przedmiotem jest ilość i posługujących się metodą deduktywną. Warunki te jednak nie ziszczają się w ekonomice.

Poza tem wszystkiem nie uwzględniono i drugiej sprawy a mianowicie, że człowiek przy badaniu spraw gospodarczych jest nietylko podmiotem, ale, jako część zbiorowości, i przedmiotem badania.

Jako podmiotowi przyznaje mu się wszelkie triumfy indywidualizmu: nieograniczoną swobodę, dowolny wybór dróg, najwyższe wzloty genjuszu. Jako przedmiot klasyfikuje się człowieka jako gatunek, reagujący rzekomo jednakowo na wpływy z zewnątrz, powodujący się rzekomo zawsze w tym samym stopniu i wyłącznie interesem gospodarczym własnym, upatrujący go rzekomo zawsze w gromadzeniu jaknajwiększej ilości dóbr materjalnych i odrzucający jako nie-

realne pobudki altruistyczne, a pomijający jako pobudki rzekomo słabsze, nienawiść, zemstę, ambicję w tych licznych wypadkach, w których popadają one w kolizję z własnym interesem gospodarczym.

To monstrualne ujęcie jest w każdym szczególe fałszywe. Nie można człowieka jako przedmiot badań w zapędzie upodobnienia ekonomiki do nauk ścisłych, opatrywać etykietą gatunkową, i tak samo jak o pierwiastku chemicznym, prądzie elektrycznym lub krążącej w przestworzu planecie twierdzić o nim, że stale tak a nie inaczej reagować będzie na pobudki zewnętrzne.

Prawdziwy człowiek w nieskończonej rozmaitości, działający o wiele częściej pod wpływem namiętności osobistej czy zbiorowej a niekiedy i z wyższych pobudek czysto altruistycznych na szkodę własnego interesu gospodarczego, dla ekonomiki liberalnej dotąd odkryty nie został. Wyznawca tej ekonomiki, nauki martwej, jak ją nazwał Otmar Spann, nie rozróżnia dotąd między głodnym a sytym, silnym a słabym, mięso- i roślinożernym, żyjącym w klimacie gorącym, umiarkowanym a zimnym, w sąsiedztwie gór, mórz i zwierząt dzikich etc. nie rozróżnia między członkami różnych warstw i narodów, zwolennikami różnych poglądów życiowych, ludźmi różnych temperamentów; uzdolnień czy stopnia wykształcenia. Pomija wpływ i granice dziedziczności, fakt krzyżowania i pomięszania ras, przeszłość oraz zadziwiające postępy kulturalne narodów Wschodu i murzynów, wskazujące na możność zmian u wszystkich narodów zamieszkujących ziemię. Nie zastanawia się nad wpływem zajęcia na charakter człowieka, jego upodobania i rozwój gospodarczy w dziedzinie rolnictwa, rzemiosł, górnictwa, wielkiego przemysłu i handlu.

Dla zwolenników haseł liberalizmu gospodarczego, wszyscy ludzie podpadają pod jeden strychulec, wszyscy jednakowo gonią za zyskiem materjalnym, co ma być naturalną i główną cechą człowieka.

Tymczasem tak wcale nie jest. Włościanin, przepłacający świadomie ziemię czyni tak ponieważ pragnie przedewszystkiem uzyskać warsztat pracy. Ziemianin polski z pod zaboru rosyjskiego przed wojną, który mimo najcięższych

warunków egzystencji, nie opuszczał z przyczyn narodowych placówki swej na kresach, aby nie wpadła w ręce wroga, konsument dający często pierwszeństwo producentowi rodakowi przed sprzedającym taniej ale obcym, wbrew własnemu interesowi — to tyleż dowodów, że człowiek nie jest bynajmniej zawsze — nawet w społeczeństwie europejskiem i współczesnem *an economical man* w życiu gospodarczem — i że przeciwnie powoduje się często pobudkami, zgoła z dążeniem do zysku sprzecznemi.

Adolf Wagner w znakomitem dziele *Grundlegung der politischen Oekonomie* III wyd., Leipzig 1892 str. 87) zestawia następujące motywy działania gospodarczego: A. Pobudki egoistyczne, 1) obawę własnego niedostatku, 2) obawę kary i nadzieję nagrody, 3) pobudki honoru, ambicję i obawę wstydu, 4) radość pracy i zadowolenie z jej rezultatów oraz obawę przed skutkami bezczynności. B. Pobudki nieegoistyczne: głos sumienia i poczucie obowiązku.

Nie ulega wątpliwości, że człowiek działa częściowo wbrew swemu interesowi gospodarczemu a jednak z pobudek niskich, ujemnych, emocjonalnych, jak nienawiść, zazdrość lub zemsta. Powtóre zaś jasnem jest, że czem innem są pobudki egoistyczne, a czem innem pobudki gospodarcze w szczególności, wreszcie zaś, że pobudki honoru i ambicji oraz radości pracy, aczkolwiek w gruncie rzeczy egoistyczne, mogą kierować człowiekiem w b r e w jego interesom gospodarczym.

Zwolennik liberalizmu gospodarczego, nie rozumie rewolucyjnego wpływu wychowania. Już kiełkujący kapitalizm za Ricarda, zalecał powierzenie produkcji danej gałęzi, tym, którzy najlepiej dotąd to zajęcie spełniali. Na dnie tego zalecenia mieściło się mylne założenie, że tak było zawsze i że pewne przymioty i wady ludzkie tkwią immanentnie i niezniszczalnie w danej jednostce. Nie potrzebujemy sięgać do odległej przeszłości, by dowieść rzeczy przeciwnej. Naród angielski był we wczesnym średniowieczu narodem wyłącznie rolniczym, a stał się narodem przemysłowym, żeglarskim i bankierskim. W drugiej połowie XIX wieku Niemcy i Stany Zjednoczone oraz Japonja, do tego czasu niemal wyłącznie rolnicze, stały się wielkiemi państwami przemysłowemi. Po-

tomkowie narodu nawskróś i od 2000 lat handlowego, Żydów, przekształcają się w naszych oczach powoli w rolników jako koloniści palestyńscy. Trzy zachodnie województwa polskie stworzyły własny stan średni, rodzimy przemysł i rzemiosło. Niewątpliwie więc, potrafią to i inne dzielnice polskie. Przekształcenie upodobań, zdolności, zapatrywań, dokonać więc można tak w jednostkach jak i w całych narodach, acz dopiero po wysiłku paru pokoleń. I oczywiście nie obejdzie się tu bez pewnej dozy przymusu, którego rola dlatego tylko bywa potępiana, ponieważ używa się go bądź do nieodpowiednich celów, bądź w przesadnych rozmiarach.

Pomysł *Hominis oeconomici* odbiega tedy od rzeczywistej rzeczywistości. Stąd budzi się wątpliwość, czy „prawa" na tej fikcji oparte, mogą odpowiadać prawdzie.

Dopiero, gdy wyniki badań etnologji, biologji i psychologji narodów znajdą pełne zastosowanie w ekonomice, jak już znalazły niektóre wyniki psychologji indywidualnej, może być mowa o postępie nauk ekonomicznych, którego dotąd mimo wymownych zapewnień liberalnych jej przedstawicieli, na większą skalę niema, a nawet dla braku uwzględnienia rezultatów innych nauk, być nie może.

Nie znaczy to, aby nie istniały prawa ekonomiczne, podobnie jak istnieją w świecie organicznym i nieorganicznym, obok pewnych zgodności, także liczne rozmaitości, prawami nie ujęte, i poczęści nam dotąd nieznane.

Znaczy tylko poprostu, że owych praw dotąd nie znamy. Poklask warstw, z interesem których podane nam do wierzenia przez liberalizm gospodarczy „prawa" są zgodne, przed trybunałem objektywnej prawdy naukowej nie stanowi tu oczywiście żadnego dowodu. Ekonomika społeczna jest niestety, jak mi się wydaje, dopiero u początku swego rozwoju.

Nie przyznają tego atoli jej liberalni adepci. Jeden z nielicznych chlubnych wyjątków, stanowił ś. p. Jan St. Lewiński, który pisze w *Zasadach ekonomji politycznej* (wyd. II, 1934, str. 16): „Podczas gdy w naukach przyrodniczych ten ścisły związek między teorją a rzeczywistością jest punktem wyjścia każdego badania, w ekonomice niestety sprawa inaczej się przedstawia. Można powiedzieć, że w chwili obec-

nej rozłam między teorją a rzeczywistością jest najbardziej charakterystyczną cechą tej nauki". Dodajmy dla ścisłości: jest cechą tylko ekonomiki liberalnej, poza którą istnieje nauka inna, gdzie teorja bardziej jest zbliżona do rzeczywistości. Większość natomiast zwolenników ekonomiki liberalnej, trwających uparcie przy jej „prawach" mimo wyraźnej ich sprzeczności z rzeczywistością, twierdzi dotąd, że innej ekonomiki, posiadającej cechy naukowości wogóle niema, a inne kierunki, które nazywa to uniwersalizmem, to nacjonalizmem, to wreszcie solidaryzmem, jako czyniące z ekonomiki, nauki rzekomo czysto kauzalnej, naukę teologiczną, niegodne są nazwy naukowości.

Podobną metodą dyskretował Marx poprzedników swoich w socjaliźmie, nazywając ich utopistami. „Naukowy" socjalizm zaczynał się rzekomo dopiero od niego.

Pewność siebie uczniów Ricarda nie była mniejszą. Ryszard Cobden (np. w *Speaches on questions of Public Policy* 2 t. London 1870, 2 wyd. 1880), John Ramsay, Mac Culloch, wydawca dzieł Smitha i Ricarda oraz autor *The principles of Political Economy* (7 wydań od 1825 do 1886). Henry Dunning Macleod w *The principles of Economical Philosophy* (2 t. 1872—1875) oraz w *On the modern science of Economics* (London 1887), John Elliot Cairnes w *The Character and Logical Method of Political Economy* (London 1857 nowe wydanie w 1888), Jean Baptiste Say w *Traité d'économie politique* (szereg wydań od 1803—1876) oraz w *Économie politique* wyd. przez Baudrillart'a w 1880. Fréderic Bastiat w *Les harmonies économiques* (tom I, 1850). Michel Chevalier w *Cours d' économie politique fait au Collège de France* (3 tomy 1842—1850) i ich epigonowie, jakkolwiek różnią się między sobą i od Ricarda w pewnych szczegółach, piszą o ekonomice liberalnej jako o nauce skończonej, która rozwiązała niemal wszystkie sporne zagadnienia, dla której właściwie niema już żadnych tajemnic. Należy tylko poznawać prawa ekonomiczne, im się poddawać i nie przeszkadzać ich działaniom.

Tak np. pisze Macleod: *The laws which govern the variable relations of economic quantities must be in strict harmony with the laws which govern the varying relations of the*

stars in their courses. Like astronomy, economics is a pure science of ratios.

Że poglądy te nie uległy zmianie wśród dzisiejszych zwolenników szkoły liberalnej, dowodzą zacytowane poprzednio przykładowe opinie Wiesera i Liesse'a.

Przypatrzmy się tedy owym ukutym przez nich prawom ekonomicznym i skontrolujmy, czy bodaj wśród rasy białej i w epoce dzisiejszej mają zastosowanie. Pamiętać przytem należy, że wedle Ricarda prawa jego to prawa rzeczywiste (*permanent state of thinks*), odmienny stan rzeczy to tylko zjawiska czasowe (*temporary effects*), nienaruszające zasady, lecz jedynie zakłócające postęp (*disturbing in its progress*). Jeśli więc Ricardo pomija świadomie okoliczności uboczne, to jednak wierzy, że to co mówi sprawdza się na dłuższą metę (*in the long run*). (Por. Diehl *Sozialwissenschafliche Erläuterungen zu David Ricardo's Grundgesetzen der Volkswirthschaft und Besteuerung*, Leipzig 1905 — oraz Briefs *Untersuchungen zur klassischen Nationaloekonomie* Jena. Fischer 1915). Podobnie twierdził Cobden, współtwórca ligi, znanej pod nazwą „Anti-Corn Law-League", broniąc praw ekonomicznych jako praw natury, ustanowionych przez Boską Opatrzność, wobec czego wysiłki „złych ludzi" (*wicked men*) w kierunku obalenia owych praw, skazane są na bezskuteczność.

Przedewszystkiem co to są „prawa"? Wedle określenia Montesquieu'go, są to konieczne zależności, wynikające z istoty pewnych zjawisk, czy rzeczy. Zależności muszą więc być k o n i e c z n e i muszą wynikać z i s t o t y rzeczy. Wedle Hume'a prawa są to klasyfikacje myślowe wedle podobieństw, którym przypisujemy, na podstawie asocjacji i zwyczaju, k o n i e c z n o ś ć.

Wedle Wundt'a (*Logik der Geisteswissenschaften*, III wydanie Stuttgart 1908) prawa istnieją wszędzie tam, gdzie ma miejsce stały związek logiczny samodzielnych zjawisk, wskazujący na stosunek przyczynowy albo logiczny między sobą. I to związek taki, któryby umożliwiał odpowiednie ustosunkowanie się do zjawisk w przyszłości (str. 128). Krytyka poznawcza żąda od praw ś c i s ł e j, k o n i e c z n e j i p o w s z e c h n e j mocy obowiązującej.

Najgłośniejszem jest prawo ludnościowe „odkryte" przez Tomasza Roberta Malthusa.[1]) Wedle niego przyrost ludności postępuje w proporcji geometrycznej, podczas gdy środki żywności wzrastają zaledwie w proporcji arytmetycznej. Należy więc zalecić zupełną wstrzemięźliwość płciową ludziom ubogim i nie posiadającym stałego zatrudnienia. W przedmowie do 1-go wydania jego książki pod tutułem „Próba prawa ludnościowego w stosunku do przyszłego ukształtowania społeczeństwa" (*An Essay of the Principle of Population as it affects the Future Improvement of Society,* 1798) znalazł się głośny zwrot: „Człowiek, który urodził się na świecie już zajętym, nie znajduje dla siebie nakrycia na wielkiej uczcie przyrody. Natura każe mu precz odejść i nie zwleka z wykonaniem tej groźby."

Z tezy Malthusa wynikała zupełna beznadziejność położenia ubogich i nieodzowność fatalistycznego poddania się przez nich losowi. To też Malthus żądał zniesienia opieki nad ubogimi, jako podniecającej do lekkomyślnych związków małżeńskich, a jednak dość niekonsekwentnie zalecał ubogim niepospolity wysiłek woli w kierunku tak zwanego *moral restraint.*

Dziś jeszcze liberalni wielbiciele i zwolennicy maltuzjanizmu, wysławiając spostrzegawczość Malthusa niemniej wymownie, aniżeli on to czynił pod adresem Ricarda, twierdzą nadal, że główną winę bezrobocia ponosi fakt, że ludzie rozmnażają się szybciej, aniżeli zużywane przez nich środki żywności.

Otóż, czy to „prawo Malthusa" jest zgodne z prawdą? Pomijam twierdzenie jego o proporcji geometrycznej i arytmetycznej. Cokolwiek sądziłoby się o powierzchowności tak pozornie ścisłego ujęcia na podstawie niedostatecznego materjału faktycznego, trzeba jednak podnieść, że dzisiejsi zwolennicy maltuzjanizmu nie przywiązują wagi do tego sformułowania i nie podtrzymują go.

Ale czy prawdą jest wogóle, że ludność wzrasta szybciej aniżeli środki jej utrzymania?

[1]) Powtarzam tu odnośnie do „prawa Malthusa" i „prawa wolnej konkurencji" uwagi ogłoszone w moim *Zmierzchu kapitalizmu* (Poznań 1934).

Współcześni geografowie wprost temu przeczą. Fawcett i Penck twierdzą, że na kuli ziemskiej pomieściłoby się i znalazłoby utrzymanie 9 miljardów ludzi, nie 2 miljardy, które faktycznie na niej żyją. Na kuli ziemskiej bowiem znajdują się ogromne obszary, nadające się do zamieszkania i uprawy roli a zupełnie dotąd niezamieszkałe. Te nawet przestrzenie, które są wzięte pod uprawę, w wielkiej części cechuje niewyzyskanie sił przyrody, tudzież niestosowanie ulepszeń technicznych i sztucznych nawozów. Gospodarka na olbrzymiej większości owych przestrzeni jest jeszcze bądź zupełnie prymitywna, bądź daleka od stanu, do jakiego doprowadziła nas nauka dzisiejsza. Pozatem notorycznem jest, że płodność zwierząt i roślin, służących jako pożywienie człowieka, jest o wiele większa, niż ludzka.

I tak podaje Juljusz Wolff w rozprawie *Nahrungsspielraum und Menschenzahl* (Stuttgart Enke 1917) następujące szczegóły: „Płodność nierogacizny jest dziesięciokrotnie większa niż człowieka, płodność królików pięćdziesięciokrotna, z tem, że zdolność dalszego rozmnażania się uzyskuje królik już podczas pierwszego roku swego życia; płodność drobiu wynosi 100 sztuk potomstwa rocznie. W ciągu 10 lat z jednej pary królików mogłoby ich być tyle, że pokryłyby całą kulę ziemską, licząc po 2 na stopę kwadratową, Śledź wydaje na świat rocznie 40.000 młodych śledzi. Królowa pszczół złożyć może rocznie przez 4 do 5 lat zrzędu po 50.000 do 60.000 jaj. Ostryga wydaje na świat miljon dwieście tysięcy potomków.

Między 1840 a 1888 ilość ziemi ornej wzrosła w Europie, Ameryce i w kolonjach o 120%, ludność tylko o 70%. Pozatem przyrost ludności wraz z postępem cywilizacji staje się u wielu narodów a w szczególności w warstwach zamożniejszych, powolniejszy niż dawniej. I tak ludność Włoch wynosiła w r. 20 przed Chrystusem 22 miljonów, w II wieku po Chr. 10 miljonów, w IV wieku po Chr. 5 miljonów (Naumann *Neudeutsche Wirtschaftspolitik).* Geograf lwowski, profesor Zierhoffer, podaje, że ludność kuli ziemskiej wzrosła w ostatnich 50 latach zaledwie o 43%, a natomiast produkcja pokarmów roślinnych o 70%, bawełny o 140%, rudy żelaznej o 330%, nafty o 400%.

Przeoczył ponadto Malthus, że każdy przybywający na świat człowiek, przyczyniać się może i w wielkiej mierze przyczynia się istotnie do powiększenia ilości środków żywności i produkcji innych przedmiotów, służących potrzebom ludzkim.

W poglądach Malthusa tyle tylko mieściło się prawdy, że w poszczególnych krajach powstawał i powstaje w razie nieurodzaju lub innych klęsk, brak ustosunkowania się między przyrostem ludności a środkami żywności. Skutkom tego rodzaju zapobiec jednak można bądź w drodze ułatwienia wymiany międzynarodowej, tudzież ułatwienia i obniżenia kosztów transportu, bądź też w drodze rozwoju rolnictwa i hodowli w każdem państwie zosobna. W ten sposób błędna teorja Malthusa otworzyła narodom oczy na nieodzowność autarkji gospodarczej w dziedzinie środków nieodzownych dla utrzymania życia, a w szczególności żywności, odzieży, budowy domów etc.

Drugie „prawo" to prawo wolnej konkurencji i wolnego handlu. Twierdzi ono, że ceny układają się same na pewnym poziomie najodpowiedniejszym, w stosunku popytu do podaży. Tak wytworzoną cenę określa się jako cenę naturalną. Taniość towaru sama przez się zwiększa wywóz. Najlepsze rozwiązanie daje rozwój konkurencji bez jakiegokolwiek wpływu ze strony władzy państwowej. Stąd wiara w tak zwany automatyzm.

Cła psują ten naturalny rezultat, dlatego idealnym stanem rzeczy jest ten, w którym wogóle ceł niema, a więc wolny handel między narodami. Zalecali go Anglicy wówczas, gdy byli bezkonkurencyjnie pierwszym narodem przemysłowym na świecie, a więc w pierwszej połowie XIX wieku, wszystkie zaś inne narody, prócz Francji, były jeszcze przeważnie rolnicze.

Na obłudę tych haseł otworzył oczy Amerykanom dopiero Hamilton, Niemcom Fryderyk List. Ale mimo to po dzień dzisiejszy entuzjaści wolnego handlu nie stracili tupetu. Jeszcze niedawno 170 bankierów europejskich podpisało w duchu wolno-handlowym wspólną odezwę.

Żąda się nietylko zniesienia wszelkiej ingerencji państwa wewnątrz kraju, ale także w stosunkach między pań-

stwami. Wówczas dopiero zwyciężą najlepsi gospodarze. Wszak w przyrodzie nie jest inaczej. I w gospodarstwie nie mogą istnieć w tym względzie żadne wyjątki.

Rozważmy te wszystkie argumenty. Na pierwszy rzut oka nasuwa się następująca wątpliwość:

Ceny tworzone przez wolną konkurencję mają być najlepsze, najodpowiedniejsze, „naturalne". Ale wszak poszczególni kupujący i sprzedający nie mają przecież całkowitego poglądu na całość rynku. Każdy z nich wie w najlepszym razie wszystko co zaszło przedtem a nie wie z natury rzeczy tego, co robią równocześnie inni konkurenci, to bowiem osłonięte jest tajemnicą interesu. Skutkiem tego każdy powiększa lub odnawia swoją produkcję a w następstwie musi powstać chaos i nadmiar.

Pozatem warunki wymiany międzynarodowej ulegają nieustannie zmianom. Każde nowe cło, nowy traktat handlowy, nowa taryfa frachtowa, tudzież gdyby nawet tego wszystkiego nie było, każdy nowy wynalazek, każde odkrycie nieznanego dotąd miejsca istnienia surowca lub otwarcie nowego terenu zbytu, wpływają na ustawiczną zmianę owych warunków. Słusznie stwierdził to prof. Andreae w dziele *Kapitalismus, Bolschewismus, Faschismus* (Jena, Fischer 1933 str. 30—31). Opinję, jakoby autonomja gospodarcza mogła wywołać wyrównanie między popytem a podażą, określa przeto słusznie Andreae jako bezmyślną utopję.

Z pozorną słusznością twierdzi ekonomika liberalna, że im większy jest popyt za jakimś towarem, tem wyższa będzie jego cena: im większa podaż, tem cena będzie niższa. I naodwrót: im wyższa jest cena tem popyt jest mniejszy a podaż większa. Im niższa cena tem popyt większy, a podaż mniejsza.

Ale Lewiński przytacza słusznie szczegółowe daty, stwierdzające, że mimo bardzo znacznego obniżenia cen zboża, roczne spożycie pszenicy w Anglji uległo jeno nieznacznym i niepozostającym w stosunku do cen owych, wahaniom. W latach 1890 i 1900, jak pisze, ilość spożytej pszenicy na głowę ludności była prawie identyczną (344 i 345 funtów) mimo tego, że ceny spadły z 35 sh. na 27 sh. To samo stwierdza, porównując konsumcję z r. 1891 i 1894, która się

nie zmieniła mimo spadku cen z 35 sh. na 21 sh. Stwierdza więc zgodnie z poglądami Gossena i twórców teorji użyteczności krańcowej, stanowiącej zresztą w istocie prawo nieekonomiczne a psychologiczno-biologiczne, że regulacja ceny przez popyt i podaż niema zastosowania we wszystkich wypadkach tudzież, że należy uzależnić jego urzeczywistnienie od istnienia i drugiego warunku: niezaspokojenia potrzeb.

Chwila ich zaspokojenia stanowi granicę, poza którą działanie popytu i podaży już nie sięga. Granica ta w różnych społeczeństwach, przy różnym klimacie, przy różnej ilości istnienia towarów zastępczych, przy zmieniających się poglądach na zdrowotność pewnych pokarmów, bywa rozmaita.

Widocznem więc jest, że prawo wolnej konkurencji nawet w społeczeństwie nierzeczywistem, w którem rządziłaby ona bez ograniczenia, bardzo niewiele nam mówi.

Cóż dopiero w społeczeństwie, w którem istniałyby taksy stałe na pewne towary i usługi, bodaj w pewnych okresach, np. ceny maksymalne podczas wojny.

Co do innych zaś towarów, istniały i istnieją dotąd zmowy sprzedających, a niekiedy kupujących, głównie zaś pierwszych, dziś skoncentrowanych w kartelach, syndykatach i trustach. Zarówno sztuczne obniżanie produkcji (*cutting*), jak i sztuczne obniżanie cen zagranicą a podwyższanie w kraju (*dumping*) usuwają zupełnie istnienie wolnej konkurencji.

Czy państwa zadłużone wywożą dlatego towary zagranicę, bo ich cena wewnątrz kraju spadła, jak by to wynikało z teorji o automatycznem regulowaniu cen dzięki wolnej konkurencji? Wcale nie. Wywóz następuje wprawdzie po cenach najniższych, nie pokrywających nawet własnych kosztów, ale możliwe jest to tylko pod warunkiem, że równocześnie wzrastają ceny wewnętrzne bardzo znacznie. Bez wysokiej ceny wewnętrznej, sztucznie wyśrubowanej, i możliwej tylko w razie zmowy wszystkich lub bodaj większości producentów w tym kierunku, zniżka ceny zagranicznej byłaby nie do pomyślenia.

Także i przypuszczenie, że ceny same dążą do równowagi, pozornie logiczne, nie znajduje uzasadnienia w rze-

czywistości. Płace robotników, posiadających w różnych przemysłach zgoła odmienne przygotowanie, nie mogą zdążać do wyrównania się, robotnik kwalifikowany bowiem, nie jest w stanie przerzucać się dowolnie z jednej gałęzi produkcji do drugiej. Tak samo procent pobierany przez instytucje finansowe wielkie, średnie i małe, oraz przez lichwiarzy prywatnych, bywa jaskrawo odmienny. Ceny towarów w wielkich magazynach a w sklepach na przedmieściu, w fabrykach a u detalistów, kolosalnie odbiegają od siebie. Człowiek, który nie może dać na dług zaciągnięty żadnej hipoteki, a przynajmniej pierwszej, nie otrzyma kredytu w pierwszorzędnym banku i tani kredyt jest dla niego wogóle zupełnie niedostępny. Lekkomyślny młodzieniec, który sfałszował podpis ojca na wekslu, lub potrzebujący większej sumy na zapłacenie karcianego długu, choćby miał zostać w przyszłości dziedzicem wielkiej fortuny, nie otrzyma od nikogo innego pożyczki jak tylko od lichwiarza i to na wysoki procent.

Stopa dyskontowa, płacona w tym samym banku nie wzrasta zależnie od tego, jaki zysk osiągnie przedsiębiorca przy pomocy pożyczonych pieniędzy. Ale jeśli zysk danego przedsiębiorcy będzie połączony z dużem ryzykiem, otrzymanie kredytu może nastąpić tylko w banku, każącym sobie płacić za ryzyko własne nieodłączne od ryzyka klienta, bądź osobną premję za owe ryzyko, bądź udziałem w zysku w drodze przydziału pewnej ilości akcyj.

Kto przez snobizm chce nosić krawatki, kalosze, ubranie, pochodzące z pewnej firmy, płaci za tę firmę żądaną przez sklep nadwyżkę, jakkolwiek mógłby otrzymać towary tego samego gatunku w innym, o wiele tańszym sklepie.

I jeszcze jedno. Cena najodpowiedniejsza, o jakiej marzy ekonomika liberalna, może być z natury rzeczy tylko jedna. A tymczasem ceny na dany towar w tym samym czasie w różnych miejscowościach bywają rozmaite, bo różne bywają w nich stosunki popytu do podaży. Nie wszystkie bowiem towary i nie wszyscy mający chęć kupna, jawią się równocześnie na targach. Jedni liczą na zniżkę, drudzy na zwyżkę cen w chwili późniejszej i dlatego jedni i drudzy czekają. Proporcja obecnych do nieobecnych w różnych miejscowościach bywa różną, stąd, jak również z innych

przyczyn powstaje drożyzna w jednych miastach, a taniość w drugich. Dlaczego więc cena, ustalana tylko wśród obecnych i aktywnych uczestników miejscowego targu i tylko od ich subjektywnej kalkulacji uzależniona, miałaby być i objektywnie najodpowiedniejszą?

Także i zyski nie mogą, choćby chciały, dążyć do równowagi. Jakkolwiek właściciel browaru może mieć mniejsze zyski, niż właściciel kopalni węgla, lub cementowni, nie może wycofać kapitału włożonego w browar, bo o produkcji cementu czy o warunkach wydobywania węgla, tudzież o stosunku na dotyczącym targu nie ma pojęcia. Trzeba wyjątkowej rzutkości umysłu, aby się tu przerzucić z jednego zawodu do drugiego. Gdyby zaś i w drugim zawodzie konjunktura po jakimś czasie zawiodła, przerzucenie się tego samego osobnika po raz trzeci np. w dziedzinę elektryczności czy włókiennictwa, należeć będzie chyba do największych rzadkości.

Prawdą jest tylko to, że kapitał przypływa z upodobaniem do przedsiębiorstw, dających większe zyski, ale tylko kapitał b i e r n y, w formie zakupna akcyj czy obligacyj. Atoli dopływ ten ściśle biorąc nie jest wynikiem większych zysków, osiąganych normalnie w danej gałęzi przdsiębiorstwa, bywa faktycznie jedynie następstwem większych dywidend, przez nie wypłacanych. A to nie jest to samo. Banki solidne, tudzież przedsiębiorstwa przemysłowe, nawet doskonale prosperujące, mogą bowiem rozdzielać mniejsze dywidendy, a nadwyżki zysków przekazywać do funduszu rezerwowego lub przeznaczać na nowe inwestycje. A natomiast oszukańcze przedsiębiorstwa, nie przynoszące w istocie dochodów, rozdzielać mogą zwłaszcza w pierwszych latach swego istnienia duże zyski, aby wydobyć w ten sposób od naiwnych jaknajwięcej wkładek czy udziałów. Pozatem niektóre przedsiębiorstwa, oparte na monopolicznem władaniu surowcami, przeznaczonemi do przeróbki, wogóle nie podlegają prawu konkurencji i mogą śrubować stopę zysków bardzo wysoko.

A co do automatyzmu; czy rolnik czeka może na automatyczne pokonanie chwastów przez pszenicę, czy też czynnem współdziałaniem — w danym wypadku bezwzględnem

tępieniem chwastów — „mięsza się" do produkcji? Analogja jest jasna. Państwo nie może przypatrywać się bezczynnie, gdy w zapasach gospodarczych zwyciężają nie najlepsi, ale najsprytniejsi.

Gospodarstwo bowiem nie może przeciwdziałać interesom narodu. A nie ulega wątpliwości, że dla społeczeństwa skupionego w naród, potrzeba w o wiele wyższym stopniu obywateli bezinteresownych, poświęcających się i pełnych entuzjazmu, aniżeli dobrych kupców. Słusznie powiedział Hitler: Naród żyje nie dla gospodarstwa, a gospodarstwo istnieje nie dla kapitału. Przeciwnie: Kapitał służyć winien gospodarstwu a gospodarstwo narodowi.

Poza konkurencją między jednostkami istnieje konkurencja i między narodami. Zwolennicy pierwszej nie mogą za złe brać ludziom, w których uczucie narodowości jest silne i żywe, że ci nie chcą utrwalenia chwilowej niższości gospodarczej własnego narodu wobec obcych, i że choćby drogą „sztuczną" dążą do wydostania się z tak upokarzającego stanu rzeczy.

Marzenia zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych, o panowaniu wolnej konkurencji na kuli ziemskiej urzeczywistnić się mogą w tym tylko wypadku, jeśli obok krajów przemysłowych istnieć będą — i to stale — inne, rolnicze, produkujące surowce i półfabrykaty a sprowadzające z zagranicy towary przemysłowe. Tak dzielił kulę ziemską Ricardo, tak dzielili ją jeszcze Delaisi i głośna odezwa bankierów europejskich. Tymczasem sytuacja zmieniła się do niepoznania. Nauki Lista i Hamiltona otworzyły oczy nietylko Niemcom i Stanom Zjednoczonym. Dziś Japonja, Rosja Sowiecka, nawet Indje Wschodnie zakładają własne fabryki i zmierzają do samowystarczalności, zrzucając jarzmo wielkiego przemysłu zachodnio-europejskiego i amerykańskiego. To samo uczynią niewątpliwie w ciągu XX wieku Chiny, Persja, Turcja, Południowa Ameryka, Egipt, Syjam, Jawa. Eksport na wielką skalę straci znaczenie, bo żadne państwo nie zechce być — zwłaszcza wobec stałego rozwarcia nożyc między cenami płodów rolniczych a przemysłowych — przedmiotem ustawicznego wyzysku a choćby tylko źródłem stałej nadwyżki zarobku na rzecz obcych. Gdy większość państw

się uprzemysłowi, wielki przemysł w rozmiarach przedwojennych musi zniknąć. W rezultacie punkt ciężkości przeniesie się na produkcję i konsumcję wewnętrzną.

A czy w obrębie poszczególnych państw istnieje dziś wogóle wolna konkurencja? Niema jej. Żadne obłudne protesty zwolenników liberalizmu ekonomicznego, potępiającego rzekomo narówni wszelkie zmowy, czy to przez pracodawców, czy przez robotników urządzane, nic tu nie pomogą.

Faktycznie kartele przedstawiają wobec dawniejszego chaosu produkcji ogromny postęp. Dzięki nim mamy lepszy pogląd na rynek a kontyngentowanie produkcji zabezpiecza go przed perjodyczną nadprodukcją i towarzyszącą jej katastrofą. Kartele są więc niewątpliwie wyższą formą produkcji przemysłowej niż produkcja indywidualna. Ale wraz z nastaniem karteli, które dziś ujęły rządy produkcji na całej kuli ziemskiej, skończyła się w istocie wolna konkurencja. Dziś przemysł nie da sobie odebrać kartelizacji i nie byłoby to nawet pożądanem. Jeśli więc Gustaw Cassel protestuje przeciwko związkom tak przemysłowców jak i robotników, to nie może tego czynić szczerze, wie bowiem dobrze, że protest pierwszy pozostanie bezskuteczny, a tylko drugi może liczyć na gorące poparcie wielkiego przemysłu.

Jeśli kartele naznaczają sobie jako cel osiągnięcie cen możliwie najwyższych, jakie uda się wycisnąć ze społeczeństwa i osiągają ten skutek bezwzględną solidarnością swych członków, karami na opornych, zastawami i wekslami kaucyjnemi, zabezpieczającemi owe kary oraz bezwzględnem niszczeniem *outsiderów,* to przeciwdziałać temu można i należy ścisłą i umiejętną kontrolą ze strony rządów. A w takim razie dodatnie strony karteli okażą się większemi od ujemnych.

Ceny stałe istnieją nietylko wówczas, gdy je dyktuje kartel, ale i w całym szeregu innych dziedzin, wyjętych milczącem porozumieniem społeczeństwa z pod działania wolnej konkurencji. Magistraty miejskie oznaczają ceny mięsa, chleba, nabiału, wody, gazu, elektryczności, należytość za kurs dorożki. Urzędy rozjemcze dyktują na pewien przeciąg czasu wysokość płacy robotniczej. Czynsze mieszkaniowe są dziś stałe, prócz mieszkań w nowych domach. Cena biletu kolejowego, koszta frachtu, wstępu do teatru, nie są zależne

od stosunku popytu do podaży. Istnieje stała taryfa aptekarska, adwokacka, notarjalna i lekarska. Ceny te są stałe w interesie konsumenta, w sprawie płacy robotniczej, w interesie producenta towarów, inaczej bowiem nie mogliby oni układać prawidłowego preliminarza budżetu.

Gdyby wolna konkurencja wytwarzała zawsze ceny najodpowiedniejsze, wyłom taki z ogólnej zasady byłby oczywiście niekonsekwencją. Widocznie więc ci, którzy jednym tchem głoszą cudowne skutki wolnej konkurencji i zgodę na taksy i taryfy stałe, nie bardzo wierzą w owo głoszone przez siebie *panaceum* i powodują się przedewszystkiem względem na dogodność własną jako korzystających z danych towarów czy usług.

Ale konsumentem w szerszem znaczeniu jest nietylko podróżujący koleją, jadący dorożką, nadający towar do odbiorcy lub zatrudniający robotników. Jest nim również kupujący cement czy papier, węgiel czy sukno, cukier lub płótno. Dlaczego tu decydować ma stosunek popytu do podaży a raczej dziś dyktat kartelu? Dlatego poprostu, że przemysłowcy są silniejsi gospodarczo od rolników, pracowników przemysłowych, czy robotników rolnych. Narzucają im więc swoją wolę. Teoretycznej przyczyny odmiennego traktowania tych klas społecznych niema. Jest tylko przyczyna praktyczna, upozorowana przytaczaniem naciągniętych argumentów liberalizmu.

Do tych naciągniętych argumentów należy powtarzany do znudzenia zarzut etatyzmu. Wedle zwolenników liberalizmu, nie jest etatyzmem oznaczanie płac w drodze arbitrażu, o ile naturalnie arbitraż ten faworyzuje przemysłowców. Ale byłoby nim oznaczanie stałych cen wyrobów przemysłowych, lub ujednostajnienie cen zboża w drodze interwencji rządowej. Przeciw kontroli cen, wykonywanej przez kartele w interesie przedsiębiorców, niema się nic do zarzucenia. Jeśli wykonuje ją państwo w interesie publicznym, to jest to gwałtem i nadużyciem, ba, początkiem bolszewizmu. Jak widzimy są tu dwie miary, któremi mierzy się zjawiska życia gospodarczego, a raczej jest ukryta potęga, która fałszuje te miary. To interes osobisty wielkorządców karteli i trustów, prawdziwych monarchów współczesnych.

Gdyby robotnicy jakiejś fabryki na wiadomość o wielkich zamówieniach terminowych otrzymanych przez nią, zażądali podwyżki pensji, a nie otrzymawszy jej ogłosili strejk, postąpiliby tylko zgodnie z zasadą wolnej konkurencji. Wzrósł popyt na pracę, a więc słusznem jest żądanie wzrostu płacy. A jednak przemysłowcy byliby oburzeni. A gdyby szło o towar potrzebny w szerszych kołach społeczeństwa, przyłączyłaby się do nich i opinja publiczna. Wskazywanoby zgodnie z prawdą na to, że to czego robotnicy dostarczają wzamian za płacę przedsiębiorcy, to jest ich praca, nie powiększyła się, wyższej zaś ceny domagać się można godziwie tylko wówczas, gdy wysiłek świadczenia, gdy dobroć wewnętrzna „towaru", w danym wypadku pracy — wzrosła. Skoro to nie miało miejsca, żądanie podwyżki jest niesłuszne.

Ale jak pogodzić to stanowisko wobec robotników ze zgoła odmiennem wobec konsumentów, wobec których przedsiębiorca powołuje się na wolną konkurencję?

Wedle liberalizmu jest to zupełnie naturalne, że cena towaru winna być tem większa, im więcej ludzi go poszukuje, im on więc jest pożyteczniejszy i bardziej pożądany, tudzież im mniej się go pojawia na targu.

Ale czy to jest zasługą sprzedającego, że towaru jest mało, lub że może on przynieść nabywcy wynikającą może z chwilowego upodobania szczególną korzyść? Z głęboką słusznością zwraca na to uwagę św. Tomasz z Akwinu. Jakiem prawem korzystać ma sprzedawca z okoliczności, nie tkwiącej w samym towarze, ale w wielkości jego zaofiarowania na targu?

Widzimy, że przywilej cen konjunkturalnych zastrzega wielki przemysł tylko dla siebie, potępiając równocześnie wszelkie żądania podwyżki płac z racji małego zaofiarowania rąk roboczych jako prosty wyzysk.

Tego samego zdania są oczywiście wielkie banki. I tu więc mamy do czynienia z dwiema miarami, co jest rezultem przewagi ekonomicznej jednych nad drugimi.

Z tych wszystkich wywodów wynika jasno, że i prawo wolnej konkurencji nie odpowiada rzeczywistości.

(Dokończenie nastąpi.)

Leopold Caro.

Katolicyzm a kultura.

Kiedy Bismark wypowiedział wojnę Kościołowi katolickiemu, zwolennicy jego polityki kościelnej ochrzcili tę wojnę mianem *Kulturkampfu.* Chcieli widocznie przez to powiedzieć, że państwo podejmuje tę walkę w imię kultury, — w ich przekonaniu — zagrożonej ze strony Kościoła katolickiego. Tem samem katolicyzm był prezentowany światu jako wróg kultury, jego działalność — co najmniej jako hamowanie postępu kulturalnego ludzkości, jeśli nie wprost jako siła niszcząca kulturę. Cele, jakie Kościół stawia przed ludzkością, otrzymały ze stanowiska kultury ocenę ujemną; kultura tem samem stawała się kryterjum wartościowania wszystkich przejawów i tendencyj życia ludzkiego, podnoszono ją do godności absolutu. Prekonizowano tym sposobem prawdziwą „religję kultury", jako przeciwstawienie do religji pielęgnowanej przez katolicyzm, religji uważanej za akulturalną, czy antykulturalną.

Dziwna rzecz, że nietylko wrogowie katolicyzmu nadają swojej walce przeciwko niemu piękne miano walki o kulturę, ale że ta nazwa wtargnęła nawet do słownika katolickiego. Iluż to katolików, kiedy gdzieś wybucha walka z Kościołem, wyraża się, że tam rozpoczyna się kulturkampf, nie opatrując nawet tego wyrazu w łapki cudzysłowu. Czy nie sugestjonują tym sposobem siebie i innych, że walkę podjęto ze strony przeciwników istotnie dla dobra kultury? Natężenie zaś „kulturkampfu" mierzy się zazwyczaj stopniem n i e k u l t u r a l n o ś c i środków, jakich się w nim przeciwko Kościołowi używa: im bardziej są one brutalne, a zatem mniej kulturalne, naprz. fizyczna przemoc, tem „walka kulturna" uwa-

żana jest za bardziej zdecydowaną. Tu także działa sugestja słowa: tak wzniosły bowiem cel, jak „kultura", musi uświęcać wszelkie środki, nawet gdy ich używają ludzie, którzy posługiwanie się taką zasadą zarzucają innym... Mamy tego świeży przykład. Drakońskie prześladowanie Kościoła w Meksyku, zmierzające do zupełnego jego zlikwidowania, nasza prasa socjalistyczna przedstawia przecież jako walkę o kulturę, oświatę i postęp przeciwko reakcji i ciemności.

„Kulturkampfy" przemocą prowadzone bywają zwykle poprzedzane i przygotowane przez „kulturkampfy" prasowe. Trzeba bowiem najpierw oswoić opinję publiczną z walką czynną przeciw Kościołowi, zanim się do niej przystąpi, trzeba spokojną katolicką masę tak usposobić, by kiedy wojna się rozpocznie, masa ta zachowała się biernie i obojętnie, jak wobec zjawiska, z którem oswoiła się już poniekąd jej wyobraźnia. Ludzie, przygotowujący przyszły „kulturkampf", rozpoczynają tedy od pisania naprzód jego apologji. Tą apologją podniecają samych siebie do przyszłych wystąpień, a innych usypiają. Powiedział ktoś o rewolucji francuskiej, że ją przygotowała książka. To samo można stwierdzić przy każdym „kulturkampfie": przygotowują go, wszędzie i zawsze, książka, gazeta, obrabiając umysły, zanim się uzbroi pięści.

W takiej fazie przygotowań do „kulturkampfu" — jeśli nie mylą nas wszystkie znaki — znajduje się obecnie Polska. Kiedy oficjalni kierownicy jej polityki raz po raz zapewniają o zgodzie z Kościołem, kiedy zaznaczają katolicki charakter narodu, podkreślają potrzebę religijnego wychowania, to jednocześnie idzie kampanja prasowa, domagająca się zerwania konkordatu, wyrzucenia religji ze szkoły, walki z klerem. Domagają się tego nietylko opozycyjni komuniści lub socjaliści, nie jakieś niedobitki starych (antyklerykałów), ale zorganizowane zespoły młodzieży, hodowane pod auspicjami tegoż rządu — jak one zapewniają — na kierowników w niedalekiej przyszłości nawy państwowej. Prawdziwy „kulturkampf" zapowiadają na dzień ujęcia losów państwa i narodu w swoje ręce. Oczywiście tę zapowiadaną walkę zgóry się rozgrzesza i usprawiedliwia względami „kulturalnej" natury, wmawiając w opinję, że chodzi o zwalczenie wroga rozwoju prawdziwej kultury ludzkiej.

Rzeczywistych „kulturkampfów" Kościół nigdzie i nigdy nie zwycięża siłą fizyczną, bo jej nie posiada. Jeśli wychodzi z walki zwycięsko, to tylko przez przetrwanie jej, a często przez męczeństwo. W tem stadjum walki zwykle nawet usta ma zakneblowane, by nawet skarżyć się nie mógł. Natomiast w walce przygotowawczej, w stadjum „kulturkampfu" słowa, może jeszcze bronić się orężem, jakim nacierają nań jego przeciwnicy — orężem także słowa. Zatem bronić się powinien. Trzeba nawet zgodzić się z przeciwnikiem na wybór placu. Jeżeli zatem chodzi o kulturę, katolicy o tyle skutecznie będą mogli dotrzymywać placu przeciwnikowi, o ile będą umieli dowieść, że katolicyzm jest zasadniczo kulturalny, owszem wykazać faktyczne zasługi jego dla kultury. Apologja z natury swej jest „słowem", ale słowo to jest wtedy skuteczne, gdy je poprzedziły czyny. I jeśli w jakimś kraju, na jakimś odcinku życia, będzie tych czynów za mało, to pierwsze, co narzuca się tam katolikom, jest to, by uświadomili sobie samym własne zaniedbania, a postawiwszy sobie przed oczy własne zasady, wydobyli z głębi ducha siły do nadrobienia dopuszczonych zaniedbań. W miarę, jak będzie się odbywało odrabianie zaniedbań i braków, będzie rosła też skuteczność słownej apologji katolicyzmu.

Podnosząc temat stosunku katolicyzmu do kultury, nie zamierzam wyliczać zasług, jakie dla niej położył w ciągu swej historji Kościół katolicki. Wdzięczne to zadanie pozostawiam innym. Cel tego artykułu jest inny. Niedawno temu w tygodniku *Pion* stosunek katolicyzmu do kultury został przez J. E. Skiwskiego określony jako „zasadniczo negatywny", pomimo „faktycznych zasług cywilizacyjnych", które, zdaniem tego autora, Kościół jako instytucja doczesna położył w ciągu swych dziejów.[1]) Faktycznych tedy zasług p. Skiwski Kościołowi nie odmawia, mniema jednak, że te zasługi położył Kościół niejako wbrew własnej doktrynie, która z istoty swej jest antykulturalną. Na ten raz autor zmodyfikował wcześniejsze swe zdanie,[2]) w którem doktrynie katolickiej (i polityce kościelnej) przypisywał zasługę łagodzenia „tragicznej antynomji" między duchem chrześci-

[1]) Art. „O ducha Wschodu", *Pion* 15 IX 1934 r.

[2]) Art. „Religja kultury", *Pion* 30 VI 1934 r.

jaństwa a kulturalnemi dążnościami ludzkości. Właśnie wobec tych zdań krytyka i publicysty z *Pionu* warto wykazać, że jeśli katolicyzm posiada jakieś zasługi dla kultury, to położył je nie przypadkiem, nie wbrew swej własnej istocie, ale że wypłynęły one z głębi jego ducha, i że ten duch nie jest odstępstwem historycznego katolicyzmu od ducha „chrześcijaństwa", jak się p. Skiwskiemu zdawało, ale coraz głębszem przenikaniem do świadomości katolików istoty chrześcijańskiego objawienia. Może się okaże także, że jeśli na historycznym katolicyźmie obok zasług ciążą jakieś grzechy czy zaniedbania przeciwko kulturze, to dopuścili się ich katolicy nie przez zbytek przejęcia się ideałami chrześcijaństwa, ale wskutek tego, iż niedość uświadomili sobie jakieś strony wyznawanej przez siebie nauki i jej konsekwencje w dziedzinie budownictwa kultury. Jak czytelnik widzi, chcemy byka, puszczonego na katolicyzm przez p. Skiwskiego, chwycić za rogi i zwrócić go w stronę, z której został puszczony. Zresztą chodzi nam nietyle o polemikę z pisarzem z *Pionu,* lecz raczej o pogłębienie zrozumienia kulturalnych walorów katolicyzmu w umysłach samych nas, katolików, i o wezwanie samych siebie do tem wydatniejszej kulturalnej pracy. Chodzi o zachęcenie katolików do apologji czynu.

Porozumiejmy się najpierw co do pojęcia kultury.

Dla myśliciela, stojącego na gruncie teistycznego światopoglądu, jest jasnem, że wszystko, cokolwiek wartościowego istnieje czy dokonywa się w bycie stworzonym, wypływa w jakiś sposób z doskonałości Bytu niestworzonego, z Boga. Nie pochodząc z Bożej substancji, wszelki byt stworzony jest jednak odblaskiem mniej lub więcej doskonałym istoty Bożej i istnieje, rozwija się, bogaci się mocą twórczej Bożej woli. Do całego stworzenia można odnieść słowa św. Jakóba apostoła: *Wszelki datek dobry i wszelki dar doskonały z wysoka jest, zstępujący od Ojca światłości* (Jak. 2, 17). Ta zasadnicza prawda światopoglądu teistycznego jest również prawdą katolicką. Jest to prawda o „pierwszej przyczynie" wszelkiego bytu i dobra. Cały ten jednak rozwój stworzonego kosmosu dokonywa się dzięki działaniu także samychże rzeczy stworzonych, które są jego „przyczynami drugiemi", całą dzielność otrzymującemi od „Przyczyny

pierwszej". W tem znaczeniu wszystkie zmiany i cała ewolucja, jaka się odbywa w kosmosie, dokonywują się mocą właściwych mu praw wewnętrznych. Nie wchodzimy tu w kwestję, czy nie musi się uznać szczególnej ingerencji Przyczyny pierwszej, kiedy chodzi o podniesienie stworzonego bytu z jednego szczebla doskonałości na inny, wydający się zasadniczo wyższym, naprz. wyprowadzenie życia z materji martwej. Stwierdzamy tutaj ogólne prawo kosmiczne, że dzieło wszelkiego rozwoju to wspólne dzieło Boga i stworzenia.

Ograniczmy nasze rozważania do kuli ziemskiej. Otóż cały jej rozwój dokonał się i dokonywuje także mocą tych dwóch przyczynowości — Przyczyny pierwszej i przyczyn stworzonych. Chcąc schematycznie ująć ten rozwój w najogólniejsze kategorje, możemy rozróżnić w nim trzy sfery, wznoszące się jedna ponad drugą. Najniższą z nich nazwiemy przyrodą, naturą, następną — kulturą, trzecią — sferą nadprzyrodzoności. Różnice między temi sferami objawiają się w różnem działaniu przyczyn drugich, stworzonych. Wyjaśnijmy to pokrótce.

Sfera przyrody jest to sfera działania praw koniecznych, sfera determinizmu, zatem jednostajności, dającej się zgóry przewidzieć i obliczyć; rozciągamy ją na całą przyrodę niższą od człowieka, owszem wciągamy do niej nawet człowieka, o ile poddany jest narówni z przyrodą niższą działaniu praw od woli Jego niezależnych, praw fizycznych, chemicznych, biologicznych.[1]) Ta sfera dokonywujących się w świecie przemian nie wchodzi w zakres niniejszych rozważań.

Sferą drugą — kulturą — nazywamy wszystko, co tworzy na świecie człowiek, posługując się właściwą sobie inteligencją i wolną wolą. Cechą tej drugiej sfery dokonywujących się przemian jest inwencja i swoboda, i nieogra-

[1]) Wiadomo nam o nowych zapatrywaniach w nauce, że nawet w fizyce jest pewien indeterminizm, naprz. w rozpadaniu się atomów w ciałach promieniotwórczych, co dowodzi jakiejś wolności, jeśli nie immanentnej, to wolności czynnika, działającego przez naturę. Dla naszego tematu kwestja ta jest uboczną i możemy praktycznie traktować przyrodę, jako królestwo, w którem panuje konieczność.

niczona rozmaitość form. Pojęcie kultury bierzemy zatem bardzo szeroko. Co w szczególności odnieść do tak pojętej kultury łatwo zrozumiemy wystawiając sobie, jakby wyglądała powierzchnia kuli ziemskiej, gdyby na niej *homo sapiens* nigdy nie istniał, a najdoskonalszym tworem żywym była dajmy na to mrówka, czy małpa. Nie byłoby wtedy uprawy roli, nie byłoby ognia, nie byłoby mieszkań innych jak pieczary i gałęzie drzew, nie byłoby ubrań, nie byłoby środków komunikacji innych jak nogi, nie byłoby nietylko fabryk i machin, ale nawet najprymitywniejszych narzędzi, nie byłoby środków porozumienia się innych jak nieartykułowane dźwięki, wywołane radością lub bólem, nie byłoby żadnej nauki i żadnego postępu, nie byłoby żadnej sztuki, ani umilania i uwzniośląnia życia, jakie sztuka daje. Życie gromadne byłoby, jak u pszczół czy mrówek, rządzone instynktem koniecznym, niezdolne do wytwarzania żadnych dowolnych form. Ten smutny i ubogi obraz zestawmy z tem, co na powierzchni ziemi widzimy dzisiaj, a zrozumiemy co to jest kultura. Stanowi ją cała różnica zachodząca między tem, co na ziemi byłoby bez inteligencji ludzkiej, a tem, co jest na niej obecnie przy istnieniu na niej człowieka.

Już przy negatywnem wyliczaniu zdobyczy kultury można było zauważyć, że ona nie powstaje ponad przyrodą, jakby odgrodzona od niej jakąś płytą izolacyjną. Ona w przyrodę ustawicznie wkracza; nie mogąc zmienić jej koniecznych praw, ona jednak te prawa do swoich celów wyzyskuje i nagina, bo ona siły żywiołowe ujmuje w koryta i zwraca je na młyny swoich zamierzeń. Tak się rzecz ma z przetwarzaniem surowizn na wymyślne potrawy, tak z kulturą rolną, z urządzeniem parków dla przyjemności, tak z wyzyskiem siły wód ulegających prawu ciążenia, tak z eksploatacją siły elektrycznej, magnetycznej i t. d. Być może, że wkraczając w przyrodę, kultura pozbawia ją tu i ówdzie jej pierwotnego wdzięku, ale naogół ona ją podnosi, uszlachetnia, przepaja nieznanym jej przedtem pierwiastkiem ludzkiej inteligencji, przez którą działa dalej na przyrodę potęga Przyczyny Pierwszej.

Powiedzieliśmy, że kultura jest to wszystko, co człowiek swą inteligencją i wolnością wzniósł na podłożu przy-

rody, rządzonej żelaznemi prawami konieczności. Musimy tu jednak wprowadzić ważną poprawkę, wyodrębniając ze sfery kultury pewne jej osiągnięcia, które tworzą właściwie już trzecią z wymienionych przez nas sfer, sferę życia nadprzyrodzonego. Badacz nie znający światła, jakie płynie z Objawienia Bożego, pomiesza niechybnie te dwie sfery i obejmie je jedną nazwą kultury, przypisując stworzenie całości człowiekowi — *homo sapiens* — jako takiemu, jego zdolnościom naturalnym. Chrześcijanin atoli posiada jakby szczególne optyczne narzędzie, pozwalające mu dostrzec granicę między tem, co człowiek zdobył dzięki samej danej mu przez Stwórcę inteligencji i wolnej woli, a tem, co osiągnął dzięki temu, że go Bóg podniósł ponad jego własną naturę, czyniąc go dzieckiem Bożem, spokrewniając się z nim przez Wcielenie, objawiając mu tajemnice miłości swojej i wzywając do nowego życia godnego tak wielkiego wyniesienia.

Jeżeli, chcąc dać pojęcie czem jest kultura, wyobrażaliśmy sobie, jak wyglądałby glob ziemi bez inteligencji człowieka, to dla zrozumienia, co przyniosło światu działanie i życie łaski, trzebaby odtworzyć w wyobraźni, czem byłaby ludzkość bez nadprzyrodzonej religji, bez chrześcijaństwa. Czy byłaby stworzyła i posiadała kulturę identyczną z tą, jaką obecnie posiada? Zdaje się, nikt nie odważy się twierdzić, że chrześcijaństwo, jako nowy ruch religijny, jako organizacja kultu i siła społeczna, wcale nie wpłynęło na rozwój kulturalny ludów, które je przyjęły. Nie wszyscy tylko widzą jak daleko wsiąkły te wpływy w głąb kulturalnej pracy i poszły wszerz, działając pośrednio nawet na te ludy, które nie przyjęły chrześcijaństwa, ale od świata chrześcijańskiego wzięły dużo pierwiastków o wielkiej kulturalnej wartości. Czy chrześcijaństwo nie przyczyniło się do rozwoju nawet kultury, zwanej materjalną, do rozwoju techniki, industrjalizmu przez swoją naukę o równości ludzi wobec Boga i przez religijne uświęcenie fizycznej pracy?[1]). Jakże często ludzie zjadają owoce, lekceważąc drzewo, z którego one spadły!

---

[1]) Por. nasze artykuły: „Pracy dostojność i organizacja" (*Przegl. Powsz.* luty 1924) i „Technika a modlitwa" (tamże marzec 1933).

Bardziej widoczne są zasługi chrześcijaństwa w zakresie kultury duchowej i moralnej, nietylko z powodu czynnego udziału wierzących chrześcijan w jej tworzeniu, ale jeszcze więcej dzięki tym dzielnościom, jakie chrześcijaństwo zaszczepiło w umysłach i woli ludzkiej, tym orjentacjom, jakie im nadało. Już dawno zwracano uwagę na to [1]) jak wychowywanie przez chrześcijaństwo umysłów w wierze w jednego nadświatowego Boga stworzyło atmosferę intelektualną, sprzyjającą przyjęciu jedności praw fizycznych, rządzących całym kosmosem. Kepplerzy czy Newtonowie czy łatwo zrodziliby się na gruncie politeistycznej umysłowości? A co powiedzieć o wpływie na obyczaje ludzkie chrześcijańskiej nauki o braterstwie wszechludzkiem i prawa miłości bliźniego? Ile one stworzyły instytucyj humanitarnych, nieznanych humanizmowi pogańskiemu, jak wciąż jeszcze rozsadzają one przeróżne ekskluzywizmy ludzkie i rozsuwają ciasne granice!

Ale powstrzymujemy się od mnożenia przykładów, które *a posteriori* dowodzą już faktycznych zasług chrześcijaństwa dla kultury, wierni postawionemu na wstępie zastrzeżeniu, że to pozostawiamy innym. Tutaj w najogólniejszych tylko rysach musieliśmy dotknąć tych zasług, by umotywować nasze rozróżnienie między dziedziną kultury czysto ludzkiej, przyrodzonej, a tą nadbudową zaiste wspaniałą, jaką na niej wzniosło chrześcijaństwo, realizując jakby trzecią — obok sfery przyrody i sfery kultury naturalnej — sferę nadprzyrodzonej łaski, jako urzeczywistnienie najwznioślejszych myśli Bożych i ujawnienie najdoskonalszych działań Pierwszej Przyczyny w świecie stworzeń rozumnych.

Jak między sferą przyrody a sferą kultury, tak i między kulturą naturalną, a kulturą urzeczywistnianą przy pomocy łaski nadprzyrodzonej niema żadnych tafli izolacyjnych. Działanie łaski, niesionej w świat ludzki przez chrześcijaństwo, nie tylko tworzy takie wartości kulturalne, na jakie nie byłoby stać ludzkość pozostawioną samym naturalnym siłom, ale ono — działanie łaski — wsiąka niejako w samąż naturalną sferę kultury, orjentując inteligencje ku

[2]) Naprz. E. Narille: *O fizyce nowożytnej.*

wznioślejszym celom i uszlachetniając wolę pobudkami wyższemi nawet w ich czysto doczesnych kulturalnych zamierzeniach i wysiłkach. Owszem, nadprzyrodzoność wsiąka głębiej, uświęca bowiem nawet procesy życia wegetatywnego w człowieku,[1]) sięga nawet do martwej przyrody, którą wciąga także do służby Bożej, a w sakramentach czyni narzędziem działania Boga na dusze ludzkie.

A teraz czas przystąpić do głównego naszego zadania. Mamy wskazać na te wartości, jakie spoczywają w skarbnicy nauki chrześcijańskiej. Trzeba te prawdy wydobyć na światło dzienne i okazać jak one nietylko nie tamują kulturalnej pracy w ludzkości, ale jak jej się wprost domagają, jak ją usprawiedliwiają i uświęcają.

Zacznijmy od usunięcia pewnego nieporozumienia. Czy od Kościoła można żądać, żeby on, jako organizacja religijna, zajmował się *ex professo* tworzeniem kultury, czy to materjalnej czy duchowej nawet, ale czysto ludzkiej, a jeśli tego nie spełniał czy wolno mu czynić z tego zarzut, lub wnioskować o jego wrogiem stanowisku względem kulturalnej pracy ludzkości? Na dnie wielu zarzutów przeciwko Kościołowi kryją się właśnie tego rodzaju pretensje i wnioski. Tymczasem niema nic bardziej nieuzasadnionego, jak one. Chrześcijaństwo przyniosło światu dobrą nowinę o możliwości wyższego życia religijnego przez pogłębienie stosunku dusz do Boga, stawia też wymagania doskonalszej moralności, głębszej i powszechnej miłości. Kościół został ustanowiony przez Chrystusa nie w innym celu, tylko by tę nowinę głosił, by dalej wskazywał drogi moralnej doskonałości i życie religijne i moralne w duszach rozwijał i krzewił. To jest jego właściwem posłannictwem. Zarzut sprzeniewierzenia się własnemu celowi możnaby stawiać Kościołowi tylko w tym razie, gdyby on zaniedbał nauczać ludzi o Bogu wspólnym ich Ojcu, o obowiązkach miłowania wszystkich, gdyby zaprzestał używać środków, jakie mu Chrystus zostawił do uświęcania ludzi. Natomiast nie do niego należy myślenie o doskonaleniu techniki, o rozwijaniu przemysłu, podnoszeniu rolnictwa, budowaniu dróg i t. d. Jeśli insty-

[1]) *Czy tedy jecie czy pijecie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie.* 1 Kor. 10, 31.

tucje kościelne, jak np. pewne zakony katolickie, przysłużyły się niemało i pod tym względem, to rzeczywiście stało się to jakby na marginesie właściwych zadań Kościoła, siłą pewnych historycznych konieczności, naprz. w braku innych pionierów takiej kultury, lub poprostu był to środek i pomoc w osiągnięciu właściwych celów Kościoła. Zakonnicy trzebili dzikie puszcze, uczyli barbarzyńców racjonalnego gospodarowania, tworzyli (w Paragwaju!) całe gospodarcze kolektywy. Czynili to pobocznie, wypełniając przytem inne właściwe swoje posłannictwo głoszenia Chrystusa i jego świętego prawa. To samo można powiedzieć i o kulturze duchowej, ale czysto ludzkiej. Kościół nie jest postawiony w świecie nato, by rozwijał nauki przyrodnicze, by dokonywał wynalazków, Kościół nie jest szkołą literatury ani historji, nie jest wreszcie *atelier* sztuki. On jest szkołą miłości Boga i bliźniego, jego sztuka — to sztuka prowadzenia dusz do Boga. Ale i w owej dziedzinie ludzkiej kultury duchowej Kościół przez swoich urzędowych przedstawicieli, kler, zakony, brał na siebie, niejako ubocznie i zastępczo, realizowanie wielu zadań, kiedy nie zjawiły się jeszcze czynniki świeckie, któreby mogły urzeczywistniać te kulturalne zadania. A nie gdzieindziej, tylko pod opieką Kościoła, wychowywały się i dojrzewały te właśnie siły, które miały przejąć od niego na swoje barki dzieło dalszego prowadzenia kulturalnej pracy. Nie pretensje więc należy zgłaszać do Kościoła, że może za mało dla kultury ludzkiej uczynił, kiedy ją długo prawie niepodzielnie sam prowadził, ale wdzięczność żywić za to wszystko, co pozytywnie dla niej zrobił.

Słusznie można powiedzieć, że niejedną zasługę dla kultury czysto ludzkiej Kościół położył niejako przypadkowo, ubocznie, w tem znaczeniu, że nie to było jego pierwszem i istotnem zadaniem. Ale nie wolno stąd posuwać się do wniosku, że Kościół wtedy postępował w b r e w swoim zasadom i sprzeniewierzał się duchowi chrześcijaństwa. Widocznie w nauce Chrystusowej nie znajdywał przeszkód do podejmowania się pobocznych dla siebie funkcyj. A jeśli tak, to chyba w tejże nauce niema żadnych takich zasad, któreby musiały paraliżować działalność kulturalną katolików

świeckich, chcących jednocześnie pozostawać dobrymi synami Kościoła.

Wskazuje się jednak na przykłady Kopernika, Galileusza, mające dowodzić czego innego. Co do Kopernika osobiście, nie odczuł on w swoich genjalnych intuicjach żadnego skrępowania ze strony Kościoła, którego był jednocześnie ministrem. Nieufność zawisła dopiero na czas pewien nad jego teorją astronomiczną i zwolennikami tej teorji, do których właśnie zaliczał się Galileusz. W istocie okazano w tej sprawie zbyt wiele konserwatyzmu, który nas samych dzisiaj żenuje. Ale też był to jedyny wypadek nieudanej ingerencji magistratur kościelnych (nie najwyższej jednak nauczycielskiej instancji!) w dziedzinie nauk ścisłych. Na złagodzenie zarzutu przypomnieć trzeba, że system kopernikański nie operował dowodami, któreby przekonywały do widoczności; wszak i dzisiaj trafiają się ludzie, którzy system ten kwestjonują, nie powodując się w tem wcale żadnemi skrupułami religijnemi, jakiemi powodowali się sędziowie Galileusza i konsultorzy Indeksu. Poza tym kazusem z systemem heljocentrycznym, Kościół nie krępował żadnego ścisłego badacza w poszukiwaniach naukowych, jeśli zaś cenzurował te lub inne teorje, to nie za ich naukowe zdobycze, ale za wnioski, wykraczające poza swe naukowe przesłanki, a godzące w podstawy religji Objawionej lub naturalnej, których obronę Kościół uważa za swoje posłannictwo. Jeden błąd na tyle wieków kontaktu Kościoła z nauką — to chyba nie wielka racja, by przedstawiać Kościół jako stały hamulec nauki. Przestrzeganie zaś przed dowolnemi, a niekiedy wprost awanturniczemi hipotezami pseudo-naukowemi, a jednocześnie wrogiemi religji nie jest hamowaniem badań naukowych, lecz przyjacielską usługą ze strony religji, za którą nauka trzeźwa i sumienna może być tylko wdzięczną Kościołowi.[1])

Może jakieś powody do narzekań na konserwatyzm Kościoła mogliby przytoczyć badacze historji, zwłaszcza w zakresie nauk biblijnych i religjoznawczych. W istocie, stojąc na straży wiary w boskie pochodzenie chrześcijaństwa,

[1]) Por. J. Donata: *Wolność nauki*, tłum. polskie. Wydawn. Ks. Jezuitów, Kraków 1930, zwłaszcza cz. II, rozdz. 4.

Kościół katolicki powściąga od czasu do czasu ryzykowne hipotezy, zmuszając zaś badaczy katolickich do wielkiej ostrożności w ich stawianiu może czasem opóźnić zdobycie jakiejś historycznej prawdy; powolniejsze tempo tych badań przynajmniej zapobiega zaśmiecaniu odnośnej dziedziny badań efemerycznemi hipotezami i prawda integralna powolniej ale tem pewniej odsłania swoje oblicze.

Podobnież można uchylić zarzut zbytniego konserwatyzmu katolickiego w ewolucji pojęć moralnych, instytucyj społecznych i t. d. Tak, katolicyzm jest konserwatywny, ale jego konserwatyzm nietylko nie potępia postępu, dokonywującego się w pojęciach i urządzeniach życiowych, lecz owszem idea rozwoju jest jednem z praw zasadniczych w tych rzeczach. Nie jest to bynajmniej paradoks. Idea postępu należy do istoty chrześcijaństwa. Jezus Chrystus królestwo Boże przyrównał do ziarna gorczycznego, które jest jednem z najmniejszych nasion, a ma rozróść się w krzew drzewu podobny. Według św. Pawła wzrost królestwa Bożego polega na doskonaleniu się ludzi „do miary pełności Chrystusowej", a pełnością tą to nieskończona doskonałość Bóstwa, która w Chrystusie „zamieszkała cieleśnie". Że nie chodzi tu jedynie o ekspansję zewnętrzną, wcześnie uświadomiła to sobie myśl chrześcijańska. Prawo rozwoju nauki dogmatycznej Kościoła określił już w piątem stuleciu św. Wincenty z Leryny. Jest to rozwój organiczny, nie pozwalający wprawdzie na zmianę prawdy objawionej przez ideje, któreby ją przekreślały, ale ujawniający w biegu wieków coraz to nowe tej prawdy strony, różnicujący ją w coraz bardziej szczegółowe twierdzenia i ukazujący nowe życiowe zastosowania. Są to *nova et vetera*, które z skarbnicy swojej wydobywa na światło dzienne według potrzeby Boski Gospodarz. *Nova* — nowe określenia dogmatyczne nie bywają, jak w „dialektyce" Hegla, antytezą poprzednich tez, lecz idą w tym samym kierunku co *vetera*, stając się dokładniejszem ich rozwinięciem i wyjaśnieniem — *in eodem sensu et eadem sententia*, jak mówił św. Wincenty Leryneński.

Podobny rozwój trzeba stwierdzić także w nauce moralnej Kościoła. Najpierw mogą ulegać zmianie te zapatry-

wania, które nie mają źródła w prawie naturalnem, lecz są tylko wyrazem i pozostałościami różnych przygodnych form kulturalnego rozwoju; powtóre, te normy etyczne, które wynikają z natury człowieka, jak ją rozumiemy zwłaszcza w świetle Objawienia, stają się coraz jaśniejszemi, występują w bardziej kategorycznej postaci, a wnikając w obyczaje i instytucje ludzkie, podnoszą je na coraz wyższy poziom. Dla przykładu niechaj służy nauka o godności duszy i równości ludzi wobec Boga, która powoli doprowadziła do zniesienia niewolnictwa. Ten przykład może najlepiej ilustruje to kojarzenie się w katolicyzmie dwóch, zdawałoby się przeciwnych, zasad: zasady ciągłego postępu i zasady zachowawczości. Będąc konserwatywnym, Kościół nie wznieca rewolucyj w ustrojach ludzkich, by gwałtem narzucić jakąś zasadę, tkwiącą w jego nauce; on rzuca na rolę serc ziarna nauki Chrystusowej, w warunkach i ustrojach, jakie gdzie zastaje, pieczołowicie czuwa nad wzrostem słabej rośliny i czeka cierpliwie, aż ona w duszach na tyle dojrzeje, że ludzie z wyznawanej zasady wyciągną praktyczne konsekwencje i wcielą je w nowe ustrojowe formy. Nauka chrześcijańska nie jest środkiem wybuchowym do rozsadzania skał, lecz, zgodnie z innem porównaniem Chrystusa, jest rozczynem, włożonym przez niewiastę — Kościół — do trzech miar mąki, aż „zakwasi się wszystko".

Takiem jest prawo zachowawczości, ale zarazem postępu chrześcijańskiej prawdy. Nie burzy on niczego gwałtownie, lecz powoli oświeca i przetwarza dusze, zmiana zaś instytucyj przychodzi na końcu. Tylko, jeśli ludzkość zbyt się opiera działaniu tej prawdy, wtedy dopuszcza Opatrzność, że występują inne siły, już pozachrześcijańskie, najczęściej chrześcijaństwu wrogie i jako bicz Boży chłoszczą gnuśne społeczeństwa, z imienia chrześcijańskie, i w dymach i krwi wywracają niedoskonałe instytucje, które się same w duchu chrześcijańskim zreformować nie chciały, — może na rumowiskach łatwiej się przyjmie posiew chrześcijańskiego ziarna. W każdym razie do rewolucyj nie używa Opatrzność Kościoła, który ma misję urzeczywistniania Królestwa Bożego tylko nauczaniem, modlitwą i miłością. Tak, naprzykład, w obecnych czasach Kościół podnosi kwestję

systemu kapitalistycznego, który, jeśli nie zreformuje się w duchu jego wskazań, czy nie zgotuje dla siebie krwawej zagłady przez inne siły?

W imię kultury ludzkiej podnoszony bywa inny, bardziej zasadniczy zarzut przeciwko chrześcijaństwu. Chrześcijaństwo ukazuje ludziom z a ś w i a t o w e cele, ziemię uważa za wygnanie, poucza, że najpewniejszą drogą do zbawienia jest ubóstwo, umartwienie, cierpienie. Czy taka zaś nauka może błogosławić i popierać kulturę doczesną, która dąży do czegoś wręcz przeciwnego, bo do wzmożenia dobrobytu, spotęgowania radości życia, usunięcia bólu, a gdyby się dało to i śmierci? Właśnie wytykając chrześcijaństwu tę zaświatową jego orjentację, przeciwnicy jego twierdzą, że jeśli ono przykładało rękę do rozwoju kultury doczesnej, to czyniło to przez zapomnienie o ideale i sprzeniewierzenie się własnemu duchowi.

Z tak sformułowanym zarzutem „antykulturalności" chrześcijaństwa warto gruntownie się rozprawić. Najpierw trzeba zauważyć, że zarzut ten, gdyby miał znaczenie, godziłby nietylko w chrześcijaństwo, ale w każdą religję, godną tej nazwy, to jest w każdy światopogląd, przyjmujący istnienie Boga i nieśmiertelność dusz. Jeśli bowiem egzystencja człowieka nie zamyka się w granicach między datami jego urodzin i śmierci, lecz jest wieczną, to musi narzucić się wniosek, że życie wieczne jest ważniejsze, niż doczesne, i że ono musi być uważane za cel wysiłków ludzkich, a doczesne tylko za drogę i przygotowanie do niego. Mierzenie wartości czynów ludzkich jedynie tylko doczesnością, chociażby chodziło o najświetniejszą kulturę, jest logicznem tylko ze stanowiska ateizmu i materjalizmu, i dlatego nie dziwimy się komunistycznemu bolszewizmowi, że religję uważa za szkodliwą i z nią jako taką walczy. Ale zdumienie ogarnia, gdy zarzut taki wychodzi z ust czy z pod pióra człowieka, który, jak np. J. E. Skiwski w *Pionie,* uważa się za człowieka religijnego, szukającego tylko plam na nauce oficjalnej katolicyzmu. Czy uświadamia sobie taki zoil całą doniosłość swojej krytyki?

Gdyby nawet było prawdą, że dla osiągnięcia celu pozaświatowego trzeba się odwrócić plecami do wszelkiej kul-

turalnej twórczości na ziemi, to i tak nie należałoby przystępować do krytyki chrześcijaństwa (wogóle religji) z pragmatystycznem jedynie kryterjum użyteczności lub nieużyteczności jego dla kultury, ale należałoby zagadnienie religji przesunąć na płaszczyznę metafizyczną. Jest Bóg i życie wieczne, czy ich niema? Użyteczność czy nieużyteczność czegoś nie mogą być wogóle najwyższym sprawdzianem prawdy, a jeśli prawdą jest, że istnieje świat pozagrobowy, to trzeba go brać poważnie, bez względu na to czy uznanie realności owego świata będzie do tego lub owego użyteczne lub nie.

Szczęśliwi jednak jesteśmy, że wyznając wiarę w życie pozagrobowe i przyjmując całą zaświatową orjentację chrześcijańską, jednocześnie mamy przekonanie, że nie odwodzą one od kulturalnej pracy tutaj na ziemi, owszem, że ją głębiej uzasadniają i skuteczniej do niej zachęcają. Już kiedyindziej miałem sposobność wykazywać, że nawet budownictwo kultury posiada pewne religijne znaczenie.[1]) Tembardziej takie znaczenie ma kultura wyższa, duchowa. Pozostajemy tutaj w obrębie owej kultury, którą nazwaliśmy kulturą czysto ludzką w odróżnieniu od kultury duchowej specyficznie chrześcijańskiej. Chodzi tu o naukę, sztukę, prawo, i t. d. Jeżeli chrześcijaństwo odnosi się do jakichś przejawów w tej dziedzinie negatywnie, to nie dlatego, by kulturę potępiało lub lekceważyło, ale dlatego, że widzi w niejednym jej przejawie, w niejednem zwłaszcza jej zastosowaniu w życiu pogwałcenie wyższych postulatów, jak sprawiedliwości społecznej, miłości powszechnej, albo gdy jakieś kulturalne dobra stawiane są na piedestał absolutu, kiedy z kultury, z jakiegoś jej odcinka czyni się bóstwo, tworzy się namiastkę religji.[2]) Chrześcijaństwo ani nie potępia tego, ani nie walczy z tem, co w kulturze doczesnej jest pozytywnego, dodatniego, tylko z jej nadużyciami, wynaturzeniami, z uzurpacją i pretensjami na absolutne znaczenie. Czy tylko zresztą chrześcijaństwu nie byłoby wolno patrzeć krytycznie na różne niedomagania kultury współczesnej, które przecież są przedmiotem tylu krytyk nawet ze strony ludzi, niewiele mających wspólnego z chrześcijaństwem?

[1]) Art. „W poszukiwaniu człowieka", *Przegl. Powsz.* luty 1934.
[2]) Art. Skiwskiego: „Religja kultury".

Z takiemi zastrzeżeniami może chrześcijaństwo ustosunkować się do kultury doczesnej pozytywnie i przyjaźnie i w zasadzie tak czyni. Zajmuje zaś takie stanowisko nietylko dlatego, że jest samo jednym z konsumentów kultury, że używa przedmiotów przez nią wytwarzanych, że korzysta z jej środków komunikacyjnych, z prawnego bezpieczeństwa, że dziełami sztuki ozdabia swoje świątynie. Zajmuje stanowisko pozytywne względem kultury nietylko z musu, widząc, że próżne byłyby usiłowania odciągnięcia wiernych od współpracy nad tworzeniem kultury, do czego zmuszają ich konieczności życiowe. Chrześcijaństwo do kultury odnosi się życzliwie, rozumiejąc, że tworzenie kultury jest jednem z zadań włożonych przez Stwórcę na ludzkość na czas jej bytowania na ziemi. Chrześcijaństwo czyta zaraz na jednej z pierwszych kart Objawienia, że człowiek został stworzony na króla przyrody (*Gen.* 1, 26 i nast.), że nawet w raju osadzony był nato, „aby sprawował i strzegł go" (tamże 2, 15). A nie były położone mu inne granice w owem „panowaniu" nad przyrodą i „sprawowaniu jej", jak tylko, aby uznał Boga za źródło wszelkiego dobra i sam nie chciał być „jako bogowie". Dalej, czy nie zostało włożone na ludzi prawo pracy, a praca, inteligentna, ludzka, czyż nie tworzy z konieczności kultury? I jeżeli kulturę pojmujemy, jak to wyżej wyjaśniliśmy, jako dalszy ciąg twórczości Bożej w przyrodzie, jako wykończanie, bogacenie i upiększanie stworzenia przez Boga, z użyciem inteligencji ludzkiej i woli ludzkiej jako przyczyn podrzędnych i narzędzi w Bożem ręku — to jak można twierdzić, by praca nad kulturą doczesną musiała się spotkać z potępieniem w imię religji? Powiedzieliśmy powyżej i tutaj przypominamy, że tworzenie tej kultury nie jest właściwem powołaniem Kościoła, jako instytucji nadprzyrodzonej i zbawczej, z tego jednak nie wynika, by religja, przez Kościół głoszona, nie zachęcała chrześcijan, jako członków danego narodu czy cywilizacji, do czynnego udziału w twórczej kulturalnej pracy.

I jeszcze na jedno trzeba zwrócić uwagę. Nieprawdą jest jakoby — w myśl chrześcijaństwa — udział czynny w kulturze doczesnej nie dawał duszy ludzkiej nic trwałego,

mającego znaczenie dla wieczności. Czyż w tej bowiem pracy nie rozwija się inteligencja człowieka, nie hartuje się jego wola? A przecież te osiągnięcia w duchowych władzach człowieka pójdą z nim w wieczność. A jeśliby brać rzeczy tylko pod kategorją moralności i zasługi, czyż podejmowanie kulturalnych prac nie będzie moralnem i zasługującem, jeśli w nich widzi się zadanie włożone na nas przez Boga i usiłuje się je urzeczywistniać według najlepiej poznanej myśli Bożej, jeśli przez pracę kulturalną dąży się do tego, by bliźnim współczesnym i pokoleniom następnym ułatwić życie, wprowadzając w nie więcej sprawiedliwości, miłości i radości? Królestwo niebieskie obiecane jest niewątpliwie płaczącym, biednym, łaknącym sprawiedliwości, znoszącym prześladowanie, czy jednak wnioskował ktoś z tego, że w takim razie zgodniejszem będzie z ewangelją unikać ocierania łez, mnożenia chleba, usuwania niesprawiedliwości i prześladowań, by snać nie zabrakło kandydatów do nieba? Bo czy można zapomnieć także o błogosławieństwie dla „czynicieli pokoju", dla „miłosiernych" lub o wezwaniu do szukania królestwa Bożego i sprawiedliwości jego już na tej ziemi? Pracownik na polu kultury doczesnej, pojmując ją w duchu religijnem, zaiste znajdzie w swej pracy obfite źródło także moralnego zbogacenia się na żywot wieczny. Tym sposobem dla chrześcijanina praca nad kulturą warta nierównie więcej nawet, niż te materjalne osiągnięcia, jakie się przez nią tworzy na ziemi. Te rzeczy, które wytwarzamy, nie mówiąc już o przeznaczonych do natychmiastowego zużycia, te przedmioty, które mają trwać jako pomniki kulturalnych wysiłków, nie będą towarzyszyły człowiekowi do wieczności. Nawet na ziemi, jeśli nie zostaną zniszczone przez pokolenia następne lub przez ząb czasu, stracą wszelką wartość, gdy życie ludzkie zamrze na naszym globie. Nie zginie wszakże ta wartość, jaką kulturalna praca wzbogaciła ducha samegoż pracownika, nawet wówczas, kiedy materjalne osiągnięcia nie odpowiedziały dobrej jego woli i sumie dokonanych wysiłków.

Rozważania powyższe rozwiązują też zarzut, jaki chrześcijaństwu, specjalnie katolicyzmowi, uczynił p. Skiwski, zarzut, że w rzędzie kulturalnych wartości katolicyzm wyodrębnia jedną wartość, mianowicie tylko m o r a l n ą, że jej

wszystkie inne podporządkowuje i ze stanowiska jej wartość człowieka ocenia. Według Skiwskiego, katolicyzm przekłada bigotkę, klepiącą masę pacierzy, nad Napoleona z wszystkiemi jego kulturalnemi zasługami. Lecz myli się srodze, kto stawia taki zarzut. Czy Kościół tak wysoko stawia bigoterję, jak się p. Skiwskiemu zdaje, dużo możnaby mówić, dużo też zastrzeżeń i rozróżnień trzeba porobić, kiedy się mówi o kulturalnych zasługach Napoleona. Rzecz jednak nie w tem, czy odmówienie pewnej ilości różańców czy też stworzenie kodeksu cywilnego jest w oczach katolicyzmu rzeczą więcej wartościową. Zgodzimy się łatwo, że samo w sobie kodyfikacyjne dzieło Bonapartego posiada wartość większą nietylko w oczach ludzi, ale także w oczach Boga. Z tem jednak nie należy mieszać sprawy osobistego zbawienia, ono bowiem zależy nie od wielkości samego dokonanego przez człowieka dzieła, bo ta niezawsze od człowieka zależy i nie każdego stać na równie wielkie rzeczy; zbawienie osobiste zależy od stopnia doskonałości, z jakim człowiek wykonywa swoje zadanie, od ducha w jakim je podejmuje, choćby dzieło jego było małe i ze stanowiska użyteczności doczesnej znikome, lub naodwrót wielkie i ludzkość uszczęśliwiające. O zbawieniu czy potępieniu Napoleona nic nie wiemy; możemy tylko powiedzieć, że jeśli swoje wielkie, dodatnie czyny spełniał w duchu chrześcijańskim — a mógł je przecież w takim duchu spełniać, jeśli chciał — niewątpliwie mu policzone zostały u sprawiedliwego Boga i większą go chwałą w wieczności okryły, niż pacierze owej bigotki, którą Skiwski scharakteryzował. Przeciwnie, jeśli nie miał w swoich dziełach żadnego względu na Boga, nie straciły one swojej doczesnej kulturalnej wartości, a twórca ich wziął tutaj zapłatę swoją.

Ostatni zarzut antykulturalności chrześcijaństwa opiera się na rzekomo jednostronnym spirytualiźmie nauki chrześcijańskiej. Kultura doczesna jest w znacznej mierze kulturą materjalną, służącą do utrzymania i uprzejemniania życia ciała, w oczach zaś chrześcijaństwa człowiek — to jego dusza nieśmiertelna, ciało zaś to zawada w drodze do zbawienia, nieprzyjaciel, z którym, dopóki się żyje, walkę toczyć trzeba. Nawet w dziedzinie kultury duchowej twórczość artystyczna tak często i chętnie zwraca się

do piękna przyrody i do kształtów ludzkich, do tematu miłości zmysłowej, i jakżeby została zubożona, gdyby słuchała ascetów chrześcijańskich, nakazujących odwracać od tego wszystkiego oczy, jako od pokusy wiodącej do grzechu! Co stałoby się z powieścią, teatrem, rzeźbą, malarstwem, nawet z muzyką, gdyby ich twórcy mieli szukać wskazówek u swoich ojców duchownych, lub prosić ich o błogosławieństwo dla dzieł swoich? Tem mniej chyba można spodziewać się by asceza chrześcijańska mogła być źródłem tego rodzaju twórczych natchnień.

Otóż musimy i ten zarzut sprowadzić do właściwej miary, zdzierając zeń niepotrzebne retoryczne amplifikacje. Czy chrześcijaństwo potępia ciało, jego piękno i objawy jego życia, jako z natury swej złe i sprzeczne z ostatecznym celem człowieka? Otóż niczego podobnego nie doszukamy się w autentycznej dogmatyce chrześcijaństwa, przynajmniej w katolickiej, bo przez różne sekty gnostyckie, a potem przez protestantyzm i pogrobowe jego potomstwo, jansenizm, takie zapatrywania były głoszone. Katolicka dogmatyka, w zgodzie z teizmem naturalnym, uznaje jednego i tego samego Boga za stwórcę zarówno materji i ducha i obie te kategorje za wyraz myśli Bożej i odbicie zewnętrzne doskonałości Bożych. Stąd wniosek, że jak w Bogu niema wewnętrznego rozdźwięku i walki, tak nie powinno ich być w stworzeniu. To, co się walką wydaje w naturze człowieka, jest właściwie trudnością sharmonizowania różnych pierwiastków ludzkiej natury w jedną wyższą syntezę. Materja i duch pochodzą zarówno od Boga, ale nie w równej mierze odbijają doskonałość Boskiej istoty, zadaniem tedy całego kosmicznego procesu, a w szczególności pracy kulturalnej człowieka ma być dźwiganie tego, co jest mniej doskonałe i wartościowe, na wyższy poziom bytowania i wartości. Z materją, naprzykład, „walczy" także technika, usiłując pokonać jej opór, wycisnąć na niej piętno ludzkiego ducha, niejako uduchownić ją.

Podobnie rzecz się ma z naturą samego człowieka. Człowiek nie jest samym duchem, któryby w ciele tylko był więźniem; ciało należy do istoty człowieka. To, co nazywamy „ciałem", żywy organizm, już sam jest rezultatem opanowania materji (nieżywej) przez duszę, będącą źródłem wszel-

kiego życia w człowieku, zatem także zmysłowego i wegetatywnego. Jakżeby dusza miała być obowiązana do nienawidzenia tego, co jest z nią tak ściśle spojone, co jest poniekąd własnem jej dziełem? Dlatego „ascetyzm" chrześcijański zasadniczo nie jest czem innem, tylko usiłowaniem ducha, by nad materją i nad własnemi dążnościami ujawniającemi się w materji, w ciele, uzyskać jaknajpełniejsze panowanie, by w tych rozbieżnych dążnościach, nie potępiając zasadniczo żadnej, zaprowadzić ład i dyscyplinę, by człowiek stawał się coraz bardziej czemś „jednem", zbliżając się do prawzoru jedności, Boga. W chrześcijaństwie, rozumianem po katolicku, jest miejsce i na rozumną kulturę ciała, i na uznanie jego piękna, i na odpoczynek dla niego, połączony z rozrywką dla spracowanego ducha, i na miłość integralną, włączającą także zmysły, ujmowaną jedynie w karby instytucji małżeństwa. Chodzi jedynie o to, by człowiek, będący istotą zmysłową, organizmem, materjalnem pięknem, zespołem różnych organicznych pożądań, nie zapominał, że w tem wszystkiem ma być zawsze istotą moralną, zgodnie ze swoją duchową także stroną — porządkującą to całe bogactwo swego jestestwa i nadającą mu rozumną jedność. To zadanie wymaga niewątpliwie od człowieka jakiegoś opanowywania siebie, jakiejś duchowej jędrności, jakiegoś „ćwiczenia" — stąd nazwa ascezy, ale z potrzebą takiej ascezy, mającej zastosowanie na wszystkich polach życia i we wszystkich powołaniach (pamiętajmy o żołnierzu!), chyba łatwo się pogodzi każdy rozumny człowiek. Ufamy, że ascetyzm uzna np. p. Skiwski, który rozumnie krytykował w swoim czasie ideał „życia ułatwionego", głoszony przez Boya, a kiedyindziej tak silnie podkreślał potrzebę „surowej dyscypliny moralnej" w człowieku, zwłaszcza gdy więzy przepisów zewnętrznych są luźne i łagodne.[1]) Zapewne przy takiej surowej dyscyplinie moralnej niejedno zniknęłoby z życia i ze sztuki, ale czy w ostatecznym rezultacie straciłaby na tem prawdziwa kultura? Uskarża się Skiwski w art. „O ducha Wschodu", że katolicyzm „odbiera życiu wszelki smak", bo rzekomo nie posiada zrozumienia dla potrzeb ciała, można jednak

[1]) *Pion* 17. II. 34.

p. Skiwskiego zapewnić, że w dziedzinie, o którą mu chodzi, moralność katolicka nie do czego innego zmierza, jak do tego, czego kiedyindziej domagał się on sam od owej „surowej dyscypliny moralnej", t. j. „usunięcia spraw seksualnych na najdalszy plan" (bo one same człowiekowi dość się narzucają), „odciążenia wyobraźni zwłaszcza młodzieży od ciśnienia seksualjów". Między wymaganiami pod tym względem p. Skiwskiego a ascetyzmem chrześcijańskim niema tedy zasadniczej różnicy, można się spierać tylko o drobiazgi, o zastosowanie wspólnej zasady do takiego czy innego konkretnego wypadku, ale to jest rzeczą „kazuistyki", w którą tutaj wchodzić nie będziemy.

Na pozytywne ustosunkowanie się chrześcijaństwa do ciała i jego potrzeb wpływają także specyficzne dogmaty chrześcijaństwa, mianowicie dogmat o przyszłem zmartwychwstaniu i wieczności ciał (którego znaczenie dla życia p. Skiwski dostrzegł tylko w prawosławiu, a przeoczył w katolicyzmie), jak również dogmat o Wcieleniu Słowa Bożego, t. j. o podwójnej naturze w Chrystusie, jak ostatecznie określił sobór chalcedoński. Chrześcijaństwo nie może wrogo odnosić się do ciała, które jako nieodłączną część ludzkiej natury przyjął za swoje Syn Boży, w którym „cała pełnia bóstwa zamieszkała cieleśnie"; chrześcijaństwo uczy jedynie czynić ciało uczestnikiem i narzędziem tworzenia wyższych wartości duchowych i tak przygotowywać je do uwielbionej przemiany, której ma się stać uczestnikiem w powszechnem zmartwychwstaniu.

Zdajemy sobie tutaj sprawę, że nasze dowodzenia o stosunku chrześcijaństwa do spraw ludzkiego ciała i całego doczesnego bytowania, odbiegają nieco od wypowiedzeń niejednego katolickiego moralisty, ascety, kaznodziei. Istotnie w literaturze katolickiej spostrzegamy także pewne tendencje do bardziej rygorystycznego i pesymizmem owianego zapatrywania się na naturę ludzką, skutki grzechu pierworodnego i t. d. Spotykamy takie akcenty nietylko u ascetów z zawodu, ale nawet u takich umysłów szerokich i twórczych, jakimi byli czy Bossuet, czy Brunetière, czy choćby obecnie jest Mauriac. W pracy „W poszukiwaniu człowieka" wskazaliśmy na źródła tego rodzaju pesymizmu: działały tu różne histo-

ryczne i ideowe wpływy, ale i to pewne, że nie po tej linji idzie w Kościele rozwój tego, cobyśmy nazwali „antropologją" chrześcijańską, która dotąd nie osiągnęła ostatecznego dogmatycznego wykończenia, ale widocznie zmierza do większego optymizmu. Naszem zdaniem, wytycznemi dla myśli katolickiej w tej dziedzinie winny być dogmat chalcedoński o przyjęciu przez Słowo Boże całkowitej natury człowieka i zachowaniu jej bez pochłonięcia przez bóstwo i to określenie istoty grzechu dziedzicznego po Adamie, jakie wytworzyło się w wieku 17-ym w walce teologicznej z protestantyzmem i jansenizmem. Z tą antropologją teologiczną winny być uzgodnione i praktyczne wskazówki pedagogiki katolickiej i ascetyki. I dlatego zapatrywania tego lub owego kaznodziei czy ascety na zagadnienie kulturalne niezawsze będą wyrażały najlepsze zrozumienie całości prawdy katolickiej. Niekiedy ten i ów zapatrzony był zbyt jednostronnie w jeden jej punkt, inne tracąc z uwagi i dlatego jednostronne wygłaszał zdania. Tak mógł Bossuet dociekania historyczne uważać za próżną ciekawość, mógł Brunetière całą niemal sztukę uważać za kompromis ze zmysłowością grzeszną. Widzieli oni i wielu im podobnych zwykle jakąś prawdę ułamkową, tracąc z oczu przeznaczenie człowieka do wszechstronnego rozwijania włożonych przez Boga w jego naturę zdolności. Tacy często swoje zbyt jednostronne zdania okupywali tem, że w praktyce sami niezawsze byli im wierni. Bossuet zdobył się na niezwykłą dla swoich czasów syntezę historji, a Brunetière był w swych krytykach subtelnym estetą. I wtedy, naszem zdaniem, byli oni bliżsi całkowitej katolickiej prawdy.

I jeszcze jedno historyczne zestawienie. Savonarola napewno miał wiele podstaw do tego, by piorunować z kazalnicy na zepsucie obyczajowe swoich czasów, bo w istocie wiele grzechów miało na sumieniu pokolenie odrodzenia. Ale czy musiał palić na stosie książki i dzieła sztuki, wśród których były także rzeczy cenne, chociaż może dla czyjejś cnoty niebezpieczne? W czasach *auto-da-fé*, sprawionego przez florenckiego ascetę, najwyżsi dygnitarze Kościoła, kardynałowie i papieże, byli największymi mecenasami sztuki i zapełniali jej dziełami kościoły i pałace. Czy w tym razie

autentycznym interpretatorem pełnego katolicyzmu był mnich florencki, a urzędowi kierownicy Kościoła zupełnie rozminęli się z jego duchem? Dziwna rzecz, że nawet po ochłonięciu z upojeń renesansu żaden z papieży — a byli między nimi prawdziwi święci — nie poczytał za swój obowiązek pójść w ślady Savonaroli, niszcząc w imię moralności galerje watykańskie.

Streszczając wszystko, co się powiedziało, możemy się uspokoić co do kulturalności chrześcijaństwa, szczególnie katolicyzmu. Chrześcijaństwo uczy ludzi patrzeć w niebo, jako w metę ostatecznych swoich zmagań, ale uczy zdobywać to królestwo niebieskie przez budowanie królestwa Bożego na ziemi. Chrześcijaństwo głosi prymat ducha, ale uznaje również uprawnienia ciała. Chrześcijaństwo posiada tajemnicę hierarchicznego wartościowania różnych osiągnięć życia doczesnego, ale rozumie, że całkowitem zadaniem człowieka jest urzeczywistnianie w sobie obrazu Bożego we wszystkich jego aspektach, przez osiąganie prawdy, przez tworzenie dobra i przez kontemplację piękna. Tylko ograniczoność czasu i środków z jednej strony, a zróżniczkowanie zdolności i skłonności indywidualnych z drugiej nie pozwolą każdemu urzeczywistnić w sobie tej wielkiej skali wartości i dlatego różne z tych wartości będą osiągane i tworzone przez poszczególne jednostki w różnem wzajemnem dozowaniu, może nawet z pewnem jednostronnem przecenianiem jednych, a lekceważeniem innych.

To, co ktoś w sobie urzeczywistnia z myśli Bożej, to go zbliża do Boga, prawzoru wszelkiej doskonałości. Niechaj się tylko wystrzega uważania swoich zamiłowań i swoich osiągnięć za normę, obowiązującą wszystkich innych ludzi. W katolicyzmie bowiem i w społeczeństwie ludzkiem, które się przejmie duchem katolickim, „jest mieszkań wiele": znajdzie się tu miejsce i dla uczonych i dla praktyków, dla natur kontemplatywnych i dla działaczy społecznych, dla bohaterów surowego życia i dla artystów. Katolicyzm to „powszechność", skupiająca w wyższej syntezie wszystko, co może wydawać się rozbieżnem, a jest albo prawdziwem, albo pięknem, albo dobrem.

Ks. Jan Urban T. J.

Jezuici polscy wobec projektu ordynacji studjów.[1])

W roku 1586 generał Aquaviva ogłosił pierwszy projekt ordynacji studjów, która miała nadać szkołom zakonu jednolitą organizację. W tym roku Jezuici w Polsce posiadali już 8 szkół, w tem 3 z filozofją i teologją.[2]) Cała ich organizacja, program i praca oparta była najpierw na instrukcji, wydanej dla całego zakonu, a powtóre na instrukcjach specjalnych, wydanych dla poszczególnych kolegjów polskich. Instrukcja ogólna, ułożona około r. 1566, prawdopodobnie przez H. Natalisa, p. t. *Ordo Studiorum,* zawiera w zawiązku wszystkie zasady ostatecznej ordynacji, a przedewszystkiem zasady organizacji, a więc podział na stopnie, czyli wydziały i klasy, określa w zarysach ogólnych zadanie każdej klasy i program nauki, ustanawia i określa obowiązki prefekta studjów, przewiduje wreszcie typy ćwiczeń dla poszczególnych wydziałów i klas.[3]) Instrukcje szczegółowe posiadała każda nowo założona szkoła jezuicka w Polsce; znane są nam jednak tylko dwie, dla kolegjum w Wilnie z r. 1570 i dla kolegjum w Poznaniu z r. 1780.[4])

Wydział teologiczny posiadał 3 profesorów dla teologji dogmatycznej, 1 dla teologji moralnej i 1 dla egzegezy Pi-

[1]) Praca referowana na posiedzeniu Komisji Historji Szkolnictwa i Wychowania P. A. U. 29 XI 1934.

[2]) Archiwum S. J. (A. S.) Pol. 6. Catalogus 1-mus a. 1584.

[3]) Tekst tej instrukcji w całości wydany w *Monumenta Historica S. J.* tom *Monumenta Paedagogica*, str. 107—140, Urywek: *Instructio de praefecto Studiorum* u Pachtlera: *Monumenta Germaniae Paedagogica:* Ratio Studiorum I. 200—205.

[4]) Instrukcja dla kolegjum wileńskiego zawarta jest w ogólnej *Instructio provincialis Austriae pro Rectore Vilnensi die 19 Augusti 1570* (A. S. *Institutum.* 209, fol. 233—249). Instrukcja poznańska w oddziale A. S. *Fondo*

sma św.; wydział filozoficzny miał 3 profesorów po jednym dla logiki, fizyki i metafizyki, matematykę łącznie z zagadnieniami z nauki o kalendarzu, z kosmologji i t. d. wykładał albo odrębny czwarty profesor, albo jeden z trzech; zwykle był nim profesor fizyki. Szkoła średnia dzieliła się na 5 klas: 3 gramatyki, humaniorów i retoryki. Obok nauki łaciny kładziono silny nacisk na naukę języka greckiego. Specjalnością polskiego programu było nauczanie początków matematyki w klasach gramatykalnych, zamiłowanie do przeróżnych ćwiczeń praktycznych, powtórek, dysput, popisów, a wreszcie wyznaczenie wychowaniu i nauczaniu religijnemu szerszego zakresu, niż to przewidywało później *Ratio Studiorum.* [1])

Rozwój polskich kolegjów hamowały ogromnie dwie trudności: brak nauczycieli i brak dobrych podręczników.

Prowincja polska rozwijała się bardzo szybko; liczba powołań do zakonu rosła; przygotowanie młodzieży do pracy wymagało najmniej dziesięciu lat, nie można więc było należycie obsadzać nowo założonych kolegjów, których przyjęcia nie można było znowu odmawiać wobec nacisku Stefana Batorego, biskupów i magnatów. Generał przysyłał pomoc w cudzoziemcach, lecz i ta pomoc była bardzo skromna i ograniczona wobec tych samych trudności, panujących po innych prowincjach. Prośby, a nawet usilne i niecierpliwe interwencje, nie odnosiły skutku, zwłaszcza gdy szło o jednostki wybitne. Najlepszym przykładem daremne zabiegi Króla i polskich Jezuitów o sprowadzenie Bellarmina lub Toleta do Polski.

Ten sam brak ludzi utrudniał i opóźniał przygotowanie własnych nauczycieli. Pod naciskiem faktów musiano skracać okres przygotowania do pracy, by obsadzać placówki nowe lub opuszczone. To skracanie studjów odbijało się ujemnie na jakości późniejszej pracy. Doraźne obsadzanie placówek nie pozwala myśleć o przyszłości. Garzias Alabiano,

Gesuitico (F. G.) Collegia. T. 164, dokument p. t. *Visitatio Posnaniensis Collegii S. J. facta per P. L. Magium Prov. Pol. Visitatorem in aestate a. 1580* Oba dokumenty bardzo cenne, dotąd nieznane i nieogłoszone.

[1]) Dokładniej w szczegóły wchodzić nie możemy, temat i ograniczone rozmiary artykułu tego nie pozwalają; dokładne omówienie pierwszego okresu dziejów szkolnictwa jezuickiego w Polsce zostawiamy do opracowania monograficznego.

profesor teologji w Wilnie i drugi po Skardze Rektor Akademji, narzekał z goryczą w liście do generała Aquavivy w r. 1584: „skończyliśmy cały pełny kurs teologji, ja i O. Antoni,[1]) z kilku słuchaczami eksternami i naszymi (Jezuitami). Są między nimi dobre talenty. Oby z tych, którzy obecnie zgłosili się na nowy kurs, który właśnie jutro, 2 stycznia, z pomocą bożą zaczynamy, wytrwało przynajmniej czterech, abyśmy mogli z nich w czterech latach zrobić teologów. Bo jeśli nam będą zabierali słuchaczy po roku lub dwu latach, jak to dotychczas robiono, to i za 20 lat nie będziemy mieli ani jednego teologa. Nie obawiam się jednak o to obecnie tak bardzo, ponieważ widzę, iż Ojcu Prowincjałowi rzecz leży bardzo na sercu i doskonale rozumie stratę, poniesioną przez zmarnowanie kursu poprzedniego". [2])

Druga trudność braku podręczników bardzo również paraliżowała pracę. Na teologji za podręcznik służyła Summa św. Tomasza, na filozofji dzieła Arystotelesa; oczywiście było tak tylko w teorji; słuchacze dzieł tych nie posiadali, stąd wykład często zamieniał się na mniej lub więcej systematyczne dyktowanie. Brak podręczników najostrzejszą formę przybierał jednak dopiero w klasach gimnazjum. Brak ten jest faktem niezmiernie charakterystycznym, na który o ile mi wiadomo, nie zwrócono dotąd należycie uwagi. Po 100 latach Odrodzenia humaniści nie zdobyli się na jedną porządną łacińską gramatykę dla szkół, którąby zyskała ogólne uznanie! Ci, którzy wyszydzają późniejszego Alvara, kompromitują się, ponieważ pokazują, że go nie znają, a przedewszystkiem, że nie znają położenia ówczesnych szkół, położenia, będącego wystarczającem wytłumaczeniem powodzenia Alvara, mimo wszystkich jego niedostatków. Polscy profesorowie używali z musu w klasach niższych starego Donata, a w wyższych Despautera, mając pełną świadomość ich wielkich braków. Jak silnie odczuwano potrzebę nowej gramatyki, dowodzi ten drobny fakt, że wieść o wydaniu Alvarowej gramatyki przyjęto w Polsce z radością; nauczyciele nie mogli się doczekać nadejścia pierwszych egzemplarzy. Jeszcze w r. 1592,

[1]) O. A. Arias, prof. teologji Akademji Wileńskiej.

[1]) *A. S. Germ.* 162, fol. 20. G. Alabiano do G. Aquavivy z Wilna 1. I 1584 r.

a więc już po wydaniu drugiego projektu *Rat. Studiorum*, prowincjał L. Maselli donosi Generałowi, że nie można uruchomić pracy szkolnej wedle nowych przepisów z powodu braku gramatyki. Prosi, aby w Kolegjum Rzymskiem znalazł się ktoś ofiarny, któryby się zlitował nad trudnościami polskiej prowincji i tymczasowo wynotował z Alvara dokładny rozkład materjału nietylko na klasy, ale na grupy w poszczególnych klasach. [1])

Prócz tych głównych trudności było sporo innych, przedewszystkiem zaś odczuwano potrzebę ujednostajnienia zarówno organizacji szkoły, programów i metod, jak i poglądów filozoficznych i teologicznych. *Uniformitas doctrinae*, jedność nauki zakonu wysuwa się jako naczelny postulat, którego wypełnienie miało wzmocnić wewnętrzną i zewnętrzną jedność i spoistość Towarzystwa.

Dlatego też wyczekiwano z niecierpliwością wyników prac Komisji, powołanej na czwartej Kongregacji generalnej w r. 1581 do ułożenia projektu ordynacji studjów: „Bardzo wyczekuje się urządzenia studjów Towarzystwa — pisał prowincjał polski, P. Campano do Generała — zdaje nam się jednak, że byłoby rzeczą bardzo pożyteczną, aby ordynację tak jak zostanie ułożona, rozesłać przed ostatecznem ustaleniem do prowincyj niedrukowaną; na podstawie doświadczenia prowincyj zobaczy się, co należy dodać, a co zmienić; w ten sposób rzecz wyjdzie na światło dzienne z aprobatą wszystkich prowincyj. Nie osiągnie się zaś tego, choćby się powołało do Rzymu do ułożenia ordynacji z każdej prowincji po jednym lub dwu Ojców, ze sprawą tą najbardziej obeznanych, więcej bowiem zobaczy wielu ludzi, zwłaszcza jeśli aktualnie nauczaniem się zajmują. Możnaby także polecić, aby nawet poszczególne kolegja dorzuciły swoje wyczerpujące uwagi". [2]) O to samo prosiła Kongregacja prowincji polskiej". [3])

[1]) *A. S. Germ.* 170, fol. 10. L. Maselli do G. Aquavivy, z Wilna 8. I. 1592 r.

[2]) *A. S. Germ.* 163, fol. 338. P. Campano do Aquavivy, z Jarosławia 31 III 1584 r.

[3]) Petitur ordo studiorum a Congregatione deputatorum factus, cum potestate experiendi priusquam legitime promulgaretur in Provincia et proponendum R. P. S. quid notatum in Provincia hac in eo fuerit.

II.

Życzenie to zostało spełnione z tą drobną zmianą, że dla wygody pierwszy projekt *Rat. Stud.* został wydany drukiem. Stało się to na wiosnę 1586 r. Listem z dnia 21. IV. G. Aquaviva oznajmił o tym fakcie prowincjom, rozesłał egzemplarze i polecił, aby w każdej prowincji komisja, złożona z 5 przynajmniej najwybitniejszych profesorów i fachowców, przedyskutowała wyczerpująco cały projekt i swoje uwagi przesłała do Rzymu. Paczka z egzemplarzami projektu i listami generalskiemi przyszła do Krakowa w lipcu; odebrał ją O. Skarga; listy z jednym egzemplarzem projektu wysłał prow. Campano do Wilna, resztę zaś egzemplarzy zatrzymał sobie, nie wiedząc nic o ich przeznaczeniu. Opóźniło to prace polskiej komisji; upłynął znowu miesiąc zanim sprawa się wyjaśniła, a Skarga zatrzymane egzemplarze odesłał do Wilna; Campano otrzymał ich tylko trzy i to mocno zniszczone przez czytających w Krakowie; widać z tego jak wielkiem było zainteresowanie projektem. [1])

Abyśmy mogli śledzić dalszy rozwój wypadków i dyskusji, trzeba nam się pierwej zapoznać w ogólnych choćby tylko zarysach z treścią projektu z r. 1586. [2])

Responsum: Ordo Studiorum nondum omnino perfici potuit, tamen cum perfectus fuerit, quod brevi speramus, mittetur, ut ad alias, ita et ad istam quoque Provinciam, ut illorum iudicium exquiramus, antequam ei manus imponatur, quamquam quod ad alias provincias attenet, quae illis occurrerant, iam antea Romam missa erant, et a Patribus deputatis diligenter sunt perpensa. — Wiedeń, Bibl. Narodowa, Rkp. 11977, zawierający akta polskich Kongregacyj prowincjonalnych, fol. 68 i nast.: *Responsa ad memoriale P. Provincialis Poloniae* (z r. 1584), *data mense Februario 1585.*

[1]) *A. S. Germ.* 166, fol. 15a versum i 202v. P. Campano do Aquavivy, z Wilna 10 VIII 1586 i z Grodna 6 IX 1586 r.

[2]) Tekst projektu z r. 1586 razem z okólnikami generalskiemi wydał Pachtler l. c., t. 2, str. 1—218. Tamże we wstępie nieco szczegółów o przesłaniu i dziejach tego projektu. Patrz także: B. Duhr S. J.: *Die Studienordnung der Gesellschaft Jesu* (Bibliothek der katholischeu Pädagogik IX) Freiburg 1896 i Le Bachelet S. J.: *Bellarmin avant son Cardinalat. Correspondance et documents,* str. 493—518. Paris 1911. — Nie posiadamy jeszcze monograficznego opracowania genezy i powstania *Rat. Studiorum.* Najwięcej informacyj przynoszą przytoczeni autorzy. Nie zostały również opracowane i wydane wyniki dyskusji i prac komisyj; pominęli tę sprawę w swej historji Fouqueray i Duhr. Ten ostatni miał pod ręką odpowiedzi

Projekt jest właściwie zbiorem artykułów dyskusyjnych o zasadniczych zagadnieniach i sprawach szkolnictwa, a nie kodeksem organizacji i przepisów. Formę tę wybrano świadomie; w wielu wypadkach zagadnienia są tylko stawiane z przytoczeniem motywów i dowodzeń, przemawiających za i przeciw takiemu czy innemu rozwiązaniu, a nawet tam, gdzie projekt decyduje i określa, podano powody, dla których konkretną decyzję wybrano. [1])

Projekt rozpada się na dwie odrębne części: pierwsza, objętością mniejsza, nosi tytuł: *De opinionum delectu in Theologica facultate.* Idzie tu, że użyjemy dzisiejszego sposobu wyrażania się, o oznaczenie granic wolności czy swobody poglądów profesorów teologji, a także i filozofji, w nauczaniu wogóle, a w szczególności o określenie stosunku do teologji św. Tomasza, czyli t. zw. Tomizmu. Granicę nienaruszalną stanowił oczywiście dla teologów dogmat, katolicka nauka wiary i obyczajów. W ciągu wieków powstało wiele szkół teologicznych, różniących się nawet bardzo między sobą w wyjaśnianiu dogmatów i ujmowaniu zagadnień drugorzędnych, nie będących dogmatem. Zakon jezuicki oświadczył się od samego początku za Tomizmem, czyli teologją św. Tomasza z Akwinu. Lecz przez taką decyzję zagadnienie nie zostało jeszcze praktycznie rozwiązane. Teologowie również w interpretacji systemu św. Tomasza podzielili się na obozy, dość ostro sobie się przeciwstawiające. Pierwsi wielcy teologowie jezuiccy, mimo zasadniczego trzymania się Tomizmu, przecież w wielu nawet bardzo ważnych zagadnieniach, tak filozoficznych jak i teologicznych (Niepokalane Poczęcie), od św. Tomasza odstępowali. Zaczęły się więc wytwarzać w samym zakonie różne szkoły teologiczne, co, jak uczy doświadczenie, groziło osłabieniem wewnętrznej spoistości zakonu. Stąd wysunięto na czoło zagadnienie jed-

komisyj niemieckich, a jednak nie podał nawet ogólnej ich treści. Jedynie dziejopisarz hiszpańskich Jezuitów Astrain w IV tomie swej *Historia de la Compania de Jesús en la Asistencia de Espana*, przytacza nieco szczegółów (str. 1—17). Brak opracowań nie pozwoli nam zrobić interesującego pełnego porównania poglądów Jezuitów polskich z poglądami Jezuitów innych prowincyj.

[1]) G. Aquaviva do prowincjałów. Okólnik z 12 IV 1586 r., u Pachtlera II, str. 11.

ności i jednolitości nauki. Istniał jeszcze drugi powód, który zmuszał do rozważnego przedyskutowania i rozwiązania tego zagadnienia. Doniosłość tego czynika w Polsce odczuwano słabiej, bardzo atoli dawał się on we znaki we Włoszech, a zwłaszcza w Hiszpanji. Czynnikiem tym była hiszpańska inkwizycja, opanowana przez Dominikanów, wietrząca wszędzie herezję. Że obawy nie były przesadzone, dowodem trudności, jakie samo ukazanie się projektu *Rat. Studiorum* w Hiszpanji wywołało. [1])

Należało przeto tak jasno określić stosunek do teologji św. Tomasza i tak ograniczyć swobodę głoszenia nauk nowych *(novitas opinionum)*, aby nie narażać zakonu na ciężkie trudności i przejścia ze strony inkwizycji.

Te uwagi wyjaśniają sytuację i czynią zrozumiałą pierwszą część projektu, noszącą tytuł: *De delectu opinionum.* Podano tam najpierw 11 ogólnych zasad czy reguł, których mieli się trzymać profesorowie teologji w swych wykładach. Reguły te określają, że w nauczaniu teologji, trzeba mieć na oku obronę wiary i ożywienie pobożności (1), dlatego też należy unikać pochopności do nauk i teoryj nowych, choćby nawet nie sprzeciwiały się wierze (2), zwłaszcza jeśli w pewnych prowincjach czy państwach mogłyby wywoływać zgorszenie (4). W teologji należy trzymać się nauki św. Tomasza, z wyjątkiem 17 zagadnień, szczegółowo wymienionych, od których wolno odstępować (5). Podobnie szczegółowo wymieniono 21 zagadnień, które należało w zdeterminowanej formie wykładać, chociaż zagadnień tych św. Tomasz nie porusza (6—7). Zagadnienia, w których zostawiono wolność, należy rozważać spokojnie, z godnością, bez piętnowania poglądów przeciwnych (8). Obowiązek trzymania się św. Tomasza odnosi się wyłącznie do jego tez i wniosków teologicznych, a nie do komentarzy tych wniosków i nie do zagadnień filozoficznych; stanowisko profesora do tych ostatnich określają osobne zasady dla wydziału filozoficznego (9). W wyjaśnianiu prawd wiary nie należy zbyt pochopnie zbijać dowody teologów wybitnych, lub wymyślać nowe, pozbawione mocnych i ogólnie przyjętych podstaw (10). Zagadnienia, których nie

[1]) O tem patrz Pachtler, II, str. 17 i nast.

uwzględnia św. Tomasz, lub wogóle zagadnienia nowe, należy również rozwiązywać w oparciu się na wybitnych autorach (11).

Reguły te uzupełniono obszernym komentarzem *(Commentariolus)*, zawierającym uzasadnienie potrzeby takiego ograniczenia swobody i zbicie zarzutów, któreby można było słusznie podnieść, a wreszcie dołączono dwa dalsze dodatkowe zestawienia tez teologicznych; pierwsze obejmuje opinje z *Summy* św. Tomasza, co do których profesorom jezuickim zostawiono swobodę, drugie ustala obowiązkowe brzmienie tez z egzezy Pisma św. i t. zw. kontrowersyj, czyli traktatów o Kościele, papieżu i urzędzie nauczycielskim Kościoła.

Część druga, znacznie obszerniejsza, przynosi właściwą ordynację studjów: *Praxis et ordo Studiorum*. W 14 rozdziałach ujęto organizację i przepisy nauczania teologji, wśród nich znajdujemy kilka rozdziałów ogólnych, odnoszących się także do filozofji i szkoły średniej. Obok rozdziału o wakacjach, których projekt nie uznaje i nie przewiduje, rozdziału o stopniach akademickich, dysputach i powtórkach, mamy osobny ustęp: *de modo praelegendi*, w którym potępiono dyktowanie, jako nieodpowiednie.

Studjom filozoficznym poświęcono 2 rozdziały; przewiduje się 3-letni kurs, 11 godzin tygodniowo wykładu filozofji scholastycznej, 5 godzin powtórek, ćwiczeń i dysput, 6 godzin etyki i 6 godzin matematyki. Bardzo silny nacisk kładzie projekt na konieczność wykładania filozofji moralnej, czyli etyki przyrodzonej (prawo natury). „Wykładania tej nauki — czytamy — domaga się szlachta; etyka kładzie podstawy pod teologję moralną, dlatego nauczanie filozofji moralnej ułatwi pracę profesorowi teologji, wielką przyniesie pomoc tak słuchaczom prawa cywilnego, jak i przyszłym nauczycielom nauk humanistycznych, w których często zachodzą sprawy, złączone z zagadnieniami etycznemi. Wreszcie, jeśli nie będziemy wykładali etyki, to nasze Akademje będą ułomne i niepełne." [1]) Niestety te mądre uwagi nie zostały zrozumiane; nauczanie etyki przyrodzonej w szkołach jezuickich poszło w zapomnienie, zaniedbano tę tak ważną

[1]) Pachtler, II, 134.

dziedzinę wiedzy; po 150 latach trzeba było wprowadzać ją do szkół pod naciskiem prądów Oświecenia.

15 ostatnich rozdziałów zajmuje się szkołą średnią.

Piękne ustępy o wielkości zawodu nauczycielskiego i wartościach wychowawczych i kulturalnych języków i kultury klasycznej i nauk humanistycznych, pozostaną na zawsze tytułem chluby zakonu. W trosce o dobrych i gorliwych nauczycieli szkół średnich projekt wysuwa pomysł niezmiernie ciekawy, który jednak nie został w życie wprowadzony. Powołując się na doświadczenie, projekt stwierdza, że bardziej odpowiednimi na nauczycieli klas gramatykalnych są ci, którzy jeszcze nie słuchali filozofji scholastycznej. Pomijając już to, że tacy młodzi nauczyciele łatwiej dają się kierować prefektowi studjów, stwierdzono z praktyki, że absolwenci filozofji przeszczepiają do gramatyki subtelności i zawiłości filozoficzne, a przez studjum filozofji nabierają barbarzyństwa języka i stylu, barbarzyństwa zaś tego bardzo niełatwo się potem pozbyć. Dlatego projekt uważa za bardziej wskazane, aby gramatyki uczyli młodzi nauczyciele przed rozpoczęciem studjów filozoficznych, należy tylko dbać bardzo o przygotowanie dobrych nauczycieli, opiekować się nimi szczególnie i w opinji utrzymywać przeświadczenie o wielkości stanu nauczycielskiego. Za korzystne uważa projekt, aby nauczyciele prowadzili swoją klasę od najniższej aż do humaniorów włącznie.

Bardzo gorąco zaleca się naukę języka greckiego. Oficjalną gramatyką języka łacińskiego szkół zakonu ma być podręcznik Alvara, po przeprowadzeniu w nim licznych zmian i dostosowaniu do poziomu umysłowości młodzieży. Wobec wielkiej zwykle liczby chłopców w klasach gramatyki, przewiduje projekt możliwość, wedle praktyki Kolegjum Rzymskiego, rozbicia każdej klasy gramatyki na dwa oddziały, tak aby nauka w klasach gramatykalnych trwała lat 6.

Wskazówki wychowawcze są nieliczne, odnoszą się przedewszystkiem do wychowania religijnego; wychowawcy usilnie poleca się zachowanie złotego środka między pobłażliwością a surowością i zbytecznem wglądaniem w zachowanie się i życie młodzieży. O instytucji cenzorów i donoszeniu nie spotykamy ani słowa. Mamy już zato w całości rozbu-

dowany system środków budzenia pilności i zapału do nauki; podział na dekurje, współzawodnictwo, popisy publiczne, nagrody i teatr.

Projekt kończy się rozkładem godzin dla szkół, uwzględniającym systemy liczenia czasu w różnych krajach.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie i naczelnych ideach pierwszy plan szkolnictwa jezuickiego.

III.

Nad planem tym miała być po wszystkich prowincjach przeprowadzona przez komisje, do tego powołane, wyczerpująca dyskusja. Członków tych komisyj, najmniej pięciu, mianował prowincjał. Taką też komisję utworzył prowincjał polski, P. Campano, po nadejściu egzemplarzy projektu. Liczyła ogółem 18 członków (9 Polaków i 9 cudzoziemców), nie wszyscy jednak brali udział w obradach osobiście, lub przez cały czas jej działania. Przewodniczącym był sam prowincjał Campano, jego zastępcą rektor Akademji Wileńskiej, prof. teologji Garzias Alabiano. Inni stali członkowie: Filip Widmanstadius, kanclerz Akademji, St. Grodzicki, profesor teologji, A. Arias, profesor teologji, Em. Vega, profesor teologji, A. Brocus, profesor kontrowersyj, L. Rubenus, rektor kolegjum w Rydze, Fr. Bartsch, rektor w Brunsberdze i sekretarz Komisji. Krótki czas pracował T. Busaeus, rektor w Dorpacie. Dla spraw wydziału filozoficznego dobrano L. Krakera i M. Śmigleckiego, profesorów filozofji, a dla spraw studjów humanistycznych A. Alemaniego, prof. retoryki, , K. Morarisa i J. Safarniusa, byłych nauczycieli humaniorów, a wówczas studjujących teologję. Na piśmie uwagi swoje przesłali: J. Wujek, L. Faunteus, Anglik, profesor kontrowersyj z Poznania i A. Jungius, profesor matematyki z Poznania.

W zrozumieniu doniosłości zadania, zaczęto pracę w październiku 1586 r. uroczystem nabożeństwem do Ducha Św., w którem wzięło udział całe kolegjum akademickie. Metodę pracy zastosowano bardzo sumienną i ścisłą. Prywatnie każdy z członków Komisji przygotowywał ustęp projektu, który miał być dyskutowany na najbliższem posiedzeniu. Posiedzenia przez pierwszych kilka tygodni odbywały

się w czwartki, niedziele i święta, a więc dni wolne od wykładów, i trwały od godz. 2 do 5½ popołudniu. Gdy się przekonano, że praca postępuje powoli, zwoływano posiedzenia w dalszych tygodniach prawie codziennie, poświęcając dyskusji po dwie godziny. Skończono w styczniu 1587 r., praca trwała więc 4 miesiące.

Na sesji najpierw każdy z uczestników przedstawiał swoje zdanie, potem dwu referentów, dobieranych odpowiednio do zagadnienia, roztrząsało sprawę dokładnie i zasadniczo, wreszcie przeprowadzano dyskusję, którą kończono zawsze rezolucją, w razie różnicy zdań głosowaną większością głosów. Niektóre ważniejsze zagadnienia zajmowały po kilka posiedzeń, a pierwsze tygodnie poświęcano wyłącznie znanej nam kwestji: *de delectu opinionum*. Chociaż, jak to zobaczymy niżej, komisja oświadczyła się za pozostawieniem szerokiej wolności profesorom zakonu, a przeciw ustaleniu wykazów tez z *Summy* św. Tomasza, tak obowiązujących jak i fakultatywnych, to jednak ponieważ w projekcie wykazy te zamieszczono, więc i Komisja również i te kwestje przepracowała. Czterech teologów podzieliło między siebie 4 części *Summy;* każdy z nich przechodził artykuł za artykułem, wypisywał twierdzenia, które uważał za obowiązujące lub fakultatywne; potem szukał uzasadnienia tego podziału w dziełach teologów. W ten sposób przygotowane wykazy otrzymywali najpierw trzej inni członkowie podkomisji, dodawali swoje uwagi, a wreszcie przeprowadzano dyskusję na pełnej komisji i kończono głosowaniem.

Wynik prac Komisji ujęto w obszerny protokół, który przesłano do Rzymu. Protokół ten udało się autorowi znaleźć po długich poszukiwaniach po wszystkich bibljotekach i archiwach polskich i wielu największych zagranicznych. Stało się to właśnie wtedy, kiedy już stracił wszelką nadzieję odnalezienia i tam, gdzie, sądząc po charakterze archiwum, nie można było tego nawet przypuszczać.[1])

[1]) Archiwum tem jest t. zw. *Fondo Gesuitico*, część włoskiego Archiwum Państwowego, dawne jezuickie archjwum prokuratora generalnego. Prokurator generalny załatwiał wszystkie sprawy między zakonem i jego generałem a Stolicą św. i Kongregacjami papieskiemi. Stąd archiwum prokuratorji zawierało wyłącznie akta urzędowe i sądowe, dotyczące wszel-

To szczęśliwe odkrycie dało nam cenny i bardzo interesujący, jak o tem będzie można się przekonać z dalszych wywodów, dokument z dziejów polskiego szkolnictwa i polskiej myśli naukowej.

IV.

Rozkład treści polskiego memorjału, tak go będziemy dalej dla krótkości nazywali, dostosowany jest do znanego nam już podziału projektu. A więc najpierw przedstawia pogląd Komisji na sprawę *de delectum opinionum*, pogląd niespodziewany i bardzo nawet frapujący.

Formuła o wyborze poglądów teologicznych, odbierająca profesorom teologji swobodę nauczania przez to, że ją ogranicza tak przez ogólne reguły, jak i przez szczegółowe wykazy tez, została poddana wyczerpującej krytyce i w ostatecznym wyniku dyskusji uznano ją za nieodpowiednią, ponieważ nakłada za wielkie ograniczenia, wiąże zbytnio i wyłącznie z nauką św. Tomasza. [1])

Opinję swoją Komisja udowadnia bardzo wyczerpująco 5 grupami dowodów. I tak najpierw Komisja uważa, że formuła sprowadzi w skutku więcej ujemnych skutków, niż korzyści. Zdaje się bowiem sprzeciwiać dobru Kościoła. Historja uczy, że wiele tez, czyli poglądów teologicznych, nie będących oczywiście prawdami wiary, uważanych w czasach spokojnych za prawdopodobne, w okresie herezyj wskutek wzmożenia dyskusyj, zostało rozwiązanych wprost przeciwnie. Niebezpieczeństwem byłoby przeto ustalanie raz na zawsze poglądów

kich spraw prawnych, sporów, procesów i t. d. W okresie przewrotów dostało się tam także sporo dokumentów, nie mających nic wspólnego z zakresem działania prokuratora. Dokumenty te w Archiwum Państwowem nie były uporządkowane; po zwrocie całego *Fondo* zakonowi, zaczęto je sortować. Ujęto je w dwa działy: *Collegia* i *Epistolae selectae*. Otóż właśnie w dziale *Collegia* (nie skatalogowanym jeszcze) w tece 160. znalazłem zeszyt in 4⁰, oprawny w pergamin, liczący 90 stron pisma dość drobnego. Tytuł: *De Ratione atque Institutione Studiorum per sex Patres deputatos Romae a. 1585 conscripta. — Iudicium Congregationis Prov. Poloniae mandato R. P. N. ad eundem finem celebratae Vilnae A. 1586 mensibus Octobre, Novembre et Decembre, et Ianuario sequente.*

[1]) „Visum omnino, minus idoneam esse formulam istam, nimiamque imponere obligationem nostris, in eo maxime, quod ad unum St. Thomam ita arcte velit esse constrictos." *Iudicium*, str. 9.

św. Tomasza, zawartych w tysiącznych artykułach jego *Summy*, a zaliczenie do wątpliwych i nieobowiązujących zaledwie 50 tez, mimo że najwybitniejsi teologowie, tacy jak Bonawentura, Albert, Durand, Skot, Okkam, nie mówiąc o wielkich teologach jezuickich, dają inne rozwiązania, nie pozbawione uzasadnienia. Więcej zobaczy mnóstwo oczu niż jedno. Wskutek tego takie ustalenie tylu szczegółowych poglądów przecina możliwość nietylko nowych rozwiązań i wyjaśnień, lecz także możliwość badania wogóle.

Takie ograniczenie sprzeciwiałoby się również dobru zakonu, ponieważ uniemożliwi zjawienie się podobnie wielkiego jak św. Tomasz teologa; zakon dominikański nie miałby św. Tomasza, gdyby swoich teologów przed św. Tomaszem zobowiązał do trzymania się jednego autora. Wolno nam się spodziewać, że Towarzystwo Jezusowe, zwłaszcza gdy zdobędzie większą ilość członków, będzie mogło swych uczonych uwolnić od wszelkich innych zajęć, by mogli oddawać się studjom teologicznym. Jeśli zaś raz na zawsze określi się zakres i treść nauki, to cała praca zostanie sprowadzona do pytania, nie o to co jest prawdą, ale czego nauczył św. Tomasz. Ponieważ w wykazach tez i to także zostanie ściśle określone, przeto usunięty zostanie bodziec pilności, zadanie profesora będzie sprowadzone do nieco odmiennego powtarzania jednego i tego samego. Uczniowie, wiedząc, że słyszą to samo, co ich starsi koledzy, postarają się o skrypta, nie będą brali czynnego udziału w pracy; dysputy stracą wszelkie znaczenie, ponieważ wyłącznym ich przedmiotem będzie kwestja: czy św. Tomasz tak uczył.

Powtóre uważa Komisja polska, że przez takie ustalanie tez i ograniczanie swobody profesorów teologji nie osiągnie się zamierzonego celu. Uczy bowiem doświadczenie, że nie można na dłuższą metę określać drobiazgowo poglądów, których mają się trzymać profesorowie. Generał Fr. Borgjasz ogłosił w r. 1565, a więc zaledwie 20 lat przed wydaniem projektu, wykaz tez, obowiązujący wszystkich profesorów, a oto z tych niewielu tez w nowych wykazach projektu znalazło się zaledwie kilka, a jedna została nawet ustalona w znaczeniu wprost przeciwnem. Nadzieja osiągnięcia, przez ograniczenie swobody, jedności nauki i zgody w zakonie

zawiedzie również, ponieważ do wywołania sporów wystarczy tych 50 tez fakultatywnych; skrajni nawet dominikańscy Tomiści, chociaż zdają się przysięgać na słowa św. Tomasza, to jednak między sobą spierają się i walczą, i to energicznie, o znaczenie jego słów.

Cel zamierzony, po trzecie, da się osiągnąć właśnie przez swobodę wykładania. Właściwą bowiem przyczyną sporów nietyle jest wolność zdania, ile swarliwość i zawziętość w bronieniu swych poglądów i w zwalczaniu poglądów przeciwnych". [1])

Skromność i miłość, oto najlepsze rozwiązanie sprawy. Zamiast ustalać wykazy tez, byłoby bardziej pożyteczne, aby zestawiono katalog teologów klasycznych (dosłownie *classicorum*), których wolnoby było się trzymać.

Nie przekonują wreszcie Komisji racje, mające przemawiać za wyłącznością *Summy* św. Tomasza. Prawdą jest, że w Towarzystwie od samego początku uważana była za pierwszy podręcznik, z tego jednak nie wynika wyłączność całej nauki św. Tomasza (z wyjątkiem 50 tez). Św. Tomasz zajmuje pierwsze miejsce wśród innych teologów, jeżeli się ich bierze poszczególnie; przeciwstawia się tutaj św. Tomasza i k a ż d e g o p o s z c z e g ó l n e g o autora; z tego jednak nie wynika, żeby nauka św. Tomasza była wyłącznie przyjęta w przeciwstawieniu do nauki innych teologów r a z e m w z i ę t y c h. *Konstytucje* (Cz. IV, c. 14) wyraźnie rozróżniają dwie rzeczy: autora, którego się ma wykładać, którego ma się uważać za *liber textus*, i autorów, których poglądy trzeba przyjmować. Pierwszym jest św. Tomasz, drugimi zaś wogóle wybitni teolodzy. Pewniejsza jest nauka św. Tomasza, jeśli się ją zestawia z nauką poszczególnych scholastyków; nie można tego jednak powiedzieć w zestawieniu z ogólną nauką ogółu, czy większości. W teologji zaś ważniejszym jest t. zw. *sensus communis*, *opinio communis*, niż zdanie jednego, choćby najwybitniejszego teologa. Wielkość i wartość *Summy* św. Tomasza polega właśnie na tem, że w zasadniczych zagadnieniach najlepiej wyraża opinje ogólne przyjęte, z tego też powodu nie można jego opinji przeciwstawiać opinji ogółu, ale zostawić swo-

[1]) Memorjał, str. 17—18.

bodę, by zdania św. Tomasza mogły być zawsze zestawiane, oświetlone i badane poglądami innych teologów.

Autorzy memorjału nie ograniczają się do krytyki zasad o wyborze opinij, ale proponują własną, nową ich redakcję.

Druga reguła (patrz wyżej str. 75) głosi zasadę, że nie należy uczyć zdań nowych wbrew ogólnej, powszechnej nauce teologów i filozofów. Komisja sądzi, że konieczną jest rzeczą określić, na czem polega ta powszechność, ilu i jacy autorzy ją stanowią. W tym celu byłoby rzeczą bardzo pożyteczną, aby ułożyć listę takich wybitnych autorów. Należałoby również dodać, że nietylko trzeba unikać zdań nowych, ale poprostu zakazać obrabiania kwestyj błahych, dziwacznych, niezwykłych (*curiose et absurde sonantibus*).

Ta ostatnia uwaga polskiej Komisji przynosi jej wielki zaszczyt. Jej słuszność i potrzebę potwierdził upadek jezuickiej, zwłaszcza polskiej scholastyki XVII w. [1])

W miejsce reguł 5, 6 i 9, określających stosunek jezuickich teologów do *Summy* św. Tomasza, a uznanych przez Komisję za nieodpowiednie, proponuje Komisja jedną regułę; przytaczamy ją w całości, ponieważ doskonale oddaje poglądy polskich teologów. „Na wydziale teologicznym należy wykładać (ściśle: używać jako podręcznika do wykładu) scholastyczną naukę św. Tomasza, chyba gdyby O. Generał uznał, że należy zatrzymać Magistra Sententiarum (P. Lombarda) tam, gdzie się go dotychczas czytało albo przygotować nowy podręcznik, bardziej praktyczny i dostosowany do tych czasów. W nauczaniu zaś należy iść za nauką bezpieczniejszą i pewniejszą i za tymi autorami, którzy ją głoszą. Ponieważ zaś za taką uważana jest nauka św. Tomasza, przeto od jego poglądów i metody rozwiązywania zagadnień nie należy odstępywać, o ile inni, liczni a wybitni autorzy, słowami jasnemi nie uczą inaczej, lub o ile zdania różne od poglądów św. Tomasza nie są ogólnie i bardziej przyjęte po Akademjach". [2])

---

[1]) Patrz o tem: St. Bednarski: *Upadek i odrodzenie szkół jezuickich w Polsce,* rozdział XI.

[2]) *Memorjał,* str. 21 i 22. Przytaczamy tekst w brzmieniu oryginalnem: In Theologia doctrina scholastica D. Thomae praelegatur, nisi P. N.

Atakuje również Komisja regułę 7-ą; żąda ona, aby wątpliwe miejsca i poglądy św. Tomasza, odmiennie rozwiązywane przez wybitnych teologów, były przecież, o ile się da, naciągane do ich rozwiązań. Idzie tu poprostu o to, by nawet tam, gdzie św. Tomasz się pomylił, starać się jego zdanie bronić, tłumaczyć i naciągać; tak np. robiono w sprawie Niepokalanego Poczęcia, którego św. Tomasz nie przyjmował, a które mimo to niektórzy komentatorzy starali się za wszelką cenę w niego wmówić. Memorjał nasz takie postępowanie uważa za niewłaściwe; gorszy to katolików, gdy widzą, że wbrew oczywistości naciągamy dowolnie poglądy św. Tomasza, a heretyków utwierdza w opinji, nieraz już wypowiedzianej, że teolodzy jezuiccy zwykle tak Ojców, jak i Pismo św. naciągają wedle upodobania do swych poglądów. Z tego powodu Komisja sądzi, iż regułę tę należy usunąć, a gdyby już koniecznie miała zostać, to trzeba ją osłabić.[1])

Tak się przedstawia w zasadniczych momentach krytyka zasad *de delectu opinionum*. Oświadczywszy się przeciw zbytecznemu ograniczaniu swobody profesorów i przeciw ustaleniu wykazów tez, na wszelki wypadek, gdyby wykazy takie miały być utrzymane w ordynacji studjów, Komisja polska, przedyskutowawszy katalog tez z projektu, uzupełniła go znacznie obszerniejszym wykazem zagadnień, w których należałoby zostawić swobodę profesorom.[2])

Generali videretur, vel retinendus Magister Sententiarum, ubi hactenus legi consuevitur, vel alia summa in Societate conficienda, utilior et his temporibus accomodatior, iuxta Constitutiones. Sequentur vero in docendo omnes semper securiorem et magis approbatam doctrinam et eos authores qui eam docent. Qualis quia D. Thomas communiter censetur, nostri ab eius conclusionibus et methodo quaestionum ne discedant, nisi a classicis doctoribus multis et gravibus contrarium idque verbis claris, non per interpretationem traductis, doceatur, vel in Academiis communiter et magis receptum obtinuerit.

[1]) *Memorjał*, str. 23 i 24.

[2]) *Memorjał*, str. 26—39. Tych wykazów nie analizujemy, ponieważ poruszają sprawy bardzo specjalne, mogące być zrozumiałe i interesować tylko teologów specjalistów.

(Dokończenie nastąpi.)

Ks. Stanisław Bednarski T. J.

Gen. Wysocki w czasie wojny krymskiej.

Gdy w roku 1853, car Mikołaj I., dążąc do hegemonji na Morzu Czarnem, wywołał wojnę z Portą Otomańską pod pretekstem opieki nad chrześcijanami w Turcji, cała emigracja polska uznała chwilę za odpowiednią do podniesienia sprawy ojczystej.

O ile co do ważności dla Polski wojny z Rosją zgadzały się wszystkie stronnictwa emigracyjne, o tyle różniły się między sobą co do dróg prowadzących do celu.

Centralizacja londyńska, skupiająca w swem gronie wydalonych z Francji kierowników Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, oraz rozbitków z kampanji węgierskiej, zorjentowana mocno na lewo, nie chciała słyszeć o łączeniu się z któremkolwiek z państw „tyrańskich". Pragnęła ona przeniesienia wojny na teren Polski, przez wywołanie w Polsce powstania. Worcell i Zienkowicz prowadzili w tym kierunku silną agitację; do tego samego parł Demokratyczny Komitet Europejski, łączący najwybitniejszych demokratów europejskich, z których zwłaszcza Kossuth propagował powstanie polskie. Jednak wysłani do kraju emisarjusze, częściowo zostali ujęci, częściowo nic nie wskórali, bo do Centralizacji odnoszono się z nieufnością, a nawiązano już stosunki z emigracją paryską.

W Paryżu za reprezentanta sprawy polskiej uważał się ks. A. Czartoryski i w imieniu emigracji pertraktował z rządami, zwłaszcza francuskim; pomagały mu w tem wyrobione stosunki z dyplomatami i z Napoleonem III. Miał on też oddawna na Wschodzie swoich agentów, jakimi byli J. Woronicz, Fr. Zach, a zwłaszcza Michał Czaykowski; gdy zaś ten, sformowawszy pułk kozaków sułtańskich, wstąpił do służby tureckiej i przyjąwszy mahometanizm, nie mógł już oczywiście być agentem obozu wyraźnie katolickiego, nie-

mniej nadal pozostawał z nim w dobrych stosunkach. Agencję wschodnią Czartoryskiego oddano wtedy kierownictwu W. Kościelskiego. Z ramienia Czartoryskiego miał jechać do Turcji Wł. Zamoyski, aby tam formować legjon polski.

Czartoryski - monarchista był jednak znienawidzony przez demokratów, których sporo przebywało w Paryżu. Na wieść o wybuchu wojny Rosji z Turcją zawiązali oni „Koło Polskie", którego prezesem był Teofil Januszewicz, a sekretarzem Seweryn Elżanowski. Głównymi jednak członkami byli gen. Józef Wysocki i Ludwik Mierosławski. „Koło", upewniwszy się, że narazie powstanie w Polsce jest niemożliwe, postanowiło natychmiast działać przez utworzenie legjonu polskiego przy wojsku tureckiem. Organizatorem wybrano gen. Wysockiego; pismo, opatrzone przeszło półtora tysiącem podpisów demokratów, upoważniło go do pertraktowania z Turcją o utworzenie legjonu, którym też miał dowodzić. „Koło" miało za sobą poparcie demokratycznie usposobionego ks. Napoleona.

W ten sposób ten sam cel: utworzenie polskiego legjonu w Turcji, przyświecał dwom wrogim obozom, demokratów i monarchistów. Oczywiście zdawano sobie sprawę, że takie rozdwojenie wpłynie niekorzystnie na bieg sprawy. Toteż dążono do porozumienia się obu stronnictw. Domagali się tego zwłaszcza delegaci z kraju, którym obce były emigracyjne spory. Na emigracji, politykę porozumienia się między stronnictwami reprezentował przedewszystkiem Mickiewicz; w późniejszym liście do Wysockiego z Paryża pod dn. 2 maja 1854 r. pisał: „powinniśmy ciągle starać się otrząsnąć z wpływu stronniczego; trzymajmy rzecz czysto narodową, a co jest dobrego we wszystkich stronnictwach, pójdzie nakoniec tam, gdzie zobaczy bezinteresowność i braterstwo". [1])

W listopadzie 1853 r. Mickiewicz urządził w swem mieszkaniu spotkanie dwóch projektowanych organizatorów legjonu: Wysockiego i Zamoyskiego. Do porozumienia jednak nie doszło; postanowiono, że każdy na własną rękę będzie robił starania w Konstantynopolu. Sympatje Mickiewicza zwróciły się w stronę Wysockiego.

„Koło" znajdowało się w gorszem położeniu, niż stronnictwo Czartoryskiego, bo ani nie posiadało funduszów, ani, jako towa-

[1]) Cytuję za M. Handelsmanem — *Mickiewicz w latach 1853—1855*. — Warszawa 1933, str. 11.

rzystwo demokratyczne, nie cieszyło się zaufaniem rządów monarchicznych.

„Komitet Wielkopolski" gotów był dawać fundusze na organizowanie legjonu, ale obecność w „Kole" znienawidzonego Mierosławskiego sprawiała, że kraj zwracał się raczej w stronę Czartoryskiego. Zaufanie miał jeden Mickiewicz, na którego ręce J. Mittelstedt złożył 3.500 fr.[1])

Za namową demokratów ks. Napoleon zaprojektował utworzenie specjalnej komisji legjonowej. Dało to odrazu sposobność, zawsze niespokojnemu, Mierosławskiemu do podstępnych knowań, zmierzających do osiągnięcia w niej przewodnictwa. Legjonowy Komitet Funduszowy, w skład którego mieli wchodzić: Mickiewicz, Gałęzowski i Ordęga, nie wyszedł poza sferę projektu, gdyż chciano zaczekać na nominację Wysockiego dowódcą legjonu.[2])

Ostatecznie gen. Wysocki, otrzymawszy od K. Branickiego 5000 fr., wyjechał 15 grudnia 1853 r. wraz z S. Bielińskim i H. Ruszczewskim do Konstantynopola. Zastępcą Wysockiego w Paryżu w sprawach legjonu został Mierosławski, a emigranci mieli czekać, dopóki nie dostaną wiadomości od generała.

O wszystkich zabiegach Wysockiego w Turcji, mamy zródło jak najwiarygodniejsze, mianowicie „Dziennik czynności i wypadków podczas misji generała Wysockiego do Turcji od 11 grudnia 1853 r. do 8 lutego 1855 r.". Rękopis tego dziennika znajduje się w Bibljotece Jagiellońskiej pod nr. 6297, gdzie dostał się ze zbiorów po J. Korzeniowskim.[3]) Jest to kalendarz - notatnik wielkości 35×12.5 cm, o 186 stronnicach, zapisywany z dnia na dzień przez towarzyszów generała: H. Ruszczewskiego (od 11. XII. 1833 do 5. I. 1854 i od 1. VIII. 1854 do 8. II. 1855), i S. Bielińskiego (od 6. I. 1854 do 31. VII. 1854). Przy jego pomocy możemy śledzić działalność gen. Wysockiego niemal dzień po dniu.

W drodze do Turcji gen. Wysocki zatrzymał się w Lyonie i Marsylji, dając tam informacje emigrantom, co do ich zachowania się i co do swojej misji. W Marsylji wsiadł na okręt i 4 sty-

[1]) Handelsman l. c. str. 19.

[2]) Por. Handelsman l. c. str. 23. Inaczej pisze o tem A. Lewak — Czasy wielkiej emigracji — w dziele *Polska jej dzieje i kultura* t. III. rozdział XXV—XXVII, str. 293. — Skąd zresztą pozatem zaczerpnąłem nieco szczegółów.

[3]) Ogłosił go ostatnio drukiem M. Handelsman w *Przeglądzie Hist.* 1933, nr. 2.

cznia 1854 r. wylądował w Konstantynopolu, przyjmowany z zapałem przez tamtejszych Polaków. W Turcji przebywało wielu Polaków, przeważnie emigrantów po kampanji węgierskiej z F. Sokulskim i ks. Mikulskim na czele. W imieniu tej emigracji Sokulski złożył w rządzie tureckim pismo o utworzeniu legjonu polskiego; równocześnie „Koło" wysłało z Paryża podobny memorjał.

Zaraz po przyjeździe gen. Wysocki zaczął składać wizyty u wpływowych osób, chcąc zapewnić sobie ich poparcie.

Ambasador francuski Baragey d'Hiliers oświadczył, że sprawy Wysockiego nie może popierać, dopóki nie otrzyma polecenia od swego rządu.

Rozmowy z seraskierem (tureckim ministrem wojny) Mechmetem Ali, oraz z szefem jego sztabu Tefikiem wskazywały, że możliwość podniesienia sprawy polskiej nastąpi wtedy, gdy Austrja połączy się z Rosją.

Bardzo przychylnie usposobiony był dla Polaków Braun, *chargé d'affaires* Stanów Zjednoczonych; wiele też razy dawał emigrantom polskim dowody swej życzliwości.

Braun jednak nie miał takiego znaczenia, jakie miał ambasador angielski lord Redcliffe Canning. Był to doskonały dyplomata; zawsze ugrzeczniony, liczący się z każdem wypowiedzianem słowem, wiele obiecywał, mało odmawiał, a w gruncie rzeczy postępował tak, jak było najkorzystniej dla polityki angielskiej. Czaykowski, niechętnie do niego usposobiony za jego opiekę nad Wysockim, pisał do Czartoryskiego, że Canning „jest to człowiek bojący się wszystkiego i ciasnego umysłu dyplomata". [1]) Protekcja możnego ambasadora mogła mieć duże znaczenie dla demokratów. Redcliffe oddawna protegował Polaków, narazie jednak i on uważał chwilę za nieodpowiednią do wystąpienia, a to głównie ze względu na Austrję; obiecywał w każdym razie, jak tylko się nadarzy okazja, całe swoje poparcie.

Lord Dudley Stuart, wielki przyjaciel Polaków, nakłaniał Wysockiego do porozumienia się z Zamoyskim.

Nie zaniedbał Wysocki nikogo, kto mógł mieć jakiś wpływ w rządzie tureckim; wszystkich odwiedzał, przedstawiał swoje zamierzenia, prostował fałszywe opinje i prosił o poparcie. Równocześnie składał ciągle pisemne memorjały do seraskiera i ambasadorów.

[1]) Fr. Rawita-Gawroński — *Materjały do historji polskiej XIX wieku.* Kraków 1911, str. 24.

Posiadając listy polecające od Welly paszy, ambasadora tureckiego w Paryżu, był też u wielkiego wezyra; przedstawiał mu wzajemne korzyści z połączenia sprawy polskiej z turecką, zapewniając, że „Polska wolna stanie się przedmurzem Turcji". W. wezyr zgadzał się z zapatrywaniami generała, był bardzo uprzejmy, obiecywał poparcie, ale... w przyszłości.

Pracę utrudniali Wysockiemu stronnicy Czartoryskiego, którzy robili mu wszędzie złą reklamę; odznaczał się w tem zwłaszcza Bystrzanowski, który był doradcą wojskowym w sztabie wodza armji azjatyckiej. Alleon rozgłaszał wprost, że Wysocki nie jest generałem.

Ze swej strony działał przeciw Wysockiemu Sadyk pasza Czaykowski. Wysocki był przeciwny całej działalności Czaykowskiego. Uważał, że pułk kozaków, sformowany przez niego z mieszaniny najróżniejszych narodowości, w której Polacy stanowili tylko niewielką część, bez polskiego sztandaru, nie ma żadnego znaczenia dla sprawy polskiej, a jest tylko zwyczajnym pułkiem tureckim; toteż zwalczał Sadyka zarówno w dyplomacji, jak i wśród emigrantów. Czaykowski wiedział o tem i nie pozostawał dłużnym. W liście do Mickiewicza z 17 października 1855 r., opowiadając o swej działalności, pisał: „...wyrobiłem rozkaz, by mu (Wysockiemu) kazano wyjechać ze Stambułu; jak się potem dowiedziałem, rozkaz był przerobiony przez lorda Redcliffe, który Wysockiego wziął pod swoją opiekę, jako narzędzie do niweczenia w potrzebie robót księcia Adama i moich". [1]) Tak więc opiece obcego ambasadora miał Wysocki do zawdzięczenia możność pozostania w Turcji.

Tymczasem dnia 26 stycznia przybył do Konstantynopola Wł. Zamoyski; popierał go Baragey d'Hiliers, który takie polecenie otrzymał od rządu francuskiego. Było to oczywiście wynikiem starań Czartoryskiego.

Zapewne z inspiracji Zamoyskiego zjawił się u Wysockiego W. Kościelski, nowy kierownik agencji Czartoryskiego na Wschodzie, który właśnie przybył z Paryża. Nakłaniał generała do połączenie się z Zamoyskim, zapewniając, że Czartoryski zupełnie nie myśli o koronie polskiej. Niemożność porozumienia okazała się już w Paryżu, a wizytę Kościelskiego uznał Wysocki za podstęp,

[1]) *Kozaczyzna w Turcji.* Paryż 1857, str. 250.

mający na celu wybadanie go. To, co Kościelski mówił o Czartoryskim, mijało się zresztą z prawdą, skoro w maju tegoż roku, Ludwika Śniadecka pisała do księcia: „Sadyk czuje się w sile zaręczenia, że korona polska mimo Polaków dostanie się domowi Czartoryskich". [1])

Zmiana na stanowisku seraskiera nie polepszyła bynajmniej sytuacji. Nowy seraskier Riza pasza, pozostawał pod wpływem ministra spraw zagranicznych Reszyda paszy; obaj mieli na oku oszczędzanie Austrji, której nie w smak musiało iść organizowanie legjonu polskiego i to pod wodzą Wysockiego, uczestnika kampanji węgierskiej.

Wysocki więc czekał; interesował się narazie organizacją Wołoszczyzny, dokąd pojechał Z. Miłkowski; pozyskał dla sprawy polskiej sympatję Omera paszy, jednego z głównych wodzów tureckich; pisał sprawozdania ze swej działalności do „Koła" w Paryżu.

Dopiero, gdy z początkiem marca Francja i Anglja oficjalnie przystąpiły do wojny po stronie Turcji, chcąc złamać potęgę Rosji, rozeszły się pogłoski, że państwa sprzymierzone nie mają nic przeciwko temu, by sformowano legjon polski.

Wysocki natychmiast udał się do Redcliffe'a. Ten przyznał, że nadeszła odpowiednia chwila do formacji legjonu, choć jeszcze nie otrzymał instrukcyj w tym względzie; nalegał znów na pojednanie z Zamoyskim, proponował ewentualne utworzenie dwóch legjonów, demokratycznego i arystokratycznego. Generał przedstawił niemożność pierwszego i szkodliwość drugiego; zapewniał Canninga, że cała emigracja polska potępia Czartoryskiego i pójdzie za Wysockim; domagał się bezwzględnie sztandaru polskiego, gdyż tylko wtedy legjon mógłby mieć jakieś znaczenie.

Redcliffe oznajmił, że Anglja przez formację legjonu polskiego pragnie naprawić krzywdę, jaką wyrządziła Polsce dyplomacja europejska, pozwalając na to, żeby Rosja bezprawnie zniosła istnienie Królestwa Kongresowego. Oczywiście ambasadorowi angielskiemu chodziło nietyle o krzywdę Polski, ile o interes Anglji, toteż coprędzej się zastrzegł, że państwa zachodnie nie mogą dać gwarancji odbudowania Polski.

Ostatecznie Wysocki miał złożyć Redcliffe'owi projekt organizacji legjonu polskiego z wyrachowaniem kosztów.

---

[1]) Rawita-Gawroński l. c. str. 262.

O utworzeniu legjonu polskiego wspominał też Canning w rozmowie z gen. Klapką; również w. wezyr i Reszyd pasza świeżo robili Polakom nadzieje.

Wysocki był uradowany; starania jego miały być uwieńczone pomyślnym wynikiem. A. Michałowski w swych wspomnieniach, zawierających zresztą wiele fałszów i plotek, tak opisuje stan generała po wizycie u Canninga: „Trzeba było wówczas widzieć pana generała demokratycznego; przyszedłem umyślnie dowiedzieć się; znalazłem generała bardzo energicznie chodzącego po pokoju wkółko w butach mocno skrzypiących. Był tak dobrym, opowiedział całą konferencję z Canningiem, z której był niezmiernie zadowolony, szczególniej, że mu bardzo trafne nastręczały się myśli i odpowiedzi..., wystawiał sobie najpomyślniejsze konsekwencje". [1])

Zamoyski zaniepokoił się takim obrotem rzeczy. Już przedtem składał on Porcie propozycje formowania oddziałów polskich przy pułkach tureckich; występował w imieniu Polaków tak, że emigracja polska w Konstantynopolu złożyła do seraskiera i Reszyda „protestację przeciw działaniu osób nieupoważnionych przez Polaków".

Obecnie słał do Czartoryskiego pełne trwogi raporty i domagał się silniejszego poparcia dyplomacji francuskiej, która zresztą i tak była przychylna Hotelowi Lambert.

Jakoż, dzięki staraniom ks. Czartoryskiego, ambasador francuski otrzymał polecenie zakomunikowania Porcie i ambasadorowi angielskiemu, że cesarz Napoleon III uznaje za reprezentanta sprawy polskiej jedynie księcia. [2])

Wobec tego Baragey d'Hiliers wezwał do siebie generała i przedstawił mu sytuację, zwracając uwagę, że Francja dla Polski zrobić może więcej niż Anglja. Namawiał do pojednania z arystokratami, mówiąc, że dobrzeby było *que Czartoryski soit le drapeau et que vous soyez le bras*. Wysocki zapewniał, że zawsze zachowa lojalność względem rządu francuskiego, na którym mu równie wiele zależy, jak na angielskim, ale na propozycję porozumienia się z Zamoyskim i wspólnego podpisania odezwy do emigracji odpowiedział, że musi czekać na przyjazd Branickiego, który niebawem

[1]) A. Michałowski — *Trzyletni pobyt na Wschodzie* — Londyn 1857, str. 33.

[2]) Tenże l. c. str. 40.

ma zjechać do Konstantynopola. Uważa jednak, że osoba Czartoryskiego, niemającego zaufania wśród emigracji, mogłaby ją tylko odstręczyć od legjonu.

Dn. 1 maja 1854 r. przybył do Konstantynopola ks. Napoleon z Ksawerym Branickim. Na przyjazd Branickiego, od którego wiele oczekiwano, ksiądz Mikulski napisał wiersz kilkuwzrotkowy, zaczynający się od słów:

„Patrz Branicki, Moskal broi
W Polsce naszej, w Polsce twojej.
Kraj zaległy dzikie hordy
Mikołaja — gwałt i mordy.
Czyż nie chwycisz za kord stary?
Dopomogą ci Madziary".

Malarz Piotrowski zaś sparodjował cały wiersz, a pierwszą zwrotkę tak przerobił:

„Patrz Branicki, Moskal broi
W Polsce, co przodkowie twoi
Przedali — a ty rujnujesz,
Że ich synom pokazujesz,
Otwierając kufer stary,
Dając podłym swe talary". [1])

Zdawało się, że szanse demokratów jeszcze wzrosły. Branicki dał znów fundusze, ks. Napoleon naokoło polecał Wysockiego i wszystkie osobistości z rządu tureckiego przychylnie względem niego usposobił.

Zapewniano wszędzie, że sprawa polska wkrótce zostanie podniesiona, ale ostatecznie okazało się, że narazie o utworzeniu legjonu polskiego nie może być mowy, bo państwa zachodnie nie mają w tem żadnego interesu, a Turcja nie jest zbyt pochopna do czynu i nie ma pieniędzy. Nadzieje się rozwiały; Wysocki jednak pozostał w Konstantynopolu, czekając na sposobniejszą chwilę.

Do niepowodzenia akcji Wysockiego przyczyniło się też w znacznej mierze połączenie Austrji z Turcją umową z 14 czerwca 1854 roku. Wojska austrjackie zajęły księstwa naddunajskie, a teren wojny przeniósł się na Krym. Najbliższym celem stało się zdobycie Sebastopola.

Czartoryski również porzucił zabiegi o legjon polski, a w emigracji werbował tylko ochotników do kozaków Czaykowskiego.

[1]) Wiersz oraz parodję podaje A. Michałowski l. c. str. 41—2.

Udawało mu się to ze względu na nędzę emigrantów, mimo protestu większości, która to uznawała za hańbę i zaprzedawanie się do służby w wojsku tureckiem, a oburzenie swe okazywała publicznemi manifestacjami. Zabiegi te nie przeszkadzały księciu nawoływać kraj do zupełnej bierności, dopóki państwa zachodnie nie dadzą gwarancji odbudowania Polski. Zamoyski wraz ze swym sekretarzem Kalinką, siedział w Bukareszcie i kokietował rząd austrjacki, składając do gabinetu wiedeńskiego memorandum o odbudowanie Polski.

Ks. Napoleon dowodził dywizją wojska francuskiego, niezadowolony, że jego zabiegi o legjon polski spełzły na niczem, rozgoryczony, że wpływy jego w wojsku są neutralizowane przez innych generałów; niechętny był zwłaszcza dla St. Arnaud'a, naczelnego wodza armji francuskiej, którego uważał za człowieka niedołężnego i nienadającego się na takie stanowisko. Niewątpliwie odgrywały w tem dużą rolę osobiste ambicje księcia.

Wojska sprzymierzonych dziesiątkowała cholera i febra. Mimo to pierwsza bitwa nad rzeką Almą dn. 4 września zakończyła się klęską Rosji. Austrja narazie zachowywała neutralność, jednak w rzeczywistości kryła potajemne sprzyjanie Rosji.

Wysocki pozostawał bezczynny; porozumiewał się z ks. Napoleonem, ale okazji do działania nie miał. Utworzył tylko komisję dla zbierania składek dla najbiedniejszych Polaków w Konstantynopolu. Pani Zamoyska odmówiła datków na ten cel, twierdząc, że kto nie ma z czego żyć, zawsze może wstąpić do kozaków Czaykowskiego.

Wysocki oburzony na dwulicowość Czartoryskiego, który z jednej strony żąda bierności, z drugiej — werbuje emigrantów do obcych formacyj, domaga się od „Koła" w Paryżu i demokratów, publicznej protestacji przeciw Czartoryskiemu; miała ona być manifestacją niechęci emigracji do księcia i zepchnąć go raz na zawsze ze stanowiska, reprezentanta sprawy polskiej, jakie sobie przywłaszczył. Podobną publikację, opatrzoną 3000 podpisów, wydano już raz w roku 1834.

Myśl tę z zapałem przyjął przebywający w Lyonie Mierosławski; szybko ułożył projekt protestacji i przesłał go „Kołu" do zatwierdzenia. „Koło" jednak wątpiło, aby obecnie można było zebrać na proteście podpisy większości emigracji, a mała liczba osłabiłaby tylko ważność poprzedniego aktu; wobec tego uznało,

że należy postąpić inaczej. Wysocki przyznał temu rację i radził ogłoszenie francuskiej broszury, w którejby się domagano odbudowania Polski i równocześnie, powołując się na dawniejszą protestację, wykazano, że Czartoryski nie jest powołany do reprezentowania Polski. Mierosławski jednak nic sobie z tego nie robił i na własną rękę rozsyłał po emigracji swoje projekty protestacji, występując bezprawnie w imieniu Wysockiego. Na wieść o tem Wysocki ogłosił oświadczenie, że nie ma z tem nic wspólnego. Odrzucono też projekt Mierosławskiego reorganizacji Towarzystwa Demokratycznego przez połączenie z Centralizacją londyńską, rozwiązanie „Koła" a postawienie Mierosławskiego na Zachodzie i Wysockiego na Wschodzie.

Wynikiem wystąpienia Wysockiego przeciw Mierosławskiemu było zerwanie przez tego ostatniego współpracownictwa z „Kołem" i z generałem.

Wskutek wichrzeń Mierosławskiego, w „Kole" nastąpiło zupełne rozprzężenie, tem bardziej, że znikąd nie miało ono poparcia. Toteż Elżanowski pisał do Wysockiego, by wracał do Paryża i zorganizował jakiś Komitet Narodowy, mający reprezentować emigrację. Wysocki jednak dalej pozostawał w Konstantynopolu, bo znów pojawiły się pewne nadzieje powodzenia.

W październiku 1854 roku rozeszły się pogłoski, że państwa zachodnie myślą o odbudowaniu Polski monarchicznej. Równocześnie dochodziły wieści, że na przyszły tron polski ma być forytowany jakiś arcyksiążę austrjacki; w Galicji już grano melodje narodowe i opowiadano o wspólnej z Austrją wojnie przeciw Rosji. W razie odbudowania Polski, Austrja miała dostać wzamian za Galicję, Mołdawję i Wołoszczyznę. Był to projekt Ludwika Zwierkowskiego-Lenoira,[1]) członka agencji Czartoryskiego w Konstantynopolu, przeciwnika Zamoyskiego i Kalinki; za jego pośrednictwem miało później nastąpić pozyskanie Mickiewicza dla Hotelu Lambert.

W związku z temi projektami Redcliffe Canning zwrócił się z zapytaniem do gen. Wysockiego, jakby się zachował, gdyby państwa odbudowały Polskę, ale monarchiczną i z ks. Czartoryskim jako królem. Wysocki z radością przyjął wiadomość o ewen-

[1]) M. Handelsman. — *Sprawa polska w polityce angielskiej i francuskiej w czasie wojny krymskiej.* Cz. I. — Sprawozdania Pol. AK. UM. 1930. zeszyt IV, str. 17.

tualnem odbudowaniu Polski, choćby monarchicznej; przedewszystkiem pragnął jej niepodległości, a formę rządów odkładał na potem. Z rządów jednak Czartoryskiego przewidywał najszkodliwsze skutki, z powodu jego niepopularności, i to nietylko u demokratów, ale nawet wśród arystokracji. Generał byłby raczej za obcym księciem na tronie polskim; wraz z Redcliffe'm uznał, że najodpowiedniejszym byłby ks. Napoleon, cieszący się sympatją Polaków, przez swój demokratyzm i otaczanie opieką emigrantów.

Zabiegi te o kandydatów na tron polski, nie były czemś nowem w czasie wojny krymskiej. Już parę miesięcy przedtem ks. Czartoryski złożył podobną propozycję ks. Napoleonowi, ale ten odmówił, nie uznając go za przedstawiciela emigracji i czując do niego antypatję. Potem w sierpniu 1854 r. wysłał Czartoryski niejakiego Wołodkowicza do króla szwedzkiego z ofiarowaniem korony polskiej dla jednego z jego synów, ale i ten odmówił. [1])

Rozmowę mianą z Redcliffe'm powtórzył generał ks. Napoleonowi, który właśnie przybył z pod Sebastopola. Książę był pełen najczarniejszych myśli co do wyników wyprawy na Krym, zpowodu fatalnego klimatu, trudności terytorjalnych, fałszywego stanowiska Austrji, a zwłaszcza niedołęstwa wodzów. Pragnął on dostać naczelną komendę nad wojskami sprzymierzonemi, a ponieważ na to się nie zanosiło, nie chciał dalej brać udziału w wojnie i miał zamiar wracać do Paryża. Cesarz i wojska francuskie miały mu za złe takie opuszczenie armji; Wysocki też radził mu najgoręcej powrót na Krym. Narazie o koronie polskiej, książę nie myślał. Ukazała się wprawdzie broszura francuska *Leffre à l'Empereur*, propagująca podniesienie sprawy polskiej, jako ważnego atutu przeciw Rosji, ale rządy oficjalnie jeszcze z tem nie wystąpiły. Wspomniana broszura miała być nawet napisana z polecenia cesarza dla wybadania, jakie wrażenie sprawi możliwość podniesienia sprawy polskiej.

Tymczasem nadszedł dzień 29 listopada, rocznica powstania. Nawet w obchodzie tej rocznicy nie połączyli się w Konstantynopolu stronnicy dwóch wrogich sobie obozów. Kilku członków agencji Czartoryskiego z Bystrzanowskim i Breańskim, którzy dostali dymisję z wojska tureckiego, urządziło nabożeństwo i biesiadę.

[1]) M. Pawlicowa. — „O niektórych pomysłach monarchicznych na emigracji". — *Kwartalnik Hist.* 1927, str. 46.

Większość emigracji stambulskiej skupiła się w tym dniu około osoby gen. Wysockiego, który zresztą z powodu choroby nie kierował obchodem. Po mszy św. odbyła się akademja z przemówieniem niejakiego Cukrowicza, który jednak między ogólnikowemi frazesami patrjotycznemi przemycił nieoczekiwanie kadzidła pochwalne dla arystokracji. Dopiero w czasie skromnego, żołnierskiego śniadania, jakie potem nastąpiło, uczyniono manifestację na cześć generała, „jako rozumnie i z godnością sprawującego misję reprezentanta uczuć, woli i interesów polskich; jako zasługującego na powszechne uznanie, przez wszystkich ukochanego naczelnika patrjotów". (Słowa z toastu Bednarczyka). Wysocki dziękując zapewnił, że „dopóki choć najmniejsze będą nadzieje, misji swojej nie zakończy, nie zejdzie ze straży interesów i honoru polskiego", powierzonych mu zeszłorocznym mandatem. [1])

Jeżeli Wysocki mówił na obchodzie jeszcze o podniesieniu sprawy polskiej, to liczył na Francję, która ostatnio z tem występowała; z kraju też dochodziły wieści, że Poznańskie, Wołyń i Ukraina gotowe są do powstania i czekają tylko na wkroczenie wojsk sprzymierzonych do Polski.

Okazało się jednak, że ostatnie wysunięcie przez Francję sprawy polskiej (*Leftre à l'Empereur*) było tylko jednym ze środków do zawarcia aljansu z Austrją; [2]) sojusz ten zawarto 2 grudnia 1854 r. Austrja zabezpieczyła sobie w ten sposób niepodnoszenie przez państwa zachodnie sprawy włoskiej, czego najbardziej się obawiała. [3])

Od tej chwili też Francja wypuściła ze swych rąk inicjatywę polską; przechodzi ona teraz w ręce Anglji, gdzie premjerem został Palmerston, przedstawiający kierunek zdecydowanie antyrosyjski. [4])

Tymczasem po zawarciu sojuszu z Austrją zaczęto układy o pokój z Rosją. Wojna więc miała skończyć się bez podniesienia

---

[1]) Tendencyjnie i fałszywie przedstawia ten obchód A. Michałowski l. c. str. 126.

[2]) Handelsman l. c. str. 20.

[3]) Obszernie politykę Austrji w czasie wojny krymskiej przedstawia H. Wereszczycki na podstawie archiwum wiedeńskiego: „O sprawę polską w latach 1854 i 1855. *Kwartalnik Hist.* 1927.

[4]) O polityce angielskiej por. Handelsman: *Sprawa polska w polityce angielskiej i francuskiej.* Cz. II. — Sprawozdania z posiedzeń Tow. Nauk. Warsz. Wydz. II. Warszawa 1930.

sprawy polskiej. Sprawa była przegrana; w emigracji polskiej zapanowało rozgoryczenie na dyplomację, która wiele obiecywała a nic nie dotrzymała; Czartoryski przestał werbować Polaków do pułku Czaykowskiego. Ogólnie też sądzono, że sojusz Francji z Austrją w istocie do niczego jej nie obowiązuje; dalej sprzyja ona Rosji i napróżnoby było od niej oczekiwać odbudowania Polski.

Inaczej rzecz pojmował ks. Napoleon. Początkowo był całkiem zgnębiony rozwojem wypadków; przeczuwał, że po klęsce Francji, którą uważał za nieuniknioną, zachwieje się stanowisko dynastji Napoleonów w Europie, a nawet może nastąpi jej upadek; przekonany też był, że Austrja zdradza Zachód; z myśli o Polsce wogóle zrezygnował.

Jednakże w pierwszych dniach stycznia 1855 r. ks. Napoleon zmienił się w pełnego zapału optymistę. Wpłynęło na to ultimatum posłane carowi Mikołajowi, w którem między innemi żądano zniszczenia twierdzy Sebastopolu i części floty z Morza Czarnego. Wobec tak ostrych warunków oczywistem było, że Rosja nie zgodzi się na pokój i wojna będzie trwać dalej; Austrja zaś musi zdecydowanie stanąć po stronie aljantów i zarówno w jej interesie, jak w interesie państw zachodnich będzie złamanie potęgi Rosji i zabezpieczenie się od niej na przyszłość przez odbudowanie silnego państwa polskiego. Książę odrazu wezwał do siebie Wysockiego i z entuzjazmem przedstawił mu całą sprawę, oznajmiając, że już rządy obradują nad „retablisowaniem" Polski. Pytał też Wysockiego, jakby postąpił, gdyby odbudowano Polskę monarchiczną; ten odpowiedział, jak poprzednio Redcliffe'owi, że przedewszystkiem chodzi mu o byt Polski, a forma rządu jest rzeczą mniej ważną i że najodpowiedniejszy na tron polski byłby właśnie książę Napoleon; to ostatnie poddał mu zresztą sam książę, który gotów był dla tronu polskiego, zrzec się następstwa tronu francuskiego. Ze strony Anglji nie obawiano się kontrkandydatów, jedynie można się było spodziewać, że Austrja wszelkiemi siłami będzie się starała narzucić swego arcyksięcia. Toteż trzeba, by sami Polacy wystąpili z kandydaturą ks. Napoleona; książę kładł specjalnie silny nacisk na to, aby poparcie opinji polskiej wyprzedziło wysunięcie kandydata austrjackiego. Jakoż Wysocki przypuszczał, że ks. Napoleona poprze cała emigracja polska, zarówno arystokratyczna, jak i demokratyczna, z Branickim, a zapewne i z Mic-

kiewiczem; jedna Centralizacja byłaby z pewnością przeciwna temu projektowi. Prawdopodobnie kraj również przychylny będzie księciu.

Wysocki miał wracać do Paryża i tam urabiać opinję, narazie jednak, dopóki rządy oficjalnie nie podniosą sprawy polskiej, nie występować wyraźnie.

Generał, jakkolwiek uznawał możliwość podniesienia sprawy polskiej w obecnej chwili, po tylu zawodach postanowił nie komunikować nikomu treści rozmowy oprócz najbliższych mu: Z. Miłkowskiego i H. Ruszczewskiego (dzięki temu ostatniemu mamy ją zanotowaną w „Dzienniku"); obawiał się, by wszystko to nie było marzeniem ks. Napoleona lub chęcią podniesienia siebie w opinji Francuzów, mocno nadwerężonej przez opuszczenie armji i Krymu. Pozostałym emigrantom robił tylko ogólnikowe nadzieje i wysondował, że wszyscy podzielają jego zdanie.

O prawdzie słów ks. Napoleona świadczyły pogłoski, że car Mikołaj nosi się z myślą odbudowania Polski, obawiając się, by państwa zachodnie go nie uprzedziły.

Wysocki, chcąc się upewnić, udał się do Redcliffe'a. Z trudem uzyskał u niego audjencję; co już świadczyło, że ambasador angielski nie ma mu nic do powiedzenia. Canning przyjął go, jak zwykle, z wielką uprzejmością, ale w rozmowie dyplomatycznie kołował, ostrzegając tylko generała, by zbyt nie ufał Austrji, bo ona nie rozpoczęła jeszcze wojny z Rosją; pocieszył go jednak, że *„la fortune vous oublie jusqu'à présent, mais, moi je ne vous oublie pas"*. Potem rozkrochmalił się trochę i wspomniał, że kwestja Polski jest przedmiotem narad dyplomatycznych, narazie jednak nic pewnego w tej sprawie mu niewiadomo.

Z całej rozmowy Wysocki wywnioskował, że jeżeli dotąd mówiono o odbudowaniu Polski, to tylko dla postrachu Austrji lub Rosji, że z Austrją wcale się jeszcze w tej sprawie nie porozumiewano i że obsadzenie tronu polskiego nie będzie dla Anglji rzeczą obojętną.

Ks. Napoleon, któremu generał opowiedział swoją rozmowę z Redcliffe'm, był z niej bardzo zadowolony, uważając, że potwierdza ona jego nadzieje. Z Wiednia dochodziły wieści, że Austrja w najbliższym czasie ma wystąpić z wojną przeciw Rosji. Ks. Napoleon w związku ze swojemi projektami wyjechał do Paryża.

Wysocki postanowił jeszcze zostać w Konstantynopolu przypuszczając, że może w tym czasie dowie się czegoś pewnego o zamiarach rządów.

Tymczasem z „Koła" paryskiego przychodziły listy, donoszące, że do Paryża często przybywają wysłannicy z kraju, który gotowy jest do powstania i czeka tylko na decyzję państw zachodnich. Wysłannicy ci nie chcą słyszeć o żadnych sporach partyjnych, na wodza swego pragną mieć człowieka, któryby stanął ponad partjami, a na pośrednika z rządami wybrali ks. Czartoryskiego, dlatego, że ma on z niemi kontakt. „Koło" nawoływało, by generał czemprędzej wracał do Paryża i starał się wejść w kontakt z krajem.

Jakoż Wysocki, nie doczekawszy się żadnej pewnej wiadomości od Redcliffe'a, dn. 22. stycznia 1855 roku wyjechał wraz z Ruszczewskim do Paryża. Przed wyjazdem wezwał pozostałych emigrantów do wytrwania i niewstępowania do żadnych formacyj, niemających sztandaru polskiego. Oni ze swej strony „wszyscy z najserdeczniejszem rozczuleniem tulą się do generała, obiecując mu wytrwać na drodze, po jakiej szli dotąd i być gotowymi zrobić wszystko z zaufaniem na jego rozkazy"; ks. Mikulski w imieniu emigracji podziękował mu „za jego postępowanie zawsze pełne patrjotyzmu, energji, rozwagi i miłości bliźniego".[1])

Dn. 31 stycznia Wysocki wylądował w Marsylji i tu, a potem w Lyonie, ogólnikowo objaśnia tamtejszych emigrantów o sytuacji. Jego zdaniem, nikt nie ma nic przeciw Polsce monarchicznej i przeciw ks. Napoleonowi, jako ewentualnemu kandydatowi na jej tron.

Dn. 5 lutego przybywa generał do Paryża. Tutaj również informuje emigrantów o swoich planach i wszędzie znajduje ich aprobatę. Spotyka się z Mierosławskim i łagodzi dawne z nim zatargi. Branicki, jak było do przewidzenia, chętnie przystaje na projekt ks. Napoleona. Pułk. Różycki potępia działania Czartoryszczyzny i jest pełen sympatji dla Wysockiego.

Był też Wysocki i u Mickiewicza. Mickiewicz „aprobuje i pochwala całe zachowanie się generała podczas jego misji, ma przekonanie, że w następstwie obecnych wypadków nasza sprawa musi być podniesiona z korzyścią, z bytem dla Polski;... w ogól-

[1]) „Dziennik" pod datą 21. stycznia 1955 r.

nikach zdrowo o bieżących rzeczach i o obowiązkach Polaków wyraża się. Formacje kozaków potępia... O ks. Napoleonie i o cesarzu i wogóle o Napoleonach mówi z sympatją, z entuzjazmem, przypisuje im wielką misję w świecie, którą — opowiada — że im już dawno przepowiedział, co się poniekąd już ziściło". [1])

Wszystkie jednak nadzieje rozwiały się po wizycie Wysockiego u ks. Napoleona w Paryżu. Książę znów popadł w stan rozgoryczenia i zwątpienia; jego zdaniem, rządy zachodnie wcale nie myślą teraz o podniesieniu sprawy polskiej, Rosję chcą zgnębić przez wciągnięcie do wojny małych państewek, a Austrja jeszcze nie zaczęła z nią wojny.

Okazało się, że plany księcia, przedstawiane w Konstantynopolu, były tylko jego osobistem marzeniem, nieopartem o rzeczywistość, która przeciwnie była ich zaprzeczeniem.

Wysockiego spotkał jeszcze jeden zawód; był to już ostatni, bo skończyła się jego misja i zarazem rola stronnictwa demokratycznego w czasie wojny krymskiej. [2])

Teraz pozostał na placu sam Czartoryski, który był o tyle w lepszem położeniu, że miał kontakt z krajem i z władzami francuskiemi. Stworzył on około siebie radę, w której zasiadali także i demokraci z Mickiewiczem. Nie było już starć z Wysockim, zaczęły się nieporozumienia w łonie samego obozu. Zamoyski początkowo starał się pozyskać względy Sadyka - Czaykowskiego, ale potem robił zabiegi o dywizję polską dla siebie. Uzyskał pozwolenie na nią od rządu angielskiego w lutym 1855 r.; ale dywizja ta nie była, ściśle mówiąc, polska: złożona z Polaków, miała nazwę kozackiej, a pozostawała na żołdzie angielskim pod wodzą Zamoyskiego jako generała angielskiego, i sztabu, mianowanego przez rząd londyński.

Starano się złagodzić zawiść między Zamoyskim a Sadykiem, pozyskać tego ostatniego dla obozu Lambert i nie dopuścić do utworzenia drugiej oddzielnej formacji polskiej. Mickiewicz, którego sympatje pod koniec 1855 r. stanęły zdecydowanie po stronie Sadyka, miał być rzecznikiem porozumienia. W tym celu wyjechał na Wschód i tu padł ofiarą cholery; śmierć jego przeszkodziła porozumieniu się dwóch wodzów.

---

[1]) „Dziennik" pod datą 8 lutego 1855 r.

[2]) Misja Wysockiego do Konstantynopola kosztowała według obliczenia w „Dzienniku" około 20.000 fr.

Ostatecznie wojna krymska skończyła się pokojem, zawartym na kongresie paryskim w roku 1856. Sprawę polską usunięto nabok; nie było wcale o niej mowy. Dywizję Zamoyskiego rozwiązano.

Zabiegi o podniesienie sprawy polskiej w czasie wojny krymskiej, czynione ze wszystkich stron emigracji polskiej poszły na marne. Główną przyczyną tego była obojętność państw zachodnich dla tej sprawy; żadne z nich nie myślało szczerze i na serjo o odbudowaniu Polski. Nie było ono bynajmniej jednym z celów wojny, ale tylko środkiem do osiągnięcia innych zamierzeń, środkiem, który porzucano, gdy okazywał się zbytecznym.

Z drugiej strony niekorzystne wrażenie musiało sprawiać rozdwojenie, panujące w emigracji polskiej, nieszczęsne spory między stronnictwami, demokratycznem i arystokratycznem.

Wysocki jest w tem może nie bez winy, że stojąc na stanowisku zdecydowanie antyarystokratycznem, odrzucał wszelkie porozumienie z Czartoryskim, uważając je za niemożliwe. W każdym razie musi się przyznać, że robił to w najlepszej wierze, dla dobra sprawy; pragnął legjonu naprawdę polskiego, będąc przekonanym, że służba w obcych wojskach bez sztandaru polskiego nie ma żadnego znaczenia dla sprawy polskiej. Robił wszystko, co było w jego mocy, by cel swój osiągnąć; los jednak chciał inaczej.

Zbyt surowo ocenił Wysockiego prof. Handelsman, pisząc: „Legjonu w Turcji nie utworzył, a na pożegnanie odstąpił swej wiary demokratycznej i czy to z przypadku, czy z umysłu, on republikanin i demokrata, należący do obozu, który za iluzjonizm monarchiczny zwalczał przez lat blisko dwadzieścia pięć ks. Adama, ofiarował koronę Polski ks. Napoleonowi. Podobno książę tę propozycję przyjął". [1])

Pominąwszy już to, że nie Wysocki proponował koronę polską ks. Napoleonowi, bo propozycja ta wyszła pierwszy raz od Redcliffe'a, a drugi raz od samego księcia, ale zgadzając się na to, generał może odstąpił swej wiary demokratycznej, nie sprzeniewierzył się jednak swej myśli o niepodległej Polsce; umiłowanie tej myśli było u niego silniejsze od wiary demokratycznej. Zgadzał się w tem zresztą z całą emigracją demokratyczną,

---

[1]) *Mickiewicz w latach 1853—1855*, str. 33.

skoro Ruszczewski pisał w „Dzienniku": „Kwestja, czy godzi się demokracji polskiej popierać ciałem i duszą Polskę monarchiczną, dawno już przesądzona u wszystkich patrjotów praktycznych. Przedewszystkiem byt!" [1])

Akcja Wysockiego nie wydała owoców, jak nie wydała ich akcja Czartoryskiego. Błędem stronnictwa arystokratycznego był niewątpliwie fakt, że organizatorem legjonu z jego ramienia był Wł. Zamoyski, człowiek antypatyczny tak dla obcych, jak dla Polaków i to nawet arystokratów.

Jedynym czynem polskim w czasie wojny krymskiej było sformułowanie pułku kozaków Sadyka; ale czyn ten był bardzo mizerny. Pułk Czaykowskiego, złożony z wielu narodowości miał na sztandarze półksiężyc, a jedynie komendą rusko-polską i strojem — Miłkowski zauważa złośliwie, że zbyt operetkowym — różnił się od reszty wojska tureckiego.

Czaykowski, fantasta nie uznający nikogo ponad siebie, żalił się w liście do Ludwiki Śniadeckiej, z 7 kwietnia 1856 r., pisząc o waśniach emigracyjnych: „To zrobiło, żeśmy nie poszli do Azji, by jeśli już nie było można zbawić Polski, to przynajmniej dołożyć choć trochę sławy wojennej orężowi polskiemu, jedynemu bogactwu Polski; wkońcu rozdwojenie sił polskich, puszczenie jednej części na najem (mowa o Zamoyskim) i sponiewieranie naszej godności; i to wszystko nastąpiło po dwóch latach i pół takiej wolności organizowania się, jakiej nigdy nigdzie Polacy nie mieli... Pokazaliśmy światu naszą niemoc, nasz nierozum i naszą niepoczciwość. Niech Hotel Lambert i inni Polacy (mowa o Wysockim i Różyckim) zdadzą rachunek, czemu to robili — czemu?". [2])

Dzieje zabiegów o legjon Polski w czasie wojny krymskiej są dowodem tego, jak emigracja polska przy każdej sposobności, otwierającej pewne nadzieje, myślała o odbudowaniu swego kraju. Oddając atmosferę emigracyjną, wiążą się one też z ostatnim okresem życia Mickiewicza, który w wypadkach tych brał czynny udział; początkowo stronnik Wysockiego, potem stanął po stronie Sadyka, uważając, że reprezentuje on czyn polski. A poeta był wtedy wielkim entuzjastą czynu zbrojnego.

---

[1]) Pod datą 6. I. 1855 r.

[2]) Rawita - Gawroński l. c. str. 176.

August Grodzicki.

Przegląd piśmiennictwa.

Katholische Leistung in der Weltliteratur der Gegenwart. Dargestellt von führenden Schriftstellern und Gelehrten des In- und Auslandes. Herder & Co. G. M. B. H., Verlagsbuchhandlung, Freiburg in Breisgau 1934.

Jeżeli jaka literatura zasługuje na nazwę „światowej", to przedewszystkiem literatura katolicka, która nie ogranicza się do jednego narodu, do tej lub owej warstwy społecznej, do pewnych tylko krajów, ale może się jawić i kultywować na wszelakich glebach całej kuli ziemskiej. Jest powszechna w całym świecie, jak powszechny jest Kościół, któremu służy lub z którym pozostaje w związku. Bo taką tylko, a nie inną literaturę godzi się nazwać katolicką.

Ale za „światową" uznać można literaturę katolicką nietylko w terytorjalnem znaczeniu. Obok przestrzeni lokalnej można brać pod uwagę i przestrzeń czasu. W tym względzie piśmiennictwo katolickie ma też znaczenie światowe, gdyż objęło obszar kilkunastu wieków, w ciągu których wycisnęło na kulturze świata znamię tak silne, iż mało który inny czynnik dałoby się z niem porównać. Historja może przeoczyć najrozmaitsze modne prądy różnych epok, nawet te, które w danej chwili uważały się za alfę i omegę świata, nie może jednak przejść obojętnie obok Ojców Kościoła i św. Tomasza z Akwinu, obok Wolframa z Eschenbachu i Dantego, Tassa i Pascala.

Nie chodzi tu zresztą o listę genjalnych pisarzy katolickich, którą powiększyć byłoby nader łatwo (dość wspomnieć historję polską, której nawet niepodobna wyobrazić sobie bez uwzględnienia roli Mickiewicza). Nie zaważyliby oni tyle na dziejach ludzkości, gdyby nie znaleźli oddźwięku i wtóru. Oddźwięk dawały dusze słuchaczy, wtór zaś dzieła pisarzy pomniejszych, bezimiennych nieraz. Płynęło słowo katolickiej literatury nawet w tereny obce, wplątując się i w twórczość pisarzy niekatolickich (że wspomnę *Fausta* Goethego). A prócz twórców poddawały się wpływowi katolickiej literatury całe społeczeństwa, na niej niejednokrotnie urabiając swe poglądy, swe wierzenia, obyczaje, obrzędowość, podania, legendy. Wpływ ten, zasilany stałym za-

sobem wiecznie świeżego i wiecznie pulsującego źródła, jakiem dla literatury katolickiej są pierwsze i najistotniejsze jej dzieła — księgi Nowego Testamentu — wniknął tak silnie, głęboko i zasadniczo w kulturę i w psychikę ludzkości, że usunięcie go stamtąd, nawet czysto po ludzku sądząc, byłoby zamierzeniem przerastającem siły wielu pokoleń.

Jeżeli żelazny kapitał literatury katolickiej — którym są dzieła pisarzy wspomnianych powyżej oraz wielu, wielu innych — wytrzymał próbę czasów i po dziś dzień nie utracił swej wartości, jeżeli pozatem katolicka działalność literacka nie zasklepiała się w osiągniętych już zdobyczach formy czy treści, lecz rozwijała się coraz to dalej a bez przerwy w ciągu wspomnianych wieków, to jednak natężenie tej działalności i tego rozwoju niezawsze było równie silne. Po okresach świetności, bujności i rozmachu, niejednokrotnie przychodziły okresy pewnego osłabienia i depresji. Naturalna to kolej i zwykłe prawo wszelkich ludzkich dziejów. Przedwczesne więc były osądy tych, którzy na podstawie takich chwilowych zwolnień rozwojowego tempa rozpowszechniali pogłoski o przeżyciu się literatury katolickiej, jej nieaktualności, niewspółczesności, wyjałowieniu, monotonji, ciasnocie, ba obskurantyzmie. Naprzekór tym pogłoskom, bezkrytycznie zazwyczaj i po papuziemu powtarzanym przez pewnych ludzi, pragnących snać tanim kosztem dojść do tytułu „postępowych" i „oświeconych", duch katolicki w literaturze nie zamierał, ale odradzał się rychło, potężniał, raz po raz narzucał swe piętno epoce, stawał się nawet bodźcem literatury, jej *spiritus movens*, skarbnicą natchnień i motywów — jak to było chociażby w romantyzmie.

Jednym z takich okresów spotężnienia literatury katolickiej w świecie — spotężnienia nietylko ilościowego, ale i jakościowego — jest epoka dzisiejsza. Dlatego to w tej epoce — której ani zacofaną, ani jałową, ani bezbarwną i nieruchawą nikt chyba nie nazwie — pojawić się mogła obszerna, gęstym drukiem nabita książka o niezwykłym może, a w każdym razie stanowczym tytule: *Czyn katolicki w światowej literaturze dzisiejszej.*

Znamienne są słowa wydawcy, zamykające tę książkę. Stwierdza on, że jeszcze w ubiegłem pokoleniu owoc twórczości katolickiej przedstawiałby się nie tak okazale, jak obecnie. Dziś nawet z samego indeksu pisarzy i dzieł, zamieszczonego na końcu omawianej tu książki, przekonać się można niezbicie o płodności myśli katolickiej w dziedzinie literatury. Ale płodność nie jest tu jeszcze określeniem wystarczającem. Ten indeks to nie jakieś *scripturae obscurorum virorum*, nie tuziny jakichś tuzinkowych płodów i osobistości. Przeciwnie: z „nieprzejrzanego materjału", jaki daje dzisiejsza literatura katolicka, uwzględniono czy wybrano tylko rzeczy najistotniejsze, najbardziej znamienne i wartościowe, a i tak plon okazał się imponujący. Obok pisarzy nieprzeciętnych, widzimy tu twórców zajmujących stanowiska naczelne, lu-

dzi o głośnych na cały świat nazwiskach. „Bez udziału uświadomionych katolików, literatura naszych dni byłaby prawdziwie (*wesenflich*) uboższą". Możnaby się wyrazić: byłaby uboższa — o całe niebo...

Tyczy się to zwłaszcza krajów celtyckich i romańskich. Niestety — z niewiadomych mi powodów — pominięto w tej książce zupełnie literaturę irlandzką, mającą swoisty wyraz, a niekiedy nawet inicjatywę w danym zakresie. Wartoby to pominięcie naprawić w wydaniu następnem: w ten sposób niedość, że rzuciłaby się w oczy analogja z ważnem stanowiskiem Irlandji w katolickiem dziele kulturalnem wieków średnich, ale co więcej, wyjaśniłoby się rzecz niejedną w katolickiej literaturze Anglji i Stanów Zjednoczonych.

Gdy jednak chodzi o szersze, europejskie czy światowe oddziaływanie, na pierwszem bezsprzecznie miejscu należy postawić Francję. Tam jest dziś Kościół wojujący literatury katolickiej, tam jest i triumf jej największy. „Należałoby się cofnąć o sto lat wstecz, by spotkać się z równie wielkim rozkwitem literatury katolickiej" — pisze o Francji teraźniejszej Robert Vallery-Radot, sam czynny i wybitny literat-katolik. Słusznie jednak nadmienia, że nowa era jest głębsza w swym katolicyzmie, niż epoka romantyczna. Wolno zgadywać powody: wówczas katolicyzm zbudził się dopiero w czas pewien po wielkich wstrząsach, jakich doznała Francja, gdy teraz kształtował się i kształtuje wśród ciągłych walk i zmagań. Ciężkiemi nieraz drogami dochodzą poszczególni pisarze do katolicyzmu, jako konwertyci, inni muszą borykać się z sobą, z sumieniem własnem, z pokusami, właśnie z powodu swej łączności z katolicyzmem, inni wreszcie muszą się bronić albo apostołować wobec niechętnego społeczeństwa. Rzadziej więc się znajdą warunki czy sposobność do medytacyj, do harmonij poetyckich i religijnych. Trafiają się owszem dysharmonje, rozdźwięki silne, które niektórych pisarzy, nawet głęboko wierzących, stawiają na granicy konfliktu z Kościołem.

Trudno nietylko do wspólnego mianownika (bo tym dla katolickich pisarzy może być tylko katolicyzm), ile do wspólnego typu sprowadzić cały ten zastęp indywidualności tak silnych i odrębnych, jak Péguy, Mauriac czy Jerzy Bernanos, umysłów tak subtelnych jak Claudel, Psichari czy Ghéon, tak niesłychanie oświeconych jak Cazin czy ks. Brémond. Tem mniej miejsca na podobne eksperymenty można znaleźć w recenzji. Naszą rzeczą będzie tylko zaznaczenie, że w książce — prócz syntetycznego posłowia wydawcy — pożyteczną rzeczą byłoby pewne zagajenie, któreby ustaliło, czy zaznaczyło chronologiczną i genetyczną kolejność zjawisk światowej literatury katolickiej. W ten sposób czytelnik profan, wtajemniczający się dopiero w dzieje literatury (a i na takich liczyć się powinno) będzie nieco zmy-

lony, znajdując informacje o twórczości francuskiej gdzieś dopiero w ogonku za... amerykańską, która, wedle trafnego określenia referującej ją pani Agnès de la Gorce, jest *wenig fühlbar*.

Już się raczej pogodzić należy z tem, że wyższe miejsce przypadło Belgji. Nie, żeby kraj ten miał pisarzy tejże miary co Francja. Natomiast katolicyzm jest tam głębiej wrośnięty w serce narodu, a utwierdzony sumienną i głęboką wiedzą, jaką Belgja imponuje światu. Pod tym względem — gdy mowa o wykształceniu katolickiem — nie mogą się z Belgją dotąd mierzyć nawet Włochy. Zresztą, jak zaznacza piszący o włoskiej literaturze katolickiej M. Brion, określenie granic tej właśnie literatury napotyka we Włoszech na wielkie trudności. Mimo przynależności całego niemal narodu do religji katolickiej, stosunek do religji był tu przez znaczną część ostatniego stulecia obojętny, a niekiedy nawet wrogi. Krytyk A. Scarpinelli zapytywał z przekąsem jeszcze niedawno, czy wogóle można we Włoszech mówić o literaturze katolickiej. Twierdzącą odpowiedź na to pytanie można dać dopiero ostatniemi czasy. Wprawdzie i dziś szczerze katoliccy pisarze są narazie w mniejszości, ale są pomiędzy nimi tacy, którzy przodują, co więcej, tacy, którzy znaczeniem swem sięgają daleko poza ziemię włoską. I rzecz znamienna, że ta literatura odrodzona, jak niegdyś, wzięła początek we Florencji, oraz że na jej czele stoją przedewszystkiem nawróceńcy, jak Papini i Gioliotti. Historyk literatury katolickiej może zwrócić kiedyś na to uwagę, że od czasu pierwszego „literata" chrześcijańskiego, jakim był św. Paweł, nieraz wielkie zdarzenia tej literatury (św. Augustyn, św. Jan Chryzostom) zaczynały się od nawróceń.

Tyczy się to obecnie i tej literatury, która od lat kikudziesięciu raz po razu wstrząsa i niepokoi Europę: literatury skandynawskiej. W sferze katolickiej, reprezentują ją tylko dwa nazwiska, ale zato ważkie i ważne: Joergensena i Sygrydy Undset. Choćbyśmy wpływ ich na literaturę europejską ograniczyli tylko do „Świętego Franciszka" pierwszego z tych pisarzy i „Krystyny, córki Wawrzyńca" [1]) drugiej, to i tak będzie to niezmiernie dużo. Te właśnie bowiem są dzieła, które — obok nowej treści, nowego tła epoki, nowego ducha i myśli — wniosły w literaturę europejską tak w niej dziś rozpowszechnione nowe formy, rzec można: nowe gatunki literackie.

Większą liczbą konwertytów — i wogóle większą liczbą przedstawicieli — może się wykazać katolicka literatura angielska. Światowy rozgłos i znaczenie pozyskało wszakże wśród nich tylko nazwisko Chestertona; inni, choć nieraz nieustępujący mu talen-

[1]) W skandalicznym przekładzie polskim tego arcydzieła, dokonanym z... przekładu niemieckiego, a rojącym się od nonsensów (nieszpory nazwano tam „wieczorną mszą" itp. itp.), jest mylny nawet tytuł: „Krystyna, córka Lawransa". W oryginale jest Lavransdatter, czyt. Lauransdode (więc już chyba: Lauransa).

tem, pozostali w cieniu. Tak np. o Polskę, słabem jeszcze echem odbiła się różnorodna i bujna twórczość Belloca, ledwie, że wzmianek doczekała się Alice Meynell, a już bodaj zupełnie nie słyszy się o F. Thompsonie. Liryka — oparta w znacznej mierze o średniowieczną — to jedna z silnych stron tej literatury. Ale bardziej, że tak powiem, skuteczną jest tu inna dziedzina: prozy krytycznej, feljetonowej, opowiadającej, o charakterze często satyrycznym, polemicznym, apologetycznym (ileż różnych „obron" napisał sam Chesterton!) Po francuskiej i skandynawskiej, literatura katolicka angielska jest najbardziej „wojującą", ale obrała inny rodzaj walki. Mniej tu tragicznych zmagań, mniej okrzyków lirycznego i estetycznego entuzjazmu, zato więcej werwy, szermierki słownej, nieraz i humoru. Świat przecie podbijali nietylko *athletae Christi*, ale i *joculatores Christi*.

Najwięcej miejsca w omawianem tu dziele poświęcono literaturze niemieckiej; aż trzecią część książki, jeśli wliczyć i literaturę szwajcarską. Niewątpliwie uczyniono to ze względu na niemieckich czytelników (w przekładzie polskim, który ukaże się niezadługo, część ta ulegnie skróceniu, natomiast rozszerzy się część polską), ale rozmiary owe usprawiedliwia też wielka ilość niemieckich pisarzy katolickich, wśród których nie brak i pisarzy wielkich. Na polu liryki — ale i w innych dziedzinach — na czoło wysuwa się nazwisko R. Schaukala, poczytywanego dziś za największego mistrza poezji niemieckiej. Ale główna siła katolickiej literatury niemieckiej jest w powieści i noweli: z przedstawicieli tego działu są znane w Polsce tylko dzieła Murona, natomiast reszta (baronowa Handel-Mazzetti, Stehr i inni), nieczęstych doczekała się wzmianek, nawet w naszej prasie literackiej, co niejednokrotnie, przypisać można poniekąd zamknięciu się wielu tych pisarzy w sferze tematów regjonalnych. Tak czy owak, katolicka literatura niemiecka, choć nie zaważyła w tym stopniu na dorobku światowym, co francuska, skandynawska lub choćby angielska i włoska, godna jest szerszego poznania, zwłaszcza, że w styczność z nią a czasami nawet w jej obręb — weszła i twórczość pisarzy o światowem niewątpliwie znaczeniu, takich jak Stefan George, R. M. Rilke czy Hofmannsthal.

Jak w Niemczech, tak i w Hiszpanji znalazł się katolicyzm ostatnio w obliczu groźnej walki, z której winny wyjść i dla literatury katolickiej nowe wstrząsy i podniety. Referentka tego działu, Matylda Pomès, zapewnia, iż „mimo Manuela Azanii, Hiszpanja jest katolicka i pozostanie katolicką". Wprawdzie „pokolenie roku 1898" raczej odchylało się od katolicyzmu, jednakże i w niem katolicka myśl czy tradycja znajdowała — niekiedy bezwiednie — swój wyraz; w nowszem pokoleniu, zwłaszcza w dramacie, oraz w krytyce i publicystyce, staje się ona żywszą, pozbywa się dotychczasowego ospalstwa, nabiera zdecydowanych poglądów. Tyczy się to i Ameryki łacińskiej, poniekąd i Portu-

galji. Zjawiska to jednak nieskoordynowane i dalekie, a wpływ ich rzadko dociera w głąb Europy. Wystarczy wspomnieć, że (prócz Unamuna, który niezupełnie pozostaje w zgodzie z katolicyzmem) udostępniono czytelnikom polskim tylko jedno dzieło dzisiejszej katolickiej literatury iberyjskiej, a mianowicie: „Świętą Rogelję", Armanda Palacio Valdés, należącego już do starszej generacji.

Bardziej egzotycznemi dla przeciętnego Polaka są: literatura holenderska i flamandzka, pokrewne sobie językowo, natomiast rozbieżne tradycją. Ostatniemi czasy dochodzi znów do zbliżenia, a czynnikiem zbliżającym staje się, datujący od lat powojennych wpływ katolicyzmu na Holandję. Bliższa nam jest literatura węgierska, w znacznej części na wspólnych tradycjach katolickich wyrosła. Jak dawniej Mikszàth, tak teraz jeszcze Herczeg mają w Polsce gorliwych czytelników, bo powieść i najłatwiej tłumaczyć i najłatwiej czytać. Natomiast nieprędko zapewne (gdy już nie żyje nieodżałowany Andrzej Gawroński) zjawi się tłumacz wybitnych liryków węgierskich: Mécsa i Sika. Liryka jest najsilniejszą poezją dzisiejszej węgierskiej literatury katolickiej.

Pospołu z Węgrami — choć różni od nich krwią, językiem, usposobieniem i politycznemi dążnościami — na wschodniem pograniczu kultury katolickiej stoją Słowianie, częściowo już należący do odmiennego cywilizacyjnego środowiska. Nie mógł oczywiście być uwzględnionym w omawianej tu książce, nikły jeszcze ruch katolicki, kiełkujący tu i owdzie w piśmiennictwie emigracyjnem rosyjskiem; natomiast nie zawadziłoby choć słów parę o pisarzach ukraińskich. W literaturze chorwackiej słusznie wyróżniono twórczość Cihlara-Nehajeva, w słoweńskiej Vodnika i Pregelja. Można było wyodrębnić literaturę czeską od słowackiej, która jest znacznie silniej oparta na tradycjach katolickich i bardziej w nich bezpośrednia. W czeskiej wszak „Katolická moderna" była przez dłuższy czas odosobnionem zjawiskiem. Otokara Brzezinę trudno jeszcze uważać za pisarza katolickiego. Są nimi dopiero uczniowie jego: Deml i Durych, których tradycję poniekąd kontynuuje dzisiejsza „szkoła morawska".

O polskiej literaturze katolickiej pisze O. Forst-Battaglia, niepodpisany *spiritus movens* całej książki. Ponieważ pisze dla cudzoziemców, więc nieco wyszedł poza temat i wspomniał także wiele nazwisk i zjawisk nienależących ściśle do literatury katolickiej, niekiedy nawet z nią kontrastujących, a to celem uwypuklenia roli katolicyzmu w literaturze naszej oraz warunków, w jakich obecnie katolicka literatura nasza się rozwija. Warunki te — stwierdzić należy — są dziś niekoniecznie szczęśliwe i odbija się to na literaturze. Lata bezpośrednio następujące po wojnie szły, owszem, po drodze natchnień katolickich, w ostatniej fazie twórczości Reymonta, Kasprowicza, Przybyszewskiego, Marji Wolskiej w rozbłysłej nagle twórczości Szczuckiej, Małaczewskiego, Ejs-

monda, Iłłakowiczówny, Gałuszki, Bąkowskiego, Miłaszewskiej, poetów Czartaka, Wołoszynowskiego, Lieberta, w nowych — i to najwspanialszych — wzlotach Staffa *Ucho igielne*, następnie Rostworowskiego. Potem intensywność się zmniejszyła, przewagę zaś w literaturze osiągnęły czynniki nieprzychylne katolicyzmowi. Dość smutne refleksje mógł nasunąć niedawny zjazd pisarzy katolickich, który ani nie zgromadził wszystkich powołanych, ani nie doprowadził do skutku poczynionych zamierzeń. Słusznie wytyka Forst-Battaglia polskim pisarzom katolickim *dass sie nicht in dem Masse die Vorherschaft ausüben, wie wir es erwarten sollten und wie es zum Beispiel in Frankreich der Fall ist: dort wo die äusseren Bedingungen weit weniger vorhanden waren.*

Pomimo wszystko, mimo ciężkich, naprawdę ciężkich walk, jakie katolicyzm musi staczać dziś w tak wielu krajach, pomimo nierównego poziomu literatów w różnych krajach, bilans ostateczny katolickiej literatury światowej wypada dodatnio, krzepiąco. „Katolicy nie mają powodu wstydzić się swego twórczego dorobku w literaturze" — *die Katholiken haben sich ihrer dichterischen Leistung nicht zu schämen.*

Dodajmy do tego: nie mają powodu i nie powinni się wstydzić, nawet i wtedy, gdyby ich literatura mniejszym jaśniała blaskiem, gdyby kryła się i w zgrzebniejsze szaty. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach — czasach boju i próby — obowiązuje pisarza prawdziwie katolickiego, odważne oświadczenie apostoła: „Nie wstydzę się Ewangelji".

Józef Birkenmajer.

Jan Alfred Reguła: Historja Komunistycznej Partji Polski. Wyświetlenie Faktów i Dokumentów. Wydanie drugie rozszerzone i uzupełnione. Warszawa 1934. Zakł. Graf. „Drukprasa", 343 strony.

Praca p. Reguły wypełnia gruntownie niewątpliwą a poważną lukę, istniejącą dotychczas w naszem piśmiennictwie historyczno-politycznem. Podaje ona bardzo szczegółowo dzieje komunistycznej partji Polski, powstałej, jak wiadomo, w końcu 1918 r. z połączenia się resztek dawnej „socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy" i t. zw. „P. P. S. lewicy", czyli z wszystkich „marksistów", którzy nie mogli się pogodzić z patrjotyzmem państwowym polskiej partji socjalistycznej.

Komuniści jednak nie odrazu wyparli się polskości. Z początku widzą oni w Sowietach jedynie upragnionego „sprzymierzeńca" „polskiej klasy robotniczej". Pierwszy sejm (konstytucyjny) „zbojkotowali" oni, nie czując się jeszcze na siłach apelować do mas. Już jednak w 1920 r., w czasie najazdu bolszewickiego, komuniści polscy stali się wszędzie karnem narzędziem w ręku najeźdźców, i to wbrew współczesnej uchwale komunistów niemieckich, wypraszających sobie obcą pomoc w realizowaniu rewolucji. Niepowodzenie swoje komuniści potem tłumaczyli „dok-

trynerskim uporem marksistowskim", który nie pozwolił im wówczas zalecać chłopom rozgrabienia ziemi. Odtąd powstaje w łonie komunistów zaciekła walka wewnętrzna, czy przyspieszyć rewolucję demagogją „lewicową" i po jej dokonaniu dopiero zrobić z chłopów niewolników w kołchozach i sowchozach, czy też rezygnować z buntowania chłopów jedynem pociągającem dla nich mamidłem i trwać przy bolszewickiem przekonaniu o konieczności utrzymania większych obszarów rolnych w interesie taniego wyżywienia miast. Z Moskwy zawsze konsekwentnie wskazywano komunistom na absurdalność „reformy rolnej", propagowanej przez radykałów ludowych, wyprzedzających niechcąco komunistów w „podżeganiu nienawiści klasowej".

Bardzo ciekawe są dzieje walki wewnętrznej wśród komunistów pomiędzy oportunistami, domagającymi się współdziałania z lewicą (ewentualnie nawet udziału w jej rządzie), widząc w polskiej „kiereńszczyźnie" najlepszy środek do komunistycznego celu, a prawowiernymi doktrynerami, przeciwnymi jakimkolwiek kompromisom. Sowiety, na których terenie odbywały się dotąd niemal wszystkie zjazdy komunistów polskich, powoli jednak likwidowały wszelkie „prawicowe i lewicowe odchylenia", wszelkie przebłyski samodzielności narodowej wśród komunistów polskich. Niesforni ich kierownicy musieli się przymusowo osiedlić w państwie sowieckiem, otrzymując tam w najlepszym razie mniej lub więcej podrzędne posady. Na zjazdach komunistów polskich rolę dominującą grali coraz bardziej czerwoni dygnitarze wojskowi i cywilni. Dziś komuniści polscy są jedynie karnymi agentami państwa sowieckiego, odpowiednio wynagradzanymi. Od czasu jednak przesunięcia punktu ciężkości ekspansji sowieckiej na daleki Wschód, a tembardziej od zerwania paktu o nieagresji z Polską (którego możliwość polscy komuniści zawsze wykluczali), Komintern mało się interesuje komunizmem polskim.

Bardzo ciekawe światło rzuca autor na zachowanie się w czasie przewrotu majowego, komunistów polskich posiadających wówczas — dzięki przypływowi jawnie wywrotowych elementów z Wyzwolenia i mniejszości ruskich aż 24 posłów sejmowych. Poparli oni wtedy Piłsudskiego i lewicę, w nadziei zlikwidowania w ten sposób „prawicy" i „faszyzmu", za co doczekali się okropnej burzy ze strony Moskwy, widzącej słusznie w marszałku zaciętego wroga bolszewizmu, dążącego do uczynienia z Polski silnego, rządnego mocarstwa.

Jeszcze przy wyborach 1928 r. komuniści osiągają znaczne powodzenie liczbowe, potem jednak walka bez pardonu, wydana im przez władze, jak również i wzrastające otrzeźwienie mas kurczy ich siły ustawicznie. Złamanie komunizmu w Niemczech, uważanych zawsze przez Moskwę za napewno pierwsze po Rosji mocarstwo sowieckie w Europie, ostatecznie zniweczyło nadzieje komunistów na „zbrojne wyzwolenie proletarjatu". Rosja Sowiecka,

bojąc się coraz bardziej wojny, ogranicza „budowę ojczyzny międzynarodowego proletarjatu" do własnych granic, licząc na atrakcyjne działanie realizacji „pięciolatek". Najpozytywniejsza dziś robota komunistów w Polsce to buntowanie mniejszości ruskich przeciw państwu, przyczem obiecują Ukraińcom i Białorusinom granice osławionego pokoju Brzeskiego! Ostatnie dyrektywy komunistyczne uznają „zwycięstwo faszyzmu" w Europie; w swojej zaciekłej nienawiści do socjalizmu, według instrukcji Moskwy, największego wroga komunizmu, prawomyślni bolszewicy widzą w tem zwycięstwie „faszyzmu" oczyszczenie sytuacji od „socjalugody", upatrując w komuniźmie jedyną rzekomą alternatywę dla „buntujących się przeciwko dyktaturom proletarjatów".

Książka p. Reguły odsłania przed przerażonemi oczami czytelnika całą otchłań potwornych stosunków, panujących w środowisku komunistycznem: prowokatorstwo, szpiclostwo, szpiegostwo, rozpusta, pijaństwo, zdrada, skrytobójstwo i najpodlejsze oszustwo, rej tam wodzą obok zaślepienia, naiwności i tępego doktrynerstwa. Najmilszem dla nas a zarazem najciekawszem stwierdzeniem jest fakt rekrutowania się komunistów polskich niemal wyłącznie z żydów i z minimalnej wśród nich ilości prawdziwych robotników. Trudno w takich warunkach o powodzenie wśród mas.

Wydaniem swojej interesującej książki autor niewątpliwie przysłużył się naszemu społeczeństwu. Dokumenty w niej zebrane, m. i. urywki z poufnej literatury nielegalnej, nie pozwalają na żadne tłumaczenia się, ani naszym domorosłym komunistom, ani ich moskiewskim chlebodawcom.

Adam Romer.

Heinrich Koitz: Männer um Piłsudski. Wilhelm Gottlieb Korn Verlag Breslau 1934. Str. 288.

Książka Koitza jest jedną z licznych publikacyj dla Polski przyjaznych, jakie się ukazały w Niemczech po zawarciu polsko-niemieckiego porozumienia o nieagresji. Publikacje te są najwidoczniej inspirowane zgóry, by przekonać Polaków o szczerości intencyj niemieckich. *On nous y fait la cour.* Treść tych prac jest przeważnie aż nadto przychylną dla Polski, szczególnie dla obecnego regime'u, to też mimowoli robią one wrażenie celowej propagandy. Trudno doprawdy przypuścić, by taki np. von Oertzen, autor ohydnych paszkwilów przeciw-polskich, m. i. słynnej książki *Das ist Polen*, tak szczerze się nawrócił, jak tego chce dać dowód w swojej ostatniej książce *Alles oder Nichts.* Niemniej praca p. Koitza jest bardzo ciekawą, wszechstronnie udokumentowaną i dla czytelnika niemieckiego nader pouczającą, byleby jej nie podejrzywał o panegiryzm. Autor jest wprost entuzjastą marszałka i Jego ludzi, Jego „metod" i „walk".

Już napis na okładce jest charakterystyczny: *Piłsudski jest niekoronowanym królem Polski.* ...Posiada on cały szereg współ-

pracowników „pułkowników", którzy odznaczają się wiernością dla Jego osoby, żołnierskim honorem, poczuciem obowiązku oraz długoletniem doświadczeniem w walce o wolność Polski. W książce niniejszej mowa jest o ich życiu, losach i pracy. W młodości byli oni przeważnie spiskowcami, rzucali bomby, następnie byli żołnierzami i oficerami w legjonach, wreszcie zostali ministrami Rzeczypospolitej. Imponującą jest ich gotowość do zajmowania stanowiska, ślepo, bez wahania, na rozkaz marszałka. Ten duch posłuszeństwa wojskowego ma wiele wspólnego z Prusami Fryderyka Wielkiego. Każdy, który chce orjentować się w rozwoju Polski, a przez to w wytycznych niemieckiej polityki na Wschodzie — powinien przeczytać niniejszą biografję „pułkowników".

Ta przedmowa doskonale charakteryzuje rodzaj tej książki. Szkice, omawiające poszczególnych „ludzi Piłsudskiego", są nadzwyczaj drobiazgowo opracowane, pełne ciekawych szczegółów, m. i. urywków z prac i przemówień marszałka i Jego „ludzi". Autor podkreśla m. i. konsekwentne staranie marszałka o wychowanie narodu do „demokracji", tak jak on ją pojmuje, demokracji w znaczeniu autorytarnej władzy, mającej jednak być odzwierciedleniem woli społeczeństwa.

Specjalny rozdział autor poświęca wieńcowi honorowemu poległych, pamięci ś. p. Sułkiewicza, Wyrwy-Furgalskiego, Hołówki, Skwarczyńskiego, Pierackiego... W następnych charakteryzuje on kolejno poszczególnych współpracowników marszałka, Bartla, Prystora, Sławka, Żeligowskiego, Składkowskiego, Cara, Stachiewicza, Kozłowskiego, Sosnkowskiego, Rydza-Śmigłego, Wieniawę-Długoszewskiego, Orlicz-Dreszera, Ks. Janusza Radziwiłła, Józefa Becka, Matuszewskiego, Miedzińskiego, Sieroszewskiego, Jędrzejewicza, Kaden-Bandrowskiego. Zaszczytny rozdział poświęcony jest Prezydentowi Mościckiemu i marszałkowi Raczkiewiczowi. Wspomina on i innych, Kwiatkowskiego, Nakoniecznikowa, Mackiewicza i t. d. Ciekawe są też uwagi autora o reformie rolnej, dość objektywne, oraz o walce wśród młodzieży prorządowej pomiędzy umiarkowaną, szczerze katolicką i narodową myślą mocarstwową a „mniej licznym i bardziej radykalnym ...legjonem młodych, ...organizacji o tendencjach antyklerykalnych, rusofilskich i socjalrewolucyjnych", ulegającej (jak i młodzież endecka) „obcym wpływom" (niemieckim względnie sowieckim). Autor wstrzymuje się od „sądu", „czy legjon młodych obejmie i wcieli w życie spuściznę Piłsudskiego". Pesymizm bardzo, jak wiemy, uzasadniony. Wyczuwa się, że sympatje autora są po stronie zwalczających legjon młodych organach zachowawczych...

Doskonale ujętą jest tabela chronologiczna, obejmująca dzieje Polski od 1914 r. („wymarszu kadrówki") do ostatniej niemal chwili, (powołanie do rządu pp. Kościałkowskiego i Poniatowskiego oraz sierpniowej umowy polsko-gdańskiej). *Adam Romer.*

Życzyński Henryk: Lalka Prusa. Studjum syntetyczno-porównawcze. Lublin 1934. 8°. str. 41. (Odbitka z *Prądu* 1934.)

Broszura prof. Życzyńskiego jest jednym z objawów „renesansu" Prusa. Słusznie stwierdzał Ludwik Włodek w swej bardzo cennej książce o Prusie (Warszawa 1918), że pisarz ten był niedoceniony za życia i że czas jego dopiero nadejdzie. Rzecz ciekawa jednak, że mimo wzmożonego zainteresowania wielkim społecznikiem, jakie objawia się w ostatnich czasach, brak jeszcze do godnego uczczenia jego działalności niemal wszystkiego: zbiorowego, krytycznego wydania dzieł, [1]) analizy poszczególnych utworów, syntezy twórczości. Zaniedbania te odrabia się szybko, o czem świadczą cenne prace Włodka, Szweykowskiego, Araszkiewicza, które jednak mają charakter do pewnego stopnia fragmentaryczny. Świadczy też rozpoczęcie zbiorowego, krytycznego wydania dzieł pod redakcją Ignacego Chrzanowskiego i Zygmunta Szweykowskiego! Za szczytowy punkt twórczości Prusa uważa Życzyński, podobnie, jak Szweykowski, *Lalkę* — pytanie, czy słusznie. Wszak *Emancypantki* dają odpowiedź na wiele pytań, które *Lalka* pozostawia nierozwiązane, a *Faraon* przewyższa obie te powieści artyzmem. W każdym razie jednak *Lalka* zrobiła może najsilniejsze wrażenie na współczesnych, a i dziś jest nam może najbliższa dzięki kompleksowi uczuciowemu, łączącemu się z postacią Rzeckiego, a jeszcze więcej jego pamiętnikiem. Romantyzm Prusa działa silniej, bo bardziej bezpośrednio, niż jego społeczne rezonerstwo.

Lalce poświęcił zbyt obszerną monografję Zygmunt Szweykowski. Zbyt obszerną, gdyż w powodzi charakterystyk środowiska toną mądre i trafne myśli, ujmujące ideologję powieści niemal bez reszty. Życzyński uznał jednak za potrzebne dodanie uzupełnień z jednej strony, wysunięcie odmiennych koncepcyj z drugiej. Studjum jego ma na celu: „wykazać, że *Lalka* wcale nie grzeszy luźnością kompozycji, lecz posiada zwartą architektonikę, pod względem ideowym zaś jest o wiele głębszą, niż się ogólnie przypuszcza, gdyż daje pogląd na świat, który z jednej strony korzysta ze wszystkich zdobyczy nauki, z drugiej zaś otwiera przed czytelnikiem perspektywy szerszych, metafizycznych prawd" (str. 6).

Pragnąc ustalić ideowe i artystyczne pokrewieństwo utworu, wiąże go Życzyński z jednej strony z *Placówką*, z drugiej z współczesną twórczością dramatyczną. Z *Placówką* łączy go — zdaniem autora — paralelna metoda — w przedstawieniu postaci, z komedją francuską — temat (stosunek mieszczaństwa do arystokracji) z Ibsenem — symboliczność tytułów. Proces o lalkę, który według zeznania Prusa, dał tytuł jego powieści, ma — zdaniem Życzyńskiego — znaczenie symboliczne, gdyż jest zapowiedzią dalszych losów Wokulskiego. „Jak sędzia, rozpruwszy lalkę... orzeka

[1]) Nakładem Gebethnera i Wolffa. Wyszedł t. I z datą 1935.

czyją jest ona własnością, tak samo i życie rozstrzygnie, do kogo należy Izabela, do Wokulskiego, czy do Starskich?" (str. 9). O ile przytoczone zdanie jest wyraźnem potknięciem się autora i nie może być brane poważnie, o tyle na uwagę zasługuje zestawienie z *Norą* Ibsena, której tytuł w oryginale (nie podtytuł jak chce Życzyński!) brzmi: *Dom lalek*. Zaznaczywszy cechy wspólne i różnice między wczesnemi utworami Sienkiewicza, oraz *Nad Niemnem* Orzeszkowej, a *Lalką*, charakteryzuje następnie autor miłość Wokulskiego, jako typowo romantyczną. W jego śmierci (bo przyjmuje ją za pewnik, wbrew wielu poprzednikom) widzi (znów w sposób mało prawdopodobny) „ostatnią i najwyższą stawkę, aby w lalce obudzić człowieka", a zarazem demonstrację przeciw przesądom, stającym na drodze naturalnemu doborowi. „Najoryginalniejszym więc rysem powieści Prusa jest połączenie romantycznych wierzeń z wynikami ówczesnej nauki" (str. 17). Że Wokulski musiał umrzeć fizycznie, dowodzi autor przekonywująco, przedstawiając proces powolnego obumierania duchowego bohatera. Symboliczna wizja Sławy nie oznacza początku nowego życia, ale *anagnorizis*, zrozumienie w ostatnich momentach życia istotnego jego sensu. Jakby przez dziwną ironję przeplatają się u autora spostrzeżenia trafne i głębokie z chybionemi: oto zaraz po wspomnianym ciekawym wywodzie następuje obrona Izabelli Łęckiej, mało przekonywująca i zupełnie już dowolny pomysł, że Wokulski obdarzył Ochockiego zapisem z myślą o jego matrymonjalnych zamiarach względem kuzynki. „Pani Stawskiej, pisze autor, mógł wprost zapisać pewną sumę, Izabelli zaś dał w formie delikatnej, wytwornej..." Występując z taką interpretacją, autor obszedł się z Prusem i jego głębokiem i subtelnem znawstwem ludzkich dusz zaiste w „formie", będącej zaprzeczeniem i delikatności i wytworności![1])

Skreśliwszy rolę zdobyczy naturalizmu w odmalowaniu środowiska (bardzo słuszne odróżnienie środowiska od sfery, czego nie dostrzegł Szweykowski!) przeprowadza Życzyński dowód, że w *Lalce*, podobnie jak w twórczości dramatycznej, daje autor poznać panowanie wyższego, moralnego porządku, a zarazem poucza o niewystarczalności materjalizmu dla postępu społecznego, wyznaczając rolę intuicji i genjuszowi. Po zestawieniu typu twórczości Prusa z balzakowską, stwierdza autor wielki artyzm powieści, której pozornie luźna kompozycja, jest w rzeczywistości obmyślana do najdrobniejszych szczegółów; łącząc różne kierunki powieściowe, czerpiąc wiele z techniki dramatycznej, daje Prus całość sharmonizowaną.

[1]) Wdodatku cytaty mające popierać wywody nie są wierne. Wokulskiemu zdawało się, że wchodzi „na jakąś straszną wysokość" nie „z panną Izabellą" (jak na str. 24), ale „po zerwaniu z panną Izabellą". Ochocki jedzie do Paryża nie za panną Izabellą (jak na str. 25), gdyż Izabella pojechała w celu wstąpienia do klasztoru nie do Paryża, lecz wogóle „zagranicę". Nie dziw, że przy błędnych przesłankach, mamy błędne wnioski!

Krótki bilans zysków i strat doprowadza autora do syntetycznego stwierdzenia: „Powieść Prusa bynajmniej nie przygnębia czytelnika obrazami triumfującego zła, choć z drugiej strony nie uprawnia taniego optymizmu i nie zamyka oczu na bezmiar nędzy i głupoty; wskazując jednak to zło i zachęcając do walki z niem, wpaja w nas przekonanie, że prawda i dobro muszą zwyciężyć" (str. 41).

Podane wyżej krótkie streszczenie broszury Życzyńskiego pozwala czytelnikowi zorjentować się, czy spełnia ona zapowiedź początkową. W każdym razie mimo niezupełności [1]) i szkicowości, nawrotów i zboczeń, prowadzi po wytyczonej linji, a zawierając bogatą treść, stanowi poważniejszą pozycję w ubogiej naszej literaturze o jednym z największych polskich myślicieli i artystów.

Z. K. Ciechanowska.

Jahrbuch für Liturgiewissenschaft. In Verbindung mit Prof. Dr. A. Baumstark und Prof. Dr. A. L. Mayer herausgegeben von Dr. Odo Casel OSB. Zwölfter Band 1932. Münster in Westf. 1934. Verlag der Aschendorffschen Verlagsbuchhandlung. Str. 480.

W koniecznem następstwie zjawiska, że liturgja w ostatnich dziesiątkach lat stała się dziedziną rozlicznych badań, począł wychodzić w Münster od r. 1921 osobny organ wiedzy liturgicznej, *Jahrbuch für Liturgiewissenschaft.* Celem jego jest popieranie badań naukowych nad liturgją, zarówno historycznych jak systematycznych, oraz zaznajamianie z literaturą liturgiczną. Wydawnictwo spoczywa w ręku Dom Casela, z opactwa w Maria Laach, z którym współpracują dr. Baumstark, obecnie profesor orjentalistyki na uniwersytecie w Münster, i dr. Mayer, profesor historji powszechnej i historji sztuki na Fakultecie filozoficzno-teologicznym w Freising.

Rocznik ma charakter publikacji ściśle naukowej, a dzięki fachowym piórom stoi zawsze na wysokim poziomie. Prócz gruntownych studjów Dom Casela, Mayera i Baumstarka, znakomite są rozprawy systematyczne Wintersiga OSB, prace historyczne benedyktynów Michelsa, Morin'a, Wilmarta. Znajomością liturgji eucharystycznej wybija się O. Browe T. J., zaś publikacją pomniejszych źródeł liturgicznych zajmuje się specjalnie A. Dold OSB. Wreszcie spotyka się w rocznikach prace takich znawców liturgji jak Guardini i Pinsk.

Najobszerniejszym działem każdego rocznika, a dla zainteresowanych ruchem liturgicznym najciekawszym, jest sprawozdanie z piśmiennictwa liturgicznego. Przegląd i ocenę publikacyj liturgicznych, grupowanych według różnych dziedzin, prowadzi się rzeczywiście zadowalająco. Sprawozdanie z polskiego piśmiennictwa

[1]) Pominięto także prawie zupełnie wyniki prac poprzedników, stąd trudno mówić o jednej syntezie.

podał za lata 1929 i 1930 O. Grzegorz Recelj, cysters, a od r. 1931 prowadzi je Ks. Michał Kordel, redaktor miesięcznika liturgicznego w Polsce, p. t. *Mysterium Christi.*

Po tych ogólnych wiadomościach pozostaje podać w streszczeniu bogatą zawartość 12-go rocznika za rok 1932, który się właśnie świeżo ukazał.

Odo Casel dociera do samych podstaw sztuki chrześcijańskiej z pierwszych 3 wieków, by uwydatnić jej istotny charakter. Omawia naprzód różne próby zrozumienia pierwotnej sztuki chrześcijańskiej, wykazując, że zasadniczo nie docierają do sedna rzeczy. Toteż autor usiłuje raczej je uzupełnić niż zbijać. Pełny sens katakumbowych malowideł zrozumieć można jedynie w związku z duchowem podłożem środowiska, które się w nich wypowiedziało. Otóż chrześcijaństwo wystąpiło na widownię nietylko w postaci nowej doktryny czy nowej moralności, lecz przedewszystkiem jako „ewangelja", czyli dobra nowina, głosząca zbawienie w Chrystusie dla całej ludzkości, dopuszczając ją do uczestnictwa w życiu bożem już tu na ziemi. Przeświadczenie o tej niepojętej rzeczywistości, nazwanej przez św. Pawła *mysterium*, przenikało tak dogłębnie pierwszych chrześcijan, iż stanowiło o ich właściwej postawie duchowej. Dlatego sztuka pierwotna, jako wykładnik tej postawy, nie chciała być — w swej istotnej wartości — ani historją ani malowanym katechizmem ani zwykłym epitafem, — lecz usiłowała na różne sposoby owo *mysterium* uprzytamniać, posługując się wybitnie symbolem i alegorją. Tem się tłumaczy doskonale brak kompozycji i perspektywy, jak również ograniczanie się do rzutów zasadniczych; ten charakter symboliczny pozostaje nadto w związku z t. zw. *disciplina arcani.* — Syntetyczne to sprowadzenie przez autora obrazów katakumbowych, napozór rozpierzchłych treściowo, do jednej spójnej idei *mysterium* nie jest bynajmniej dowolną stylizacją, lecz wnioskiem w szczegółach uzasadnionym.

Ogromnie żmudnego studjum wymagającego iście benedyktyńskiej pracowitości podjął się P. Pietschmann OSB. Przeprowadza mianowicie badania nad tekstem pierwotnym śpiewanych części zmiennych mszału rzymskiego *(introit, graduał, offertorium, communio)*: które nie są zaczerpnięte z psałterza. Tekst pierwotny który zachował się w trzech najstarszych kantatorjach, ze St. Gallen i Einsiedeln, zestawia autor z tekstem wulgaty, przyczem z 145 pism Ojców i starych pisarzy kościelnych przytacza lekcje odnośnych tekstów biblijnych, by wykazać, że większe znaczenie i powagę niż wulgata ma ów tekst pierwotny, jako powstały w czasach najbujniejszego rozkwitu liturgji. Toteż za ujemne uważa zjawisko, że następujące w biegu czasu reformy mszału wprowadziły w niektórych formularzach właśnie tekst wulgaty.

Artykuł H. Franka OSB jest przyczynkiem do historji świąt Bożego Narodzenia i Trzech Króli. Opierając się na t. zw.

kazaniu pap. Liberjusza, postawił był twierdzenie E. Caspar, że jeszcze za czasów św. Ambrożego obchodzono w Medjolanie oba święta razem 6 stycznia. Autor poddaje dokładnej analizie rzeczone kazanie — które uważa za wyłączną własność literacką św. Ambrożego — dochodząc ostatecznie do wniosku, że przeniesienie Bożego Narodzenia na 25 grudnia nastąpić musiało w Medjolanie jeszcze przed wstąpieniem św. Doktora na stolicę biskupią.

A. Dold OSB omawia fragment nieznanego sakramentarza z końca VIII w., zachowany w postaci uszkodzonej kartki pergaminowej. Zestawienia tekstualne dowodzą pokrewieństwa z sakramentarzem gelazjańskim.

P. Browe T. J. w interesującej pracy przedstawia osobliwości zwyczajowe średnich wieków odnośnie do przyjmowania Komunji św. w różnych okolicznościach życia.

Obecny docent historji sztuki na uniwersytecie w Bonn, H. Weigert rozprawia z wielkiem znawstwem o roli budownictwa kościelnego w kulcie. Budownicza sztuka kościelna musi posiadać pewien charakter „sakralny", który w tem się zakłada, by świątynia była wyrażeniem religijnej postawy chrześcijanina, i naodwrót, by łącząc wiernych w obrzędach kultu i tym sposobem przenosząc ich duchowo w świat wyższej rzeczywistości, oddziaływała na wytworzenie się tego nastawienia religijnego. Wartość stylu dla celów kultu zależy właśnie od spełnienia tych wymogów. Stąd ideałem jest styl bazylikowy, natomiast kościoły renesansowe i klasyczne, jako natchnione wyłącznie przyziemnością, uważać trzeba za liturgicznie chybione.

Ks. T. Chabrowski T. J.

Louis Rouzic: Le Maréchal Foch. L'homme, l'oeuvre, l'inspiration. Nakł. Pierre Téqui. Paris 1934, str. XIV + 111.

Najpopularniejszym człowiekiem po wojnie światowej był jej zwycięzca, potrójny marszałek, Foch. Stąd interesowano się jego życiem, przeszłością, charakterem. Niejedna książka, niejedno pismo chciały zaspokoić tę ciekawość, zupełnie zresztą zrozumiałą. Jedną z najnowszych publikacyj, która ukazała się z okazji pięciolecia śmierci Focha, to powyższa broszura ks. Rouzica.

Składają się na nią trzy rozdziały, w których rozpatruje autor kolejno charakter, dzieło i ideały Focha. Foch — wykazuje autor — jest człowiekiem o inteligencji wrodzonej średniej, ale przez zaciekłą pracę (travail acharné) nadzwyczaj rozwiniętej, o woli wytrwałej, stalowej, zwycięskiej, o uczuciu głębokiem, czułem, stałem. Zdrowa konstytucja fizyczna ciała i spartańska jego kultura wspierały przepiękny charakter marszałka, którego głównemi cechami to szlachetność i męskość. Dzieło jego niemałe, a dokonane na trzech stanowiskach: profesora szkoły wojskowej,

dyrektora tejże szkoły i wreszcie na stanowisku głównego dowódcy wojsk koalicyjnych. Te trzy fazy i momenty działalności Focha omawia autor obszernie. Najciekawszy i najoryginalniejszy zarazem jest naszem zdaniem rozdział trzeci, zatytułowany „L'Inspiration". Dowiadujemy się stąd interesujących szczegółów o pracy Focha, o jego lekturze, zainteresowaniach a głównie o jego życiu religijnem. Czy Foch był katolikiem praktykującym? Ks. Rouzic stawia go za wzór dobrego katolika. „Nie był on tylko chrześcijaninem z metryki. Nie był chrześcijaninem formalistą, wybierającym tu i tam pewne praktyki. Był on chrześcijaninem wiary i czynu. Był uczniem Chrystusa, który słucha i postępuje za Mistrzem" (s. 87). Msza św., w pewnych okresach codzienna, regularna spowiedź św. i inne praktyki pobożne — oto zewnętrzna strona jego życia religijnego, ale nie mająca w sobie nic z formalistyki, przeciwnie, pełna treści i głębokiej religijności. Autor zapuszcza się głębiej w duszę wielkiego marszałka i objawia nam jego cnoty, jak pokorę, czystość, ufność w Opatrzność... Jeden fakt warto tu przytoczyć jako znamienny dowód męskiej pobożności marszałka. Kiedy w Nowym Jorku w czasie entuzjastycznych przyjęć zwycięzcy wojny, przedstawiono mu program uroczystości na pewną niedzielę, to Foch nie zgodził się na niego, gdyż brakło w nim półtorej godziny na mszę św. (la grand' messe) (s. 92). A i my, Polacy, mogliśmy tę pobożność Focha podziwiać przy odwiedzaniu kościołów w czasie jego pobytu w Polsce. Widziało się Focha jak na obu kolanach klęcząc na posadzce, modlił się skupiony, poważny.

Dziełko niniejsze uznać należy za interesujące i pożyteczne. Może dobrze byłoby przyswoić je językowi polskiemu. Byłby to skuteczniejszy hołd pamięci przyjaciela Polski, niż np. nazwanie jego imieniem jakiejś ulicy czy placu. Przez tę książkę mógłby on być nietylko przyjacielem Polski, ale zarazem jej nauczycielem.

Ks. Henryk Misiak.

O. Garrigou-Lagrange O. P.: Trzy nawrócenia i trzy drogi (*Kultura Katolicka,* III). Poznań 1934. Str. 151.

Powyższe dziełko stanowi niejako streszczenie nauki autora wyłożonej w pracach *Doskonałość chrześcijańska i kontemplacja* oraz *Miłość Boga i Krzyż Jezusa.* Autor uwypukla w nim najpierw prawdę, że istota życia chrześcijańskiego polega na miłości nadprzyrodzonej, która jest posagiem duszy po „pierwszem nawróceniu". Drugie nawrócenie zaś oznacza wejście na drogę oświecającą, trzecie wreszcie wprowadza duszę na drogę zjednoczenia. W dalszym ciągu autor uzasadnia teologicznie podział życia duchownego na trzy okresy analogicznie do przyrodzonego wieku dziecięctwa, młodzieńczego i dojrzałego. Nakoniec zaznacza teorję, że kontemplacja wlana należy do normalnej drogi świętości. Całą

pracę cechuje ścisła wewnętrzna łączność między nauką św. Tomasza i św. Jana od Krzyża. Tłumaczenie oddaje myśl autora z prostotą i jasnością, życzylibyśmy sobie zmiany w określeniu egoizmu na „nieuporządkowaną miłość własną" boć uporządkowana miłość własna jest moralnie dobrą (cf. artykuł p. Jerzego Siweckiego w Pradze 1934). Metoda i nauka O. Garrigou-Lagrange'a może oddać wielkie usługi zarówno klerowi jak i inteligencji przez pozytywny swój wykład prawdy, przy którym element polemiczny został szczęśliwie ograniczony do minimum. Książka stanowi piękny dorobek w kolekcji *Kultura Katolicka* wydawanej przez X. Prałata Brossa. *Ks. K. Kowalski.*

X. S. P. M.: Wanda Malczewska. Skład główny Księgarnia *Przeglądu Katolickiego.* Str. 302, ilustr. 10; zł. 3·—. Warszawa 1934.

W dobie „budzenia" czci świątobliwych postaci naszej Ojczyzny oraz wzrastającego kultu św. Patronów Polski, z radością należy witać źródłowo i gruntownie opracowane żywoty naszych świętych.

Obszerną, opartą na dawniejszym życiorysie: *Miłość Boga i Ojczyzny* przez ks. Grz. Augustynika skreślonym oraz na kilkoletnich sumiennych badaniach Autora jest monografja o życiu Wandy Malczewskiej, zmarłej przed 40 laty w opinji świętości. Autor sam gorliwy propagator rychłej beatyfikacji świątobliwej Wandy, czerpiąc obficie z pism sługi Bożej, notatek jej spowiedników i zeznań naocznych świadków, kreśli nam duchowy jej portret, uwypuklając jej wielkość, płynącą z wybitnej świętości życia zjednoczonego ściśle z Bogiem. Na tle szarej codzienności najprostszych uczynków miłości i miłosierdzia silnie zarysowuje się niezwykła wzniosłość heroizmu cnót Wandy, wzbijającej się na szczyty doskonałości aż do mistycznego obcowania na modlitwie z Chrystusem wśród ekstatycznych wzlotów ducha.

Wizje te i prorocze przepowiednie o losach przyszłej wolnej i niepodległej Polski, znamionujące wielką i gorącą miłość Wandy do ziemskiej Ojczyzny, jęczącej wówczas w kajdanach niewoli — podano wraz z modlitwami sługi Bożej, w drugiej części życiorysu. Autentyczność prywatnych tych objawień wyjaśni pewnie niezadługo wszczęty już proces beatyfikacyjny, do którego wstępne kroki uczyniono w kurji łódzkiej. Na terenie bowiem tej diecezji w Parznie 26 września 1866 r. zmarła świątobliwa Wanda Malczewska w 75 roku życia. Wzrastająca od tej chwili cześć sługi Bożej i coraz liczniejsze łaski przy jej szczątkach otrzymywane każą się spodziewać, że może w niedługim czasie ujrzymy tę „siostrę ludu polskiego" na ołtarzach, opromienioną aureolą błogosławionych.

Nie wątpimy, że budujący żywot Wandy przysłuży się dobrze tej sprawie i spotęguje jej cześć w szerokich warstwach polskiego społeczeństwa. *Ks. Czesław Sejbuk T. J.*

S. Marja Renata od Chrystusa, Niepokalanka: Sentire cum Ecclesia. Szkice liturgiczne. Poznań 1934. (Wydawnictwo *Kultura Katolicka* II, pod redakcją ks. dr. Stanisława Brossa. Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej). Str. XIII+252.

Autorka, wykładająca od szeregu lat języki starożytne w zakładach, prowadzonych przez jej Zgromadzenie, posiada wielką wiedzę w zakresie historji kultu chrześcijańskiego i wielkie zamiłowanie do badań w tym kierunku. Od kilku lat wydawała w różnych czasopismach katolickich artykuły, wyjaśniające treść i dzieje powstania modlitw mszalnych i brewjarzowych w dni ważniejszych świąt roku kościelnego. Obecnie zebrała je w jedną całość, dołączyła parę rozdziałów, zawierających wykład ogólnego znaczenia modlitwy liturgicznej i w ten sposób powstały 22 rozdziały omawianej książki. Ks. Arcybiskup Mańkowski, wielki miłośnik liturgji, krótko przed swoją śmiercią, skreślił do tego dziełka przedmowę, gdzie nazwał je „pożytecznem i zajmującem". Recenzent musi się w zupełności pisać na to określenie. Zajmującą jest książka S. Renaty, bo czcigodna autorka zebrała w niej długi szereg bardzo ciekawych, a nawet przez duchowieństwo przeważnie mało znanych wiadomości o pochodzeniu i znaczeniu tych wzniosłych modlitw, któremi Kościół coraz wspanialej przyodziewał w ciągu wieków sprawowanie Najświętszej Ofiary i które polecił swym sługom dnia każdego zanosić przed tron Boży. A że uczyniła to z całą czcią i umiłowaniem dla tych świętości, przeto i czytelnikowi udzielają się te same uczucia, i dlatego książkę tę uznać należy za bardzo pożyteczną. Takie rozdziały, jak ten, w którym ślicznie objaśnione zostały *responsoria matutini*, albo liturgja Adwentu, w niejedną, kapłańską nawet, a więc znającą te rzeczy duszę, tchnie nowe, nieznane jej przedtem myśli, które ją nowym połączą węzłem z codziennie spełnianemi czynnościami świętemi.

Czy jednakże zachętę, którą autorka, gorąca zwolenniczka ruchu liturgicznego, zwraca w swej książce ku szerszym masom społeczeństwa, ażeby modlitwa liturgiczna stała się główną i podstawową treścią nabożeństwa chrześcijańskiego, mamy powtórzyć z równą jak ona to czyni, siłą przekonania? Wydaje się, że niezupełnie. Rzecz jasna, że po ostatnich wypowiedzeniach się Stolicy św., żaden katolik nie może nie uznać wielkiej wartości dla rozwoju życia wewnętrznego modlitwy liturgicznej. Ale i to wydaje się rzeczą pewną, że wykorzystanie tych wartości wymaga ze strony duszy pewnego przygotowania. Można powiedzieć, że liturgja uczy wiele i bardzo wielkich rzeczy, ale nie w sposób zbytnio łatwy. Wydaje nam się, że człowiek nieprzygotowany, łatwiej w sercu odczuje wdzięczną miłość dla Zbawiciela, gdy zaśpiewa „Gorzkie żale", niż gdy wmyślać się zacznie we wspaniałą treść Ciemnej Jutrzni. Niechybnie jednak taką pracę przygoto-

wawczą książka S. Renaty w bardzo wielu wypadkach dokonać może, stąd najgorętszego polecenia jest godna.

Naostatek słówko krytyki: Nie podobają się nam takie wyrażenia, jak „cykl temporalny i sanktoralny" (str. 7), albo „werset allelujatyczny" (str. 184), zrozumiałe jedynie dla księży. Przyznajemy jednak, że niełatwo po polsku przetłumaczyć bez długiego opisania te terminy. Następnie zaś, choć autorka wykazuje wielką erudycję w sprawach liturgicznych i chociaż korzysta z najlepszych źródeł, mianowicie z prac uczonych benedyktynów, największych specjalistów w tym zakresie, niemniej wkradło się do jej dzieła parę nieścisłości. Naprz. czas powstania Mszy św. czytanej nie jest to wiek XIII, tylko wcześniejsza, trudna do ścisłego określenia epoka (str. 25), albo II-ga księga Ezdrasza czyli t. zw. księga Nehemiasza jest kanoniczna, a niekanonicznemi są t. zw. III i IV-ta Ezdraszowa, z tej ostatniej pochodzi cytowany przez autorkę tekst (str. 242).

Ks. H. Cichowski.

Dr. Stanislaus Frankl: Doctrina Hosii de notis Ecclesiae in luce saeculi XVI considerata. Romae, F. Pustet 1934, 8⁰ str. XXVI + 186.

O Hozjuszu, jednej z najbardziej świetlanych postaci XVI w., pisano już niemało. Oświetlano go jednak przeważnie z punktu widzenia historycznego. A przecież był to także wielki teolog. Tę stronę działalności wielkiego kardynała uwzględnił wprawdzie niedawno Lortz (*Kardinal Stanislaus Hosius,* Braunsberg 1931) — niestety, jakżeż stronniczo! Dlatego wdzięczni jesteśmy ks. Dr. Franklowi za jego gruntowną rozprawę. Przedstawia ona tylko jeden punkt z eklezjologji bpa warmińskiego, punkt zresztą bardzo ważny: o znamionach prawdziwego Kościoła.

Kwestja ta nie jest bynajmniej nowa: musiano ją rozwiązać z chwilą pojawienia się pierwszych społeczności heretyckich. Ale w XVI w. wobec grożącego widma protestantyzmu staje się problemem centralnym teologji katolickiej. Po pewnej oscylacji co do liczby i charakteru znamion ogólnie przyjęto — pomijając kwestję dokładnego określenia — jako kryterja, cztery właściwości Kościoła, wyjęte z symbolu konstantynopolitańskiego.

Jak ten problem rozwiązał i jaką rolę odegrał w krystalizacji tej myśli katolickiej „polski Augustyn", jak nazywano w swoim czasie Hozjusza? Na to pytanie zwięźle, ale gruntownie odpowiada praca omawiana.

Nauka Hozjusza zajaśnieje szczególnym blaskiem, gdy idąc za autorem, rozważymy ją na tle tylu innych, nieraz bardzo różnych poglądów teologów XVI w., zarówno katolickich jak i innowierczych. To tło podmalowują dwa pierwsze rozdziały. Roz. I (str. 15—58) przedstawia poglądy eklezjologiczne najważniejszych

kierunków protestanckich oraz krótko zbiera będącą wówczas w stagnacji myśl teologów wschodnich o znamionach prawdziwego Kościoła. W roz. II (str. 59—105) autor podaje, może nieraz za krótko, odnośną naukę najznaczniejszych teologów katolickich. Wśród 59 pisarzy wyliczonych widnieją znane nazwiska polskie Kromera, Kuczborskiego, Sokołowskiego, Powodowskiego, Skargi. Wszyscy teologowie podzieleni są na dwie kategorje: jedna, zwłaszcza w pierwszej połowie XVI w., do poznania prawdziwego Kościoła dochodzi drogą prymatu (str. 59—68), druga, drogą znamion (str. 68—105, których liczba waha się od 2 aż do 100 (T. Bozio).

Na tem podłożu myślowem analizuje autor już bardziej szczegółowo naukę samego Hozjusza (roz. III str. 106—143) i dochodzi do ostatecznego wniosku, że bp warmiński był pierwszym teologiem w XVI w., który naukę o 4 znamionach prawdziwego Kościoła przedłożył jasno i schematycznie, sprowadzając je ostatecznie do jedności, jako kryterjum podstawowego. Odtąd system 4 znamion jest już powszechnie przyjęty.

Wreszcie w roz. IV (str. 144—178) autor bada zależność Hozjusza (przedewszystkiem od św. Augustyna) oraz jego wpływy. Nie bez podstawy może się pytać nawet o wpływ wielkiego kardynała na Katechizm Rzymski Piusa V (str. 147 n.). A i dziś nawet, zdaniem autora, pomijając pojęcie świętości prawnej, do nauki jego nic dodać, ani od niej nic istotnego odjąć nie można (str. 171, 180).

Dysertacja ks. F., owoc żmudnej i gruntownej pracy, zasługuje na szczere uznanie. Autor wykazał dobitnie nietylko dużą znajomość przedmiotu, opartą na bogatej literaturze, lecz również głęboką wnikliwość — przymioty istotnę pisarza naukowego. Jest to pierwsza praca tego rodzaju u nas, praca niełatwa, ale wdzięczna, stanowiąca cenny przyczynek do historji teologji polskiej.

Naszem zdaniem jednak praca zyskałaby dużo na wartości, a autor uniknąłby suchego cytowania, gdyby dwa pierwsze rozdziały były ujęte, o ile to jest możliwe, bardziej syntetycznie. Kilka tekstów bowiem bez dalszego kontekstu rzeczowego nie daje jeszcze czytelnikowi pełnego pojęcia o dokładnym sądzie danego teologa. Nie wiemy również, jak Hozjusz zapatruje się na stosunek 4 znamion do prymatu, zwłaszcza podstawowego znamienia jedności. Z tem łączy się częściowo kwestja, w jaki sposób Hozjusz określa, skąd czerpie swe pojęcie znamion wogóle. Czy przypadkiem bp warmiński — jak to się zdarza zresztą i innym teologom późniejszym — suponując, gdzie jest prawdziwy Kościół, nie szuka raczej tego co go odróżnia od innych społeczności religijnych i to *signum distinctivum* uważa za jego znamię? (por. str. 115). Czy też przeciwnie i o ile stosuje on tę niezłomną zasadę, że pojęcie sprawdzianu prawdziwego Kościoła Chrystusowego trzeba określić *a priori* t. zn. ze źródeł, które nie przesą-

dzają zgóry kwestji, które więc mogą i muszą być przyjęte również przez przeciwników. Takiem źródłem będzie np. *Pismo św.*, analiza samych pojęć, a wobec schizmatyków również najstarsza tradycja.

Te i tym podobne pytania przekraczają zwyczajną tylko ciekawość czytelnika; sięgają one do istoty rzeczy. Pełną odpowiedź na niektóre z nich obiecano nam w przyszłej, zapowiedzianej pracy (str. 13). Czy będzie tam uwzględniony punkt widzenia historyczny? Na rozprawę tę czekamy więc z upragnieniem. Jak wolno wnosić z obecnej pracy, przyniesie ona wiele nowego światła, oraz będzie jej doskonałem uzupełnieniem.

Ks. Stanisław Felczak T. J.

Ks. Kazimierz Werbel: Św. Cyryl Jerozolimski jako katecheta. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Prace Komisji teologicznej. Tom II. Zeszyt 1.

We wstępie przedstawia Autor środowisko, t. j. atmosferę polityczną i religijną w jakiej wzrósł św. Cyryl. Mężem nauki nie był, chociaż zdolności miał potemu, albowiem upodobania poprowadziły go w kierunku praktycznym, duszpasterskim.

Katechezy Cyryla są — prawie wszystkie — treści dogmatycznej; cechuje je jasność wykładu i prosty sposób przedstawienia.

Argumentacja Cyryla „jest gruntowna, wszechstronna, przekonywująca, a przytem ściśle kościelna" (str. 80). Język poprawny, chociaż niezawsze odpowiada wymogom krasomówstwa. Używa licznych porównań, czerpiąc je z *Pisma św.* a niekiedy z przyrody. Metodę ma akroamatyczną, przytem umie skoncentrować materjał, utrwalać go w pamięci słuchaczy. Celuje w przechodzeniu od rzeczy łatwiejszych do trudnych, od pojęć konkretnych do oderwanych. Celem katechez jest nietylko pouczenie, ale i umiejętna obrona wiary.

Rzecz oparta na źródłach i bogatej literaturze jest cennym przyczynkiem w naszej patrystyce.

Ks. Wł. Wiącek T. J.

Z literatury powieściowej.

Wacław Berent: Nurt, opowieści biograficzne: Tom I, Ludzie starodawni, tom II, Pogrobowcy. Wyd. Gebethnera. — Jarosław Iwaszkiewicz: Czerwone tarcze, wyd. Gebethnera. — Wiesław Wohnout: Miłość i sprawa, wyd. J. Przeworskiego. — Tadeusz Łopalewski: Prowincjusze, wyd. Roju. — Melchior Wańkowicz: Szczenięce lata, wyd. Roju. — Malwina Szczepkowska: Schody w górę, bibljoteka Tygodnika Ilustrowanego. — Izabella Lutosławska: Małżeństwo Zazy, wyd. św. Wojciecha. — F. A. Ossendowski: Polesie, wyd. Węgnera w kolekcji Cuda Polski. — Wacław Niezabitowski: Golfsztrom, wyd. Roju.

Wielką trudnością, gdy się pisze recenzje z książek, jest utrzymanie trafnej perspektywy, zaznaczenie hierarchji ich war-

tości. O wielu książkach mówi się, i mówi słusznie: ładna, dobra, piękna, ale gdy nagle jakaś książka wystrzeli ponad te dobre i ładne książki, jak turnia ponad regle, niewiadomo, nie chcąc wpadać w napuszone superlatywy, jak zaznaczyć jej od tamtych dystans, jej całkiem inny ciężar gatunkowy. Tak właśnie wystrzela ponad „dobrą" produkcję literacką wielu lat ostatnich książka Wacława Berenta *Nurt*.

Aby określić to dzieło, nie można sięgnąć po epitet do żadnego ze sklasyfikowanych rodzajów literackich. Nie jest to, w ścisłem znaczeniu ani powieść, ani szkic historyczny, *vie romancée*. Może najlepiej określałoby je słowo użyte przez profesora Sinkę: „rapsod". Sam autor informuje nas w podtytule, że uważa swe dzieło za opowieści biograficzne. *Nurt* składa się z trzech tomów: *Ludzie starodawni*, *Pogrobowcy i Odnowiciele*. Z tych trzech części ukazały się narazie dwie pierwsze. Nawiasem mówiąc rozkawałkowanie tak wielkiego dzieła jak dzieło Berenta, jest naprawdę karygodne, gdyż mimo wszystko, przynosi znaczną ujmę całości artystycznej i ideologicznej dzieła. Wydawca, Gebethner, tłumaczy, że trudne było wydanie całości, ze względów techniczno-handlowych. Takie tłumaczenie nie zadawalnia nas, powody techniczno-handlowe nie wystarczają. Jeśli już mowa o wydawnictwie, to trzeba podnieść z uznaniem staranne i ładne wydanie *Nurtu*. Właściwie nie warto byłoby tego podkreślać, jako rzeczy sama przez się zrozumiałej, ale niestety, tak przyzwyczajeni jesteśmy do czytania książek w niechlujnych wydaniach niektórych firm, do potykania się co krok o najgrubsze niedopatrzenia niedbałej korekty, że czytanie książki bez błędów, stanowi wybitną przyjemność negatywną!

Tom pierwszy *Nurtu* obejmuje trzy opowiadania z epoki Stanisławowskiej: *Pustelnik* jest sylwetką Franciszka Karpińskiego, *Mnichy* to obraz edukacyjnej i naukowej działalności Pijarów, a przedewszystkiem gramatyka ks. Kopczyńskiego. *Żywa pamiątka* to — jak tytuł wskazuje — Niemcewicz. Odrazu zachwyca przedziwna kolorowość i plastyczność tych Stanisławowskich obrazów, bierze ich pastelowość, ich wdzięk, ich Baciarelowskie bogactwo, wyrazistość sylwetek. Odrazu też uwydatnia się jakby dwoistość życia tej epoki: z jednej strony fichuty, peruki, rymowane ody, błyskotliwość dworskiego życia, trochę mdłe, ale istotne, piękno rokokowej sztuki — z drugiej jakiś groźny pomruk dziejowych katastrof, trzask łamiących się wiązań państwowych, pogodny uśmiech gładkich dworaków i ponury bunt upadającego narodu. Zanika u wielu poczucie godności, wychyla się służalczość, płyną rymowane ody na cześć Repnina — ale także odzywa się już trafny instynkt narodu, żeby na pierwszem miejscu ratować polską naukę i sztukę, a przedewszystkiem język, — język, który jest „ojcem, gospodarzem i sędzią nauk wszystkich". Ten wysiłek skupia się przedewszystkiem w Królewskiem Towarzystwie Przy-

jaciół nauk. Ono ma być tą arką przymierza, w której przechowa się duch polski, aż do chwili, w której czyn zbrojny wolność mu przywróci. Ten czyn zbrojny, zanim stanie się czynem owocnym, jest narazie czynem odkupującym, czynem ratującym honor narodowy. Takie znaczenie ma w pojęciu Berenta bitwa Maciejowicka, ukazana w obrazie niezrównanej piękności. Po katastrofie ostatecznej, unoszą ten „honor narodowy" legjony. Tom drugi jest historją tych legjonów, a przedewszystkiem historją Dąbrowskiego. Ton opowiadania podnosi się, z melodji rapsodu przechodzi w rytm bohaterskiej epopei, czasami odzywa się nutą hymnu i hejnału. Na plan pierwszy wybija się wspaniała postać Dąbrowskiego. Autor uniesiony artystycznem rozmiłowaniem w swym przedmiocie skupia na tej postaci wszystkie światła i całą wielkość epoki. Ten wódz milczący, ciężki, wytrwały i ponury jest dla Berenta, tak jak dla Staszica: „Mężem zadziwiającej stałości, który pierwszy po rozbiorach rozpoczął dzieje odradzania się narodu polskiego", który był tego odrodzenia „czyńcą". Zapatrzony w wielkość Dąbrowskiego, Berent, boleje nad niesprawiedliwością narodu, który nie jemu oddał najwyższe dowództwo w Księstwie warszawskiem. Berent w przedziwnem swem spojrzeniu wielkiego artysty, obejmuje równocześnie różne plany rzeczywistości: widzi rzeczywistość faktów historycznych, rzeczywistość legendy i rzeczywistość sztuki. Postacie szlachty Dobrzyńskiej stają obok postaci znanych z kronik i pamiętników. Literatura wyrównuje niesprawiedliwości dziejowe. To też Dąbrowski jest dla niego ostatnim hetmanem Polski „z najwyższego mianowania Mickiewicza", a początek XI księgi Pana Tadeusza jest jedynym pomnikiem wielkiego wodza legjonów, któremu niewdzięczni rodacy dali tylko „tabliczkę", zamiast należnych mu pomników ze spiżu i marmuru. Trzeba jednak przyznać, że nie może się skarżyć bohater, któremu potomność wystawiła pomnik pieśnią, nieśmiertelnem słowem Mickiewicza, a dzisiaj stawia mu pomnik wspaniałem dziełem Berenta. I już chyba Dąbrowski zostanie na zawsze takim, jakim jest w *Nurcie*, tak przez Berenta „zbronzowany". To zamylenie, a może raczej rozszerzenie rzeczywistości historycznej rzeczywistością polskiej legendy, pieśni i sztuki — sprawia, że obraz opoki występuje u Berenta z dziwną plastycznością i siłą, że jest, jak żaden inny, pełny i głęboki, sięgający poprzez fakty i ludzi do samych korzeni bytu narodowego. Bo ani wypadki, ani sylwetki ludzi, nie wyczerpują ani artystycznej ani ideologicznej treści tego dzieła. Treścią jego istotną jest „nurt", nurt dziejów. Z przedziwną wnikliwością przedstawia autor, jak u dna wszelkich historycznych wypadków tkwią wielkie poruszenia dusz ludzkich, jak wielkie prądy myślowe i kulturalne kształtują historję, jak mieczem zawsze kieruje duch. Widzimy dzieje Europy, kołatane prądami wieku oświecenia i rewolucji, widzimy jak schnie drzewo wolności, jak wy-

twarza się napoleońska soldateska. Widzimy zamierające pokolenie Stanisławowskich estetów, cynicznych wolterjanów, widzimy rosnące młode pokolenie „trzeźwe jak wszystkie pokolenia powojenne". Wyczuwamy już ciche drgnienia romantyzmu i prądów humanitarnych; pachnie już wiosną ludów; wykłuwa się nowe życie podziemnych konspiracyj, wolnomularstwa, karbonarjuszy. Na tych wielkich falach dziejowych, zalewających świat jeden, a wydźwigujących drugi, kołysze się rozbita nawa polska, z temi wszystkiemi prądami związana, przez nie kształtowana i popychana. W tym nurcie ogólnym widzimy wyraźnie i odrębny nurt polski. Nurt ten dwoma płynie strugami: płynie krwią hojnie wylewaną w poczynaniach szalonych i beznadziejnych a w rezultacie ostatecznym, tak owocnych, płynie też strugą atramentu, kreślącego niepozorne znaki na kartach ksiąg w pracy niepozornej, mrówczej, często pogardzanej, często także zbytnio uległej i ugodowej a znowu w rezultacie tak wspaniałej. Miecz rąbie chodniki ku przyszłej wolności, nie dozwala usnąć duchowi, woła ustawicznie na całą Europę o nasze prawo; pióro i słowo — pielęgnują czystość ducha, przechowują te wartości, które kiedyś w odbudowany gmach wniesiemy. Potępiają jedni nierozsądek kondotjerskich czynów zbrojnych, pogardzają drudzy zbytnią giętkością karków tych, którzy w popłochu i lęku starają się ratować polską książkę i naukę pod skrzydłami to Aleksandra to Fryderyka. Jedni grzeszą brakiem rozsądku, drudzy brakiem godności; ale jednak wysiłek jednych i drugich, to ten właśnie niesłusznie „zlekceważony trud ówczesnego pokolenia", pokolenia, które popełniło niewątpliwie wiele błędów, ale które wyczuło instynktem, że miecz i słowo, to te dwa skrzydła, na których wyniesiemy z katastrofy dziejowej naszą kulturę, ducha narodowego i narodową godność. Miecz i książka, których nie wypuściło z rąk ówczesne pokolenie, to te dwa talizmany, które sprawiły, że dziś gmach niepodległości jest odbudowany a odbudowany nie jest gmachem pustym i bezdusznym, ale, że jego mocne wiązania sklepią się nad bogatą i pełną prężności i życia treścią duchową i kulturalną. Ten podwójny prąd naszego życia porozbiorowego uchwycił Berent w jego całości. Na jego doniosłość patrzy bezstronnie; mówi o nim sprawiedliwie, spokojnie i mądrze, jak człowiek wspominający już bez namiętności i goryczy o tragicznych, ale już zlikwidowanych okresach swego życia. I tu leży olbrzymia ideowa doniosłość dzieła Berenta; dzieło to jest pierwszym wielkim obrachunkiem artystycznym Polski niepodległej z jej heroiczną i męczeńską historją rozbiorową.

Tę wielką syntezę naszych dziejów przedstawił nam Berent jak wielki artysta: nigdzie nam jej nie narzucał, zawsze wydobywała się sama, z mistrzowsko skreślonych obrazów i postaci. To też prześliczną jego książkę czyta się nietylko z głęboką zadumą i wzruszeniem, ale czyta się ją także w olśnieniu i zachwycie.

Czyta się ją powoli tak, jak powoli pije się pachnące, stare wino, i tak jak stare wino idzie ta książka coraz mocniej do głowy, napełniając nas podziwem, nad tajemniczą i czarodziejską mocą zaklętego w wielką sztukę słowa.

Powszechne zdziwienie wywołał fakt, że Jarosław Iwaszkiewicz napisał powieść historyczną *Czerwone tarcze.* W pojęciu ogółu, powieść mrocznego średniowiecza powinna być pełna szczęku oręża, zapachu krwi, powinna być surowa, doskonale epicka, gdzieniegdzie urozmaicona burleską. Jakie zastosowanie w tym schemacie mieć mogą specyficzne talenty wielkiego poety-prozatora, subtelnego cyzelatora słowa, melancholijnego pisarza, patrzącego jak żaden inny w smętek przemijających w czasie ludzi, w czasie spopielających się uczuć? Gdzież tu miejsce dla wielkiej dynamiki uczuciowej, która każdą frazę doskonale zbudowaną, jasno zarysowaną, wydyma od wewnątrz w kształt lśniący i połyskliwy, tak jak wicher południa wydymał w purpurową wizję płaszcz króla Rogera? Co ma do powiedzenia o twardych sprawach średniowiecza ten niezrównany pieśniarz polskiej wsi, polskiego lata i słońca, ten pisarz, którego słowa mają w sobie cichy szelest dojrzałych zbóż, które śpiewają nieuchwytną muzyką polskiej wsi? Co ma do powiedzenia o zawiłych sprawach cesarzy i królów ten, kto jak nikt inny umie malować prostotę mazowieckich równin, kresowych stepów, kieleckich pagórków? Ale Iwaszkiewicz w *Czerwonych tarczach* odpowiedział nam wymownie, że sztuka jest zawsze jedna, że jak pięknie mówi Rittner „o jedno, jak zawsze, w sztuce chodzi: o zapach świata i o dusze ludzkie". I właśnie o ten zapach świata, o dusze ludzkie chodzi Iwaszkiewiczowi w świecie wojen krzyżowych, w świecie templarjuszy, cesarzy i rycerzy, w świecie skłóconych Piastowskich książątek, tak jak o nie mu chodziło w *Pannach z Wilka,* w *Brzezinie* i w książce *Księżyc wschodzi.* Tu chodziło mu o „zapach" barwnego, malowniczego świata średniowiecznego. Oddał go nieporównanie. Bohater powieści, Henryk Sandomierski, styka się z wszystkiemi jego sprawami, z wszystkiemi jego ludźmi i z papieżem Eugenjuszem i z Arnoldem z Brescji, i z cesarzem Barbarossą i z sycylijskim Rogerem i z Jerozolimską królową Melissandrą. Zapoznaje się z wielkiemi sprawami cesarstwa rzymskiego, z życiem rycerzy i zakonników niemieckich, z tajemniczemi sprawami Róży i Krzyża w zakonie Templarjuszy, z bogatym, opowieści Secherezady przypominającym, światem muzułmańskiego Wschodu. Ta wędrówka Henryka Sandomierskiego poprzez cały współczesny świat daje autorowi okazję do malowania ciekawych i barwnych obrazków obyczajowych, do malowania niezrównanej piękności obrazów przyrody. Niemniej piękne od opisów mórz, gór i lasów, są w części drugiej, opisy Polski „ziemi prostej i bardzo kochanej". Ale choć Iwaszkiewicz roz-

toczył przed nami obraz średniowiecza w całej jego barwności, we wszystkich jego odrębnych i charakterystycznych cechach, nie traktował opisywanego świata i epoki jedynie jako historycznego zabytku. Nigdzie na tę odległą epokę nie rzucał szarego płaszcza zamierzchłości i archaizmu. Nie cofał, nie starał się cofać, w przeszłość ani swego języka, swego prześlicznego, muzyką płynącego, w symfonję zorkiestrowanego, języka — ani w przeszłość nie starał się cofać swego spojrzenia na człowieka, na jego duszę i losy. I mądrze zrobił autor, przerzucając w mroczną przeszłość jedynie swoją malarską wizję, a nie starając się schodzić samemu ze swego stanowiska człowieka współczesnego. (Tak samo zresztą zrobiła i Sygryda Undset w Krystynie.) Co można wiedzieć o człowieku, który żył temu 140 lat? powiada Henryk Sandomierski myśląc o Chrobrym. I prawda, co można wiedzieć o tych zwaśnionych Piastowskich książątkach, o tej epoce pełnej zamętu i zawieruchy, a tak bardzo nabrzmiałej walką o istotną treść życia, o epoce tak drapieżnej a tak pełnej ideału, tak rozkruszonej na cząstki, a tak dążącej do najwyższej jedności? O tem naprawdę nic wiedzieć nie można. Ale wiedzieć można — i wie Iwaszkiewicz — dwie rzeczy: wie, że człowiek jest w gruncie rzeczy zawsze taki sam, taki sam w swym odwiecznym dramacie wewnętrznym, w skłóceniu ideału i czynu, w nieograniczoności marzeń i w niedołęstwie ich wykonania. Wie także, że świat jest zawsze młody, że fale historji przemijają i wracają z temi samemi kwestjami i trudnościami. To też ludzie Iwaszkiewicza, ludzie średniowiecza są dziwnie współcześni. Współczesny jest Henryk, szlachetny marzyciel-teoretyk, neurastenik, człowiek o wielkiej inteligencji, o syntetycznym umyśle, ale człowiek słaby, niezdecydowany, za dużo wiedzący by działać, typowy, niezdolny do czynu intelektualista. Współczesny i kapitalny jest Kazimierz (Sprawiedliwy) antyteza Henryka, człowiek praktyczny i rozumny, trzeźwy i roztropny, dla którego chińszczyzną są wszystkie idee brata o władzy, o symbolach korony. Na te wszystkie mądre rozumowania brata wzrusza Kazimierz ramionami, ale wszędzie, gdzie się pokaże, wszystko odrazu w garść chwyta, władza sama w ręce mu idzie i wszystko jakby niechcący, „naokoło niego układa się w rządny dwór i dobre gospodarstwo". Z wielką i trafną intuicją zostawił Iwaszkiewicz ludziom średniowiecznym psychologję nam znaną i bliską. I czyż zresztą tak bardzo pewne jest, że takie postawienie kwestji, jest nietylko słusznym chwytem artystycznym, ale, że nie jest także i istotną prawdą historyczną? Z równą zrozumiałością i bliskością przedstawił Iwaszkiewicz wielkie prawa rządzące historją świata. Przedstawił nam tajemniczy stosunek władzy do prawa, przedstawił, jak władza kuje prawa którym potem sama ulega. Zapytywał, o co dotąd wszyscy pytają, jak płynie porządek świata, czy od jedności ku cząstkom, czy od cząstek ku jedności. Zapytuje, jak ma ustosunkować się

do tego zagadkowego rytmu świata władza, czy ma poświęcać jednostkę dla całości, czy całość dla jednostki? Wie wprawdzie, że „wszystkim nigdy nie będzie dobrze; zresztą są rzeczy ważniejsze niż dobro każdego zosobna: dobro wszystkich razem". Ale właśnie — wraca błędne koło — jak osiągnie się to dobro wszystkich razem, czy poświęcając wielkość jedności, czy poświęcając, jakżeż wielkiego także w swej odrębności człowieka? Wie Iwaszkiewicz, że wielkie sprawy giną w małych i tracą linje, ale wie także, że sprawy małe w wielkie się wiążą i sklepią.

Taki jest głęboki historjozoficzny nurt płynący ustawicznie falą starą a współczesną, poprzez zawiłe wypadki średniowiecza. Fale te niosły na swym grzbiecie Barbarossę i Krzywoustego, poruszały sprężynami wojen krzyżowych, dźwigały i kruszyły gmach feodalny, uzbrajały skłócone dłonie Bolesławowych synów, wykwitały pacyfizmem w ideologji Templarjuszy. Na tych samych falach chwieje się dziś świat, o rozstrzygnięcie tych samych problemów drży ziemia w posadach. Wprawdzie spełniły się marzenia umierającego Henryka Sandomierskiego, że „kraj (Polska) będzie szeroki i wolny, jak ta woda; że cesarza nie będzie w Europie", ale dalsza część jego marzeń: „wszystkie ludy będą równe sobie klęczały przed tronem Chrystusa", dalekie będąc od ziszczenia, jest jednak marzeniem, wysiłkiem i modlitwą wszystkich idealistów i marzycieli świata dzisiejszego. Tak głęboka i piękna książka Iwaszkiewicza, będąc dokładnie średniowieczna, jest i bardzo współczesna, wiąże się ściśle i głęboko z wszystkiemi zagadnieniami dzisiejszej rzeczywistości. Ale jednak, przedewszystkiem jest piękna i doskonała pięknością nieskazitelnego języka, i wielkością i plastycznością swej artystycznej wizji.

Miłość i sprawa Wiesława Wohnouta jest powieścią polityczną niewątpliwie ciekawą. Ale ciekawą jest raczej ze względów ideowych niż artystycznych. Pod względem artystycznym książka ta, zwłaszcza jak na „debiut" jest dziwnie dojrzała. Nie wyczuwa się w niej żadnych wahań, ale też żadnych poszukiwań. W dziwny sposób nie wyczuwa się w niej właściwie żadnych artystycznych założeń. Nie znaczy to, by była literacko słaba. Przeciwnie, jest zrobiona dobrze, ale nie można się oprzeć wrażeniu, że jednak nie o dzieło sztuki chodziło w pierwszym rzędzie autorowi. Ta niewątpliwie bardzo dobra powieść, ma jednak coś z „upowieściowanego" artykułu czy rozprawy. Chociaż porusza tematy bardzo aktualne, choć wprowadza osoby faktycznie istniejące, pod zmienionemi nazwiskami, nie ma jednak cechy reportażu. Na to jest za dobrze w powieść przetransponowana. Pod względem artystycznym jest Wohnout pod niewątpliwym wpływem J. Kaden-Bandrowskiego. Mateusz Bigda ulał kształt dla *Miłości i sprawy*. Język jest jasny, prosty, nawet pełen wyrazu i siły tam, gdzie autor mówi czy w formie monologu, czy

dialogu, o sprawach politycznych i społecznych, o tych rzeczach, o których ma naprawdę coś do powiedzenia. Tam natomiast, gdzie czuje się w obowiązku być powieściowym, język ten przybiera wyraźną choć nie nadto przejaskrawioną manierę, manierę wyraźnie „Kadenowską". Jeżeli strona artystyczna, choć bardzo poprawna, budzi jakieś poczucie dziwnego niedosytu, to strona ideowa jest naprawdę bardzo ciekawa, i bez względu na to, czy się ktoś z autorem godzi, czy nie, musi jednak budzić dla tego autora szacunek i sympatję, ten rodzaj sympatji, który budzi zawsze stanowisko odważne, szczere i bezinteresowne. Postawa ideowa Wohnouta jest raczej szukająca, jak afirmatywna, jest chwilami w swem poszukiwaniu bolesna i dramatyczna. Istotną osnową, rozłożoną na kilka postaci, jest szukanie stosunku ideowego do Polski dzisiejszej. To szukanie, dla ludzi, którzy walczyli o niepodległość, nie jest tak proste, jakby się zdawać mogło. Młodzież, która rzadkim w dziejach i w życiu wypadkiem, cel swój ideowy w pełni osiągnęła, musiała się po tym osiągnięciu zdezorjentować, gdyż życie ludzkie z istoty swej musi być zawsze dążeniem i wysiłkiem, a nie może być jedynie mieszkaniem w domu zbudowanym. To też i ci młodzi nie mogli się zadowolić mieszkaniem w zbudowanym przez siebie domu, musieli znowu na wysokiej i odległej górze cel swój osadzić, by móc ku niemu w trudzie i walce dążyć. Oprócz tych powodów ogólnych, były i przyczyny specjalne: Ideologja patrjotycznej młodzieży, walczącej o niepodległość, była ściśle związana z pewną ideologją społeczną, a w tym zespole i skrajna nieraz ideologja społeczna i szowinistyczna nieraz ideologja patrjotyczna nabierały zupełnie specyficznego zabarwienia. Po odbudowaniu Polski te dwie współpracujące idee stały się sobie raczej przeciwne; z sojuszniczek zmieniły się w antagonistki; oddzielone od siebie i częstokroć skłócone, straciły to specjalne zabarwienie, w którem je młodzież bojowa znała i wyznawała. Dla wielu idea patrjotyczna oderwana od kwestji socjalnej, idea socjalna oderwana od kwestji narodowej, stały się niewystarczające, i ten rozdział wielu bardzo zdezorjentował. Takiego zdezorjentowanego młodzieńca przedstawia Wohnout w osobie swego bohatera Piotra. Piotr po odbudowie państwa polskiego, zostaje nadal członkiem polskiej partji socjalistycznej i tu zaczyna się jego dramat. Część powieści, w której autor robi obrachunek z P. P. S. jest więcej niż satyrą, jest krwawem jej oskarżeniem. Ukazuje całą tę partję, jako zbiór karjerowiczów, krętów, oszustów, jako ludzi wypranych z wszelkiej idei. Przedstawia żywo i plastycznie szereg wyborczych intryg, mało budujących spraw zakulisowych. Bolesny i wstrząsający jest obraz strajku, podtrzymywanego przez „partję", strajku, za który głodem i nędzą płacą rzesze robotnicze. Gdy załamuje się dookoła Piotra ideologja w którą wierzył, szuka on dróg innych: „gdzieś na tej ziemi jest droga". Ale gdzie? Tu

już sam czytelnik może wybrać z pośród kilku dróg wskazanych; jako jedna z możliwości ukazuje się delikatnie, choć wyraźnie, partja komunistyczna, ukazuje się wielka rewolucja społeczna. Do tej rewolucji modli się robotnik Kruszyna inwokacjami Litanji Loretańskiej!... Ale czy ta rewolucja nie załamie się w partyjnictwo, karjerowiczostwo, w interes klasowy, tylko z przesunięciem klasy, jak w oczach Piotra załamał się socjalizm? Te wątpliwości nasuwają się i autorowi. To też Wohnout wskazuje za możliwą jeszcze inną postawę: postawę realnej, państwowotwórczej pracy. Tę personifikuje w postaci wojskowego, członka II wydziału, kapitana Ropelewskiego. „Gdy wy toczyliście dyskusje — mówi Ropelewski do Piotra — gadaliście, teoretyzowali — ja wkuwałem regulamin służby strzeleckiej. Takie głupie formułki, musztrę formalną. To się przydało". „Czy ty sądzisz, że ten regulamin, który wkuwaliśmy kiedyś razem, już obecnie nie obowiązuje? Bo jest niewygodny? Co? Panowie wiecownicy nie lubią o tem słuchać. A ja ci mówię, że obowiązuje!" Ropelewski jest „specem" od brania w karby dyscypliny. Jest bojownikiem dalej, bo jak powiada, dzisiejszy spokój jest także wojną, także walką. Ta zdecydowana, realna, trzeźwa postawa Ropelewskiego, nie jest autorowi niesympatyczna. Trzeba w niej zrezygnować z wielu haseł, z wielu gadań, ale jest w niej coś męskiego, coś realnego. Jest jednak jeszcze najbardziej twórcza, choć w oczach młodych marzycieli może wygląda nieefektownie. I jednak wydaje się, że Piotr tą własnie drogą pójdzie, bo „wiele wartości okazało swą nicość, były jak rozdęte balony głupoty", a Piotr potrzebuje brać w rękę kształt konkretny, formę żywą, oporną i twardą, i chce ją na użytek swojej ręki kształtować. — Z tym problemem ideowo-politycznym, postawionym głęboko i ciekawie, rozwiniętym inteligentnie, wiąże się w książce Wohnouta problem drugi, stosunek wzajemny miłości i sprawy, stosunek do tych spraw kobiety. Autor chce wykazać, że kobietę interesuje jedynie i wyłącznie miłość, że „państwo, walka, władza", to dla niej obce męskie sprawy, „męskie słowa ciężkie jak ołowiane kule". Na wszystkie sprawy życia, najbardziej zawiłe komplikacje ideowe patrzy kobieta jedynie pod kątem miłości, patrzy na nie z jakimś rodzajem praktycznego cynizmu, i nieraz tem swojem praktycznem ujęciem dochodzi do mety prędzej, niż mężczyzna „kroczący w siedmiomilowych butach idei!" I to ideowe ujęcie jest u Wohnouta ciekawe, a w dobie równouprawnienia, trzeba także przyznać, że odważne. Ale tę kwestję traktuje jednak autor, jak na jej zawiłość, zbyt płytko, upraszcza ją i symplifikuje w sposób niedopuszczalny, i choć napewno jest w tej teorji „coś", jest u jej dna jakaś iskra prawdy, to schematyczność przedstawienia prawdę tę czyni jeśli nie karykaturą, to martwym i nieprawdziwym szablonem. Ta strona powieści daje autorowi pretekst do szeregu scen erotycznych, o których powiada Emil Brei-

ter, że są pełne wdzięku i dyskrecji! Wdzięk jest oczywiście rzeczą gustu, mogą niektórzy i tu go się dopatrzeć, ale jeśli opisy erotyczne w książce Wohnouta można nazwać dyskretnemi, to już nie wiem, co w tym zakresie niedyskrecją nazwaćby można?...

Tytuł książki Tadeusza Łopalewskiego *Prowincjusze* wskazuje na to, że zamiary autora były ściśle satyryczne, że chciał życie prowincji przedstawić od jego strony komicznej, groteskowej. — Motyw wyszydzania prowincjonalizmu, wykazywania nudy i szarości życia w małych miasteczkach, jest częstym tematem literackim. Jest to jakby przeciwny biegun regjonalizmu, otaczającego poezją i sentymentem życie poszczególnych prowincyj i miast. Takie przedstawianie życia małych miast ze strony śmiesznej i charakterystycznej, (która niewątpliwie istnieje) przedstawianie typów ludzi specjalnie małomiasteczkowych, warunkujące ich specjalną psychikę właśnie mieszkaniem na prowincji, ma swe niebezpieczeństwa. Człowiekowi mieszkającemu w większych skupieniach ludzkich, wydają się małe i śmieszne sprawy, agitujące mieszkańców miast mniejszych. Ale gdy się z boku patrzy na te snobizmy miast, wynoszących się jedne nad drugie, przychodzi refleksja, czy to pewne lekceważenie spraw prowincji, przez stolice, ma swe źródło w jakiejś istotnej wyższości kulturalnej miast większych, nad mniejszemi, czy też nie jest pewną eksterytorjalną obojętnością człowieka, dla zainteresowań człowieka drugiego, jakąś eksterytorjalną pogardą dla zainteresowań i spraw niewłasnych? Nasuwa się wątpliwość, czy ci mieszkańcy Zawadowa (miasteczko powiatowe, w którem rozgrywa się akcja powieści Łopalewskiego) tak bardzo zasadniczo różnią się od mieszkańców stolicy, czy zainteresowania ludzkie, idące w kierunku spraw małych, drobnych ambicyj, ich obojętność dla t. zw. spraw ogółu, jest wyłącznym przywilejem miasteczek, takich jak Zawadów? Czy raczej nie istnieje jakiś podział ludzi na „małomieszczan" i na ludzi o szerokich horyzontach, niezależnie od ich miejsca zamieszkania, a zależnie od gatunku ich duszy i umysłowości? Jeśli te wszystkie refleksje przychodzą przy czytaniu *Prowincjuszy*, to dlatego, że młody autor „wyłamał" w swej powieści ramy zakreślone tytułem, że chcąc napisać powieść o śmiesznych, głupich ciasnych „prowincjuszach", napisał jednak w gruncie rzeczy powieść o człowieku. Jest to i wadą i zaletą jego interesującej książki. Jest wadą, gdyż autor chciałby w nas wmówić, że wady, płaskość, drobiazgowość, materjalizm opisywanych przez niego ludzi są skutkiem ich miejsca zamieszkania, skutkiem małomiasteczkowej atmosfery, a to mu się nie udaje. Z drugiej strony jest to wyłamanie zaletą, gdyż jednak poprzez istotne śmieszności zewnętrzne małego miasta, poprzez niewątpliwą specjalną mu pleśń, dojrzał autor w ludziach ich „wiecznie ludzki" pierwiastek. Postać „judymowskiego" doktora Tokarskiego, smutnego idealisty, postać

panny Jasi, łapiącej męża *per fas et nefas*, postać felczera Rojsta, zazdrośnie strzegącego cnoty ukochanej córki, to typy żywe i doskonałe, które byłyby na miejscu w każdem mieście, bez względu na jego wielkość. A może najciekawsza postać, redaktora Florysia, już nic a nic nie przyczynia się do *couleur locale;* jest raczej jakby ilustracją do Bourgetowskiej tezy o etapie, jest niezmiernie inteligentnem przedstawieniem mentalności chłopa-inteligenta. To samo „odprowincjonalizowanie" powieści Łopalewskiego, dałoby się przeprowadzić na kwestji agitującej małe miasteczko, na budowie pomnika Malczewskiego. To przejęcie się ważnością niebardzo ważnego dzieła, to przełożenie pomnika, nad najbardziej piekące potrzeby społeczne, to zamiłowanie w fetach i obchodach, nie jest bynajmniej wyłączną cechą prowincji. Klasyczny opis posiedzenia komisji budowy pomnika, „dobrowolne" datki społeczeństwa, wyrażana pod presją starosty, „opinja ogółu", to znowu wcale nie charakterystyczne cechy Zawadowa. Takie posiedzenie i komitet i składki i bale, „na cel", i taki starosta (może z innym tytułem) to postacie i obrazki napewno „wszechpolskie" jeśli nie wszechludzkie. Istotny prowincjonalizm miasteczka wychodzi najlepiej w opisie stosunków towarzyskich, choć przyznam, że jak na ten rodzaj Pipidówki, nawet bardzo mało tam klasycznych plotek, obmów, intryg. Ale jeszcze lepiej wychodzą cechy charakterystyczne Zawadowa jako takiego, w opisach samego miasta, w opisach ulicy i jej życia. Opisy te są doskonałe. Widzimy poprostu te snujące się wieczorem po skwerach rynku tłumy, te parki siedzące na ławkach, widzimy te pogwarki przed kościołem, po sumie, gdzie każdy bystro spogląda, kto z kim się wita, kto komu się kłania, kto z kim rozmawia; widzimy te szyneczki i restauracyjki, te wąskie uliczki, na których każdy każdego musi widzieć i spotkać. W tej smutnej i rzewnej nudzie niedzielnych popołudniowych godzin miasta, pozbawionego przestrzeni, teatrów, rozrywek, oświeconego migającą i gasnącą co chwilę elektrycznością, uwypukla się pewien smętny komizm prowincji daleko bardziej, niż w psychice bohaterów i niż w błahości zajmujących ludzi problemów. Pocisk satyry, mającej zmiażdżyć małe miasteczko przenosi jego mury i trafia w ogólno ludzkie kołtuństwo. — *Prowincjusze* należą do typu powieści t. zw. poczytnych, pisane są łatwo, prosto, interesująco. Posiadają tę najprymitywniejszą, a jednak tak ważną zaletę powieści: zajmują czytelnika. Zajmują go typami, ludźmi i fabułą. Tylko pod koniec powieści, fabuła ta załamuje się niejako, i jakby w cień zasuwa, ze szkodą dla dobrze zresztą utrzymanej budowy. Ma się wrażenie, że młody autor stracił cierpliwość i dobrze wytrzymane tempo niepotrzebnie przyspieszył. W każdym razie przyznać trzeba, że na świat umie patrzeć bystro i inteligentnie i, że ten świat „widziany" umie żywo i prze-

konywująco w powieści odtworzyć. A skoro autor ma takie dwa atuty w ręku, może przy pracy, dużo z niemi zrobić.

Melchior Wańkowicz w swej książce *Szczenięce lata*, mówiąc o zniszczonym w bolszewickiej katastrofie kraju swej młodości, wypowiada te głębokie słowa: „ale dla rozdartego serca ludzkiego to pierwszyzna". Tak niema dla literatury oklepanych tematów. Każdy temat dla utalentowanego autora to „pierwszyzna", tak jak „pierwszyzną" jest dla każdego człowieka, od miljonów lat, na świecie przez ludzi przeżywana młodość, miłość, sztuka, bóle i radości, wiecznie takiego samego, a wiecznie, dla każdego nowego życia. W tej wiecznej i niezniszczalnej młodości ludzkich serc, ludzkich zachwytów i cierpień, leży źródło wiecznej młodości literatury. Dał tego dowód raz więcej Wańkowicz, w książce, opisującej — jakżeż często opisywane ostatnio domy, dwory i stosunki kresowe a na ich tle, lata dziecięce i młodzieńcze. Ale w jego książce to wszystko jest „pierwszyzną". Żywa, bezpośrednia książka iskrzy się humorem i wesołością, jest nieodparcie zabawna w opisie przeróżnych dziwaków i oryginałów kresowych, w opisie już dziś dla nas przedpotopowych zwyczajów i obrządków, jest rozbrajająco zabawna w opisie przeróżnych młodocianych „psich figlów". Trzeba przyznać, że w opisie tych figlów jest autor często więcej jak rubaszny, a obrazki „rodzajowe" kreśli z dużą swobodą i z iście sarmacką dosadnością słowa!

Ale pod tą szumiącą beztroską, pod zawadjactwem kipiącej humorem książki, płynie nurt ślicznego, głębokiego sentymentu, sentymentu do starego domu o ścianach grających świerszczami, do babki ciągnącej nieśmiertelną kabałę, do tego wszystkiego co było, a tak bezpowrotnie minęło, uniesione nietylko płynącą falą przemijania życiowego, ale zdruzgotane i zniszczone katastrofą dziejową. Ta ciągle się wybijająca nuta żalu i tęsknoty nie ma jednak zabarwienia goryczy, dźwięczy tak często spotykaną, a tak zawsze wzruszającą nutą kresowej dzielności. Widzi i rozumie autor, że za sprawą Wiecznego Rozumu i Wiecznej Dobroci, które jak słońce przenikają świat, każde jego źdźbło rośnie ku lepszemu „że na świecie jest coraz lepiej". Ten optymizm, ta wiara że na świecie jednak dobro przeważa, że świat, przedsiębiorstwo Boże nie może być przedsiębiorstwem deficytowem, głoszona przez usta człowieka, który osobiście stracił ludzi i rzeczy sobie najdroższe jest naprawdę piękna.

Możnaby się zapytywać, czy obrazy życia na kresach są prawdziwe. Czy rzeczywiście ziemianie tamtejsi byli tak, jak to przedstawia Wańkowicz, leniami tak skończonemi, rodzajami matołów, zajęci wyłącznie polowaniem i zabawą, niezdolni do poważniejszej myśli, niezdolni do jakiejkolwiek pracy i wysiłku? Późniejsze ich życia zdawałyby się temu przeczyć. Także nasuwa się wątpliwość, czy do tego stopnia idylliczne były stosunki

narodowościowe i społeczne, czy nic w nich choćby zdaleka nie przygotowywało i nie zapowiadało późniejszych „rozdźwięków". Czytając książkę Wańkowicza, ma się jednak wrażenie, że sentyment do kraju lat dziecinnych nie pozwolił mu patrzeć na niego trzeźwo, że nie pozwolił mu przedewszystkiem spojrzeć głębiej i że to spojrzenie powierzchowne ukazujące tylko zewnętrzny, charakterystyczny kształt tamtejszego życia, przyczyniło się nawet do pewnej krzywdzącej niesprawiedliwości w opisywaniu i oddawaniu ludzi i stosunków.

Książka Malwiny Szczepkowskiej *Schody wgórę* nie zasługiwałaby na omówienie, gdyby za podstawę wyboru książek do recenzowania, brać jedynie wartość literacką dzieła. Jest bowiem literacko biorąc tak słaba, że nawet wykazywanie jej błędów, byłoby bezcelowe. Nieudolność tej książki sama bije w oczy. Zająć się nią jednak wypada ze względu na temat, który porusza. *Schody wgórę* są jedną z coraz częściej się pojawiających powieści religijnych, powieści, których tematem są przeżycia religijne dusz, odmalowywanie, jak w tym wypadku, religijnych środowisk. Trudno się dziwić, że pisarzy coraz częściej pociąga historja wewnętrznych, nieraz dramatycznych, przeżyć dusz w ich stosunku do Boga, historja mistycznych wzlotów i religijnych niepokojów. Temat to głęboki, ciekawy i dramatyczny. Jednakowoż, jak dotąd, te zapuszczania się powieści w mistyczne i tajemne labirynty ludzkich dusz nie dały rezultatów pozytywnych. Często, mimo najlepszych intencyj autorów, rezultaty te są co najmniej przykre i niesmaczne. Już usuwam na bok kwestję, że niektórych razi czytanie o rzeczach dla nich najświętszych, o tajemniczym stosunku duszy do Boga w szacie powieściowej. To ostatecznie możnaby uznać za przesąd. Można wreszcie wyobrazić sobie powieść, która oddawałaby pięknie i wzniośle mistyczne przeżycia duszy. Ale najczęściej, jak i w tym wypadku, razi przedewszystkiem w powieściach mistycznych brak istotnej znajomości tematu, ujmowanie go w objawach przypadkowych, zewnętrznych, a nierzadko też w wypaczeniach. A temat ten, ma do siebie to, że jak się nie dotrze do jego jądra, do jego istoty, obraz kreślony staje się odrazu karykaturą, dla czytelnika bolesną, częstokroć bluźnierczą. Intencje p. Szczepkowskiej są, jak mi się wydaje, dobre. Nie wydaje mi się, aby chciała dać karykaturę życia zakonnego, choć ją dała, nie wydaje mi się, aby chciała potępić chrześcijańską mistykę i ideę zakonnego powołania. Motto książki i przedmowa autorki wskazują. że miała zamiar „bezstronnie" studjować życie religijne we wszystkich jego przejawach „od poziomej dewocji do najwznioślejszego mistycyzmu". Widać też, że mniej ją interesuje pozioma dewocja, a więcej mistyka, że dla mistyki chrześcijańskiej, dla powołania zakonnego, ma nawet pewną sympatję i uzna-

nie. Niemniej jednak obraz klasztoru opisywanego przez nią jest poprostu monstrualny. Ten klasztor żeński jest zbiorem ponurych histeryczek, nie mających nawet najprymitywniejszych pojęć o zasadach już nietylko doskonałości chrześcijańskiej, lecz nawet najzwyklejszej chrześcijańskiej cnoty. Pokora, posłuszeństwo, miłość bliźniego, to rzeczy, któremi się te wysoko duchowo stojące osoby bynajmniej nie zajmują. Postacie zakonnic: szpiegującej wszystkich Bibjanny, zdeklarowanej histeryczki, nawiedzanej widzeniami Serafiny, Dominiki trawionej wyrzutami sumienia dlatego, że ma współczucie dla swojej — konającej siostry — są wprost wstrętne. Wstrętne i niedorzeczne są opisy procesji „biczowniczej" zakonnic, na którą to procesję są zawezwane pensjonarki! Wstrętny i kłamliwy jest opis umierającej bez opieki, bez dobrego słowa siostry Domicelli, wprost śmieszne opisy sądów odbywanych nad zakonnicami. Nie ratuje sytuacji to, że autorka zaznacza we wstępie iż maluje stosunki „już dziś nie istniejące", lecz epokę z drugiej połowy XIX wieku. Nawet w najmroczniejszem, najbardziej przez ponurą legendę wypaczonem, średniowieczu, nie mógł istnieć klasztor tak ohydny. A najgorsze jest to, że te wszystkie zakonnice, złe, wstrętne, ponure, okrutne są w pojęciu autorki osobami „zatopionemi w Bogu", oddanemi kontemplacji. Coprawda częściej mają do czynienia z djabłem niż z Bogiem, widzą go wszędzie i na każdym kroku, co już wyraźnie wskazuje na wpływ Bernanosa. A choć autorka to i owo klasztorom jako takim zarzuca, jednak najwyraźniej chce uznać zasadę życia zakonnego, zasadę powołania i oderwania od świata. Tylko w pojęciu autorki, to życie zakonne polega na jakiejś chorobliwej histerji, nic a nic z mistyką chrześcijańską nie mającej wspólnego. I to właśnie jest najgorsze, to zmusza do zajęcia się tą słabą książką, jest ona bowiem charakterystycznym i zatrważającym dowodem, jak wyobrażają sobie życie chrześcijańskie, życie zakonne ludzie, rzekomo zajmujący się sprawami religji, religję studjujący, jak nie mają wogóle pojęcia już nietylko o życiu zakonnem, ale o podstawowych zasadach nauki chrześcijańskiej. Gdyby ta książka miała być paszkwilem, nie warto by się nią zajmować; paszkwile i napaści zawsze będą. Gdyby autorka była chciała przedstawić zboczenia fałszywego mistycyzmu, zboczenia życia zakonnego, możnaby ostatecznie spierać się z nią, udowadniać że bywało tak, a nie tak; ale nie: ten opisany w książce p. Szczepkowskiej dom karny, dom obłąkanych wiedźm, to ma być „przekrój" życia zakonnego, studjum bezstronne tego życia, objaw zainteresowań życiem religijnem ludzkości; to ma być rozwinięcie motta Bergsona ...że mistyk jest człowiekiem uprzywilejowanym, że jest prawie czemś więcej jak człowiekiem!... I — jeżeli się nie mylę — jeżeli ta ponura brednia naprawdę nie ma być paszkwilem, ale „studjum" nad życiem religijnem — to doprawdy ręce opadają.

Małżeństwo Zazy Izabeli Lutosławskiej jest dalszym ciągiem jej powieści *Córka*. W *Córce* ukazała nam autorka z dużą wnikliwością psychologiczną i z dużym wdziękiem, stosunek matki do córki. W tym drugim tomie, chociaż fabuła jego dotyczy małżeństwa Zazy i jej przeżyć miłosnych — ten stosunek do matki jest w dalszym ciągu najciekawszym, a także najbardziej udanym motywem. Zaza w swem światowem i rozproszonem życiu mało zwraca uwagi na cichą i dyskretną panią Barską. Pani Barska nie wtrąca się do życia córki; nie ingeruje w nie ani radami, ani napomnieniami. Zaza o rady nie pyta, ciągle chce w siebie wmówić, że jest od matki niezależna i że liczyć się z nią nie potrzebuje. A jednak cicha pani Barska ma na życie córki wpływ decydujący. Zaza więcej niż przypuszcza, liczy się z matką, ulega bezwiednie atmosferze czystości moralnej i cnoty, która matkę otacza. Ten wpływ nieuchwytny wstrzymuje ją od kroków ostatecznych, w przełomowych chwilach życia. Ten wpływ rośnie jeszcze po śmierci pani Barskiej, gdy Zaza spostrzega, po niewczasie, jak bardzo matkę kochała. Ta część powieści, która opisuje żal Zazy, że Matki nigdy nie doceniała, że jej właściwie nie znała i że nie otoczyła ją tkliwością i miłością — należy do najbardziej udanych ustępów książki. W postaci pani Barskiej i w postaci Zbigniewa Bobrowskiego chce autorka przedstawić środowisko ludzi zacnych, których życie oparte jest na zasadach religijnych, na religijnej bezkompromisowej etyce, — chce przedstawić atmosferę ładu i moralnego porządku. Ten świat przeciwstawia światowi warszawskich aferzystów, ludziom pozbawionym wszelkich zasad i skrupułów, żyjącym w olśnieniu i w bałwochwalstwie złota, w pogoni za zabawą i użyciem. Trzeba przyznać, że przeciwnie niż się to dzieje zwykle, ten świat zacny i cnotliwy maluje autorka bardziej przekonywująco, a przedewszystkiem, maluje go z większym wdziękiem, niż świat zbytku i zabawy. W opisie tego świata rozflirtowanego i rozbawionego popada autorka w pewną przesadę i w pewien „powieściowy" szablon. Perypetje życiowe bohaterki rażą nieprawdopodobieństwem sytuacyj i zbiegów okoliczności, a przedewszystkiem rażą zbyt giętkiem i łatwem naginaniem się do zamysłów autorki. Jakie są te zamierzenia wyraziła Izabella Lutosławska bardzo jasno w przedmowie: „Czytelnicy! Od was przyszło do mnie dobro moralne. Obym wam mogła kiedyś oddać tem samem". To założenie wypełnia autorka całkowicie.

Szata zewnętrzna książek, wydawanych przez Wegnera w cyklu Cuda Polski, jest naprawdę śliczna. Papier, druk a przedewszystkiem liczne ilustracje nie pozostawiają zgoła nic do życzenia. Wyszło już kilka tomów tego cennego wydawnictwa; opisują one kolejno Pomorze, Litwę, Śląsk i t. d. Ostatnio ukazało się *Polesie* w opracowaniu F. A. Ossendowskiego. Oglądanie ilustracyj jest prawdziwą przyjemnością. Już z nich

samych, z reprodukcyj obrazów i świetnych, artystycznych fotografij, uczymy się Polesia, wyczytujemy jego wdzięk, odrębność, poezję, zadumę; poznajemy lud, jego tryb życia, jego artystyczne wyroby; poznajemy zabytki i pejzaż kraju. Trzeba jednak przyznać, że do tego wniknięcia w czar „dziwnego, egzotycznego kraju" mniej przyczynia się t. zw. treść. Opis Polesia, choć niewątpliwie w poszczególnych częściach, zwłaszcza historycznych i ludoznawczych ciekawy, jest jednak chaotyczny, pełen niepotrzebnych powtarzań i nawrotów do poruszonych już kwestyj. Jest zwłaszcza niezadawalający w swych partjach poetycznych, w opisach krajobrazu i polowań. Ale może być, że to nie jest winą autora, lecz... Weyssenhoffa. Bo czytając opisy polowania na głuszce, czy kaczki, opisy poleskich błot, lasów, wód i mokradeł, nie możemy nie myśleć o czarodziejskich kartach *Puszczy*. Zawsze już Polesie, a zwłaszcza wdzięk tajemniczy jego polowań, współżycia człowieka-łowcy z naturą, będziemy widzieć tak, jak nam je pokazał Weyssenhoff. „Zabronzował" dla nas piękno tego kraju. To też nie możemy winić Ossendowskiego za bladość i suchość jego opisów, uwypuklającą się przez porównanie, raczej współczuć z nim, że tak niewdzięczną miał pracę, jak przemalowywanie *Puszczy*. Słuszniejsze pretensje do autora *Polesia* moglibyśmy mieć o to, że omawiając religijną stronę życia Poleszuków, za mało, ze szkodą dla prawdy historycznej, położył nacisku na męczeński okres życia tego kraju, w epoce prześladowań Unji, w epoce, która jest tematem Reymontowskiej *Z ziemi Chełmskiej*. Fakt prześladowań zaledwie Ossendowski wspomina, zupełnie go jakby bagatelizując, a cały nacisk położył na wykazanie tkwiącego w ludzie poleskim pierwiastka pogańskiego. Echa pogaństwa, tkwiące w ludowych zwyczajach i obrzędach, ludowa zabobonność, wiara w znachorów i zamawiania nie są wyłączną właściwością Polesia; w mniejszem lub większem natężeniu spotyka się je w całej Polsce i nie są bynajmniej, jak twierdzi Ossendowski, dowodem, że chrześcijaństwo i jego duch są temu ludowi do dziś dnia obce. Zabobonność ludowa przeciwstawia się raczej wiedzy jak wierze chrześcijańskiej, jest wyrazem nieufności do nauki i jej pozytywnych zdobyczy, nie wyrazem braku ufności czy wiaru w Boga chrześcijańskiego. Gdy się zna lud, rozumie się doskonale, jak pokutują u niego resztki pogańskiej zabobonności obok gorącej nieraz wiary. Specjalnie zaś lud Polesia stwierdził wymownie, stwierdził krwią własną, że jest chrześcijański i katolicki i wytrwale i jak najbardziej świadomie. Jego zabobonność jest zwykłą słabością i niedoskonałością chrześcijanina, ulegającego pokusie rzeczy zakazanej, a nie światopoglądem, przeciwstawiającym się wierze. Mimo tych usterek, książka *Polesie* jest książką ciekawą, a całe wydawnictwo „Cuda Polski" jest godnem szerokiego rozpowszechniania. Przyczyni się ono z pewnością do pogłębienia znajomości i miłości kraju ojczystego, a przez to, do

obalania sztucznych granic prowincjonalizmów, i do tak pożądanej moralnej i uczuciowej unifikacji Polski.

Powieści fantastyczne, powieści z przyszłości, mają rację bytu, gdy są albo jakąś potężną wizją poetyczną, jak trylogja Żuławskiego, albo satyrą jak *Nowy wspaniały świat* Huxlea, albo wyrazem jakiegoś światopoglądu, rozwinięciem logicznem, choć fantastycznem, jakichś tkwiących w rzeczywistości faktów i możliwości, jak *Pan świata* Bensona, lub choćby jak powieści dla młodzieży Verne'a. Poprzez pozorny nonsens takich powieści, szuka czytelnik sensu głębszego, stara się wyrozumieć prawie konieczną dla tego rodzaju utworów alegoryczność. Temu poruszeniu problemu aktualnego i ciekawego, stosunku rasy żółtej do białej, zawdzięczała swój sukces, jeśli nie literacki, to w każdym razie czytelniczy, temu kilka lat wydana powieść Wacława Niezabitowskiego *Huragan od wschodu*. Żadnego z tych usprawiedliwień niema natomiast ostatnia książka tegoż autora *Golfsztrom*. Pod jej obrazy nie da się niczego podłożyć, niczego ta książka nie ilustruje, nie oświetla, nie wyraża. To też ta historja o usiłowanem zamrożeniu Europy, przez odwrócenie Golfsztromu, wydaje się czystym nonsensem. Nie znajduje usprawiedliwienia ani w satyrze, ani tembardziej w żadnem założeniu artystycznem. Tego niema śladu. Nie poprawia sytuacji, i nie podnosi klasy książki fakt, że córka amerykańskiego miljardera, nienawidzącego starego świata, kocha się oczywiście w szlachetnym Polaku, że ten Polak przedłada oczywiście obowiązek nad miłość, że ukrywa się w domu miljardera, pod przebraniem pilota, aby być i bliżej narzeczonej i aby bronić zagrożonej Europy. Nawet tak wypróbowane środki jak kobieta-wampir i tak aktualne ozdoby, jak posiedzenie Ligi Narodów, gdzie też oczywiście Polacy są i najlepsi i najmądrzejsi, nie ratują beznadziejności tej książki, której jedynem „bene" jest tylko to, że jeżeli każdego znudzi, to napewne nikogo nie zgorszy.

Zofja Starowieyska - Morstinowa.

Notatki bibljograficzne.

Mezger M.: Monika jedzie na Madagaskar. Powieść dla młodzieży. Przekład L. Schechtlówny. Nakł. Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu 1934, str. 270.

Przemiła opowieść, w której marzenia małej Moniki, obudzone fragmentem odczytu, zasłyszanym z radja, nadspodziewanie się urzeczywistniają. Podróż aeroplanem z Berlina do Paryża, potem z Hawru okrętem poprzez równik dookoła Afryki aż do Madagaskaru, przygody tamże — oto treść powieści napisanej żywo, barwnie, interesująco i pouczająco. Niema w niej sensacyjnych, mało prawdopodobnych awantur, a z drugiej strony nudnego moralizatorstwa; samą akcją zostały bardzo silnie podkreślone

dwie idee, któremi przejęta jest nasza powieść: miłości rodzinnej męża do żony i rodziców do dziecka i zbliżenie różnych narodowości. Jednem słowem książka wartościowa, miła, napewno będzie się w niej rozczytywać nasza młodzież.

Robert Leighton: Kiddi, dziecię obozu. Powieść dla młodzieży. Wyd. 2. Przekład Olgi Małkowskiej, ilustracje Wł. Czarneckiego. Tamże str. 265.

Kiddi, bohater książki, biorący udział w różnych przygodach, to chłopiec dzielny, bystry, śmiały, a przytem szlachetny i obowiązkowy. Młodzieży (męskiej) nietylko muszą się spodobać jego przejścia, ale może jej także służyć za wzór powyższych cnót. O wartości tej książki, która w Anglji została przypisana jenerałowi Baden-Powell'owi — gdyż stanowi doskonałą lekturę dla harcerzy — świadczy fakt, że otrzymała tam na konkursie pierwszą nagrodę, a przez nasze Ministerstwo Oświaty została zaliczona do najlepszych książek dla młodzieży.

K. Makuszyński, M. Walentynowicz: 4-ta księga przygód koziołka Matołka. Warszawa. Gebethner i Wolff (3.50 zł).

Znanych dobrze naszym dzieciom uciesznych przygód koziołka Matołka ukazała się księga 4-ta. Tym razem widzimy go w Afryce, dokąd zaprosiły go różne dzikie zwierzęta, i skąd przez Arabję wraca do kraju. Wesołe wiersze i przeliczne barwne ilustracje dają obraz jego przygód.

Helena i Jerzy M. Rytardowie: Wilczur z Prohyby. 17 ilustr. i mapka W. Czarneckiego. Tamże, str. 22 . (Brosz. 4. 50, kart. 5. 50 zł.).

Helena i Jerzy M. Rytardowie znakomici znawcy gór, czego dowód dali w poprzedniej powieści dla młodzieży *Koleba na Hliníku*, tym razem przenieśli akcję w strony mniej znane, a równocześnie może najpiękniejsze w Polsce — na Huculszczyznę. Żywa i barwna fabuła pokazuje nam zespół narciarski z Zakopanego, biorący udział w biegu Szlakiem marszu II Brygady Legjonów. Po zawodach dzielni zakopiańczycy pozostają wśród Hucułów, uczestnicząc w ich życiu. Poznajemy przy tej okazji zacnych, a tak jeszcze dla nas egzotycznych Hucułów, ich byt, obyczajowość, wierzenia, troski i radości, zachwycamy się pięknem krajobrazu zimowego podgórza.

Nadzwyczajnie żywa akcja: zawody narciarskie emocjonująco i fachowo opisane, polowania na wilki, pogoń za kłusownikiem przez dzikie bory, czynią tę książkę — pierwszą książkę narciarską dla młodzieży — równocześnie zajmującą i pouczającą.

Książka rachunkowa i Informacyjno-Gospodarcza, na rok 1935. (Cena zł. 1. — z przesyłką zł. 1. 25; Wyd. *Kobieta Współczesna*, Warszawa, Koszykowa 44).

Praktyczna ta książka, która spotkała się z przychylnem przyjęciem, została w nowem obecnem wydaniu ulepszona i rozszerzona.

Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Lwów, Książnica-Atlas. Zesz. 9 i 10.

Ukazały się dwa ostatnie zeszyty drugiego tomu powyższej encyklopedji, obejmujące kolumnę 1025—1280, tablice 129—160. Pomiędzy omówionemi przedmiotami znajdują się także: Japonja, jedwab, językoznawstwo, kapitalizm, katolicyzm, kinematograf, klasycyzm, koleje, koloidy, kolonje, komedja, komórka.

Ks. K. Sudbrack T. J.: Szkoła a wczesna Komunja św. dzieci. Tłum. z niem. Rolita. Warszawa 1934, Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 71.

Sprawa wczesnej a potem częstej Komunji św. dzieci należy do trudnych a szczególnie ważnych. Toteż autor stara się podać jako wzór metodę, stosowaną z powodzeniem w Holandji, gdzie do pierwszej Komunji św. prowadzi się dzieci od 7-go roku życia. Współdziała tu oczywiście rodzina i duszpasterz, ale samo przygotowanie powierza się przedewszystkiem szkole powszechnej, przyczem zaznaczyć należy, że szkoła ta jest wyznaniowa katolicka, a choć prywatna, pobiera od państwa subwencje, pozostaje pod jego nadzorem i posiada prawa równe z szkołami państwowemi. W jaki sposób odbywa się tu przygotowanie dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunji św., a potem całe wychowanie eucharystyczne, jakich używa się podręczników i metod, to rozwija autor obszerniej w powyższej książeczce, z którą warto się zapoznać.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakł. Księgarni św. Wojciecha, Poznań:

Zofja Kossak-Szczucka: S. O. S.! Powieść. Str. 161.
Jan Szczepkowski: Synowie buntu. Powieść. Str. 189.
Marja Reuttówna: Maryjka. Powieść. Str. 231.
Jan Kilarski: Biały król Gonawy. Dzieje Polaka wśród murzynów Haiti. Str. 130 z ilustr.
J. Pannenkowa: Więzy. Powieść. Str. 300.
J. Bandrowski: Rajski ptak. Powieść. Str. 222.
W. Miłaszewska: Dusza domu. Imionnik. Str. X+220.

Nakładem Pierre Téqui, (Paris VI e, 82 rue Bonaparte):

René Clairfeu: L'Heure va-t-elle sonner? Sommes nous à la veille d'un grand cataclysme rénovateur et pouvons-nous l'atténner? Str. XVIII+157.
J Koenig, Abbé: La Vierge de Lourdes. Lumière des incrédules et Guide des croyants. Str. X+348.
Pour l'Action Catholique. (Contre le chômage intellectuel). Str. VI+206.
P. François Bourgoing: Méditations sur les veritès et excellences de Jésus-Christ notre Seigneur. Ed. 35, revue par le P. Ingold. 3 tomy in 12°. Str. XXIV+485, IV+513, IV+567.

Nakładem różnych:

Gonzague de Reynold: Die Tragik Europas. Deutsch von W. Grossenbacher. Luzern 1935, Vita Nova. Str. 460.

Zygmund Wasilewski: Norwid. Warszawa 1935 („Myśl Narodowa") Str. 247.

Ks. Mieczysław Buławski: Przemowy okolicznościowe. Poznań 1935, „Ostoja". Str. 168.

Jerzy Drobnik: W ogniu przemian. Poznań 1934, Wyd. „Awangardy Państwa Narodowego". Str. 141.

Jarosław Janowski: Dzień jak noc. Warszawa 1934, Księg. F. Hoesicka. Str. 225.

Władysław Volert et Marjan Grzegorczyk: La Presse Polonaise Les étapes du développement et son état actuel. Warszawa 1933, Association Pol. des Éditeurs. Str. 31.

Ferdynand Hoesick: Juljan Klaczko. Życie i prace. Pism zbiorowych tom IX. Warszawa, Trzaska, Ewert i Michalski S. A. Str. IV+473.

Dr. Władysław Natanson: Widnokrąg nauki. Lwów-Warszawa 1934, Książnica-Atlas. Str. 271.

Dr. Heinrich Meng: Strafen und Erziehen. Bern, Verlag Hans Huber. Str. 203.

Ks. Dr. E. Dąbrowski: Proces Chrystusa. Warszawa 1934. Str. 57.

East Carelia. A survey of the Country and its Population and a Review of the Carelian Question. Publishers: Academic Carelia-League. Helsinki 1934. Str. 216 z ilustr.

Otton Hedemann: Dzisna i Druja, magdeburskie miasta. Wilno 1934, T-stwo Przyjaciół Nauk. Str. VIII+487 i 2 mapy.

Alina Żórawska: O inwentarzu i katalogowaniu czasopism w bibljotekach naukowych. Referaty. Warszawa 1935, Libraria Nova. Str. 16.

Ks. Edward Wojtusiak: Socjologiczne podstawy Akcji Katolickiej. Próba syntezy. Poznań 1934. Nacz. Instytut Akcji Kat. Str. 40.

Ks. Antoni Pawłowski: Idea Kościoła w ujęciu rosyjskiej teologji i historjozofji. (Warszawskie Studja Teologiczne n. 9). Warszawa 1935, Polskie T-stwo Teolog. Str. XVI+270.

Dzieje Torunia Praca zbiorowa z okazji 700-lecia miasta. Pod redakcją Kazimierza Tymienieckiego. Toruń 1933, nakł. Zarządu Miejskiego. In 6^0; str. X+621 z ilustr.

Toruń dawny i dzisiejszy. 128 ilustracyj opracował Gwido Chmarzyński. Tamże 1933. In 6^0; str. XW+128 tablic.

Henryk Barycz: Geneza i autorstwo „Equitis Poloni in Jesuitas actio prima" (Prace historyczno-literackie, nr. 6). Kraków 1934, Wyd. Kasy Mianowskiego. Str. 80.

Rom. Landau: Paderewski. Przekład J. B. Rychlińskiego. Warszawa 1935, Wyd. J. Przeworskiego. Str. 380 i 15 ilustr.

R. P. Coulet: Le Catholicisme et la Civilisation en péril. Paris, Editions Spes. Str. 221.

Ilustrowanyj Narodnyj Kalendar na g. 1935. Izdanje Obszczestwa Im. Mich. Kaczkowskawo.

List Pasterski Stanisława Adamskiego, biskupa katowickiego o Akcji Katolickiej. Katowice 1934. Kurja Diecez. Str. 16.

Franciszek Körmendi: 7^{15} via Bodenbach. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 259.

Jalu Kurek: Grypa szaleje w Naprawie. Powieść. Tamże, str. 274.

Eduardus Grzymała: Ratio sacra im matrimonio Canonico et civili. Dissertatio ad lauream apud Pont. Uniwersitatem Gregorianam. Romae 1935. Str. 230.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Encyklopedja Jezuicka.

Koch L. S. J.: Jesuiten - Lexikon. Die Gesellschaft Jesu einst u. jetzt. Verlag Bonifacius - Druckerei. Paderborn 1934. 1878 szpalt.

Wystąpienie zakonu jezuickiego na arenę dziejową i jego tamże rola przedstawia zarówno dla historyka, a zwłaszcza historyka kultury, jak i dla filozofa dziejów zagadnienie bardzo złożone o swoistym, szczególnym charakterze. Przed powstaniem Towarzystwa Jezusowego i po jego powstaniu zostały założone inne, wielkie Zgromadzenia zakonne, które w dziejach odegrały bardzo doniosłą rolę, rola ich i pozycja w historji rożni się jednak znacznie od roli i pozycji zakonu jezuickiego. Różnicę tę możnaby obrazowo przedstawić pod przenośnią kamienia obrażenia, który legł na drodze dziejów, nie pozwala się stamtąd usunąć, jest zawsze żywy, aktualny i związany z tysiącem zagadnień żywotnych; jednym zawadza, więc go nienawidzą, inni z nim sympatyzują, rzadki przejdzie obok niego obojętnie. A nawet ci, u których nie budzi żadnych reakcyj uczuciowych, darzą go swem zainteresowaniem, ponieważ mimo całej konkretności przecież otacza go dziwna jakaś tajemniczość przechodząca nieraz w mit, w legendę.

Stąd powstaje wielka trudność zdobycia rzeczowych wiadomości o zakonie jezuickim, jego ludziach i tysiącznych zagadnieniach, z któremi związały go dzieje. Po wielkich encyklopedjach rozrzuczone są liczne wiadomości o Jezuitach; nie są one jednak kompletne, a ich rzeczowość, ba nawet ścisłość w datach i cyfrach bardzo nieraz szwankuje. Samorzutnie narzuca się potrzeba stworzenia osobnego słownika rzeczy jezuickich. Jeden taki słownik został już przed 7 laty wydany. Mamy na myśli dwutomową encyklopedję jezuicką Hoensbroecha: *Jesuitenorden*, dzieło wydane po śmierci autora. Wydawnictwo to, owoc chorobliwej nienawiści, urągające elementarnym zasadom objektywizmu i prawdomówności, jest tylko potwierdzeniem naszych na wstępie wyrażonych

uwag, w skutkach swych może ono tylko podniecać nienawiść i potęgować atmosferę mitu.

Zródłem rzeczowych, wyłącznie miłością prawdy dyktowanych informacyj o zakonie jezuickim pragnie być w tytule wymienione drugie encyklopedyczne wydawnictwo, pochodzące od samych jezuitów. Chociaż z jednej strony możnaby wysunąć jako najważniejsze zastrzeżenie zasadę, że nikt nie jest dobrym sędzią w swej własnej sprawie, to jednak z drugiej jest rzeczą oczywistą, że zakon, który przez cztery wieki będąc na oczach wszystkich, jako ten kamień obrażenia na drodze dziejów, podlegając ustawicznej krytyce wszystkich a nienawiści wielu, zakon, który przeszedł tyle ciężkich prób, nie wyłączając próby grobu, musiał rozwinąć w sobie do rzadko spotykanego natężenia samowiedzę, ducha autoanalizy i autokrytyki, musiał w myśl zasad swego Założyciela o wyborze (*Exercitia spiritualia: Regulae de Electione*), w duchu bardzo silnie w nim rozwiniętego intelektualizmu, poddać swoje postępowanie i niezliczone zarzuty rzeczowej, bezkompromisowej krytyce. Dlatego też jego sąd o sobie i jego relacje o sprawach zakonu winny stanowić przynajmniej pierwsze, choć nie jedyne źrodło informacyj. W bardzo zaś wielu wypadkach, a więc tam przedewszystkiem, gdzie idzie o stwierdzenie prostych faktów, nazwisk, cyfr, informacje pochodzenia jezuickiego powinny być ścisłe i wystarczające, aby można na nich zawsze polegać i aby przez swe nieścisłości nie powiększały zamieszania.

Te zadania pragnie spełnić *Leksykon Jezuicki*, przygotowany przez niemieckich Jezuitów pod redakcją Ks. Kocha. Ujęty w formę słownika, grupuje poszczególne artykuły w porządku alfabetycznym, tak nazwisk jak i zagadnień. Wydawcy przeznaczają pracę tę dla niemieckich czytelników, wyraźnie zastrzegają się, że nie mieli zamiaru robić z niej ogólno-jezuickiej encyklopedji, uwzględnili szerzej tylko zagadnienia ogólne, zasadnicze i sprawy niemieckie, sprawy zaś innych narodów czy części świata omawiają o tyle, o ile albo łączą się z niemieckimi, albo nabrały już ogólnoświatowego, czy ogólnoeuropejskiego rozgłosu czy znaczenia, zrezygnowali też tem samem ze współpracy międzynarodowej.

Oceniając *Leksykon Jezuicki* na podstawie tych założeń programowych, musimy stwierdzić, że zasadniczo cel swój osiągnął w stopniu zadawalniającym. Jest wydawnictwem naogół wartościowem i odda dobre usługi wszystkim, którzy z jakichkolwiek powodów interesują się zakonem jezuickim i potrzebują o nim informacyj. *Jesuiten-Lexikon* wejdzie do wszystkich bibljotek podręcznych, jako nieodzowne dzieło o charakterze podręcznym i informacyjnym. Mnogość poruszanych zagadnień, zwłaszcza jeśli idzie o sprawy ogólnego charakteru i znaczenia, troska o sumienność i rzeczowość opracowania, połączona ze spokojem, szerokie i wszechstronne ujęcie poszczególnych zagadnień, wyłączenie nastawienia uczuciowego... oto zalety większości artykułów.

Autorzy nie boją się prawdy, przytaczają wszystkie najważniejsze i najostrzejsze zarzuty, starają się je wyrozumieć, wyjaśnić faktami czy psychologicznie, przyznają im w wielu wypadkach pełną czy częściową słuszność, w innych starają się wytłumaczyć lub zbić.

Ma jednak to bardzo pożyteczne i wartościowe wydawnictwo swoje słabe strony. Pochodzą one, jak sądzę, przedewszystkiem najpierw z pewnego pośpiechu w wydawaniu, spowodowanego koniecznością reakcji przeciw ogromnie silnej i namiętnej propagandzie anty-jezuickiej, a powtóre ze zrezygnowania ze współpracy cudzoziemców, co zresztą również sprowadza się do pierwszego niedomagania, ponieważ dlatego zrezygnowano ze współpracy obcych, aby nie odkładać druku.

Pierwszy najpoważniejszy brak widzimy w niekonsekwentnem podawaniu bibljografji. Bardzo znaczny procent artykułów nie posiada jej zupełnie, przy wielu innych podaje się Duhra: *Historję Jezuitów* w krajach niemieckich i bibljografję Baeckera-Sommervogla, albo jedno tylko z tych dwu dzieł. Gdy tymczasem te refencje, jako znane i oczywiste, można suponować. Zauważyliśmy natomiast brak wielu referencyj ważnych, których naszem zdaniem nie należało pomijać. I tak np. w artykule o ordynacji studjów pominięto tom *Monumenta Paedagogica S. J.*, zawierający zbiór dokumentów za cały pierwszy okres aż do wydania pierwszego projektu *Rationis Studiorum* w r. 1856. Pominięto również cenną wyczerpującą monografję o tym okresie szkolnej działalności jezuickiej belgijskiego jezuity Hermana: *La pédagogie des Jésuits au XVI-e Siècle*. Wogóle artykuł o *Ratio Studiorum* jest jednym z najsłabszych, prawie zupełnie pominięto rozwój historyczny ordynacji studjów, nie przedstawiano głównych etapów pracy, nie podano najważniejszych prac. W artykule o historyku Fr. Sachinin nie wspomniano nawet o jego działalności pedagogicznej i jego 2 dziełkach pedagogicznych. W artykule o Kartezjuszu przeoczono podstawową dla sprawy stosunku jezuitów z tym ich wychowankiem monografję J. Sortais: *Le Carthésianisme ches les Jésuits français au XVII-e et au XVIII-e s.* (Archives de Philosophie VI. 3).

Najwięcej zastrzeżeń budzi przedstawienie spraw polskich lub z Polską złączonych. Daremniebyśmy szukali zasady, którą zastosowano w wyborze zagadnień do omówienia i nie można się oprzeć wrażeniu, że działała tu tylko przypadkowość. Z wybitnych Jezuitów Polski niepodległej mamy Skargę, Wujka, Grodzickiego, Sarbiewskiego, Albertriandego i Naruszewicza, ale brak Warszewickiego, prow. Maggio, który był przecież także prow. austrjackim i w stosunkach religijnych tamtejszych odegrał bardzo ważną rolę, brak matematyka Kochańskiego, brak Boyma, którego legacje i działalność naukowa posiada ogólnie uznane znaczenie, brak Bohomolca, o którym znowu autorzy mogli mieć wiadomości dzięki niemieckiej pracy Stender-Petersena, brak Poczobuta choćby ze

względu na jego stosunki naukowe z Jezuitami niemieckimi. Podobnie ma się sprawa z Jezuitami XIX w. Z żyjących podano tylko jednego, a pominięto np. ostatnich dwu redaktorów *Przeglądu*, pominięto Załęskiego, mimo, że równorzędni historycy jezuiccy posiadają swoje artykuły. Z kolegjów zaszczytu znalezienia się w *Słowniku* dostąpił Toruń, Bydgoszcz, Grudziądz, Gdańsk, Brunsberga, rezydencja w Reszlu, misja w Królewcu i Kraków, a pominięto Poznań, Wilno, Lwów, Warszawę.

Niemiły dysonans stanowi anektowanie kolegjów w Toruniu, Bydgoszczy, Grudziądzu i Gdańsku do Niemiec; ani słowem nie zaznaczono, że kolegja te należały do prowincji polskiej. Toruń przedstawiono, niewiadomo dlaczego, jako jakby dom macierzysty dla Bydgoszczy i Grudziądza. Takie ujęcie, uzasadnione w zakonie benedyktyńskim, jest zupełnie bezpodstawne w odniesieniu do zakonu jezuickiego. To anektowanie przybiera w jednym wypadku nawet formę śmieszną w naiwności nacjonalistycznej.

W artykule *Deutschland*, (kol. 409) czytamy, że protestanci napadali na niemieckie kolegja, i jako przykład jednem tchem przytoczono: Toruń, Gdańsk i Akwizgran.

Znajdujemy również bardzo liczne nieścisłości i pomyłki; popełnienie ich będzie miało ten niemiły skutek, że przez *Leksykon* pójdą w świat na całe dziesiątki lat fałszywe ujęcia daty i przekręcone nazwiska. Oto nieco przykładów i dowodów. A w artykuliku o Albertynie i misji wschodniej powiedziano, że pierwszymi Jezuitami, którzy przyjęli wschodni obrządek byli OO. Bourgeois (Francuz) i Malmowski (Polak). Ten drugi nazywa się Malinowski i nigdy nie przyjmował wschodniego obrządku, a w misji pracował tylko przejściowo. Pominięto zaś osobistość najważniejszą, bo pierwszego przełożonego i organizatora całej akcji śp. O. Wł. Piątkiewicza, o czem autorzy mogli i powinni byli wiedzieć. Nieprawdziwą jest również wiadomość, jakoby we Wilnie istniał zakład naukowy dla przyszłych misjonarzy w Rosji. Teologiczny zakład misji wschodniej znajduje się w Dubnie, o czem również można się było dowiedzieć choćby z watykańskiego *Osservatore* (33). Przy nazwisku O. A. Arndta zapomniano dodać, że należał on do prowincji galicyjskiej, a potem p o l s k i e j, że był współpracownikiem *Przeglądu Powszechnego* (99).

Przy wyżej wymienionych 4 kolegjach pomorskich w bibljografji podaje się tylko Duhra, a pomija zawsze Załęskiego, chociaż wydawcom dzieło Załęskiego jest znane. Fatalną jest jednak pisownia tego nazwiska, czytamy zawsze Z a l e s k i. Możnaby sądzić, że drukarnia nie miała naszych czcionek. Ale i to nie. Jakby dla ironji L w ó w jest zawsze pisany przez Ł w ó w. — Generalny wikarjusz białoruski Kareu podany niewiadomo dlaczego jako Karew.

Dziwnych rzeczy dowiadujemy się o Krakowie. Oto czytamy, że w tem mieście Stefan Batory fundował Jezuitom dom. Jego

kaznodzieja nadworny Skarga kierował i rozwijał tę fundację jako pierwszy przełożony w r. 1612. Król Zygmunt III wybudował w Krakowie piękny, renesansowy kościół św. Barbary; na jego architekta sprowadził z Włoch Br. Bernardone i założył w r. 1623 przy tym kościele kolegjum (1037). Co słowo, to fałsz. Wyobraźmy sobie, że teraz te wiadomości przejdą do różnych encyklopedyj, podręczników, a nawet prac naukowych!

Podobne *curiosa* powymyślano przy Litwie. Stara Prow. Litewska — informuje *Jesuiten-Lexikon* — obejmowała dzisiejszą Litwę Kowieńską, z częścią obsadzoną przez Polskę. Pierwszymi Jezuitami Litwinami byli trzej bracia Kojałowicze, którzy wstąpili do zakonu w latach 1630 do 1637. Dopiero od r. 1756 posiadała Litwa własną prowincję jezuicką, która miała liczyć 14 szkół, 4 seminarja duchowne i aż 89 stacyj misyjnych, między niemi nawet Petersburg. Zniesienie zakonu i zabór przez Rosję zniszczył uniwersytet wileński (1114). — Tu także co słowo, to fałsz. Wyobrażam sobie zdziwienie autora tego artykułu, gdy się dowie, że prow. litewska powstała w sam raz półtora wieku wcześniej, że do niej należała nie mniej nie więcej jak tylko Warszawa, stolica kraju wraz z wielkim szmatem rdzennej Polski, którego nawet najbardziej zachłanni nacjonaliści litewscy nigdy nie zamierzali anektować do Litwy. Te rzeczy powinny być jednak znane autorom *Słownika*, ponieważ znajdą je w dziele statystyczno-chronologicznem *Synopsis historiae S. J.*, jeśli już zatrudno im było zaglądnąć do *Historji* Sachina. Mimo całej sympatji dla omawianego wydawnictwa, nie możemy nie napiętnować tego lekceważącego niedbalstwa. Już raz wreszcie powinni historycy niemieccy zrozumieć, że o sprawach polskich także winno się pisać ściśle, zgodnie z prawdą, a nie uprawiać wiatrologji.

Kolegjum w Brunsberdze nigdy nie było Akademją, (1439), a St. Grodzicki żadną miarą nie może być nazwany misjonarzem litewskim (1439). Pomijam bardzo duże nieścisłości w przedstawieniu liczby kolegjów i osób w 4 prowincjach asystencji polskiej, chociaż autor mógł je bez trudności przepisać czyto z przytoczonej już *Synopsis*, czyto z mej, znanej sobie książki o szkołach jezuickich. Kraków nigdy nie miał konwiktu szlacheckiego, a w Warszawie nigdy nie istniała *Residenz am Hof*; coś się tu autorowi pomieszało z Wiedniem i t. d. i t. d. Autor odkrył jakiegoś nieznanego nam zupełnie „bardzo wybitnego" jezuitę z początków istnienia zakonów w Polsce Andrzeja Stibigk i zestawił go ze Skargą, Bobolą (1438—1443). Ze Skargą porobiono również sporo bałamuctw. Dowiadujemy się, że studjuje w Krakowie i Warszawie, że jako Jezuita pracuje na Litwie w Pułtusku i w Polsce w Połocku, że Stefan Batory zrobił go rektorem Akademji wileńskiej, jakby w zakonie jezuickim mógł ktokolwiek poza generałem robić rektorem. *Kazania sejmowe* wychodzą już w r. 1572. W bibljografji Skargi mamy starego Dzieduszyckiego (Rychcic-

kiego), a brak *Korespondencji* wydanej przez Sygańskiego, brak francuskich dzieł Ks. Berga (1652—1653). Z artykułu o św. Stanisławie Kostce dowiadujemy się, że jego współnowicjuszem był Ks. Warszewicki, były kanclerz polski (1688).

Tych i podobnych błędów, pomyłek i przeoczeń dałoby się uniknąć, gdyby wydawcom nie zależało tak na pośpiechu. Widać szczególne warunki niemieckie, a przedewszystkiem nowa fala agitacji antyjezuickiej w Hitlerji czyniły koniecznem rychłe wydanie *Słownika* jezuickiego. Ufamy, że w drugiem wydaniu, które po kilku czy kilkunastu latach dojdzie do skutku, zostaną wprowadzone uzupełnienia i poprawki, a dzieło zasadniczo wartościowe, potrzebne i niezmiernie pożyteczne, będzie takiem już bez zastrzeżeń.

Ks. St. Bednarski T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 20 grudnia 1934.

Ludzie Aleksandra III.

Karta z dziejów schyłkowych caratu.[1])

Ideologja nowego kursu polegała na wznowieniu starej uwarowowskiej trójformuły: samowładztwo, prawosławie, narodowość. Głównymi przedstawicielami tej odświeżonej ideologji byli Katkow, Dymitr Tołstoj i Pobiedonoscew. Wszyscy trzej wstąpili na widownię życia czynnego za Aleksandra II. Dymitr Tołstoj już w początkach Aleksandra II wystąpił z pisarską apologją prawosławia; będąc rzecznikiem bojującego prawosławia, jest on jednocześnie pogromcą katolicyzmu. Prace pisarskie Tołstoja utorowały mu drogę do stanowiska ober-prokuratora Synodu, które zajął w 1865 r. Występy pisarskie Tołstoja wywołały odpowiedź polemiczną jezuity Gagaryna i oratorjanina Lescoeura, autora znanej pracy o Kościele katolickim w Polsce pod panowaniem rosyjskiem.

W 1859 r. umarła Zofja Swieczyn, katoliczka-Rosjanka, osiadła w Paryżu. Gdy w następnym roku wyszedł z druku jej życiorys, pióra hrabiego Fryderyka Falloux, Dymitr Tołstoj w jednem z pism moskiewskich wyraził ubolewanie, że tak wybitna kobieta przyjęła za wpływem Józefa de Maistre'a katolicyzm i została stracona dla prawosławia. Odpowiedział Tołstojowi jezuita książę Jan Gagaryn w wydanej w 1860 r. niewielkiej a ciekawej pracy o dążnościach katolickich w społeczeństwie rosyjskiem. Gdyby nawet przypuścić — pisze

[1]) Z gotującego się siódmego tomu monumentalnego dzieła: *Od białego caratu do czerwonego* wyjął Autor dla naszego pisma jeden interesujący rozdział, dotykający religijnych problemów carskiej Rosji. Za tę wielką uprzejmość składamy Mu serdeczne podziękowanie. (Przyp. Red.)

Gagaryn — że pani Swieczyn mogła była zdławić w sobie dążność do katolicyzmu, czyż mogłaby rozwinąć w Petersburgu taką akcję na rzecz prawosławia, jak w Paryżu na rzecz katolicyzmu? Wspomniawszy o głośnym jej salonie paryskim, o znakomitych umysłach, które się tam gromadziły, pisze: „A w Petersburgu co robiłaby pani Swieczyn? Kogo przyjmowałaby u siebie? Gdzie są wielcy mówcy, wielcy pisarze, ludzie potężni piórem czy słowem nad brzegami Newy?" Przypomina los Łunina, katolika, który umarł na Syberji, katolika księcia Kozłowskiego, który przebywał większą część życia zagranicą, wreszcie Czaadajewa, który głosił swe sympatje dla katolicyzmu i na rozkaz carski uznany został za warjata. „Przykład jego wskazuje nam, że klimat Rosji nie sprzyja umysłom, mającym pretensję do samodzielnego myślenia".

Gagaryn wymieniał jedną z przyczyn tego, iż niektórzy z oświeconych Rosjan szukają w katolicyzmie ucieczki duchowej. Wskazywał na tę przyczynę już Hercen, pisząc o redemptoryście Pieczorynie.[1]) Ksiądz Gagaryn stwierdza, iż niezadowolenie Czaadajewa, który dążył do katolicyzmu, i niezadowolenie emigranta księcia Dołgorukowa, który dąży do konstytucji, mają źródło zbliżone: obydwaj czują, że Rosja jest chora i szukają lekarstwa. Książe Dołgorukow

[1]) Włodzimierz Pieczoryn, poszukując w życiu prawdy, nie znalazł jej w Rosji mikołajewskiej, wyemigrował, przyjął katolicyzm i wstąpił do zakonu. Hercen odwiedził go w Anglji, w klasztorze; między rodakami wywiązała się ciekawa korespondencja, w której uderza jedno: wolnomyślny, świetnie wykształcony Hercen występuje z rażącą nietolerancją względem przekonań katolicko-zakonnych Pieczoryna, ten zaś, mnich i prozelita, znacznie wyrozumialej traktuje swego korespondenta. W czasie wojny krymskiej ksiądz Pieczoryn dostał się pod sąd za publiczne spalenie na stosie biblji protestanckiej. W nawróconym Rosjaninie katolicyzm pozyskał fanatyczną duszę protopopa Awwakuma. „Dumny sędzia brytyjski, wziąwszy pod uwagę szaleństwo postępku, a także to, że winowajca jest Rosjaninem, zaś Anglja z Rosją znajdują się w stanie wojny, ograniczył się do udzielenia oskarżonemu napomnienia, aby na przyszłość zachowywał się na ulicach przyzwoicie". *Dzieła Hercena.* Tom XIV. Petersburg 1920 r. Rozdział XV; Pater V. Petcherine, str. 454—464. Ksiądz Gagaryn miałby jeszcze sposobność do pouczającego zestawienia: co spotkałoby Pieczoryna w jego własnej ojczyźnie, gdyby dokonał publicznego całopalenia księgi świętej wyznania panującego?

widzi przyczynę złego w samowładztwie i widzi lekarstwo w ograniczeniu władzy carów. Czaadajew nie zadawalnia się taką diagnozą, szuka on przyczyny w stanie dusz i umysłów, według niego źródło złego to stan izolacji, w jakim cerkiew rosyjska utrzymuje się wobec Kościoła powszechnego.

„Książę Dołgorukow, domagając się wolności, i Czaadajew domagając się katolicyzmu, są bliżsi porozumienia się, niż możnaby sądzić. Pierwsza ze wszystkich wolności to wolność religji, a Kościół katolicki w Rosji jest pozbawiony wolności. Nie dość na tem, główną przeszkodą do pogodzenia cerkwi rosyjskiej z Kościołem rzymskim jest ujarzmienie tej cerkwi przez państwo. Wobec tego ludzie, którzy popierają w Rosji sprawę wolności, służą katolicyzmowi, a ci, którzy służą sprawie katolicyzmu, służą sprawie wolności."

Książe Dołgorukow — ciągnie dalej ksiądz Gagaryn — domaga się rozgraniczenia władz, prawodawczej, sądowej, administracyjnej, pomieszanych w Rosji bezładnie; lecz należy również rozgraniczyć władzę duchowną i świecką. Katolicyzm rozstrzyga tę sprawę najlepiej, w Rosji władza duchowna jest ujarzmiona przez świecką. Cerkiew rosyjska cierpi na podwójne zło: jest izolowana i ujarzmiona. „Trzeba ją wyprowadzić z jej odosobnienia, powrócić jej niezależność, ustanowić rozgraniczenie dwóch władz na poważnych podstawach. Jak to dzieło naprawy się odbędzie? Przez zbliżenie z Rzymem, przez wyzwolenie od kurateli carskiej? Niełatwo to powiedzieć i to nie jest najważniejsze. Czy rozpocznie się od wolności czy od katolicyzmu, wolność sprowadzi katolicyzm, a katolicyzm wolność". [1])

Tu ksiądz Gagaryn wytknął istotę konfliktu między caratem a katolicyzmem. Konflikt był nieunikniony, jakkolwiek katolicy-Rosjanie, jak pani Swieczyn, lub zwolennicy katolicyzmu, jak Czaadajew lub Włodzimierz Sołowjew, podkreślali swą lojalność wobec cara i bynajmniej nie sprzyjali aspiracjom narodowo-politycznym Polaków. [2])

[1]) *Tendances catholiques dans la société russe, par le P-ce J. Gagarin*, S. J. Paris 1860, str. 26, 27, 39, 40.

[2]) Czaadajew potępiał powstanie narodowe Polaków w 1830 roku, to samo pani Swieczyn. 23 grudnia 1830 roku pisała do pani Nesselrode: „Venons-en, ma chère bonne amie, à cette ingrate Pologne qui absorbe

Cezaropapizm rosyjski, sukcesja po Bizancjum, nie mógł pogodzić się z tem, iż katoliccy poddani cara uznawali władzę papieża w sprawach religji, że mieli dziedzinę, dokąd władza carska nie sięgała. Widziano w tem ziarno nielojalności, cechę podwójnego jakby poddaństwa. Mógł katolicyzm na Zachodzie mieć zatargi z liberalizmem, w Rosji jednak, jak to stwierdzał ksiądz Gagaryn, dążenia jego były równoległe do dążeń konstytucjonalistów; stawiał on elementarne żądanie wolności sumienia, wyznania, dążył do odłą-

---

maintenant toutes nos pensées... Quand la révolte s'étendrait à tout le royaume, si elle ne va pas plus loin, les forces les plus voisines doivent être assez considérables pour l'étouffer". Manifestacje Izby Deputowanych na rzecz Polski, powtarzające się za Ludwika Filipa, budziły w niej gniew. W 1848 roku podziwiała postawę Mikołaja I i z satysfakcją przeciwstawiała ją zrewoltowanej Francji. *Lettres de M-me Swetchine publiées par le Cte de Falloux. Cinquième édition. I.* Paris 1881, str. 465, 603—606. — Włodzimierz Sołowjew był przeciwny gnębieniu obcych narodowości w Rosji, lecz aspiracjom narodu polskiego był też przeciwny. „Polska i szlachta to to samo — pisał w 1884 roku. — Cała siła Polski była w szlachcie i Polska zginęła". Sołowjew chciałby, aby kościoły zachodni i wschodni połączyły się i aby Polacy odegrali tu rolę pośredników, ale jako poddani cara: „Czyż nie są naturalnymi pośrednikami zjednoczenia nasi Polacy, poddani cara rosyjskiego i dzieci duchowe papieża rzymskiego". Z ubolewaniem stwierdza, że Polacy wciąż marzą o odbudowaniu własnego państwa: „Lecz dla wszystkich, oprócz nich samych, zupełnie widoczna jest fantastyczność tego celu i bezpłodność ich wysiłków. Do odbudowania politycznego Polakom brak najniezbędniejszych warunków... Cała Polska zawiera się tylko w szlachcie". *Jewrejstwo i christijanskij wopros.* Berlin 1921, str. 63, 67. — Prof. M. Zdziechowski w swej znakomitej książce *U opoki mesjanizmu* wspomina wieczór, spędzony w Petersburgu w 1887 czy 1888 roku u prof. Niezielonowa. Mowa była o sympatjach katolickich Wł. Sołowjewa. Znany poeta, hr. Arsenjusz Goleniszczew-Kutuzow, bronił Sołowjewa i nawet stanął na gruncie nieomylności papieża, jako widomego zastępcy Chrystusa. Gdy zachęcony tem stanowiskiem prof. Zdziechowski nadmienił o humanitarnych poglądach Sołowjewa na sprawę narodowości obcych w Rosji, hr. Goleniszczew-Kutuzow zaczął przemawiać gorąco w duchu Katkowa i Aksakowa, wytykając zbytnią ustępliwość Rosjan wobec obcoplemieńców na kresach, zarzucając Sołowjewowi, że jego poglądy na stosunek rządu do obcych narodowości mogą tylko wywołać zanik patrjotyzmu u Rosjan. Zwolennik nieomylności papieża był jednocześnie apostołem ucisku narodowościowego. — *U opoki mesjanizmu.* Lwów 1912 r., str. 26, 27. — Dzieło Zdziechowskiego rzuca wiele światła na epokę Aleksandra III, zwłaszcza rozdział I: Etyka polityczna w Rosji.

czenia władzy świeckiej od duchownej, to jest do uczynienia kardynalnego wyłomu w systemie caratu. Władza carska, sprowadzona do swych granic ziemskich, musiała logicznie oprzeć swój stosunek do poddanych na prawie; władza arbitralna traciła tę sankcję mistyczną, jaką usiłowali ją otoczyć Katkow, Pobiedonoscew, Dymitr Tołstoj.

Odpowiedzią jakby na wywody księdza Gagaryna było dwutomowe dzieło Dymitra Tołstoja *Le catholicisme romain en Russie*. Pierwszy tom wyszedł w 1863 roku, w czasie polskiego powstania styczniowego. W owym czasie zelanci prawosławia rozpoczęli całą kampanję pisarską przeciwko katolicyzmowi, który, jak wydawałoby się z gwałtowności tych wystąpień, groził zalewem Rosji. W 1863 i 1864 r. wyszły dwa tomy Tołstoja; w 1864 roku gazeta Iwana Aksakowa *Dień* uderzyła na alarm z powodu rzekomego niebezpieczeństwa sprowadzenia Jezuitów do Rosji. Na ataki te odpowiedział jezuita ksiądz Martynow; odpowiedź jego wywołała na szpaltach *Dnia* całą serję fanatycznych listów Samaryna, wydanych niebawem w oddzielnej książce.[1]) W okresie 1867—1870 wyszły z druku dwa tomy gruntowniejszej od wymienionych studjów pracy duchownego prawosławnego Moroszkina.[2])

Praca Tołstoja, o pozorach dzieła poważnego, jest pamfletem o tysiącu stron; tendencję jego ujawnia autor już na pierwszej stronie wstępu. Chodzi o oderwanie katolików, poddanych rosyjskich, od Rzymu, byłby to pierwszy etap na drodze zjednoczenia katolików z cerkwią prawosławną, etap już nakreślony za Katarzyny II. Tołstoj pragnie oderwać katolików od Rzymu — dla ich własnego dobra. Katarzyna II, według niego, działała, przy pomocy osławionego Siestrzeńcewicza, dla dobra katolików wbrew papieżowi. „Wiele uwłaczających oszczerstw ściga do dziś dnia jej imię, tak czczone w Rosji, lecz nie znalazł się ani jeden Polak,

[1]) *Jezuity i ich otnoszenije k Rossii. Pisma k jezuitu Martynowu J. F. Samaryna.* Wydanie pierwsze wyszło w 1866 roku. Cytować będziemy tę książkę z jej wydania trzeciego: Moskwa 1870 r.

[2]) *Jezuity w Rossii s carstwowanija Jekatieriny II i do naszego wremieni, swiaszczennika Michaiła Moroszkina.* Część I, Petersburg 1867 r. — Część II, Petersburg 1870 r.

ani jeden Europejczyk bezstronny, któryby zechciał jej oddać tę sprawiedliwość, iż to ona i tylko ona podtrzymała w prowincjach polskich, do Rosji przyłączonych, katolicyzm, będący w stanie upadku, potępiony przez opinję publiczną, iż ona to nadała mu nowy byt przez zreformowanie i ucywilizowanie kleru... Nie Rzym ocalił tu Kościół rzymski, lecz monarchini..." [1])

Podobnych oszałamiających twierdzeń pełno jest w całem dziele. Słusznie pisze na wstępie pracy, że Rosja, łącząc się z kościołem greckim, otrzymała odeń nietylko wiarę, lecz również zasady i instytucje polityczne, które ustaliły odrębność Rosji wobec Zachodu. „Nie tyle dogmaty, ile ustrój hierarchiczny, duch i dążności kleru greckiego oddzieliły go od kleru łacińskiego, a przez to i Wschód prawosławny od Zachodu katolicko-rzymskiego". Tu idzie antyteza kleru prawosławnego, ascetycznego, oddanego wyłącznie sprawom religji, a kleru rzymskiego, pysznego, żądnego władzy świeckiej. „Ksiądz rzymski szerzy swą wiarę zapomocą miecza; podnosi gwałt do stopnia instytucji społecznej, przez inkwizycję. Czyni z *compelle intrare,* fałszywie tłumaczonego, zasadę i podstawę swej gorliwości. Zupełnie przeciwny stan rzeczy znajdujemy w dziejach Rosji..." Nie zawaha się Tołstoj napisać, że kler rosyjski działał zawsze w zgodzie z państwem, lecz nigdy nie był przez nie ujarzmiony. Obydwie władze „jeśli rywalizowały ze sobą, to tylko w trosce o dobro kraju". [2])

Tołstoj, zwolennik wolności religijnej, właściwej jego państwu i cerkwi, piętnuje nietolerancję duchowieństwa katolickiego, ubolewa nawet nad losem Żydów, gnębionych w dawnej Polsce przez katolicyzm, piętnuje Jezuitów za nieżyczliwość względem uniwersytetu polskiego w Wilnie, w początkach wieku XIX. Przedstawia rzeczy tak, jakgdyby katolicyzm na ziemiach polskich ocalał tylko dzięki temu, że skończyły się na nich rządy polskie, a nastały rosyjskie. „Cały kler był wogóle bardzo ciemny i nawet otwarcie oka-

[1]) *D. Tolstoy. Le catholicisme romain en Russie.* Tom II, Paryż 1864r., str. 39. O tych ustępach u L. Lescoeura: *L'église catholique en Pologne.* Tom I, Paryż 1876, od str. 75.

[2]) *Le catholicisme romain.* Tom I, str. 2, 3.

zywał pewien wstręt do wszelkiej cywilizacji..." Dopiero rząd rosyjski postawił na jego czele opatrznościowego człowieka, Siestrzeńcewicza. Duchowieństwo katolickie tumaniło lud, wmawiając weń wiarę w fałszywe cuda; zachłanny prozelityzm był cechą tego duchowieństwa, cały kult katolicki, w przedstawieniu Tołstoja, to jakby jedna wielka intryga, zmierzająca do sprowadzenia prawosławnych z prawdziwej drogi; procesje, naprzykład, kościelne — to środek przynęty (*moyen de séduction*). [1])

Czytelnicy nierosyjscy tego dzieła, napisanego po francusku, przeznaczonego dla całego świata, czytając te alarmujące skargi na zachłanność, nietolerancję, prozelityzm kleru katolickiego w Rosji, na bezbronność owczarni prawosławnej, mogli byli nie wiedzieć, a przezorny autor o tem ich nie poinformował, że kodeks rosyjski traktował jako przestępstwo karne przejście z prawosławia na inne wyznanie chrześcijańskie. Przestępstwem karnem było nietylko nawracanie prawosławnych na inne wyznanie, lecz i sprzeciwianie się przejściu osoby innego wyznania na prawosławie. [2])

Jeśli książka Tołstoja pełna jest obłudy, udanego zgorszenia, fałszywych badań, sztucznego świętoszkostwa, Iwan Aksakow uderza na katolicyzm z gwałtownością i brutalnością fanatyka. Za asumpt bierze pogłoskę o rzekomem powołaniu do Rosji zakonu Jezuitów, wydalonego w 1820 roku. „Wpuścić do Rosji zakon Jezuitów — pisze w nr. 12 *Dnia* z 1864 roku — to to samo, co wpuścić do niej świadomie i celowo szajkę szulerów, złodziei i tym podobnych artystów, a nawet nie to samo, a stokroć gorzej". Jezuita zdolny jest do wszelkiej zbrodni, pod względem moralnym stoi niżej od poganina. Propaganda ich, to werbowanie do poddaństwa duchowego względem monarchy-papieża. W brutalnych wyrażeniach pisze o duchowieństwie katolickiem wogóle; pod jego piórem katolicyzm to jakaś cyniczna intryga. „Ksiądz katolicki nie nawraca, lecz przywabia do katolicyzmu".

---

[1]) *Le catholicisme romain.* Tom I, str. 231, 232. — Tom II, str. 179—181, 282, 290, 292, 300, 306.

[2]) *Kodeks kar głównych i poprawczych z 1845 roku.* Wydanie 1885 r., artykuły 187—191.

Dalej Aksakow składa bezwiednie znamienne wyznanie, przyznaje słabość prawosławia. Apologeci prawosławia, jak Tołstoj, Aksakow, wynosili pod niebiosa wzajemny stosunek cerkwi i państwa w Rosji, twierdzili, iż cerkiew ma całkowitą swobodę w swej dziedzinie, w praktyce zaś przyznawali, że cerkiew prawosławna nie jest zdolna do rywalizacji z katolicyzmem, gdyż nie ma swobody działania. Ujawniała się głęboka przyczyna przesądnego strachu przed niebezpieczeństwem katolickiem: świadomość, że prawosławie jest wewnętrznie słabe, kruche, wycieńczone zbyt troskliwą opieką państwową i może ostać się tylko tam, gdzie ma do swej obrony kodeks karny i bagnety.

Oto Aksakow pisze: „Czy osoby, które chciałyby wpuścić do Rosji wrogów rosyjskiej cerkwi prawosławnej, pomyślały o tem, w jakim stopniu nasza broń rosyjska jest w pogotowiu?... Już mieliśmy sposobność wykazywania, o ile w korzystniejszych warunkach znajdują się w gubernjach zachodnich księża polscy w porównaniu z duchownymi prawosławnymi... Czy rozważyli ci, co tak liberalnie wzywają do Rosji Jezuitów, okoliczności, w jakich cerkwi prawosławnej wypada się bronić. Nikt nie przyprowadzi do związanego, jego wroga i nie powie pierwszemu: walcz z nim, lecz naprzód rozwiąże związanego; tymczasem, wskutek różnych formalności, słudzy cerkwi prawosławnej, — w porównaniu z tą swobodą, z jakiej korzystają księża katoliccy na Zachodzie Rosji — mogą być nazwani istotnie związanymi..."

Trzeba było czoła, by w epoce obławy, jaką urządził Murawjew na księży katolickich w kraju zabranym, mówić o ich wolności; była to, zresztą, metoda Katkowa, Aksakowa i innych: trzymając Polaka - katolika za gardło, wołać, że cerkiew i Rosja są w niebezpieczeństwie. Lecz, bądź co bądź, stwierdzenie, iż wśród tych niezmiernych przywilejów, z jakich korzystało prawosławie, było ono słabe, związane — to było wymowne przyznanie. [1])

Na ten artykuł nadesłał do pisma *Dień* odpowiedź jezuita Jan Martynow z Paryża. *Dień* nie zamieścił odpowiedzi, powołując się na cenzurę. Ksiądz Martynow wydał swój list

[1]) Artykuł Aksakowa wydrukowany w książce Samaryna: *Jezuity i ich otnoszenije k Rossii*. Wydanie III. 1870 r., str. 7—12.

w Paryżu. Dopiero w 1865 roku *Dień* opublikował list Martynowa i zaraz potem pięć obszernych listów Samaryna, w odpowiedzi Martynowowi.

Pełna umiarkowania jest odpowiedź księdza Martynowa na artykuł, w którym zakon jego nazwany został bandą szulerów i złodziei. „Dlaczego na jedną myśl o naszym powrocie do Rosji — pisze — wzywacie przeciwko nam wszelkich rygorów władzy świeckiej? Co oznacza wasze zapewnienie, że kochacie wolność wszelkiej wiary, wszelkiego wyznania? Czy wiara katolicka jest gorsza od żydowskiej, mahometańskiej, buddyjskiej? Oczywiście boicie się, zaś strach ma wielkie oczy. Tylko mocnym strachem tłumaczyć można wasze, za pozwoleniem, nieraz zabawne spotkania z widmem jezuickiem, które wasza wyobraźnia ognista widzi wszędzie". Wydaje się ich wylękłej wyobraźni, że „na cerkiew rosyjską gotują wyprawę niezliczeni, niezwyciężeni wrogowie". „Spieszycie upewnić się, o ile oręż Rosji jest w porządku, czy gotowa jest do walki i przyznajecie naiwnie, że, nie jest ona w stanie bronić się, że nie ma wolności słowa że jest związana..."

Z dotkliwą ironją przedstawia Martynow niekonsekwencję zelantów prawosławia: przypisują katolicyzmowi wszelkie możliwe wady i zbrodnie, a tak wysoko stawiają jego moc przyciągającą; widzą w prawosławiu wielką siłę moralną i wszelkie cnoty, a uznają je za tak słabe.

„A więc, jako wynik ostateczny tych wszystkich przyznań i oskarżeń, omówień i niedomówień, okazuje się rzecz następująca: z jednej strony, niezwykła siła słowa, ogrom powodzeń, wpływ niezmierny na wszystkie klasy społeczeństwa, a zarazem propaganda kłamstwa, zbrodniczy cel, niemoralność środków; z drugiej strony, przeciwnie — prawdziwe prawosławie, świętość celu, chrześcijańskie sposoby propagandy, a pomimo tego, wewnętrzna niemoc, brak wolności w głoszeniu wiary, nicość rezultatów, strach. Tam banda potworów moralnych a czyny istotnie apostolskie; tu cerkiew, mieniąca się jedyną, świętą, apostolską, a nie dająca żadnych owoców życia duchowego. Tam moc Belzebuba i cuda żywej łaski, tu moc Boża i tylko martwa obrzędowość. Jakie obalenie praw świata moralnego i ducho-

wego! Daruje Pan, lecz zdrowy rozsądek wzdryga się uznać możliwość podobnej fantasmagorji..." [1])

W poważniejszem, niż prace Tołstoja i Samaryna, dziele Moroszkina obfity materjał użyty został jako ilustracja potęgi intrygi jezuickiej w Rosji. Pod piórem Samaryna, Aksakowa, Moroszkina, Jezuici to już nietylko organizacja, zakon, lecz jakaś moc zła a żywiołowa, przenikająca katolicyzm, jakiś pierwiastek szatański, nieodłączny od katolicyzmu. Atak na Jezuitów jest w istocie taktycznym manewrem atakowania papiestwa i katolicyzmu. Tylko tacy duchowni, jak Siestrzeńcewicz, bliżsi carowej niż Rzymu, bliżsi Rosji, niż Polski i całego świata katolickiego, reprezentują katolicyzm bez jezuityzmu. Nienawiść do katolicyzmu wymagała jakby symbolicznej postaci zbiorowej, którąby była kwintesencją wszelkich wad, przypisywanych katolicyzmowi, skondensowaniem wszelkich jego zbrodni. Zresztą, ta nienawiść do katolicyzmu była o półtysiąclecia dawniejsza, niż powstanie zakonu Jezuitów i wówczas tworzyła sobie inne postacie symboliczne. W starej kronice monasteru peczerskiego pod Kijowem (*pieczerskij patierik*) czytamy, że podczas modłów nocnych w cerkwi, świątobliwy mnich Matwiej dostrzegł, że po cerkwi chodzi bies w postaci Lacha i rzuca kwiatki na mnichów. Do kogo kwiatek przylgnie, ten doznaje senności, słabnie i idzie do celi. Tak w XIX wieku chodził po Rosji Jezuita, usypiał czujność i gorliwość prawosławia i gotował triumf łaciństwa.

Moroszkin, demaskując intrygi Jezuitów w Rosji, składa im mimowolnie przesadną daninę uznania, utrzymuje bowiem, że gdyby nie te intrygi, udałoby się przy pomocy Siestrzeńcewicza oderwać Kościół katolicki w Rosji od Rzymu i uzależnić go wyłącznie od rządu rosyjskiego. „Gdyby partja jezuicka przy Pawle I i Aleksandrze I nie obaliła rozporządzeń mądrej Katarzyny II względem Kościoła rzymskiego w państwie rosyjskiem i nie sparaliżowała planów i działań metropolity rzymskiego w Rosji Siestrzeńcewicza, otrzymalibyśmy u nas Kościół rzymski nie w tym kształcie, w jakim on dziś egzystuje, mielibyśmy Kościół rzymski całkowicie

[1]) List ten przedrukowany w książce Samaryna: *Jezuity i ich otnoszenije k Rossii*. Wydanie III, str. 15—27.

z tak zwanym ustrojem galikańskim, lub nawet w formie kościoła utrechckiego; stosunki naszego rządu z Rzymem nie miałyby cechy nadmiernej uprzejmości i pobłażliwości dla Kurji rzymskiej, byłyby zupełnie zgodne z duchem i godnością Rosji, wyłączyłyby wszelkie mieszanie się Rzymu do naszych spraw domowych. Gdyby zostały uprzedzone i zahamowane w swoim czasie intrygi i matactwa partji jezuickiej w Rosji, Kościół rzymski w naszej ojczyźnie stanąłby w zupełnie innym stosunku do rządu rosyjskiego i Rzymu; bliższy byłby Rosji, niż Rzymu, i nie występowałby w charakterze wrogim i niebezpiecznym dla całości i jedności państwa".

Według Moroszkina, Jezuici w Rosji doszli do niesłychanej potęgi. „Owładnąwszy umysłami i sercami niektórych mężów stanu w Rosji, zakon jezuicki z niepohamowanem i nieustraszonem zuchwalstwem szerzy swą działalność po całej Rosji, staje twardą nogą w obydwóch stolicach, sprawuje tyrańskie rządy nad hierarchją rzymską w Rosji..., opanowuje edukację młodzieży rosyjskiej, czyni z dzieci bojarów odstępców od wiary ojczystej i poddanych Rzymu, nie zaś Rosji..."

Może przynajmniej po 1820 roku, po wydaleniu Jezuitów z Rosji, skończyła się ich demoniczna rola. Bynajmniej. Nadal, według informacyj Moroszkina, przenikali oni do Rosji, a zwłaszcza wywierali wpływ przez nawróconych Rosjan. „Wraz z wygnaniem Jezuitów z Rosji, nie ustała całkowicie ich akcja w naszej ojczyźnie: niejednokrotnie usiłowali przekraść się do Rosji, za panowania zmarłego cesarza Mikołaja Pawłowicza i za obecnego panowania.[1]) Lecz ponieważ te próby wtargnięcia niezawsze mogły kończyć się pomyślnie, a co główna, nie były bezpieczne, więc poczynając od trzeciego dziesięciolecia obecnego wieku Rosjanie chwytani byli przez Jezuitów do łaciństwa przedewszystkiem zagranicą, wracali stamtąd jako tajni łacinnicy do Rosji, chociaż formalnie w dokumentach figurowali jako prawosławni. Zajmowali nawet nieraz stanowiska w administracji rosyjskiej gdzie, z tytułu swego urzędu, powinni byliby bronić

[1]) To jest — za Aleksandra II.

intesesów rządu i narodu tej wiary, którą zdradzili i której całą duszą nienawidzili". [1])

Już więc za Aleksandra II wytknięte zostały zasady teoretyczne polityki państwowej w dziedzinie wyznaniowej, które w praktyce znalazły pełny wyraz za Aleksandra III. Apoteoza prawosławia, jako jedynej czystej formy chrześcijaństwa na świecie, łączyła się z nieustającym alarmem z powodu zagrożenia tej prawdziwej wiary przez katolicyzm rzymski. Gniazdo tego niebezpieczeństwa znajdować się miało na ziemiach polskich. Skoro prawosławie było zagrożone, wynikała potrzeba otoczenia go czujniejszą jeszcze opieką państwową. Dzieło wzmocnienia tej kurateli zapoczątkowuje Dymitr Tołstoj, jako ober-prokurator Synodu od 1865 r., utrwali je i ugruntuje Pobiedonoscew. Aksakow, Samaryn, Moroszkin dostarczali argumentów dla tego systemu.

Tragiczny widok. Otoczono cerkiew prawosławną murem chińskim, okryto ją szczelnie puklerzem państwowym, postawiono przy niej wartę carską z bagnetem, i spaczono ją, wydrążono z ducha. Grabarze cerkwi prawosławnej wyobrażają sobie, że są jej konserwatorami; Dymitr Tołstoj, Pobiedonoscew czynią z niej departament policji ducha, a wciąż bronią jej przed zachłannym Rzymem, podczas gdy wszelka rywalizacja, emulacja wyznań mogłaby tylko dodać wewnętrznego życia prawosławiu, skostniałemu w odosobnieniu, jeśli było ono do życia zdolne. Najgorliwszy Jezuita, prowadzący propagandę katolicyzmu w Rosji, nie mógł przynieść cerkwi rosyjskiej ani setnej części tego uszczerbku, jaki sprawiali urzędowi jej opiekunowie. Można było zabronić pod karą główną prawosławnym zmiany wyznania, lecz nie było kary, któraby zapobiegła wypaczeniu się prawosławia urzędowego w system czczych obrzędów, lub któraby powstrzymała od sceptycyzmu i indyferentyzmu formalnych wyznawców cerkwi, pozbawionej żywej mocy, pod rządami Tołstoja i Pobiedonoscewa.

---

[1]) M. Moroszkin: *Jezuity w Rossii.* Część I, 1867 r., str. IV, V, XIII—XV.

(Dokończenie nastąpi.)

Jan Kucharzewski.

Psychologja niewiary i nawrócenia.

Przeżycia religijne należą do tych zawiłych stanów, w których dusza ludzka drga licznemi strunami o wielorakich barwach tonu.

Różnorodne czynniki psychiczne są uwikłane w przeżyciach religijnych. Czynniki poznawcze, uczuciowe, wolitywne zależnie od temperamentu, wychowania i chwilowych konstelacyj, skoordynowane na różne sposoby, wpływają tak na ukształtowanie się przeżyć religijnych, jak i na natężenie psychiczne. Od ich bogactwa, natężenia i rodzaju splotu zależy nietylko rozwój i nasilenie przeżycia religijnego, ale i jego p r z e s i l e n i e. Wątpienie, niewiara, nawrócenie, oto ważniejsze momenty przesilenia.

Pragniemy zająć się w naszych rozważaniach niewiarą i nawróceniem. Te dwa momenty zostały wybrane dlatego, że się przeciwstawiają krańcowo i że wyjaśnienie jednego z nich rzuca odblask na drugi. Zbytecznem byłoby wykazywać, iż jednym z podstawowych elementów przeżycia religijnego jest wiara; załamanie się wiary powoduje w niem ostre przesilenie.

Zgodnie z nakreślonem sobie zadaniem będziemy mieć na myśli wiarę w znaczeniu subjektywnem, a nie objektywnem, t. zn. wiarę jako fakt świadomościowy, a nie jako zespół tez do wierzenia podawanych. Nieinaczej też traktować będziemy niewiarę. Opisując niewiarę religijną jako zjawisko psychiczne i tłumacząc jego powstawanie, jego warunki rozwoju i wreszcie zanik, nie możemy posługiwać się pojęciami poza-psychologicznemi, nie dlatego żeby miały być niesłuszne, fałszywe, lecz dlatego żeby rozważania psy-

chologiczne utrzymać w ich właściwych ramach i nie mieszać psychologji z teologją i apologetyką.[1]) Pomieszanie jednego z drugiem doprowadziłoby do zagmatwania sprawy i do zamętu. Im czystsze będą badania psychologiczne nad niewiarą i nawróceniem, tem łatwiejsza ocena objektywna ich doniosłości dla teologji i apologetyki. Współpraca, skoordynowanie badań naukowych nie oznacza ich pomieszania. Gdy badamy przeżycie niewiary lub nawrócenia, nie można nie brać pod uwagę tego, w co przestaje ktoś wierzyć lub w co rozpoczyna wierzyć, nie można pomijać przedmiotu niewiary i nawrócenia. Zjawiska psychiczne są przecież reakcjami na bodźce, na podniety t. j. na przedmioty, które pobudzają zmysły, wyobraźnię, umysł, poruszają wolę i uczucia. Rozchodzi się o to, w jakiej mierze przeżycia wiary i inne doznania, występujące przy nawróceniu, zależą od przedmiotowych elementów i od jakich; czy niewiara tłumaczy się brakami od strony przedmiotu, czy od strony podmiotu. Wyjaśnieniem przedmiotu i warunków niezbędnych, by pobudzał wiarę zajmuje się teologja, która wykłada, jak wiadomo, sens tez wziętych i rozwiniętych z Objawienia, stanowiących przedmiot wiary i wyjaśnia działanie łaski, jako warunku niezbędnego do powstawania wiary nadprzyrodzonej.

W rozważaniach psychologicznych te wyjaśnienia teologiczne dostarczają m a t e r j a ł u, ale nie dostarczają n a r z ę d z i dla uzasadnienia psychologicznego. Narzędzia uzasadniania psychologicznego znajdują się poza teologją, podobnie jak narzędzia uzasadniania teologicznego nie znajdują się w ramach psychologji. Wiadomości teologiczne dają materjał dla psychologji, tak jak wiadomości psychologiczne mogą służyć za materjał dla teologji. Środki, narzędzia dowodzenia w obu dziedzinach muszą być różne, jeżeli psychologja ma się różnić od teologji, jeżeli każda z nich ma zachować autonomję naukową.

Przedmiot wiary w znaczeniu węższem, tem się odznacza, iż sam przez się nie pobudza rozumu do uznania i nie

[1]) Jeżeli zjawiska wiary i niewiary mają być badane integralnie to wraz z psychologją musi współpracować filozofja religji i teologja. J. Maréchal S. J. *Études sur la Psychologie des Mystiques, I.* Louvain 1924 r. 54.

porusza woli do przyjęcia. Tezy Objawienia jak np., że Bóg jest w Trójcy jedyny, są nieprzenikliwe dla rozumu ludzkiego. Warunkiem uzależniającym ich przyjęcie i uznanie ich za prawdziwe jest specjalna, poza porządek naturalny wykraczająca interwencja Boża, zwana łaską. Akt wiary i nawrócenia według teologji przychodzi do skutku przez zużytkowanie łaski, a niewiara tłumaczy się przeszkodami w zużytkowaniu łaski. Otóż psychologja niewiary i nawrócenia znajduje się wobec łaski w tej sytuacji, że o łasce nie może mówić, bo czynniki nadprzyrodzone z definicji samej wymykają się z pod ujęcia nauki przyrodzonej.

Stanowisko psychologji w tym względzie musi być negatywne,[1]) t. zn. poprzestać na stwierdzeniu, że naturalne czynniki nie wystarczają do pełnego wytłumaczenia wiary, nawrócenia, ani też utraty wiary, chyba, że się założy zgóry tezę o nieistnieniu przedmiotów i działań nadprzyrodzonych, nazywając je złudnemi koncepcjami bez podstaw rzeczowych, koncepcjami, które należy złożyć na karb nieznanych lub mało znanych elementów psychicznych, albo nawet fizjologicznych. Postępując tak, przesądza się sprawę, co stanowi ujmę dla objektywności badań.

Dotąd omówiliśmy metodę, jakiej należy się trzymać przy rozważaniach psychologicznych nad faktami niewiary i nawrócenia, i jakich błędnych dróg trzeba się strzec.

Przystępujemy do właściwego zagadnienia, mianowicie jakie czynniki psychiczne wchodzą w grę i w jakich znajdują się relacjach wzajemnych, w jakim splocie, gdy człowiek przeżywa stan niewiary, gdy traci wiarę religijną.

Człowiek przeżywa wiarę religijną, gdy uznaje za prawdziwe tezy jakieś, które nie są ani same oczywiste, ani przez inne tezy oczywiste uzasadnialne i przyjmuje dlatego, że Bóg poznany jako pełnia prawdy i dobroci objawił je i przez Kościół do wierzenia podaje.

---

[1]) J. Maréchal S. J. *Études sur la Psychologie des Mystiques*, I. Louvain 1924, s. 61.

Mgr. Mauria Sturzo, *La psicologia della conversione. Rivista d. Filosophia neo-scolastica* 1915, s. 546 i nst. Autor znajduje się w opozycji do do Th. Mainage *Psychologie de la conversion* Paris 1919 i do W. James'a, *Doświadczenia religijne* Warszawa 1918.

Uznanie tez nie jest tu funkcją ich poznania o charakterze oczywistym lub dowodliwym. Tezy są rozumowi przedstawione, uobecnione, ale nie poruszają same przez się rozumu, nie wyznaczają aktu uznania, gdyż brak im tak bezpośredniej jak i pośredniej oczywistości, tak intuicyjnej jak i wyrozumowanej. Jeżeli rozum tego rodzaju tezy przyjmuje, to nie dla powodów stanowiących o ich zrozumiałości, nie dla racyj wewnętrznych, udostępniających wniknięcie w ich strukturę, bo wtedy mielibyśmy zamiast wiary wiedzę, lecz dla motywów zewnętrznych, które nie uzasadniając zrozumiałości samych tez, usprawiedliwiają jednak ich przyjęcie, usprawiedliwiają ich wiarygodność.[1])

Czyżby wobec tego usprawiedliwienie wiarygodności odbywało się wyłącznie przez apelację do uczuć i woli? Takby się wydać mogło, skoro powiedziane zostało, iż tezy wiary w najwęższem znaczeniu wyrazu nie są dostępne zrozumieniu. Faktem jest, że powstały teorje sentymentalistyczne, tłumaczące wiarę przez emocje skomplikowane.

Owszem, bywają wypadki wiary o cechach jeżeli nie wyłącznie, to przeważająco emocjonalnych, tak jak istnieją jednostki o temperamencie górująco emocjonalnym, ale spotykamy również wypadki wiary rozumnej, przy której emocjonalność nikłe zajmuje miejsce. Skoro tak jest, to teorje sentymentalistyczne zdają sprawę z niektórych wypadków indywidualnych i z przerosłych w nich elementów, ale tracą z oczu typowe przeżycia wiary.

Typowem nazywam przeżycie wiary, do którego zbliżają się wszelkie przeżycia indywidualne, mimo różnych odchyleń. Otóż w typowem przeżyciu usprawiedliwiają wiarygodność intelektualne motywy obok wolitywnych i uczuciowych. Nie mogąc bowiem zrozumieć tez, w które wierzymy, możemy zrozumieć, dlaczego mimo to należy w nie wierzyć, możemy poszukiwać różnorakich argumentów usprawiedliwiających akt wiary, choć nie uzasadniających samego przedmiotu wiary.

Przy usprawiedliwianiu aktu wiary rozum więc pracuje: najprzód gdy usuwa przeciwności, t. j. wszelkiego rodzaju

A. Gardeil, *La Crédibilité et l'Apologétique* éd. 2 Paris 1912, l. I. ch. 1. Place de la crédibilité dans l'acte de foi.

zarzuty wysuwane przeciw tezom wiary, gdy rozwiązuje trudności, przeprowadzając krytykę ich założeń i ich konstrukcyj a następnie gdy buduje argumenty, mające wykazać odpowiednik (*congruentia*) tez wiary ze względu na ich zbawienne następstwa, na dobro i pożytek dla człowieka. Rozum usprawiedliwia więc postawę psychiczną, zwaną wiarą, zapomocą intelektualnych środków, gdy wykazuje granice poznawania ludzkiego i to, że nie może zachodzić sprzeczność między tezami wiary i wiedzą i wreszcie zapomocą motywów pozaintelektualnych, emocjonalnych, gdy uwydatnia, że tezy wiary oznajmują dobro i korzyści, pociągające wolę i poruszające uczucia. Usprawiedliwienie intelektualne prowadzi do tego, że nieroztropnem i nieuzasadnionem jest nie wierzyć, usprawiedliwienie zaś emocjonalne do tego, że lepiej, korzystniej jest wierzyć. [1])

Nagromadzenie negatywnych motywów intelektualnych i emocjonalnych nie zastąpi, biorąc teoretycznie, podniety właściwej dla umysłu, determinującej jego akty, chociaż praktycznie wytwarzają taką sytuację psychiczną, że tezy wiary wpływają na ukształtowanie postawy psychicznej wobec różnych zagadnień życiowych. Postawę psychiczną wierzącego całą mocą przeświadczenia cechuje pewność taka, jak postawę człowieka wiedzącego.

Zasadnicza jednak różnica między wiarą a wiedzą nie znika, owszem zaznacza się w tem, że wiedza powstaje drogą wyznaczenia rozumu przez tezy, przez ich treść ideową, tak iż wyznaczenie zupełne, doskonałe sprowadza spokój umysłu, satysfakcję myślenia, wiara natomiast nie zaspakaja rozumu wprost, bo treść ideowa tez zostaje wciąż zamkniętą

---

[1]) Św. Tomasz, *De Veritate*, XIV a 1: „Quandoque vero intellectus non potest determinari ad alteram partem contradictionis neque statim per ipsas definitiones terminorum sicut in principiis, nec etiam virtute principiorum sicut in conclusionibus demonstrativis est. Determinatur autem per voluntatem, quae eligit assentire uni parti determinate et praecise propter aliquid quod est sufficiens ad movendum voluntatem, non autem ad movendum intellectum, utpote quod videtur bonum vel conveniens huic parti assentire; et ista est dispositio credentis ut cum aliquis credit dictis alicuius hominis, quia videtur decens vel utile". q. XIV, a 5.

tajemnicą, lecz tylko ubocznie, apelując do całego człowieka, do jego aspiracyj, woli i uczuć. [1])

Z tego widać, iż tak powstanie jak i utrzymanie wiary bywa uzależnione od dosyć różnorodnych czynników psychicznych, splatających się w organiczną całość o względnie stałej równowadze. [2])

Nie można wobec tego interpretować wiary i niewiary, uwzględniając czynniki wyłącznie intelektualne lub tylko emocjonalne. Pospolicie utarł się zwyczaj tłumaczenia niewiary względami rozumowemi, mianowicie, że tezy wiary odpychają rozum swą niezrozumiałością i tem, że sprzeciwiają się im inne tezy zdobyte w naukach. Przyjmując takie stanowisko, traktuje się wiarę, jakgdyby była sprawą rozumu wyłącznie, a człowieka jakgdyby był tylko mózgiem zajętym snuciem sylogizmów. [3])

Sytuacja praktyczna wygląda inaczej. Niewiara zjawia się w następstwie niekiedy gwałtownych a niekiedy powolnych, często nawet podświadomych procesów, w których elementy dosyć różnorodne wchodzą w grę z przewagą tych lub innych, zależnie od temperamentu osobnika, jego kultury i otoczenia.

Spotykamy zatem stany niewiary typu przeważająco intelektualnego lub typu przeważająco emocjonalnego. Co to znaczy? To znaczy, iż genezę i stan niewiary uda nam się trafniej wytłumaczyć, uwydatniając u pewnych ludzi motywy intelektualne, w postaci rozważań filozoficznych i naukowych, u innych natomiast motywy emocjonalnej natury, jak nastroje i rozstroje uczuciowe, tęsknota za niewiadomem, melancholja, zniechęcenie, słowem jakieś niezadowolenie i chęć zmiany tego stanu.

---

[1]) Ibd. „in fide est assensus et cogitatio quasi exaequo. Non enim assensus ex cogitatione causatur sed ex voluntate, ut dictum est... inde est quod eius motus nondum est quietatus, sed adhuc habet cogitationem et inquisitionem de his quae credit; quamvis firmissime eis assentiat: quantum enim est ex seipso, non est ei satisfactum nec est terminatus ad unum; sed terminatur tantum ex extrinseco".

[2]) P. Chojnacki, *Z psychologji światopoglądu chrześcijańskiego*. Warszawa 1933, str. 17, 18, 19.

[3]) Th. Mainage, *La psychologie de la conversion*, Paris 1919, s. 39, 45. *Le Témoignage des Apostats*, Paris 1916, s. 42, 45, 47.

Na poparcie wypowiedzianej tezy niech posłużą łatwo stwierdzalne fakty, iż kryzys niewiary występuje często w okresie dojrzewania umysłowego, gdy człowiek próbuje zdobyć się na samodzielny sąd, gdy swój pogląd na świat przeciwstawia utartym formom i występuje też w okresie dojrzewania fizycznego, gdy bio-chemiczne zmiany w organiźmie pociągają za sobą psychiczny niepokój w rodzaju depresji melancholijnej, pesymizmu, niezadowolenia z tego co jest i poszukiwania czegoś nowego.

Niezależnie od tych ogólnie zdarzających się faktów, istnieją też i specjalne, które tezę sformułowaną ilustrują. I tak np. przeważająco intelektualny typ niewiary spotykamy w osobie Ernesta Renana.

Znalazłoby się więcej przykładów tego typu. Wybrałem ten przykład dlatego, że sam Renan opisał we wspomnieniach genezę swej niewiary i że, będąc osobistością głośną swego czasu, doczekał się opracowania tak przez niewierzących swych wielbicieli, jak i przez wierzących katolików. Wybrałem też i dlatego, że nie uważam za odpowiednie ułatwiać sobie dyskusję. Otóż E. Renan przedstawia wypadek najtrudniejszy. Odbywał on bowiem studja teologji i według swych zeznań utracił pod ich wpływem i własnych rozważań krytycznych wiarę i cofa się przed święceniami.

Stajemy wobec nielada trudności. Wydać się snadnie może, iż wiara Renana załamała się i ustąpiła pod naporem krytyki rozumowej i to nie jakiegoś laika, ale wtajemniczonego. Nasuwałaby się zatem nieodparcie trudność taka. — Jeżeli niewiara u takich intelektualnych typów staje się koniecznem następstwem pogłębionych rozważań krytycznych i jeśli wszędzie podobny krytycyzm, przeprowadzony bez przeszkód do końca, wywołuje nieodwołalnie dezorganizację, destrukcję psychiczną wiary, to wiara utrzymywałaby się albo w braku pogłębionej refleksji, albo wskutek nawyków i emocjonalnego przywiązania do pewnych sposobów myślenia i postępowania.

Co sądzić o takiej alternatywie? Nim wydamy o niej sąd, musimy sobie uprzytomnić kilka spraw.

Nie ulega wątpliwości, że emocjonalne czynniki współdziałają w przeżyciach wiary religijnej, podobnie jak współ-

działają przy wszelkich innych sądach, choć może nie w takiej skali.

Należy również zwrócić uwagę, że pewność wiary nie jest matematyczną, lecz moralną, t. zn. że motywy za wiarygodnością i za uznaniem tez wiary są dla rozumu wystarczające aczkolwiek nie są determinujące, wymuszające zgodę. [1]) Intelekt czysty mógłby dyskutować do nieskończoności o ich wartości, ale taki intelekt czysty, to pojęcie abstrakcyjne, do którego się dochodzi przez usuwanie w myśli innych czynników, które wyróżniamy w funkcjach świadomości. [2]) Faktycznie, konkretnie intelekt ludzki nie istnieje tak oderwany, odcięty, bo człowiek żywy czuje, wyobraża, rozumuje, odczuwa i dąży zarazem.

Jeżeli mimo teoretycznej możliwości, nie dyskutujemy, nie rozważamy dalszych motywów i kontrmotywów bez ograniczenia, lecz zamykamy proces, staje się to dzięki interwencji woli. Funkcja woli nie uzupełnia braków ze strony motywów intelektualnych, ani nie zastępuje ich, lecz tylko usposabia do uznania ich wartości, skoro są wystarczające.

Gdyby ktoś znajdował upodobanie w dyskusji dla niej samej, i nie chciałby zakończyć rozważań, chociaż posiada motywy wystarczające ku temu, poprostu, by się nie pozbawiać przyjemności samego myślenia, samego rozważania krytycznego, musielibyśmy powiedzieć, iż lubi gimnastykę myśli. Zdarzają się wypadki, że ludzie mają więcej zadowolenia w powątpiewaniu niż w pewności, w poszukiwaniu niż w znalezieniu, w zaprzeczeniu niż w twierdzeniu, niekiedy z powodu nastroju przejściowego, niekiedy zaś z usposobienia, lub z nawyku. Znamy przecież z pobocznej obserwacji umysły przekorne.

Bawić się można nietylko, gdy się gra w piłkę, lecz także, gdy się przerzuca argumentami, motywami dla zajęcia umysłu. Historja opowiada nam o sofistach i sceptykach. Czy jednak sofistyka i sceptycyzm nie są objawami szkodliwie rozigranego rozumu? Czy nie znajdujemy się tu na pograniczu zabawy i żartu? Czy pod szatą hiperkrytycyzmu

[1]) G. Divelshauvers, *Traité de psychologie*, Paris 1928, s. 584, 585.

[2]) P. Chojnacki, *Struktura psychiczna sądu i jego współczynniki uczuciowe*. Warszawa 1934, s. 23, 24.

i erudycji, obwarowanej setkami zastrzeżeń, nie odnajdziemy próbek słabego i nieśmiałego sceptycyzmu i pomieszania dociekań słusznych i zabawy intelektu z samym sobą?

Otóż Renan, jak świadczą jego własne pamiętniki, należał do typu umysłów przekornych, nie lubiał pewności, wolał niepokój myślowy, wątpienie, słowem ciągłe igranie myślami.[1])

Brunetière powiada o Renanie, że trudno mu przychodziło twierdzić, skoro zaś zdobywał się na jakieś twierdzenie, to poprzez jaknajzawilszy labirynt negacyj, sprzeczności, wahań i wątpliwości i stwierdzał to z widoczną lubością.[2])

Niewiara religijna u Renana była nietyle następstwem koniecznem jego rozważań krytycznych, ile następstwem jego skłonności do rozważań nieograniczonych i tego, że nie lubiał ich kończyć decyzją, wzdragał się przed uznaniem, przed przyjęciem tez.

Umysły o tym pokroju nie są skłonne wogóle do wierzenia, t. j. do przyjmowania definitywnego jakiegoś przedstawienia w dziedzinie pozareligijnej. Nie mając skłonności do wydawania sądu, lubują się w hipotetycznych rozumowaniach, powstrzymują się od twierdzenia i przeczenia, najchętniej myślą według ulubionej formy warunkowej: jeżeli — to.

Oprócz takich osobników, u których nastąpił przerost funkcyj myślowych wskutek myślenia prawie dla sportu, że tak powiem, spotykamy też osobników z rozwiniętą inteligencją, ale z obniżoną energją psychiczną. Są to psychastenicy, którzy bywają oblegani najrozmaitszemi wyobrażeniami i myślami często natrętnie, nie będąc w stanie odeprzeć ich, lub dokonać selekcji definitywnej, bo tyle innych nasuwa się możliwości. Psychastenicy nietyle nie wierzą, ile wątpią. Wątpliwości w materji religijnej są tylko wycinkiem z większego koła spraw osaczonych wątpliwościami. Byłoby więc niedokładnością dopatrywać się powodów wątpliwości dochodzącej do niewiary tylko we właściwościach wiary religijnej.

---

[1]) E. Renan, *Souvenir d'enfance et de jeunesse*, s. 187. Przytaczam według Th. Mainage, *Le Témoignage des apostats*, s. 286, 287, 299.

[2]) Ferdinand Brunetière, *Cinq lettres sur Ernest Renan*, Paris 1904, s. 11, 12.

Do częstszych wszakże należą przeważająco emocjonalne typy niewiary.

Zawody życiowe, o które niestety nie jest trudno, życie społeczne, którego ustrój niedomaga pod wielu względami, bo nie odpowiada ideałowi sprawiedliwości, ciężkie nieraz kolizje obowiązków powodują wstrząsy emocjonalne, głęboko nurtujące w duszy. A ponieważ religja i jej zasady są uważane za fundamenty panującego porządku, który temu i owemu niedogadza, więc niechęć do porządku przechodzi w niechęć do religji i nieufność względem niego przechodzi często w niewiarę religijną. Nastroje i rozstroje psychiki własnej przenosi się wówczas na świat i sprawy religijne tak, że wyglądają jasno, różowo lub toną w ciemności i pociągają lub odpychają.

Z zagadnieniem niewiary łączy się jako odwrotny proces sprawa nawrócenia czyli konwersji.

Nawrócenie stanowi przedmiot stosunkowo najwięcej roztrząsany przez psychologów religji. Za materjał do analizy i teorji służą zeznania i autobiografje nawróconych. Należy zwrócić uwagę na nieporozumienia, powstające wśród psychologów z tej racji, że niektórzy zbyt szeroko pojmują nawrócenie, nazywając tak każdą zmianę przeświadczeń, lub zmianę postępowania moralnego. Tak pojmują nawrócenie psychologowie amerykańscy. Np. Stanley Hall, Starbuck, według których nawrócenie jest naturalnem zjawiskiem u dojrzewającej młodzieży.[1]) Według zebranej statystyki 80—100 „nawróceń" przypada na okres dojrzewania młodzieńczego. Nawrócenie oznacza tu moralne, religijne przesilenie u młodzieży, słowem okres powątpiewania.

Przez nawrócenie religijne w znaczeniu najwęższem rozumieć należy intelektualne i moralne odrodzenie człowieka. Nie każdą więc zmianę poglądów godzi się nazywać nawróceniem, chociażby chodziło o zmianę poglądów religijnych, podobnież nie każdą zmianę trybu życia praktycznego. Każde nawrócenie jest zmianą w człowieku; ale od-

[1]) George Wobbermin w pracy *Religion, die Methoden der religionspsychologischen Arbeit* Berlin 1921 w *Abderhaldens Handbuch* krytykuje metody Stanley Halla, Starbucka, Flournoy, James'a, uważając za centralne w nawróceniu pragnienie prawdy bezwzględnej.

wrotne powiedzenie: każda zmiana jest nawróceniem byłoby fałszywe.

Musi być zmiana g r u n t o w n a i c a ł k o w i t a w osobowości psychicznej człowieka, rozciągająca się i na jego postępowanie zewnętrzne, aby ją nazwać można nawróceniem.

Osobowością psychiczną nazywamy właściwą każdemu człowiekowi, więcej lub mniej zwartą i doskonałą systematyzację wszelkich doznań i przeżyć.

Osobowość to tyle co całokształt do pewnego stopnia zorganizowany i organizujący się doświadczeń czuciowych, uczuciowych, myślowych i wolitywnych, właściwy danej jednostce. Systematyzacja, czy organizacja psychiczna przybiera różne postacie, charaktery, zależnie od tego, co stanowi jej osnowę i w jaki sposób reaguje na podniety, a więc bywają osobowości więcej intelektualne, inne znowu więcej uczuciowe, a jeszcze inne więcej wolitywne, aktywne. W tak przedstawionej osobowości może panować względna równowaga, spokój, mogą zachodzić więcej lub mniej znaczne przegrupowania chwilowe lub trwałe i wreszcie gruntowne, radykalne przekształcenie. Gdy w gruntownem przekształceniu wchodzi w grę wiara religijna, czyli przeświadczenie o prawdziwości tez objawionych staje się osnową dla nowej systematyzacji psychicznej, czyli dla rekonstrukcji osobowości na nowych zasadach, nazywamy je nawróceniem. [1])

U nawróconego wiara, t. j. przeświadczenie o prawdziwości, o rzeczywistości tego, co tezy objawione wypowiadają jest tak żywe i barwne, że świat nadprzyrodzony staje się dlań przedmiotem już nie wyobrażania, ale nieomal czucia lub czegoś zbliżającego się do intuicji mistyków. Niewierzący potrafi również jakoś przedstawić sobie, o co chodzi w tezach objawionych; wierzący, zwłaszcza nawrócony, nietylko przedstawia sobie, ale zachowuje się i w praktyce postępuje

[1]) Sante de Sanctis, *Religious Conversion*. London 1927, str. 92. „True conversion is an integral overturning of consciousness which gives way to a fresh psychic systematization". Książka tego autora, psychjatry odznacza się wielką objektywnością. Oburza się on na to, że w dziedzinie religijnej istnieje dużo marnych psychologów i rozgadanych mówców zamiast odwrotnie; zbyt dużo retoryki i romantyzmu zamiast pozytywnego badania, str. 194, 197. Autor ma na myśli tych psychjatrów, co przeżycia religijne hurtownie zaliczają do chorobowych.

tak jak wobec rzeczy obecnych, bliskich, wywierających konkretne działanie na świadomość. Wiara nawróconego żyje wszystkiemi tonami, jakby symfonją całej psychiki.[1])

Pod względem intelektualnym nawrócenie przedstawia się jako afirmacja po długim nieraz szeregu negacyj, pod względem zaś afektywnym jako zdobycie równowagi, pokoju, radości, a pod względem wolitywnym jako ustalony na nowo, zdecydowany kierunek życiowy.[2])

Dotąd opisywaliśmy konwersję, nawrócenie; przedstawialiśmy sobie, jak wygląda, co ją charakteryzuje.

Musimy zająć się teraz jej wytłumaczeniem, t. zn. musimy oznaczyć te warunki psychiczne, które ją sprowadzają, od których ona zależy niby funkcja od argumentów. Na rynku psychologicznym istnieje sporo teoryj, roszczących prawo do wytłumaczenia nawrócenia. Właśnie dlatego jest ich wiele, że żadna nie daje zupełnego obrazu. Psychologowie, którzy pomyślny rozwój badań psychologicznych, ich ścisłość uzależniają od fizjologji, poszukują warunków nawrócenia w procesach nerwowych, zawiłych. Niektórzy upraszczają sobie zagadnienie, tłumacząc nawrócenie podnieceniem lub wyczerpaniem nerwowem, młodością lub starością, chorobą np. gruźlicą, lub zmianami wywołanemi w organiźmie, wydzielinami gruczołów dokrewnych, których chemizm jest zresztą mało znany. Warunki fizjologiczne, zmiany biochemiczne nie są bez wpływu na zjawiska psychiczne. Jednak ten wpływ nawet, gdy chodzi o uproszczone procesy psychiczne, tak mało jest znany, iż ryzyko tłumaczenia przez nie wzrasta, im bardziej skomplikowane, im wyższe są fakty psychiczne. Do takich właśnie należy fakt nawrócenia.

Przy całem docenianiu wiedzy fizjologicznej, postępującej ciągle naprzód, zjawiska psychiczne zachowują własny charakter, uchylając się od sprowadzenia ich do pochodnych. Utworzyła się gałąź wiedzy pośrednia: psychologja fizjologiczna, ale psychologja nie daje się wchłonąć przez fizjolo-

[1]) Ghéon, *Témoignage d'un converti.* Paris 1920.

[2]) H. Brémond, *L'inquiétude religieuse. Aubes et landemains de conversions,* wyd. 2-gie Paris 1903 — praca nagrodzona przez Akademję francuską.

gję, bo ma własne zadanie do spełnienia, własnych domagające się metod.

Psychologja staje wobec nawrócenia jako psychicznego procesu i stara się dlań oznaczyć psychiczne poprzedniki takie, aby ono stało się zrozumiałe dla nas, jako ich konieczne następstwo.

Wśród warunków uzależniających nawrócenie odróżnia się zewnętrzne jak sugestję przez kazania, czytanie i zachowanie się wierzących, i wewnętrzne, jak niepowodzenie, przesyt, rozczarowanie, depresja, potrzeba uporządkowanego poglądu, potrzeba moralnego kierownictwa.

Nawrócony w Ems, r. 1847 żyd Herman Cohen wpadał w depresje i przeżywał chwilami ostrą melancholję. Franciszek Coppée przechodził częste operacje. Newman żył w głębokiej rozterce; jako duchowny anglikański nie znajdywał zadowolenia w społeczności religijnej, do której należał, odczuwał brak systematyki dogmatycznej i autorytatywnego kierownictwa.[2]) Giovanni Papini przychodzi do wiary, rozważając często nad cierpieniami innych; był bardzo wrażliwą duszą.

Gdyby warunki zewnętrzne czy wewnętrzne, zauważone u konwertytów, stanowiły powód dostatecznie tłumaczący ich nawrócenie, powstaje pytanie, dlaczego te warunki, chociaż spotkać je można i u innych osób, niezawsze sprowadzają jednak nawrócenia. Skoro tak jest, nie można ich zatem uważać za powód dostatecznie tłumaczący. Oprócz tej niewspółmierności należy podnieść i inne. Istnieją nawrócenia niespodziane, nieoczekiwane. To znaczy, sądząc z tego co konwertyta czytał, reflektował i do czego miał upodobanie, nawrócenie stanowi coś odwrotnie proporcjonalnego. Np. Johannes Joergensen staje się chrześcijaninem w okresie, gdy się rozczytywał, zagłębiał i przejmował teorją Darwina; wyniki teorji Darwina, jak sam powiada, skłaniają go do wiary chrześcijańskiej.[3]) Podobnież Miss Baker, która z chciwością rozczytuje się w dziełach Locke'a, Hume'a,

[1]) H. Delacroix, *La religion et la foi*. Paris 1922, s. 459, 364, 367.

[2]) J. H. Newman, *Apologia pro vita sua*. London 1913.

[3]) Johannes Joergensen, *Le Néant et la Vie*. Tłum. P. d'Armailhacq. Paris 1898, s. 6. — *Z drogi*. Poznań 1914.

Milla, Schopenhauera, Darwina, Spencera, Kanta, Renana, ulega rozterce wewnętrznej i miasto utwierdzić się w niewierze, przychodzi do wiary chrześcijańskiej.[1])

Czem wytłumaczyć taką dysproporcję? Psychologowie wysuwają zaraz obawę, czy zostały uwzględnione wśród warunków poprzedzających nawrócenie wszystkie ważne czynniki.[2]) Konwertyci opowiadają i zeznają te warunki, które same nie są w stanie wytłumaczyć faktu nawrócenia i zeznają to, co sobie uświadamiają, z całą zazwyczaj szczerością. Ale mogą współdziałać też czynniki podświadome, które same przez się nie podpadają pod świadomość i stąd nie są zeznawane, ale wywierają wpływ na nią, odzywają się w niej echem jakimś. Jest to postulat determinizmu teoretycznego, uznawanego i w psychologji, w myśl którego zjawisko jest wytłumaczone, gdy się wykaże, iż jest następstwem równoważnem do poprzedników, których przeto należy poszukiwać aż będzie można postawić znak równoważności między niemi i następnikiem. Skoro więc czynniki świadome nie wystarczają by usprawiedliwić nawrócenie, należy dobrać jeszcze inne, mianowicie podświadome.

Podświadomość tworzą te niezliczone doświadczenia nasze o słabem lub mocnem nasileniu, które wypadły z naszej pamięci, ale nie zginęły, nie rozwiały się w nicości! Wyczytane myśli, usłyszane kiedyś słowa treści religijnej, widziane przykłady ludzi głęboko wierzących i doznających spokoju, nastroje religijne wytwarzane przez środowisko i wiele innych przeżyć — to wszystko nie przepada, choć może nie zaprząta świadomości człowieka niewierzącego. To wszystko spoczywa utajone, może nawet odepchnięte z rozmysłem, bo w danej chwili inne sprawy zajmują go silniej, żywiej.

Te podświadome elementy przytłumione nie zostają w rozsypce, lecz gromadzą się, systematyzują podobnie jak osobowość świadoma i odzywają się niekiedy słabo, niekiedy

---

[1]) Miss Baker, *A modern Pilgrim's Progress*. London 1906.

[2]) W. James. *Doświadczenia religijne*. Przekł. Jana Hempla, Warszawa 1918, wykł, VIII i IX. Autor składa nawrócenie na podświadomość. Doskonałą krytykę teorji podświadomości stosowanej do zjawisk religijnych daje Gemelli, *L'origine sub-conscienfe dei fatti mistici*. Firenze 1913.

mocniej. Przychodzi wreszcie taka sytuacja, że te zorganizowane elementy, wiodące jakby piwniczny żywot, wdzierają się z całą natarczywością na powierzchnię świadomości. I wówczas następuje nieraz nagły zwrot; nagły, gdy się osądza sprawę z perspektywy świadomości aktualnej, ale nie nagły, gdy się zważy, iż przygotowany był w nurtach podświadomych.

Nawrócenie polegałoby według tego na wynurzeniu się kompleksu religijnego, przygotowującego się nieraz długo i niepostrzeżenie w podświadomości i na tem, że obejmuje on rolę teraz dominującą, ściągając ku sobie afekt i wolę, skierowane przedtem w zupełnie innym kierunku. Nawrócenie byłoby następstwem ideo-afektywnej dysocjacji, i utworzeniu się nowej ideo-afektywnej asocjacji. Człowiek niewierzący ma też wiarę w jakiś pogląd; gdy się nawraca przenosi się nieraz podświadomie jego wiara na inny przedmiot, który staje się ośrodkiem niemniej silnej i gorącej wiary.[1])

Wobec takich wiadomości o roli podświadomych czynników, zdawałoby się, że sprawa nawrócenia religijnego już jest dostatecznie wyświetloną.

Faktycznie sytuacja uległa o tyle poprawie, że więcej wiemy, t. zn. więcej elementów wciąga się do tłumaczenia nawrócenia, ale nie dosięga się jednak zupełnego tłumaczenia.

Są wszakże osoby, o których możemy powiedzieć, że w ich podświadomości nurtują też elementy do kompleksu religijnego, a jednak nie przechodzą w wiarę. Z tego widać, że wchodzą w grę jeszcze inne czynniki naturalne, ale i nadnaturalne, o których psychologowie nie mówią, by nie wykroczyć poza ramy swej nauki.

Słynny swego czasu konwertyta francuski Brunetière mówi, że trudno wypowiedzieć tajemnice duszy, i dlaczego przychodzi rozstanie się z wiarą, lub powrót do wiary. Każda

[1]) Mamy przykłady w A. Gemellim, który od umiłowania programu socjalistycznego przenosi swą wiarę i afekty na Chrystjanizm i staje się zakonnikiem. Porów. jego książkę w przekładzie polskim: *Od socjalizmu do kapłaństwa*. Lwów 1931. Podobnież George Valois: *D'un siècle à l'autre*. Paris 1922, autor z bojowego komunisty staje się wybitnym katolikiem, pracującym w dziedzinie polityki i gospodarstwa narodowego.

bowiem konwersja przedstawia coś bardzo indywidualnego. Nic bardziej indywidualnego jak motywy wierzenia, i nic tak nie uchyla się od analizy i uogólnienia. [1])

Teorje psychologiczne nawrócenia opierają się na zeznaniach konwertytów i na ich życiorysach, z których dowiadujemy się o ich otoczeniu, zainteresowaniach, i możemy domyślać się podświadomych elementów.

Otóż ten materjał, aczkolwiek cenny, nie wyznacza z całą koniecznością jednej teorji tłumaczącej i tylko tej. [2])

Hugh Benson, sam konwertyta, pisze: Jest rzeczą niesłychanie łatwą omylić się i ustrzec się od przyjemności widzenia tego tylko, co się pragnie widzieć; obawiam się ponadto, że moje własne zeznania nie zdołają przekonać innych osób... Niema środków do określenia, na czem polegało kierownictwo Ducha Bożego i do postawienia diagnozy o działaniu tego Ducha w zakamarkach duszy... Co najwyżej możliwem jest mniej więcej wierne opisanie zewnętrznej postaci okresów przebytych przez duszę i naszkicowanie ogólnikowe ważniejszych zajść na tej drodze, jak refleksje wewnętrzne i słowa zewnątrz pochodzące. Wiara religijna w gruncie rzeczy jest pracą bożą, dokonaną pociemku, nawet gdy nam się wydaje to działanie uwidocznionem w argumentach filozoficznych czy w faktach historycznych. Albowiem należy pamiętać, iż dwie dusze równie szczere i inteligentne mogą spotkać te same przejawy zewnętrzne a jednak wyprowadzić wnioski całkiem przeciwne. Istota właściwa naszego życia wewnętrznego spoczywa głęboko i żadne badanie psychologiczne nie potrafi jej dosięgnąć. [3])

Psychologja czysto empiryczna nie jest w stanie integralnie wytłumaczyć zjawiska konwersji, gdyż bierze je od zewnątrz, abstrahując od jej charakteru nadprzyrodzonego.

---

[1]) Brunetière, *Le Catholicisme aux Etats-Unis.* Revue des Deux Mondes 1-er novembre 1898.

[2]) Trafne są również podane przez Retté Ad. *Kilka uwag nad psychologją nawrócenia.* Warszawa 1915.

[3]) Hugh Benson: *Les confessions d'un converti*, przekład francuski, Wyżewy, Paris 1914, s. 3, 4.

Na polecenie zasługuje przyswojona naszej literaturze książka wnuka Renana, E. Psichari: *Głosy wołające na puszczy*, Poznań 1925.

Jeżeli nawrócenie jest przyjściem do wiary nadprzyrodzonej, to czynniki czysto naturalne nie będą jej współmiernie tłumaczyć, lecz tylko niewspółmiernie. Teorja psychologiczna nie będzie w błędzie, gdy oznacza te czynniki naturalne, gdy je wylicza i wykazuje ich relacje do nawrócenia. Wpada w błąd dopiero wtedy, gdy przyjmuje je jako wyłączne, gdy wyklucza interwencję czynnika nadprzyrodzonego, gdy dla swego tłumaczenia rości prawo wyłączności. [1]) Ze względu na postawione sobie zadanie i na metody empiryczne, psychologja ma prawo abstrahować od głęboko ukrytych i nadprzyrodzonych elementów, ale nie ma prawa przechodzić od abstrahowania do ich negacji.

---

[1]) J. Maréchal S. J. *Études sur la psychologie des mystiques, I.* Louvain 1923, str, 61 i 64. „Aucune théorie purement psychologique des faits religieux ne pouvant prétendre à la probabilite expérimentale, il faut bien chercher en dehors de la psychologie un criterium, qui permette, par anticipation sur les expériences éventuelles d'apprécier l'extension légitime de la théorie empirque en ces matières." (podkreślenia moje).

Ks. P. Chojnacki.

Prawa ekonomiczne a socjologiczne.

(Dokończenie.)

Teorja wolnego handlu to wedle Cobdena zwycięstwo pokoju świata. Porównuje ją z prawem grawitacji (por. Diehl, *Theoretische Nationalökonomie* Jena 1923, I. 178). To wyraz mądrości Bożej, a kto się jej sprzeciwia, jest człowiekiem przewrotnym. *(The law which interferes with the wisdom of the Divine Providence and substitutes the law of wicked men for the law of nature.)*

Faktycznie, to zarazem nakreślenie państwu zadania popierania przemysłu eksportowego i wymiany dóbr z zagranicą a zaniedbanie zbytu wewnętrznego i interesów rolnictwa, w szczególności zaś małej i średniej własności rolnej, które bez protekcji cłowej istnieć i rozwijać się nie mogą.

Wielka Brytanja wówczas dopiero zalecała wolność handlową, gdy dzięki polityce merkantylistycznej przeszłości i aktowi nawigacyjnemu Cromwella stała się bezkonkurencyjnie pierwszem państwem przemysłowem na kuli ziemskiej. Właśnie wskutek utrzymania nadal wolności handlowej straciła w naszych czasach przejściowo tę pozycję, którą odzyskuje, odkąd po wojnie światowej weszła na drogę polityki wysokich ceł.

Jest nieprawdą, jakoby inne państwa, nie mające rzekomo po temu kwalifikacyj, dzięki wysokim cłom zdołały stworzyć u siebie „sztuczny" przemysł. Wszystkie bowiem kraje nadają się do rozwoju w nich przemysłu, jak tego dowodzi historja gospodarcza (przykład Stanów Zjednoczonych, Niemiec i Japonji, krajów przed trzema pokoleniami nawskróś rolniczych), i niema najmniejszego powodu utrwalania chwilowej niższości gospodarczej jednych krajów

nato tylko, aby uczynić je stałymi odbiorcami towarów, wytwarzanych dotąd w innych krajach, tem samem zaś, by uwiecznić własny ujemny bilans handlowy.

Powtóre zaś dążenie do autarkji gospodarczej uniezależnia poszczególne państwa od siebie, co w razie konfliktów zbrojnych lub wojen gospodarczych, może mieć bardzo doniosłe a nawet rozstrzygające znaczenie. Zwolennicy wolnego handlu rozumieją to sami, i dlatego równocześnie oświadczają się za pacyfizmem i „środkową Europą". (Coudenhove-Callergi, Briand, uchwały konferencji bankierów, Delaisi). Póki jednak zalecenia te i pomysły są dakiemi od rzeczywistości fantazjami, entuzjaśc wolnego handlu nie powinni zyskiwać zwolenników wśród narodów pragnących żyć samodzielnem życiem państwowem.

Wolny handel (*free trade*) budzić więc dziś może entuzjazm, oczywiście interesowny, bądź tylko u członków narodów bardzo uprzemysłowionych, bądź też u członków złotej międzynarodówki, obojętnych na więzy narodowe, nierozumiejących ich i stąd nie liczących się z niemi zupełnie.

W każdym razie teorja wolnego handlu nie jest żadnem prawem ekonomicznem, jest tylko wyrazem interesu i tak ją też rozumiał Fryderyk List, przejrzawszy do dna angielskich jego entuzjastów.

Zasada gospodarczości polega według Dietzla na dążeniu do osiągania możliwie największych korzyści gospodarczych nakładem możliwie najmniejszego wysiłku gospodarczego.

Ale i ta zasada nie urzeczywistnia się stale w życiu gospodarczem ludzkości. Nieświadomość lub błąd, zwyczaj, nałóg lub rutyna, oraz skłonności do naśladownictwa często stają wpoprzek urzeczywistnieniu tej zasady. Nie można zaś twierdzić, że mimo tych wszystkich przeszkód, decydującem jest, że wedle subjektywnego przekonania działającego postępuje on zawsze wedle powyższej zasady. Gdyby nawet tak było, miałoby to znaczenie li psychologiczne, ale nie miałoby żadnego znaczenia gospodarczego. Jeśli powyższa zasada ma mieć jakiś sens gospodarczy, to tylko wówczas, jeśli cel, jaki działający sobie wytknął, będzie objektywnie możliwie maksymalny, a środki ku temu celowi prowa-

dzące, będą o b j e k t y w n i e możliwie minimalne. A tak właśnie nie jest, ponieważ stoją temu na przeszkodzie przyczyny na wstępie przytoczone.

A przeto i zasada gospodarczości niema w istocie powszechnego zastosowania w tym stopniu, aby można o niej mówić jako o prawie ekonomicznem, i tyle tylko w niej pozostaje prawdy, że w świecie kapitalistycznym, odrzucającym tradycję i w którym niema mowy o nieświadomości lub błędzie, c z ę s t o, choć n i e z a w s z e jest stosowana.

Do zupełnie błędnych należy t e o r j a p r a c y jako źródła wartości.

Już Adam Smith twierdził, że praca jest „ostatecznym i prawdziwym miernikiem wartości, wedle którego można oceniać i porównywać w każdym czasie i w każdem miejscu wartość wszystkich towarów", a Ricardo dowodził, że wysokość wartości zamiennej towarów, dających się w dowolnej ilości wyprodukować, zależy od ilości zużytej przy produkcji pracy, przy ciągłym wzroście renty gruntowej, kurczeniu się zysku i utrzymaniu się płacy na tym samym poziomie. Twierdzenia te były we wszystkich szczegółach fałszywe, jakkolwiek pozornie w danej chwili może wydawały się tu i ówdzie trafnemi. Płace to malały, to wzrastały, renta gruntowa zczasem malała, a ostatecznie znikła zupełnie, a natomiast zyski przedsiębiorców w Anglji, Stanach Zjednoczonych, we Francji, ale także i w innych krajach, pęczniały i pęcznieją ciągle. Pozatem dzięki owym tezom Smitha i Ricarda łatwym się stał dowód Marxa błędnego podziału dochodu społecznego, jako wbrew temu, co twierdzi liberalizm, nie opartego bynajmniej na pracy.

Teorję pracy krytykował już Malthus w listach do Ricarda a sam adresat przyznawał przyjacielowi słuszność. Teorja ta, stanowiąca refleks filozofji prawa przyrody, tak rozpowszechnionej w W. Brytanji a reprezentowanej wówczas przez Lockego, dostarczyła najsilniejszego argumentu i niepożądanej zgoła dla szkoły liberalnej zachęty socjalizmowi. Nie można zaś twierdzić, aby wypłynęła z bezinteresownej miłości prawdy naukowej, skoro codzienne doświadczenie przekonywało, że była sprzeczna z rzeczywistością. Wiadomo było mianowicie, że wyższe honorarjum otrzymuje lekarz czy adwokat

w razie pomyślnego wyniku jego zabiegów, aniżeli w wypadku niepomyślnym, mimo, że w obu razach przygotowanie naukowe pracownika i włożony przez niego trud mogły być jednakowe; że w razie nieurodzaju pożywienie zyskuje na wartości, mimo, że jego zdobycie kosztowało taką samą ilość pracy, jak w czasach normalnych; że obok subjektywnej użyteczności, wyrażającej się w cenie z upodobania i objektywna rzadkość rośliny, futra zwierzęcego czy znaczka pocztowego oddziaływują na cenę, choć nie mają najmniejszego związku z pracą.

Pozatem wszystkiem jest rzeczą oczywistą, że gdyby teorja ta była prawdziwą, praca wykonywana przez różne jednostki musiałaby być i subjektywnie jednakową. A tak oczywiście nie jest. Praca bowiem każdej jednostki wywołuje różne stopnie wyczerpania u różnych ludzi stosownie do ich siły, odporności i wprawy, dla niejednego zaś bywa wprost źródłem rozkoszy i zadowolenia. Ujednolicenie pracy zrównuje ją wprawdzie z drugim czynnikiem produkcji: kapitałem, który sam przez się, jako łatwiej rozłączalny od człowieka, nie przedstawia owych indywidualnych odmienności. Z chwilą natomiast, gdy z człowiekiem się łączy i podpada pod jego dyspozycję, również okazuje nieskończoną ilość odmian i rozmaitych subjektywnych ocen.

Senior dodał do pracy jako objektywnego źródła wartości, jeszcze drugie, subjektywne, wynikające z „ofiary" pożyczającego, który odmawia sobie samemu używania danej rzeczy i tem samem ponosi uszczerbek, pozbawia się pewnej przyjemności. Teorję tę o „dobroczynnym lichwiarzu" już dostatecznie wykpiono, abyśmy dziś jeszcze chcieli się nad nią znęcać.

Szkoła austrjacka stworzyła teorję użyteczności krańcowej, która oczywiście wówczas tylko może stanowić wyjaśnienie, gdy odnosi się do użyteczności jakiejś rzeczy należącej do tego samego człowieka a więc w dziedzinie ekonomiki indywidualnej. Z chwilą, gdy Stanley Jevons zaczyna mówić (w *Theory of political economy*, London 1911 4-e wyd.) o użyteczności rzeczy, należącej do jakiejś grupy indywiduów, widzimy na pierwszy rzut oka nieporównywalność różnych stopni użyteczności dla różnych ludzi.

Tem mniej można tu mówić o „jednostkach zadowolenia" jak to czyni Stanley Jevons, nie ma bowiem w tej dziedzinie wspólnego dla różnych ludzi miernika. Zarzut ten przewiduje sam autor twierdząc, że jego teorja ma wartość tylko dla „człowieka ekonomicznego", racjonalisty, nie powodującego się wobec nikogo ani uczuciem przywiązania ani niechęcią i rozważającego każdy czyn wyłącznie ze stanowiska interesu gospodarczego a więc istoty w typie „doskonałym", jaka nigdy nie istniała i nie da się na przyszłość pomyśleć. Trzebaby chyba pominąć wpływ przyzwyczajenia, tradycji, pokusy, niewiadomości, snobizmu, sugestji, które i na osobnika mającego wrodzone skłonności do zostania „człowiekiem ekonomicznym" oddziaływują niejednokrotnie w kierunku odmiennym.

I tak np. zasada, że obniżka ceny wywołuje zwiększenie się popytu, posiada pod wpływem snobizmu znany wyjątek w pragnieniu zwłaszcza kobiet, posiadania przedmiotu (np. toalety), przystępnego tylko dla ograniczonej liczby właścicieli. Wiadomem jest, że bankierzy chętnie płacą długi karciane synów, byle gra odbywała się w najbardziej eleganckim klubie i w „najlepszem" towarzystwie. Właśnie przekonani zwolennicy ekonomiki liberalnej naruszają jawnie jej zasady.

Nasuwa się pytanie, jakich pobudek jest w życiu więcej, emocjonalnych czy racjonalistycznych? Niewątpliwie sądząc *a priori*, w Europie zachodniej i w wielkich centrach przemysłowych i bankowych Stanów Zjednoczonych — wydawałoby się, że ostatnich. Ale żadna statystyka na to pytanie nie odpowiada i odpowiedzieć nie jest w stanie. Pragnąc więc być ścisłym, nie możemy twierdzić, że właśnie racjonalizm jest normalnym i typowym a pobudki emocjonalne wyjątkowemi. Gdzież w takim razie pozostaje *homo oeconomicus?*

Jeżeli dziś unika się wyrażeń „przyjemność" i „ofiara", zastępując je w ekonomice angielskiej wyrazem: „potrzeba" *(want)*, o czem obszernie mówi Myrdal w dziele: *Das politische Element in der nationalökonomischen Doktrinbildung* (przekład ze szwedzkiego — Berlin 1932), to jednak rzecz sama przy obu nazwaniach nie uległa zmianie.

Rzecz godna uwagi, że Irving Fisher uznaje za słuszne wszystkie te zarzuty przeciw teorji użyteczności krańcowej, ale równocześnie twierdzi, że mimo to w życiu praktycznem „zdrowy rozsądek rozcina ten gordyjski węzeł." (*A statistical method for measuring Marginal Utility and Testing the Justice of a progressive income tax,* odb. z dzieła zbiorowego, poświęconego Clarkowi — New York 1927). Ale nawet gdyby *common sense* miał mieć w praktyce przewagę nad prawdą naukową, czy dowiodłoby to trafności teorji użyteczności krańcowej w nauce gospodarstwa społecznego?

Sprzeczność byłaby mniej doniosłą, gdyby zdołano wykryć istniejącą między ludźmi w ustroju kapitalistycznym harmonję interesów — wówczas bowiem różnice indywidualne byłyby mniej rażące. Ale życie dowodzi, że tak nie jest i że w ustroju kapitalistycznym walka niszczycielska między poszczególnemi grupami i jednostkami jako rezultat wolnej konkurencji między poszczególnemi egoizmami wre bez wytchnienia. Sami utylitaryści w ową „harmonję" nie wierzą a John Stuart Mill pisze (w *Utilitarianism,* London 1864, 9 wyd.), że lepiej być niezadowolonym człowiekiem, niż zadowoloną świnią i lepiej być niezadowolonym Sokratesem, niż zadowolonym głupcem. Któż tedy zechce głosić „harmonję interesów", narażając się na przytyk, że jest świnią i głupcem? Bastiat nie czytał zapewne tego dzieła Milla!

I słynna teorja renty gruntowej, zarówno różniczkowej jak monopolicznej, nie wytrzymała krytyki rzeczywistości. Podczas gdy zysk ma wedle niej tendencję do ciągłej zniżki, renta gruntowa, płynąca atoli tylko z większych kompleksów dóbr, czyli jak się wyrażali jej twórcy, niezapracowany dochód właściciela ziemi, ma rzekomo tendencję do nieustannej zwyżki.

Tymczasem Vilfredo Pareto w *Cours d'économie politique* tom II str. 302) stwierdza na podstawie angielskiej statystyki dochodów przeciwieństwo. W okresie lat między 1860—4 a 1910—14, dochód z ziemi wzmógł się ze 146 miljonów zaledwie na 280 miljonów funtów, czyli mniej niż dwukrotnie, a równocześnie dochód z przemysłu i ruchomego kapitału z 205 miljonów na 846 miljonów funtów, czyli przeszło czterokrotnie. Od tego czasu stosunek ten nietylko

w Anglji, ale wszędzie dla rolnictwa jeszcze znacznie się pogorszył. Równocześnie zaś przedsiębiorcy przemysłowi tworzeniem karteli, syndykatów i trustów zabezpieczyli się przed zniżkami cen.

Renta gruntowa pochodzić ma wedle Ricarda (i Thünena) z rozpoczęcia uprawy od gruntów najlepszych oraz najbliżej rynków zbytu położonych. Gdyby ta teorja była prawdziwa, renta winnaby wzrastać z chwilą wzrostu wydajności ziemi i tak istotnie twierdzi Ricardo w swej polemice z Malthusem. Gdyby nawet tak było, to zwiększenie wydajności ziemi możliwe jest tylko pod warunkiem uintensywnienia produkcji, to zaś wymaga większych inwestycyj kapitałowych. Wynikałoby stąd, że tylko większa własność ma warunki rozwoju a produkcja włościańska skazaną jest na zupełny upadek i zanik. Byłoby to atoli połączone z redukcją bardzo znaczną ludności, wielka własność bowiem zatrudnia zaledwie 1/3 część mieszkańców, mogących się wyżywić w razie jej parcelacji na tej samej przestrzeni. Wykazał to Hasbach w dziele pod tyt.: *Geschichte der englischen Landarbeiter in den letzten 100 Jahren* Leipzig 1894, oraz szczególnie Oppenheimer w dziele *David Ricardo's Grundrententheorie* (Berlin 1909), tudzież Buchenberger w klasycznym dziele *Agrarwesen und Agrarpolitik* 1892.

Pozatem każda wielka przestrzeń zdobyta przez pług niezawsze powiększa zysk z najurodzajniejszego choćby i najlepiej położonego gruntu, często przeciwnie zwiększa ilość zaofiarowanego na rynku zboża a tem samem działa w kierunku obniżenia cen. Rodbertus przytacza w dziele *Das Kapital* (Berlin 1884) fakt, że w latach 1817—1843 ludność Prus wzrosła o 5 miljonów, w tem przeważnie ludność rolnicza, a równocześnie cena zboża spadła o 30%. Rolnictwo europejskie przekonało się parę lat temu o tej samej prawdzie, gdy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie oraz Argentynie produkcja zboża bardzo znacznie wzrosła a renta gruntowa nietylko nie powiększyła się, ale wprost znikła, nietylko dla producentów europejskich, ale i dla farmerów amerykańskich, posiadających owe najlepsze grunty.

Przy jednolitej cenie zboża zyskać może właściciel najurodzajniejszej ziemi tylko w czasie pokoju, przy równych

kosztach przewozu do miejsca zbytu, oraz przy małych kosztach administracji, co wbrew teorji renty gruntowej daje wyższość małej własności ziemskiej nad większą. Wielkie koszta administracji, stanowiące regułę w dużych gospodarstwach pochłaniają bowiem z okładem zysk, osiągnięty przez najlepszą choćby i najintensywniejszą gospodarkę.

O rencie gruntowej jako rezultacie wrzekomej niepomnażalności ziemi, stanowiącej tem samem naturalny monopol, mówiliśmy już poprzednio, omawiając krytycznie prawo ludnościowe Malthusa. Do niepomnażalności ziemi jeszcze nam daleko, skoro tylko część jej dziś poddana jest pod uprawę a z niej tylko znikomy ułamek uprawiany jest zgodnie z dzisiejszym stanem nauki i techniki rolniczej.

Wedle Ricardowskiej teorji płacy płaca robotnicza wówczas jest „naturalną", gdy odpowiada minimalnym potrzebom robotników utrzymania się i wydania na świat niepomnożonego ale i nieuszczuplonego potomstwa. Płaca targowa ma tendencję zbliżenia się do płacy naturalnej. Przy wolnej konkurencji płaca zdąża więc ku najniższemu możliwemu poziomowi, czyli ku proletaryzacji robotnika.

Pominął tu Ricardo rozróżnienie między płacą za czas a akordową, między płacą robotnika rolnego a przemysłowego, między płacą w naturze a w pieniądzu, oraz wpływ rządu i związków robotniczych na oznaczenie płacy. Dzisiejsi zaś wyznawcy teorji Ricarda pomijają również wpływ tak karteli, jak i związków zawodowych, umów taryfowych i ruchomej skali płac, poprzestając na powtarzaniu formułki Ricardowskiej. Doskonale wykazał to Diehl (l. c. I. 196 in).

Faktyczny stan rzeczy jest zupełnie odmienny, aniżeli „prawo" Ricarda. Rzeczywistość przedwojenna na zachodzie Europy i w Ameryce Północnej przyniosła liczne przykłady wysokich płac robotniczych, pojawiających się równocześnie z olbrzymiemi zyskami, niepłynącemi z uszczerbku klasy robotniczej, ale z produkcji wielokrotnie powiększonej dzięki wzmożonym potrzebom kulturalnego ogółu oraz wydatnej zniżce cen (np. samochody Forda). Pozatem wiemy z obserwacji, że w tym samym przemyśle w różnych miejscowościach oraz w różnych przemysłach w tej samej miejscowości płace robotnicze bardzo znacznie się różnią.

Prawdą w teorji płac Ricarda jest tylko tyle, że koszty utrzymania robotnika stanowią zazwyczaj granicę dolną, poniżej której płaca trwale zejść nie może. Ale prawda ta nie jest treści ekonomicznej, wynika bowiem z prostego faktu, że człowiek głodny traci siły i nie może pracować, a niebawem z wycieńczenia umiera. Jest to więc prawo biologiczne, wydęte przez Ricarda do rozmiarów ścisłego prawa ekonomicznego.

Płaca robotnicza zejść może zresztą i poniżej koniecznych kosztów utrzymania. Ma to miejsce odnośnie do robotnic w przemyśle konfekcyjnym oraz w przemyśle chałupniczym i wogóle wobec tych robotników, którzy posiadają kawałek ziemi czy inne jakiekolwiek zajęcie albo mieszkają przy rodzinie, tak że wynagrodzenie przez nich pobierane może wynosić mniej, aniżeli minimum egzystencji. I to spostrzeżenie również stwierdza błędność teorji Ricardowskiej.

Istnieje jeszcze prawo zmniejszającego się dochodu z ziemi, stwierdzające, że w rolnictwie poczynając od pewnej granicy każdą nadwyżkę zbioru osiąga się tylko pod warunkiem coraz większego nakładu. Na niezaprzeczalną tę prawdę powołują się z dumą ekonomiści liberalni na dowód, że przecież istnieją „prawa ekonomiczne". Jednak jest to oczywiście prawo przyrodnicze, wynika bowiem z cech przyrodniczych ziemi, słońca, opadów, temperatury, a jedynie wywiera skutki gospodarczej treści.

Pozatem ów moment graniczny nie jest stale określony, zależy bowiem od ciągłych postępów chemji rolnej, meljoracji, techniki młynarskiej, zmienionych cen robocizny, kosztów transportu i t. d.

Że tak jest, wynika i stąd, że prawo zmniejszającego się dochodu może mieć zastosowanie także i w przemyśle o tyle, że im większą ilość surowców przeznaczymy do przerobienia w fabryce, tem będziemy produkowali taniej tylko do pewnej granicy optymalnej. Po jej przekroczeniu i tu zwiększą się koszty przeróbki, a tem samem dochód czysty się zmniejszy. Koszty utrzymania maszyn w stanie do użytku zdatnym wraz z kosztami ich reperacyj powstają jako rezultat materjału, z którego maszyny są sporządzone, a więc

tak samo są funkcją praw przyrodniczych, jak prawo zmniejszającego się dochodu z ziemi, a granica i tu z tych samych powodów ustawicznie się przesuwa.

Teorja funduszu płac zwalczana przez Thorntona, Rodbertusa i Brentana, twierdzi, że istnieje osobny fundusz przeznaczony na opłacanie robotników w przedsiębiorstwie. Jest więc w interesie tychże, aby ich było mało, gdyż każde powiększenie ich liczby zmniejsza udział, przypadający na każdego uczestnika zosobna. Tymczasem faktem jest, że na cele produkcyjne obrócić może wytwórca bez ograniczenia dowolną część funduszu, którym dysponuje, a z drugiej strony ilość i płace robotników zatrudnionych w danem przedsiębiorstwie bywają zmienne i zależą od rodzaju danych usług, każdorazowego stanu techniki oraz od wielkości obrotu. (Por. Schmoller *Grundriss der Allgemeinen Volkswirtschaftslehre,* Leipzig 1904, II, 301.) Tem mniej mówić można w danym wypadku o uzależnieniu wysokości płac robotniczych od ilości robotników, że płace te faktycznie nie płyną z funduszów przemysłowców i nie uszczuplają ich dochodu, ci bowiem przerzucają uiszczane przez siebie płace w cenie towarów na konsumentów, tem samem więc nie są właściwie w utworzeniu podobnego funduszu płac, zresztą zgoła nieodpowiadającego rzeczywistości, zainteresowani.

Teorja materjalizmu dziejowego Marxa[1]) w ujęciu Engels'a głosiła, że stosunki produkcyjne wraz ze stosunkami obrotu i zamiany stanowią podstawę i źródło wszystkich wypadków dziejowych. Idee, choć mogą być bezpośredniemi ich przyczynami, stanowią tylko refleks każdorazowego ustroju gospodarczego danego społeczeństwa w pewnej epoce, wskutek czego nie dążenia do większej sprawiedliwości ustroju społecznego, ale walki klasowe jako wynik zjawisk ekonomicznych torują drogę etapom historji.

Technika produkcji, ilość sił pomocniczych, rozmiary obrotów i t. d., rozstrzygają rzekomo o całem życiu społecznem, a więc także o prawie moralności, obyczaju, religji. Przypominam tu słowa *Manifestu Komunistycznego:* „Za-

[1]) Por. szczegółową krytykę w mojej rozprawie: *Le matérialisme économique comme un des fondements du marxisme* (Revue Mondiale. Paris Mai 1926 i w moim „Solidaryzmie", Lwów 1931 (str. 162—188).

sady teoretyczne komunistów nie polegają na ideach, na punktach wyjścia (*Prinzipien*), wynalezionych lub odkrytych przez tego lub owego naprawiacza świata. Są one tylko ogólnym wyrazem faktycznych stosunków istniejącej walki klas, ruchu historycznego, odbywającego się w naszych oczach." Przypominam również słowa Marxa w pierwszym tomie *Kapitału*: „Technologja odkrywa nam czynne zachowanie się człowieka wobec przyrody, bezpośredni proces wytwórczy jego życia, tem samem jego stosunków życia społecznego i duchowych wyobrażeń z nich wynikających". Wedle słów Kautsky'ego postęp techniczny rozstrzyga o tem wszystkiem w ostatniej instancji.

Otóż należy zapytać, dlaczego w razie prawdziwości teorji materjalizmu dziejowego, mimo identycznych warunków gospodarki kapitalistycznej w szeregu państw, uwydatniają się w nich bardzo znaczne różnice narodowe i kulturalne tudzież odmienne losy dziejowe? Dlaczego dalej nietylko różne jednostki, ale i te same jednostki w różnym czasie lub wśród odmiennych okoliczności towarzyszących, reagują odmiennie na te same przyczyny? Przypuśćmy na chwilę, że stosunki produkcyjne istotnie rozstrzygają w ostatniej instancji. Ale wszak te stosunki to nie siły. Siłami stają się one dopiero wówczas, gdy i d e e o stosunkach, nie stosunki same, oddziałają na wolę ludzką.

W razie prawdziwości teorji materjalizmu dzieje stałyby się walką mas, popychanych przeciw sobie deterministyczną koniecznością. Takby musiało stać się pomimo niczem nie uzasadnionego i zgoła dowolnego twierdzenia Engelsa w polemice z Duehringiem, że socjalizm wyzwoli ludzkość z państwa konieczności i wprowadzi ją do państwa wolności. Stosunki produkcyjne bowiem mają być wedle marksyzmu niezależne od woli ludzkiej, a prawa gospodarcze jako rzekome prawa przyrodnicze, działają wedle tej teorji ze spiżową koniecznością, jednostka zaś nie ponosi odpowiedzialności za stosunki, których jest wytworem.

A jednak faktem jest, że nawet p r z e d zdobyciem żywności a więc przed najprymitywniejszą czynnością gospodarczą musi być praca, np. wyrobienie i ostrzenie narzędzi, przygotowanie sieci, a p r z e d pracą jej teleologiczne posta-

nowienie. Wynika stąd, że i tu pierwiastek ideowy wysuwa się logicznie przed gospodarczy. Sprawdzając teorję materjalizmu dziejowego na podstawie faktów przekonano się, że uczucia religijne, etyka, twórczość artystyczna i naukowa nie mają bynajmniej a w każdym razie nigdy nie mają wyłącznego źródła w stosunkach gospodarczych. Nasza świadomość mówi nam, że te źródła są zgoła odmiennego pochodzenia.

Engels twierdzi wprawdzie, że świadomość indywidualna jest iluzją i pochodzi z błędnych zgoła wyobrażeń a prawdziwą jest tylko świadomość kolektywna. Ale zaprzeczyć nie mógłby, że właśnie indywidualna świadomość jest j e d y n e m źródłem, za pośrednictwem którego dowiadujemy się tak o czynnikach gospodarczych jak i o innych. Innego źródła niema i sam materjalizm dziejowy, stanowiący rzekomo niezachwianą zdobycz marksyzmu.

Niespodziewana solidarność między burżuazją a proletarjatem na tle narodowem w czasie wojny światowej wykazała ponad wszelką wątpliwość, że hipoteza o fundamencie gospodarczym i nadbudowie ideowej była błędna. Tłumaczenie wszystkich wypadków dziejowych walką klas czyniłoby niezrozumiałemi wiele walk między narodami, wojny religijne, cudowne rozszerzenie chrześcijaństwa. Na wojny grecko-perskie, trzy pierwsze wojny krzyżowe, wielokrotne powstania polskie przeciw Rosji wbrew istotnym interesom gospodarczym, brakłoby wyjaśniającej formułki. Zagadką byłby genjusz Homera czy Platona, Michała Anioła czy Wagnera, Kopernika, Newtona, Kocha, Pasteur'a, małżonków Curie i tysiąca innych, gdyby jedynym kluczem otwierającym tajemnice pobudek ludzkiego działania były stosunki gospodarcze.

A wreszcie: technika produkcji, którą Marx uznaje za właściwe źródło wszelkiego gospodarczego i społecznego życia i rozwoju, mogłaby być niem w każdym razie tylko w granicach takiego lub innego porządku prawnego. Porządek prawny musiał więc powstać przedtem, a prawodawcy nim go utworzyli, musieli mieć pewne o tem idee, jaki ten porządek być winien. (Por. Diehl l. c. I 362.)

Zwolennicy teorji materjalizmu dziejowego usiłują obronić ją, wkładając w nią treść, której nie nadawał jej ani

Marx, ani Engels. Dowiódł tego ponad wszelką wątpliwość Masaryk w dziele *Die philosophischen und soziologischen Grundlagen des Marxismus* (1899). Jest to jednak metoda niedopuszczalna. Z obroną tego rodzaju można rozprawiać się tylko wówczas, gdy autorowie jej przyznają lojalnie, że idzie w danym wypadku o własne ujęcie i przekształcenie owej teorji. Ale tego nie czyni nikt z wyznawców Marxa z obawy przed naruszeniem prestiżu mistrza.

W samej rzeczy twierdzą owi dyskretni kontynuatorzy i przerabiacze teorji Marxa i Engelsa, że nie należy utożsamiać stosunków ekonomicznych ze stosunkami człowieka wobec maszyny lub towaru, idzie bowiem o stosunki między ludźmi a w tem dowód, że nie zapomina się o wpływie ducha, nieodzownym wobec tego, że w stosunkach między ludźmi czynnik duchowy nie da się wyeliminować.

Jest to niewątpliwe, ale rzecz w tem właśnie, iż twórcy teorji twierdzili, iż dla ogółu ludzi rozstrzygające są tak w życiu zbiorowem jak indywidualnem pobudki korzyści gospodarczej, i że one tworzą fundament i źródło wszelkiego działania, pobudki zaś duchowe stanowią zaledwie nadbudowę. Pierwsze nie są więc wedle tej teorji li tylko „głównemi" sprężynami działania, lecz mają być wprost jedynemi, zjawiska zaś gospodarcze mają być wprost rozstrzygające dla wszelkiego życia gromadnego i to tak teraz, jak i w przeszłości dziejowej.

Jeśli Marx twierdził w przedmowie do „Krytyki Ekonomji Politycznej", że podstawowym faktem jest konflikt między siłami produkcyjnemi społeczeństwa a stosunkami własnościowemi i uznał za nadbudowę „ścieranie się poglądów prawniczych, politycznych, religijnych, artystycznych lub filozoficznych", stanowiących wedle niego jedynie „ideologiczną formę", w której ludzie „uświadamiają sobie i rozgrywają" ten konflikt, to myśl Marxa jest jasną.

„Filozofję" dorabia się wedle niego *ex post* do konfliktu. Dopiero wtedy, gdy upośledzone ekonomicznie warstwy społeczne są na tyle silne, że podejmują walkę, dorabia się jego zdaniem do tego ideologję — nie wcześniej, bo wszakże wszelka ideologja jest akcesorjum, jest nadbudową, niczem więcej.

Jest to jednak błędne. Myśl bowiem wyprzedza nietylko wszelką reformę, ale i wszelką świadomość ogółu o potrzebie zmiany podziału dochodu społecznego. Niedojrzałym do walki i cierpliwym do przesady chłopom egipskim, greckim, rzymskim, angielskim, niemieckim, rosyjskim myślący za nich wodzowie uświadomili dopiero ich smutne położenie, choć w danej chwili nie mieli oni wcale szans zwycięstwa, i choć ich beznadziejne powstania za każdym razem tłumiono w oceanach krwi.

Źródłem owych powstań były więc w istocie poglądy „prawnicze, polityczne, religijne, artystyczne lub filozoficzne" przodujących jednostek, a konflikt, w którym udział wzięły masy, był dopiero czemś wtórnem, następczem.

Kontynuatorowie i przerabiacze Marxa idą jeszcze dalej. Twierdzą, że jego ekonomiczne pojmowanie dziejów, nie tem różni się od idealizmu socjologicznego, żeby pierwsze wyłączało czynnik duchowy, ale tem, że dopuszcza takie tylko idee, które idą po linji możliwości gospodarczych a więc nie są utopjami. Ale czem w istocie są utopje? Wczorajsza utopja jest dzisiejszą rzeczywistością. Zgoda na to, że nie każda myśl odrazu przeobleka się w czyn. Ale gdyby nie było myśli, jako pierwotnego źródła, nie byłoby jej urzeczywistnienia w czasie późniejszym. A więc myśl jest zawsze pierwsza, nie stosunki gospodarcze, które tylko wykluczają lub umożliwiają wcielenie w czyn dawno powstałej myśli.

I inni ekonomiści mieli ambicje tworzenia „praw".

Prawo relatywności, stwierdza, że postępowe systemy gospodarstwa rolnego opłacają się tylko przy wysokich cenach, podczas gdy przy niskich usprawiedliwiona jest mniejsza intensyfikacja gospodarstwa, rozumie się przy tych samych zbiorach i kosztach oraz przy jednakowej urodzajności gleby (por. Lewiński l. c. str. 58).

Ale wobec braku ścisłego określenia wysokości cen, kosztów robocizny i innych kosztów produkcji, prawo to określić możemy jedynie jako spostrzeżenie, mające „czasową i ograniczoną wartość, dalekie jednak od cech „prawa", do czego potrzebaby wykazania nietylko jakiejś zależności ale wedle cytowanego określenia Montesquieu'go, zależności

koniecznej, wynikającej z istoty cen i intensywności gospodarstwa rolnego. Takiej zależności między rodzajem produkcji a cenami nie ustalono. Niema jej na ogromnych przestrzeniach kuli ziemskiej, gdzie nie istnieje ustrój kapitalistyczny. Niema jej w szczególności w ogromnem państwie Z. S. S. R., gdzie najpostępowsze metody produkcji opłacają się z powodu niskich kosztów produkcji. Niema jej nawet w obrębie ustroju kapitalistycznego, o ile wyjątkowo wysoki urodzaj bywa wynagrodzeniem intensyfikacji, w danym wypadku opłacającej się w wyższym stopniu niż gdzieindziej. Stwierdzenie, że „ani w rolnictwie, ani też w przemyśle niema systemów produkcji absolutnie wyższych", zależą one bowiem od rodzajów i ceny przywozu (Lewiński l. c. str. 88) jest właśnie stwierdzeniem i przyznaniem, że ekonomika w tej dziedzinie nie osiągnęła uogólnień.

Henryk Dietzel ułożył prawo o odwrotnym stosunku między cenami żyta a płacą roboczą (w dziele *Kornzoll und Soziale Reform,* Berlin 1901). Podwyżka cen żyta, spowodowana cłami przywozowemi, z natury rzeczy pociąga za sobą obniżkę płac. Słusznie krytykuje to „prawo" Diehl, wykazując (l. c. I 267 i n.), że wpływ ceny żyta na płace zależy od rodzaju zajęcia robotnika, od znaczenia odnośnej kategorji robotniczej, od konjunktury gospodarczej, od rodzaju płacy i od wielu innych jeszcze czynników.

Adolf Wagner ułożył prawo o coraz zwiększającym się zakresie władzy państwowej, tudzież drugie prawo przewagi prewencji przed represją. Oba te prawa są zwłaszcza w dzisiejszej epoce szczególnie trafne, ale dotyczą historjozofji a nie ekonomiki.

Juljusz Wolff wystąpił z prawem o ekonomiczno-technicznej granicy rozwoju gospodarczego. Twierdzi, że skoro np. walcownia wymagała dawniej obsługi 23 ludzi, a skutkiem postępu technicznego ograniczyła to zapotrzebowanie do 7 — to dalsza oszczędność sił w tem samem tempie nie jest możliwą. I wynalazczość ludzka ma więc pewien naturalny kres. Pozornie logice tego rozumowania nic nie można zarzucić. Nie jest atoli wykluczonem dalsze udoskonalenie maszyn, ogarniające kumulatywnie

więcej stadjów produkcji, lub czyniące niektóre z nich przy pewnych modyfikacjach zbędnemi, wskutek czego utrzymanie a nawet przekroczenie dawnego tempa postępu pozostałoby i nadal możliwe. A pozatem, „prawo“ Wolffa rozważa tylko ilość potrzebnych w pewnem stadjum produkcji rąk do pracy, ale nie orzeka nic o jakości wykonanej roboty. W tej zaś dziedzinie dalszy postęp nie jest ograniczony.

Wedle pierwszego „prawa“ Gossena, ułożonego po raz pierwszy w dziele tegoż *Gesetze des menschlichen Verkehrs*, (Braunschweig 1854), w sformułowaniu Fryderyka Wiesera — w miarę postępu w zaspokojeniu każdej podzielnej potrzeby zmniejsza się pożądalność środka zaspokojenia tej potrzeby i dlatego każda następująca jednostka owego środka zaspokojenia pożądalną jest z mniejszą intensywnością, niż poprzednia, aż wreszcie dochodzi się do punktu granicznego, w którym intensywne pierwotnie pożądanie staje się równe zeru a po przekroczeniu tego punktu, pożądalność przechodzi we wstręt. Hans Mayer wniósł tu uzupełnienie, zwracając uwagę, że potrzeby ludzkie są perjodyczne, wracają więc w pewnych odstępach czasu.

Wedle drugiego „prawa“ Gossena człowiek, któremu służy wybór między zaspokojeniem potrzeb w różnych kierunkach a który nie ma dość czasu, aby je wszystkie wyczerpać do końca, zaspokaja je wszystkie częściowo i to w kierunku wyrównania poziomu użyteczności granicznej. Korzyść z jakiegoś dobra, mogącego przynieść różne pożytki, oznacza się wedle utraconych korzyści odmiennego zużytkowania, czyli wedle zaspokojenia innych potrzeb, uznawanych za mniej ważne.

„Prawa“ te, oparte na psychologji indywidualnej i na presumcji wolnej konkurencji pomięszały zasady ekonomiki indywidualnej, prywatnej, z zasadami ekonomiki społecznej, nadto zaś nie zostały sformułowane zgodnie z życiem, wykazującem owszem u początku zaspakajania potrzeb i w pierwszem jego stadjum nie ubytek, ale — przez czas jakiś przynajmniej wzrost pożądalności. Wykazał to m. i. Otmar Spann.

Pozatem pożądalność środków zaspokojenia potrzeb zależy nietylko od ich ilości, co miałoby miejsce, gdyby społeczeństwo było prostym mechanizmem, nie zaś samoistnym *sui generis* organizmem — ale i od poglądów społeczeństwa na daną użyteczność, od ustroju społecznego, w którym żyją ludzie, dla których owe środki zaspokojenia potrzeb są przeznaczone (uwaga Stammlera), tudzież od ustosunkowania się sił społecznych. Wyprowadzanie różnych stopni uczucia zadowolenia z ilości danego dobra byłoby zrozumiałe, gdyby korzyści, jakie owe środki zaspokojenia ludziom przynoszą, były cyfrowo wymierzalne. Tak jednak nie jest i dlatego i to „prawo" jest błędne. Co się zaś tyczy prawa drugiego, to w razie jego trafności, mielibyśmy do czynienia z nieskończoną rozmaitością granic, skoro i potrzeby i upodobania i granice ich pożądalności i zaspokojenia bywają indywidualne. Wobec tego zaś prawo to nawet, gdyby było prawdziwe, bardzo niewiele nam mówi.

II.

W ramach gospodarki kapitalistycznej ludzie odkrywają prawa, ale ich nie tworzą. Prawa bowiem rzekomo tkwią już w samem zjawisku obrotu, są wrzekomo ich naturalną i nieodłączną cechą. Tam, gdzie ingerencja państwa jest zasadniczo zwalczana a do działania woli ludzkiej nie przywiązuje się większej wagi, rola człowieka ogranicza się do ich dostrzegania i rejestrowania. Mogą to być tylko prawa, rządzące produkcją, wytwarzaną przez ludzi dla celów wymiany i spółżycia, potrzebnego innym ludziom. Ilokrotnie tedy pojawiają się podobne stosunki czy zjawiska, tylokrotnie z tych samych premis wynikać winna podobna konkluzja.

Tymczasem prawa, podawane nam do wierzenia przez kapitalizm a także przez marksyzm zbyt często zawiodły, posiadając bądź znaczenie tylko czasowe i ograniczone klauzulą *rebus sic stantibus* bądź też zaczerpnięte zostały z innych nauk, jak np. z biologji, psychologji, lub z innych nauk przyrodniczych i dlatego nie możemy uznawać ich jako praw ekonomicznych. Nauka współczesna ograniczyła się tedy do

ich określenia jako tendencyj zjawisk, usiłując w ten sposób ratować pomysły szkoły kapitalistycznej, określającej siebie samą jako klasyczną, od zupełnej klęski.

Możnaby się z takiem określeniem pogodzić, gdyby uzasadniona ambicja socjologji, wcielającej w siebie ekonomikę społeczną, do wysnuwania powszechnie obowiązujących uogólnień, zwanych prawami, nie mogła znaleźć ujścia w innych sformułowaniach, mających nad umówionemi dotąd tę znamienitą wyższość, że są bardziej zbliżone do rzeczywistości, a przytem szersze obejmują widnokręgi.

I tak socjologja mówi o skłonności ludzkiej do naśladownictwa (Tarde), o jednakowości ich uczuć (Waxweiler), o duszy mas (Le Bon) i t. d.

Prawa socjologiczne zdają się wynikać z nieuprzedzonej obserwacji zjawisk gospodarczych i społecznych. Niewątpliwie też jedno lub drugie a może i wszystkie były poprzednio sformułowane przez innych autorów. Nie przypominam sobie atoli, by kiedykolwiek ujęte były w tem brzmieniu, w jakiem spróbuję to uczynić obecnie. Dlatego właśnie nie poczyniłem poszukiwań za tymi, którzy je zapewne przede mną w różnym tekście wypowiadali, pozostawiając to osobnemu opracowaniu, aczkolwiek nie wątpię, że ujęcie moje nie jest niczem więcej, jak rezultatem lektury i przemyślenia całej mocy autorów, którzy przede mną o przedmiocie tym lub pokrewnym pisali. Rozmiary niniejszej rozprawy wyznaczone mi przez redakcję nie pozwalają mi również na szersze omawianie tej sprawy.

Praw socjologicznych dotyczących społeczeństwa ludzkiego a obejmujących także i zjawiska gospodarcze, zestawiam siedem.

W pierwszym rzędzie istnieje prawo zależności człowieka od przyrody. Zdawałoby się, że zawiera ono truizm. A jednak zapomina się o niem zbyt często, lub je pomija w rozważaniach treści gospodarczej, w każdym zaś razie niezawsze wyciąga się z niego konsekwencje w tej dziedzinie. Zaliczam tu dziedziczność zalet i wad jednostki, różnice rasowe, religijne, narodowe i obyczajowe między jednostkami, różnice zdolności umysłowych, siły i odporności fizycznej oraz stopnia płodności, różnice

klimatu w otaczającej przyrodzie oraz różnice fauny i flory służącej za pożywienie. To wszystko wpływa na intensywność walki o byt. Momenty powyższe mogą mieć doniosłe znaczenie np. w kwestji poprawy bytu szerokich warstw rolniczych, wyrosłych w zdrowotnych warunkach wsi, w kwestji sterylizacji lub zakazu małżeństw gruźlików, luetyków, zbrodniarzy z chęci zysku, epileptyków i obłąkanych.

Stąd słusznie wskazuje słynny przyrodnik Tomasz Huxley (w dziele *Social Essays,* w niem. przekł., Weimar 1897), że społeczeństwo różni się od przyrody posiadaniem celu etycznego. Z tego celu wynika wszelkie świadome działanie ludzkie.

Uzupełnieniem i uwypukleniem owego prawa jest drugie, dotąd częścią negowane, częścią również zapomniane i przemilczane. Jest niem prawo przeważającego wpływu woli ludzkiej, modyfikującej i ujarzmiającej siły przyrody, przekształcającej lub paraliżującej ich działanie. Wspaniałą aktywność tego prawa widzimy w ustawicznym rozwoju ludzkości, w ciągłem działaniu selekcji, w połączeniu oceanów kanałami (Suezkim, Panamskim), w przebijaniu tuneli, w podbijaniu powietrza, w przenoszeniu głosu a niebawem i obrazów na odległość, w przekształcaniu krajów rolniczych w ciągu paru pokoleń na przemysłowo rolnicze (najświeższym przykładem to rozbudowa wielkiego przemysłu w Rosji Sowieckiej). W świetle tych faktów, wszelki determinizm okazuje się szkodliwym fałszem, prowadzącym do tragicznych konsekwencyj. Każde nowe prawo, każda ingerencja państwa w pewnym kierunku, jak np. zniesienie pańszczyzny, uchylenie cechów, ustawodawstwo kartelowe, reforma wychowawcza i t. d., stają się źródłem głębokich zmian gospodarczych i społecznych w życiu narodów.

Największą podstawową prawdę w obrębie gospodarstwa społecznego, zawiera trzecie: prawo wzajemnej zależności ludzi od siebie i tem samem wzajemnej ich odpowiedzialności za wspólne losy. Prawo to stanowi źródło i przyczynę modyfikacji walki o byt, która w razie, gdyby nie miała na prawo to słusznego względu, doszłaby — jak dochodziła niejednokrotnie w przeszłości — do zwy-

cięstwa najgorszych a równocześnie do konkurencyjnej walki gospodarczej najlepiej przygotowanych i przez wieki pracy w tym samym kierunku wyszkolonych. Stałość związków małżeńskich, władza ojca czy matki rodu w rodzinie a wodza w plemieniu, instytucja własności prywatnej, ograniczonej wszakże obowiązkami na niej ciążącemi — w tem właśnie prawie wzajemnej zależności ludzi od siebie mają swe źródło. Luźność związku między ludźmi XIX i XX wieku, ograniczenie go do „związku gotówkowego", (*cash nexus*), jak go określił Carlyle, jest największą plamą czasów obecnych.

Człowiek XIX i XX wieku sądził, że „wyzwoliwszy się" w wieku XVIII pod wpływem encyklopedystów od wiary w Boskość Chrystusa, stanie się zupełnie wolnym i suwerennym, gdy wyzwoli się i od Boga Ojca i prawa moralnego, a w jego miejsce uzna za jedynego władcę i przewodnika racjonalizm współczesny. Sądził tak i to przeprowadził. Nietylko jednak nie uzyskał upragnionej wolności, ale popadł w głębszą i wszechstronniejszą niewolę wobec potęgi egoizmu i wypaczenia instytucji pieniądza, przeznaczonego pierwotnie tylko do ułatwienia wymiany i dopełnienia zobowiązań. W świątyniach tego nowoczesnego bożka dzisiejszy człowiek, wyzuty z wiary w pierwiastek duchowy, składa Mammonowi z drżeniem i ustawicznym lękiem o dzień następny i możliwe straty na giełdzie — hołd i ofiary. W jego imię popełnia stek nikczemności i wkońcu z przerażeniem dostrzega, że mimo wszystkich tych wysiłków i gwałtu zadanego samemu sobie, nie uzyskał bynajmniej ani wolności ani zadowolenia, że przeciwnie pod rozkładczem działaniem nowego bożka rozprzęgają się społeczeństwa i państwa, rodziny i gminy, że coraz głośniej własne jego serce i intuicja protestują przeciw ciasnemu kręgowi tego, co człowiek zdoła zmysłami objąć, a nie dający się zdusić głos obowiązku i — co największym napełnia go strachem — wszystko co jest wieczne i Bożego początku w jego, zdawało się, zgaszonej na zawsze duszy, protestuje nadal przeciw tępej i bezmyślnej, bo nic poza sobą nie widzącej — żądzy posiadania. Poczyna rozumieć, że władanie nowego bożka grozi całej, dufnej w siebie, a na gruzach miljonów ofiar wzniesionej cywilizacji zmieceniem z powierzchni ziemi. Do-

sadnie porównał bożka czasów obecnych znakomity filozof niemiecki, Dilthey, z bestją o tysiącu oczach i chwytach, a pozbawioną sumienia, sięgającą wszędzie, gdzie się jej podoba. (*Gesammelte Werke,* II, 245.) Wolność zupełna, wzniesiona na ołtarze, to kult jednostki, a lekceważenie społeczeństwa, to przesadne uwielbienie indywiduum, a pogarda dla zbiorowości, sprzeczna z jej prawdziwą istotą i dostojnem posłannictwem. Ale nie tylko to: zalecenie zupełnej wolności to zalecenie wyraźnego fałszu, wobec widocznej na każdym kroku wzajemnej zależności ludzi od siebie. Jeśli prawo moralne zarejestrowało w niej tę jedynie stronę dla każdego widoczną, która dotyczy pierwiastka duchowego i etycznego w człowieku — prawo socjologiczne, stwierdzające wzajemną zależność ludzi od siebie, wykazuje i podkreśla ponadto nieodzowność tej zależności wzajemnej jako czynnika gospodarczego.

Ze zależności wzajemnej ludzi wynika ich współdziałanie, uwarunkowane wszak poprzedniem istnieniem społeczeństwa. Współdziałanie zaś to objawia się prawem podziału pracy, które wymieniam jako czwarte zkolei. Nie należy go więc pojmować jako wyrazu kapitalizmu i argumentu w jego obronie. Jakkolwiek bowiem może on dawać i daje istotnie wielokrotną sposobność do wytwarzania przeciwieństw między ludźmi i ujarzmiania słabszych, jakkolwiek bywa istotnie, jak wyraził się Schmoller, polem bitwy, na którem niejednokrotnie pozostawiła ślady walka o władzę, to jednak u jego kolebki stoi zgodne współdziałanie, jako prawa rodzicielka podziału pracy, będącego wynikiem naturalnej rozmaitości uzdolnień i kwalifikacyj.

Jako piąte prawo poczytać można notoryczną prawdę, że współdziałanie zwiększa zawsze dochód społeczny, podczas gdy współzawodnictwo może wprawdzie wedle okoliczności zwiększyć dochód indywidualny, ale zawsze marnuje ogromną ilość zasobów, niszczy bezużytecznie zapasy i siły pokonanych współzawodników, a przeto stoi nietylko etycznie ale i gospodarczo niżej od współdziałania.

Dalszą konsekwencją prawa wzajemnej zależności ludzi od siebie oraz wyższości gospodarczej współdziałania nad

współzawodnictwem jest szóste: prawo pierwszeństwa dobra ogółu nad dobrem indywidualnem. Usunięcie lub zmniejszenie bezrobocia jest niewątpliwie ważniejszą rzeczą, aniżeli dalsze postępy racjonalizacji techniki w wielkim przemyśle. W pierwszym wypadku bowiem idzie o większą ilość ludzi i o zaspokojenie ich elementarnych potrzeb życiowych, bez zaspokojenia których żyć by nie mogli, w drugim tylko o jednostki lub nieliczne ich grupy i o pewien udział ich w wyższej kulturze lub jej zachciankach czy nadużyciach.

Państwo jest reprezentantem dobra ogółu. Gospodarstwo, które tak w ustroju liberalno-kapitalistycznym jak i komunistycznym przeciwstawia się państwu i jego dobru, sądziło, że może orzekać o zadaniach państwa i właściwym zakresie jego działania. Wrzekoma wieczność i suwerenność praw ekonomicznych, w istocie rzeczy klasowych a nie powszechnych uprawniała pozornie liberalizm i kapitalizm do takiego odwrócenia naturalnego porządku rzeczy, a w każdym razie miała jako rezultat uniezależnienie gospodarstwa od dobra publicznego.

Z śmieszną wyniosłością zestawiano *Tableau économique* Quesnay'a z biblją, a ruch manczesterski określano jako największą zdobycz ducha ludzkiego od czasu wynalezienia sztuki drukarskiej. Dla liberalizmu gospodarczego zadanie państwa ograniczało się do tworzenia warunków pracy dla wszystkich w drodze formalnego równouprawnienia oraz do utrzymania w mocy stałego porządku prawnego. W tem ujęciu państwo stawało się obrońcą własności prywatnej tych, którzy ją poprzednio takim czy owakim sposobem zdobyli, ale nie brało w obronę słabszych, nie kontrolowało silniejszych, przyswoiwszy sobie wiarę liberalizmu w autoregulację stosunków gospodarczych w drodze wolnej konkurencji.

Marksyzm uznał państwo za narośl pasożytniczą, żywiącą się społeczeństwem i krępującą jego swobodę (por. Edgar Salin, *Wirtschaft und Staat*, Berlin 1932, str. 182). „Rewolucja roztrzaska — wedle Marxa — maszynę państwową i umieści ją obok kołowrotka i siekiery z bronzu w muzeum starożytności."

W istocie rzeczy przeciwieństwo poglądów obu tych zgodnych w degradacji państwa kierunków, odpowiada prawdzie. Już w starożytności oraz w wiekach średnich i nowszych aż po zwycięstwo burżuazji w rewolucji francuskiej nie gospodarstwo wskazywało granice państwu, ale państwo orzekało o uprawnieniach gospodarstwa, które tylko w obrębie dobra państwa mogło się swobodnie poruszać, nie mogło się nigdy od niego wyodrębniać a tem mniej mu się kiedykolwiek sprzeciwiać.

Dopiero trzeci stan, dorwawszy się do współwładzy a potem do całej władzy zmienił gruntownie ten stan rzeczy. Międzynarodowe porozumienia wielkiego przemysłu i wielkich banków poczęły uprawiać własną politykę i dyktować ją do wykonania rządom. Ten stan rzeczy obudzić musiał najsilniejszą opozycję u wszystkich, którzy uznali się takim obrotem pokrzywdzonymi. Opozycja ta popłynęła w Rosji, we Włoszech, w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych rozmaitemi korytami, różne stawia postulaty, do odmiennych dochodzi konkluzyj; źródłem ich wspólnem są wszakże nadmierne nadużycia i pretensje oraz wroga wobec interesów mas postawa ruchomego kapitału.

Państwo służyć może dobru ogółu tylko o tyle, o ile poczytuje się za rzecznika i stróża zasad etycznych. Że mają to samo znaczenie w życiu jednostek, co w życiu gromadnem i państwowem, o tem świadczą załamania się i upadki Francji burbońskiej i Polski za Sasów i Stanisława Augusta w wieku XVIII, w naszych zaś czasach katastrofa trzech mocarstw rozbiorowych, które rabunkiem lub obłudą doszły do swych posiadłości, pogrom zgniłego kalifatu tureckiego, pławiącego się w bezprawiach i rozpad cesarstwa chińskiego, w którem godność ludzka i honor były na sprzedaż.

Jako ostatnie, siódme, prawo wymieniam prawo wielości pobudek działania tak indywidualnego jak zbiorowego w rzeczach gospodarczych. Uznaje ono, że zarówno indywiduum jak i zbiorowość działa z różnych pobudek. Należy do nich i interes gospodarczy a nawet niepoślednie zajmuje wśród nich miejsce, ale obok niego istnieją i pobudki miłości bliźniego, czci dla ideału:

Boga, sztuki, nauki, i to właśnie wśród elity ludzkości, torującej jej drogę ku coraz wznioślejszym wyżynom — nadto zaś ambicja, nienawiść, zawiść, działające najczęściej wpoprzek interesom gospodarczym ożywionego niemi osobnika. Podkreślenie tego prawa, opartego na faktach zarówno historji powszechnej jak i psychologji ma znaczenie o tyle, że przeciwstawia się jednostronności i fałszowi teorji materjalizmu dziejowego, o której była już poprzednio mowa.

W dziedzinie ściśle gospodarczej można wreszcie wspomnieć o podziale dochodu na dochód z pracy oraz z naturalnych owoców produkcji (uprawy roli, hodowli i t. d.), osiągalnych zresztą tylko przy pomocy pracy, z konjunktury (np. z renty domowej, wygranej loteryjnej, spadku) i ze źródeł nieuczciwych (np. z ukrywania zysków w bilansie, z nowych emisji akcyj wbrew zobowiązaniu bez użycia uzyskanych tą drogą funduszów na inwestycje, z gry na giełdzie funkcjonarjuszy banku w razie wygranej na rachunek własny, w razie przegranej na rachunek instytucji, z dostaw po protekcyjnej cenie, z udzielania pożyczek spółce akcyjnej przez spólnika przy wymówieniu sobie wygórowanych korzyści i t. d.).

Z prawa pierwszeństwa dobra ogółu i z pojęcia państwa jako jego reprezentanta wynika obowiązek popierania i utrwalania pierwszych dwóch źródeł dochodu oraz zwalczania ostatniego (czwartego) z całą bezwzględnością i we wszystkich jego postaciach. Ale co uczynić ze źródłem trzeciem, z dochodami z początków konjunkturalnych?

Niewątpliwie prawdziwy postęp ludzkości nastąpi dopiero z chwilą gruntownego przewartościowania dotychczasowych pojęć o pożądalności lub niepożądalności pewnych źródeł dochodu tudzież z chwilą zaliczenia do pierwszych jedynie tych, które płyną z pracy. Stojąc jednak na gruncie realnym i licząc się z dzisiejszą naturą ludzką, której przekształcenie dopiero w drodze nowego wychowania społecznego może nastąpić, trzeba zgodzić się na tolerowanie — czasowe — i tego trzeciego źródła dochodu, acz nie z pracy płynącego. Za społecznie pożądany kierunek działania uznać w każdym razie możnaby tylko zachowanie się pozytywne wobec dwóch pierwszych a konsekwentnie negatywne i wyraźnie represyjne wobec czwartego źródła dochodu.

Literatura: Oprócz cytowanych w tekście dzieł, zwłaszcza wybornego systemu Diehla i głębokiej książki Myrdala, por. jeszcze Oppenheimer Franz *Theorie der reinen und politischen Ökonomie*, Berlin 1910. — Alfred Marshall *Principles of Economics*, VIII wyd., 1920, po niemiecku, Berlin 1905. Stanley Jevons *The theory of Political Economy*, IV wyd. 1911 — po niemiecku Jena 1924. Amonn *Grundzuege der Volkswohlstandslehre* I. Jena 1926. Helander Sven *Die Ausgangspunkte der Wirtschaftswissenschaft* Jena 1923. Hobhouse *The Metaphysical Theory of state*, 1918. Liefmann *Grundsaetze der Volkswirtschaftslehre*, Stuttgart 1920. H. de Man *Zur Psychologie des Sozialismus*. II wyd. Jena 1927, V. Gottl Ottlilienfeld. *Wirtschaft als Leben*, Jena 1925. Pesch *Lehrbuch der Nationalökonomie*, Freiburg 1924 i nast. Schumpeter *Das Wesen und der Hauptinhalt der theoretischen Nationalökonomie*, Leipzig 1908. Spann *Fundament der Volkswirtschaftslehre*, Jena 1918. i tegoż *Gesellschaftslehre* Leipzig 1923. *Kategorienlehre* Jena 1924. *Tote und lebendige Wissenschaft*, Jena 1925. Stolzmann *Grundzuege einer Philosophie der Volkswirtschaft*, Jena 1925. Surányi Unger *Philosophie der Volkswirtschaftslehre*, Jena 1923 i 1926. Toennies *Wirtschaft und Gesellschaft*, Tuebingen 1922.

Leopold Caro.

Sztuka medalierska w Polsce.

Medal jest tym wykwitem kultury artystycznej, którego u nas nie znały wieki średnie. Przyszedł dopiero razem z sztuką Odrodzenia i to dwojaką drogą: albo podróżni z zagranicy przywozili go sobie do kraju, albo też obcy artyści zjechawszy do Polski, zostawiali tu próbki swego talentu. Mimo, że rozróżniano medale i żetony, medaljony i plakiety, zawsze były to drobne dzieła płaskorzeźby, bardzo zbliżone do monet, chociaż nie były nigdy środkiem obiegowym.

Medale jakie powstały w Polsce od czasów Odrodzenia aż do chwili obecnej przedstawiają już taką masę przedmiotów, ich autorzy tworzą już tak liczną grupę artystów, że chcąc o nich mówić, musimy ich na kilka części podzielić, zależnie od epoki powstania, stylu panującego i cech charakterystycznych. Da nam to dopiero możność zorjentowania się wśród tej masy drobnych dzieł sztuki, które się zwykle traktuje z szacunkiem, ale o których się tak mało mówi i jeszcze mniej się umie powiedzieć.

Pierwszą grupę stanowią tu medale ze złotego Zygmuntowskiego okresu (1506—1586), obejmującego trzy panowania: Zygmunta Starego, Zygmunta II Augusta i Stefana Batorego. Są to medale renesansowe, a wspólną ich cechą jest to, że nie są związane z wypadkami historycznemi i nie mają na celu przekazać potomności wiadomości o jakiemś zdarzeniu. Są to czyste dzieła sztuki, przeważnie portrety, tworzone nie z myślą uboczną o fakcie, lecz z bezpośredniego natchnienia. Dopiero za czasów Batorego znika powoli ten ich charakter.

Wobec tego głównym niejako celem medalu jest w tej epoce portret, który utrwala nam rysy szeregu osób, tak w pierwszym rzędzie z rodziny królewskiej, jako też i z rodzin prywatnych. Mamy tu szereg medali jednostronnych z wyobrażeniem samego popiersia, do których artysta nigdy odwrocia nie zrobił. Odwrocie było mu czasem potrzebne do przedstawienia herbu, albo symbolu charakterystycznego dla osoby sportretowanej, ale nie było konieczne. Medalierów ówczesnych należy też uważać za portrecistów (Conterfetter), którzy naprzód szkicowali ołówkiem portret, następnie rznęli go w drzewie bukszpanowem lub w kamieniu, a wkońcu odlewali w metalu. Do wyjątków należą jeszcze medale stemplem bite, przy których artysta musiał wycinać w głąb portret w miękkiej stali, hartować ją i używać do bicia w maszynie.

Medale polskie XVI wieku noszą na sobie wszystkie cechy stylu Odrodzenia, ale jest to styl albo włoski albo niemiecki, dwa kierunki szkoły, które i na innych polach zmagały się ze sobą. Rywalizacia ich na polu medalierskiem była jednak łagodna i zacierała swe mocne rysy tak, że w oczach wielu badaczy szereg medali niemieckiej szkoły, uchodził za szereg dzieł sztuki włoskiej. Należy bowiem zdać sobie sprawę, że medale polskie dawnych wieków, a epoki Jagiellońskiej w szczególności, są w większej swej części produktem sztuki obcej i napływowej, śladem pracy przejezdnych artystów, którzy zaproszeni do sportretowania króla lub dworu zostawiają tu szeregi medali. Miejscowych polskich produktów prawie że niema zupełnie.

Na czele polskich medali stoją piękne okazy z lat 1525—27, odnoszące się do króla Zygmunta I, kanclerza K. Szydłowieckiego i księcia pruskiego Albrechta. Są to medale przeważnie jednostronne i lane, zaopatrzone dwuwierszami łacińskiemi, o charakterze silnie zarysowanej twarzy. Autorem ich jest znany portrecista Hans Schwarz z Augsburga, a może jeszcze prędzej Hans Schenk zwany też Schenslich, który już w 1525 roku dostał się na dwór ks. Albrechta do Królewca i razem z nim przybył na zjazd książąt do Gdańska 1526 r., gdzie regulowano sprawy reli-

gijne i komunalne tego miasta. To dało mu sposobność do sportretowania króla i kanclerza, a świetnemu poecie Andrzejowi Krzyckiemu do ułożenia zręcznych dystychów dla jego medali. Niewątpliwie dziełem Schwarza jest duży medal królewski z 1527 r. ofiarowany królowi Zygmuntowi na urodziny dnia 1 stycznia ze srebrną twarzą, a wyzłacaną resztą. Jak napis świadczy, król osobiście pozował do tego portretu.

Wymienione polskie medale, to tylko drobny epizod w bogatej spuściźnie artystycznej zarówno Schwarza jak Schenka, a to samo można powiedzieć o rozmaitych innych medalierach tego okresu. Do takich należy też słynny rzeźbiarz włoski Giovanni Maria Padovano, którego marmury, pomniki i grobowce zdobią rozmaite kościoły polskie od Krakowa do Wilna. Znakomity ten artysta zabrał się raz, w 1532 r. do rylca medalierskiego i może na zamówienie stworzył 4 przepyszne medale królewskie, w stylu wysokiego włoskiego renesansu. Było to już po ukończeniu grobowca króla Zygmunta w kaplicy Jagiellońskiej katedry Wawelskiej, kiedy zabrał się do sportretowania w medalach rodziny królewskiej: Zygmunta I., królowej Bony, 12 letniego królewicza Zygmunta Augusta i 14 letniej jego siostry, późniejszej królowej węgierskiej. Medale te podpisane datą 1532 r. i imieniem artysty, są lane i dwustronne, mają wysoki prawdziwie rzeźbiarski reljef, monumentalną kompozycję i głęboką alegorję na odwrociu. Należą do najpiękniejszych dzieł epoki i każą żałować, że artysta tej miary nie zostawił więcej prac tego rodzaju. Jak wiadomo, oddał się Padovano później rzeźbie monumentalnej, ale lubiał ozdabiać swoje prace, jak cyborjum Marjackie w Krakowie, lub pomnik Tarnowskich w Tarnowie medaljonami i plakietami o wybitnie medalierskim charakterze.

Do świetnych artystów i niepowszednich zjawisk na polu medalierstwa polskiego należy też Maciej Schilling, krakowianin, biegły zarazem w sztuce menniczej, który w latach 1528—35 był naczelnikiem mennicy królewskiej w Toruniu a 1535—40 kierownikiem mennicy miejskiej w Gdańsku. Znaczenie jego jest tem większe, że pochodzi z rodziny krakowskich Schillingów, jest zatem artystą na polskim gruncie wyrosłym, chociaż na wędrówce artystycznej po Niem-

czech wykształconym. Jest on autorem szeregu medali i plakiet, znaczonych monogramem MS, a należących do najpiękniejszych pamiątek z tych czasów. Medale takie jak Seweryna Bonera 1533, należą do pierwszych stemplem bitych medali polskich i prawdziwych pereł renesansu. Bicie stemplem jest zrozumiałe u artysty, który był długie lata kierownikiem mennicy, a przedtem również w mennicy pracował. Pozatem znane są jego w drzewie rznięte prace jak np. piękne plakiety z portretami Grzegorza i Katarzyny Przybyłów, sławnych złotników krakowskich z r. 1534. Do najpiękniejszych zaś należy medal Zygmunta Augusta z r. 1552 o niesłychanym wdzięku, godny stanąć obok najlepszych dzieł sztuki ówczesnej.

Schilling należy do tych artystów, którzy przez dłuższy czas w kraju pracowali i sztuce swojej pozostali wiernymi do końca. Do takich zaliczyć też można i Jana Jakóba Caraglio głośnego przedtem we Włoszech miedziorytnika, który przybył na dwór Jagielloński do Polski jako złotnik, medalier i snycerz drogich kamieni. Z jego gem i kamei została zaledwie jedna z popiersiem królowej Bony, z jego zaś medali również jeden z portretem dworzanina tej królowej, Aleksandra Pesenti, kanonika wileńskiego i znakomitego muzyka.

Istnieje cały szereg medali XVI wieku, o których nie wiemy na pewne, czy powstały u nas w kraju, czy zagranicą. Do takich należy piękny medal króla Zygmunta Augusta z 1548 r., podpisany imieniem nieznanego bliżej Domenika Veneta. Taką jest również serja medali z 1561 r. wykonana przez słynnego mistrza holenderskiego Stefana Herwijcka, zwanego Stefanem van Holland. Przypuszcza się tylko, że Stefan był w r. 1561 rzeczywiście w Polsce i na dworze wileńskim wykonał swoją serję jednostronnych medali z portretami domu królewskiego. Ale dużo przemawia także za inną hipotezą, że mianowicie Stefan wykonał te medale na podstawie minjatur Cranacha, znanych dziś z galerji ks. Czartoryskich w Krakowie. Do takich należą medale z portretami nieżyjących już w r. 1561 osób, jak Zygmunta I Bony, a może także i medale Zygmunta Augusta, królowej Katarzyny austrjackiej, siostrzeńca Jana, Zygmunta Zapolyi, Anny Jagiellonki i jej męża Jana III szwedzkiego.

Poza dworem królewskim sportretował tenże Stefan van Holland w medalach jeszcze Jana Teńczyńskiego i Stan. Mrzygłoda obywatela wileńskiego, wszystkich w 1561 r. wreszcie jako ostatniego w szeregu, króla Zyg. Augusta w 1562 r. co ostatecznie może być dowodem jego pobytu w Polsce, a specjalnie w Wilnie. Późniejsze medale tegoż mistrza, holenderskie i angielskie świadczą, że okres jego polskich zainteresowań już minął. Podkreślić jednak należy, że artysta ten przedstawia się w dziełach swoich jako mistrz niepowszedniej miary, wyborny portrecista o stylu Holbeinowskim, lubiący dawać portrety *en face* lub *en trois quarte,* pierwszorzędny w płaskim modelunku i kompozycji.

Obok medali, których autorowie są dziś już znani, zostawił nam wiek XVI cały szereg medali anonimowych, w kraju, albo zagranicą powstałych, które w każdym razie pewien wpływ na dalszy rozwój tej gałęzi sztuki u nas mieć mogły. Czasem są to nawet dzieła drobnej sztuki pierwszorzędne. Do takich należy duży medal Anzelma Eforina, uczonego i fizyka krakowskiego z 1557 r., parę medali Radziwiłłowskich z 1554 i 63 roku medal Olbrachta Łaskiego i piękny medal Franciszka Krasińskiego biskupa krakowskiego z r. 1574, którego złoty okaz na łańcuchu wiszący znaleziono w grobie tego dostojnika.

O innych znów medalach wiemy na pewno, że powstały zagranicą jako portrety podróżników, delegatów i posłów polskich. Tak tworzyli medale portretowe dla biskupa Dantyszka, posła polskiego na dwór cesarski, świetni artyści Chr. Weiditz w 1528 i 31 r., oraz Jan Secundus 1532 r. Dla St. Ostroroga pracował w ten sam sposób medalier M. Gebel w 1542 r., dla Jana Łaskiego, głośnego reformatora, J. Jonghelink z Antwerpji, dla Łukasza Górki, wojewody poznańskiego, Wal. Maler w Dreźnie, dla Jana Zborowskiego kasztelana gnieźnieńskiego, Tobjasz Wolff, nadworny medalier saski w 1573 r. etc. Są to wszystko medale przygodne, zamawiane u głośnych naówczas artystów jako konterfekt, albo też otrzymane od nich w prezencie tak jak to wówczas było w zwyczaju. Znakomitym osobistościom składano w hołdzie poezje, utwory muzyczne, księgi specjalnie dedykowane oraz rozmaitego rodzaju podarunki, nie było więc nic dziw-

nego, że i medalierzy składali im w darze konterfekty w metalu lane lub bite, zawsze naturalnie z nadzieją hojnej nagrody.

Zakończeniem niejako tej epoki jest panowanie Stefana Batorego (1576—86) z jego medalami, które wiele odrębnych cech posiadają. Jedna z nich to wyraźna chęć upamiętnienia zwycięstw tego wielkiego króla, czego nie było dotąd wśród medali jego poprzedników. Zwłaszcza medali na zdobycie Inflant i Połocka i zakończenie wojny moskiewskiej jest tu cały szereg. Co więcej, medale te, o ile można wywnioskować, powstały w kraju z rąk tutejszych polskich artystów i są ściśle związane z mennicami królewskiemi, czyli że autorami ich są rytownicy menniczni z Wilna, Rygi, Olkusza, Poznania lub Malborga. Imion ich jeszcze nie znamy, ale to jest powodem, że medale z czasów króla Stefana mają już niższy niż dawniejsze poziom artystyczny, mają pewną surowość i prymitywność przedtem niewidzianą, przytem jednak dużo swojskiej siły i oryginalności. Wyjątkowo tylko daje nam się poznać z medali monografista P. P. z Wilna i mincerz Hans Goebel z Gdańska, ale już anonimami pozostaną autorowie innych medali Stefana Batorego, pięknego medalu kardynała Hozjusza, biskupa Myszkowskiego, Hieronima Rozdrażewskiego, Albrechta Radziwiłła, etc.

Panowanie Batorego łączy epokę Jagiellońską z epoką Wazów (1587—1668), która odnośnie do sztuki medalierskiej różni się pod wielu względami od poprzedniej. A zatem zanikają teraz medale lane na korzyść bitych stemplem a ta zmiana techniki spowodowała w następstwie zmniejszenie rozmiarów średnicy i wysokości reljefu, za to zwiększenie użytku srebra i złota. Stąd epoka Wazów przedstawia się wśród medali niezwykle bogato, obfituje w złote okazy oraz klejnoty, emalją i drogiemi kamieniami ubrane. Miedź i ołów, tak częste w renesansie, znikają teraz prawie zupełnie.

Dalszą cechą to nowy styl baroku, za Zygmunta III wkraczający jeszcze powoli w dziedzinę medali, ale już za Władysława IV (1633—48) zaludniający stempel szeregiem bujnych figur alegorycznych, obfitością kształtów, bogactwem szczegółów, snycerszczyzną kartuszy i ornamentacji. Barok ten widać na medalach w rozmaitej postaci, w bogatym stroju królewskim, obwieszonym koronkami i klejnotami,

w bujnych puklach fryzury i w ozdobnych kartuszach napisów. Widać go też w planach bitew, widokach miast, w napisach panegirycznych i w malarskiem ujęciu i traktowaniu kompozycji medalowej.

Obok tej barokowej bujności kształtów i szczegółów mamy teraz i obfitość sygnatur, gdyż nierzadko odkrywamy na medalu nietylko inicjały artysty rzeźbiarza, ale i litery nakładcy, albo mennicy, gdzie medal ujrzał światło dzienne, albo kierownika lub podskarbiego, pod którego patronatem się to działo.

Zmiana dotyczy wreszcie i samego charakteru medali. Tracą one w tej epoce charakter przygodnego dzieła sztuki i charakter wyłącznie portretu, a służą celom więcej praktycznym, są pamiątką pewnego zdarzenia, uświetnieniem uroczystości, uwiecznieniem ważnej chwili. Bije się teraz medale na pamiątkę ślubu lub koronacji, zwycięstwa lub śmierci. Bije się je, by w czasie uroczystości rozdawać między gości złote obrazy, a srebrne rozrzucać między pospólstwo. Medale i żetony należą już do ustalonego ceremonjału uroczystości koronacyjnych lub ślubnych w całym XVII i XVIII w.

Do niewątpliwego rozwoju medalierstwa w epoce Wazów przyczynił się niemało żywy ruch menniczy za Zygmunta III (1587—1633, związany z otwarciem nowych mennic królewskich w Olkuszu, Poznaniu, Wschowie, Bydgoszczy, Malborgu, Lublinie, Krakowie i Wilnie oraz mennic miejskich w Gdańsku, Toruniu, Elblągu, Rydze, Poznaniu i Wschowie. Do wszystkich tych mennic trzeba było angażować rytowników i medalierów a przez to wydostawać na światło nowe talenta i umożliwić im dalszy rozwój.

Niemało znaczyło również, że sam król Zygmunt III był amatorem sztuki złotniczej i sam nawet wykonał kilka medali, rzniętych w złocie i ozdobionych szlachetnemi kamieniami, które na złotych łańcuchach zaufanym rozdawał. Są wiadomości, że takie klejnoty dostali od króla Fr. Mniszek kasztelan sądecki i Z. Myszkowski marszałek koronny, J. Bobola podkomorzy, B. Nowodworski i inni. Niestety, ani jeden medal królewskiej roboty nie dochował się do naszych czasów.

Zabytki, które dziś zdobią nasze zbiory numizmatyczne, dadzą się odnieść do trzech centrów ówczesnego ruchu medalierskiego, a to do Poznania, Wilna i Gdańska. Poznań krótko, a Gdańsk najdłużej dzierżył tu palmę pierwszeństwa. Obok nich sporadycznie tylko występuje Olkusz, gdzie powstają medale koronacyjne w 1587 r., oraz Kraków gdzie z okazji budującego się właśnie kościoła Jezuitów pod wezwaniem św. Piotra, powstaje w 1597 r. parę medali.

Z początku Poznań wysunął się na czoło ruchu medalierskiego, a to dlatego, że obok silnie rozwiniętego cechu złotniczego, osiedlił się w nim jeszcze artysta niepospolitej miary, Rudolf Lehman. Zatrudniony przedtem w mennicy olkuskiej, przeniósł się w 1594 r. do Poznania, gdzie był rytownikiem stempli, potem probierzem i wardajnem mennicy królewskiej. Dziełem jego jest szereg wspaniałych medali z popiersiem króla Zygmunta III i królowej Anny z lat 1594, 96, i 98, piękne medale królewskie z 1599 i 1600 r. oraz niezmiernie interesujący medal Hermana Rüdigera, naczelnego dzierżawcy mennic wielkopolskich z 1596. Są to rzeczy przeważnie w złocie bite, czasem z uszkiem do noszenia na łańcuchu a czasem zdobne jeszcze emalją, perłami i kamieniami. Po r. 1600 przestał Lehman uprawiać sztukę medalierską, mimo, że w 1615 widzimy go na stanowisku kierownika mennicy miejskiej w Poznaniu, a w r. 1623 na stanowisku administratora mennicy wileńskiej.

Obok Lehmana działali w tym czasie w Poznaniu dwaj inni medalierzy, Marcin Stamm i Hanusz Kel. Pierwszy był właściwie złotnikiem i po kościołach poznańskich zostawił swoje wyroby. Jest jednak autorem także i jednego medalu Zygmunta III z 1598 r. Drugi zaś, również złotnik, ale zarazem i przedsiębiorca menniczy, który w latach 1598 i 1610 kierował jakiś czas mennicą poznańską, wykonał w latach 1597 i 1611 kilka medali królewskich m. in. oryginalny medal dla Jezuitów na budowę kościoła św. Piotra w Krakowie 1597 r., drugi podobny z 1604 r. dalej piękny medal na zdobycie Smoleńska 1611 r. medal z Neptunem i Cecerą 1599 r. etc. W jego pracach znać duży wpływ Lehmana, ale zarazem dużo oryginalnej inwencji.

Drugiem centrum ruchu medalierskiego w ówczesnej Polsce było Wilno, które już od czasów Zygm. Augusta poczęło rywalizować z Krakowem i stało się wnet północną stolicą artystyczną Polski. I tutaj ruch medalierski skupiał się koło mennicy królewskiej, ciągle czynnej, a przez podskarbich litewskich dużą opieką otaczanej. Już w czasach Batorego rysownicy tej mennicy wysunęli się na czoło tego ruchu. Teraz, za Zygmunta III, dawnego monogramistę PP, zastąpił w 1595 r. inny medalier, też monogramista HD, rytownik a potem kierownik mennicy wileńskiej, z którego ręki wyszło kilka medali królewskich z tarczą, albo z Tetydą i Cererą na odwrociu. Charakteryzuje go ciekawie zarysowana głowa królewska, i pewne kopjowanie wzorów gdańskich lub poznańskich.

Następcą jego był nieznany bliżej autor medali Radziwiłłowskich z 1602 i 1603 r. z portretem młodego Krzysztofa Radziwiłła, późniejszego hetmana w. litewskiego. Nieco późniejszy jeszcze jest Hanusz Trylner, jeden z najwybitniejszych artystów tej epoki, który jest niejako reprezentantem szkoły wileńskiej w medalierstwie.

O Trylnerze wiemy, że kształcił się w Gdańsku, a ściągnięty przez podskarbiego E. Wołłowicza do mennicy wileńskiej, pozostał w niej do końca życia, naprzód jako rytownik, potem w 1618 r. probierz, w r. 1621 wardajn, w 1623 r. rzeczoznawca w komisji sejmowej i jeszcze 1652 jako pensjonarjusz. Jego praca artystyczna szła w 4 kierunkach: złotnictwa, rytownictwa, medalierstwa i sfragistyki czyli pieczętarstwa. Wyroby złotnicze tego mistrza znajdą się zapewne po kościołach wileńskich i okolicznych, gdy nadejdzie dzień ich dokładnej inwentaryzacji. Jego wyroby rytownicze, to liczne stemple do monet litewskich z lat co najmniej 1618—32, wśród których okazałe portugały złote z bogatą ornamentacją stroju królewskiego i tarczy herbowej, zdradzają niepospolitego artystę.

Dzieła jego medalierskie są świetnemi zjawiskami tej epoki. Zaczął od skromnego medalu na zdobycie Smoleńska 1611 r., a znalazł swój styl już w pięknym medalu Janusza ks. Radziwiłła i Elżbiety brandenburskiej z 1617 r. i podob-

nym medalu hetmana Krzysztofa Radziwiłła z 1626 r. Ostatnie przez niego sygnowane dzieła to piękne medale Władysława IV z 1639 i 1641 r. Pozatem istnieje szereg innych medali zarówno królewskich jak i prywatnych, które również temu artyście przypisać można.

Ostatni dział sztuki przez Trylnera uprawiany, to rzeźba tłoków pieczętnych, również piękną medalierską technikę zdradzających. Był widocznie specjalistą w tym kierunku, gdyż inicjały jego widzimy na szeregu pieczęci państwowych, tak koronnych jak litewskich, począwszy od pieczęci wielkiej koronnej z 1617 r. zamówionej przez kanclerza Stan. Żółkiewskiego, a skończywszy na pieczęciach kancelaryjnych króla Władysława IV i mniejszej pieczęci litewskiej Jana Kazimierza 1649 r., za którą, jak mówią rachunki podskarbiowskie otrzymał 221 złp. honorarjum.

Trylner jest pierwszym artystą w Wilnie, który w kompozycjach swoich wprowadza zdecydowanie barokowy pierwiastek. Są to bujniejsze niż dawniej ozdoby i kartusze, śmielsze linje, wyginane snycerszczyzny. Charakteryzują tego mistrza: charakterystyka wyrazu, finezyjny rysunek koronek, skrzydlate główki aniołków i wysoka korona Wazów. Nowością, przez niego wprowadzoną, to owalna forma medalu, która stała się charakterystyczną cechą szkoły wileńskiej.

Równocześnie z Trylnerem pracował w Wilnie drugi niepospolitej miary artysta medalier Jan Engelhardt. Był obywatelem miasta i zarazem miedziorytnikiem, a może i złotnikiem. Jego sztychowany portret Andrzeja Boboli z 1629 r. nie stoi na tej wysokości, co ryciny Gadelera lub nieco późniejsze Jer. Falcka, natomiast jego dwa medale, koronacyjny Władysława IV z 1633 r. i medal biskupa Wołłowicza z 1626 r. są pierwszorzędnej wartości. Portrety na nich, ujęte *en face,* należą do najlepszych rzeczy tego rodzaju, a odwrocia z widokiem Wilna i barokową alegorją, są prawdziwemi wyrazicielami tego stylu. I one noszą zatem obie charakterystyczne cechy szkoły wileńskiej: są owalne i mają prawie *en face* zwrócone portrety. Na tej podstawie możemy artystom wileńskim przypisać autorstwo szeregu ówczesnych, anonimowych już medali z takiemi portretami jak Anny Lubomirskiej z 1628 i 1630 r., Stan. Lubomirskiego,

biskupa Szymona Rudnickiego z 1618 r., arcybiskupa Gembickiego z 1624 r. etc.

Miastem, gdzie jednak sztuka medalierska najsilniej się rozwinęła, był Gdańsk, skupiający zwłaszcza podczas wojny 30-letniej szeregi artystów emigrantów niemieckich i holenderskich, a do tego mający własną mennicę nieprzerwanie od 1524 r. w ruchu. W tej właśnie mennicy miejskiej gdańskiej mieli oparcie rozmaici rytownicy i medalierzy, którzy tę sztukę w XVII wieku nadzwyczajnie rozwinęli.

Takim rytownikiem był na początku tej epoki Filip Klüwer, gdańszczanin, autor szeregu medali i donatyw bitych i ofiarowanych przez Gdańsk królom polskim, Stefanowi i Zygmuntowi III. Klüwer był tym, który wprowadził do mennicy i medalierstwa donatywy, zwane tak dlatego, że wielkie nieraz ich ilości składano królom polskim w darze. Były to medale w złocie bite, o płaskim monetarnym reljefie, z popiersiem królewskiem znacznie od monet ozdobniejszem, z widokiem miasta na odwrociu oraz z napisem zawsze jednakowym: EX AVRO SOLIDO CIVITAS GEDANENSIS FIERI FECIT. Klüwer jest też autorem kilku medali królewskich z 1592 r. wydanych na uświetnienie pobytu króla w Gdańsku i zaślubiny Anny austrjackiej. Od tego to artysty pochodzi owa kompozycja z Neptunem i Tetydą, siedzącymi nad brzegiem morza, którą przejęli i kopjowali potem medalierzy poznańscy i wileńscy.

Następcą niejako Klüwera i rytownikiem menniczym w Gdańsku w latach 1613—23 był Samuel Ammon, artysta pierwszorzędny, autor nietylko najpiękniejszych, ale i najbardziej może delikatnych i finezyjnych robót w całem naszem medalierstwie. W dziełach swoich roztacza taki przepych ozdób i ornamentacyj, tak niesłychane bogactwo szczegółów, jak żaden inny, a operuje przytem tak drobnemi narzędziami, że tylko z pomocą szkła powiększającego można go studjować i odczytywać. Pozatem, że dostarczał szeregu stempli pod monety gdańskie, jest także autorem dużego szeregu medali królewskich z tarczą herbową Gdańska lub tegoż widokiem, wszystko niezmiernie bogato ubrane w ornamenta i floresy, wspaniałe koronki i kartusze, zbroje i szarfy. Piękny jest jego medal na zdobycie Smoleńska

w 1611 r., niedościgłe w minjaturowej robocie są donatywy gdańskie z 1614 r., ale wspaniałością przewyższa inne duży medal królewski z 1621 roku, odbijany w srebrze i złocie o wadze dochodzącej czasem do 100 dukatów.

Ammon zostawił po sobie całą szkołę medalierską w Gdańsku, do której zaliczyć trzeba monogramistów IR, FB, DG, nadto braci Hemów Piotra i Henryka, oraz Chrystjana Schirmera, długoletniego pracownika mennicy gdańskiej i wielu innych. Najwybitniejszym z nich był monogramista IR, autor dukatów gdańskich z 1633—37 r. oraz wspaniałej donatywy z 1635 r. z przepysznym portretem *en face* króla Władysława IV. Z innych artystów wymienić należy Henryka Hemę, który robił stemple do talarów pamiątkowych Torunia z 1630 r. Prawdopodobnie uczniem Ammona był też Hanusz Trylner w Wilnie osiadły.

Wszystkich jednak przewyższył sławą Sebastjan Dadler z Strasburga, urodzony w 1586 r. Był on już w 1619 r. nadwornym cesarskim złotnikiem i rytownikiem, potem nadwornym medalierem na dworze elektora saskiego w Dreźnie. Około 1636 r. pożogą wojenną wygnany przybył do Gdańska i w tutejszą szkołę medalierską pchnął nowego ducha, nowe pojęcia i nowe tematy. Był na tem polu propagatorem holenderskiego baroku i rubensowskich form i postaci. Pierwszy wprowadził do medalu efekty malarskie, portrety konne, szerokie krajobrazy ze stafażem, widoki bitew i postacie alegoryczne. Nie związany wyjątkowo z mennicą, pracował nietylko dla dworu polskiego Władysława IV i dla ks. Radziwiłłów, ale równocześnie i dla Szwecji, Brandenburgji, Holandji etc. W swoich polskich medalach sławi oswobodzenie Smoleńska 1634 r., zawarcie pokoju z Moskwą, Turcją i Szwedami, małżeństwo króla z arcyksiężniczką Cecylją Renatą, potem z Ludwiką Gonzagą etc. Dadler opuścił Gdańsk wnet po r. 1646 i osiadł w Hamburgu, gdzie umarł w 1657 r. Jeszcze i tu jednak pracował dla Polski, tworząc dwa wspaniałe medale dla ks. Janusza Radziwiłła, na pamiątkę jego zdobycia Kijowa w 1651 r. i na wjazd tegoż wojewody do Wilna 1653 r. Dzieła Dadlera rozchodziły się szeroko i znalazły szereg kopistów wśród artystów niemieckich, zwłaszcza jego medale o charakterze religijnym. Naj-

lepszym jednak jego uczniem, a nawet współpracownikiem był Jan Höhn w Gdańsku, założyciel nowej dynastji medalierskiej.

Höhna widzimy już w 1635 r. w mennicy bydgoskiej, a od 1637 r. w Gdańsku, gdzie pracując jako rytownik mennicy uzyskał w 1641 r. od senatu specjalne pozwolenie na wydawanie medali pamiątkowych. Naskutek tego produkuje Höhn całe szeregi medali chrzestnych, ślubnych i religijnych, pamiątkowych i historycznych, królewskich i prywatnych, wykonuje zamówienia rządowe polskie, gdańskie i prywatne. Medalami temi uświetnia panowanie Władysława IV i Jana Kazimierza, wszystkie ich zwycięstwa i sukcesy aż do pokoju Oliwskiego 1660 r. Podobnie jak Dadler, pracuje też wiele dla zagranicy: Szwecji, Prus, Brandenburgji i Pomorza, promieniując tem samem swoją sztukę wcale szeroko.

Spuścizna artystyczna Höhna, obejmująca około 100 rozmaitych medali, jest typowa dla ówczesnego baroku i stylu gdańskiego. Panuje w niej wszechwładnie barokowa alegorja i napuszystość, uderza bujność kształtów i zawsze pełne znaczenia szczegóły symboliczne. Widać to szczególniej na jego okazałych medalach, jak z 1653 r. na przyjazd króla do Gdańska, jak z 1654 r. na jubileusz przyłączenia Prus do Polski, jak z 1660 r. na pokój oliwski i wielu innych.

Höhn umarł w Gdańsku, w 1663 r., zostawiając syna również medaliera, Jana Höhna młodszego i szereg zdolnych uczniów, wśród których wyróżnia się dodatnio Jan Bensheimer, oddający się również i sztuce miedziorytniczej. Działalność jego obejmuje jednak już lata późniejsze i wchodzi w następną epokę drugiej połowy XVII wieku.

Medale z czasów króla Michała Korybuta (1669—73) i Jana III Sobieskiego (1674—96) stoją jeszcze pod przemożnym wpływem sztuki gdańskiej, tak wysoko rozwiniętej dzięki potężnym talentom Ammona, Dadlera i Höhna. Już w połowie XVII wieku zdobył Gdańsk nietylko prymat, ale prawie że i monopol w tej dziedzinie sztuki. W drugiej zaś połowie tego wieku przyszło mu to tem łatwiej, że inne mennice polskie, potrzebujące sił medalierskich, zostały na dłuższy czas zamknięte.

Jeżeli była w tej mierze jakaś konkurencja, to pochodziła jedynie z zagranicy, która w podziwie dla zwycięstw Sobieskiego, produkowała moc medali pamiątkowych i historycznych, uświetniając niemi panowanie wielkiego króla, jego wojny tureckie, odsiecz Wiednia w 1683 r. etc. Medale te szły z Włoch, Francji, a przedewszystkiem z Niemiec, od rozmaitych artystów wrocławskich, wiedeńskich, norymberskich i innych. Z dużego ich szeregu wymienić należy znakomitszych i głośniejszych, jak: M. Brunner w Norymberdze, A. Meybusch w Kopenhadze, J. Schmeltzing w Leydzie, P. Arondeaux w Paryżu, G. Hamerani w Rzymie i w. i., którzy w medalach swych sławili czyny Sobieskiego.

W Polsce jednak mamy w tym czasie do zanotowania jedno tylko, ale bardzo wybitne nazwisko, Jana Höhna młodszego w Gdańsku. Jako artysta medalier jest spokojniejszy od ojca, uprawia alegorję, ale bez przesady, natomiast opiera się więcej na wzorach klasycznych. Z zamiłowaniem modeluje portrety *en face*, jak Bog. Radziwiłła, Michała Korybuta, Sobieskiego etc., oraz kreśli sylwety i widoki miast, jak prawdziwy pejzażysta. Na rozlicznych jego medalach, których liczba dochodzi do 150, znajdujemy widoki miast, jak: Gdańsk, Oliwa, Królewiec, Birże, Kraków, Chocim, Kamieniec, Wiedeń, Budapeszt i Konstantynopol, Fehrbellin, Wizmar, Szczecin, Stralsund i Rugja.

Höhn był wielbicielem Sobieskiego i poświęcił mu duży szereg medali, opiewając zwycięstwa tego wielkiego króla pod Chocimem, elekcję, koronację, odsiecz Wiednia 1683 r. i wojny tureckie. Do najwspanialszych jego dzieł należy duży medal Marji Kazimiery z 1683 r., z widokiem całej szerokiej okolicy Gdańska i puckiej zatoki. Pracował również wiele dla ks. Radziwiłłów, bisk. Trzebickiego, podskarbiego Morstina, mieszczan gdańskich i wielu innych. Nierzadko też dostawał zamówienia z zagranicy, jak Pomorza, Danji, Austrji, Saksonji, a przedewszystkiem dla Prus i ich wielkiego elektora, Fryderyka Wilhelma, od którego w nagrodę za rozmaite prace otrzymał w 1678 r. tytuł nadwornego medaliera.

Höhn iunior umarł w r. 1693 w Langfuhr pod Gdańskiem, jako ostatni z wielkich artystów gdańskich XVII w.

Medale jego zdobyły taką sławę, że cały ich szereg przesztychował w miedziorytach rytownik paryski, Simon Thomassin, naturalnie w zwiększonym formacie, pozatem szereg medalierów zagranicznych kopjował jego wzory. Poza Höhnem nie było wówczas, ani długie lata potem żadnego medaliera, któryby swoim rylcem odtworzył tyle portretów i tyle widoków rozmaitych miast. Co więcej, nie było poza nim wówczas w Polsce żadnego medaliera, któryby na miano artysty zasługiwał. Höhn zostawił wprawdzie syna, Jana III Höhna, ale ten nie miał już talentu ojca i dziadka, chociaż próbował swoich sił na polu medalierstwa.

Następująca po Sobieskim epoka saska (1697—1763) przynosi wprawdzie mnóstwo medali polskich, ale są to wszystko rzeczy nie krajowe, lecz powstałe zagranicą, w pierwszej linji w Dreźnie, gdzie sztuka medalierska właśnie za Augusta II świetnie zakwitła i wydała szereg pierwszorzędnych talentów. Artyści drezdeńscy, jak M. Omeis, H. P. Groskurt, O. Wif, Chr. Wermuth, Fr. W. Dubut i inni, opiewają w swych medalach czyny obu Augustów polskich, ale w historji sztuki w Polsce nie mogą zająć stanowiska, podobnie zresztą jak liczni inni medalierzy tych czasów z Norymbergji, Augsburga, Monachjum, Gotha etc., których liczne medale uświetniają panowanie obu polsko-saskich królów.

W kraju powstawały wówczas co najwyżej owe skromne i proste medale religijne, upamiętniające koronacje cudownych obrazów N. P. Marji, z Częstochowy 1717 r., Sokala 1724 r., Podkamienia 1727 r., Żyrowic 1730 r., Wilna 1750 r., Lwowa 1751 r., Leżajska 1752 r. etc. Wartość ich artystyczna jest bardzo mała, ale zato są produktem krajowym i ciekawym przyczynkiem do ówczesnego życia prowincjonalnego w Polsce. Zresztą tak dwór królewski, jak magnaci, a nawet miasta pruskie z Gdańskiem na czele, zwracali się z reguły do zagranicznych artystów, ile razy medale pamiątkowe im bić wypadło.

Dopiero rządy ostatniego króla, Stanisława Augusta (1764—96) zaznaczyły się w medalierstwie nowem życiem i dały mu nową, a wybitnie odrębną cechę. W miejsce rokoka drezdeńskiego wszedł na medale nowy styl stanisławowski, bardziej spokojny i klasyczny, o skromnych a wy-

kwintnych popiersiach, prostych wieńcach i licznych napisach, zajmujących teraz miejsce dawnej alegorji i przesady. Siedzibą tej sztuki była teraz Warszawa i mennica królewska, a reprezentantem jej był Jan Filip Holzhausser, główny rytownik tejże mennicy.

Holzhausser powołany został z Drezna w 1766 r. i pracował w mennicy warszawskiej przez lat 26, bo do swojej śmierci 1792 r. Był zaś artystą niezwykłej miary, ze swoim wykwintem i swoim klasycyzmem, odpowiednim zupełnie dla dworu warszawskiego. Działalność jego szła w 3 kierunkach, gdyż oprócz stempli do medali wykonywał też stemple do monet i tłoki do pieczęci. Znamy dziś blisko 100 rozmaitych medali wyszłych z pod jego dłóta, a z nich większa część to medale królewskie z przepięknym portretem Stan. Augusta, wykonanym zawsze z prostotą, gracją i wdziękiem niesłychanym. Pozatem na polecenie króla, albo na zamówienie prywatne, wykonał szereg przepięknych medali na cześć rozmaitych wybitnych osób i z portretami: Konarskiego, Poczobuta, Krasickiego, Lubomirskiego, Stan. Poniatowskiego etc. Jego dziełem jest wreszcie serja 11 medali królów polskich od Bolesława Chrobrego począwszy, wykonana już w ostatnich latach życia według obrazów Bacciarellego i na życzenie samego króla.

Holzhausser umarł w Warszawie 1792 r., zostawiając nieskończony medal z własnym portretem i projekt dużego pięknego medalu na Konstytucję 3-go Maja. Siłą swego talentu przewyższał o wiele różnych współczesnych rytowników, a także i swoich następców, jakich zaangażowano do mennicy warszawskiej, mianowicie Reichla i Regulskiego.

Jan Jakób Reichel był rytownikiem mennicy w latach 1792—95 i poza stemplami do monet zajął się wykończeniem owej serji medali królów polskich według Bacciarellego. Po rozbiorze kraju wyjechał jednak do Petersburga i tam wnet umarł na stanowisku pierwszego medaliera mennicy rosyjskiej. Zostawił syna Jakóba, również zdolnego artystę i medaliera, a pozatem właściciela olbrzymiego zbioru numizmatycznego.

Kolegą Reichla był Jan Regulski, kształcony przez króla zagranicą i specjalista w rznięciu gemm i kamei. W 1792 r.

został inspektorem mennicy warszawskiej, a po rozbiorach w 1896 r. wyjechał do Berlina i zajął tu stanowisko dyrektora pruskich zbiorów królewskich. Regulski jest talentem niezwykłym. Jego kamee w czysto klasycznym stylu zyskały sobie dużą sławę, nietylko dlatego, że nosiły fantazyjne popiersia Achillesa, Hannibala, Cezara, Neptuna, etc., ale i ludzi tak popularnych, jak Stan. Augusta, Kościuszki, Antoniego ks. Radziwiłła, pani Grabowskiej i innych. Z właściwych medali zostawił Regulski tylko 3, a to: króla Stan. Augusta, Józefa ks. Poniatowskiego 1792 r. i jenerała Buxhövdena 1795 r.

Regulski był ostatnim medalierem królewskiej Polski. Rozbiory kraju i emigracja spowodowały przerwę w rozwoju tej gałęzi sztuki u nas. Większość medali polskich powstaje teraz zagranicą, a dużą ich ilość dostarczają wojny napoleońskie i udział w nich wojska polskiego. Przerwa ta nastąpiła i dlatego, że tak świetnie rozwijająca się mennica warszawska zamkniętą została w 1795 r. i dopiero po 15 latach uruchomiona zpowrotem. Stworzenie Księstwa Warszawskiego wzbudziło na nowo ruch medalierski w stolicy, a mennica otwarta w 1810 r. skupiła wnet szereg rytowników i medalierów koło siebie.

Pierwszym medalierem Księstwa był Jan Ligber, miedziorytnik i autor kilku medali, związanych z warszawskiem Towarzystwem Przyjaciół Nauk. Współczesny mu Karol Baerend, sprowadzony z Drezna, pracował w mennicy w latach 1810—26 i zostawił kilka w klasycznym stylu wykonanych medali Aleksandra I., jego matki Marji, ks. Józefa Poniatowskiego i parę medali religijnych. Z Drezna również pochodził Gotfryd Majnert, pracujący w Warszawie od otwarcia mennicy 1810 do śmierci swej 1847 r., oraz Ferd. Hoeckner, powołany bezpośrednio przed powstaniem 1831 r. Natomiast z Wiednia pochodzi Fr. Stuckhart, a z Poznania Józef Herkner, który poza medalierstwem uprawiał gorliwie litografję. Cała ta grupa artystów to talenty dość przeciętne, nie wybijające się nadzwyczajnie i charakteryzujące dość dobrze ten upadek sztuki klasycznej, jaki wówczas w całej Europie można było zaobserwować.

Stosunkowo największym talentem odznaczał się wśród innych kolegów Józef Majnert, syn Gotfryda, pracujący w mennicy warszawskiej w latach 1839 do 56 r. Działalność jego dotyczyła zarówno medali portretowych, jak religijnych i historycznych, a przeszła niestety nawet na pole falsyfikatów. Do dzieł swoich wprowadził nowość, a to portret *en face*, o wysokim *reliefie*, dużej charakterystyce i realiźmie. Takie jego medale jak Bandtkego, Elsnera, Raczyńskiego, Kronenberga, Paskiewicza etc., są pod względem technicznym nieprześcignione.

Następcy Majnerta do mennicy przyjęci, jak: Risch, Szawłowski i Górnicki nie byli medalierami i ograniczali się tylko do grawirowania stempli monetarnych. W połowie XIX wieku medalierstwo nasze widocznie upadło, tem bardziej, że moda ówczesna zwróciła się w kierunku jednostronnych medaljonów i w nich szukała prawdziwego dzieła sztuki. Medaljon taki propagowali wówczas całą siłą tak wybitni artyści rzeźbiarze, jak David d'Angers w Paryżu i Leonard Posch w Berlinie i odziaływali naturalnie bardzo silnie na plejadę artystów polskich, zwłaszcza emigracyjnych. Ich reprezentantem jest znany rzeźbiarz Władysław Oleszczyński, stypendysta mennicy warszawskiej i uczeń Dawida, który pod jego wpływem począł tworzyć medaljony. Oprócz kilku medali zostawił jakie 30 jednostronnych medaljonów z portretami wszystkich prawie wybitnych osób polskiej emigracji, z któremi w latach 1840—50 zetknął się w Paryżu.

Medaljony odlewali już przedtem w Warszawie mało zresztą znani Bledner, Ciszewski i Chartron, później niezwykle płodny Wojciech Święcki, uczeń szkoły paryskiej († 1873), którego niektóre prace świadczą o pośpiechu i szablonie, inne jednak, jak medaljony Dantyszka i Hozjusza, dowodzą dużego talentu. Sporą zasługę na tem polu mają fabryki odlewnicze, jakie powstały w Białogonach 1817 r. i w Warszawie, zwłaszcza fabryka Karola Mintera, założona w 1828 r., która w latach 1840-60 zatrudniała szereg artystów, w tem wymienionego Święckiego i wydała w medaljonach kilkadziesiąt portretów znakomitych osób.

Połowa XIX wieku, to czas, kiedy w medaljonach jako tańszych niż medale, wypowiada się znaczna część rzeźbia-

rzy polskich i to nietylko w Warszawie. Poza stolicą uprawiają ten rodzaj sztuki J. Schmelzer i H. Stattler w Krakowie, J. Ostrowski i R. Slizień w Wilnie, Kralewski, Regulski, Norwid etc. na emigracji. Z nich najpłodniejszym był zdolny amator litewski R. Slizień, którego znaczna część prac została w gipsach, a mniejsza tylko część odlana została w metalu u Mintera.

Medaljony zarówno jak i medale wykonywał Jan Minheymer, ostatni i to wybitny artysta warszawski z 2 połowy XIX w. Dzieła jego odznaczają się dużym wdziękiem i wybitnym reljefem, jak np. medale Reicha, Łubieńskiego, Kronenbergowej etc. Jest zaś o tyle ostatnim warszawskim medalierem, że po upadku powstania 1863 r. zamknięto mennicę i zgaszono przez to ruch artystyczny, jaki koło siebie skupiała. Zamiast medali, wydaje teraz Warszawa niezliczone ilości medalików odpustowych, a fabryki tychże, jak Bitschana, Langego, Magnusa etc. prosperują długie lata.

Miejsce Warszawy zajmuje teraz Kraków, produkując medale wysoce patrjotyczne, ilustrujące rozmaite uroczystości, w podwawelskim grodzie przeżywane. Najliczniejsze szeregi tych medali pamiątkowych wydano na pogrzeb Kazimierza Wgo 1869, wystawę krakowską 1877, a przedewszystkiem na jubileusz Odsieczy Wiedeńskiej 1883 r. Wydawali je złotnicy jak Czaplicki, Wojtych, Głowacki, a przedewszystkiem antykwarjusz M. Kurnatowski, dla którego wiele wzorów rysował Juljusz Kossak. Rytowników jednak tych medali szukać trzeba w fabrykach wiedeńskich. Miejscowi bowiem krakowscy rzeźbiarze uprawiali jedynie medaljon, a wyjątkowo tylko dostawali zamówienie na wykonanie medalu. Do najpłodniejszych należy tu C. Hoszowski, P. Kozakiewicz, Al. Römer, T. Certowicz, a przedewszystkiem J. Hakowski, który w dużych plakietach srebrnych wykuwał całe obrazy Matejki.

Poza Krakowem powstawały jeszcze medale pamiątkowe we Lwowie i Poznaniu. Lwów miał u siebie płodnego medaliera A. Szyndlera, krakowianina, który zostawił po sobie szereg ręcznie wyciętych medali w bronzie lub kości słoniowej. Obok niego P. Filippi i Tad. Barącz wykonali liczne i udatne medaljony. W Poznaniu zaś pracuje w tym czasie

Stefan Below, utalentowany artysta, J. Białas, grawer i pieczętarz, a przedewszystkiem Wł. Marcinkowski, autor szeregu wysoce artystycznych medaljonów portretowych, do dziś dnia jeszcze czynny.

Mimo wszystko, byłaby sztuka medalierska u nas zupełnie zanikła, gdyby nie Towarzystwo Numizm. w Krakowie, które w początkach XX wieku postawiło sobie za cel wskrzeszenie wielkich tradycyj medalierskich i poczęło ogłaszać konkursy. Apel ten znalazł żywy oddźwięk wśród rzeźbiarzy polskich, konkursy były zawsze licznie obesłane i ujawniły pierwszorzędne talenty medalierskie. Była to grupa artystów krakowskich, jak K. Laszczka, W. Bieliński, St. Popławski, H. Kunzek, W. Jastrzębowski, J. Nowak, L. Puget i inni. Na ich czele stoi Jan Raszka, najwybitniejszy z medalierów ostatniej doby, autor licznego szeregu medali i plakiet, z których wiele, jak np. medal W. Bartynowskiego, prof. Piekosińskiego, Dr. Jordana etc. należą do najlepszych w tym zakresie.

Poza Krakowem również i Lwów pochlubić się może dwoma medalierami nieprzeciętnej miary jak T. Błotnickim i J. Bełtowskim, jednakże ich medale i plakiety są nieliczne i giną wśród innych prac rzeźbiarskich tych mistrzów. Natomiast typowym i przedewszystkiem medalierem był W. Trojanowski, uczeń szkoły paryskiej i pracujący przeważnie w Paryżu. Jest tu też wybitnym reprezentantem tej szkoły i bardzo płodnym i utalentowanym medalierem. Również wysoko stoi pod tym względem K. Chodziński, pracujący długie lata w Ameryce, potem Wiedniu i Lwowie, którego liczne medale i plakiety wojenne dają pełną galerję wybitnych osobistości polskich z czasów wielkiej wojny.

Jest rzeczą jasną, że powstanie państwa polskiego 1918 r. i otwarcie w Warszawie mennicy rządowej skoncentrowało znowu przy niej ruch medalierski. Sama mennica stała się instytutem wydawniczym dla szeregu medali i plakiet, przeważnie przez medaliera menniczego J. Aumillera wykonanych. Jest wszelka nadzieja, że pod jej patronatem nastąpi na nowo rozkwit tej drobnej a jednak tak sympatycznej i tylu tradycjami poszczycić się mogącej sztuki.

Dr. M. Gumowski.

Jezuici polscy wobec projektu ordynacji studjów.

(Dokończenie.)

V.

Druga część memorjału obejmuje uwagi krytyczne do przepisów właściwej ordynacji studjów.

Komisja z uznaniem i radością przyjęła rozdział, poświęcony studjum Pisma św.; pragnęłaby jednak, aby jego znajomość w zakonie była znacznie większa, dlatego proponuje, aby już nowicjusze w nowicjacie uczyli się napamięć wybranych, najpiękniejszych ustępów, młodzież zaś ucząca się, od humanistów poczynając, powinna w niedziele, święta i dnie wolne od wykładów przynajmniej przez pół godziny czytać Pismo św.; w ten sposób rozszerzy się w zakonie znajomość Biblji, a tem samem młodzież przygotuje się do studjum egzegezy. W tłumaczeniu Pisma św. należy się trzymać wyjaśnień Ojców, uznanych przez Kościół; taką zasadę stawia projekt, Komisja zaś uzupełnia ją zastrzeżeniem, aby zdania odmienne nie były odrazu potępiane, a nawet jeśli mają za sobą racje, aby były uznane za prawdopodobne.[1])

Najbardziej radykalne i najdalej idące zmiany proponowała Komisja w organizacji całego studjum teologicznego. W okresie późnego średniowiecza wśród nauk teologicznych na pierwsze, czołowe i reprezentacyjne miejsce wybiła się teologja scholastyczna, czyli spekulatywna; studjum Ojców Kościoła i Pisma św. było bardzo zaniedbane, zato przerost dialektyki, zamiłowanie do zawiłych, wyszukanych zagadnień były najsilniej wybijającemi się cechami tej teologji.[2]) Reli-

[1]) Memorjał, str. 40—41.

[2]) Patrz o tem: Grabmann: *Die Geschichte der katholischen Theologie.* 1933, str. 95.

gijna rewolucja Lutra zmusiła teologów katolickich do powrotu do źródeł, t. j. do Pisma św. i Ojców. Rozpoczyna się nowy, świetny rozwój teologji pozytywnej i egzegezy; teologja pozytywna przyjmuje nazwę kontrowersyj i wywalcza sobie obok teologji scholastycznej coraz wybitniejsze, aż wreszcie równorzędne stanowisko. Z początku kontrowersje uważa się za teologję niższego rzędu, mającą swą rację istnienia i rozwoju w konieczności zwalczania herezji. W krajach, w których herezja była słabsza, dalej panuje teologja scholastyczna; w Rzymie zaś robi się kompromis; dla słuchaczów, pochodzących z Europy środkowej i wschodniej, kontrowersje uważa się za przedmiot główny; wykłada się ją 4 lata, łącznie z teologją moralną i egzegezą; słuchacze zaś z Włoch i Hiszpanji słuchają kontrowersji tylko dwa lata, egzegezy także tylko dwa lata, a 4 lata teologji scholastycznej. Dla północnych prowincyj zakonu projekt rozszerzał nieco zakres kontrowersyj, ponieważ przeznaczał na nie jedną godzinę przez cztery lata, zachowywał jednak dalej podział i przeciwstawienie. [1])

To rozwiązanie nie było szczęśliwe; wprowadzało podział słuchaczy na dwie grupy; pierwsza, obejmująca młodzież zdolniejszą, miała być wtajemniczana w teologję spekulatywną, a upośledzona w znajomości teologji pozytywnej, egzegezy i teologji moralnej. Abstrakcyjność, nieżywotność takiej koncepcji jest aż nazbyt wyraźna. Drugą zaś grupę stanowić miała młodzież słabszych zdolności, lub młodzież rezygnująca z aspiracyj naukowych dla celów praktycznego duszpasterstwa. Ta młodzież otrzymywała przygotowanie praktyczne, ale była pozbawiona zarówno znajomości bardzo ważnych dziedzin teologji i dogmatu, jak i pogłębienia filozoficznego.

Tych niedogodności projekt zdaje się niedostrzegać, czy nie uznawać, czy też nie chce o nich mówić. Widziała je jednak dobrze nasza Komisja i zaproponowała rozwiązanie, które zostało tylko częściowo uwzględnione w drugim projekcie, a w pełni wprowadzone dopiero w 1832 r. przez *Ratio Studiorum* Gen. Roothana. Plan polski oparty jest

---

[1]) Pachtler II, str. 115.

przedewszystkiem na zasadzie jedności; należy złączyć teologję spekulatywną z kontrowersjami, a nie rozdzielać ich od siebie. Rozdział taki sprowadza wielkie zamieszanie. Usunięcie z teologji scholastycznej zagadnień pozytywnych robi z pierwszej naukę oderwaną, która jeśli idzie o kraje, leżące na północ od Alp, nie znajduje ani profesorów, ani słuchaczów. Jedności tej domaga się przedewszystkiem wewnętrzna jedność teologji samej. Teologja scholastyczna kładzie i uzasadnia podstawy pod zagadnienia teologji pozytywnej; jeśli je rozłączymy, to w teologji scholastycznej pozostają tylko same fundamenta bez nadbudowy, a w pozytywnej jej tezy pozbawione są podstaw. Jeżeliby więc profesor kontrowersyj chciał swoim tezom dać podbudowę rozumową, to musiałby wprowadzić z konieczności zagadnienia z teologji scholastycznej. Rozdział sprowadzi wreszcie napewno niepotrzebną i zbyteczną emulację między profesorami. [1])

Rozróżnienie krajów przed i poza alpejskich — dowodzi memorjał — pozbawione jest uzasadnienia. Włochom i Hiszpanom także jest potrzebna znajomość kontrowersyj. Kościół, zwalczany przez heretyków, jest wspólną naszą matką, dlatego też wspólny jest obowiązek jego obrony. Kraje południowe posiadają dużo zdolnych ludzi; mogliby oni poświęcić się studjom kontrowersyj i pisać wartościowe dzieła.

Takie radykalne przewrócenie panującego systemu nie było łatwe do przeprowadzenia; pociągało za sobą konieczność stworzenia nowego podręcznika, zerwania z systemem komentowania *Summy*. Komisja polska te konsekwencje rozumiała i dlatego delikatnie podsuwała generałowi pomysł postarania się o nowy podręcznik w miejsce *Summy*, dlatego też, jak to zobaczymy, cały nacisk położono na pracy naukowej profesora i jego wykładzie, który miał tymczasowo zastępować brak podręcznika.

Wykładowi profesora Komisja poświęciła szczególną uwagę i stanęła znowu na stanowisku odmiennem niż projekt. Ten suponował, że wszyscy słuchacze łatwo mogą posiadać egzemplarz *Summy*, dlatego oświadczył się przeciw

[1]) Memorjał, str. 43—45.

dyktowaniu, a za swobodnym wykładem. T. zw. dyktowanie polegało na tem, że profesor krótko i zwięźle dyktował powoli słuchaczom treść istotną wykładu, a więc stan kwestji, rozwiązanie, dowody i najważniejsze trudności. Skończywszy dyktowanie, wyjaśniał i rozprowadzał podany materjał, by go utrwalić w umysłach słuchaczy. Przeciw takiemu wykładowi na wydziale teologicznym i filozoficznym oświadczył się projekt, a za nim zaś oświadczyła się Komisja polska, popierając swoje stanowisko ciekawemi racjami.

Zwyczaj dyktowania jest w powszechnem użyciu w Polsce, Niemczech, Francji i Hiszpanji, dlatego wypada aby mniejszość (Włochy) przyłączyły się do większości. W Hiszpanji dyktowanie dało doskonałe wyniki od czasu, kiedy Franciszek Victoria wprowadził je na swoich wykładach. Profesor dyktujący musi bardzo gruntownie przygotować swój wykład, bo wie, że każde jego słowo będzie poddane rozbiorowi i krytyce czytających. Jeżeli profesor nic nie dyktuje, ale swobodnie wykłada, to słuchacze nie mogąc podążyć za jego słowem i myślą, notują nieraz fałsze, których profesor nie powiedział, a które idą w świat, są czytane i mogą budzić podejrzenie nawet o herezję. Dyktowanie jest wskazane również i ze względu na dobro słuchaczy. Ono uwzględnia także interes uczniów o słabszych zdolnościach; nie chwytają oni odrazu myśli profesora, mając przeto najważniejsze myśli zanotowane, mogą sami potem w domu wykład przemyśleć. Doświadczenie uczy, że niewielu słuchaczy potrafi zapamiętać i zanotować treść wykładu, jeśli się nie dyktuje. Najczęściej z powodu prędkiego mówienia, trudności kwestji, lub niedostatecznej wprawy w języku łacińskim, notują rzeczy podrzędnego znaczenia lub fałszywie. Stwierdzono, że jedną i tę samą myśl kilku najzdolniejszych uczniów zanotowało odmiennie. Wobec niedostatku dzieł teologicznych i ubóstwa młodzieży, skrypta wykładów dyktowanych oddają ogromne usługi i zastępują poczęści brak książek. Sposób wykładania swobodnego, proponowany przez projekt, może być korzystny tylko dla słuchaczy bardzo uzdolnionych, o bystrym i czujnym umyśle, wielkiej uwadze, niezmiernej pilności i trwałej pamięci. Ilu takich można znaleźć? Za dyktowaniem przemawia wreszcie i to, że jeśli się

nie dyktuje, to słuchacz nieobecny na wykładzie traci go bezpowrotnie i nie może braków uzupełnić. [1])

Z wielu drobniejszych uwag, dotyczących powtórek, dysput, promocyj, warto podkreślić odmienną opinję Komisji polskiej o wakacjach; projekt nie uznawał wakacyj, memorjał natomiast domaga się wprowadzenia wakacyj miesięcznych dla szkół średnich nawet tam, gdzie ich dotąd nie było, a dla filozofji i teologji także ośmiodniowych wakacyj w okresie Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy; motywuje się to żądanie względem na zdrowie profesorów i potrzebę dania im czasu na przygotowanie wykładów. [2])

W krytyce przepisów projektu, odnoszących się do szkoły średniej, nie znajdujemy już tak radykalnie odmiennych poglądów, jak to miało miejsce przy studjach wyższych. Niemniej jednak drobne zastrzeżenia są ciekawe. Polski memorjał domaga się, aby nietylko w wielkich kolegjach, ale we wszystkich, nauczycielami humaniorów byli wyłącznie absolwenci filozofji; wymaga tego wzgląd na powagę szkoły i przedmiot nauczania.

Gramatyki E. Alwareza, której projekt poświęca dłuższy krytyczny ustęp, Komisja polska jeszcze nie znała, nie mogła więc wydać o niej swojego sądu, przyjmuje przeto opinję projektu z jednem zastrzeżeniem: oświadcza się, wbrew wątpliwościom projektu, za zatrzymaniem wierszy w gramatyce, ponieważ doświadczenie uczy, że chłopcy łatwiej uczą się reguł gramatycznych, ujętych w wiersze.

Przepis używania języka łacińskiego, wedle projektu, miał obowiązywać bezwzględnie w szkole tak Jezuitów, jak i uczniów; poza szkołą zaś ciężarem tym obarczono tylko prowincje zaalpejskie, dla południowych zaś uznano go za niemożliwy do zniesienia, z powodu trudności mówienia po łacinie i z powodu koniecznej znajomości języków ojczystych dla kazań, spowiedzi, korespondencji i codziennego obcowania z ludźmi. W prowincjach północnych język łaciński jest potrzebny i w życiu codziennem, ponieważ tam współżyją razem różne narodowości, a powtóre on oddziela katolików od innowierców, którzy porozumiewają się językami

[1]) Memorjał, str. 49—55.
[2]) Memorjał, str. 58 i 70.

ojczystemi, a nie po łacinie. To stanowisko rzymskiej Komisji, płytkie, nielogiczne, na sprzecznościach oparte, wyjaśnia doskonale niechęć Rzymu do języków ojczystych krajów poza alpejskich i różne wypowiedzenia się w tym względzie kurji papieskiej i władz jezuickiego zakonu. Nie mogli tam ludzie zrozumieć, że na literaturę protestancką, w ojczystych językach pisaną, lekarstwem może być nie łacina, ale ojczysta literatura katolicka. O potrzebie wydawania polskich kazań, polskiej postylli, polskiego przekładu Biblji trzeba było Rzym dopiero przekonywać. Nic więc dziwnego, że Komisja polska takie rozumowanie projektu odrzuca kategorycznie postawieniem stanowczego dylematu: obowiązek używania języka łacińskiego przez Jezuitów w życiu codziennem musi być wprowadzony w całym zakonie, a szczególnie właśnie we Włoszech i Hiszpanji, bo tam go najbardziej potrzebują; racje bowiem, przemawiające za językiem ojczystym, istnieją zarówno w krajach południowych jak i północnych. Niedwuznacznie zapowiada Komisja, że jeśli obowiązku używania języka łacińskiego nie rozciągnie się na cały zakon, to prowincje północne nie mogą być do niego obowiązane.

Polska Komisja oświadcza się za rozszerzeniem zakresu nauczania języka greckiego.

Wspomnieliśmy na początku o braku podręczników szkolnych. Projekt wyraża życzenie, aby któryś z Jezuitów napisał podręcznik stylistyki, Komisja polska idzie dalej i ujmuje sprawę szerzej, wskazuje na konieczność stworzenia z fachowców komisji podręcznikowej, któraby przygotowała podręczniki szkolne, a przedewszystkiem wydania komentowane autorów łacińskich i greckich.

Na końcu projektu podano szczegółowy porządek dnia i zajęć kolegjów jezuickich w 3 odmianach, dla Włoch, dla Hiszpanji i Francji, i dla Niemiec z Polską. Projekt tego porządku Komisja polska w całości odrzuca, jako nieodpowiedni, nie liczący się z warunkami klimatu w Polsce; oświadcza się za pozostawieniem tej sprawy prowincji do rozstrzygnięcia. [1])

[1]) Memorjał, str. 72—73. — Prowincjał Campano, razem z drukowanemi egzemplarzami projektu, otrzymał pisany kwestjonarjusz, na który

Tak się przedstawia w głównych myślach krytyka projektu ordynacji studjów. Widzimy, że polska Komisja pojęła rzecz poważnie a zajęła stanowisko samodzielne. Uderzają nas w niem dwie przedewszystkiem naczelne idee, któremi przejęte są poglądy Komisji. Pierwsza — to zasada możliwie największej swobody badania, poglądów i nauczania profesorów teologji i filozofji. Stojąc na stanowisku integralnej prawowierności, oddania Kościołowi i sprawie wiary, przyjmując tomizm, jako system teologji zakonu, w imię dobra wiary i nauki kościelnej formułują nowe pojęcia tomizmu, które ostatecznie zostało skrystalizowane w liście gen. Wł. Ledóchowskiego z r. 1917. Te tendencje istniały już w XVI wieku praktycznie w systemach wielkich teologów jezuickich; pierwsze, najstarsze, w pełni świadome ich ujęcie daje nam memorjał polskiej Komisji. Wyrażony on został tam śmiało i jasno, ponieważ memorjał był dokumentem poufnym; nam dzisiaj jest oczywistem, że teza pol-

---

Komisja również miała dać odpowiedź. Kwestjonarjusza tego nie zna ani Pachtler, ani żaden z autorów, piszących o Rat. Stud. Z odpowiedzi Komisji polskiej i górno-niemieckiej (str. 74—89) możemy pytania te zrekonstruować. W pierwszem żądano wzorów prowadzenia lekcyj w klasach szkoły średniej, dziś byśmy powiedzieli: lekcyj wzorowych! Komisje nie dały ich w gotowej formie, lecz przedstawiły w szeregu szczegółowych uwag swój pogląd na metodę prowadzenia rozbioru autora i objaśnienia zasad gramatyki, poetyki i retoryki. Drugie mówi o specjalnych studjach przygotowawczych do wielkiego aktu, doktoratu i magisterjum. Trzeci punkt dotyczył sposobów uroczystej inauguracji studjów i nagród, czwarty ceremonjału promocji licencjata. Piąty składał się z dziesięciu szczegółowych pytań o insygnjach rektora, immatrykulacji, funkcjach kanclerza, bedelach, gubernatorze, mającym sądzić studentów i jego pomocnikach, o karcerze, karze grzywny, kwesturach i przysiędze uczniów. W szóstem pytaniu domagano się projektu reguł uczniowskich.

Znamiennem jest narzekanie już wtedy na trudności utrzymania młodzieży polskiej w karnem posłuszeństwie. „Sed de ministris iusticiae et gubernatore maior pro his partibus difficultas occurrit, ubi summa nobilitatis est libertas, et maior fere studiosorum pars est nobilium. Itaque nihil hactenus in hoc genere aptum reperiri hic potuit; expectabimus quae aliunde constituentur, ac si quid aptum fuerit partibus hisce, libenter accomodabimus, mira enim libertas est ac licentia nobilitatis in hoc Regno, cum etiam homicida liber incedat ab omni periculo et ipsum cadaver occisi usque ad proxima comitia reservari debeat, ut ibi praesentetur et causa cognoscatur et sententia feratur." Memorjał, str. 75.

skiej Komisji nie mogła być w XVI w. przyjęta, sprawa nie dojrzała jeszcze do takiego rozwiązania, że jednak odegrała rolę ważną, dowodzi, jak to zobaczymy, druga redakcja *Raf. Studiorum*.

Drugą nową, śmiałą ideą, ściśle złączoną z poprzednią, był plan organizacji studjum teologji i filozofji. Wyrażał zasadę jedności nauki teologicznej, domagał się usunięcia podziału na teologję scholastyczną (spekulatywną) i na kontrowersje, a konsekwentnie zerwania z metodą komentarzy i wprowadzenia na jej miejsce metody traktatów, uwzględniających równomiernie spekulację, pogłębianie filozoficzne i pozytywną wiedzę teologiczną, ze szczególnem podkreśleniem roli badań biblijnych i patrystycznych. Jedności nauki teologicznej, przynajmniej dla prowincyj północnych, domagała się również ze względów praktycznych Komisja prow. górno-niemieckiej przez usunięcie rozdziału na teologję scholastyczną, polemiczną i moralną; temu postulatowi nie dała jednak uzasadnienia głębszego, ani nie zaproponowała rozwiązania. [1])

Gdyby te zasady były doczekały się pełnego przyjęcia i urzeczywistnienia w ordynacji studjów, rozwój nauki kościelnej byłby poszedł w innym kierunku. Teza Komisji polskiej tylko częściowo została uwzględniona w ostatecznej redakcji, przeciwstawienie teologji scholastycznej i kontrowersyj złagodzono, z systemem komentarzy jednak nie zerwano w *Raf. Stud.* XVI w. Dopiero faktycznie powoli urzeczywistniała się ta teza w XVII i XVIII w., a ostatecznie stała się prawem w ordynacji z r. 1832. W teologji podział na teologję scholastyczną i kontrowersje został zniesiony, w teologji i filozofji miejsce komentarzy zajęły rzeczowo rozłożone traktaty, tomizm i arystotelizm pozostał w zasadniczym punkcie wyjścia, w metodzie i rozwiązaniu pewnej grupy podstawowych zagadnień. W świetle późniejszego rozwoju nauk teologicznych i filozoficznych poglądy polskiej Komisji nabierają wagi i wartości.

[1]) Monachjum. Archiwum Państwowe. Jesuitica in genere. Fasc. 25, nr. 367. Ratio Studiorum. Sententia Patrum de nova Rat. Stud. qui pro ea examinanda congregati fuerunt Dilingae (stron in folio 88 i nlb. 14), — str. 13.

VI.

Nasuwa się atoli pytanie, jakie były bezpośrednie losy memorjału, czy i o ile wpłynął na nową, drugą redakcję *Rat. Studiorum.* By na to pytanie w pełni odpowiedzieć, należałoby znać odpowiedzi innych prowincyj zakonu; oneby nam bowiem pokazały, w jakim stopniu opinja polska była odosobniona, względnie wspólna, a powtóre trzebaby znać protokóły Komisji, układającej drugi projekt. Tymczasem z pierwszej grupy źródeł znamy tylko odpowiedź prow. górno-niemieckiej i drobne fragmenta innych odpowiedzi, protokółów zaś nie mamy wcale. Odpowiedź nasza będzie więc także, częściowo przynajmniej, fragmentaryczna.

Prowincje hiszpańskie, o ile relacje Astraina są pełne, zasadniczo przyjęły projekt bez zastrzeżeń, jedynie stanęły w obronie dyktowania, z obawy przed oskarżeniami inkwizycji. Największą natomiast dyskusję wywołała pierwsza część projektu *de delectu opinionum.* W jej atakowaniu wychodzono z dwu odmiennych, a nawet przeciwnych stanowisk. G. Akwawiwa pragnął przez ogólne zasady i przez wykazy tez z jednej strony zabezpieczyć jedność nauki w zakonie, a z drugiej zapewnić profesorom pewną przynajmniej swobodę poglądów. W rzeczywistości nie zadowolił nikogo. W Hiszpanji inkwizycja, Dominikanie i skrajni Tomiści rozpętali burzę przeciw projektowi dlatego, że ośmiela się pozwolić na odstąpienie od poglądów św. Tomasza, a nawet zakazuje wykładać pewnych jego tez. Z drugiej strony Komisja polska zaatakowała zasadniczo same podstawy przepisów: *de delectu opinionum,* stwierdzając, że jedności nie umocnią, a zupełnie pozbawiają swobody i wolności profesorom. Niezadowoleni byli również i profesorowie Kolegjum rzymskiego, którzy jeszcze przed ogłoszeniem projektu oświadczyli się przeciw wykazom tez i krytyką swoją sprawili, że z pierwotnego katalogu 597 tez ściśle określonych, pozostawiono ledwie część. Profesorowie Kolegjum rzymskiego, z Robertem Bellarminem na czele, osądzili, że zestawienie tez fakultatywnych, obowiązujących, lub zakazanych nie prowadzi do celu, owszem przeciwnie sprowadza ogromne trudności.[1]) Prowincja natomiast górno-niemiecka

[1]) Le Bachelet, l. c., str. 493 i nast.

zasadniczo przyjęła reguły *de delectu opinionum*, proponując zaledwie drobne zmiany formalne w stylizacji dwóch reguł, katalogu jednak zdań również nie aprobowała w całości, ale poczyniła bardzo liczne poprawki i uzupełnienia. [1])

Uwagi, przesłane przez prowincje zakonu w końcu 1586 r. a przez prowincję polską w początku lutego 1587 r. [2]) zostały zbadane, przedyskutowane i w r. 1591 gen. Akwawiwa ogłosił drukiem jako manuskrypt drugi projekt Ordynacji Studjów, który rozesłano powtórnie do prowincyj, już nietylko dla zbadania, ale także dla próbnego wypraktykowania. W formie i redakcji różni się on zasadniczo od pierwszego projektu. Gdy ten był zbiorem traktatów dyskusyjnych, projekt drugi jest już zbiorem reguł dla tych wszystkich, którzy z powodu swego urzędu lub zajęcia związani są ze szkołami. Mamy więc reguły prowincjała, rektora, prefektów studjów, profesorów wszystkich przedmiotów i klas. [3])

Treść natomiast, zasady organizacji i przepisy, normujące życie i pracę szkoły, nie wykazują, za jednym wyjątkiem, większych zmian, w szczegółach natomiast wprowadzono ich wiele, a wśród nich sporo z polskiego memorjału. Jeden wspomniany wyjątek stanowi kwestja *de delectu opinionum*. Dość ogólna opozycja prowincyj, atakująca zgodnie, chociaż z różnych względów, pierwszą część projektu, sprawiła, że w drugiej redakcji *Rat. Studiorum* nie znajdujemy już tej części. Dopiero w r. 1592 wydał G. Akwawiwa w formie okólnika katalog tez obowiązujących i fakultatywnych,

[1]) Monachjum. Archiwum Państwowe. Jesuitica in genere. Rkp. jak wyżej, str. 1—11. Różnica między odpowiedzią prowincji polskiej a górnoniemieckiej polega na tem, że pierwsza szczególną uwagę i najwięcej miejsca poświęciła zagadnieniom ogólnym, teologji i studjom wyższym, a niemiecka studjom humanistycznym. Ta różnica tłumaczy się doskonale dłuższem istnieniem prow. górno-niemieckiej, większą praktyką i większem doświadczeniem w szkolnictwie średniem.

[2]) A. S. Germ. 167, fol. 77. Prow. Campano do Generała 17. II 1587z Wilna.

[3]) Korzystam z egzemplarza Ratio Studiorum z r. 1591 z Bibl. Jagiell. Jest to egzemplarz niekompletny, ponieważ brak mu dodatków końcowych, mających osobną paginację, w których były przepisy specjalne dla różnych prowincyj zakonu i dodatkowe reguły dla klas gramatyki i humaniorów. Dzieje powstania tej drugiej redakcji nie zostały jeszcze opracowane; Pachtler pomija ją zupełnie, niewiadomo dlaczego, a projektu z 1591 zupełnie nie zna.

poprzedzony regułami ogólnemi *de delectu opinionum*; katalog ten nie miał jednak żadnego większego znaczenia.[1]) Na V Kongregacji generalnej w r. 1593/4 uchwalono jeszcze raz w nowej redakcji reguły *de delectu opinionum*, (teraz jest ich tylko 5), które weszły z pewnemi zmianami jako reguły profesorów teologji do ostatecznej redakcji *Rat. Studiorum* z r. 1599. W ujęciu tych reguł znać wyraźnie wpływ uwag polskiej Komisji, wyrażający się w bardziej swobodnym stosunku do *Summy* św. Tomasza, znalazła się nawet jedna motywacja, powtórzona prawie dosłownie z polskiego memorjału.[2])

Uwzględniono również uwagi i wskazania polskiej Komisji, dotyczące nauki biblijnej; egzegezę wprowadzono do wszystkich kolegjów zakonu, gdy projekt pierwszy przewidywał ją tylko dla uniwersytetów; reguły kładą bardzo silny nacisk na doniosłość znajomości Pisma św., polecając nowicjuszom uczenie się wybranych miejsc napamięć. Za podniesieniem studjum Pisma św. oświadczyła się również i Komisja niemiecka; nie poddała jednak żadnych szczegółowych wskazań, ale zadowolniła się ogólnem stwierdzeniem konieczności rozszerzenia tego studjum, aby nie utrwalać opinji, u różnowierców zwłaszcza, że w *Towarzystwie zupełnie nie ceni się Pisma św. — in Societate nullum esse Scripturae honorem.*[3])

Skrajnie przeciwne dyktowaniu stanowisko projektu uległo, zgodnie z krytyką polskiej, a także i niemieckiej Komisji, zupełnej zmianie, zakaz dyktowania został cofnięty a w jego miejsce postawiono skromne życzenie *(optandum est)*,

[1]) Katalog ten ogłosił: Döllinger-Reusch: Geschichte der Moralstreitigkeiten in der römisch-katholischen Kirche. II. 225—244. Dwie kopje urzędowe w Rkp. monachijskim, wyżej wspomnianym.

[2]) W memorjale polskim czytamy, str. 14: „Iam vocabimur Thomistae... Magis enim fere quam Thomistae ipsi D. Thomae alligamur, cum forte inter ipsos Thomistas nemo sit, qui non in pluribus dissentiat a D. Thoma" — a w Ratio Stud. (Pachtler, II, str. 300): „Non sic tamen St. Thomae adstricti esse debere intelligamur, ut nulla prorsus in re ab eo recedere liceat, cum illi ipsi, qui se Thomistas maxime profitentur, aliquando ab eo recedant, nec arctius nostros St. Thomae alligari par est quam Thomistas ipsos."

[3]) Monachjum. Archiwum Państw. Rkp. jak wyżej, str. 12.

aby unikać dyktowania, jeśli słuchacze potrafią bez niego notować.

Projekt przewidywał, aby w czasie powtórek, które w metodyce jezuickiej miały doniosłe znaczenie, obecnym był osobiście profesor dyktujący, a zwalniał od obecności niedyktującego. Komisja polska bardzo słusznie przepis ten odrzuciła, wskazując, że przedewszystkiem niedyktujący powinien być obecnym na powtórkach, dają mu one bowiem jedyną sposobność do sprostowania błędów, popełnionych przy notowaniu wykładu przez słuchaczy. W drugiej redakcji już nie znajdujemy tego rozróżnienia, ale tylko ogólny przepis, aby w powtórkach brał udział zawsze albo profesor sam, lub jego zastępca. [1])

Uwzględniono także życzenie polskiej Komisji co do dysput. Projekt zwykłe tygodniowe dysputy przewidywał w soboty lub niedziele, a większe raz na miesiąc, Komisja polska wybór dnia na tygodniowe proponuje zostawić decyzji prowincji, a większe w kolegjach o małej liczbie słuchaczy urządzać raz na 2 miesiące. Propozycję tę przyjęto. Wedle życzenia prow. polskiej, ułożenie dokładnego podziału godzin i zajęć szkolnych zostawiono prowincjom, wprowadzono również i wakacje, których domagała się także i prow. górno-niemiecka, rozszerzono studjum teologji moralnej, czyli t. zw. kazusów na wszystkich słuchaczy teologji, przeznaczając na to studjum 2 lata, wbrew poglądom Komisji niemieckiej, która, nie doceniając również tego studjum, uznała je za niepotrzebne dla słuchaczów teologji scholastycznej, zadawalając się tylko zwykłemi dyskusjami raz na tydzień *(resolutio casuum conscientiae).* [2])

Przyjęto również projekt polski, aby naukę języka hebrajskiego zaczynano już na drugim roku teologji i prowadzono dwa lata; duży bowiem procent słuchaczy nie kończy całego 4-letniego kursu, jeśliby się więc zaczynało naukę języka hebrajskiego dopiero na trzecim roku, to niewielu duchownych znałoby ten język.

W przepisach, odnoszących się do studjum filozofji, nie uwzględniono wniosku Komisji polskiej, aby ze względu

[1]) Ratio 1591, str. 116.

[2]) Monachjum. Archiwum Państw. Rkp. jak wyżej, str. 26.

na warunki i potrzeby duszpasterskie kurs filozofji tylko na uniwersytetach i w tych kolegjach, w których uczą się klerycy jezuiccy trwał 3 lata; w seminarjach papieskich natomiast i w mniejszych kolegjach, do których uczęszczała młodzież świecka, należałoby pozwolić na kursa dwuletnie. Za zatrzymaniem 3-letniego studjum filozofji oświadczyła się wbrew praktyce po kolegjach niemieckich także i Komisja górno-niemiecka.[1])

Drugi projekt *Rat. Stud.* odrzucił również zwyczaj, panujący po mniejszych kolegjach, antycypowania studjum filozofji przez wykład logiki w czasie ostatniego półrocza retoryki; było to koniecznem tam, gdzie brak profesorów nie pozwalał na zaczynanie co roku nowego kursu. Mimo odmownego stanowiska ostatecznej redakcji *Rat. Stud.*, po prowincjach pozostały 2-letnie kursa, pozostała praktyka antycypacji; życie okazało się tu silniejsze. Przez specjalne ordynacje i dyspensy generalskie legalizowano te odchylenia od ogólnych przepisów.

Sprzeciw polskiej i górno-niemieckiej Komisji (a zapewne i innych niemieckich), nie chcących przyjąć zakazu używania języka ojczystego na rekreacjach i w życiu codziennem, był także skutecznym. W drugim projekcie przepisu tego już nie znajdujemy; łacina pozostała tylko językiem urzędowym i szkolnym.[2])

Z nielicznych uwag polskiej Komisji o studjach humanistycznych szkoły średniej, znajdujemy w projekcie drugim przyjęty wniosek, by nauczycielami także i w klasach gramatykalnych, a nietylko w klasie poezji i wymowy, byli wyłącznie absolwenci filozofji.

Znakomity projekt polskiego memorjału powołania osobnej komisji, mającej przygotowywać podręczniki szkolne,

[1]) Monachjum. Archiwum Państw. Rkp. jak wyżej, str. 29—32.

[2]) Monachjum. Archiwum Państw. Rkp. jak wyżej, str. 43. Komisja niemiecka odwraca rozumowanie i stwierdza, że w krajach północnych więcej umieją po łacinie i lepiej tym językiem mówią; dziwi się Komisja poglądowi, jakoby język łaciński był znakomitym środkiem odseparowania się od różnowierców; „quod vero de haereticis... dicitur, id sane permirum est, cum nulli haeretici linguam latinam abolent, quin vero eam maxime exerceant et profiteuntur." Południowcy przedewszystkiem powinni się uczyć po łacinie, bo przyjeżdżają często do krajów północnych i nie można się z nimi dogadać, nie umieją bowiem po łacinie.

nie został urzeczywistniony; sprawę zostawiono inicjatywie prowincyj i jednostek.

Nie znalazł również oddźwięku w drugim projekcie drobny, ale charakterystyczny szczegół, podniesiony przez polską Komisję. W klasie poetyki uczono pisania wierszy łacińskich; nauka ta niewiele miała wspólnego z prawdziwą poezją; mogła wprawdzie przyczynić się do rozwinięcia wrodzonych zdolności u jednych, ale równocześnie była źródłem udręki dla chłopców, pozbawionych wszelkiego zmysłu dla poezji. Komisja polska, znając to z doświadczenia, zaproponowała, by chłopców, którym pisanie wiersza sprawia nieprzezwyciężone trudności, uwolnić od tych ćwiczeń i dawać im wypracowania prozaiczne. [1])

VII.

Drugi projekt z r. 1591 nadszedł do Polski z początkiem zimy; że nań czekano i że go czytano z zaciekawieniem, nie potrzeba udowadniać. Pierwsze atoli wrażenia nie

[1]) Wspomnieliśmy wyżej, że Komisja niemiecka poświęciła studjom humanistycznym znacznie szerszą uwagę, niż polska. Dla uzupełnienia dorzucamy kilka szczegółów. Oświadczyła się przedewszystkiem za oryginalnym, nieprzerobionym Alwarem, jako najlepszą istniejącą gramatyką a przeciw wszelkim przeróbkom. Krytyka Alwara, zawarta w projekcie, kompromituje zakon, skoro przyjmuje za swoją taką gramatykę, którą należy odrazu gruntownie poprawiać i przerabiać. Lepiej napisać nową, a nie uwłaczać pamięci autora, ponieważ wszystkie błędy jego przerabiaczy i poprawiaczy idą na jego rachunek i nazwisko; osobliwy to sposób uczczenia zasłużonego człowieka (str. 39). — Komisja górno-niemiecka nie zgadza się również na praktykę dekurjonów i poprawiających zadania i błędy w języku, na piętnowanie tych, którzy mówili po niemiecku. Występuje przeciw uroczystym mowom na oklepane tematy, przeciw dyskusjom *in utramque partem*. Takie mowy są czcze, bezwartościowe wychowawczo i psują opinję szkołom jezuickim. Potępiają sztuczki poetyckie i retoryczne, nazywając je: ingeniorum cruciamenta et carnificinae (str. 44), to roboty tych, którzy „bonas horas non curant male perdere." — Nie podoba się również tej Komisji poszatkowanie pracy szkolnej na kwadranse i pół-godziny, zmuszające nauczyciela do przynoszenia klepsydry ze sobą do klasy; należy zostawić nauczycielowi swobodę ruchów (str. 54). Te i wiele innych drobniejszych szczegółów, światłych, czasem jasnowidzących, jak np. sprawa Alwara, dowodzą, że myśl pedagogiczna wśród Jezuitów niemieckich była żywa i jasna. Spetryfikowanie jej w przepisach, uznanych za niezmienne, nie wyszło jej na dobre.

były zachwycające. Nowy prowincjał polski, Ludwik Maselli, po pierwszem przejrzeniu drugiego projektu, w liście do generała narzeka, że zauważył brak wielu przepisów, które byłyby bardzo potrzebne i bez których nie można przystąpić do wprowadzenia w życie nowej ordynacji. Nie nadeszły jeszcze gramatyki Alwara, z których ma się uczyć, brak przepisów o władzach i oficjalistach uniwersytetów, brak ważnych reguł dla eksternistów i dla scholastyków jezuickich. [1])

Projekt 2-gi rozesłano do kolegjów z poleceniem wprowadzenia go na próbę w życie. Trudności wyłaniały się jedna po drugiej; przyzwyczajenia lat 20 nie można było odrazu zwalczyć, zwłaszcza, że niektóre z nich były zupełnie usprawiedliwione; proszono przeto o dyspensy, lub o dokładniejsze określenie poszczególnych przepisów, które wydawały się niejasne. Generał niechętnie pozwalał na odrębności, nie zgodził się np. na nauczanie rachunków w klasach gramatykalnych; w odpowiedzi na pytania odsyłał do odpowiednich paragrafów, przepisów, polecał łączyć w wprowadzaniu nowej ordynacji stanowczość z oględnością, by cel osiągnąć bez zrażania osób. [2])

Jako pierwsze kolegjum, w którem najpierw miały zostać wprowadzone nowe przepisy, obrano Akademję Wileńską; w r. 1592 najważniejsze przemiany uskuteczniono; w tem też kolegjum miano przygotowywać nowych nauczycieli dla szkoły średniej. Równocześnie zaś z próbami praktycznemi, druga wileńska komisja, której składu nie znamy, dyskutowała przepisy drugiego projektu. [3]) Po zreorganizowaniu Akademji za jej wzorem miano reorganizować wedle nowych przepisów resztę kolegjów.

Gdy wreszcie nadeszły z Rzymu egzemplarze gramatyki Alwara, w wydaniu oryginalnem i w przeróbce rzymskiej, prow. Maselli zwołał w styczniu 1593 r. specjalną konferen-

[1]) A. S. Germ. 169, f. 370. L. Maselli do G. Akwawiwy, z Płocka 9. XII 1591.

[2]) Wiedeń. Bibl. Narodowa. Rkp. 11977. Listy i odpowiedzi z r. 1791, fl. 102—109.

[3]) A. S. Germ. 170, fol. 10. L. Maselli do G. Akwawiwy, 8. I. 1592. — Tamże fol. 90, tenże do tegoż 25. III 1592.

cję fachowców, w celu zdecydowania jakiej gramatyki będą się trzymały szkoły polskie. Wybrano ostatecznie przeróbkę rzymską z odpowiedniemi zmianami i oddano ją do druku. [1])

Nieznane nam dzisiaj uwagi krytyczne drugiej wileńskiej Komisji o drugim projekcie *Rat. Stud.* zawiózł do Rzymu prow. L. Maselli, który z początkiem jesieni 1593 r. wyjechał z OO. Wujkiem i Grodzickim na V Kongregację generalną. Po skończonej Kongregacji (po 18. I. 1594 r.) Akwawiwa zatrzymał prowincjałów włoskich i polskiego, który i tak już nie miał wrócić do Polski i polecił im razem z rektorem Kolegjum rzymskiego przedyskutować projekt z r. 1591. Ta szczególna konferencja wywołana została wzrastającą opozycją pewnych prowincyj przeciw projektowi. Za projektem, który nazwany został *ordo romanus*, oświadczyły się zasadniczo prowincje włoskie i prowincja polska i dlatego prow. Maselli znalazł się wśród uczestników tej konferencji. Czy Maselli wiernie przedstawił poglądy drugiej wileńskiej Komisji i polskich Jezuitów, nie wiemy napewno, nie znamy bowiem uwag krytycznych tej Komisji. Ponieważ jednak przedmiotem dyskusji i opozycji były przepisy odnoszące się do szkolnictwa średniego, a nie wyższego, a prowincja polska, uboższa w doświadczenie, nie miała zasadniczych zastrzeżeń co do studjów humanistycznych, dlatego raczej należałoby sądzić, że Maselli wiernie reprezentował Jezuitów polskich. Z tej pomocy polskiej widać chętnie skorzystano, skoro z naciskiem w protokóle podkreślono, że dlatego zaproszono do udziału prowincjała polskiego, że jego prowincja pragnie trzymać się porządku rzymskiego.

Opozycyjny porządek popierały niektóre inne prowincje, wśród nich bardzo stanowczo prowincja górno-niemiecka. Oficjalne i ostatecznie stanowisko swoje prowincja ta objawiła dopiero w maju 1598 r., ale narzekania szły do

---

[1]) A. S. Germ. 171, f. 34 v. L. Maselli do G. Akwawiwy z Poznania 31. I 1593. — W sprzeczności z temi relacjami stoją relacje Estreichera (t. XII, str. 126), który podaje wydania polskie Alwara drukowane u Neringa już w r. 1577, u Wolraba w r. 1578 i 1586, a w Wilnie w r. 1592, gdy wedle listu Masellego wydanie wileńskie zostało oddane do druku dopiero w styczniu 1593 r.

Rzymu od r. 1591, dlatego opinję z r. 1598 można uważać za miarodajną dla całego tego okresu. Z memorjału, wysłanego wtedy do Rzymu, dowiadujemy się na czem polegała istota opozycyjnego porządku. Domagano się zostawienia w szkolnictwie średniem szerokiej swobody poszczególnym prowincjom, „nie da się bowiem całego świata rządzić jednemi prawami i jednym sposobem; różne narody różnemi a swojemi własnemi rządziły się i dziś się jeszcze rządzą". Do takiego rozwiązania tej sprawy, za zgodą oczywiście przełożonych, skłaniają komisję górno-niemiecką „korzyści, osiągnięte w Niemczech i poza niemi przed nowem *Rat. Stud.*, skłania doświadczenie trudności, jakie sprowadziło nowe urządzenie studjów, skłania praktyka poszczególnych krajów, która w tej sprawie ma bardzo wielkie znaczenie, skłania zgodna opinja wszystkich nauczycieli i prefektów, skłania wreszcie cel samego Towarzystwa, założony w wychowaniu młodzieży, do którego osiągnięcia nietylko nie zbliżyliśmy się przez wejście na nową, tylu trudnościami najeżoną drogę, ale raczej oddaliliśmy się i z każdym dniem się oddalamy". [1])

[1]) Monachjum. Archiwum Państwowe. Rkp. jak wyżej. W tym fascykule znajduje się oprócz memorjału z r. 1586 również i memorjał (bez paginacji) drugiej Komisji prow. górno-niemieckiej, opracowany w czasie 9-dniowych obrad w Dylindze w maju w r. 1598. Brali w nich udział najwybitniejsi fachowcy z O. Gretscherem, autorem znanej greckiej gramatyki. We wstępie powiedziano wyraźnie, że powodem narad były wiekie trudności: ob multas gravesque difficultates, quae in administrandis studiis inferrioribus ex Rat. Stud. aliquot iam annos occurerant, neque ullo studio aut conatu tolli aut etiam minui potuerant... Ex quo nova haec Studiorum Ratio est in scholas nostras inducta, non paria laborum ac fructuum in hac animorum cultura incrementa se notasse, omnes, non tantum magistri sed gymnasiorum etiam Praesides summa nobis ex mentis consensione testantur. Quin externi quoque et inter eos viri penitus eruditi, iudicant et affirmare non dubitant multo nos antea habuisse, quam nunc hebeamus, doctiores discipulos. Id quod incredibile non videbitur ei, qui labores et onera, quibus tam praeceptores quam discipuli... premuntur et propemodo opprimuntur, secum expenderit; unde alacritas utcumque una cum viribus, mirum quantum infringitur, sine qua languet ac friget studium docentium at discentium industria." Po tym ogólnym wstępie następują liczne szczegółowe uwagi krytyczne do wielu reguł *Rat. Stud.* — O memorjale tym nie wspomina żaden z historyków jezuickich niemieckich. Duhr mówi tylko ogólnie o trudnościach i krytycznem

Dla gen. Akwawiwy rosnące trudności w urzeczywistnieniu nowej ordynacji, będącej jego wielkiem i ukochanem dziełem, nie musiały być przyjemne. Stąd też pożądane mu było zapewne każde poparcie projektu. Konferencja rzymska w ostatecznym wyniku narad zasadniczo przyjęła projekt drugi, wyraziła jednak i ona opinję, że należy poddać go nowej redakcji, aby był krótszy, jaśniejszy i bardziej uporządkowany. [1])

To życzenie, które było także ogólnem a zgodnem życzeniem wszystkich prowincyj zakonu, zostało w całości uwzględnione. Ordynacja 1591 r. została na nowo przeredagowana; skrócono ją najpierw o połowę (z 392 str. na 173), przez co zyskała bardzo na zwartości i jasności. Zredagowano również na nowo wiele reguł, których brzmienie budziło liczne wątpliwości. W wielu szczegółach dostosowano się do życzeń prowincyj, najczęściej albo przez uogólnienie przepisu, przedtem ujętego szczegółowo lub drobiazgowo, albo przez nadanie mu formy raczej fakultatywnej, niż wiążącej. Nowa, ostateczna już ordynacja studjów została wydana i ogłoszona drukiem, pod tym samym co dwie poprzednie tytułem, w Neapolu w r. 1599.

stanowisku Jezuitów niemieckich, stara się jednak osłabić znaczenie tych relacyj. Podobne stanowisko zajmuje H. Bremer S. J. w artykule: Das Gutachten des P. J. Pontan S. J. über die humanistischen Studien in der deutschen Jesuitenschulen 1593 (Zeitschrift für katholische Theologie, 1904, str. 621 i nast.). Pontan (Spanmüller, 1542—1626), był członkiem tylko pierwszej komisji prow. górno-niem.; w osobnym memorjale przedstawił plan wydanych przez siebie potem dialogów: Progymnasmata latinitatis (1588--1594). — Nie naszą rzeczą jest badanie szczegółowe tej sprawy, poruszamy ją tylko dla zobrazowania ogólnej sytuacji, jaka się wytworzyła przed ostatecznem ogłoszeniem ordynacji studjów.

[1]) Le Bachelet, jak wyżej, str. 517. Myli się autor, datując tę konferencję na rok 1595 i prowincjałem polskim mianując O. Confalonieri, następcę O. Maselli. W r. 1595 prow. polski Confalonieri był w kraju i nie wyjeżdżał poza jego granice, więc nie mógł brać udziału w konferencji. Odbyła się ona po Kongregacji generalnej w styczniu 1594 r., a brał w niej udział prow. Maselli; Confalonieri prowincjałem polskim zamianowany został dopiero w czerwcu tegoż roku, a do Polski przyjechał znacznie później. Wiceprowincjałem był wtedy O. Boksa, wybrany na Kongregacji prowincjonalnej jeszcze w r. 1593. Daty te ustalono na podstawie korespondencji.

Ks. Stanisław Bednarski T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

Dominicus Prümmer O. P.: Manuale iuris canonici ad usum scholarum. Ed. 6 quam curavit Engelbertus M. Münch O. P., Friburgi Br. 1933. Herder, 8⁰, str. XLV + 756.

Wśród łacińskich podręczników prawa kanonicznego Manuale słynnego profesora na uniwersytecie fryburskim w Szwajcarji, O. Prümmera († 1931), zajmuje niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc. Obok wszechstronnego opanowania materjału, autor posiada szczególniejszy dar przedstawienia go zwięźle i treściwie a przytem nader jasno, przejrzyście i zajmująco. Tym to zaletom niezawodnie zawdzięcza jego podręcznik swoje szerokie rozpowszechnienie w kilkunastu tysiącach egzemplarzy.

Powyższe wydanie różni się od poprzedniego z r. 1927 jedynie tem, iż wydawca powiększył je o dwa dodatki, z których jeden podaje kanony kodeksu i miejsca, gdzie w podręczniku zostały omówione, drugi zaś zawiera w streszczeniu ważniejsze, po r. 1927 wydane instrukcje i orzeczenia kongregacyj rzymskich oraz odpowiedzi komisji papieskiej do interpretacji Kodeksu. Przez to oddzielenie tego drugiego dodatku od tekstu wydawca oczywiście ułatwił sobie pracę, sam podręcznik jednak niemało stracił na wartości, skoro w niektórych przynajmniej partjach już nie odpowiada faktycznemu stanowi nauki kanonistycznej. Należało również uzupełnić umieszczony na wstępie książki katalog kanonistów, który według intencji autora miał służyć studentom do zaznajomienia się *quasi in nuce* z historją literatury kanonistycznej. Luki w tym spisie są bardzo znaczne. Wymienię tylko niektóre nazwiska, które zdobyły sobie już sławę światową, jak np. M. a Coronata, P. i Ed. Fournier, Gillmann, Koenigor, Loening, Maroto, Michiels, Pöschl, Roberti, Triebs.

Pozwolę sobie jeszcze w krótkości zwrócić uwagę na kilka zagadnień, które m. zd. wymagałyby w nowem wydaniu większego sprecyzowania, wzgl. innego rozwiązania. Na str. 75 autor zdaje się wszystkie osoby moralne, złożone z osób fizycznych, zaliczać do kategorji osób moralnych kolegjalnych. Pogląd taki trudno

pogodzić z faktem, że istnieją np. domy zakonne, których członkowie nie są uprawnieni do wykonywania żadnych aktów kolegjalnie. Czy zasięgnięciu opinji w myśl kan. 105 n. 1 jest wymagane do ważności działania? (str. 76). — Dzisiaj m. zd. już prawie powszechnie zarzucone jest zapatrywanie, jakoby do zaistnienia *erroris communis* potrzebny był faktyczny błąd prawie wszystkich mieszkańców danej miejscowości co do istnienia jurysdykcji (str. 124). Autor na str. 179 wylicza wypadki, w których wikarjusz generalny potrzebuje osobnego zlecenia biskupa. Przytem nasuwają się dwie wątpliwości. Najpierw autor nic nie wspomina o tem, czy spis owych wypadków jest wyczerpujący czy tylko przykładowy? Następnie odstępując od terminologji kodeksu, autor mówi o potrzebie osobnej d e l e g a c j i. To właśnie kwestja dotychczas sporna, czy wikarjusz generalny, działając naskutek osobnego mandatu, działa *potestate* delegata, czy raczej *ordinaria*. Nie sądzę też, żeby wikarjusz generalny, dopuszczający się przewinień w sprawowaniu swego urzędu, nie mógł być przez biskupa ukarany (str. 180). Wszak wikarjusz gen. jest urzędnikiem, podobnie jak oficjał, a ten w myśl kan. 1665 § 1 odpowiada przed biskupem za swoje czynności urzędowe. Do podania o udzielenie dekretu pochwalnego załączyć należy 30 a nie 10 egzemplarzy konstytucyj (str. 237 przyp. 45). Według autora (str. 241) przed udzieleniem pozwolenia na założenie klasztoru biskup obowiązany jest zasięgnąć opinji klasztorów sąsiednich, mimo że kodeks o tym obowiązku milczy. Argument autora, iż obowiązek ten wypływa z natury rzeczy, nie jest wcale przekonywujący. Obowiązek ten należy uważać za zniesiony w myśl kan. 6 n. 6. Do str. 250 przyp. 38 zauważyć należy, że w pewnych domach zakonów kleryckich winna być co rok odczytana instrukcja Kongr. dla spraw zakonnych z 21 grudnia 1931 r. o dopuszczaniu do święceń kapłańskich. Mistrz nowicjuszów nie jest przełożonym w rozumieniu kodeksu, jak twierdzi autor na str. 254. Dlatego niesłusznie autor stosuje do niego zakaz żądania od nowicjuszów sprawy sumienia (str. 259). Na str. 308 autor popełnia sprzeczność, twierdząc a potem zaprzeczając, iż obowiązek zachowania reguły wypływa ze ślubu posłuszeństwa. Na str. 324 i w dodatku pominięta została odpowiedź Komisji papieskiej z 16 czerwca 1931, iż przywilej administrowania ostatnich Sakramentów poza domem zakonnym przysługuje przełożonym tylko odnośnie do profesów i nowicjuszów, nie zaś innych domowników w Kan. 514 wymienionych. Nie uwzględniono również na str. 626 orzeczenia tejże Komisji z 17 lipca 1933 r., którem zażegnany został spór, czy promotor sprawiedliwości może wystąpić ze skargą o unieważnienia małżeństwa, nieważnego z powodu przeszkody, nie z natury swej publicznej a spowodowanej przez małżonków.

Ks. Jan Roth T. J.

B. Korzeniewski: „Drama" w Warszawskim Teatrze Narodowym podczas dyrekcji L. Osińskiego (1814—1831). Studja z zakresu historji literatury polskiej, nr. 11, Warszawa 1934, s. 118.

Praca p. B. Korzeniewskiego o dziejach i charakterze „dramy" na scenie Warszawskiego Teatru Narodowego w latach 1814—1831 wykracza śmiało poza wąskie ramy wydawnictwa „studjów z zakresu historji literatury polskiej" tak ze względu na przedmiot swych badań, jak też i z powodu charakteru literackiego ujęcia całości rozważań naukowych w piękną, oryginalną i nader obrazową formę wypowiedzi.

Książka dzieli się na sześć rozdziałów, z których pierwszy posiada charakter wstępu; informuje w nim autor, że zadaniem jego pracy jest „odtworzenie życia teatralnego „dramy" w okresie budzenia się romantyzmu", poczem najogólniej charakteryzuje teatralną publiczność warszawską i opowiada o daremnej walce, jaką prowadzili z „dramą" w imieniu tragedji klasycznej, Iksowie i wspierany przez nich dyrektor, L. Osiński. Następny (2) rozdział pracy poświęcony jest 2 zagadnieniom. Pierwsze — to kwestja poglądów współczesnych krytyków na „dramę" jako niższy, „podlejszy" rodzaj utworów scenicznych, co wynikało z przymierzania jej do srogich prawideł jedności wrażenia, wzbudzanego przez idealne wzory tragedyj klasycznych. A drugie — to sprawa pojęcia melodramatu. Według definicji Bogusławskiego melodramat stanowiło połączenie „dramy" z muzyką i baletem, dziś już jednak widzimy pierwiastki melodramatyczne tam wszędzie, gdziekolwiek sztuka posługuje się łatwemi, powierzchownemi efektami uczuciowemi. W wyniku tych rozważań stwierdza autor, że stosunek melodramatu do dramatu da się mniej więcej wyznaczyć stosunkiem farsy do komedji.

Trzeci rozdział zawiera klasyfikację „dramy". Podzielono ją tu na trzy grupy, z których każda rozpada się jeszcze na szereg różnych rodzajów. Tak więc pierwsza grupa — realistycznego, mieszczańskiego dramatu rozpada się na a) dramaty programowe (Diderot, Beaumarchais, Sedaine), b) rewolucyjne typu Schillera *Intrygi i miłości,* c) dydaktyczne, d) sentymentalne, e) „wojenne", f) sensacyjne kryminalne i g) sądowe. W drugiej grupie dramatu „historycznego" rozróżnia autor a) dramaty średniowieczne „rycerskie" typu *Goetza von Berlichingen,* b) „oryginalne" polskie (Niemcewicz, Humnicki i in.) i c) egzotyczne (Marmontel). Trzecia zaś grupa dramatu i melodramatu awanturniczego składa się z a) pseudohistorycznych dramatów typu Pixérècourt'a, b) sztuk zbójeckich, c) dramatów grozy, d) utworów biblijnych i e) dramatów o charakterze orjentalnych bajek.

Następny (IV) rozdział książki poświęcony jest charakterystyce postaci „dramy" — w przeciwstawieniu do postaci tragedji, będących „wyrazem upodobań różnych czasów i klas społecznych". Na tem tle przesuwa autor przed oczyma czytelnika cały szereg

najbardziej charakterystycznych postaci „dramy", a mianowicie: kochanków, rycerzy i dam średniowiecznych, pustelników i pielgrzymów, proroków, zbójców, halucynantów i obłąkanych, upiorów i zjaw, komicznych prostaków i zwierząt nawet, kończąc cały rozdział omówieniem charakteryzacji i kostjumu aktorów. Piąty rozdział podkreśla obfitość akcesorjów w „dramie", służącą do „zatuszowywania teatru w teatrze", w przeciwieństwie do ubóstwa i konwenansu w doborze akcesorjów w tragedji klasycznej. Poczem opisuje autor, w jaki sposób oddawano w „dramach" tajemniczość, grozę, rozrzewnienie i t. p. nastroje, analizuje widowiskowe efekty dram, obrazy t. zw. „grup" postaci znieruchomionych w decydujących momentach akcji, charakteryzuje rolę wieśniaków, cyganów i żołnierzy jako elementu wyłącznie dekoracyjnego, oraz omawia stosunek scenicznej realizacji „dram" do wymagań, stawianych ich wykonawcom przez autorów.

Szósty i ostatni rozdział książki omawia zasługi „dramy" wobec nowego dramatu, podkreślając zwłaszcza wykazanie braku rodzajowej granicy między tragicznemi i komicznemi elementami sztuki, oraz urealnienie ludzi i zdarzeń w dramie mieszczańskiej — a wprowadzenie barw, ruchu i co chwila zmieniających się obrazów w dramie „historycznej" i awanturniczej. Następnie, po scharakteryzowaniu protestów Mochnackiego, występującego przeciw dramie w imię sztuk Szekspira, wskazuje autor na niektóre zależności dramatycznej twórczości Korzeniowskiego i Słowackiego od dramy wogóle, a zwłaszcza od jej obrazów.

Rozważania autora uzupełnia jeszcze bardzo cenny i zapewne z wielkim wkładem pracy dokonany „Spis dram i melodramatów, granych w latach 1814—1831". Porządnie zestawiony „Skorowidz nazwisk" oraz przejrzysty układ treści, pomysłowo związany z końcowym jej spisem zapomocą specjalnych cyfr i liter, skutecznie ułatwiają czytelnikowi zorjentowanie się w bogatym materjale książki.

Z tego bogactwa trudno jest zdać sprawę w ciasnych ramach krótkiej recenzji. Streszczenie powyższe ograniczyło się jedynie do wykazania głównych kierunków rozważań autora, ominęło natomiast szereg dłuższych i krótszych, marginesowych jego uwag, które bądźto znakomicie kreślą szersze, obyczajowo-kulturalne tło omawianej epoki, jak np. w rozdz. VI początkowe i końcowe obrazy publiczności teatralnej po zakończeniu spektaklu, lub satyryczne wycieczki przeciw ówczesnej cenzurze (s. 59), bądź też luźno łączą się z omawianem zagadnieniem, stanowiąc raczej ponętny temat do bardziej szczegółowego opracowania w osobnem studjum, jak np. doskonałe uwagi o stosunku romantyków do rzeczywistości (tragizm w matni realizmu" — s. 35—36), lub też bardzo ciekawe — tam i sam, jakby mimowoli rzucone — spostrzeżenia o pewnem pokrewieństwie „dramy" i niektórych utworów Słowackiego, Mickiewicza i in. (str. 58, 62, 64 i in.). Do ówczesnego

świata teatralnego doskonale zbliża czytelnika szereg — nieraz żartobliwych i również jakby mimochodem rzuconych — wzmianek o aktorach (np. o Żółkowskim, str. 62, opuszczone w „skorowidzu nazwisk", 78—79 i in., o Ledóchowskiej, str. 64, 79 i in., o Szpringerze, str. 65, o kulisach i t. p.).

Obok tych cennych uwag znajdują się tu jednak i takie, o które możnaby się z autorem posprzeczać. Tak np. zbędnym balastem dla książki wydają się ustępy, poświęcone sylwetkom postaci, bardzo luźnie związanych z rozwojem „dramy" na scenie warszawskiej jak np. uwagi o Balzacu (s. 87) i Staszicu (s. 79). Nasuwa się również wątpliwość, czy w pracy o charakterze i ambicjach naukowych „przystojne" są niektóre niezbyt subtelne żarciki (jak np. ów o niewinności aktorek za czasów dyrektorstwa Osińskiego (str. 48), czy też to niedokończone porównanie na str. 53. Zbyt daleko poniósł tu autora jego literacki temperament. Aleć to drobiazgi i nie myślimy bynajmniej z tego powodu odmawiać książce istotnych zalet ożywiania omawianych spraw teatru przez ujęcie ich w szereg barwnych, metaforycznych obrazów, jak też dalecy jesteśmy od lekceważenia niewątpliwych literackich zdolności autora, nietylko jako badacza literatury, ale też jako stylisty prozaika.

Wręcz przeciwnie: należy tu przyznać, że autor szczęśliwie naogół wydobył się z opresji niebezpieczeństw, czyhających na obranej przezeń drodze; podobne bowiem nagromadzanie mnóstwa obrazowych metafor przy ubogiej inwencji pisarza, z jednej strony mogło spowodować rychłe zmanieryzowanie stylu i to, co na początku książki nęciło jako nowość, mogło rychło — w jej końcu — stać się nudne i dokuczliwe, z drugiej strony przy najmniejszej choćby przesadzie w ilości, czy też jakości owych metafor mogło doprowadzić do zaciemnienia istotnej treści, ukrytej poza niemi. Autor omawianej książki wskutek niezawodnego poczucia umiaru szczęśliwie uniknął obu tych niebezpieczeństw, stwarzając książkę o niepospolitych wartościach, zarówno naukowych, jak też i literackich.

Na zakończenie jedno — ale zasadnicze — zastrzeżenie: autor najczęściej charakteryzuje „dramę" przez zestawianie jej chwytów z chwytami tragedji klasycznej. Możnaby mieć jednak duże wątpliwości, czy charakterystyka, przeprowadzona w ten sposób jest dostatecznie wyczerpująca, wolno bowiem przypuszczać że wyjaśnienie niezmiernie ważnego stosunku „dramy" do innych, „podlejszych" — w pojęciu pseudoklasyków — gatunków twórczości dramatycznej, jak np. do komedji, tak ważną rolę odgrywającej w ówczesnem życiu teatralnem, znakomicie uzupełniłoby (a może i zmodyfikowałoby?) rozważania autora nad charakterem, rozwojem i „zasługami" dramy.

Czesław Zgorzelski.

Krzyżanowski Juljan: Romans polski wieku XVI. Z 67 ilustracjami w tekście i 27 na osobnych tablicach. Lublin 1934. 8°. str. 283, tabl. 27. (Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie. Prace Komisji Filologicznej nr 5.)

Jedna to z książek, któremi serce się raduje. Jej forma zewnętrzna zharmonizowana jest wspaniale z treścią, a obie noszą na sobie niezastąpione piętno tej harmonji, jaką daje wytworność i umiar. Wzorowy druk państwowej tłoczni w Lublinie, za całą ozdobę ma odbitki starych drzeworytów, wiernie zestrojonych z czarnobiałą wartością ornamentyki graficznej, jaką stanowi pokryta czcionkami karta. Dyskretne użycie farby czerwonej w dwóch wierszach tytułu i jednym wierszu dedykacji (prof. Stanisławowi Windakiewiczowi w jego 70-lecie) podkreśla jeszcze wartość prostoty w doborze i układzie czarnych pozatem czcionek. Rozpisuję się tak stosunkowo obszernie o zewnętrznym wyglądzie książki, bo pieści on smak estetyczny przed rozcięciem kart. Ale także i dlatego, że uważam wyposażenie książki o romansie polskim XVI wieku za wzorowe wyposażenie książki naukowej wogóle. Choć nie brak u nas okazów niezwykłego poczucia bibljofilskiego, to jednak dzieło omawiane, właśnie przez uniknięcie wszelkich sztuczek, obliczonych na efekt, właśnie przez swą powagę jest jednem z doskonalszych.

Równą radość sprawia i zawartość tak pięknych ram. Cieszy przedewszystkiem, jak każde zwycięstwo naukowe, jak zdobycie nowej placówki. Zwycięstwem takiem jest każda dobra monografja, bilansująca dorobek nauki polskiej z większego obszaru, stanowiąca zamknięcie pewnego okresu badań i słup graniczny dla dalszych badań. Cechy te posiada w wysokim stopniu dzieło prof. Krzyżanowskiego, tem cenniejsze, że dziedzinę, o której mówi, przeorał autor niemal sam, choć praca ta — według opinji Brücknera — wymaga działalności zespołowej. Monografja omawiana stanowi bowiem uwieńczenie wieloletniej, systematycznej pracy nad powieścią staropolską, której rezultatami dzielił się autor stopniowo, bądź w szeregu prac cząstkowych (z których najważniejsza p. t. *Romans pseudohistoryczny w Polsce XVI w.*), bądź komentowanych wydań z tej dziedziny. Ktokolwiek miał sposobność zetknąć się z dziejami średniowiecznej powieści, sięgającej korzeniami w odległą starożytność grecko-hellenistyczną z jednej strony, w gąszcz wschodnią z drugiej, wie, jak powikłane są te konary, gałęzie i gałązki wątków treściowych, jak motywy wędrowały od wieku do wieku, od narodu do narodu, kojarząc się z sobą, przeplatając się i wikłając wzajemnie. Wszak i do dziś zarówno twórczość ludowa, jak dzieła z najwznioślejszych wyżyn artyzmu wykazują niespodziewane nieraz filjacje z zapomnianemi dawno pokładami opowieści średniowiecznych. Opanowanie tego materjału i bogatej literatury zagranicznej, z nim związanej, wymaga trudu nielada, przed którym nie cofnął się autor.

Pobyt zagranicą, zwłaszcza w Anglji, w charakterze wykładowcy, umożliwił studja, które w kraju natrafiłyby na wiele trudności, z braku nietylko wielu unikatów druków, ale wprost odnośnej literatury obcej. Ograniczając się formalnie do wieku XVI i do terenu polskiego, faktycznie daje Krzyżanowski o wiele więcej: dzieje omawianego rodzaju literackiego, szerokie stosunkowo tło i szereg nawiązań do literatury późniejszej aż do czasów najnowszych. Romans średniowieczny, czytany niegdyś przez sfery wykształcone, stał się zczasem literaturą straganową. Stąd nawiązywanie do twórczości ludowej stanowi jedną z istotnych części pracy.

Ale bogactwo materjału, z jakim przyszło zmierzyć się autorowi, stało się dla niego próbą innego rodzaju. Dowiódł niepośledniej zdolności do syntezy. Zamiast zgubić się w lesie szczegółów, dał jasny, przejrzysty i doskonale zbudowany przegląd całej literatury powieściowej staropolskiej z lotu ptaka, a równocześnie potrafił uniknąć schematyzowania, ożywiając suchą konstrukcję zręcznemi streszczeniami i naogół szczęśliwie dobranemi przykładami. Zalety te występują szczególnie w rozdziałach, których temat autor opracował już dawniej, jak np. romans pseudohistoryczny.

Oryginalność i samodzielność prof. Krzyżanowskiego w stosunku do badań obcych zaznacza się niejednokrotnie. Przykładem jest ujęcie charakteru *gesta Romanorum*, odmienne niż u poprzedników, albo wyjaśnienie nazwy „Eulenspiegel", „Sowiźrzał" i t. p. jako satyrycznej parafrazy różnych budujących „zwierciadeł", zbiorów powiastek, noszących tytuły, jak *Speculum humanae salvationis, Speculum exemplorum* i t. p. O samodzielności tej świadczy również podział materjału, odbiegający poczęści od różnych podziałów zagranicznych; podział ten, logiczny i naturalny, obejmuje: romans pseudohistoryczny, rycerski, moralistyczny, błazeński, religijny i humanistyczny. Rodzaje te stanowią kolejno przedmiot wykładu.

Autor uważa w przedmowie pracę swą za ustalenie zrębu faktów podstawowych, sądzi, że brak jej ostatniego słowa, że zwłaszcza w zakresie bibljografji i zbadania związków z innemi rodzajami literackiemi i z folklorem, wymaga romans staropolski dalszej rozbudowy. Skromność autora nie pozwoliła mu podkreślić faktu, że przez swe dzieło stworzył zrąb arcysolidny, że rozbudowa ta już wiele nowego nie doda. W każdym razie, torując nowe drogi, autor wskazuje w wielu miejscach dobitnie, w jakim kierunku iść należy. Wskazuje poprostu palcem, co należy opracować, jakie tematy w zakresie omawianej dziedziny czekają na pracowników. I ta niesamolubna myśl o następcach dowodzi znów, jak wzorowo została książka pomyślana i wykonana jako praca n a u k o w a, jakie zawiera twórcze impulsy.

Nakoniec dwie jeszcze cechy proszą się o podkreślenie. Jedną jest znów w z o r o w a (proszę o wybaczenie, ale muszę raz

jeszcze powtórzyć ten wyraz, jedynie trafnie oddający rzecz) zwięzłość, zamykająca w niewielu zdaniach to, co najistotniejsze z barokowej pełni materjału. Odstępstwa są nieliczne. Drugą jest język pełen prostoty, a tak potoczysty, że książkę czyta się z niespodziewaną szybkością, bez chwili nudy, towarzyszącej tak często pracom z zakresu starszej literatury.

Należałoby się postarać o udostępnienie rezultatów pracy prof. Krzyżanowskiego w językach obcych. Z natury swego przedmiotu stanowi ona cenny wkład do dorobku nauki światowej, zajmującej się żywo od pewnego czasu dziejami tych przeróżnych aleksandreid, historji o Ottonie, o Meluzynie i Magelonie, gesta Romanorum etc., etc., które dziś zeszły na bruk, ale przez długie wieki stanowiły pokarm duchowy bardzo szerokich kół.

Do głębi kulturalna, „europejska" książka prof. Krzyżanowskiego, słusznie poświęcona została Stanisławowi Windakiewiczowi. Czcigodne 70-lecie niedocenionego, a tak wszechstronnego badacza, którego metoda syntezy, wzorowanej na typie francuskiej monografji, zyskuje dziś coraz szersze zastosowanie, a w pracy jego ucznia rozwinęła się w pełni i udoskonaliła. I w tym też względzie stanowi praca Krzyżanowskiego ciąg dalszy dzieła życia Windakiewicza; ona podobnie, jak tamto chwyta za pług, by przeorywać nowinę, by włączyć w dziedzinę kultury naukowej polskiej całe obszary, leżące odłogiem.

Dr. Z. K. Ciechanowska.

Ks. Dr. Józef Umiński: Historja Kościoła. Podręcznik dla szkół akademickich. T. II. Czasy nowożytne. Wyd. Ossolineum, Lwów 1934, str. VIII + 363.

Drugi tom swej historji Kościoła poświęcił Czcigodny Autor dziejom nowożytnym Kościoła i doprowadził je od 1517 r. aż do doby obecnej, przyczem wyodrębnił w nich trzy okresy. Treścią pierwszego (1517—1648) jest „Rewolucja religijna XVI w. i reforma trydencka". Drugi okres obejmuje lata 1648—1789, w których działały wszelkie czynniki, prowadzące do rewolucji francuskiej, laicyzacji w życiu publicznem i panowania światłego absolutyzmu. W trzecim okresie mowa o rewolucji francuskiej, jej skutkach dla życia kościelnego i religijnego oraz o stanie Kościoła w dobie obecnej. Wszelkie zalety, jakiemi cieszył się pierwszy tom historji Kościoła, cechują też i tom drugi. Treść nadzwyczaj bogata, obraz dziejów Kościoła rozległy i wszechstronny, ponieważ obejmuje wszelkie przejawy życia kościelnego, politycznego, ascetycznego, liturgicznego, artystycznego, naukowego i apostolskiego. Misjom katolickim, zwłaszcza zewnętrznym, poświęcono bardzo wiele miejsca, tak że podręcznik ks. dr. Umińskiego w zakresie misjologji jest prawie wyczerpującym. Z radością należy i to podkreślić, że, chociaż Autor równomiernie traktuje dzieje

Kościoła we wszystkich państwach, to jednak mając na oku potrzeby polskich studentów, historję Kościoła w Polsce omówił obszernie. W przedstawieniu dziejów nauki teologicznej w Polsce oparł się Autor na pracy Grabmanna (*Geschichte der Kath. Theologie* 1933), wskutek czego polska literatura teologiczna wymaga w podręczniku pewnego uzupełnienia. Ze strony nauki polskiej wytknięto już ten błąd Grabmannowi (zob. recenzję ks. prof. Marjana Morawskiego T. J. w *Przeglądzie Powszechnym*, z 1933 r., T. 200, n. 598, str. 119—120). Przeoczenia ks. dr. Umińskiego w tym względzie możnaby dość łatwo usunąć przy pomocy bibljografij Browna, czy Backer-Sommervogla, czy choćby nawet Hurtera (*Nomenclator Litterarius Theologiae Catholicae, Aetas recens, Oeniponte* 1907). Zresztą oczekuje się pojawienia w najbliższych dniach nowego zeszytu *Dictionnaire de Théologie Catholique*, mającego zawierać syntetyczne ujęcie nauki teologicznej w Polsce, pióra ks. dr. Cichowskiego. Dla zapobieżenia szerzeniu się błędnych poglądów, należałoby również na str. 430, obok dzieła Loreta *Kościół katolicki w zaborze rosyjskim*, wspomnieć o pracy ks. Józefa Sasa T. J. *W sprawie Jezuitów na Białej Rusi* (*Przegląd Powsz.* T. 110 i 115), w której Sas przeprowadził gruntowną rewizję niektórych twierdzeń Loreta.

Społeczeństwo polskie a zwłaszcza świat akademicki powinien z radością i wdzięcznością przyjąć znakomity podręcznik ks. dr. Umińskiego, który rozświeca dalekie horyzonty, wytycza linje dalszych badań w tym zakresie i podaje podstawową literaturę przedmiotu, pożyteczną zwłaszcza dla początkującego badacza historji kościelnej.

Ks. Jan Poplatek T. J.

A. Załuska: Poezja opisowa Delille'a w Polsce. Prace historyczno-literackie, nr. 44. Kraków 1934. str. VI + 174.

Stosunek piśmiennictwa polskiego do literackich prądów Zachodu na przełomie ostatnich lat XVIII i pierwszych XIX wieku był już niejednokrotnie badany przez historyków literatury polskiej, niemniej jednak do wyczerpania całego zagadnienia jest nam jeszcze bardzo daleko. To też ostatni tomik wielce zasłużonego wydawnictwa krakowskich *Prac historyczno-literackich*, poświęcony polskim tłumaczeniom i naśladownictwom opisowej poezji Delille'a, należy powitać z radością, tembardziej, że tak treść jego, jak też i zwarta, logiczna budowa całości zdobywa autorce zasłużone uznanie.

Po krótkim wstępie, zarysowującym dzieje sławy i zakres wpływu Delille'a w Polsce, zwięźle opowiada autorka o życiu poety i przyczynach jego powodzenia, przechodząc zkolei do charakterystyki artystycznej wrażliwości Delille'a i zestawienia szeregu najistotniejszych cech jego stylu i formy wiersza. W ostatecznej konkluzji z rozważań całego rozdziału wyprowadza autorka wnio-

sek, że we właściwościach stylistycznych Delille jest pseudoklasykiem, a w wersyfikacji — nowatorem i poprzednikiem romantyzmu. Rozdział II, omawiający współczesne sądy krytyczne o Delille'u, rozpada się na dwie części, z których pierwsza dotyczy wszechstronnej i objektywnej krytyki francuskiej, a druga zestawia szereg jednostronnych, pełnych zachwytu sądów krytyki polskiej. Poczem — po krótkich informacjach o osobistych stosunkach Delille'a z Polakami (rozdz. III) — wylicza autorka szereg drobnych, fragmentarycznych przekładów i naśladownictw, zamieszczonych w czasopismach polskich z lat 1800—1830, stwierdzając w ostatecznym rezultacie wywodów IV-go rozdziału, że największe zainteresowanie i najwięcej naśladownictw wywołał poemat o rolnictwie *L'Homme des Champs* (str. 39). Rozdział V omawia najważniejsze polskie tłumaczenie Delille'a, a więc przekład *Jardins* Karpińskiego, przekłady Felińskiego i Chomińskiego *L'Homme des Champs,* oraz tłumaczenia poszczególnych fragmentów pióra Koźmiana, Matuszewicza, Godebskiego, Karpińskiego i F. S. Dmochowskiego.

Następny i najobszerniejszy VI rozdział książki Załuskiej poświęcony jest naśladownictwom utworów Delille'a i rozpada się na dziewięć odrębnych części, zawierających charakterystykę wpływu francuskiego poety na *Rolnictwo* D. B. Tomaszewskiego, drobne utwory Karpińskiego, *Świątynię Sybilli* Woronicza, *Listy o wsi* C. Godebskiego, opisowe poematy Trembeckiego, wiersze J. U. Niemcewicza, *Okolice Krakowa* F. Wężyka, *Ziemiaństwo* K. Koźmiana, oraz szeregu innych, drobniejszych utworów jak np. I. Czartoryskiej *Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów*, Tarnowskiego *Listy o ogrodach*, ks. A. Czartoryskiego *Powrót* i *Wiejskie ogrody,* kończąc cały rozdział uwagami o wpływie Delille'a na Filomatów i Mickiewicza, nie wychodząc w tem zresztą poza zakres zbieżności, wykazanych już poprzednio przez F. Bielaka na łamach *Przeglądu Powszechnego* (1932, t. 194, str. 90) w artykule p. t. *Motywy Delille'a w „Panu Tadeuszu"*. Książkę całą zamyka krótka, ale treściwa synteza, zawierająca sporo trafnych wniosków i spostrzeżeń — jak np. uwagi o roli Delille'a w obudzeniu się powszechnego zainteresowania rodzinnym, leśnym i górskim pejzażem, lub o rozwoju stosunku człowieka do przyrody, który z klasycznego antropomorfizmu poprzez preromantyczne narzucanie naturze własnej jaźni dochodzi do romantycznego przyznania jej samoistnego życia.

Syntetyczne zdolności autorki przejawiają się zresztą nietylko w zakończeniu książki, ale i w innych jej rozdziałach, tam wszędzie, gdzie przy zestawianiu ze sobą dzieł Delille'a z ich polskiemi naśladownictwami autorka wnikliwie spostrzega szereg zasadniczych różnic i podobieństw, zachodzących między porównywanemi utworami, nie wdając się przytem w drobiazgowe zestawienia zbieżności słownych. Niemniej jednak, nie zaprzeczając

bynajmniej wielu zalet książki p. Załuskiej, należy tu wspomnieć i o pewnych jej niedociągnięciach.

Jasny i naogół logiczny układ całości posiada jednak pewną niekonsekwencję, która szkodliwie wpłynęła również i na ostateczne wyniki pracy. Jest nią IV rozdział książki p. t. „Delille na łamach czasopism polskich". Niekonsekwencja tego rozdziału wypływa przedewszystkiem ze stosunku jego do innych rozdziałów książki, nie zawiera on bowiem osobnego, samodzielnego zagadnienia, a tematyczną swą zawartością ściśle łączy się ze sprawami, poruszanemi bądź to w V rozdziale, omawiającym polskie tłumaczenia Delille'a, bądź też w VI rozdziale, poświęconym naśladownictwom utworów francuskiego poety, wskutek czego sprawy, omówione we wszystkich tych trzech rozdziałach, nie dają w każdym zosobna kompletnego obrazu i tak przy rozdziale V jak też i przy VI — należy brać pod uwagę również rozdział IV, jako zawierający szereg wiadomości o polskich przekładach i naśladownictwach utworów Delille'a. Prócz tego niewiadomo, jakiem kryterjum kierowała się autorka przy grupowaniu tego czasopiśmienniczego materjału, dotyczącego stosunku literatury polskiej do Delille'a. Jeśli jej bowiem chodziło o ustalenie w ten sposób stopnia popularności w Polsce tego francuskiego poety w pewnym okresie czasu, to nie należało ograniczać się li tylko do niektórych — najbardziej charakterystycznych — przejawów tego zjawiska, ale ostateczne wyniki swych badań oprzeć na całkowitem wyczerpaniu poruszanego zagadnienia t. j. w miarę możności przedstawić w zakreślonych sobie ramach lat trzydziestu w s z y s t k i e tłumaczenia i naśladownictwa Delille'a, poumieszczane w polskich czasopismach. A więc nie powinno się wówczas omijać ani takich przekładów, jak np. tłumaczenie niejakiego S. R. [osołowskiego?] ustępu z III-ej pieśni *Les Trois Règnes de la Nature* p. t. *Muzidora*, zamieszczonego w VI tomie *Pamiętnika Warszawskiego* z 1823 r., lub przekładów, po raz pierwszy ogłoszonych w czasopismach, a potem dopiero drukowanych w zbiorowych wydaniach poezyj danego autora, jak np. IV pieśń *Wieśniaka* w tłumaczeniu C. Godebskiego, zamieszczona po raz pierwszy nie w *Dziełach*, jak to podaje autorka na str. 64, ale w III i IV tomie *Zabaw przyjemnych i pożytecznych*. Rozumiemy — rzecz oczywista — że są to drobiazgi, ale po pierwsze przykładów takich możnaby przytoczyć znacznie więcej, a powtóre niejasne się wydaje, dlaczego autorka zlekceważyła je, mówiąc jednak w tym rozdziale o szeregu innych — bynajmniej nie ważniejszych — przejawach wpływu Delille'a na literaturę polską. Najlepiej jednak zrobiłaby autorka, gdyby ten niefortunny, czwarty rozdział swojej pracy rozparcelowała między oba następne (V i VI), przez co o wiele pełniej i plastyczniej wypadłby obraz polskich przekładów i naśladownictw Delille'a, oraz uniknęłoby się zarzutów niewyczerpania naprawdę

przepastnego zagadnienia, jakiem jest temat: „Delille na łamach czasopism polskich".

Należy tu jednak podkreślić, że nie uważamy bynajmniej za ujemną cechę książki faktu wyeliminowania przez autorkę szeregu drugorzędnych objawów wpływu Delille'a na literaturę polską — w celu bardziej wyraźnego przedstawienia ogólnych jego zarysów. Wręcz odwrotnie: w przeciwstawieniu do przeładowanych zbędnemi szczegółami prac prof. M. Szyjkowskiego — metodę taką należałoby uważać za wysoce wskazaną z tem jednak zastrzeżeniem, żeby to wyeliminowanie pewnych objawów nie objęło również zjawisk ciekawych, znamiennych i niezbędnych dla przedstawienia całości omawianego zagadnienia. I dlatego, mimo że nie można mieć do autorki najmniejszej pretensji o pominięcie zagadnienia ewentualnego wpływu Delille'a na takie drobiazgi jak np. ks. Morelowskiego *Wiersz o Wołyniu* w *Miesięczniku Połockim* (1818, III, nr. 11), lub M. Wyszkowskiego *Opis podróży do Gdańska w r. 1803* w *Nowym Pamiętniku Warszawskim* (1804) i w *Poezjach* (Warsz. 1832, s. 110) — niemniej jednak chciałoby się zaprotestować przeciw wyeliminowaniu z rozważań autorki takich kwestyj, jak np. stosunek do poematów Dalille'a znamiennego artykułu M. Grabowskiego o ogrodach w Ukrainie (*Athenaeum* 1842, IV, 136), lub Hoffmanowej *Opisów różnych okolic Królestwa Polskiego* (*Wybór pism*, Wrocław 1833, t. V i VI), a zwłaszcza wspomnień jej z Puław, lub Nieborowa i Arkadji, w których znajdujemy nawet krótką wzmiankę o Delille'u wraz z listem jego do ks. Radziwiłłowej (II, 250). Pominięcie obu tych poezyj wydaje się tembardziej nieusprawiedliwione, że autorka mimo ograniczania się do najważniejszych tylko przejawów wpływu Delille'a na literaturę polską, poświęca jednak szereg uwag książkom, bynajmniej nie posiadającym tu większego znaczenia niż wyżej wymienione — takim np. jak Tarnowskiego *Listy o ogrodach*, lub Chomińskiego przekład *L'homme des Champs*.

Naogół książka pisana jest prostemi i jasnemi zdaniami — i tu jednak zdarzają się pewne usterki jak np.: 1) w budowie zdań: „Drugim czynnikiem powodzenia Delille'a było, że potrafił..." (s. 8), lub „Malarstwo francuskie tej epoki ma zasługi, że pierwsze zerwało..." (s. 46); 2) w doborze słów: „znachodzimy" (s. 16) zamiast „znajdujemy", lub „naskutek" (s. 55) zamiast „wskutek" i 3) w gramatycznem łączeniu słów: rozprawa „...nie była znaną" (s. 19), lub „...coś jest niemożliwem" (s. 41).

Pomimo powyższych usterek książka p. Załuskiej stanowi bardzo poważny wkład w dziedzinę porównawczych badań nad literaturą polską, posiadając przytem niepoślednie znaczenie jako studjum nad rozwojem poczucia piękna przyrody i rodzimego krajobrazu w opisowej literaturze polskiej — tem cenniejsze, że oparte na materjale, pomijanym dotychczas przeważnie w badaniach literackich. *Czesław Zgorzelski.*

Johannes Hollnsteiner: Die Spruchpraxis der S. Romana Rota in Ehenichtigkeitsprozessen seit Geltung des C. J. C. Freiburg im Breisgau 1934, Herder & Co. Str. VIII + 163.

Praca powyższa będzie zapewne chętnie przyjęta zarówno przez teoretyków prawa małżeńskiego, jak zwłaszcza zainteresowanych w sądach małżeńskich. Autor, obrońca węzła małżeńskiego przy sądzie Arcybiskupim w Wiedniu, podnosi słusznie w przedmowie, że nawet najlepiej skodyfikowane prawo nie czyni zadość potrzebom, jeśli jego interpretacja pozostawiona jest poszczególnym sędziom. Usunąć niepodobną do uniknięcia w tym wypadku dowolność stosowania ustawy mogą jedynie decyzje najwyższych sądów, gdyż te odzwierciedlają sens właściwy prawa i podają uzasadnienie wyroku. Ponieważ taką najwyższą instancją dla spraw małżeńskich w Kościele katolickim jest Św. Rota Rzymska, przeto autor przeglądnął drukowane i archiwalne jej akta i zestawił te miejsca, które mogą objaśnić procedurę oraz sposób formułowania i uzasadniania wyroku. Autor ogranicza się przytem z praktycznych względów do ostatnich kilkunastu lat, ponieważ zwięzłe i jasne ujęcie ustawodawstwa małżeńskiego w nowym Kodeksie Prawa Kanonicznego dodaje dużej, w porównaniu z dawnemi, przejrzystości aktom Św. Roty. Z dawniejszych aktów zostały przytoczone tylko te miejsca, które odznaczają się klasycznem i do dziś dnia używanem sformułowaniem.

Autor zaczyna od dobrego, krótkiego wstępu historycznego o sądach papieskich od czasów najdawniejszych do chwili obecnej, poczem przechodzi do właściwej rzeczy i zestawia trzy grupy procesów o unieważnienie małżeństwa: jedne oparte na przeszkodach zrywających (impotentia, raptus, consanguinitas, affinitas), drugie na wadliwości oświadczenia (error, vis et metus, conditio), trzecie na brakach dotyczących formy zawarcia związku. W dodatku końcowym zamieszczone są, oparte na dokumentach Św. Roty, wskazówki co do sposobu prowadzenia procesu i powoływania świadków. Ponieważ przy poszczególnych rozdziałach przytacza autor odpowiednie paragrafy Kodeksu Prawa Kan., oraz ważniejsze objaśnienia, zaczerpnięte z nowego wydania Traktatu kan. o małżeństwie kard. Gasparri'ego, przeto praca powyższa ma nietylko znaczenie praktyczne dla sądów kościelnych i wszystkich duszpasterzy, aby mogli udzielić porady prawnej w tej materji, ale może dopomóc wszystkim do zapoznania się z tym tak często błędnie rozumianym odcinkiem sądownictwa kościelnego.

Ks. S. Podoleński T. J.

Światopogląd morski. Praca zbiorowa pod redakcją Józefa Borowika. Pamiętnik Instytutu Bałtyckiego XV, Serja: Dominium Maris, zeszyt 6. Wyd. Inst. Bałt. Toruń 1934, str. XVI + 390.

Poważna ta publikacja, w której trzynastu wybitnych uczonych i znanych mężów stanu oddaje do publicznego użytku wy-

kłady swe, wygłoszone w latach 1931—1933 w Oddziale Instytutu Bałtyckiego w Gdyni, jest dojrzałym owocem wytężonej pracy Instytutu w kierunku wytworzenia w Polsce „światopoglądu morskiego" i oparcia go na ścisłych zasadach naukowych. Przegląd poszczególnych wykładów dowodzi, że obecnie w Polsce nawet bardzo od siebie odległe dziedziny wiedzy, przeniknięte ideą morską mobilizują „się i zwartym frontem zwracają się ku północnym i zachodnim drogocennym rubieżom Rzeczypospolitej". Franciszek Bujak w wykładzie: „Kultury morskie i lądowe" (str. 1—19), naszkicował historyczne przesłanki obecnego stanu rzeczy, polegającego na tem, że kultura całej ludzkości stała się kulturą morską, że żegluga morska stała się koniecznością życia społeczeństw cywilizowanych. Stąd jasny wniosek, że i Polsce „navigare necesse est", że pomyślność polityki wschodniej, lądowej, uzależniona jest ściśle od silnej i konsekwentnej polityki bałtyckiej. Józef Widajewicz w rozprawie: „Słowianie zachodni na Bałtyku" (str. 20—47) omawia ludy zamieszkujące od najdawniejszych czasów krainy nadbałtyckie, jako to Obodrytów, Weletów, Ranów, Pomorzan i Polaków. Mapka rozsiedlenia zachodnich Słowian nad Bałtykiem i wykaz literatury podnoszą wartość rozprawy. Syntetyczny charakter ma wykład Kazimierza Tymienieckiego p. t.: *Dziejowy stosunek Polaków do morza* (str. 48—75), w którym mowa o kulturach morskich słowiańskich wogóle a nadbałtyckich w szczególności, o dążeniu Polski do utrzymania stanu posiadania na Bałtyku, niebezpieczeństwach ze strony Niemiec, Krzyżaków, Brandenburczyków, o dziejach polityki morskiej Jagiellonów i królów obieralnych, wreszcie o klęsce, jaką Polska poniosła nad Bałtykiem. Tę samą sprawę z innego punktu widzenia poruszają: Władysław Konopczyński *Kwestja bałtycka jako zagadnienie międzynarodowe w czasach nowożytnych* (str. 76—92) i Zygmunt Wojciechowski *Rozwój terytorjalny Prus w stosunku do ziem macierzystych Polski* (str. 93—134), który zasługuje na uwagę też i z tego względu, że jasno określa co należy uważać za „macierzyste" terytorja polskie. Bożena Stelmachowska w artykule *Stosunek Kaszub do Polski* (str. 135—162) przedstawia walkę o zachowanie polskości na Kaszubach, język i kulturę ludową Kaszubów. Kazimierz Stołykwo ocenia *Zagadnienie rasy nordycznej w nauce i polityce* (str. 165—176) wykazując wpływy polityczne na ekspansję ruchu nordycznego. Literacki charakter ma praca Romana Dyboskiego *Żywioł morski w twórczości Józefa Konrada* (str. 177—195). Losy elementu polskiego nad Bałtykiem wyświetla praca Witolda Kamienieckiego *Polska nad Bałtykiem* (str. 196—213). Z punktu widzenia życia gospodarczego bardzo instruktywne są wykłady Czesława Klarnera *Śląsk i Pomorze jako symbole naszej niezależności* (str. 214—269) i Wacława Olszewicza *Węgiel i morze* (str. 270—298). Publikację zamykają fachowe roz-

prawy Bogdana Zaborskiego *Zarys morfologji północnych Kaszub* (str. 299—346) i Jana Nowaka *Geologiczna przeszłość Bałtyku* (str. 347—375).

Różnorodność i dobór tematów, ich interesujące i poglądowe przedstawienie, ściśle naukowe opracowanie zaleca tę publikację jak najszerszym kołom społeczeństwa. Bezwzględnie powinna ona znaleźć się w rękach nauczycieli historji i geografji, w bibljotekach szkolnych, kół krajoznawczych i wszelkich instytucyj oświatowych. *Ks. Jan Poplatek T. J.*

Nikolai Bierdiajew: Wahrheit und Lüge des Kommunismus. Deutsch von J. Schor. Vita Nova Verlag, Luzern 1934, str. 135.

Współczesny filozof rosyjski na emigracji, Mikołaj Bierdiajew, jest niezaprzeczenie jednym z tych myślicieli, którzy najgłębiej przejrzeli istotę bolszewizmu, jego metafizykę, dynamikę, i umieją się wznieść na te wysokości pogodnego filozoficznego myślenia, z których można beznamiętnie sądzić o najgorszych wrogach. O bolszewiźmie, którego sam jest ofiarą, jako wydalony z rodzinnej ziemi, Bierdiajew dużo pisze w rosyjskich swych pracach. Książka niemiecka jest tłumaczeniem kilku rozpraw Bierdiajewa, które ukazały się w latach ostatnich. Bierdiajew tłumaczy powodzenie bolszewizmu między innemi i tem, że mieści on w sobie kilka ważnych prawd, od których, w praktyce przynajmniej, odwraca się świat niby-chrześcijański. Ale te prawdy nie zdołają przeważyć jednego wielkiego kłamstwa, jakie bolszewizm rosyjski postawił jako jedną z naczelnych „prawd" swej ideologji. Jest niem jego ateizm. Głównie ateizmem zajmuje się książka Bierdiajewa. Odsłania jego korzenie w psychice rosyjskiej, jego ewolucję w umysłach i jego fanatyzm kiedy obecnie występuje już w charakterze urzędowego wyznania Sowietów. Dużo z książki Bierdiajewa można się nauczyć, np. rozumienia czem jest właściwie ów „dialektyczny materjalizm", który jest uważany za obowiązującą w Rosji sowieckiej, filozofję. Zwraca w książce Bierdiajewa uwagę czytelnika jedno dziwne przeoczenie: nie widzimy wpływu psychiki żydowskiej na rozwój bolszewizmu i ateizmu, tak jakby wszystko to było niepodzielnym produktem duszy rosyjskiej. Niezorjentowany Europejczyk gotówby mniemać, że wszystkie wielkie figury, jakie zaważyły na triumfie ideologji bolszewickiej, nie wyłączając takich jak Trocki czy Jarosławski — to rdzenni Rosjanie! Należałoby tutaj przeprowadzić wnikliwszą analizę i oddać *suum cuique*. *Ks. J. Urban.*

Tadeusz Kasprzycki, generał brygady: Kartki z dziennika oficera I. brygady. Warszawa 1934, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, str. XIV+543.

Badacz krwawych zmagań narodów w ostatniej wojnie, nauczyciel historji, całą duszą pragnący przed umysłami młodzieży

odtworzyć dzieje nadludzkich wysiłków szarego polskiego żołnierza, wysiłków, z których zrodziła się wolna Polska, musi polować niejako na drobiazgowe a rozrzucone po różnych publikacjach, wiadomości. Nie czas jeszcze na syntetyczne ujęcie orężnego czynu żołnierza polskiego, ograniczyć się przeto należy do pamiętników, dzienników i t. p. książek. Dzieje pierwszej brygady zajmują we wspomnianej literaturze pierwsze miejsce pod względem liczebności druków. Różna ich wartość, ze względu na różny charakter autorów, ich uzdolnienie osobiste i stanowisko, jakie w brygadzie posiadali. Wspomnienia szeregowców, to przeważnie zbiory anegdot, więcej mógł zaobserwować i przekazać historji dowódca wyższej jednostki.

Dlatego książka gen. Kasprzyckiego, który do 14 września 1915 r. pełnił funkcje oficera w sztabie brygady, siłą rzeczy bardziej interesuje badacza, niż inne publikacje z tego zakresu. Jest to dziennik współczesny, pisany przez gen. Kasprzyckiego w nielicznych chwilach spokojnych, a przeważnie w zamęcie i rozgwarze bitewnym, pod wtór muzyki i ognia karabinowego czy armatniego. Chwyta on życie brygady na gorącym uczynku, kreśli je w krótkich, twardych ale wymownych żołnierskich słowach, ilustruje zdarzenia raportami, rysunkami sytuacyjnemi i wycinkami map topograficznych. W dzienniku, pisanym z dnia na dzień, a uzupełnionym i rozszerzonym później zaledwie w kilku miejscach, znajdzie inteligentny, obeznany z literaturą legjonową, czytelnik, mnóstwo materjału do refleksyj. Przed oczyma jego przesunie się długie pasmo codziennych krwawych zapasów brygady z Rosjanami, tarć z Komendą austrjacką w obronie honoru i samodzielnego stanowiska tej pierwszej polskiej jednostki wojskowej, jej krzepnięcie wewnętrzne i wawrzyny, jakie młody żołnierz zbierał na polu walki. Bez obawy stwierdzić należy, że te właśnie „kartki z dziennika" dają pełny i wyczerpujący obraz losów brygady do 14 września 1915 r. Zdarzają się w książce drobne przeoczenia, ale tylko w rzeczach ubocznych. Podaję ich kilka dla przykładu. Na str. 475 w indeksie, wzmianka o „ś. p." Krasickim, poruczniku kawalerji austrjackiej. O ile mi wiadomo, August hr. Krasicki, który jako kawalerzysta i porucznik austrjacki, na własne żądanie przydzielony został do Komendy Legjonów, nietylko nie umarł, ale żyje dotąd i gospodaruje w swem rodzinnem Lesku. Na podstawie wojskowej mapy austrjackiej notuje gen. Kasprzycki nazwy miejscowości, w których brygada toczyła boje. Wskutek tego wkradły się do dziennika pewne błędy. Np. zamiast Dąbrowice (str. 391, 393 i t. d.) powinno być Dąbrowica, zamiast Płonszowice (str. 389), należy pisać Płowoszowice. Nazwa Dąbrowica od XV wieku, aż do chwili obecnej nie uległa zmianie (zob. Pawiński Adolf, *Małopolska,* T. IV, str. 29 a; Starowolski, *Monumenta Sarmatorune,* passim, oraz Słownik Geogr. Król. Pol. T. I, 930 i t. p.). Płonszowice pochodzą od

nazwy Płowoszowice (w. XVII). Telegraficzny a mimo to plastyczny i barwny styl i sposób pisania gen. Kasprzyckiego przykuwa uwagę czytelnika do jego książki. Szata zewnętrzna, liczne, nieznane w dotychczasowych publikacjach legjonowych, fotografje, mapki, umieszczone na końcu dziennika, wykazy biograficzne i topograficzne podnoszą bardzo wartość pracy, a strona edytorska, podobnie, jak w innych tego rodzaju publikacjach, przynosi chlubę Wojskowemu Instytutowi Naukowo-Wydawniczemu.

Ks. Jan Poplatek T. J.

Henri Davenson: Fondements d'une Culture chrétienne. Cahiers de la Nouvelle Journée. 27. Librairie Blond et Gay, Paris. Str. 200.

Stosunek chrześcijaństwa do kultury należy do tematów, które w naszej dobie niejako „wiszą w powietrzu" i zaprzątają wiele umysłów. Davenson jest przedstawicielem młodych katolików francuskich, którzy zrozumieli, że kultura zlaicyzowana nie potrafi zaspokoić ich duchowych i estetycznych aspiracyj i dostrzegają, że całą kulturę, począwszy od techniki materjalnej a na sztuce kończąc, winna przenikać jakaś myśl jedna kierownicza i jednocząca. W języku Davensona znaczy to, że kulturą, godną tej nazwy może być tylko kultura „metafizyczna". Ma on na myśli tutaj metafizykę chrześcijaństwa, chrześcijańską naukę o człowieku, naturze ludzkiej, nieśmiertelności duszy, przeznaczeniu człowieka i t. d. W książce Davensona można odróżnić krytykę kultury, oderwanej od „metafizyki" i próbę konstrukcji kultury na fundamencie chrześcijaństwa. Trzeba tu przyznać, że krytyka lepiej się udała autorowi od konstrukcji pozytywnej. W tej ostatniej za mało rozwinięte jest znaczenie poszczególnych dogmatów chrześcijańskich dla życia kulturalnego, a nadto plan praktycznego oddziaływania wierzących katolików na kulturę wypadł zbyt blado. Poprostu w warunkach rzeczywistości francuskiej trudno jeszcze wyobrazić sobie zbiorowe wysiłki w kierunku uchrześcijanienia kultury, autor zatem ogranicza się do wskazówek, skierowanych do katolików różnych zawodów, jako jednostek. W każdym razie, książka Davensona, napisana żywo, często przemawiająca ogniście do umysłów młodych, godna jest czytania i u nas zwłaszcza w różnych ośrodkach katolickiej młodzieży akademickiej.

Ks. J. Urban.

Anton Orel: Wahre Ständeordnung, Ihr Geist, Wesen, Wirken. 8°. Str. 98. Graz 1934.

W publicystyce polskiej prawie że niema echa po t. zw. katolicko-społecznym manifeście, który w bieżącym roku wydało Koło Katolickich Socjologów wiedeńskich. Dlatego z tem większem zainteresowaniem czyta się broszurę Orela, komentującą sens

i praktyczne znaczenie manifestu. Czem jest manifest i nowy stanowy ustrój społeczny, który propaguje zarówno manifest jak i p. Orel, to dałoby się ująć w kilku, powiedziećby należało — hasłach: Kapitalizm zbankrutował! Gdzie jest zysk, tam jest krzywda! Spółki akcyjne są nieetyczne! Każdy człowiek ma prawo do własnego gniazda rodzinnego na realnej własności i posiadaniu! Należy znieść wielkie przedsiębiorstwa! Trzeba usunąć z powierzchni ziemi dwa kłócące się stany przemysłowców i robotników! Należy znieść domy towarowe! Od życia gospodarczego trzeba wykluczyć żydów! Za podstawę stosunków społeczno-gospodarczych nie może służyć prawo rzymskie!

Nie powiedzieliśmy wszystkiego, co jako wytyczne i hasła nowego programu katolicko-społecznego wiedeńskiego ośrodka socjologów, możnaby było wysnuć z pracy p. Orela. Jednakowoż już z tego, co pozwoliliśmy sobie przytoczyć mamy wrażenie, że doskonale scharakteryzowaliśmy poglądy p. Orela, jak i sposób jego podawania przekonań społecznych w swych publikacjach. Nie można inaczej powiedzieć, jak, że są sensacyjne, owszem, wprost radykalne, a to, co pozostaje jeszcze pod znakiem zapytania, to kwestja, czy nie są utopijne.

Na rozstrzygnięcie tej kwestji trzebaby było poświęcić nie kilka słów recenzji, ale obszerne rozprawy ekonomiczno-społeczne.

Cokolwiek rzeczywistość życiowa, czy specjaliści, teoretycy-socjologowie, powiedzą na temat manifestu i poglądów autora w najbliższej, czy dalszej przyszłości, śmiemy twierdzić, iż dziś wszyscy, których sprawa społeczna interesuje nietylko jako temat do narzekania, ale jako problem do opracowania ze stanowiska katolickiego, powinni się zaznajomić z tą broszurą.

Ks. Romuald Moskała T. J.

Tihamér Tóth: Życie piękne i czyste. (Przekład autoryzowany) Str. VIII + 167. Nakładem Księg. św. Wojciecha.

Cel książki zaznacza autor zaraz we wstępnym rozdziale, mianowicie, aby dusza młodzieńca „pozostała zawsze kryształową". Dlatego przypomina mu piękność zamiarów Bożych w stworzeniu pierwszej pary ludzi — zamiarom Stwórcy ma odpowiedzieć każdy młodzieniec. Przygotowaniem do tego jest wiek przejściowy, którego doniosłość i ogromny wpływ na dalsze życie rozwija autor gruntownie. Wiele niebezpieczeństw grozi młodzieńcowi w tym okresie, wszystkie przechodzi autor szczegółowo, wykazując bez przesady skutki ulegania ponętom grzechu. Słusznie podkreślił, jak bardzo wstrzymują młodzieńca od czystego życia urojone prawa młodości, głoszone przez różne pisma i zepsute otoczenie — na wszystkie te podszepty daje autor czytelnikowi rzeczowe odpowiedzi. Często spotykane twierdzenie, jakoby życie czyste szkodziło zdrowiu, zbija nie tylko wykazaniem niedorzeczności takiego

twierdzenia, lecz także powagą najwybitniejszych lekarzy. W pięknych barwach przedstawia wartość życia czystego, dając zarazem wielką ilość środków praktycznych i łatwych do stosowania, aby się utrzymać na drodze cnoty. Zdaje się jednak, że za mało stosunkowo miejsca poświęcił autor środkom nadprzyrodzonym, jak sakramentom św. i modlitwie. Ogół bowiem pedagogów katolickich zgadza się, że wszystkie środki naturalne, chociaż bardzo dobre, są tylko drugorzędne. Głównem źródłem siły duchowej pozostaną zawsze sakramenta św. i modlitwa, dlatego wypadało silniej je podkreślić.

Treść książki urozmaicają dobrze dobrane zdania mędrców starożytnych i nowożytnych uczonych, a piękne obrazy przykuwają fantazję. Naogół bije z treści miła bezpośredniość w przemawianiu do czytelnika. Zważywszy liczne zalety książki, trzeba stwierdzić, że zasługuje na poparcie u katechetów i wychowawców, by dostała się do rąk młodzieży, a może też duże usługi oddać rodzicom i wychowawcom.

Wład. Markucki T. J.

Dr. Stefan Pomarański: Józef Piłsudski. Życie i czyny. Wydanie dwunaste uzupełnione. Warszawa 1934, str. 63.

O użyteczności tej broszury świadczy wielki popyt, jakim ona się cieszy. Wydanie, o którem mowa jest już dwunastem zrzędu. Autor, znany z licznych rozpraw i publikacyj na temat polskich ruchów wolnościowych w XIX i XX wieku, nadał swej książeczce o Józefie Piłsudskim podwójny charakter: historyczny i polemiczno-apologetyczny. Strona historyczna, oparta o bardzo liczną w tym zakresie literaturę, jest bez zarzutu. Mniej dodatnio przedstawia się część polemiczno-apologetyczna, zbyt może jednostronnie naświetlona i daleka od wersalskiego tonu wykładu.

Jan Poplatek T. J.

Friedrich Lorentz — Adam Fischer — Tadeusz Lehr-Spławiński: Kaszubi. Kultura ludowa i język. Pamiętnik Instytutu Bałtyckiego XVI. Serja: Balticum, zeszyt 8. Wyd. Inst. Bałt. Toruń 1934, str. XVIII + 306.

Jest to praca wyjątkowa w swoim rodzaju, dokonana wspólnym wysiłkiem trzech uczonych, z których dwóch reprezentuje naukę polską, a trzeci Niemiec, prof. Lorentz pracuje w Gdańsku. Na podstawie gruntownych studjów nad Kaszubami, ich językiem, kulturą materjalną, społeczną i duchową, oraz po bezstronnem, czysto objektywnem porównaniu wszelkich zjawisk językowych i kulturalnych kaszubskich z polskiemi, dochodzą Autorowie zgodnie do wniosku, że „dla Kaszubów język polski był językiem literackim", że „literatura kaszubska zajmować będzie, tak jak dotąd, w stosunku do polskiej tylko stanowisko literatury gwarowej",

że „Kaszubi, mimo zewnętrznego przyswojenia sobie zdobyczy kultury niemieckiej, wewnętrznie pozostali tem, czem byli od początku, ludem słowiańskim", że „kultura ludowa kaszubska, w niczem nie jest różna od polskiej, bo jest polska" i zbliżona szczególnie do kultury Polski południowej i zachodniej, że narzecze kaszubskie stoi z punktu widzenia rozwojowego na jednej płaszczyźnie z innemi narzeczami polskiemi. Praca ta powinna wreszcie położyć kres tendencyjnej a płytkiej literaturze obcej, uprawianej na komendę i krętemi drogami zmierzającej do wykazania zupełnej odrębności Kaszubów od Polaków.

Ks. Jan Poplatek T. J.

Robert Mäder: Chrystus Wielki Monarcha. Wyd. Kultury Katolickiej tom IV. o. 153, Poznań 1934.

W siedmiu rozdziałach autor przedstawia zbrodnie ludzkości która ucieka przed Chrystusem, chce być wobec Niego neutralna, jakkolwiek w głębi serca tęskni za królem a w końcowym rozdziale przedstawia nam Boga jako Ojca, Kościół jako Matkę ludzkości.

Rzecz napisana z niesłychaną siłą, w formie raczej propagandowych przemówień, niż spokojnych rozważań. Pełno w niej zdań, stanowiących daleko idące syntezy historjozoficzne i wnioski, lecz ponieważ myśli swych autor nie mógł dostatecznie rozwinąć, wskutek tego niekiedy i jego najgłębsze uwagi mogą na czytelnikach mniej głęboko wykształconych, czynić wrażenie jakby frazesu. Dla myślących i wczuwających się w dzieje świata i sens dzieła Odkupienia, praca autora przedstawia dużą wartość.

Ks. R. M. T. J.

Notatki bibljograficzne.

Ks. Dr. W. Śpikowski: W krzyżu zbawienia. Str. 104. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, 1934.

Treścią tej książki są rozważania, jak je określa sam autor w podtytule. Lecz to co czcig. autor podaje we wstępie, to nie tyle spokojne rozważania, ile raczej urywane myśli, nerwowo rzucane obrazy, jak na żywo wyrwane z burzliwego dziś świata. Dopiero potem wiedzie autor czytelnika pod Krzyż, gdzie przeżywa on kojące sam na sam z Mistrzem, który na nim zawisnął. Dusza zostaje tu już do końca prawie milcząca, podczas gdy Mistrz poucza ją o prawdach wiary, które wszystkie zdają się wiązać i oplatać drzewo Krzyża. Pod sam koniec autor wprowadza ponownie czytelnika do świata, ale drogą jakąś inną, świeżą i odnowioną. Te proste refleksje, jakie podsunęło zapewne pod pióro autora 1900-lecie Odkupienia, mogą przynieść pożytek niejednej duszy.

Inż. Jerzy Grabowski: Piłka nożna. Warszawa 1935, Główna Księgarnia Wojskowa. Str. 96 z ilustr. (1.80 zł.).

Jeden z najbardziej rozpowszechnionych i dostępnych sportów, który uprawiany należycie łączy w sobie korzyści ćwiczeń jednostkowych i zespołowych, znalazł tu doskonałe opracowanie. Autor podaje bowiem historję gry w piłkę nożną, następnie szczegółowy opis techniki i taktyki gry, oraz jej prawideł, a wkońcu nieco wskazówek o możliwych obrażeniach cielesnych i sposobach ratunku. Liczne ilustracje dopełniają szczęśliwie sam opis.

J. Baran, W. Sikorski, A. Wójcicki: Piłka koszykowa. Tamże 1935, str. 176 z ilustr. (4.50 zł.).

Piłka koszykowa należy do sportów, które w ostatnich latach szczególnie silnie się rozwinęły, a mają duże znaczenie dla wychowania fizycznego. Książka powyższa jest pierwszym polskim podręcznikiem, opracowanym na podstawie najlepszych wzorów zagranicy i rodzimego doświadczenia. Autorowie podali tu najnowsze zdobycze techniki i taktyki w dziedzinie tej gry, metody jej nauczania i treningu, opis boiska i sprzętu, przepisy i wskazania organizacyjne.

Jerzy Podoski: Pistolet w walce i sporcie. Tamże 1935. Str. 126 z ilustr. (2.50 zł.).

Autor, doskonały znawca broni palnej, daje tu małą encyklopedję krótkiej tego rodzaju broni. Skreśliwszy zwięźle historję pistoletu wogóle, a w Polsce w szczególności, omawia trzy typy pistoletów: wojskowe, kieszonkowe i tarczowe, ich zalety i wady. Następnie daje praktyczne, dokładne wskazówki przy strzelaniu do tarcz białych i przy szkoleniu, sposób noszenia i konserwowania pistoletu. Książkę zdobią liczne ilustracje.

L. Dobrzyńska-Rybicka: Powodzenie życiowe. Gawędy harcerskie z dziedziny psychologji, socjologji i etyki. Poznań 1934, Jan Jachowski. Str. 59.

Kilka gawęd pana Piotra z czterema młodymi harcerzami w letnim obozie. Forma ożywionej rozmowy, nieco akcji, tematy ważne — rozbudzenie odwagi do życia, zwalczanie wszystkiego, co temu stoi na przeszkodzie, umiejętność zastanawianie się, wytrwałość w dążeniu do celu, oparcie o zasady moralne, solidarność i współżycie z drugimi. Wywody przeprowadzone logicznie nadają się dla młodzieży myślącej, a dostarczą również tematu i sposobu ujęcia go dla tych, którzy nad młodzieżą pracują.

Dr. Jan Galicz: Bibljoteka polska Teologów Wrocławskich w Ołomuńcu i Widnawie. Cieszyn 1934, „Dziedzictwo bł. Jana Sarkandra". Str. 48.

Wiadomo, że w dziele podtrzymania polskości i odrodzenia narodowego ludności Śląska Cieszyńskiego duże zasługi położyło,

podobnie jak na Górnym Śląsku, duchowieństwo katolickie polskie. Lecz i nad jego formowaniem trzeba było pracować, gdyż środowisko, z jakiego wychodziło, niezawsze sprzyjało narodowemu jego wychowaniu. Otóż w tem przygotowaniu wielką rolę odegrało zaopatrzenie alumnów seminarjum duchownego w polską literaturę i czasopisma. Dzieje rozwoju tej akcji i samej bibljoteki stanowią właśnie przedmiot powyższej broszury.

J. Doyen: Cloches intérieures, Téqui, Paris 1934.

Są to krótkie rozważania o prawdach życia i wieczności. Książka nie ma pretensyj naukowych, prawdy te ujmuje względnie przystępnie. Autor ma tę zaletę, że przeważnie umie podejść zręcznie do rzeczy trudnych lub ujmować świeżo tematy powszechnie znane, pospolite. Niektóre refleksje jak np. rozdział o pracy należą do dosyć oryginalnych. Autor dotyka delikatnie różnych zagadek ludzkich, rozwija niektóre z ich nici, a następnie wskazawszy, że ich kłębek ginie w górze, rzuca nań lekką smugę światła — sam usuwa się z szacunkiem, zostawiając czytelnika samego w obliczu prawdy. Pożyteczną tę książeczkę zdobi szereg obrazków, reprodukcyj wielkich malarzy.

Dr. W. Mut: Pójdźmy drogą krzyża. O chrześcijańskiem cierpieniu. Podług III wyd. niemieckiego podał do druku ks. Stan. Szpetnar. Kielce-Karczówka, Zgrom. SS. Służebnic N. Serca Jez., 1934. Str. 223. (1·30 zł.).

Książka znanego autora niemieckiego, ulubiona lektura Teresy Neuman, stara się wyjaśnić pytanie, dlaczego człowiek cierpi, aby przynieść pociechę osobom dotkniętym krzyżem. Cała rzecz obraca się koło tajemnicy krzyża, a przeplatana jest myślami i zdaniami różnych Świętych, oraz hymnami brewjarzowemi o krzyżu, podanemi w tłumaczeniach najlepszych polskich.

Ks. Stanisław Pasławski: Pokrzyżowane plany. Warszawa 1935, Tow. Wyd. Kronika Rodzinna. Str. 304 z ilustr.

Ks. St. Pasławski, długoletni prefekt, zna dobrze psychikę młodzieży szkolnej i dał się już poznać z kilku powieści dla młodzieży, wydanych w tem samem Wydawnictwie, które spotkały się z chętnem przyjęciem u czytelników. Autor stara się dobierać tematy życiowe i szczególnie aktualne, a umie je przedstawić zajmująco i plastycznie. Książka niniejsza, należąca do cyklu „Potęga przyjaźni", wykazuje doniosłość dobrej przyjaźni w życiu dziewcząt.

Bajki Kryłowa, z licznemi ilustracjami. Wydanie pełne. Warszawa 1935. Str. 432.

Już przed paru laty wydał tłumacz, kryjący się pod pseudonimem Charix, przekład pewnej części bajek Kryłowa, a za-

chęcony powodzeniem, zajął się przetłumaczeniem całości dorobku rosyjskiego pisarza, zaopatrując go w niniejszej książce wstępem i objaśnieniami. Ponieważ bajki Kryłowa, mimo stulecia jakie nas dzieli od ich powstania, nie straciły sławy i dydaktycznej wartości, spodziewać się należy że i obecne wydanie zostanie przyjęte z uznaniem.

Edward Nehring: Zasady łyżwiarstwa. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Str. 138 z ilustr. (2.80 zł.).

Przy szerokiem rozpowszechnieniu pięknego sportu łyżwiarskiego zostanie z pewnością chętnie przywitana niniejsza praca znanego łyżwiarza i działacza sportowego, podająca zwięźle ujęty całokształt tej sztuki. Poza elementarnemi wskazówkami znajdują się tu pouczenia dla wyścigowców, oparte na wzorach norweskich i fińskich, praktyczne lekcje jazdy figurowej, oryginalnie przedstawione na szeregu sylwetek łyżwiarza w poszczególnych fazach danej figury; nadto jest podany tu szczegółowy plan standardowego toru wyścigowego, oraz wskazówki dla organizatorów zawodów i sędziów łyżwiarskich.

Włodzimierz Krygier: Hokej na lodzie. Tamże 1935. Str. 94 i Regulamin sportowy str. 38, z ilustr. (2.80 zł.).

Przy rosnącem zainteresowaniu hokejem staje się ten sport coraz popularniejszym w okresie zimowym i autor, b. reprezentant Polski i kapitan polskiej drużyny olimpijskiej, oddaje dużą przysługę przez napisanie niniejszego podręcznika. Opisuje on naprzód historję hokeju zagranicą i w Polsce, a następnie przechodzi szczegółowo: sprawy boiska, technikę i taktykę gry z podaniem dokładnem szczegółów, kwestję zaprawy; jako osobny dodatek załączony jest regulamin sportowy Polskiego Związku Hokeja na Lodzie i międzynarodowe prawidła gry.

Dr. Wacław Korabiewicz: Kajakiem do minaretów. Tamże 1935. Str. 262 z ilustr. (4.80 zł.).

Autor, były lekarz Daru Pomorza i jeden z „włóczęgów" w wielkim stylu, kreśli tu dzieje swych dwóch wypraw kajakiem żaglowym, któremi przebył szlak Polska-Ateny. Pierwsza z nich, rozpoczęła się od Nowego Targu przez rzekę Orawę, Wag, Dunaj do Morza Czarnego, a stąd do Stambułu; druga morzem tylko od Konstantynopola do Aten. W chwili gdy pamiętnik autora ukazuje się w handlu, wsiada on na nowy kajak, tym razem w podróż Kołomyja-Szanghaj, obliczoną na dwa lata. Opis dotychczasowych przygód, wysoce nieraz dramatycznych, oraz spostrzeżeń o miejscach i ludziach widzianych, podany jest barwnie i z odczuciem, a zarazem z humorem.

Ks. Franciszek Dymarski i Zygmunt Hoffmann-Krystyańczyk: Sztokholm i okolice. Str. 176 z 5 mapkami i 9 rycinami. Poznań 1935.

Po omówionym już przez nas przewodniku po Londynie przyszła teraz kolej na Sztokholm i, szeroko pojętą, jego okolicę. Jasny, praktyczny sposób ujęcia, który zapewnił takie powodzenie poprzedniemu tomikowi, zgotuje zapewne życzliwe przyjęcie także obecnemu. Wychodzi on zresztą dość znacznie poza granice, zakreślone w tytule, gdyż obok właściwych wskazówek daje również rzeczowy wstęp o Szwecji i jej stosunkach, a nakońcu dołącza słowniczek polsko-szwedzki z najpotrzebniejszemi wyrazami i rozmówkami.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem różnych:

Jan Franciszek Drewnowski: Zarys programu filozoficznego. (Odbitka z *Przeglądu Filozof.*) Warszawa 1934. Str. 103.

Ks. Tadeusz Glemma: Stosunki kościelne w Toruniu w stuleciu XVI i XVII na tle dziejów kościelnych Prus Królewskich. Toruń 1934, T-stwo Naukowe Tor. Str. 228.

Eucharistia. Encyclopédie populaire sur l'Eucharistie. Publiée sous la direction de Maurice Brillant. Paris 1934, Bloud et Gay. Str. X+1022.

Karol Koźmiński: Józef Sułkowski. Warszawa 1935, Główna Księgarnia Wojskowa. Str. 331.

A. W. Jakubski: Czerwiec polski. (Porphyrophora Polonica L.) Studjum historyczne, ze szczególnem uwzględnieniem roli czerwca w historji kultury. Tom I. Warszawa 1934, Kasa im. Mianowskiego. Str. XX+504.

Paweł Wyskota Zakrzewski: Pamiętnik Wielkopolskiego Powstańca z 1863 roku. Poznań 1934, *Dziennik Poznański* Str. 90.

Gaëtan Bernoville: Les Jésuites. Paris 1934, B. Grasset. Str. 334.

Mieczysław Smolarski: Hanna Krzemieniecka. Dzieje myśli i twórczości. Warszawa 1935, Kasa im. Mianowskiego. Str. 114 z ilustr.

Władysław Folkierski: Od Chateaubrianda do Anhellego. Rzecz o związkach między przedmistycznym okresem Słowackiego a romantyzmem francuskim. Kraków 1934, Polska Akademja Umiejętności. Str. 162.

Henryk Mianowski i Ludwik Berger: Izby przemysłowo-handlowe wobec etatyzmu. Kraków 1934, T-stwo Ekonomiczne Krakowskie. Str. 61.

Henri Hauser: Polityka ekonomiczna dnia dzisiejszego i jej niebezpieczeństwo dla pokoju. Tamże, 1934. Str. 12.

Joseph Bonhomme O. M. J.: Noir Or. Le Basutoland, Mission Noir, Maison d'or. Montréal (Canada), Les Missionnaires Oblats de M. I. Str. 281.

Rainer Maria Rilke: Księga godzin, z trzech ksiąg złożona. Przełożył Witold Hulewicz. Wilno 1935. Str. 180.

Hymny średniowieczne. Przełożyła Jadwiga Garuska-Łempicka. Rzecz o hymnach napisał Józef Birkenmajer. Lwów 1934. nakł. Filomaty. Str. 238.

Jan Rogala: Forma a tendencje w dziedzinie religijnego i moralnego wychowania młodzieży szkolnej. Warszawa 1935. Str. 47.

Bolesław Prus: To i owo, właściwie zaś ani to, ani owo, czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci. Zbiorowe wyd. pism B. Prusa, pod znakiem P. Akademji Lit., t. I. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 223.

Il regime spirituale della vita religiosa. Appunti su conversazioni a Novizie e suore. Par l'autore die „Come Gesu formo i suoi novizi". Torino, Roberto Berruti & C. Str. 162.

Dr. inż. Jan Karol Sondel: Gospodarstwo włościańskie a kapitalizm. Z przedmową prof. A. Krzyżanowskiego. Lwów 1934, Książnica-Atlas. Str. VIII+175.

Ks. Dr. Franciszek Konieczny: Modlitwa u ludów pierwotnych. Studjum historyczno-religijne. Lwów 1934, „Bibljoteka Religijna". Str. XIV+407.

Siostra Marja od Baranka Bożego, ze Zgrom. N. M. P. Wynagradzając. Opracowała S. S. Z przedmową René Bazina. (Tłum.). Tamże; str. 476.

Ks. Dr. Pius Parsch: Parafja żywa. Z niem. przełożył ks. M. Rękas. Tamże 1934; str. 48.

Józef Sykulski mgr. fil.: Przyczyny i rodzaje błędów i pomyłek językowych. Warszawa 1934 str. 33.

Tenże: Dwaj Poniatowscy w Końskich, w 1787 i 1817 roku. Nakł. autora 1935. Str. 37.

Życie sztuki pod redakcją Z. L. Zaleskiego. Rocznik pierwszy. Warszawa 1934, Kasa im. Mianowskiego. Str. X+269.

Prawo małżeńskie (Projekt ustawy). Opracował Zygmunt Lisowski, prof. uniw. Pozn. Poznań 1934, Księg. św. Wojciecha. Str. 40.

Antoni Waśkowski: Gwiazda Wawelu. Sceny dramatyczne. Miejsce Piastowe 1934, Wyd. Tow. św. Michała Arch. Str. 192.

Tenże: Z moich wspomnień o Stanisławie Wyspiańskim. Tamże, 1934. Str. 69.

Zygmunt Nowakowski: Rubikon. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. 270.

M. Czerkawska: Ludzie i liście. Kraków 1935. Str. 82.

Emanuel Bułhak: Odpowiedź na krytykę tłumaczenia dzieł św. Dionizego Areopagity. Warszawa 1934. Str. 18.

Władysław Piątkiewicz: Pod pruskim hełmem. Powieść. Warszawa 1935, nakł. tygodnika *Wiarus*. Str. 331 (3·50 zł.).

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wzmacnianie się w świecie pozycyj katolickich. — Logika antychrystjanizmu. — O dziennik katolicki w Polsce.

Nieznany autor jednego z najstarszych zabytków literatury chrześcijańskiej, tak zwanego *Listu do Diogneta* już koło połowy drugiego wieku przedstawiał Kościół, jakby duszę świata, w której zamyka się niewidzialnie wszystko, czem ludzkość żyje, czem utrzymuje się i rozwija. Po ośmnastu wiekach zmagania się i pracy chrystjanizmu dałby się ten sam obraz zastosować i dzisiaj. Aż dziwne do jakiego stopnia żywy jest i czynny w dzisiejszym świecie problem religijny, jak znajduje się go ustawicznie na samem dnie tych olbrzymich zagadnień, jakie w obecnej chwili piętrzą się przed myślą współczesną. A problem ten nie jest bynajmniej czemś oderwanem i nieuchwytnem. Czy przyjaciele czy wrogowie, wszyscy dobrze czują, że gdzie chodzi o religję, tam naprawdę chodzi nie o co innego, tylko o jeden katolicki Kościół. W nim przedewszystkiem skupia się, z niego wychodzi ten ferment religijny, nad którym ludzkość przejść do porządku dziennego nigdy nie może, stąd też Kościół — jedyna dzisiaj rzeczywiście wszechświatowa potęga — jest tą wielkością, do której pozytywnie czy negatywnie, ale koniecznie ustosunkować się musi każdy wielki ruch, zwłaszcza taki, który w jakiejś dziedzinie otwierać ma przed światem nowe drogi.

Że na wielkiej arenie ducha do zupełnej przewagi ideologji katolickiej jeszcze daleko, to jest rzecz aż nadto zrozumiała. Jeżeli jednak jednym rzutem oka ogarnie się dzieje, chociażby tylko kilku lat ostatnich, niepodobna obronić się wrażeniu, że pozycje Kościoła nietylko nie tracą, ale ustawicznie zyskują na znaczeniu i sile.

Nie będziemy w tej mierze odwoływać się do faktu, że nigdy jeszcze tyle przeróżnych państw nie utrzymywało przy Stolicy świętej oficjalnego przedstawicielstwa, że nigdy tylu wybitnych członków rozmaitych rządów nie udawało się do Rzymu, by zainteresować papieża temi lub owemi zagadnieniami politycznemi swych krajów, że wreszcie chyba od bardzo dawna nie przyjmowano legatów papieskich w różnych stronach świata z tak niebywałym entuzjazmem i uszanowaniem, jak to miało miejsce ostatniemi laty, aż do świeżej podróży kardynała Pacellego do Ameryki Południowej. Ważniejsze ponad to wszystko jest inne zjawisko, że z największą siłą i bezpośredniością opierają się dziś o Kościół wszystkie te ogromne zagadnienia, które przygotowują w tej chwili rodzenie się nowego rzeczy porządku.

I tak przedewszystkiem z Kościołem musiały się rozprawić lub do Kościoła w jakiś sposób ustosunkować te nowe systemy państwowe, które weszły lub wchodzą w miejsce zdyskredytowanych liberalnych ustrojów. Z socjalizmem czy komunizmem — przynajmniej o ile one były zewnętrzną organizacją — uporały się te nowe państwa przeważnie bardzo szybko; zdołały one zaabsorbować lub zlikwidować nietylko potężne ugrupowania i stronnictwa czy to polityczne czy społeczne, ale nawet, jak w Trzeciej Rzeszy, odwieczne odrębności historyczne i głęboko napozór utrwalone ideologje. Gdy przyszło do spotkania czy zderzenia z Kościołem sprawa wzięła inny obrót: z dobrej woli lub z konieczności, w większej lub mniejszej mierze, ale trzeba było w każdym razie ograniczyć zapędy integralizmu państwowego; skała Piotrowa nie dała ani ominąć się ani ugiąć.

Najpiękniej, jak wiadomo, rozwiązała tą kwestję katolicka Austrja Seipla i Dollfussa. Zamiast wysuwać punkty sporne i prawować się o ich uregulowanie ze Stolicą Apostolską, oddała się ona Kościołowi z najpełniejszem, dziecięcem zaufaniem, biorąc całą jego naukę, osobliwie zaś wskazania społeczne, za podstawę nowych form swojego ustroju. Pomimo katastrofy lipcowej ubiegłego roku i pomimo przeróżnych trudności, Rząd austrjacki trzyma się wiernie raz wytkniętej drogi, rozumiejąc nie bez słuszności, że ten ścisły sojusz z Kościołem jest też jednym z najskuteczniejszych sposobów zabezpieczenia naddunajskiej republiki przed zachłannością niechrześcijańskiego Hitleryzmu. Katolicyzm i nawewnątrz zcementował przeciw socjalizmowi narodowemu „front ojczysty" i nazewnątrz stał się platformą, na której w niemałej mierze opiera się to polityczne porozumienie Austrji, Włoch i Węgier, które zwłaszcza dziś, po triumfach plebiscytowych Trzeciej Rzeszy w okręgu Saary, może mieć wielką doniosłość.

Włochy Mussoliniego nie poszły w oddaniu się Kościołowi tak daleko, jak Austrja, ale wiedzione zdrowym instynktem politycznym i narodowym, nałożyły silne hamulce na antykatolickie wybryki pewnych grup pierwotnego faszyzmu i ustosunkowały się do Kościoła przynajmniej poprawnie. „Niema na świecie rządu — pisał niedawno sam Duce w paryskim *Figarze* pod datą 18 grudnia — bardziej całkowitego, bardziej autorytatywnego, nad rząd faszystowskiego państwa; niema rządu bardziej zazdrosnego o swą wszechwładzę i swój państwowy prestiż". A jednak ten rząd tak ambitny, choć nieraz gryzł wędzidło i zrywał się do zatargów, nietylko wytrwał przy tem zasadniczem porozumieniu ze Stolicą świętą, którego główne zasady sześć lat temu, wcale nie zbyt skąpą ręką, zakreślił, ale dziś przez usta swej głowy oświadcza *urbi et orbi*, że wszelka walka z duchową potęgą katolicyzmu jest dla państwa nieszczęściem, które musi skończyć się przegraną. We wspomnianym już artykule pisze Mussolini pod adresem Niemiec, że z historją w ręku można pokazać, jakie fatalne owoce zbierały wszystkie rządy z każdego zamachu na duchową władzę Kościoła i dlatego stawia to jako kardynalną zasadę rozumnej państwowości, żeby nigdy nie wkraczała na duchowy, religijny teren, na którym Kościół musi być niepodzielnym panem. Na terenach zaś mieszanych, gdzie sprawy duchowne stykają się z państwowemi, za wszelką cenę starać się trzeba o to szczere porozumienie, które przy odrobinie dobrej woli zawsze da się osiągnąć. Kto inaczej postępując, rozrywa albo mąci religijną jedność kraju, ten dopuszcza się zbrodni przeciw narodowi, dla samego narodu i państwa niesłychanie szkodliwej, *commette un delitto di lesa nazione.*

Znowu inaczej zaznacza się siła duchowa katolicyzmu w Hitlerowskich Niemczech.

Jeżeli jeszcze rok temu można było mieć obawę czy w pewne koła katolików niemieckich nie wkrada się dezorjentacja na punkcie tej zasadniczej kwestji, czy pełny Hitleryzm da się pogodzić z całkowitem chrześcijaństwem, to w obecnej chwili te obawy ustąpiły zupełnie. Od góry do dołu zrozumiał już każdy Niemiec katolik, chyba aż do v. Papena włącznie, że chrystjanizm i Hitleryzm to są dwa światy pojęć, które tak zaprzeczają się wzajemnie, że dopóki pozostaną sobą, nigdy zharmonizować się nie dadzą. A za tem zrozumieniem poszło ogromne spotężnienie katolickiego frontu. Z największą słusznością mógł oświadczyć Kardynał Faulhaber w noworocznem swem przemówieniu w monachijskiej katedrze, że katolicyzm niemiecki wzmocnił się i zmężniał w walce. Istotnie przedstawia on dziś wspaniały widok. Wśród najrzeczywistszego prześladowania tak ze strony władz,

jak ze strony rozwydrzonych organizacyj i bojówek narodowo-socjalistycznych, wśród ustawicznych szykan i dotkliwych represyj, przy których już nieraz polała się krew, przy ustach zakneblowanych przez drakońską cenzurę prasową, wśród tysiącznych utrudnień dla katolickiego organizacyjnego życia, zachowują katolicy niemieccy pełną godności i powagi postawę, nie agresywni, ale absolutnie nieugięci, gotowi oddać, „co jest cesarskiego, cesarzowi", ale żądający, by oddano, „co jest boskiego, Bogu". Zwłaszcza odznaczają się duchową tężyzną zrzeszenia młodzieży, do których Ojciec św. kilkakrotnie już kierował słowa uznania i zachęty.

Jak zaś imponująca jest ta spokojna i świadoma siebie siła katolicyzmu niemieckiego, to się pokazuje przedewszystkiem z dwóch rzeczy. Najpierw wszechmocny F ü h r e r jest wyraźnie zdezorjentowany w swych poczynaniach. To posuwa się o krok naprzód, to znowu cofa; to nawiązuje, to znów przerywa rokowania o wykonanie konkordatu; słowami oświadcza takie rzeczy, którym potem czynami zaprzecza. Być może, że na tę niedecyzję wpływała do niedawna i ostrożność, wskazana bliskością plebiscytu w Zagłębiu Saary, ale w każdym razie jest rzeczą widoczną, że choć ze wszystkimi wewnętrznymi przeciwnikami dała sobie radę, w katolicyzmie trafiła kosa Hitlerowska na bardzo twardy kamień. Ale to samo wrażenie nieugiętego kamienia robi Kościół niemiecki i postronnym, z boku patrzącym. Trudno o charakterystyczniejsze w tej mierze wyznanie, jak to, z jakiem w publikacji *Kämpfende Kirche* świeżo wystąpił protestant, Wilhelm Staehlin, człowiek pełen gorliwości o religijność swych współwyznawców, ale nie lękający się mówić im gorzką prawdę. Jakkolwiek niezaprzeczoną jest rzeczą, że część ewangelików niemieckich, skupiona w t. zw. *Bekenntniskirche*, za wzorem katolików dała świeżo dowody pewnej tężyzny religijnej, nie waha się Staehlin dać swej pracy tytułu *Ende des Protestantismus?* i to w takim sensie, że postawionemu przy tytule znakowi zapytania sama treść rozprawy wyraźnie zaprzecza. A przyczynę tego nieuchronnego, jak sądzi, końca protestantyzmu w Niemczech upatruje autor w tem, że znalazł się on jak ziarno, wciśnięte między dwa młyńskie kamienie, t. j. między katolicyzm z jednej, a *Deutsche Glaubensbewegung* z drugiej strony. Pod tym podwójnym naciskiem musi pęknąć i zginąć ta wewnętrzna niecałkowitość, kompromisowość, dwoistość, jaka leżała w samem założeniu i punkcie wyjścia reformacji, a z tego zgniecionego ziarna jedna część odpadnie do neopogaństwa z pod znaku swastyki, druga, zdrowsza powróci do pełnego chrześcijaństwa w Kościele katolickim. Nie jest wprawdzie wyraźnie powiedziane to słowo,

ale z całej pracy przebija hasło, rzucone niegdyś przez prof. Rouville'a: *Zurück zur heiligen Katholischen Kirche!*

W inny znów sposób wychodzi najaw siła katolicyzmu w zmąconej aż do dna przez zamieszki i rozterki wewnętrzne, niebezpieczny kryzys przechodzącej, Hiszpanji. Wiara stała się tam z jednej strony kamieniem obrazy, o który rozbiła się raz i drugi zwycięska przez chwilę, rewolucja, z drugiej strony pokazała się jedyną siłą, zdolną pobudzić większość narodu do zgodnego wysiłku twórczej pracy. Mówimy „jedyną" siłą, bo tendencje monarchistyczne, wyjęte zresztą przez Stolicę świętą zupełnie poza nawias, odegrały w walce stronnictw rolę bardzo nieznaczną, a zagadnienia ekonomiczno-społeczne czy narodowościowe przedstawiają się w rozmaitych stronach Hiszpanji tak bardzo różnie, że nie mogłyby były nadać polityce wewnętrznej jednolitego charakteru i kierunku. Idea katolicka natomiast od Pirenejów po Kadyks i od Galicji po Walencję pokazała się najskuteczniejszą pomocą nawet do narodowego i państwowego odrodzenia. Ona wstrząsnęła sumieniami na widok czy to motłochu, palącego kościoły i klasztory, czy Zgromadzenia Narodowego, uchwalającego antykościelne ustawy; ona przygotowała stanowcze zwycięstwo prawicy w nowej walce wyborczej i izolowała duchowo burzycieli od zdrowej większości społeczeństwa; ona dopomogła do zażegnania separatystycznych dążności katalońskich; ona jest duszą i podstawą tego dzielnego a rozumnie umiarkowanego obozu, którego głową jest Gil Robles, a organem potężny dziennik *El Debate*. Dzisiaj już nikomu nie tajno, że o przyszłości Hiszpanji rozstrzygnąć i zbawienie jej przynieść potrafi tylko ta część narodu, która w silnem oparciu o Kościół, nawiązuje do dawnych katolickich tradycyj swej ojczyzny.

Na to samo zawsze wzmacnianie się pozycyj katolickich moglibyśmy wskazać w całym szeregu krajów jednej i drugiej półkuli. Moglibyśmy opowiedzieć o bardzo wybitnem ożywieniu religijnego ducha na Węgrzech, o postępach katolicyzmu w Anglji i Holandji, a nawet o powolnej zmianie nastrojów względem Kościoła w Skandynawskich krajach, o prawdziwych triumfach sprawy katolickiej w Ameryce Południowej, o jej postępach na dalekim Wschodzie w Chinach i Japonji, o wybitnem jej powodzeniu na ściśle misyjnych terenach czarnego lądu. Specjalnie tutaj interesujący jest szczegół, że na punktach zagrożonych komunistyczną propagandą, sam rząd angielski starał się dla murzynów raczej o katolickich niż protestanckich misjonarzy, bo skuteczność wpływu tych ostatnich nie budziła w nim dostatecznego zaufania. Jednem słowem — jak zupełnie słusznie stwierdza autor obszernego artykułu w *Revue des deux mondes* z 15 stycz-

nia b. r. pod tytułem *Le catholicisme et la politique mondiale* — katolicyzm jest w tej chwili w fazie zdobywczej; uznanie Kościoła i jego znaczenie w świecie wyraźnie rosną.

Co może być przyczyną tego zjawiska?

Pomijając przyczyny natury czysto nadprzyrodzonej, jak niewątpliwy obecnie, obfity przypływ łaski Bożej, oraz wysiłki, potężnie kierowanych z Watykanu, duchownych i świeckich obrońców Kościoła, trzeba stwierdzić, że na to wzmocnienie pozycyj katolickich złożyły się głównie dwa czynniki. Jeden, czysto pozytywny, to mniej lub więcej otwarte, ale coraz powszechniejsze uznanie, że dla wyjścia z matni owego kryzysu, w którym dotąd ludzkość beznadziejnie się szarpie, jedna tylko nauka społeczna katolicka, taka, jaką po mistrzowsku rozwija encyklika *Quadragesimo anno,* właściwą i praktyczną wskazuje drogę. Wszakże, po wielu innych zwierznikach państw, świeżo jeszcze prezydent Roosevelt z tej encykliki zapożyczał myśli, które wciągał w plan przebudowy ustroju swej skołatanej ojczyzny.

A drugi czynnik jest pół na pół złożony z negatywnych i pozytywnych pierwiastków. Składa się nań z jednej strony obawa przed wzbierającą falą komunistycznego niebezpieczeństwa, z drugiej instynktowne odczucie, że jedna tylko jest siła na świecie, która z komunizmem zwycięsko zmierzyć się może, a tą jest katolicki Kościół. Niejeden mówi głośno lub pocichu to, co ów konwertyta, jakiego cytuje Reynold w swej świetnej książce „O tragizmie Europy": „Nie dlatego przyjąłem katolicyzm, jakobym był kościelnego usposobienia, ale dlatego, że wedle mego niezłomnego przekonania, jeden tylko Kościół uratować może cywilizację ludzkości".

Aby zdać sobie sprawę, co może aż do tego stopnia potęgować obawę przed komunizmem, żeby ta obawa, niespodziewaną reakcją, wywoływała wzmocnienie katolickich szeregów, warto zkolei rzucić okiem na drugiego z tych dwóch wielkich przeciwników, którzy wnet może sami jedni pozostaną na arenie walk dziejowych.

Co w Rosji naprawdę się dzieje, o tem dokładnego pojęcia nie ma chyba nikt z zewnątrz patrzący. Czy olbrzymie dzieło uprzemysłowienia kraju rozwija się źle czy dobrze; czy robi postępy czy ich nie robi państwowa gospodarka rolna; czy w świecie robotniczym a zwłaszcza włościańskim, jest i rośnie niezadowolenie z sowieckich rządów, czy przeciwnie naród nawyka do nowych porządków; czy utrzymuje się jeszcze czy też ginie religijność; czy niedawne zatargi wśród przywódców komunizmu i związane z niemi deportacje znamionują czy nie znamionują kryzys w systemie lub

nawet systemu tego schyłek — na te i tym podobne tysiączne pytania słyszy się przeróżne odpowiedzi, które mogą nawet być trafne dla tego lub owego odcinka olbrzymiej rzeczywistości rosyjskiej, ale nie pozwalają na wyrobienie ogólnego a prawdziwie objektywnego sądu. To jedno wszakże zdaje się wątpliwości nie ulegać, że jakkolwiek ma się rzecz z polityczną i ekonomiczną siłą, a zatem i trwałością sowieckiego regime'u, skoncentrowała się tam — jeśli wolno tu użyć takiego wyrażenia — „duchowa siła" antychrystjanizmu w stopniu takim, jakiego nigdy chyba nie widziano na świecie. Jest to negacja posunięta tak daleko,. że na kołowej linji skończonych możliwości ludzkich nieomal już graniczy z tem, co najpozytywniejsze, z wiarą, dochodzącą aż do mistyki, z miłością, rodzącą poświęcenie, z wykształconym wszechstronnie systemem filozoficznym i moralnym.

Ta siła zaś nie jest bynajmniej statycznym czynnikiem. Wiadomo, że z Kremlu wychodzi wprost olbrzymia propaganda, która siecią swych wpływów z jednej strony obejmuje Chiny i Indje, z drugiej, poprzez wszystkie kraje europejskie, tutaj w głąb Afryki, tam w głąb Ameryki wysuwa macki ogromnego potworu. A propagandzie tej służy wszystko: prasa i radjo, sport i nauka, dumpingowy handel i wielka polityka, nie wyłączając forum genewskich obrad, loty do stratosfery i zdobywcze wyprawy na Elbrus, panegiryki na cześć bolszewickich zdobyczy i porządków przez dobrze opłacanych literatów, filmy sowieckich wytwórni, sieć wreszcie tajnych organizacyj, rozsianych po całym świecie, a obficie zasilanych złotem, wyciśniętem przez nowych panów z nowych rzesz pańszczyźnianych niewolników.

Że zaś ta propaganda nie pozostaje bynajmniej daremna, na to zdaje się wskazywać cały szereg spostrzeżeń. Pomimo przeciwnych wysiłków wielu państw, ma się wrażenie, że liczba umysłów, wewnętrznie zjednanych dla komunizmu, raczej rośnie. Prawda, że przyczynia się do tego i fatalny stan ekonomiczny bardzo szerokich kół ludności, ale faktem jest, że i u nas i w wielu krajach zagranicy, raz po raz spotkać się można z rosnącem niedowierzaniem co do ujemnych wieści o bolszewickich porządkach, a nawet z tęsknotą do komunistycznego regime'u. Bardzo dobrzy obserwatorowie są zdania, że jest to fala w przypływie, która nieznacznie lecz stale podnosi się w górę.[1])

[1]) Tego samego właśnie dnia, gdy niniejszy artykuł był na warsztacie, nadszedł do naszego Wydawnictwa list, mający stempel pocztowy paryski, z datą 24. I. b. r., pochodzący rzekomo od kilkuset, pracujących pod Paryżem robotników polskich. Z listu tego, wywołanego antybolszewickim artykułem w t. zw. „Kalendarzu Serca Jezusowego" na rok bieżący, wyjmujemy następujące charakterystyczne ustępy, zostawiając i nieprawdopodobną ortografję oryginału... Nam się podobaią sowieckie rzondy,

Czem wytłumaczyć tę niezaprzeczoną siłę komunistycznego prądu?

Jak wspomnieliśmy, działają tu niezawodnie i warunki zewnętrzne, ale bynajmniej nie same. Musi być i jest coś, może nie tyle w doktrynie, ile w psychologji bolszewizmu, co doń pociąga i mimo wszystko przy nim trzyma.

Na czem polega właściwie ta pozytywna siła systemu, to było ostatniemi czasy przedmiotem wielu i głębokich studjów. Nam się zdaje, że może najbliżej prawdy był A. Kliszewicz, kiedy mówił w tej mierze o jakiejś straszliwej całkowitości czy nieubłaganej logice wewnętrznej, z jaką duch Lenina buduje nowy świat. Jak Dante z Wergilim przez ciasną szczelinę koło cielska, wtłoczonego w środek ziemi, Lucyfera, kierując głowy tam, gdzie były nogi, przechodzą do antypodów i nagle odnajdują nad sobą nową półkulę przestworza, tak z wejściem w komunistyczny światopogląd wszystko staje się nowe, wszystko różne od tego, czem żyła ludzkość w najdalszej choćby sferze wpływów chrześcijaństwa. Bogi i ludzie, ziemia i niebo, myśli i uczucia, cele i drogi, zasady i prawa — wszystko nowe, wszystko przeciwne. W chrześcijaństwie przedewszystkiem, ale i we wszystkich religijno-filozoficznych poglądach, do których doszedł

---

i ruwno cześnie dążymy do tego stopnia co jest dzisiai w Zwionsku sowieckiem, a wten czaz kiedy zmieciemy reżym i zgniliznę kapitalistyczną wtenczaz utworzymy Dyktaturę Proletarjiacką a wtenczaz my robotnicy wydamy wam wyrok czyli zapłate taką iakąm waszym braciom dali robotnicy Radzieccy. Piszecie że krzyczą Komuniści na całą pare precz z pasibrzuchami otóż właśnie my ih propagande popieramy i gdy przyjdzie dzień Rewolucji, staniemy iak ieden wich szeregi i wysadzimy przegniły ustrui Burżuazyjno-klechowski chen wpowietrze. a wasze Uby żarłoczne porzucamy w przepaść aby ponih śladu wiencei nie było. Piszecie że Marks nie przyznaje religji i że muwi że religja iest człowiekowi niepotrzebna. Otuż my ruwnież muwimy iako robotnicy że religija iaka byniebyła toiest nie wiencei iak opium dla ludu roboczego i pujdziemy drogą Marksa i będziemy nasze dzieci wychowywać w duchu Proletarjackiem i wienci nie poślemy swoih dzieci do waszyh kościołów, abyście im wienci nie zasiali wnih kłamstwa wytworzonego przez waszyh przodkuw zwyrodniałyh drynczycieli i obłudnikuw biednego narodu, aby wienci nie słyszały waszei głupoty religijnej a bendziemy ich nauczać drogą marksa aż do zwycięnstwa Proletarjackiego... Pujdziemy ich drogą toznaczy drogą naszego wodza Lenina i bendzem waz wy żmyie jadowite przependzać i tempić dotond aż was kompletnie ślak trafi. Myślicie że zrobicie wojne przeciw sowietom bowy do tego fszelkimi siłami dążycie, ale towam sie nie uda bomy robotnicy nie bedziemy strzelać doswyh braci sowieckih, ale my odwrotnie bo obrucimy karabiny przeciw własnym ciemiężcom... My iako emigracja w liczbie 600stu robotników polskich krecimy powrozy dlawas i ruwnież nie zapomniemy ukrencić powroza dla Dziada Piłsudzkiego i bondźcie pewni, że dzień wyroku dlawas iest blisko i napewno wkrutce znaidą sie wasze dusze w niebiosah i nawet my iako robotnicy ochwiorujemy wam nasze place aby wam sie lepiej w niebie powodziło. Nieh żyją Sowiety w ZSRR. Wszyscy Wyzyskiwani całego świata łonczcie się. *Par tu le sowiet.*

jakiś promień chrześcijańskiego, czy choćby pierwotnego objawienia, w hierachji celów pierwsze miejsce zajmowało wyrobienie w tem życiu ludzkiej o s o b y i przez swobodną współpracę osób, ludzkich zbiorowości, ale zawsze z tem, że życie przyszłe w pierwszym rzędzie do j e d n o s t e k należy; w bolszewickim poglądzie na rzeczy innego życia oczywiście niema, wyrobienia osobowości dla tamtego życia konsekwentnie niema, a na to miejsce tworzy się z nieubłaganą siłą bezdusznej maszyny czysto materjalna i materjalistyczna zbiorowość, która na korzyść „komuny" osobę ludzką zupełnie pochłania.

Ma się wprawdzie wrażenie, że chyba mniej odległy od chrześcijaństwa i kultury jest jakiś animizm czy fetyszyzm najpierwotniejszych ludów, niż ta straszliwa nauka, która właściwie jest grobem wszystkich ideałów, jakie ludzkiem życiem rządzić mogą, ale nie da się zaprzeczyć, że na przysposobione już całym szeregiem duchowych trucizn, umysły, ta synteza działa olśniewająco swą konsekwencją i samem swem zuchwalstwem. Wpatrzeni w tę wizję nowego świata, nietylko nie mają zrozumienia dla tego morza krwi i łez, jakie dotąd bolszewizm wytoczył i jakie nadal przelewać musi, ale nawet nie umieją już dostrzec tych tysiącznych faktów, przez które obecna rzeczywistość kłam zadaje wymarzonej przyszłości. A jeśli komu oczy się otwierają, jak zdaje się, otwarły się grupie tych młodych, do której, w grudniu ub. roku, dziesiąty Zjazd Centralnego Komitetu Wykonawczego Związku Młodzieży Komsomolskiej zastosował dotkliwe represje, to zwykle bywa już zapóźno. Już bowiem są pochwyceni w żelazne tryby maszyny, która miażdży ludzkie istnienia, żeby je przerobić w bezduszną, materjalną całość a z tych trybów wydobyć się niepodobna.

I dlatego sądzimy, że siłą tej swojej logiki i całkowitości, ustrój sowiecki jeszcze niemały czas potrwa i owszem, że wewnątrz i nazewnątrz róść jeszcze będzie w siły przez nowe ofiary, jakiemi wzmocni swe szeregi, dopóki nie spotka się oko w oko z tą inną, dużo potężniejszą całkowitością, o jakiej mówiliśmy poprzednio, t. j. z katolickim Kościołem.

W tej walce jednak, jak słusznie powiedziano, zwycięży tylko katolicyzm zupełny, nie połowiczny. Jeżeli więc, jak nie wahał się Pius XI powiedzieć, bolszewizm jest dzwonem wzywającym katolików do rachunku sumienia nad spełnieniem obowiązków społecznych, to jego logika antychrześcijańska powinna być bodźcem do konsekwencji w zastosowaniu katolickich zasad.

I z tem łączy się bezpośrednio sprawa, dla królestwa Bożego w naszym kraju nad wyraz doniosła. Chcemy powie-

dzieć słów kilka o czysto i szczerze katolickiem piśmie codziennem.

Że to jest sprawa wogóle trudna, to widoczne choćby z tego smutnego faktu, że nie tylko u nas, ale na całym świecie, dobre i silne a żywe dzienniki katolickie należą do największych rzadkości. Doskonałych pism miesięcznych i tygodniowych jest wiele; z dzienników, jak twierdzą znawcy, jest, albo przynajmniej było, kilka dobrych, na rzeczywistej wyżynie stoi podobno tylko jeden *El Debate*. Że zaś w naszym kraju ta ogólna trudność urasta do jeszcze większych niż gdzieindziej rozmiarów, na to składa się kilka przyczyn. Najpierw przy naszem wrażliwem, impulsywnem usposobieniu, dużo trudniej u nas, niż w wielu innych krajach zagranicy, izolować sprawę katolicką jako taką od spraw stronnictw i osób, czy nawet z pod wpływu pewnych prowincjonalnych ambicyj, lub antagonizmów. Powtóre, jak wogóle są u nas kontury zasad katolickich bardzo często zamazane, tak specjalnie niewiele jest zrozumienia dla potrzeby i obowiązku popierania prasy katolickiej. Pod wygodnym pozorem, że u nas, jak „wszyscy są katolikami" tak też „wszystkie pisma są katolickie", trzyma się organy, czasem wprost niekatolickie, czasem mocno zabarwione tą lub ową stronniczą tendencją, najczęściej zaś gazety łatwe, obliczone głównie na sensację a pozbawione jednolitego na świat poglądu. Czyta się więc co bądź, z zupełną swobodą, a skutkiem rodzącej się stąd mieszaniny pojęć i zasad, nie odczuwa się już potrzeby poważnego, szczerze katolickiego codziennego pisma. Jeżeli zaś dodamy do tego brak pewnej w tym kierunku szkoły, t. j. brak tradycyj publicystycznych katolickich, oraz niepowodzenie prób, jakie w tej mierze były u nas podejmowane, a nakoniec — *last, not least* — niemałe trudności ekonomicznej natury, dotkliwe zwłaszcza przy obecnem zubożeniu kraju, to otrzymamy aż nadto danych do sądzenia, że założenie u nas takiego pisma, o jakiem mowa, do łatwych przedsięwzięć należeć nie będzie.

A jednak, choć zrozumienie powyższych trudności jest bardzo powszechne, kiedy ostatniemi czasy, w wysokich i najwyższych sferach kościelnych, ta wielka myśl znowu poruszoną została, w bardzo szerokich kołach społeczeństwa katolickiego obudziła ona żywe zainteresowanie i znalazła głośny oddźwięk. Miało się doprawdy wrażenie, że jednak widok tych niebezpieczeństw Kościoła polskiego, jakie wyszły najaw w ciągu kilku lat ubiegłych, otwarł wreszcie oczy, poruszył sumienia i przygotował ten żywy grunt, którego dziennik katolicki do rozwoju potrzebuje.

Bo też w rzeczy samej to wszystko, co zaszło i dalej się dokonywa w naszym świecie myśli, aż nadto wystarcza,

żeby zupełnie rozwiać legendę, jakoby w katolickiej Polsce wszyscy byli katolikami. Stało się jasnem nietylko to, że mamy już u siebie bardzo liczne i wpływowe koła, które, choć w różnym stopniu, ideologji katolickiej są zasadniczo wrogie, ale i to także, że koła te gotują się powoli do zdecydowanej walki, by całym szeregiem środków i sposobów narzucić społeczeństwu nową i swoją jakąś Polskę, zupełnie odmienną od tej, jaką stworzyła dziesięciowiekowa chrześcijańska kultura.

Otóż jako środek obrony przeciw tej nadchodzącej walce nie wystarczą już te przeliczne pisma i pisemka katolickie, które ukazują się u nas w miesięcznych czy tygodniowych odstępach. Tu musi stanąć na straży potężny dziennik, który nie uprawiałby opozycji dla opozycji, który nie wiązałby się z żadnem stronnictwem politycznem, ani nie wysługiwałby się żadnej klasie, nawet duchowieństwu jako jednemu ze stanów społecznych, ale broniłby tylko i jedynie tego, co katolickie, t. j. co r z y m s k o - katolickie, skoro u nas tak się przeciw słowu wojuje, co prawdziwe i zupełnie kościelne. Ten dziennik, wcale nie wyłącznie r e l i g i j n y, musiałby jednak ustawicznie w k a t o l i c k i e m oświetleniu referować nasze i ogólne bieżące zdarzenia, musiałby przypominaniem niezłomnych zasad, rozplątywać, tak bardzo szkodliwą u nas gmatwaninę pojęć i dążeń, musiałby grupować koło siebie obóz wybitnie i szczerze katolicki, do którego zresztą obecna praca Akcji Katolickiej, a dawna sodalicyj marjańskich i innych związków, dużo przygotowała materjału, aby w ten sposób utrzymać i wzmocnić stan posiadania tej jedynej Polski, która ma prawo do bytu, w myśl całych naszych dziejów, t. j. Polski wiernej Kościołowi, Chrystusowi i Bogu.

Takie pismo codzienne mogłoby sprawie Bożej u nas oddać usługi wprost ogromne. Pozostaje tylko pragnąć gorąco, żeby udało się je stworzyć, i nietylko stworzyć, lecz zgodnym, cierpliwym wysiłkiem wszystkich utrzymać i rozwinąć.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Opieka społeczna nad dorosłymi w Polsce.

W licznych i szczegółowych sprawozdaniach o Opiece Społecznej w niepodległej Polsce, jakie zamieściliśmy w *Przeglądzie Powszechnym* — ostatnio w zeszycie wrześniowym 1934 r. (str. 373) — ograniczaliśmy się prawie wyłącznie do akcji opiekuńczej nad dzieckiem i młodzieżą. Sądzimy wszakże, że dla wielu Czytelników będzie pożądanem bliższe poinformowanie się o stanie tejże opieki nad dorosłymi, którzy potrzebują jej koniecznie, ponieważ wiek, choroba lub inne upośledzenie uczyniło ich niezdolnymi do pracy. Życzeniu temu pragniemy obecnie zadośćuczynić, zwłaszcza że ułatwia nam to najnowsze opracowanie tego działu opieki przez dra Marcina Kacprzaka i Eugenję Rudzińską, zamieszczone w organie Ministerstwa Opieki Społecznej, kwartalniku *Praca i Opieka Społeczna* (r. 1934, nr. 1, str. 59).

Dla jasności zaznaczamy odrazu, że mowa jest jedynie o osobach dorosłych, które bądź z powodu niezdolności do pracy, bądź w następstwie specjalnych okoliczności znajdują się w zamkniętych zakładach opiekuńczych, gdzie otrzymują mieszkanie i całkowite utrzymanie.[1]) Należą tu więc dwie kategorje instytucyj: 1) schroniska, mieszczące starców, kaleki i niezdolnych do pracy wskutek choroby; 2) zakłady specjalne, przyjmujące osoby potrzebujące opieki specjalnej, jak nieuleczalnie chorych, umysłowo upośledzonych, ociemniałych, głuchoniemych; do tej grupy zaliczono również domy pracy przymusowej i dobrowolnej, oraz zakłady dla ofiar nierządu.

[1]) Nie należą tu zaś inwalidzi wojenni i wojskowi, których zaopatrzenie stanowi osobny dział opieki.

Zanim przejdziemy do skreślenia obecnego stanu powyższych instytucyj, damy krótki zarys historyczny rozwoju tej gałęzi opieki w naszym kraju, przyczem opieramy się wyłącznie na urzędowych sprawozdaniach Ministerstwa Opieki Społecznej, zamieszczonych w czasopiśmie *Praca i Opieka Społeczna,* poczynając od r. 1921.

Sporą ilość różnego rodzaju zakładów opiekuńczych dla dorosłych przejęła Polska po zaborcach, duże jednak trudności finansowe w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości, oraz ogromne rzesze sierot i dzieci potrzebujących opieki, których utrzymanie spadło wówczas na barki Państwa i społeczeństwa, nie pozwoliły niestety spełnić należycie obowiązków względem starszych. Minęło parę lat, nadszedł rok 1922, ale stosunki niewiele się zmieniły na lepsze i „instytucje opiekuńcze walczyły w dalszym ciągu z brakiem środków na utrzymanie pensjonarjuszy i często znajdowały się w warunkach urągających najskromniejszym w tym kierunku wymaganiom." (*Praca i Opieka Społeczna,* r. 1923, str. 128).

Rok następny przyniósł zasadniczą ustawę o Opiece Społecznej z dnia 16 sierpnia 1923 r. (Dz. U. R. P. z dn. 21 września 1923 r., nr. 92 poz. 726), która zapewniała opiekę społeczną także starcom, inwalidom, kalekom, nieuleczalnie chorym, upośledzonym umysłowo i wogóle niezdolnym do pracy (art. 2 c). Lecz, jak eufemistycznie wyraził się organ urzędowy Ministerstwa, ustawa powyższa „wyprzedziła sobą szereg ustaw, ściśle z nią związanych, a koniecznych dla normalnego rozwoju polityki opiekuńczej" (*Praca i Op. Społ.*, r. 1925 str. 202), a między niemi przedewszystkiem ustaw o samorządach, na które miały przejść obowiązki i koszta opieki społecznej, jakie dotychczas obciążały poważnie Skarb Państwa.

Niezależnie od braków powyżej wzmiankowanego ustawodawstwa, główną przyczyną, która Rządowi i samorządom uniemożliwiała prowadzenie normalnej akcji w zakresie opieki społecznej, były rosnące teraz trudności gospodarcze. Katastrofalny spadek naszej waluty w drugiej połowie 1923 roku nie pozwolił ani na ułożenie ani na wykonanie budżetu; finansowanie istniejących zakładów ograniczono do najkonieczniejszych potrzeb, o jakichkolwiek inwestycjach nie było wogóle mowy. Rok 1924 nie przyniósł

pod tym względem poprawy, kredyty przyznane Ministerstwu Opieki Społ. na opiekę nad starcami, kalekami i niezdolnymi do pracy „nie mogły zaspokoić nawet najbardziej koniecznych potrzeb" (*Praca i Op. Społ.*, r. 1925 str. 210).

Przedłużający się w dalszym ciągu okres krytyczny i brak możności znalezienia środków na cele opiekuńcze, przy narastającej równocześnie konieczności pomocy bezrobotnym, sprawiły, że w r. 1925 zaprzestano wogóle prac ustawodawczych w zakresie wykonywania opieki społecznej, a zabrano się do opracowywania planów i obliczeń na okres najbliższego pięciolecia. Ustalono więc wykaz najpilniejszych prac inwestycyjnych w dziale opieki nad dorosłymi, przypuszczalną liczbę osób jej potrzebujących i kosztorysy, oraz opracowano wyniki przeprowadzonej w r. 1924 rejestracji zakładów i ich pensjonarjuszy (*Praca i Op. Społ.*, r. 1926, str. 118, 122—123, 145). Dopiero w parę lat później podjęto znowu pracę ustawodawczą nad określeniem zadań samorządów w dziedzinie opieki społecznej, przyczem podstawowem stało się rozporządzenie Prezydenta Rzpltej z dn. 6 marca 1928 r., o rozgraniczeniu obowiązków opiekuńczych związków komunalnych (Dz. U. R. P. z dn. 10 marca 1928 r., nr. 26 poz. 232). Niestety i te przepisy musiały w sporej części pozostać na papierze. Trwające nadal trudności gospodarcze i postępujące ciągle zubożenie społeczeństwa utrudniały i utrudniają do dziś dnia należyte ich wykonanie.

Przypatrzmy się teraz, jak w świetle sprawozdań, nadesłanych przez zakłady opiekuńcze dla dorosłych i opracowanych przez dra M. Kacprzaka i E. Rudzińską, przedstawiał się ich stan w dniu 31 marca 1932 r. Ogólna liczba zamkniętych zakładów dla dorosłych, w znaczeniu powyżej określonem, wynosiła w tym dniu w całym kraju:

schronisk	572	pensjonarjuszy	18.023
zakładów specjalnych	44	„	4.096
razem: zakładów	616	pensjonarjuszy	22.119

Z powyższej liczby największa ilość zakładów — głównie schronisk — przypada na województwo poznańskie (195), najmniejsza na wojew. poleskie i stanisławowskie (po 7 zakładów). Zgóry zwracamy jednak uwagę, że statystyka porównawcza wo-

jewództw pod względem liczby zakładów nie daje podstaw do sądu o stanie opieki w nich nad dorosłymi, ponieważ pomiędzy poszczególnemi zakładami zachodzą ogromne różnice. Tak naprz. w wojew. poznańskiem istnieje kilkaset „gminnych domów ubogich", a jednak 195 z pośród nich (które nadesłały sprawozdanie) mieści niewiele więcej pensjonarjuszy (3.338 osób), niż 22 zakłady miasta stoł. Warszawy (3.183). Nieco lepszy pogląd na stan opieki nad dorosłymi daje odsetek korzystających z niej pensjonarjuszy, jaki przypada na 10.000 mieszkańców danego województwa. Cyfra ta — która na 10.000 mieszkańców całego kraju wynosi 6·9 — przedstawia się w poszczególnych województwach następująco:

województwo:		województwo:	
stoł. m. Warszawa	27·0	lwowskie	3·9
pomorskie	18·8	kieleckie	3·9
poznańskie	15·8	lubelskie	3·7
wileńskie	9·7	poleskie	2·3
warszawskie	9·0	nowogrodzkie	1·9
łódzkie	8·2	stanisławowskie	1·7
śląskie	7·8	tarnopolskie	1·7
krakowskie	7·4	wołyńskie	1·1
białostockie	4·3		

Przytoczone dotychczas ogólne dane dotyczą obszaru całej Rzeczypospolitej, natomiast bliższe szczegóły, jakie podajemy w dalszym ciągu, obejmują jej teren z wyjątkiem Śląska. Pochodzi to stąd, że przepis o składaniu centralnym władzom nadzorczym sprawozdań ze swej działalności nie rozciąga się na województwo śląskie i dlatego odpowiedzi na kwestjonarjusz, rozesłany przez Ministerstwo Opieki Społecznej, nadeszły tylko z 587 zakładów, znajdujących się poza Śląskiem. Informacje, jakie zamieszczamy poniżej, odnoszą się więc tylko do tych 587 zakładów, względnie tej ich części, która na dane pytanie udzieliła odpowiedzi.

Tem, co uderza na pierwszy rzut oka, jest ogromna różnorodność zakładów pod względem liczby pensjonarjuszy. Z jednej bowiem strony mamy 17 instytucyj wielkich, z których każda liczy ponad 200 miejsc etatowych, między niemi przytułek dla starców w Górze Kalwarji (wojew. warsz.) na 750 osób i zakład psychjatryczny w Świeciu na 980 miejsc. Z drugiej strony posia-

damy 117 zakładów, obliczonych na 10—19 miejsc, a 83 poniżej 10 miejsc (w rzeczywistości będzie zakładów takich więcej, ponieważ na kilkaset gminnych domów ubogich w wojew. poznańskiem zaledwie 40 zostało uwzględnionych w powyższym wykazie).

O ile chodzi o przynależność, to 49% zakładów jest własnością związków komunalnych, zwłaszcza gmin, 17% organizacyj społecznych, 17% należy do fundacyj, 16% do Zgromadzeń zakonnych i związków wyznaniowych, 0·8% do osób prywatnych.

Ruch pensjonarjuszy w instytucjach tych był dość żywy. W roku sprawozdawczym 1931/32: 1) w schroniskach ubyło 3.338 osób (w tem 56% zmarło), przybyło 3.268; 2) w zakładach specjalnych ubyło 2.418 osób (w tem 20% zmarło), przybyło 2.503.

Przyjrzyjmy się teraz samym mieszkańcom (pensjonarjuszom) tych zakładów opiekuńczych. Jeśli chodzi o płeć, przeważną część stanowiły kobiety, i to zarówno w schroniskach, jak w zakładach specjalnych. W dniu 31 marca 1932 r. było ich 15.317 (69%), podczas gdy mężczyzn tylko 6.802 (31%); autorzy sprawozdania sądzą, że proporcję tę należy przedewszystkiem przypisać względom natury społecznej, nie tłumaczą jednak bliżej, na czem te względy mają polegać. Pod względem wieku należy rozróżnić: mieszkańcy schronisk, to głównie starcy, gdyż blisko $^3/_4$ ich ogółu liczyło 60 lub więcej lat; natomiast w zakładach specjalnych tylko 26% pensjonarjuszy znajdowało się w powyższym wieku, a 14% liczyło poniżej 25 lat.

Pod względem pochodzenia najwięcej, bo 80% pensjonarjuszy dostarczyły miasta i to z pośród różnych sfer, przeważnie naturalnie ludności niezamożnej. Co do narodowości, to na $18^1/_2$ tysiąca osób, co do których podano informacje; 78% było narodowości polskiej, 13% żydowskiej, 6% niemieckiej, 1% ukraińskiej i mniejsze jeszcze odsetki innych. Pod względem wyznaniowym 76% było katolików. Warto wreszcie nadmienić, że wśród pensjonarjuszy znajdowało się w dniu sprawozdawczym: 280 głuchoniemych, 721 ociemniałych, 6.912 nieuleczalnie chorych, 2.484 upośledzonych umysłowo, 167 z kalectwami, budzącemi odrazę i 84 alkoholików.

Już z samego charakteru pensjonarjuszy wynika, że pracą zatrudniano ich mało. W schroniskach pracowało tylko 10% osób,

trochę w krawiectwie i szewstwie, najczęściej w ogrodzie i gospodarstwie domowem. Natomiast w zakładach specjalnych 46% pensjonarjuszy zajętych było w ogrodnictwie, gospodarstwie i różnych rzemiosłach.

Od pensjonarjuszy przejdźmy teraz do personelu, który sprawuje nad nimi opiekę. Naogół poziom jego jest średni. Na 33 kierowników zakładów specjalnych 3 miało studja wyższe (lekarze), a 13 szkołę średnią, przyczem 4 z nich ukończyło ponadto kurs pielęgniarski, a 1 kurs pedagogiki specjalnej. Na 231 kierowników schronisk: 19% miało wykształcenie średnie, 15% ponadto pielęgniarskie. W schroniskach najmniejszych, zwłaszcza gminnych, które stanowią $^1/_3$ ogólnej liczby schronisk, nie było wogóle personelu opiekuńczego, gdyż są to zazwyczaj nieliczne przytułki, pozostające pod opieką gminy, ks. proboszcza lub stowarzyszenia opiekuńczego.

Jakże przedstawiają się koszta utrzymania zakładów oraz ich pokrycie? — W r. 1931/32 wydatki na utrzymanie 394 schronisk wyniosły 7,800.802 zł., z czego samorządy pokryły 58%, a Skarb Państwa 3%. Utrzymanie 27 zakładów specjalnych kosztowało 3,895.936 zł., z tego samorządy pokryły 58%, a Państwo 4%. Przeważna część ciężarów spada więc na związki komunalne, które płacą za 65% pensjonarjuszy i oprócz tego udzielają subwencyj innym, najbardziej potrzebującym zakładom dla dorosłych.

Szkoda, że w opracowaniu finansowej strony zakładów opiekuńczych autorzy nie podali, jaka suma pieniężna była wyznaczona na dzienne lub miesięczne utrzymanie pojedynczego pensjonarjusza w poszczególnych kategorjach zakładów. Dałoby to lepszy wgląd w gospodarkę tych instytucyj i łatwiej wytłumaczyło sytuację ich mieszkańców. W braku takiego zestawienia musimy dopiero pośrednio odgadywać je z innych danych, które wskazują, że fundusze, przeznaczone na opiekę nad dorosłymi, są gdzieniegdzie bardzo, czasem nawet zanadto szczupłe.

I tak w 227 nie miano ani wanien, ani natrysków. W 258 zakładach (na 400, które udzieliły w tym względzie informacyj) nie było ani pism, ani bibljotek. Co się tyczy pożywienia, było ono w 202 (na 317) zakładach podawane 3 razy dziennie, w 87 — 4 razy, w 22 — 5 razy, w 4 — 2 razy, w 2 zakładach 1 raz

dziennie. Opiekę lekarską mieli pensjonarjusze prawie wszystkich zakładów; w przeważającej liczbie schronisk wzywano lekarza tylko w razie potrzeby.

Pominęliśmy umyślnie szereg innych szczegółów, jakie podają dr. Kacprzak i E. Rudzińska, ponieważ są one zaopatrzone tylu zastrzeżeniami, lub odnoszą się tylko do pewnej liczby zakładów, że nie dają rzeczywistego obrazu stanu tych instytucyj. Przyczyną tej niejasności są wszakże nietylko kierownicy zakładów, którzy nie wypełnili wszystkich rubryk, ale, zdaniem naszem, sam kwestjonarjusz, który przy swych 10-u (!) stronach jest jednym z pośród przypadków nagminnie u nas panującej „choroby statystycznej", jaka obciąża wszystkich, pomnaża koszta, a psuje tylko wyniki. Gdyby kwestjonarjusz obejmował najwyżej 3—4 stron i ograniczył się do pytań najważniejszych, otrzymalibyśmy obraz całości zakładów opiekuńczych dla dorosłych; a ponieważ tego nie uczyniono, mamy tylko fragmenty i niejasności, jeden szczegół podało 624 zakładów, drugi 430, trzeci 360, czwarty 317 zakładów i t. d. Odtworzyć z tego wierny wizerunek całości jest niepodobnem.

Możnaby inne jeszcze dodać uwagi na temat pytań kwestjonarjusza i ich celowości. Co nam przyjdzie np. z pracowitego zestawienia, ile gramów chleba czy jarzyn przypadało dziennie w tylu a tylu zakładach na jednego pensjonarjusza? Przecież to jeszcze o niczem nie świadczy; mogło być mało chleba, ale zato dużo pożywniejszych i lepszych produktów, albo odwrotnie. Ze względu na ścisłość proponowalibyśmy również, żeby na przyszłość obok podziału zakładów na schroniska i zakłady specjalne, wprowadzić trzecią, osobną grupę, gminnych przytułków (domów ubogich). Oczywistem jest bowiem, że takie domy nie mogą pod względem urządzeń iść w porównanie z wielkiemi zakładami opiekuńczemi; stawianie w obliczeniach obu tych rodzajów instytucyj na jednym poziomie „zakładów" przyczynia się tylko do zatarcia właściwego oblicza rzeczywistości.

W pełni zato łączymy się z autorami sprawozdania w poglądzie, że istniejące zakłady opiekuńcze dla dorosłych nie odpowiadają potrzebom ani liczbowo, ani pod względem wyposażenia. Wiele tu jeszcze pozostaje do zrobienia, a troska o to powinna wszystkim leżeć głęboko na sercu. Bo, jak słusznie w za-

kończeniu piszą dr. M. Kacprzak i E. Rudzińska, narody kulturalne nie mogą oceniać opieki nad człowiekiem starym ze stanowiska „nie opłaca się"; poziom kultury mierzy się bowiem „nie tylko rozwojem piśmiennictwa i ilością zużywanego mydła, lecz i poziomem opieki nad tymi, którzy pozostawieni samym sobie, nie mogą o własnych siłach zaspokoić nawet elementarnych potrzeb ludzkich".

Ks. Sf. Podoleński T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 28 stycznia 1935.

Japonja w walce o hegemonję na Pacyfiku.[1])

Wstęp.

Upłynęło trzy lata od czasu, kiedy Japonja, zrywając z tradycyjną polityką ukrytej emulacji i sztucznej równowagi, uprawianą przez wielkie mocarstwa na wybrzeżach Oceanu Spokojnego, otwarcie sięgnęła po ziemie, których posiadanie uważała za konieczne dla swojego mocarstwowego rozwoju na lądzie stałym. Okres ten, aczkolwiek krótki, cechują tak doniosłe posunięcia polityczne i takie zmiany w układzie sił na Dalekim Wschodzie, iż daje on dostateczny materjał do wysnucia daleko idących wniosków na przyszłość, co też postaramy się uczynić, poddając szczegółowej analizie sytuację obecną.

Przedewszystkiem zasługuje na uwagę forma, w którą Japonja oblekła swój podbój Mandżurji. Na terenie, siłą oręża oderwanym od Chin powstała „niepodległa" republika Mandżou-guo, stanowiąca rzekomo wyraz „swobodnej woli" nieistniejącego narodu mandżurskiego (w rzeczywistości emigrantów chińskich z Chin właściwych), pragnącego wyzwolić się „z pod tyranji" Chin. Forma ta częściowo znajduje wyjaśnienie w międzynarodowej sytuacji politycznej, stanowiąc oficjalny argument przeciwko oskarżeniom Japonji o tendencje zaborcze w stosunku do Chin, których „niepodzielność" i „nietykalność" zostały przez nią samą zagwarantowane podpisem, położonym pod Waszyngtońskim Traktatem dzie-

[1]) Vide: „Powstanie państwa Man-dżou-guo". *Przegląd Powszechny*, kwiecień 1933 r.

więciu mocarstw w r. 1922. Pozatem nawet iluzoryczna niepodległość Mandżurji ułatwiała japonofilskim (z przekonania czy z podkupu) kołom miejscowych Chińczyków przeistoczenie się w „Mandżurów" formalnie oddalając od nich zarzut zdrady ojczyzny, również więc i z tego powodu powstanie państwa mandżurskiego przedstawiało się zupełnie celowo. Ażeby wreszcie temu nieoczekiwanemu wybuchowi patrjotyzmu mandżurskiego nadać jaknajwiększe cechy prawdopodobieństwa, a może i celem rzeczywistego rozbudzenia uczuć patrjotycznych, władze japońskie zainscenizowały zaproszenie przez ludność miejscową na stanowisko naczelnika państwa — b. ostatniego cesarza dynastji mandżurskiej w Chinach (Da-Cin) — młodego księcia Pu I, który ostatnie lata przed przewrotem spędził w Japonji.

Cała ta dosyć skomplikowana konstrukcja polityczna pomimo wszystko wyglądała jeszcze zbyt naiwnie, aby mogła wprowadzić w błąd opinję międzynarodową. Japończykom zresztą o to niebardzo chodziło. Mieli oni siłę oraz niezłomną decyzję przeprowadzenia swoich planów zaborczych, cała więc inscenizacja nazewnątrz była im potrzebna tylko dla udzielenia formalnej odpowiedzi na protesty państw zainteresowanych, które nie mogąc dysponować innemi środkami oddziaływania, musiały narazie na niej poprzestać.

Opinja międzynarodowa przez usta Ligi Narodów po dłuższych wahaniach zdobyła się na najsurowszą sankcję, która w tym wypadku znajdowała się w jej rozporządzeniu. Ogólne zgromadzenie Ligi potępiło akcję japońską i zaleciło swoim członkom wstrzymanie się od oficjalnego uznania nowego państwa. Wynikiem tego było wystąpienie Japonji z Ligi, uzyskanie przez nią dzięki temu wolnej ręki w Mandżurji i przeniesienie całego zagadnienia z forum międzynarodowego w dziedzinę jej stosunków dyplomatycznych z każdem z państw zainteresowanych.

O to prawdopodobnie najwięcej chodziło Japonji, gdyż dojście do porozumienia z poszczególnemi państwami nastręczało znacznie mniejsze trudności, niż skuteczna obrona swoich, bardzo wątpliwej słuszności, postulatów wobec instytucji międzynarodowej. Polityka Japonji w stosunku do Mandżurji w związku z opuszczeniem Ligi Narodów nie uległa

żadnej zmianie. W dalszym ciągu formalnie traktując Mandżurję jako państwo niepodległe, zawarła z nią ścisły sojusz wojenny i handlowy i pod tym pretekstem ujęła w swoje ręce kierownictwo wszystkich dziedzin życia nowopowstałej republiki. Wojska japońskie utrzymywały porządek w kraju, prowadząc nieustanną walkę z ruchem partyzanckim, stworzonym przez niedobitki miejscowych wojsk chińskich oraz przez licznych malkontentów z pośród ludności miejscowej, w każdym urzędzie na drugorzędnych, a w rzeczywistości instruktorskich stanowiskach zjawili się Japończycy, „prywatnie zaangażowani" przez władze mandżurskie, banki japońskie udzieliły kredytu rządowi mandżurskiemu wzamian za koncesję na budowę kolei i eksploatację naturalnych bogactw kraju, a coraz to nowe grupy japońskich emigrantów — przemysłowców, kupców, rzemieślników i kolonistów rolnych — przybywały do miast mandżurskich lub osiadały na obszernych i urodzajnych terenach prowincjonalnych.

Konflikt japońsko-chiński.

Podczas gdy to wszystko się działo — sytuacja polityczna dookoła Mandżurji wikłała się coraz bardziej. Rząd nankiński, opierając się na przychylnem dla siebie orzeczeniu Ligi Narodów i nie bez słuszności spodziewając się od niej pomocy, nie zgodził się na uznanie niepodległości Mandżurji i w sąsiedniej z nią prowincji Mongolji Wewnętrznej — Ze-che skoncentrował wygnane przez Japończyków wojska b. wielkorządcy mandżurskiego Dżan-Siue-lana, podtrzymując w ten sposób ruch partyzancki w głębi kraju. Okoliczność ta posłużyła Japonji za powód do podjęcia przeciwko tym wojskom akcji zbrojnej, przyczem równocześnie nowe państwo mandżurskie wysunęło pretensję do posiadania prowincji Ze-che, jakoby na tej zasadzie, że kilka lat przedtem została ona przyłączona do Mandżurji przez wielkorządcę Dżan-Dzo-lina. Operacje wojenne w Ze-chu zostały zakończone w rekordowo szybkim czasie niespełna dwóch tygodni, ale wojska chińskie odrzucone za Wielki Mur, dzielący Chiny od Mongolji Wewnętrznej, w dalszym ciągu zachowały podstawę agresywną i rząd nie zgadzał się na zaakceptowanie zaszłych zmian terytorjalnych.

Wskutek tego Japończycy zorganizowali dwie wyprawy wojenne, mające na celu ostateczne złamanie oporu chińskiego. Pierwsza z nich została skierowana morzem do Szanghaju, celem opanowania tego największego ośrodka handlowego Chin i pozbawienia ich środków do dalszej walki, druga — przekroczyła Wielki Mur i zaatakowała znajdujące się za nim wojska rządu nankińskiego. Obie wyprawy natrafiły na zacięty opór wojsk chińskich, miały jednak różne wyniki. Atak Szanghaju nie przysporzył Japonji wawrzynów wojennych. Broniąca miasta 17-ta armja kantońska, zaopatrzona w nowoczesną broń i obfite zapasy amunicji, a w dodatku podobno kierowana przez instruktorów cudzoziemskich, okryła się wielką sławą, odbijając wielokrotnie zacięte ataki japońskie. W czasie walk forty nabrzeżne i część miasta zostały obrócone w gruzy, ponieważ zaś niebezpieczeństwo groziło i miljardowej koncesji międzynarodowej, energiczne pośrednictwo wielkich mocarstw doprowadziło do rozejmu, który nie przyniósł Japonji żadnej korzyści.

Natomiast wojska japońskie, operujące za Wielkim Murem, wkońcu potrafiły przezwyciężyć desperacki opór wojsk chińskich i stopniowo posuwały się ku dawnej stolicy Środkowego Państwa — Pekinowi. Opanowanie tego miasta przez Japończyków również mogło grozić poważnemi komplikacjami politycznemi ze względu na znaczne interesy cudzoziemskie tu skoncentrowane, na szczęście jednak rząd nankiński, przekonawszy się wreszcie o płonności wszelkich nadziei na skuteczną pomoc wielkich mocarstw, w ostatniej chwili zgodził się na przystąpienie do rokowań pokojowych. Japończycy widocznie również nie życzyli sobie przeciągać struny, zawarto więc wkońcu rozejm w Da-gu, na mocy którego za Wielkim Murem utworzono strefę neutralną, dokąd wojska chińskie nie miały dostępu. Kwestja niepodległości Mandżurji została w tych rokowaniach pominięta milczeniem i załatwienie wszelkich wogóle spornych kwestyj chińsko-japońskich zostało odroczone do przyszłej konferencji, której terminu nie ustalono i która nie zebrała się dotąd. Właściwym więc zyskiem Japonji z całej tej akcji była możność większej swobody działania w granicach Mongolji Wewnętrznej.

Zasługuje na uwagę okoliczność, że pomimo krwawych walk, toczonych przez wrogie armje, formalnej wojny między Japonją a Chinami nie było. Istniał tylko „konflikt japońsko-chiński o Mandżurję" i podczas gdy połowa Szanghaju legła w gruzach, a drogę do Wielkiego Muru do bram Pekinu usiano trupami walczących żołnierzy, poseł japoński przy rządzie nankińskim, jak również konsulowie japońscy w Chinach, utrzymywali normalne stosunki dyplomatyczne z władzami chińskiemi.

Zatarg o kolej wschodnio-chińską.

Poza Chinami akcja japońska w Mandżurji dotknęła przedewszystkiem Rosji sowieckiej, jako właścicielki kolei wschodnio-chińskiej. Nieprzygotowana do wojny, Rosja nie zdobyła się na okazanie należytego oporu na początku wystąpienia japońskiego i musiała zadowolnić się obietnicą okupantów, że prawa jej własności nie doznają żadnego uszczerbku. Z chwilą jednak utworzenia się państwa mandżurskiego, którego władze odrazu zajęły podstawę agresywną wobec koncesji sowieckiej, stało się zupełnie jasnem, że istnienie niezależnego przedsiębiorstwa obcego na tym terenie jest rzeczą nie do pomyślenia. Równocześnie więc z rozpoczęciem gorączkowych przygotowań w kierunku zwiększenia swojej zdolności obronnej na Dalekim Wschodzie, Związek sowiecki zaproponował Japonji nabycie swoich praw własności do kolei wschodnio-chińskiej.

Japonja i tym razem nie wyszła poza ramy stworzonej przez siebie fikcji i o propozycji sowieckiej zawiadomiła rząd mandżurski, który wyraził zgodę na podjęcie w tej sprawie rokowań. Specjalne delegacje, sowiecka i mandżurska rozpoczęły swoją pracę w Tokjo, ale wkrótce zostały zmuszone do jej przerwania ze względu na ogromną różnicę w cenie. Rząd sowiecki zażądał 369 miljonów złotych rubli, rząd mandżurski zaś proponował... tylko pięćdziesiąt miljonów jen, których kurs w tym czasie w stosunku do rubla uległ znacznej zniżce. W tych warunkach porozumienie było niemożliwe, konferencja uległa odroczeniu i stosunki japońsko-mandżursko-sowieckie weszły w stadjum ostrego zadrażnienia. Obie strony rozwinęły szaloną kampanję pra-

sową, oskarżając się wzajemnie o chęć wywołania wojny; na pograniczu sowiecko mandżurskiem wyniknął szereg incydentów, a działalność sowiecka na kolei napotykała na coraz większe przeszkody ze strony władz mandżurskich.

W tym okresie Rosja sowiecka po raz pierwszy wysunęła przeciwko Japonji oskarżenia, które nie mogły nie wywołać pewnego niepokoju w sferach międzynarodowych. Mianowicie oskarżyła ją o chęć opanowania całego sowieckiego Dalekiego Wschodu z Władywostokiem i Błagowieszczeńskiem. Prasa sowiecka wskazywała na to, że cena ofiarowana za kolej przez rząd mandżurski jest tak dalece niewspółmierna z jej rzeczywistą wartością, że dowodzi tylko świadomej chęci Japonji zerwania rokowań, celem przystąpienia do realizacji rzeczywistych planów, w których kwestja sprzedaży kolei gra rolę podrzędną.

Kilka nieostrożnych artykułów, które w tym czasie ukazały się w prasie japońskiej, nadało rewelacjom sowieckim wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Publicyści japońscy poważnie udowadniali, że z chwilą powstania niepodległego państwa mandżurskiego i przejęcia przezeń praw własności do kolei wschodnio-chińskiej, Władywostok a z nim i cały sowiecki Wschód, tracą dla Rosji wszelkie znaczenie. Byłoby więc najbardziej celowem ustąpienie tych ziem Japonji. Z drugiej strony i stanowisko zajęte przez Japonję wobec zagadnienia Pacyfiku wcale nie wskazywało na to, aby aneksja Mandżurji miała być kresem jej zaborczych żądań. Wiadomo było, że w Mongolji Wewnętrznej wciąż odbywają się jakieś tajemnicze przesunięcia wojsk japońskich oraz nieustanne konszachty z miejscowymi książętami, że w Chinach Północnych nie bez udziału Japonji szerzy się ruch separatystyczny i coraz wyraźniej rozlegają się głosy za porozumieniem z Mandżurją i że wreszcie liczne rzesze emigracji rosyjskiej, zamieszkałe w Charbinie i w b. pasie wywłaszczenia kolei wschodnio-chińskiej, są niezwykle faworyzowane przez Japończyków i nie ukrywają wyznaczonej sobie roli odnowicieli b. imperjum rosyjskiego na jego wschodnim krańcu. Śmiesznie więc mała cena, ofiarowana za kolej, rzeczywiście zdawała się mieć wszelkie cechy świadomego kroku, obliczonego na zerwanie rokowań i wywołanie wojny.

Rosja sowiecka z natury rzeczy nie miała przyjaciół wśród wielkich mocarstw, zainteresowanych w zagadnieniu Pacyfiku. Zarówno jednak fakt pierwszego, niczem nieusprawiedliwionego zamachu na terytorjum obce, jak i obawa, że aneksja Mandżurji stanowi tylko wstęp do uplanowanej akcji, skierowanej przeciwko całemu istniejącemu porządkowi rzeczy na Dalekim Wschodzie, obudziły czujność tych mocarstw, a w pierwszym rzędzie Stanów Zjednoczonych A. P. i Wielkiej Brytanji, obawiających się o równowagę wpływów na Pacyfiku i o utrzymanie zasady „otwartych drzwi w Chinach". Pierwszym tego objawem była gwałtowna zmiana polityki Waszyngtonu w stosunku do Moskwy, wyrażająca się w formalnem uznaniu przez Amerykę Związku sowieckiego. Było to swoistą zapowiedzią, że w razie konfliktu na Dalekim Wschodzie Ameryka opowie się po stronie Rosji.

Posunięcie to nie pozostało bez wpływu na dalsze kształtowanie się stosunków japońsko-sowieckich i chociaż Japonja niezwłocznie zadeklarowała, że stanowisko Ameryki w najmniejszej mierze nie wpłynie na zmianę jej polityki dalekowschodniej, uległy one pewnemu odprężeniu. Japoński minister spraw zagranicznych Hirota zaproponował swoje pośrednictwo w sprawie wznowienia pertraktacyj kolejowych i prasa japońska, dotąd zajmująca pozycję nieprzejednaną, zaczęła pisać o możliwości kompromisu. Trwało to jednak niedługo. Rokowania wprawdzie wznowiono, ale w dalszym ciągu rozbieżność zdań stała na przeszkodzie do sfinalizowania. Trudno z całą pewnością stwierdzić jakie okoliczności i o ile wpłynęły na zmianę stosunku Japonji do kwestji sprzedaży kolei, dało się jednak zauważyć, że nowe zaostrzenie pertraktacyj sowiecko-japońskich zbiegło się z okresem, kiedy zaczęła się zarysowywać pewna możliwość zacieśnienia stosunków japońsko-angielskich, oraz wyjaśniło się, że porozumienie sowiecko-amerykańskie napotyka na szereg poważnych przeszkód, wypływających z zupełnie odmiennych ustrojów obu państw. Z tych czy innych powodów pertraktacje znowu utknęły i dookoła nich rozpętała się cała burza wzajemnych oskarżeń i inwektyw, podsycana nietylko przez prasę, ale i dzięki enuncjacjom czynników odpowiedzialnych.

Z tej walki słownej świat dowiedział się wreszcie o ostatecznej fazie, w którą weszły rokowania kolejowe. Okazało się, że rząd sowiecki obniżył swoje żądania do 160 miljonów już nie złotych rubli, a jen, strona zaś mandżurska postąpiła do 120 miljonów. Powstałą różnicę czterdziestu miljonów jen wobec ogromnych ustępstw, poczynionych przez rząd sowiecki, należałoby uważać za nieznaczną, całą tranzakcję — za bliską rozwiązania, w rzeczywistości zaś właśnie w tem stadjum przybrały rokowania charakter niezwykle ostry i groźba całkowitego zerwania ponownie nad niemi zawisła. Była to, jak dotąd, najgroźniejsza chwila w stosunkach japońsko-sowieckich. Na kolei wschodnio-chińskiej rozpoczęły się bandyckie napady na pociągi, przeważnie na eszelony wojsk japońskich, w całym zaś kraju wzmógł się ruch partyzancki. Prasa miejscowa składała winę za to na Związek sowiecki, oskarżając sztab armji dalekowschodniej o organizowanie i podsycanie rozruchów i przypisując personelowi kolei udział w katastrofach kolejowych. W związku z tem władze mandżurskie dokonały aresztowania kilkudziesięciu urzędników i pracowników kolejowych i rzekomo nawet poddały ich torturom celem wymuszenia na nich przyznania się do winy.

Oskarżenia te wywołały ostre protesty rządu sowieckiego, który systematycznie udowadniał ich prowokacyjny charakter oraz żądał zwolnienia niewinnie więzionych pracowników kolejowych. Ton not sowieckich stawał się bardziej stanowczym i coraz wyraźniej brzmiała w nich groźba, że w razie odrzucenia ostatecznych, skromnych warunków sprzedaży Związek sowiecki nie cofnie się przed użyciem siły celem obrony swojej własności. I znowu stanowcze te posunięcia zdają się mieć źródło w ogólnej konjunkturze politycznej. Zarysowuje się porozumienie sowiecko-francuskie i Rosja sowiecka wstępuje do Ligi Narodów, krusząc w ten sposób mur, który ją od chwili jej powstania oddzielał od reszty świata. Związana paktami o wzajemnej nieagresji ze wszystkiemi państwami ościennemi i mająca widoki na współpracę polityczną z Francją, Rosja sowiecka nie czuje się już tak bezsilną wobec Japonji, jak dotąd, tembardziej, że przygotowania jej wojenne na Dalekim Wschodzie również zna-

cznie się posunęły naprzód. Jej armja daleko wschodnia (t. zw. OKDWA) [1]) została doprowadzona do 300.000 ludzi i zaopatrzona w najnowszy sprzęt wojenny, w Władywostoku zaś powstała pierwszorzędna baza lotnicza, mieszcząca około 400 samolotów bombowych. Dowódca OKDWA — Bluecher, znany ze swojej działalności w rewolucyjnym Kantonie za czasów Sun-Jat-sena, a później z udziału w konflikcie chińsko-sowieckim 1929 roku, niejednokrotnie i w bardzo ostrej formie podkreślał publicznie, że stan jego armji może służyć za zupełną gwarancję bezpieczeństwa granic sowieckich, ludowy zaś komisarz obrony ZSRR — Woroszyłow miał nawet jakoby wyrazić się, że jeżeli wojska sowieckie zostaną zmuszone do ustąpienia, to eskadry samolotów władywostockich zdążą obrócić w perzynę połowę Japonji. Zwłaszcza to ostatnie oświadczenie nie było czczą groźbą i najlepiej wiedzieli o tem Japończycy.

Naprężona sytuacja trwała kilka tygodni, budząc niepokój w całym świecie, potem jednak (mniej więcej na początku września) — nastąpiła zupełna cisza. Ustały nawet napady na pociągi i aresztowania sowieckich urzędników kolejowych. Równocześnie depesze doniosły, że ambasador japoński w Moskwie odbył kilka ważnych konferencyj z kierownikami sowieckiej polityki zagranicznej i nawet miał tajną rozmowę z premjerem Mołotowym. Treść tych rozmów, poza luźnemi domysłami prasy, pozostała tajemnicą, bezpośrednio jednak potem rozeszły się pogłoski o wznowieniu rokowań, a już na początku października doszło do zasadniczego porozumienia między obu stronami. Kolej została sprzedana za 140 miljonów jen, osobno zaś 30 miljonów przeznaczono na wypłatę odszkodowania dotychczasowemu jej personelowi. Czterdzieści miljonów miało być wypłacone gotówką niezwłocznie po ratyfikacji umowy, reszta zaś — towarami — w ciągu trzech lat.

Kwestja wydawała się ostatecznie załatwioną i groźbę wojny można było uważać za zażegnaną, przynajmniej na jakiś czas. Chodziło tylko o ustalenie szeregu szczegółów natury technicznej, a więc stosunkowo drobnych, ale tu wła-

[1]) Osobaja krasnoznamionnaja (czerwonosztandarowa) dalniewostocznaja armja.

śnie w całej pełni wystąpiły jaskrawe różnice, cechujące obu przeciwników i ogromnie utrudniające wszelkie między nimi porozumienie. Każdy niemal szczegół zasadniczo załatwionej tranzakcji stał się powodem do nieskończonych sporów i wywoływał biegunową różnicę zdań. Rząd sowiecki zażądał, aby wypłata przez władze mandżurskie umówionej sumy została zagwarantowana przez rząd japoński, ten ostatni zaś uważał, że gwarancja udzielona przez banki japońskie najzupełniej wystarczy; rząd sowiecki domagał się, aby suma przyznana tytułem odszkodowania personelowi została oddana do jego dyspozycji, z tem, że wypłata zostanie uskuteczniona w Rosji, władze japońsko-mandżurskie nie zgadzają się na to, obstając przy wypłacie tej sumy na miejscu osobom, dla których jest przeznaczona. Analogiczne nieporozumienia wynikły i podczas omawiania innych szczegółów, jak to ustalenie kategoryj towarów i terminów ich dostawy, przynależności gmachów i placów, należących nie bezpośrednio do kolei, a do jej przedsiębiorstw dodatkowych i wreszcie sposobu i terminów przekazania nowym właścicielom aktów bieżących, buchalterji i kasy. Niektóre z tych kwestyj dotąd nie zostały uregulowane i jeżeli nie grożą wojną, to w każdym razie powodują stały stan zadrażnienia.

Poddając krytycznej ocenie cały przebieg rokowań japońsko-sowieckich, trudno powstrzymać się od wątpliwości, czy też rzeczywiście obu stronom chodziło i chodzi o szybkie zakończenie tranzakcji kolejowej, cały zaś szereg okoliczności przemawia za tem, że wątpliwość ta nie jest bezpodstawną. Z jednej bowiem strony prasa sowiecka niejednokrotnie i obszernie wypowiadała i uzasadniała zdanie, że sprawa sprzedaży kolei jest tylko jednem drobnem ogniwem łańcucha planów japońskich, dotyczących sowieckich posiadłości dalekowschodnich. Z chwilą powstania japońskiej Mandżurji sytuacja kolei stała się beznadziejną, propozycja więc Sowietów co do jej sprzedaży była zupełnie szczera. Pomimo to jednak nie mogła nie ukrywać się za nią chęć odwleczenia tej tranzakcji na czas potrzebny na odpowiednie zabezpieczenie granic dalekowschodnich. O ileby więc Związek sowiecki rzeczywiście zwlekał z ostateczną decyzją, wysuwając coraz to nowe objekcje przeciwko sposobom za-

łatwienia technicznych szczegółów sprzedaży, taktyka jego nie zawierałaby w sobie niczego niezrozumiałego. Z drugiej strony — nie ulega wątpliwości, że Japonja zgodziła się na kupno kolei, którą mogła bez żadnych specjalnych wysiłków zrujnować ekonomicznie i posiąść zadarmo, jedynie ze względu na ogólną sytuację międzynarodową. Zapłacenie za nią bądź co bądź poważnej sumy 140 miljonów jen nie mogło być przez Japonję uważane za najlepsze rozwiązanie sprawy, niezależnie nawet od tego, czy przypisywane jej plany zaborcze w stosunku do sowieckiego Dalekiego Wschodu odpowiadały rzeczywistości. Zdaje ona sobie sprawę z tego, że zarówno wpłacone przez nią pieniądze, jak i dostarczone towary, całkowicie zostaną zużyte przez Sowiety na podniesienie obronnej zdolności ziem dalekowschodnich, a zatem na wzmocnienie państwa wrogiego jej ideologicznie i posiadającego historyczną tendencję rozwojową w kierunku Pacyfiku. Czy więc w takich warunkach Japonji łatwo zdecydować się na wypłacenie tej sumy i czy nie leży w jej interesie przeciągnięcie rokowań do chwili, kiedy jej przygotowania wojenne zostaną całkowicie wykończone i kiedy cały kompleks nieporozumień i sprzeczności, istniejący między dwoma państwami, doprowadzi je do nieuniknionego zbrojnego starcia, którego wynik zadecyduje o losach Dalekiego Wschodu?

Ostatecznej odpowiedzi na to pytanie udzieli dopiero przyszłość, nie można jednak nie zaznaczyć, że sytuacja obecna narazie kształtuje się jakby w myśl powyższych przypuszczeń, gdyż obie strony wyraźnie zwlekają z finalizacją umowy, przyczem każda z nich stara się odpowiedzialnością za to obarczyć przeciwnika.

Japonja w Chinach.

Niemniej zagadkowo przedstawia się polityka japońska w stosunku do Chin. Po rozejmie, który zakończył ostatni konflikt zbrojny, stosunki japońsko-chińskie rozwijają się napozór normalnie i pokojowo, w rzeczywistości jednak nie może być mowy o jakiejkolwiek szczerej, ściślejszej współpracy Chińczyków z Japończykami, przynajmniej za życia obecnego pokolenia. Zbyt świeże są jeszcze rany zadane

przez oderwanie Mandżurji, atak Szanghaju i marsz na Pekin. W szerokich warstwach ludności nastawienie antyjapońskie jest objawem stałym, ostatnie zaś wypadki mogły je tylko wzmocnić. Pozatem, chociaż Japończycy przy każdej sposobności zaznaczają konieczność przyjaznych stosunków między Chinami a Japonją, całokształt ich polityki w stosunku do Chin stwarza cały szereg coraz to nowych zadrażnień, które niweczą już nawet osiągnięte pewne rezultaty dodatnie. Tak naprz. w ostatnich czasach daje się zauważyć prawie zupełny zanik dosyć ożywionego przed rokiem separatystycznego ruchu w Chinach Północnych i przyczyny tego szukać należy w nowych posunięciach Japonji skierowanych przeciwko Chinom.

W kwietniu r. ub. biuro prasowe japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych wydało komunikat, omawiający wytyczną linję polityki japońskiej w stosunku do Chin. Zaczynał się on od stwierdzenia, że Japonji, bardziej niż każdemu innemu państwu, leży na sercu dobrobyt Chin, z zadowoleniem więc powita ona wszelkie próby skierowane ku gospodarczemu rozwojowi tego państwa, z tym jednak warunkiem, że zostaną one podjęte przez same Chiny, z wyłączeniem wpływów obcych. Wpływy te bowiem w wielu wypadkach są szkodliwe i dążą do pogłębienia anarchji, zagrażającej pokojowi na Dalekim Wschodzie. Japonja jest jedynem państwem, posiadającem realne siły i możliwości utrzymania pokoju, z tego więc powodu powinna mieć specjalne uprawnienia. Ażeby położyć kres szkodliwej polityce niektórych państw, zaopatrujących w broń i środki — buntownicze elementy chińskie, Japonja nie może pozwolić aby Chiny bez jej wiedzy i aprobaty zawierały z jakiemikolwiek państwami, względnie z grupą państw (aluzja do Ligi Narodów) umowy mogące zagrozić pokojowi, w tym więc celu będzie kontrolowała i kwalifikowała wszelkie umowy między Chinami a państwami obcemi i nieprzedstawienie ich sobie będzie uważała za krok nieprzyjazny. Wkońcu komunikat zaznaczał, że nowe to uprawnienie Japonji „nie wchodzi w kolizję ani z istniejącemi traktatami, ani z zasadą „otwartych drzwi w Chinach", gdyż wszelkie umowy rzeczywiście korzystne dla Chin będą przez nią aprobowane.

Pomimo tych zastrzeżeń — nie ulegało wątpliwości, że głównym celem komunikatu było ustalenie kontroli japońskiej nad całą zagraniczną polityką Chin, czyli nie mający precedensu zamach na suwerenne prawa obcego, niepodległego państwa. Osobliwością tego niezwykłego dokumentu było jeszcze i to, że nie został on oficjalnie doręczony cudzoziemskim przedstawicielom w Tokjo i dowiedzieli się oni o jego treści dopiero z prasy. Wywołał on ogromne wzburzenie zarówno w Chinach, jak i w sferach międzynarodowych. Rząd nankiński niezwłocznie wystosował ostry protest przeciwko pogwałceniu swoich praw, a ambasadorowie W. Brytanji i Stanów Zjednoczonych zwrócili się do ministra Hiroty z żądaniem wyjaśnienia. Protest nankiński formalnie został bez odpowiedzi, ale ambasadorom minister złożył zapewnienia, że komunikat właściwie nie zawiera w sobie niczego nowego i jest logicznem rozwinięciem dotychczasowej polityki japońskiej, nie zagrażającej ani suwerennym prawom Chin, ani zasadzie „otwartych drzwi", ani wreszcie słusznym interesom państw obcych, gdyż chodzi tu tylko o akcje szkodliwe, w rodzaju dostaw broni lub podżegania do wojny domowej.

Rząd brytyjski poprzestał na tych wyjaśnieniach i sir John Simon, odpowiadając na interpelację w tej sprawie w Izbie Gmin, zaznaczył, że komunikat japoński W. Brytanji nie dotyczy, gdyż nie zajmuje się ona ani handlem bronią ani wojną domową, Rząd amerykański ustosunkował się do tych wyjaśnień z większą rezerwą i ograniczył się tylko do uwagi, że z ostateczną oceną tej sprawy wstrzyma się do jakiegokolwiek konkretnego wypadku, któryby spowodował zastosowanie przez Japonję zapowiedzianej polityki. Cały incydent wkrótce poszedł w zapomnienie, a opinja międzynarodowa doszła do wniosku, że komunikat był tylko „próbnym balonem", puszczonym przez Japonję celem przekonania się, jakie wywoła wrażenie.

Wszelkie posunięcie polityczne może być należycie ocenione tylko wtedy, kiedy są znane powody, które je wywołały, oraz cele, do których zmierza. O japońskim „próbnym balonie" nie wiemy nic, z tym chyba wyjątkiem, że posunięć bezcelowych w polityce nie bywa wogóle, a w japońskiej

tembardziej. Prawdopodobnie więc należy je zaliczyć do ogólnego programu Japonji w dziedzinie rozwiązania problemu Pacyfiku i na tem narazie poprzestać. Nie możemy jednak nie zaznaczyć, że wrażenie wywołane przez ten komunikat w Chinach było jaknajgorsze i niewątpliwie odstręczyło od współpracy z Japonją nawet czynniki najbardziej ugodowe. Z drugiej jednak strony spokojna groźba i pewność siebie, cechujące to wystąpienie Japonji, jak również charakterystyczne dla obecnej polityki japońskiej, niedbale i stereotypowo skonstruowane wyjaśnienie ministra Hiroty, nie mogły nie zaimponować rządowi nankińskiemu, który obecnie może przeciwstawić agresji japońskiej tylko bezsilne protesty i bardzo problematyczną pomoc zainteresowanych wielkich mocarstw.

Drugim powodem do zadrażnień w stosunkach japońsko-chińskich jest działalność Japończyków w Mongolji Wewnętrznej. Kwestja mongolska stanowi specjalny odcinek polityki japońskiej w Mandżurji. Wchodzące w skład państwa mandżurskiego ziemie mongolskie tworzą autonomiczną prowincję, rządzoną przez mongolskiego księcia z tytułem ministra spraw mongolskich i władze mandżurskie wszelkiemi sposobami starają się pozyskać względy swoich koczowniczych współbraci, pozostawiając im całkowitą swobodę w ich nieskomplikowanem życiu stepowem. Prawdopodobnie wolność i dobrobyt, panujące w mongolskiej prowincji Mandżou-guo, mają stanowić rodzaj przynęty dla innych plemion mongolskich, pozostających pod władzą Sowietów i Chin. O ile jednak zagadnienie Mongolji sowieckiej może być rozwiązane dopiero wraz z całokształtem stosunków japońsko-sowieckich, o tyle akcja skierowana do opanowania chińskiej Mongolji Wewnętrznej — znajduje się w toku już obecnie. Szereg punktów w kraju Czacharów, drugiej (po Ze-he) prowincji mongolskiej, został zajęty przez wojska japońskie jeszcze w czasie konfliktu z Chinami i odtąd w prowincji tej wśród Mongołów stale rozwija się propaganda za przyłączeniem się do Mandżurji. Nie jest wykluczone, że pomimo bezsilnego sprzeciwu Chińczyków, przyłączenie to w formie „restytucji" dawnej władzy cesarza Mandżurji nad plemionami mongolskiemi stanie się faktem dokonanym,

a wtedy i los trzeciej prowincji mongolskiej — Suj-juan — można będzie uważać za przesądzony. Jak się to jednak odbije na stosunkach japońsko-chińskich — przewidzieć nietrudno.

Wypowiedzenie traktatu Waszyngtońskiego.

Cała ta ożywiona i mocno podejrzana polityka Japonji w stosunku do Rosji sowieckiej i Chin, w związku z szeroko lansowanemi pogłoskami o daleko sięgających planach zaborczych japońskich militarystów, wytworzyła dookoła niej pewną izolację. Każde z większych mocarstw obawiało się o swoje wpływy i kolonje w Azji Wschodniej i żadnemu z nich nie uśmiechała się perspektywa nadmiernego wzrostu potęgi japońskiej kosztem państw sąsiednich. Przeciwko tej izolacji Japonja zastosowała szereg posunięć, starając się w pierwszym rzędzie o zainteresowanie niektórych państw obiecującym rynkiem Mandżurskim. Wysiłki te odniosły już pewien skutek, powodując przypływ do Mandżurji kapitałów angielskich i francuskich, na przeszkodzie jednak do bliższego porozumienia znowu stanęła konieczność zrealizowania przez Japonję jednej z zasadniczej części jej planu mocarstwowego rozwoju.

Mianowicie w przyszłym roku upływa termin Waszyngtońskiego Traktatu dziewięciu mocarstw, podpisanego w roku 1922 oraz Londyńskiej Konwencji Morskiej, zawartej przez Japonję, Anglję i Stany Zjednoczone w roku 1930. Protokół Waszyngtoński zagwarantował niepodzielność Chin, potwierdził zasadę „otwartych drzwi" w tym kraju i ustalił procentowy stosunek flot pięciu największych państw morskich. Anglji i Ameryce przyznano ogólny tonaż po 500.000, Japonji, — 300.000, a Francji i Włochom po 175.000, co w skrócie wyrażono ogólnie znaną skalą; 5:5:3:1·75:1·75.

Już aneksja Mandżurji częściowo podważyła ten traktat, chociaż Japonja usiłowała udowodnić, że samorzutne wyzwolenie się „narodu mandżurskiego" nie może być uważane za pogwałcenie zasady niepodzielności Chin. Obecnie zaś Japonja wyraźnie oświadczyła, że o ile nie będzie jej przyznana zupełna równość w zbrojeniach morskich z Anglją i Ameryką, to w ustalonym terminie — w grudniu 1934 r. —

wypowie cały traktat. Konwencja Londyńska w tym wypadku rozwiąże się sama przez się, gdyż stanowi jedynie uzupełnienie traktatu.

Celem omówienia żądań japońskich i uzgodnienia zdań przed wyznaczoną na rok 1935 Rozbrojeniową Konferencją Morską, zostały zainicjowane t. zw. „rozmowy morskie" w Londynie, w których wzięły udział delegacje trzech państw zainteresowanych. Zupełna niemożliwość dojścia do porozumienia wykazała się odrazu: Japonja kategorycznie zażądała zrównania tonażu swojego z angielsko-amerykańskim — czy to w formie obniżenia tamtego do 3, czy podniesienia swojego do 5. Ameryka niemniej kategorycznie uchyliła obie propozycje i obstawała przy zachowaniu stosunku istniejącego. Chociaż tak zasadniczej różnicy zdań co do pierwszego punktu dosyć, aby próbę porozumienia uważać za chybioną, z inicjatywy rządu angielskiego, który w rozmowach tych przeważnie grał rolę pośrednika między dwoma przeciwnikami, przystąpiono do omówienia kwestyj dalszych. I tam jednak rozbieżność zdań okazała się niemniej rażąca. Japonja naprz. wystąpiła z projektem skasowania „floty napastniczej", za którą uważała wielkie pancerniki i pływające bazy lotnicze, t. zw. awio-matki, wypowiedziała się zaś za zachowaniem „floty obronnej" do której zalicza lekkie krążowniki i łodzie podwodne. Natomiast Ameryka właśnie łodzie podwodne uważała za statki napastnicze i ani chciała słyszeć o wyrzeczeniu się pancerników, stanowiących większość jej floty wojennej.

W tych warunkach rozmowy londyńskie nie mogły mieć dodatniego wyniku i pomimo kilku prób kompromisowych skończyły się na niczem, Japonja zaś w końcu grudnia formalnie wypowiedziała traktat Waszyngtoński. Okoliczność ta jeszcze bardziej oziębiła stosunki japońsko-amerykańskie, a i na stosunkach z Wielką Brytanją nie mogła nie zaważyć ujemnie, pomimo wysiłków obu stron celem zachowania chociażby pozorów przyjaźni i współpracy.

Japonja i Wielka Brytanja.

Traktat Waszyngtoński, aczkolwiek sam przez się stanowiący potężny czynnik, regulujący pokojową współpracę

na Dalekim Wschodzie wszystkich mocarstw zainteresowanych, w stosunkach japońsko-angielskich jest tylko jednym z licznych szczegółów. Dlatego też i wypowiedzenie jego przez Japonję tylko czasowo utrudni odnalezienie kompromisu między dwoma mocarstwami. W dziedzinie polityki międzynarodowej współpraca Stanów Zjednoczonych jest dla W. Brytanji stokroć ważniejsza od współpracy Japonji, niema więc mowy, aby rząd brytyjski zdecydował się na jakiekolwiek porozumienie z Japonją, które nie uzyskałoby aprobaty Stanów. O ile więc w przyszłości okaże się możliwem zawarcie nowego traktatu morskiego, wzamian za Waszyngtoński, to tylko takiego, w którym wezmą udział i Stany, ewentualność zaś zawarcia tylko dwustronnego porozumienia między Japonją i Anglją zdaje się być wykluczona. Spaliła na panewce i próba Japonji rozbicia w tej kwestji jednolitego frontu wielkich mocarstw morskich, gdyż i Francja i Włochy na jej propozycję przyłączenia się do zajętego przez nią stanowiska w sprawie zbrojeń morskich, odpowiedziały odmownie.

Co się jednak tyczy polityki dalekowschodniej w jej szczegółach, częściowe porozumienie angielsko-japońskie wydaje się zupełnie prawdopodobnem. Handlowy dumping japoński poważnie zagraża interesom angielskim w Indjach, a Australja i Nowa Zelandja znajdują się wprost na drodze japońskiej ekspansji politycznej. Pewne więc gwarancje w tym kierunku, udzielone przez Japonję, wraz z ewentualnem rozgraniczeniem sfery angielsko-japońskich wpływów w Chinach, mogą być przychylnie widziane przez rząd brytyjski, tradycyjnie przekładający politykę porozumienia, nad politykę zadrażnień. Do tego dochodzą perspektywy ulokowania kapitałów angielskich w przedsiębiorstwach rozwijającej się Mandżurji, oraz zasadniczo wrogi stosunek Anglji do Związku sowieckiego, zbliżający ją z Japonją. Wszystko to przemawia za tem, że chociaż porozumienie angielsko-japońskie nie przybrało jeszcze kształtów realnych, Anglja nie zajmie stanowiska nieprzejednanego wobec planów japońskich na Dalekim Wschodzie, a zgodzi się na poszukiwanie kompromisu, któryby narazie zadowolił obie strony.

Japonja i Ameryka.

Zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja polityczna na odcinku japońsko-amerykańskim. Wzrost potęgi japońskiej na koszt Rosji sowieckiej lub Chin, jej hegemonja na Pacyfiku, jej dążenie do wyzwolenia się z ram krępujących ją zobowiązań międzynarodowych — wszystko to stanowi wyzwanie rzucane Ameryce i grozi jej roli mocarstwowej na Pacyfiku. Wbrew twierdzeniu fachowców, że wojna między temi dwoma mocarstwami jest ze względu na dzielącą je odległość niemożliwa, obie strony gorączkowo przygotowują się do niej i kompromis między niemi, pomimo stałych zapewnień pokojowych, nie wydaje się możliwym. Stany Zjednoczone przystąpiły do ufortyfikowania wysp Hawajskich, wstrzymały nadanie niepodległości Filipinom, proponując im „ze względu na sytuację polityczną na Pacyfiku" statut dominjów; zakładają wielką bazę morską na Alasce i wznowiły pertraktacje w kwestji budowy nowego kanału w Nikaragua. Flota ich atlantycka została ostatnio przerzucona na Pacyfik i w roku bieżącym odbędą się wielkie manewry morskie, które oczywiście będą stanowiły demonstrację wojenną, skierowaną przeciwko Japonji. Odpowiedzialne czynniki wojskowe Ameryki zupełnie niedwuznacznie dają w swoich wywiadach i enuncjacjach do zrozumienia, że wyścig zbrojeń morskich prędzej zagraża Japonji niż Stanom i że flota japońska nigdy nie wyrówna liczebnie amerykańskiej. Szczególną uwagę zwrócono na lotnictwo. Flota powietrzna Stanów ma być doprowadzona do 900 jednostek i bazę dla niej, oprócz lotnisk na Hawajach, Filipinach i wyspie Guam stanowić będą liczne awio-matki, wchodzące w skład amerykańskiej floty wojennej.

Niemniej znamienne są przygotowania Japonji. Urzędowe czynniki miarodajne zapewniają, że Japonja, nie mając żadnych planów zaborczych, wykorzysta jednak swobodę zbrojeń w ten sposób, że żadne zbrojenia obce nie będą dla niej niebezpieczne. Specjalna uwaga ma być zwrócona na rozbudowę floty lotniczej, do czego zresztą poza Ameryką, zmusza Japonję potężna baza lotnicza, powstała we Władywostoku. Pozatem intensywnie rozbudowuje się flota podwodna, mająca za zadanie obronę wybrzeży japońskich. Pod-

czas ostatniego posiedzenia Komisji Mandatowej Ligi Narodów wyszło najaw, że kosztowne prace portowe zostały przez Japonję wykonane na wyspach Marjańskich, stanowiących jej mandat, a na największej z nich powstało lotnisko. Ponieważ wyspy te nie mają żadnego znaczenia handlowego, inwestycje te zwróciły uwagę członków Komisji i na pytania ich delegat japoński udzielił odpowiedzi, które zostały uznane za niewystarczające. Na tem narazie kwestję zakończono i dopiero później prasa japońska, nie udzielając dalszych wyjaśnień w sprawie poruszonej przez Komisję, zaznaczyła, że Ameryka na wyspie Guam, należącej do tejże grupy wysp, czyni to samo i nikt jej w tem nie przeszkadza.

Nie przesądzając dalszego rozwoju stosunków japońsko-amerykańskich, zaznaczyć musimy, że stałe źródło ich zadrażnień, w związku z obecną polityką Japonji, wydaje się bardzo trudnem do usunięcia. Jest niem coraz wyraźniej zaznaczająca się agresja Japonji wobec Rosji sowieckiej i Chin, której Stany Zjednoczone przeciwstawiają się coraz bardziej stanowczo. Ameryka wypowiada się za zachowaniem równowagi wpływów, czyli zasady „otwartych drzwi" w Chinach. Japonja wyraźnie dąży za zajęcia w tym kraju pozycji uprzywilejowanej. Ameryka uważa Związek sowiecki za niezbędny współczynnik w dziedzinie zachowania równowagi wpływów na Pacyfiku, Japonja dała już kilkakrotnie dowody, że dąży do usunięcia tego współczynnika i zajęcia jego miejsca. Obydwa te zagadnienia zahaczają o najżywotniejsze zainteresowania obu państw, niemal o ich rację stanu i dlatego kompromis między niemi wydaje się nie do osiągnięcia.

Stabilizacja wewnętrzna Mandżurji.

W tej atmosferze pełnej elektryczności, pod nieustanną groźbą wojny i wśród krzyżujących się zagadnień o skali międzynarodowej — odbywa się od trzech już lat doniosły proces „przyswojenia" i cywilizacji Mandżurji. Trudno nie oddać w tej dziedzinie sprawiedliwości Japończykom, gdyż praca jest prowadzona wzorowo i niezwykle konsekwentnie. W ciągu pierwszych lat zakres działalności nowopowstałej władzy mandżurskiej *de facto* ograniczał się tylko do terenu kolejowego. Poza nim z obu stron ciągnęły się

obszary, zamieszkałe przez chińską ludność rolniczą, przeważnie znajdującą się pod wpływem partyzantów i chunchuzów, a zatem wrogą w stosunku do nowych władz i Japończyków, a jeszcze dalej — tajga i góry, gdzie znajdowali ukrycie ci sami partyzanci i chunchuzi, wypłoszeni przez wojska japońskie. Nowa armja mandżurska, powstała ze szczątków najbardziej zdemoralizowanych wojsk chińskich, nie mogła sobie dać rady z partyzantami i oddziały jej najczęściej łączyły się z nimi, cały więc ciężar walki z powstańcami spadł na Japończyków. W ciągu kilku miesięcy nawet kilkaset kilometrów zachodniej linji kolejowej dzięki przejściu na stronę partyzantów całej brygady ochrony kolei, znalazło się w ich władzy i wojska japońskie zmuszone były do stoczenia formalnej wojny celem jej zlikwidowania.

Stopniowo jednak zasięg karnych ekspedycyj japońskich stawał się coraz szerszy, większe oddziały partyzantów poniosły porażki i rozsypały się po całym kraju, a w wyzwolonych z pod ich władzy miejscowościach rozpoczynały działalność instruowane przez Japończyków urzędy administracyjne. Ludność zmęczona nierówną walką i zrujnowana przez partyzantów i bandytów, zaprzestała oporu i wróciła do swoich zajęć. Nastąpił okres planowej rekonstrukcji kraju, który w krótkim czasie dał zadziwiające rezultaty.

Pierwszym wyrazem pewnej stabilizacji wewnętrznej państwa było ogłoszenie monarchji. 1-go marca 1934 roku, w drugą rocznicę ogłoszenia niepodległości Mandżurji, książę Pu I przyjął tytuł cesarza Man-dżou-guo, nadając według starożytnego chińskiego zwyczaju latom swojego panowania nazwę Gan-De, która odtąd miała zastąpić jego własne imię. W związku z tem zmieniła się i nazwa państwa z Man-dżou-guo na Mandżou-di-guo.[1]) Nowe to posunięcie japońskie niewątpliwie w pierwszym rzędzie skierowane było przeciwko Chinom, dla których restytucja monarchji w Mandżurji oznaczała nietylko zanik wszelkiej nadziei na jej odzyskanie, ale — w razie dalszej anarchji — i odrodzenie ruchu monarchistycznego w samych Chinach, względnie wykorzystywanie go jako atut przez buntowniczych generałów.

[1]) Di-guo znaczy monarchja, a więc zamiast „państwo Mandżurskie" — „monarchja Mandżurska".

Następnie stała się ona magnesem dla Mongołów, którym Chiny republikańskie dały tylko wojnę domową i wśród których nastroje monarchistyczne trwają do dziś dnia.

Oprócz jednak tych wyższych kalkulacyj politycznych, obliczonych na dalszą przyszłość, ogłoszenie monarchji wyszło na pożytek i samej Mandżurji, wpływając na usprawnienie administracji i wdrożenie zarówno licznych rzesz urzędniczych, jak i wojsk do dyscypliny, której im tak brakowało za czasów chińskich. W państwie rządzi wola, na którą niema odwołania. Inna rzecz, że za tą wolą znajduje się druga — jeszcze mocniejsza — uosobiona w postaci japońskiego posła w Mandżou-di-guo i zarazem naczelnego wodza wszystkich wojsk japońskich na terenie tego państwa, ale o tem wiedzą mieszkańcy miast — urzędnicy i inteligencja, ale nie miljony rolników chińskich, rozsianych po całym ogromnym kraju. Dla tych mas cesarz jest cesarzem, a spokój i porządek w kraju — jego dziełem.

Mając w ręku cesarza i cały kraj, Japończycy najściślej zachowują pozory niepodległości państwa. Cesarz wskrzesza starożytne obyczaje swoich przodków, składa ofiary niebu, ukazuje się ludności we wspaniałem otoczeniu, słowem czyni wszystko celem przywrócenia tronowi świetności, którą go otoczyli przodkowie. Z jego ramienia państwem rządzi gabinet ministrów, w którym tylko jedno stanowisko wiceministra zajmuje Japończyk, wszystkie zaś teki znajdują się w ręku t. zw. urzędowo Mandżurów, a w rzeczywistości Chińczyków. Ostatnio miała miejsce doniosła reforma administracyjna. Zamiast dawnych czterech prowincyj kraj podzielono na dziesięć nowych, ziemie zaś mongolskie wydzielono w osobny obwód, na którego czele stanął mongolski książę z tytułem ministra do spraw Mongolji. Gubernatorami w tych dziesięciu prowincjach również zostali wyłącznie „Mandżurowie" i dopiero na pomocniczych stanowiskach ukazują się i Japończycy, osoby „prywatne", zaangażowane do służby mandżurskiej. Do jakiego stopnia subtelnie został skonstruowany cały aparat prowincjonalny świadczy chociażby fakt następujący. Urząd gubernatora każdej prowincji składa się z wydziałów, ogólnego, cywilnego, policyjnego, gospodarczego i oświatowego. Otóż na czele wydziałów

ogólnego i policyjnego we wszystkich prowincjach stoją Japończycy, podczas gdy w innych wydziałach zajmują oni stanowiska pomocnicze. Ogólna więc polityka administracyjna prowincji i jej bezpieczeństwo znajdują się bezpośrednio w ich rękach, w innych zaś dziedzinach wystarcza im rola kontrolerów i doradców.

W większych ośrodkach miejskich — w Charbinie, Mukdenie, Girynie i Cicikarze — obecność i rola Japończyków zaznacza się wyraźniej. Ale i tam pracują oni w otoczeniu urzędników miejscowych, „w przeplatanego", nie wykazując żadnych aspiracyj do obsadzenia wszystkich stanowisk kierowniczych. Zato obecność ich i energja zmusza do intensywnej pracy i nowokreowanych Mandżurów, którzy wzięci w karby dyscypliny stopniowo stają się coraz to lepszymi urzędnikami.

Rozmach i tempo rozbudowy kraju nie ustępują sowieckim. Coraz to nowe linje kolejowe łączą centrum kraju z peryferjami, ścielą się wzdłuż wschodniej granicy z Rosją, przecinają stepy mongolskie, przechodzą przez miejscowości gdzie noga ludzka nie postała, opierając się o złotodajne wybrzeża Amuru. Podróż od Charbina do miast Chej-che (Sachalanu) i Ajguna na północnym krańcu państwa zajmuje nowozbudowaną koleją czternaście godzin zamiast dawnej kilkotygodniowej męczarni arbą chińską.

Kilka linij kolejowych ogólnej długości dwóch tysięcy km. znajduje się już w eksploatacji, szereg innych — w stadjum budowy lub w okresie robót przygotowawczych. Oprócz tego zbudowano 7.500 km. szosy, częściowo betonowej, łączącej najważniejsze miejscowości w kraju. Według rządowego planu rozbudowy komunikacyj do r. 1942 ma powstać 60.000 km. różnego rodzaju szos samochodowych. W celach walki z katastrofalnym wylewem rzek został opracowany plan stworzenia w czterech punktach kraju u źródeł największych rzek — wielkich jezior sztucznych, których koszt obliczony jest na 200 miljonów jen. W roku zaś przyszłym rozpoczną się roboty nad wykopaniem kanału między Mukdenem i portem Inkou z wykorzystaniem rzeki Lao-che. Roboty obliczone są na pięć lat i koszt ich wyniesie 70 miljonów jen.

Znaczne ożywienie panuje również w dziedzinie przemysłu i handlu. Od końca listopada r. ub. działa nowa taryfa celna, w której cła eksportowe, jak i importowe na cały szereg towarów pierwszej potrzeby zostały znacznie obniżone. Założono i zaprojektowano cały szereg fabryk, których produkcja w znacznym stopniu ma uzupełnić braki produkcji japońskiej, jak to fabryki sody, aluminjum, skór, papieru, huty stalowe i warsztaty do montowania samochodów. Prosperują ogromne kopalnie węgla przy stacji Fu-Szuo kolei południowo-mandżurskiej, tamże rozwija się przemysł naftowy, zdradzający tendencję do zaspokojenia w przyszłości całego naftowego rynku Mandżurji, na północy dzięki linjom kolejowym rozpoczyna się intensywna eksploatacja kopalni złota.

Gorzej przedstawia się sprawa z imigracją japońską do Mandżurji. W większych miastach utworzyły się już potężne kolonje japońskie, zajmujące się przemysłem i handlem, ochotników jednak do pracy na roli, zwłaszcza w prowincjach północnych, dotąd niema i jak z tej kłopotliwej sytuacji wybrnie rząd japoński — niewiadomo. Narazie więc wielkie obszary ziemi rolnej w ogromnej większości są do dyspozycji Mandżurów lub leżą odłogiem, czekając na rozwiązanie problemu kolonizacyjnego.

Krótki szkic powyższy nie wyczerpując obszernego tematu, daje jednak pojęcie o tempie i metodach pracy japońskiej w Mandżurji. Obecnie — po trzech latach — przyznać należy, że koncepcja japońska stworzenia niepodległego państwa mandżurskiego była zupełnie słuszna i że jak dotąd — Japończycy tylko na niej wygrali. Czy tak będzie w dalszym ciągu — powiedzieć trudno, gdyż, jak już zaznaczyliśmy, plany japońskie sięgają daleko poza Mandżurję, a przy zbyt wielkich aspiracjach łatwo stracić i to, co się już ma. O ile jednak realizacja tych wielkich planów odwlecze się na dłuższy okres czasu — można z całą pewnością spodziewać się, że po kilku latach Mandżurja stokrotnie zwróci Japonji wszystkie poniesione wydatki i stanie się wzorowem bogatem i cywilizowanem państwem oraz idealną przewidzianą bazą dla mocarstwowego rozwoju Japonji na lądzie stałym.

Rzekome plany Japonji i jej realne możliwości.

Dotąd mówiliśmy albo o akcjach już dokonanych, albo o znajdujących się w toku i przedstawiających już pewien materjał do krytyki i wysnuwania wniosków. Nie wyczerpalibyśmy jednak zadania, gdybyśmy chociażby z pewnemi zastrzeżeniami nie poruszyli i rzekomych dalszych planów i zamiarów Japonji. Zbyt bowiem głośno mówiono o nich w ostatnich czasach na całym świecie, abyśmy mogli je pominąć milczeniem. Pierwszym impulsem do stworzenia najfantastyczniejszych pogłosek w tej dziedzinie był opublikowany w prasie chińskiej t. zw. testament Tanaka, memorandum złożone tronowi przez barona Tanaka, b. premjera i męża stanu Japonji, przed jego śmiercią. Japończycy twierdzą, że jest to falsyfikat stworzony w celach zaszkodzenia Japonji w opinji międzynarodowej i rzeczywiście wyczerpujących dowodów jego autentyczności dotąd nie dostarczono. Sama jednak treść jego świadczy, że jeżeli ułożył go nie baron Tanaka, to w każdym razie autorem musiał być Japończyk, doskonale obznajomiony z najtajniejszemi zagadnieniami polityki swojego kraju i do najsubtelniejszych szczegółów orjentujący się w jego racji stanu.

Jest to plan mocarstwowego rozwoju Japonji na lądzie stałym, przewidujący aneksję Mandżurji jako etap pierwszy, a utworzenie państwa Mongołów, odsunięcie Rosji sowieckiej od brzegów Pacyfiku aż do Bajkału i stopniowe wciągnięcie Chin w orbitę polityki japońskiej — jako etapy następne. Rzekomy ten plan został wykorzystany przez Rosję sowiecką podczas pertraktacyj kolejowych jako dowód zaborczych aspiracyj japońskich w stosunku do sowieckiego Dalekiego Wschodu, do czego w znacznym stopniu przyczyniły się i niektóre pisma japońskie, wyrażając opinje, że z chwilą utworzenia się monarchji mandżurskiej, posiadłości te staną się dla Związku nie do utrzymania.

Jak zaznaczyliśmy wyżej, przypuszczenie to znajduje pewne potwierdzenie i w mongolskiej i w chińskiej polityce Japonji, co zaś się tyczy ziem sowieckich, to niewątpliwie w Japonji istnieje stronnictwo, uważające istnienie komunistycznego państwa w sąsiedztwie z Mandżurją za klęskę, z którą należy walczyć wszelkiemi sposobami, do wojny włą-

cznie. Według zdania tej grupy, atak wojsk japońskich od strony Zewnętrznej Mongolji oraz przecięcie kolei Amurskiej w miejscu jej połączenia z koleją Syberyjską powstrzymałyby wszelkie próby ZSSR przyjścia z pomocą swoim zagrożonym posiadłością daleko-wschodnim, które pozostawione własnemu losowi, prędzej czy później zostałyby zmuszone do uległości. Z chwilą zaś gdyby stało się to faktem dokonanym — na sowieckim Dalekim Wschodzie powstałoby przy pomocy Japonji buforowe państwo rosyjskie z rządem republikańskim, albo może i monarchistycznym, utworzonym przez białych emigrantów rosyjskich. Państwo to korzystałoby prawdopodobnie z takiej samej niepodległości jak Mandżurja, znajdując się pod wojenną opieką Japonji i stanowiąc dla niej nowy teren ekspansji handlowo-przemysłowej.

Gorączkowe wysiłki Rosji sowieckiej w kierunku skompletowania na terenie tamtejszym ogromnej i doskonale zaopatrzonej armji oraz stworzenia dla niej na miejscu warunków samowystarczalności, najlepiej świadczą, że przypisywane Japonji plany nie są czczym wymysłem. Nie należy również uważać ich tylko za objaw zaborczych tendencyj japońskich, tkwi w nich bowiem, jako jeden z poważnych składników, instynkt samozachowawczy. Japonja przeżywa obecnie doniosłą i gruntowną ewolucję duchową, wyrażającą się w rozczarowaniu kulturą zachodnią i w nawrocie do staro-japońskich form układu życia. Ideologja tego ruchu, oparta na boskiej czci, oddawanej cesarzowi i na traktowaniu państwa jako patrjarchalnej rodziny, (nie mówiąc już o całym szeregu innych cech i właściwości zupełnie niezrozumiałych dla psychiki zachodniej) oczywiście znajduje się w skrajnem przeciwieństwie do komunizmu i bliższe współżycie obu państw byłoby stałą groźbą dla każdego z nich, przyczem dla Japonji większą, ze względu na fascynujące zewnętrzne hasła komunizmu i jego pozorną prostotę.

Wobec tego wojna między temi dwoma ideologjami wydaje się nieuniknioną, zarówno Japonji jak i Sowietom i wszelkie próby porozumienia są obliczone tylko na zyskanie na czasie. O ile chodziłoby o powody — nie byłoby potrzeby ich długo szukać, gdyż cały stosunek obu państw przedstawia jeden wielki ich splot, ponieważ jednak byłby

to już nie konflikt, a wielka, decydująca wojna, nieobliczalna w swoich skutkach, odpowiednie przygotowania muszą być poczynione nietylko w dziedzinie wojennej, ale i w ekonomicznej i międzynarodowej, do czego właśnie obecnie sprowadza się polityka obu państw. Prawdopodobnie więc w najbliższym czasie będziemy tylko świadkami rywalizacji daleko-wschodniej „piatiletki" sowieckiej z ekonomicznym rozwojem Mandżurji oraz posunięć obu przeciwników na forum międzynarodowem, skierowanych do skaptowania sobie przyjaciół i stronników. W tej ostatniej dziedzinie Rosja znajduje się w pozycji lepszej, gdyż achillesową piętę Japonji w jej stosunkach międzynarodowych stanowi jej polityka chińska, zawierająca w sobie dużo elementów zadrażniających i łatwo zapalnych.

Jakie takie nawet porozumienie z Chinami wymagałoby przedewszystkiem zaniechania dotychczasowej polityki mongolskiej, co znowu jest rzeczą niemożliwą. Utworzenie bowiem niepodległego państwa mongolskiego z jednej strony ostatecznie odseparowałoby Mandżurję od wpływów chińskich, a z drugiej — stanowiłoby stałą groźbę w stosunku do Mongolji sowieckiej i takich atutów Japonja nie mogła by się wyrzec. Działanie zaś na Chiny siłą i postrachem — coraz więcej je drażni, wzbudzając ponadto niepokój w zainteresowanych mocarstwach. Wszystko to narazie robi wrażenie błędnego koła, gdyż przyjaźń i współpraca z Chinami stanowi *conditio sine qua non* dla realizacji planów japońskich, dotyczących hegemonji na Pacyfiku.

Czy Japonja rozwiąże to zagadnienie i jak — wykaże dopiero przyszłość. Narazie wystarczy nam stwierdzenie, że plany japońskie rozwoju mocarstwowego na lądzie stałym niewątpliwie istnieją i że wszystkie dotychczasowe posunięcia Japonji mają z niemi wyraźny związek. Jedynym zatem zasadniczym błędem popełnianym przez szerokie koła inteligencji zachodniej jest przypisywanie realizacji tych planów błyskawicznej szybkości, na którą oczywiście nie pozwolą obecne resursy państwa. Jest to kwestja może całego szeregu lat, od tego jednak nie staje się ona mniej ważną i godną uwagi. Daleki Wschód znajduje się na progu epokowych wstrząsów i gruntownych zmian.

Konstanty Symonolewicz.

Ludzie Aleksandra III.

Kartka z dziejów schyłkowych caratu.

(Dokończenie.)

W nierozerwalnym związku z tą koncepcją prawosławia znajdowała się ideologja samowładztwa. Dwa te filary zostały splecione ze sobą za Aleksandra III ściślej, niż dotąd. Katkow i Pobiedonoscew byli tu kierownikami i inspiratorami rządu i sfer społecznych, z rządem się solidaryzujących. Popularyzowali oni na użytek cara, dworu, biurokracji, ogółu, teorję, według której samowładztwo rosyjskie stanowiło formę rządów, nietylko najlepszą dla Rosji, lecz i najlepszą na ziemi, zapewniającą potęgę państwa, dobrobyt i w o l n o ś ć ludności, a do tego stanowiącą jedyny ustrój na ziemi, zgodny z zasadami prawdziwego chrześcijaństwa.

Cofnijmy się o lat kilkadziesiąt wstecz. W 1816 roku wielki książę Mikołaj Pawłowicz, jako następca tronu, wybiera się do Anglji; Nesselrode układa dla niego memorjał ze wskazaniami politycznemi. Ostrzega księcia, by nie poddawał się urokowi, jaki roztaczają instytucje Anglji; rozwijały się one tam stopniowo, powoli w ciągu stuleci, kto chciałby instytucje te przeszczepić na inny grunt, popełniłby gruby błąd, przeniósłby tylko do innego kraju literę konstytucji angielskiej, nie jej ducha. [1])

Z memorjału tego przeglądało uznanie, podziw dla instytucyj angielskich i zaznaczone wyraźnie, choć niedopowiedziane, przekonanie, że Rosja nie dorosła dziejowo do ustroju państwowego Anglji. Gdyby tak Pobiedonoscew układał instrukcję dla wybierającego się do Anglji następcy tronu, wypadłaby ona z pewnością inaczej. Wiemy, wprawdzie, ze

[1]) Szylder. *Imp. Nikołaj I.* Tom I, str. 76, 482, 585—591.

wspomnień ambasadora White'a, że Pobiedonoscew był wyrozumiały dla Stanów Zjednoczonych, że uznawał duże zalety obu państw anglosaskich, w przeciwieństwie do Francji. [1]) Lecz, oczywiście, nie zdecydowałby się na postawienie jakiegokolwiek ustroju wyżej, lub choćby narówni ze świętą Rosją.

Gdy za Aleksandra II dyskutowano w sferach wyższych sprawę konstytucji, rzecz obracała się dokoła zagadnienia, czy Rosja dojrzała już do konstytucjonalizmu. Zachowawcy sądzili, że konstytucjonalizm w Rosji byłby przedwczesny, że tradycjom, poziomowi oświaty, potrzebom obecnym narodu odpowiada absolutyzm. Taki relatywizm nie wystarczał systemowi Aleksandra III; pogląd epoki Aleksandra II uchodziłby teraz za herezję, zaczęto bowiem teoretycznie ubóstwiać władzę carską, jako jedyną prawdziwie chrześcijańską. Jeśli system rządów podniesiony zostanie do wyżyny prawdy religijnej, dogmatu, wówczas musi być on uznany za doskonały, nieomylny, wieczny. Naród, posiadający prawdziwą religię chrześcijańską i najlepszą na ziemi formę rządów, jest narodem wybranym i niema dlań żadnego wzoru do naśladowania na świecie.

Zresztą, Katkow wyprzedził swą epokę i już za Aleksandra II, pod wrażeniem powstania polskiego, nakreślił zasady polityczne, które doczekały się urzędowego uznania i realizacji za Aleksandra III. „Jeśli jakikolwiek naród może być uznany za politycznie dojrzały, to naród rosyjski" pisał w 1864 roku. O tej dojrzałości świadczy przywiązanie narodu do carowładztwa. Gdzie naród jest mocniej zainteresowany w ochronie władzy najwyższej? Gdzie znajdziemy takie powszechne, głębokie przeświadczenie o jej nietykalności i świętości". [2])

Programowe enuncjacje, zapowiadające w początkach Aleksandra III nową erę i przewidujące konkretne reformy i urządzenia, znajdziemy w artykułach Katkowa, w przemówieniach, memorjałach, listach Pobiedonoscewa.

---

[1]) Andrew D. White. *Aus meinem Diplomatenleben*. Wydanie II. Lipsk. Rozdział; *Meine Erinnerungen an Pobedonoszew*, str. 186—200.

[2]) *Wiadomości Moskiewskie* N. 27 A 1864 r. — M. N. Katkow. *O samodierżawii i konstitucii*, Moskwa 1905 r., str. 23—28.

Zaraz po manifeście carskim 11 maja 1885 roku, kładącym kres próbom Lorys-Mielikowa, Katkow pisze artykuł programowy. Zapowiada, iż teraz nastąpić powinno zbieranie i koncentrowanie władzy przez państwo, a to w celu zabezpieczenia wolności narodu przeciwko państwom innym, zewnętrznym i wewnętrznym. Mogą bowiem istnieć i państwa wewnętrzne, państwa w państwie, niebezpieczne dla wolności obywateli, władza prawowita powinna obezwładniać te państwa.

Po tym niepokojącym, o dość przeźroczystej intencji, wstępie, idzie wyliczenie państw wewnętrznych. Wolna prasa jest państwem wewnętrznem, przeciwko któremu władza musi bronić obywateli zapomocą cenzury. Cenzura daje społeczeństwu obronę przeciwko gwałtom moralnym. „Czyż systematyczne oszukiwanie nie jest gwałtem moralnym?... Czyż może rząd oddawać małych, słabych i ciemnych ludzi pod władzę byle elokwentnego szarlatana?"

Następnem państwem w państwie jest samorząd; rząd musi bronić ludność przed samowolą ciał samorządowych. Dalej idą uniwersytety autonomiczne, przed któremi również rząd ma bronić poddanych. „Do czegóż jest podobne oddawanie oświaty wyższej kraju pod władzę arbitralną zamkniętych w sobie i zapełniających się drogą kooptacji, kolegjów?" Potrzeba wreszcie bronić ludność przed samowolą sądów niezależnych.

Zapowiedziano tu wyraźnie reformy w dziedzinie prasy, samorządu, oświaty wyższej i sądownictwa. Wszystkie te dziedziny posiadają, zdaniem Katkowa, niezależność od władzy państwowej i stanowią niebezpieczeństwo dla wolności obywateli. „Podobne anomalje są sprzeczne zarówno z zasadą państwową, jak i ze sprawą wolności i nie wyzdrowiejemy, dopóki nie naprawimy tych smutnych błędów". [1])

W późniejszych artykułach Katkow ustala związek między wszystkiemi elementami trójformuły tradycyjnej: samowładztwo, prawosławie, narodowość. Rosjanie powinni być „całkowicie i bezwzględnie narodowi w swych opinjach i czynach. Za podstawę ustroju społecznego Rosji powinny być

[1]) *Wiadomości Moskiewskie* N. 119 z 1881 r. — *O samodierżawii i konstitucii,* str. 48—52.

wzięte „dziejowo utworzone stany". Jest to znowu zapowiedź nowego kursu. Drwi z tych, co prawią o potrzebie powołania „jakiegoś społeczeństwa" do współpracy z państwem.[1])

„Wszelka władza pochodzi od Boga. Lecz carowi rosyjskiemu dana jest szczególna rola, odróżniająca go od innych władców świata. Nietylko jest monarchą swego kraju i wodzem narodu, jest on od Boga postawiony, jako obrońca i opiekun cerkwi prawosławnej... Car rosyjski jest więcej, niż następcą swych przodków, jest on następcą cesarzów Rzymu wschodniego, budowniczych kościoła i jego soborów. Z upadkiem Bizancjum wzniosła się Moskwa i rozpoczęła się wielkość Rosji. Tu oto jest tajemnica tej głębokiej odrębności, jaka Rosję różni od innych narodów świata... Car rosyjski stanowi nietylko przedmiot czci, do jakiej ma prawo wszelka prawowita władza, lecz i przedmiot uczucia religijnego, na mocy jego roli w budowie cerkwi".[2]) Oto cezaropapizm rosyjski i doktryna pierwszeństwa Rosji w świecie, wznowienie staromoskiewskiej tezy o Moskwie, jako o trzecim Rzymie.

Katkow protestuje przeciwko utożsamianiu caratu rosyjskiego z absolutyzmem zachodnim. Carat rosyjski gwarantuje w o l n o ś ć. Tu Katkow idzie torem myśli słowianofilskiej, śladem Konstantego Aksakowa. Na Zachodzie stosunek wzajemny państwa i obywateli oparty jest na umowach, w Rosji — na wierze, na zaufaniu. Ta antyteza Zachodu i Rosji datuje się od czasu, gdy Kościół zajął odmienne stanowisko na Zachodzie, niż na Wschodzie; na Zachodzie panuje dualizm władzy świeckiej i duchownej, w Rosji jedynowładztwo.[3])

W 1883 roku z westnieniem ulgi stwierdzał Katkow, że do przeszłości należy już czas, gdy „djabeł chodził po ziemi rosyjskiej, siejąc kąkol rozterki i zamętu". Mógł teraz rozwijać w praktyce swą doktrynę konstytucji rosyjskiej, która

---

[1]) *Wiadomości Moskiewskie* NN. 126 i 197 z 1881 roku, N. 251 A z 1882 roku. — *O samodierżawii i konstitucii,* str. 36, 52—59.

[2]) *Wiadomości Moskiewskie* N. 249 A z 1882 roku. *O samodierżawii i konstitucii,* str. 12, 13.

[3]) *Wiadomości Moskiewskie,* N. 129 z 1883 roku. *O samodierżawii,* str. 14—16.

polega na prawnym i religijnym obowiązku poddanych dbania o nietykalność samowładztwa. Stosował tę teorję do wszelkich dziedzin życia; zgodnie z nią, obowiązki prasy politycznej w Rosji sprowadzały się do funkcyj wyższej policji państwowej. „Każdy kto w Rosji poświęca się poważnie publicystyce politycznej, powinien podwójnie czuć w swem sumieniu obowiązek poddanego rosyjskiego. Dla niego spełnienie tego obowiązku sumienia przestaje być trafem, a staje się misją. Powinien nietylko odpierać zło, gdy ono się ujawni, lecz i wyśledzać je, gdziekolwiek ono się gnieździ i jakąkolwiek przybiera maskę... Takim powinien być poważny organ polityczny w Rosji". [1])

Taką drogę wytknął Katkow prasie na krótko przed swą śmiercią.

Pobiedonoscew wyłożył swe poglądy krytyczne na rządy konstytucyjno-parlamentarne w szeregu szkiców, wydanych w 1896 roku w książce zbiorowej. W szkicu *Wielkie kłamstwo XIX wieku* atakuje parlamentaryzm zachodni; uzupełnia swe wywody w szkicach: *Nowa Demokracja, Sąd przysięgłych, Prasa, Oświata narodowa.* „Parlament — pisze — jest to instytucja, służąca ku zaspokojeniu ambicji osobistej, próżności i osobistych interesów deputowanych". Wybory są komedją, frazes rządzi wszechwładnie, czelność zwycięża. Lud ciężko oddycha pod brzemieniem machiny parlamentarnej. [2])

Wywody Katkowa i Pobiedonoscewa mają stanowić rdzenną rosyjską naukę o państwie. W istocie są one tylko parafrazą ustępów ze znacznie dawniejszych dzieł pisarzów Zachodu. Krytyka teorji ludowładztwa, teza iż wolność osobista jest wielkiem złem, że władza powinna działać drogą przymusu wbrew popędom natury ludzkiej, że naród powinien zachować ustrój stanowy, że demokratyzacja jest po-

---

[1]) *Wiadomości Moskiewskie* N. 341 z 1886 r. *O samodierżawii*, str. 65—68.

[2]) *Moskowskij Sbornik*. Wydanie IV. Moskwa 1897 r., str. 33—42. — W szkicu o oświacie narodowej znajdziemy apologję inercji: „Jest w ludzkości naturalna siła inercji, mająca wielkie znaczenie. Nią, jak statek balastem, trzyma się ludzkość w losach swych dziejów..." W ustępie, którego początek tu podaliśmy, Pobiedonoscew wypowiedział kardynalną zasadę swej teorji i praktyki politycznej.

czątkiem nieładu i anarchji — wszystko to było echem dawnych wywodów Bonalda z *Législation primitive*, Karola Ludwika Hallera z *Restauration der Staatswissenschaften* i innych przedstawicieli reakcji przeciwko zasadom rewolucji francuskiej. Apologja samowładztwa rosyjskiego, które, według Katkowa, nie ma nic wspólnego z absolutyzmem Zachodu, jest właśnie pod piórem tego autora nieraz wyraźną kopją nietylko argumentów, lecz i wyrażeń, jakich używał w swej obronie absolutyzm w innych krajach Europy.[1])

Oczytany w literaturze europejskiej Pobiedonoscew zapożycza, gdy mu potrzeba, argumenty i od liberalnych pisarzów Zachodu. Właśnie w 1884 r. wydana została głośna rozprawa Herberta Spencera *Jednostka wobec państwa (The man versus the state)*. Rozdział, traktujący o wszechwładzy parlamentu, ma tytuł „Wielki przesąd polityczny", co bodaj dało asumpt Pobiedonoscewowi do nadania swej rozprawce tytułu *Wielkie kłamstwo XIX wieku*. „Wielkim przesądem politycznym czasów dawnych było prawo boskie królów —

---

[1]) Gdy jeszcze projekty przedstawicielstwa doradczego nie były całkowicie pogrzebane, przed manifestem 11 maja 1881 roku, pisał Katkow: „Cóż mogłoby skłonić nas do powołania do życia nowego, nieznanego w naszych dziejach, pierwiastka chwiejności i rozterki, jaki zawsze reprezentują opinje ludzkie, przez wiatr chwiane, przez wiatr unoszone? Poco między władzę najwyższą a naród, wciskać jeszcze jakieś przedstawicielstwo..." *Wiad. Moskiewskie* N. 114 B. z 1881 roku. *O samodierżawii*, str. 45. — Fryderyk Wilhelm IV pruski już o czterdzieści lat wcześniej głosił ideę monarchji stanowej — i przeciwstawił ją uroszczeniom konstytucyjnym. W 1842 roku zorganizowano, według jego myśli, zgromadzenie stałych komitetów sejmów prowincjonalnych (*Vereinigte Ausschüsse*) i do zgromadzenia przemawiał on jako do przedstawicieli praw stanowych i do doradców korony, nie zaś do przedstawicieli jakiejś opinji publicznej: *„Keine Repräsentanten des Windes der Meinung und der Tageslehren"*. Zaś w 1847 roku z powodu zwołania Sejmu Zjednoczonego mówił: „Uroczyście oznajmiam, że żadnej mocy na ziemi nie uda się zastąpić naturalnego stosunku pomiędzy królem a narodem, który przez swą prawdę wewnętrzną czyni nas tak mocnymi, przez stosunek warunkowy i konstytucyjny, i że ja nigdy, przenigdy nie zgodzę się na to, ażeby między Bogiem w niebiosach a tym krajem stanął zapisany arkusz papieru, niby druga opatrzność, aby rządzić nami przez swe paragrafy i zastąpić przez nie starą wierność". H. Treitschke. *Deutsche Geschichte*. T. V. Wyd. VI. 1914 r., str. 186, 187, 619. Frazesy Katkowa były tylko niedociągniętą w patosie do pierwowzoru, parafrazą deklamacyj Fryd. Wilhelma IV.

zaczyna Spencer swój rozdział. — Wielkim przesądem polityki dzisiejszej jest prawo boskie parlamentów". [1]) Oczywiście, Spencer, ostrzegając przed niewolą przyszłości, nie doradza powrotu do niewoli przeszłości, nie na korzyść despotyzmu monarchy chciałby ograniczyć wszechwładzę parlamentu. Lecz Pobiedonoscew wyławia od niego to, co odpowiada własnej jego tezie, ostrzega przed wszechwładzą większości parlamentarnej, która uciska mniejszość i pojedyńczych obywateli, i broni samowładztwa — w imię prawdziwej wolności.

Co więcej, polemiczne karty Pobiedonoscewa, wymierzone przeciwko ustrojom państw zachodnich, ujmujące się za ludem, gnębionym i krzywdzonym przez parlamenty, są jakby żywcem wyjęte z prac pisarzów skrajnego lewego skrzydła, dążących do obalenia ustroju społeczno-politycznego krajów cywilizowanych i atakujących parlamenty, jako podstawy tego ustroju. White przytacza, iż Pobiedonoscew, mówiąc o rewolucjonistach rosyjskich, uniósł się tylko wtedy, gdy była mowa o pismach zamieszkałego w Anglji emigranta rosyjskiego. [2]) Miał na myśli Piotra Krapotkina. W 1885 roku wyszła w Paryżu jego książka: *Paroles d'un révolté.* Obszerny rozdział tej książki poświęcony został rządom reprezentacyjnym. „Ze wszystkich przesądów — czytamy tam — na największą uwagę zasługuje ten, który stanowi podstawę współczesnych ustrojów politycznych... Ten przesąd to wiara w rządy reprezentacyjne". [3])

Zresztą, poprzednik Krapotkina w dziedzinie anarchizmu rosyjskiego Bakunin i mistrz Bakunina, Proudhon występowali przeciwko rządom reprezentacyjnym. Anarchista Jan Grave, w swej pracy *L'Anarchie, son but, ses moyens,* uważa za bardziej celowe dla ludu od udziału w parlamencie czyny terroru w stosunku do szkodliwych przedstawicieli władzy; anarchista Sebastjan Faure w *La Douleur universelle* wymienia ze swego stanowiska pewną wyższość mo-

[1]) H. Spencer. *Jednostka wobec państwa.* Tłum. polskie. Warszawa 1886 r., str. 141.

[2]) Andrew D. White. *Aus meinem Diplomatenleben,* str. 190, 191.

[3]) P. A. Krapotkin. *Rzeczy Bunfowszczyka.* Tłumaczenie rosyjskie książki *Paroles d'ún révolté.* Petersburg 1906 r., str. 86.

narchji absolutnej nad parlamentaryzmem: do autokraty można trafić argumentami, kulą, sztyletem, wielogłowy władca jest mniej dla tych środków dostępny.

Dwa skrajne skrzydła, nadprokurator Synodu i anarchiści, spotkały się w krytyce ustrojów Zachodu. Po upadku caratu, zwycięski obóz używać będzie wobec parlamentów podobnych argumentów dyskredytujących, a nawet i tego samego terminu g a d a l n i a, którym tak chętnie posługiwał się Pobiedonoscew. *Sic vos non vobis...*

* * *

Gdy chcemy zdać sobie sprawę z charakteru i poziomu ludzi, którzy otaczali Aleksandra III i piastowali za niego najwyższe urzędy, krytycznie traktujmy głosy ówczesnej prasy rewolucyjnej, a nawet i późniejsze pamiętniki rewolucjonistów. W tej ciężkiej epoce reakcji, rewolucjoniści, ścigani przez wykonawców systemu, mimowoli a zbyt łatwo przenosili w swej wyobraźni grozę swego własnego losu na jego formalnych sprawców i ci przedstawiali się im jako ludzie nieubłagani i nieugięci, okrutni, krwiożerczy. Taką grozą otoczone były zwłaszcza postacie ministra spraw wewnętrznych i jego pomocników, ministra sprawiedliwości i oświaty, oberprokuratora Synodu. Bliższe prawdy są charakterystyki, wyszłe z pod pióra samych figur urzędowych ówczesnej epoki, byłych ministrów, wysokich urzędników, osób wyższego towarzystwa stołecznego, uczonych i pisarzów, którzy mieli dostęp do kół dworskich i dygnitarskich. Świadectwa tych ludzi, dziś już bardzo obfite, są naogół zgodne ze sobą i, co główne, zgodne z wnioskami, jakie się logicznie i psychologicznie dziś nasuwają przy badaniu tej epoki.

Naprożno szukalibyśmy wśród głównych doradców korony za tego groźnego i ciężkiego panowania ludzi istotnie mocnych. Próżno szukamy w nich wiary w sławiony przez nich oficjalnie system, wiary we własną misję, wiary wreszcie w monarchę, którego urzędowo czczą, wielbią, ubóstwiają.

Tu nasuwa się odrazu, jako wyjątek, jedno nazwisko — Pobiedonoscew. Lecz i to wyjątek — pozorny. Nie pójdziemy nawet za opinją osób, które widocznie niecierpiały osobiście Pobiedonoscewa, jak generałowa Bogdanowiczowa, wi-

dząca w nim duszę płytką i zawistną, przypisująca mu lękliwość a stąd upodobanie do działania z za kulis, interesowność, a nawet pobieranie łapówek w dyskretnie zamaskowanej formie. [1])

Weźmy świadectwa osób, które go wysoko naogół ceniły. Witte ma dla niego dużo respektu, charakteryzuje go, jako człowieka bardzo inteligentnego, lecz pozbawionego zupełnie siły twórczej, mającego umysł negatorski, nihilistyczny. „Kulturalny, uczony" mówi o nim. Rozmowa z nim była pouczająca, był to rozumny krytyk, pozbawiony całkowicie twórczości.

Witte stwierdza, że Aleksander III z biegiem czasu zdał sobie sprawę ze słabych stron Pobiedonoscewa i znacznie wyemancypował się z pod jego wpływu. Ostrzegał nawet sam Wittego, aby ten nie poddawał się wpływowi Pobiedonoscewa, który jest człowiekiem dobrym, uczonym, doskonałym krytykiem, lecz sam nic stworzyć nie może. Przyznawał, że Pobiedonoscew wyświadczył mu dużą przysługę w początkach panowania; zczasem car przestał brać pod uwagę jego rady. [2])

Fieoktistow, jako szef cenzury, zaliczany zresztą sam do obozu reakcji, mógł zbliska i dobrze poznać Pobiedonoscewa. Szczegółowo zatrzymuje się w swych wspomnieniach na jego osobie, mówi, iż opinja o nim, zwłaszcza zagranicą, była mylna, uważano go za jakiegoś Torkwemadę, za nieugiętego fanatyka; tymczasem Pobiedonoscew żył wśród ciągłych wahań i wątpliwości.

„Nie było, zdaje się, człowieka, któryby tak obawiał się wszelkiego stanowczego kroku, którego rozum byłby do takiego stopnia przeniknięty duchem nieokiełznanej krytyki. Podobni ludzie nie są zdolni do porwania innych, nie idą naprzód sami i przeszkadzają tym, którzy są od nich odważniejsi..."

Gdy wysuwano myśl jakiegoś zarządzenia administracyjnego czy ustawodawczego, Pobiedonoscew wyławiał słabe jego strony i to stanowiło jego siłę. Aleksander III nie miał

[1]) *Dniewnik* A. W. Bogdanowicz, str. 55, 65.

[2]) Witte. *Wospominanija. Carstwowanije Aleksandra II i Aleksandra III,* str. 276, 277, 333, 334.

sam żadnego ducha inicjatywy, Pobiedonoscew swem niezdecydowaniem mógł tylko podtrzymywać jego bierność. Gdy zwracano uwagę Pobiedonoscewowi na to, że bezczynność musi zczasem sprowadzić straszne klęski, odpowiadał, że żaden kraj na świecie nie mógł uniknąć radykalnego przewrotu, że Rosję czeka pewnie ten sam los i że huragan rewolucyjny oczyści atmosferę.[1])

Pobiedonoscew czuł, że budowa jest krucha, że przetrwać może czas jakiś siłą bezwładu, bał się jej tknąć i przeczuwał katastrofę. Wówczas gdy laikom w kraju i zagranicą wydawało się, że Rosja carska spoczęła za Aleksandra III na granitowej podstawie polityki narodowej, inteligentniejsi biurokraci bali się ruiny państwa i chaosu społecznego, zwłaszcza w razie ciężkiej wojny z zachodnimi sąsiadami. Gdy wojna taka groziła w 1887 roku, minister spraw zagranicznych Giers pisał w raporcie do cesarza: „Dla Rosji straszna jest nie tyle wojna, ile jej skutki". W owym okresie zapisywał w dzienniku swym Lamsdorf, wówczas radca ministerstwa spraw zagranicznych: „Mówimy z ministrem o strasznej katastrofie, jaka nastąpiłaby w Rosji w razie wojny. Gdzie szukać bezpieczeństwa, gdzie schować jakieś okruchy dla rodziny?"[2])

Pobiedonoscew i swą inteligencją i swym stosunkiem do sprawy publicznej przerastał resztę dygnitarzy. Ministrowie Aleksandra III byli to, w ogromnej większości, ludzie słabi, mało kompetentni i mało gorliwi w pełnieniu obowiązków, przeważnie ograniczeni, przystosowujący się czujnie do haseł panujących, głoszący te hasła gorliwie, dbali przedewszystkiem o własną karjerę. Nie stanowił tu wyjątku i drugi filar nowego kursu, minister spraw wewnętrznych Dymitr Tołstoj. Był on, jak wiemy, gorliwym apologetą cerkwi prawosławnej i, jako wieloletni oberprokurator Synodu, żarliwym, jak wydawało się, jej wyznawcą. Zbliska i dobrze poinformowany Fieoktistow utrzymuje, że Tołstoj był człowiekiem niewierzącym, że „serce jego nie skłaniało się ku cerkwi". W znanem swem dziele Tołstoj przeciwstawił kler prawosławny, oddany zbożnie sprawom duszpasterstwa, am-

[1]) *Wospominanija* Fieoktistowa, str. 219—221.

[2]) *Dniewnik* W. N. Lamsdorfa, 1926 r., str. 47, 49.

bitnemu, żądnemu władzy klerowi katolickiemu. Fieoktistow stwierdza, iż Tołstoj był w istocie wręcz przeciwnego zdania o kierownikach cerkwi prawosławnej. Mawiał on: „Każdy archijerej w głębi duszy marzy o tem, aby stać się papieżem". Tołstoj w swej pracy zbijał zarzut uległości cerkwi prawosławnej wobec państwa, twierdził, iż państwo rosyjskie pozostawia cerkwi swobodę w jej dziedzinie. A oto jego własne słowa, według świadectwa Fieoktistowa: „Patrzę na duchowieństwo, jako na siłę, która powinna pozostawać w zależności od rządu i którą mądry rząd może posługiwać się umiejętnie do swych celów". Jako minister oświaty zaprowadził system klasyczny w szkołach, a sam nie znał klasycyzmu. [1])

Jako minister spraw wewnętrznych, zdał sprawy policji na wiceministra Orżewskiego. Gdy drugi wiceminister Durnowo uczynił z tego powodu uwagę krytyczną, Tołstoj odparł: „Niech na nim spoczywa odpowiedzialność i niech do niego strzelają, nie do mnie". [2])

Czyczeryn surowo sądził Tołstoja, jako ministra oświaty mówiąc, iż ten starał się jednocześnie przez serwilizm pozyskać łaskę cesarza, a jednocześnie przez uległość względy wpływowego Katkowa. [3]) „Sprawiedliwość, sumienie, prawo, korzyść uniwersytetu, wszystko to zgoła nie wchodziło w sferę jego trosk. Potrzebne mu było utrzymanie się na stanowisku, zaś do tego potrzeba było dwóch rzeczy: mieć oparcie u dworu, co uzyskiwał przez przypodobanie się i uniżoność, i otrzymać poparcie ze strony wpływowego organu tak zwanej opinji publicznej". [4])

---

[1]) Fieoktistow. *Wospominanija*, str. 169, 170, 173.

[2]) Wałujew. *Dniewnik*, str, 205.

[3]) Względów tych, jednak, nie pozyskał całkowicie. Katkow ganił Tołstoja za połowiczność i bierność, gdy ten był ministrem spraw wewnętrznych. Wałujew zapisuje 29 kwietnia 1883 roku: „Katkow wymyśla na hr. Tołstoja, mówiąc, iż ten nie ma żadnej inicjatywy i wogóle nic nie robi". Wałujew. *Dniewnik*, str. 205.

[4]) *Wospominanija* B. N. Czyczeryna. Moskowskij Uniwiersitiet. 1929 r., str. 197. — O tej opinji, której przewodził Katkow, pisał Włodzimierz Sołowjew do Stasiulewicza 12 października 1886 roku: „To, co teraz u nas nazywa się polityką narodową, a co ja, za przeproszeniem Pana, nazywam polityką zamrożonego g-na, trzyma się tylko przez złowrogi trium-

A jednak Tołstoj wybijał się ponad przeciętną miarę swych kolegów. Typowymi ministrami epoki Aleksandra III byli: Iwan Durnowo, który w 1889 roku po śmierci Tołstoja objął ministerjum spraw wewnętrznych, Dielanow, który od wiosny 1882 roku do końca panowania był ministrem oświaty. Witte charakteryzuje Iwana Durnowo oględnie, pobłażliwie. Miał on, według Wittego, charakter dobroduszny, umiejętność radzenia sobie z ludźmi, grzeczność, miłe obejście, lecz był to człowiek „niekulturalny, nierozumny, raczej ograniczony..., bardzo chytry". Stwierdza Witte, że zalety Durnowa, jako męża stanu, były bardziej negatywnej niż pozytywnej natury. [1])

Mniejwięcej tak samo jak Witte charakteryzuje Iwana Durnowo biurokrata barwy zachowawczej Fieoktistow. Opinja wyższego świata petersburskiego o Iwanie Durnowo była bardziej ostra i złośliwa. Echo tej opinji generałowa Bogdanowiczowa, zapisuje w swym dzienniku 20 maja 1890 roku: „O Durnowo wciąż mówią z uśmiechem. Między innemi nazywają go Czygorynem (znany szachista), gdyż Durnowo robi krok naprzód i krok wtył, jak Czygoryn... Wogóle, powszechna jest opinja, że Durnowo jest głupi lecz chytry..." [2])

A oto długoletni minister oświaty Dielanow, w którym slawista Łamański widział „mieszaninę Polonjusza z Mefistofelesem". [3]) Książę Sergjusz Wołkoński, syn wiceministra oświaty z czasów Aleksandra III, znał zbliska i dobrze działalność Dielanowa. Stwierdza Wołkoński, że w całym systemie rządów Aleksandra III wskrzeszono dawną uwarowowską trójformułę: samowładztwo, prawosławie, narodowość. Tylko trójhasło to „z hymnu politycznego stało się formułą szkolną". Dielanow był, za Aleksandra III, wiernym czcicielem tych zasad, nie z przekonania, zresztą, lecz z oportunizmu, był to bowiem „apostoł kompromisu".

---

wirat pseudoklerykała Pobiedonoscewa, pseudo-męża stanu Tołstoja i pseudoproroka Katkowa". *Wospominanija* Fieoktistowa, str. 236.

[1]) S. J. Witte. *Wospominanija. Carstwowanije Aleksandra II i Aleksandra III.* str. 273.

[2]) *Dniewnik* A. W. Bogdanowicz, str. 122.

[3]) *Byłoje*, M. 3 (25) z 1917 r. wrzesień, str. 163.

Niepodobna opisać jego miękkości, słabości, braku woli. Nie to było smutne, że Dielanow był szmatą (triapka), że żadnej sprawy nie umiał obronić, na sesjach drzemał..., lecz to było smutne, że Dielanow był typowym przedstawicielem tego kierunku umysłowego, który utworzył się w czasach Aleksandra III pod egidą Pobiedonoscewa". Za cechę znamienną tego kierunku uważa Wołkoński obłudę. „Nie mogę inaczej nazwać całego ówczesnego systemu, jak szkołą obłudy... Przypodobanie stało się nerwem działalności... Dokoła Dielanowa grupowała się stęchlizna (zatchłost), ludzie, bojący się poruszyć nosem, dopóki nie poczują wiatru, ludzie, którzy nie mieli przekonań, mówili zaś jak ludzie przekonania..." [1])

Skontrolujmy tę charakterystykę przy pomocy innych świadectw. Witte jest wyrozumiały dla Dielanowa, lecz w istocie potwierdza sąd Wołkońskiego. Dielanow — mówi Witte — był to człowiek miły, dobry, kulturalny, chytry. Ale „zawsze lawirował, trzymając się kierunku panującego... Lawirował na wszystkie strony". [2])

Fieoktistow, który, jako szef cenzury, zbliska stykał się z ministrem oświaty, mówi o nim jako o miernocie umysłowej i człowieku bez charakteru: „Dielanow, wszystkim ustępując, wysługując się, dogadzając, doprowadził swój resort do zupełnego chaosu, pozbawił go wszelkiego znaczenia i powagi, całkowicie poddał go wskazaniom Synodu świątobliwego i departamentu policji". [3])

Borys Czyczeryn zetknął się z Dielanowem, jako z wiceministrem oświaty; wyraża się o nim z nienawiścią: „Mały, otyły starowina, z fizjognomją sowią ormiańską, o miękkiem, dobrodusznem obejściu, stanowił umysłowo całkowitą nicość, zaś moralnie był to najzupełniejszy nikczemnik, służalec każdego, kto miał siłę i władzę. Sam nie miał żadnych ce-

[1]) Wołkoński przechodzi od Dielanowa do innych marniejszych figur, jak generał Bogdanowicz; takie typy, które zczasem rozmnożyły się dokoła tronu za Mikołaja II, to „stopnie, po których samowładztwo schodziło do grobu". Ks. S. Wołkoński. *Moi Wospominanija.* Rodina str. 52—56.

[2]) S. J. Witte. *Wospominanija. Carstwowanije Aleksandra II i Aleksandra III;* str. 281.

[3]) *Wospominanija* Fieoktistowa, str. 171, 172, 192.

lów ani widoków, oprócz chęci utrzymania się, i gotów był do wszelkich obrzydliwości, by dogodzić władzy. Będąc kuratorem, tchórzył przed studentami, gdy ci się burzyli... Jako wiceminister był lokajem Tołstoja i przezeń używany był do wszelkich brudnych spraw. Stawszy się ministrem, był tak samo lokajem Katkowa". [1])

Wśród innych ministrów napróżno szukalibyśmy człowieka wyższej miary umysłowej i moralnej. Oto wyrozumiały, w zestawieniu z innemi świadectwami, sąd Wittego o szeregu dygnitarzy za rządów Aleksandra III. Wannowski, minister wojny, człowiek „niewielkiego wykształcenia, niewielkiej kultury", lecz zdecydowany, oddany carowi. Minister sprawiedliwości Manassiein i kontroler państwa Filippow otrzymali swe urzędy dzięki temu, że manifestowali przekonania nacjonalistyczne. Zarządzający ministerstwem marynarki, Czychaczew, „przyniósł znacznie więcej szkody, niż pożytku", nominacja jego była błędem, działalność jego była jedną z przyczyn rozstroju floty rosyjskiej, pogromu jej pod Cuszymą. Minister rolnictwa, Ostrowski, „nie miał żadnego pojęcia o rolnictwie". Minister dworu, hr. Woroncow-Daszkow, człowiek porządny, dość liberalny, nie mógł równać się ani rozumem, ani wykształceniem, ani kulturą ze swym poprzednikiem, Adlerbergiem. Minister sprawiedliwości Murawjew „nieco obniżył sztandar niezależności sprawiedliwości". Giers był to „urzędnik o uzdolnieniu miernem" i t. d. [2])

---

[1]) *Wospominanija* B. N. Czyczeryna. Moskowskij Uniwiersitiet, 1929 r., str. 197, 198. — Katkow czuwał nad wiernością Dielanowa dla uwarowskiego trójhasła, a zresztą lekceważył go. Wałujew zapisuje w dzienniku swym 29 kwietnia 1883 roku: „Katkow... powiedział bodaj Dielanowowi, że przywiezie mu czepek, na cześć jego ustępliwości kobiecej w sprawie matury uniwersyteckiej". Wałujew. *Dniewnik*, str. 225.

[2]) Witte. *Wospominanija. Carstwowanije Aleksandra II i Aleksandra III*, str. 274—297. — Bogdanowiczowa, notując opinję ludzi z wyższego świata urzędowego i towarzyskiego, daje surowszą ocenę szeregu ministrów: (Giers — ten przynajmniej uczciwy człowiek, Filippow — gałgan, człowiek bez zasad, Wyszniegradzki — szalbierz, Czychaczew — kupiec nie bez skazy, Durnowo — głupi, Woroncow-Daszkow — dureń i pijak, Ostrowski — seminarzysta, Manassiein — o tym, prócz złego, nic więcej nie słychać... Oto ludzie, którzy decydują o losach Rosji, otaczają cara!" *Dniewnik*, A. W. Bogdanowicz, str. 122.

Do ścisłego i najbliższego kółka, w którem przebywali Aleksander III i Marja Teodorówna, należało z pośród wyższych figur urzędowych dwóch tylko ludzi, hrabia Ilarjon Woroncow-Daszkow, minister dworu i generał-adjutant Czerewin, naczelnik policji pałacowej. Do kółka tego, oprócz osób z rodziny carskiej, należeli: książę Włodzimierz Oboleński z żoną, Włodzimierz Szeremietiew z żoną, Sergjusz Szeremietiew, Paweł Żukowski, syn poety, Katarzyna Ozierow i jej dwie siostry, hr. Kutuzow.[1])

Z tych osób nieodłącznym towarzyszem cara w stolicy i w podróżach, był generał Czerewin. „Posiadał nieograniczone pełnomocnictwa — pisze o nim hrabina Kleinmichel — łączył w swej osobie całą władzę autokratyczną i nigdy jeszcze żaden despota azjatycki nie korzystał z niej tak rozlegle, jak on. Był przyjacielem mego męża i mieszkał naprzeciwko nas".[2])

Zredukujmy przesadny sąd autorki o władzy Czerewina do właściwej miary: pozostanie prawdą, iż władza naczelnika policji, czuwającej zbliska nad bezpieczeństwem cara, którego ojca zabili terroryści, była ogromna. Czerewin był naturą skomplikowaną, bardzo rosyjską — duże zdolności przyrodzone, spryt, a obok tego lenistwo, wiele lekkomyślności, rażące słabości, mieszanina ogłady i dzikości. „Posiadał duże zdolności umysłowe — pisze o nim baron Wrangel — lecz wszystko robił i zrobił, aby je stłumić, czego wreszcie dopiął. Był doskonale wychowany, lecz z poglądów zawsze, zaś z zachowania czasami, był formalnym zulusem".[3])

Z cesarzem był w najbliższej zażyłości, raczyli się wzajemnie koniakiem, Aleksander w sekrecie przed carową, która wiedziała, iż mąż chory jest na nerki. Czerewin opowiada, jak odbywały się te dyskretne libacje. Car i jego przyjaciel mieli specjalnie uszyte buty z szerokiemi cholewami, za które można było zatknąć płaską flaszkę koniaku. Gdy Marja Teodorówna wychodziła z pokoju, car i jego po-

---

[1]) Zapiski N. M. Romanowa. *Krasnyj Archiw.* Tom 49, str. 105.

[2]) *Iz pofonuwszago mira,* str. 113.

[3]) Baron N. Wrangel. *Wospominanija.* 1924 r., str. 136, 137.

wiernik wydobywali flaszki i szybko łykali koniak. Gdy carowa wracała, flaszki już spoczywały za cholewami.[1]) Car był niezmiernie wyrozumiały na przywary Czerewina, którego kochanki, wzorem zwyczajów poprzedniego panowania, brały kubany od interesantów generała. Trudno, zdaje się, było w towarzystwie petersburskiem wyróżnić się i sławić nadużyciem alkoholu, a jednak Czerewin dopiął tej sztuki. Głośne było jego pijaństwo.[2])

---

[1]) N. N. Firsow. *Aleksander III.* N. 29 (N. I z 1925 r.), str. 101.

[2]) Suworyn zapisuje w dzienniku w styczniu 1892 roku: „Czerewin ma kochankę Fiedosiejewową, żonę dyrektora jego kancelarji, ładną kobietę, z którą żyje, zaś ona bierze łapówki". *Dniewnik* A. S. Suworyna. 1923 r., str. 19. — Za Aleksandra II Czerewin był naczelnikiem konwoju cesarskiego. Aleksander II spotkał go raz rankiem w Liwadji w ogrodzie zupełnie pijanego. „Gdzie tak wcześnie zdążyłeś?" zapytał. „Wszędzie, Najjaśniejszy Panie" odparł generał. *Dniewnik* A. W. Bogdanowicz, str. 67. — „Mój szwagier opowiadał mi — zapisuje 7 lutego 1889 roku Lamsdorf — że gdy pozawczoraj wyjeżdżał z pałacu po balu, szedł przed nim generał Czerewin, prowadzony pod rękę przez Benkendorfa. Był tak pijany, że potykał się... Uważam, że generał-adjutantowi, naczelnikowi ochrany, ulubieńcowi ich cesarskich mości wstyd jest pokazywać się w takim stanie przy wyjściu z balu dworskiego... A przytem mówią, że Czerewin jest najrozumniejszy z osób, blisko stojących ich cesarskich mości. Dobre towarzystwo!" *Dniewnik* Lamsdorfa, str. 124. — „Czerewin muszę z tobą pomówić — mówi do niego baron Wrangel — kiedy cię można zastać nie pijanym?" Czerewin zastanowił się. Naprawdę, trudno powiedzieć — odparł — Wiesz co. Jeśli to przytrafi się, zatelefonuję do ciebie". Baron N. Wrangel. *Wospominanija*, str. 137. — Czerewin przeżył swego cara tylko o kilkanaście miesięcy. „Mówiliśmy z Baranowem o zmarłym Czerewinie — zapisuje w dzienniku Bogdanowiczowa 20 lutego s. s. 1896 r. — W ostatnich czasach Czerewin pił jeszcze więcej, niż zwykle. Baranow powiedział, że w nekrologu Czerewina w *Nowoje Wremia* opuszczony jest pewien szczegół, że Czerewin dostarczał „mamek" zmarłemu cesarzowi. Z aluzyj Baranowa zrozumiałam, że Czerewin był w stosunku do Aleksandra III tem, czem Rylejew w stosunku do Aleksandra II. Widząc, że powątpiewam, rzekł Baranow, że gdy był naczelnikiem miasta w Petersburgu, musiał wiedzieć dokąd jeździ car i czuwać nad nim w jego poufnych wycieczkach. Z początku nie podejrzywał podobnych gustów u zmarłego cesarza... To bardzo interesujący szczegół, o którym, co do Aleksandra III, dowiedziałam się poraz pierwszy. A wczoraj cesarzowa-matka i car stali u wezgłowia Czerewina. O 10-ej rano umarł przy nich. Wszystko odbywało się tak skrycie, że cesarzowa nie podejrzywa dotychczas". *Dniewnik* A. W. Bogdanowicz, str. 198. 199. — Przytoczyliśmy tę opowieść, uważamy jednak, że świadectwo znanego ze swych bluff'ów

Wiemy, że Czerewin był niewysokiego mniemania o rozumie swego protektora i nie robił z tego sekretu przed przyjaciółmi. Zajrzyjmy do poufnych dzienników dygnitarzy, przysłuchajmy się ich rozmowom w kółku zaufanem. Oto Lamsdorf, prawa ręka Giersa, zczasem sam minister spraw zagranicznych za Mikołaja II.

„Biedna Rosja — zapisuje on 6 stycznia 1887 roku — *Ce ne sont plus des têtes, mais des bêtes couronnées qui occupent le trône*".

Na drugi dzień, 7 stycznia, odbywa się rozmowa Zinowjewa, dyrektora departamentu azjatyckiego w ministerstwie, z Lamsdorfem. Mówią krytycznie o cesarzu, który ulega wpływowi Katkowa w polityce zagranicznej. Zinowjew wygłasza słowa otuchy: „Pomimo wszystkiego, nie jest on takim idjotą, aby nic nie rozumieć w sprawach polityki".

Giers dzieli się z Lamsdorfem wrażeniami swemi z powodu adnotacyj własnoręcznych, czynionych przez cara na raportach obcych posłów. Lamsdorf zapisuje 10 stycznia 1887 roku: „Osławione adnotacje naszego najjaśniejszego głupca (*auguste bête*) wywierają i na nim mocne wrażenie".

12 lutego 1887 r. zapisuje Lamsdorf, z powodu otrzymanego zaproszenia na bal dworski w Ermitażu: „Mam zaproszenie, lecz nie jadę — jestem zmęczony, niezdrów i czuję nieprzeparty wstręt do tego dworu, który ma charakter szynku".

4 kwietnia notuje: „Ostatnie adnotacje świadczą o nowej zmianie kierunku u naszego monarchy o słabym rozumie (*słaboumnago*)".

W grudniu 1889 r. przytacza uwagi ministra Wyszniegradzkiego o najjaśniejszym Jowiszu, który uważa siebie za nader mądrego. [1])

---

bohatera Westy, Baranowa, powtórzone przez generałową Bogdanowiczową, wymagałoby potwierdzenia przez świadectwo bardziej poważne; wydaje się nam rzeczą bardzo wątpliwą, aby Aleksander III, nie czujący się w początkach panowania, za urzędowania Baranowa, bezpieczny nawet w Pałacu Zimowym, przebywający w Gatczynie, miał odbywać przejażdżki po Petersburgu i zajeżdżać do mieszkań prywatnych. Narodnaja Wola, wówczas osłabiona, była jednak dość czujna na to, aby wytropić podobne eskapady.

[1]) *Dniewnik* W. N. Lamsdorfa. 1626 r., str. 27, 38, 46, 78, 82, 252.

Widzieliśmy, że przenikliwsi biurokraci przewidywali, w razie ciężkiej wojny, katastrofę wewnętrzną Rosji. Gdyby to przeczucie się ziściło, gdyby car znalazł się w groźnem położeniu, czy mógłby liczyć na swych paladynów. Oto najgłośniejszy, najambitniejszy z ówczesnych generałów rosyjskich, Skobielew, biały generał, wyraźnie frondował przeciwko carowi. Adorowany przez sfery słowianofilsko-imperjalistyczne, które w swoim czasie parły do wojny tureckiej, marzył o jakiejś większej roli. Dymitr Milutin nazywał go niezwykle uzdolnionym kondotjerem. „Skobielew była to natura demoniczna, jednakowo skłonna do dobrego i do złego — pisze Fieoktistow. — Nadewszystko cenił popularność". [1])

Aleksander III, przyjmując w 1881 roku Skobielewa na audjencji, niezbyt łaskawie z nim rozmawiał. Skobielew nie zapomniał tego. Pobiedonoscew wystosował wówczas do cara list z najpoddańszą admonicją, pouczając go, że biały generał jest popularny i że trzeba, aby car przywiązał go do siebie. [2])

„Skobielew pogardzał Aleksandrem III i nienawidził go" pisze Wrangel. [3])

Wypowiadał on pogląd, że dawne rządy przeżyły się w Rosji. W papierach Lorys-Mielikowa, zostawionych przezeń na emigracji, znajdować się miała informacja, że, gdy Aleksander III orzekł się przeciwko powołaniu przedstawicielstwa doradczego, Skobielew proponował Lorys-Mielikowi i Ignatjewowi uwięzienie Aleksandra III i zmuszenie go do podpisania manifestu konstytucyjnego. [4])

Rewolucjonista Sergjusz Iwanow pisze, że Skobielew podczas pobytu w Paryżu w 1882 roku posłał adjutanta do rewolucjonisty Ławrowa, prosząc o wyznaczenie mu spotkania w miejscu neutralnem. Ławrow odmówił. Gdy Iwanow robił mu zczasem z tego powodu wymówki, odparł Ławrow: „O czem miałbym mówić z generałem Skobielewem?" [5])

[1]) *Wospominanija* Fieoktistowa, str. 379.

[2]) Pobiedonoscew. *Pisma i Zapiski.* 1923 r., str. 232—235.

[3]) Wrangel. *Wospominanija*, str. 138.

[4]) P. A. Krapotkin. *Zapiski Rewolucjoniera.* Tom II z 1929 r., str. 131.

[5]) Boguczarski. *Iz istorii politycznoj borby.* Moskwa 1912 r., str. 160, 161. Sierebriakow opowiada, że znany rewolucjonista, oficer ma-

Baron Wrangel opisuje zebranie męskie u Dymitra Dochturowa, w lecie 1881 r. obecni byli: Woroncow-Daszkow, Czerewin, Skobielew, Dragomirow, Szczerbatow, Wrangel. Zaczęto mówić o położeniu współczesnem. „Dla wszystkich choć nieco przenikliwych ludzi stawało się już wówczas jasne, że samowładztwo kopie sobie grób". Woroncow wyrażał się oględnie, lecz znać było, że w głębi duszy i on żywi niepokój. Gdy goście rozjechali się, Skobielew zaczął chodzić po pokoju i nerwowo rozczesywać swe jasne faworyty.

„Niech sobie tam opowiadają — mówił — Słyszeliśmy już tę piosenkę. A jednak, koniec końców, cały ich sklepik poleci do góry nogami. Poleci — powtarzał, delektując się każdą sylabą — i szczęśliwej drogi. Ja, przynajmniej, osobiście nic nie będę miał przeciwko temu".

Dochturow próbował mitygować Skobielewa. „Że polecą oni, to polecą — mówił — lecz czyż należy się z tego cieszyć? Że ty i ja polecimy z nimi, to jeszcze pół biedy, lecz bodaj i Rosja poleci..."

„Nonsens, przerwał Skobielew — dynastje zmieniają się lub giną, zaś narody są nieśmiertelne".

Z dalszych słów Skobielewa dość jasno wynikało, że w razie rewolucji gotów on byłby odegrać rolę wodza armji rewolucyjnej. [1])

Gdy czyta się opowieść Wrangla o wieczornej dyskusji u Dochturowa w 1881 roku, przypomina się epoka dawniejsza, epoka Aleksandra I, po wojnach napoleońskich. I wówczas w salonach i gabinetach wyższych sfer Petersburga toczone były dysputy polityczne, z których wkrótce powstał ruch dekabrystów. W ostatniej części powieści Lwa Tołstoja *Wojna i pokój* nader żywo przedstawiona jest dysputa w małem kółku w gabinecie Mikołaja Rostowa. Oprócz gospoda-

rynarki Bucewicz otrzymał od generała Dragomirowa obietnicę dania artykułu o armji rosyjskiej do wydawnictwa nielegalnego. *Rewolucjoniery wo flotie*. Petersburg 1920 r., str. 59. — *Byłoje*, Kwiecień 1907 r. str. 126.

[1]) Baron N. Wrangel. *Wospominanija*, str. 136—138. — Bülow pisze w swych pamiętnikach, że po śmierci Skobielewa dwór rosyjski, musiał doznać ulgi. „Utrzymywano, że Skobielewa nęciła rola Bonapartego rosyjskiego. Powiedział do ładnej guwernantki Francuzki, o której względy się ubiegał: *„Vous serez ma Josephine"*. Bülow. *Mémoires*. Tom IV. Paryż 1931 r., str. 388.

rza, obecni są Piotr Biezuchow i Dienisow. Biezuchow, chodząc po pokoju, rozwija swą myśl: lepsi ludzie Rosji powinni organizować się, aby ratować państwo, w urzędach bowiem panuje kradzież, dławi się oświatę, lud jest znękany uciskiem, cesarz usuwa się od wszystkiego, rządzi złowrogi Arakczejew. Mikołaj Rostow czyni uwagę, że stowarzyszenie takie mogłoby być tylko tajne, a przez to samo byłoby szkodliwe dla państwa.

„Dlaczego, a czyż Tugendbund, który uratował Europę, przyniósł jaką szkodę?" replikuje Biezuchow.

„No, bracie, to dla kiełbaśników dobre — Tugendbund, zaś ja tego nie rozumiem, a i nie wymówię — odezwał się donośny, energiczny głos Dienisowa. — Wszystko jest wstrętne i ohydne, zgadzam się z tem: tylko Tugendbundu nie rozumiem, a nie podoba się, no to bunt... *Je suis votre homme*".

Zeszło do grobu pokolenie Biezuchowa i Dienisowa, minęły trzy panowania i na wstępie czwartego, przedostatniego przed upadkiem caratu, biały generał, mierząc krokami wytworny salon petersburski, w poufnem towarzystwie paru przyjaciół, oddaje się rojeniom o buncie. I gdyby go doczekał, stałby się chętnie generałem czerwonym.

Jan Kucharzewski.

350 lat pracy duchowej sodalicji w świecie, a w szczególności w Polsce.[1])

I.

Kiedy w studjach nad wczesnem wolnomularstwem zapoznałem się z płodną działalnością historyka Loży niemieckiej Ludwika Kellera, przekonałem się, że mąż ten, głęboko wtajemniczony w „arkana" swojej sekty, rejestrując potężne, heroiczne zmagania się stulecia szesnastego, echo bolesnego rozdarcia „nieszytej sukni Chrystusowej" — na jednej szali rozważań swoich umieszczał owe liczne, tajne jeszcze nieraz, „jaczejki" protestanckie, jakie rozpleniły się były w tej dobie gęsto po Niemczech i po reszcie Europy, na drugiej zaś — świeżo także powstałą „Kongregację Marjańską". Luter i Skarga — w dwóch tych dla nas symbolicznych postaciach streszczać się może cała epoka reformacyjna — wydają się nam w ten sposób tytanami, tytanami złego czy dobrego ducha, co, potężnym wysiłkiem napięcia tegoż, naciskają na dźwignię, by wprawić w ruch i przeważyć każdy swoją szalę.

Rzym, kolegjum *Gesu,* rok 1585, Belg Jan Leunis, oto są składniki i czynniki potężnego ruchu w jego genezie. Ośrodek Kościoła, centrala Towarzystwa Jezusowego, czasy Zygmunta Augusta i Batorego oraz uniwersalizm *omnium gentium* składają się na „klimat" — jak się dzisiaj mawia — młodej rośliny sodalicyjnej.

---

[1]) Przemówienie na akademji jubileuszowej w Warszawie w dniu 16 grudnia 1934, uświetnionej obecnością J. E. Nuncjusza Apostolskiego oraz przedstawicieli Episkopatu.

Bullą *Omnipotentis Dei* z 5 grudnia 1584 (a więc równo niemal 350 lat temu), tworzył Grzegorz XIII, papież reformy kalendarza, kanoniczną podstawę Sodalicji pod postacią t. zw. *Congregatio Prima Primaria.*

„Można śmiało utrzymywać — charakteryzuje promieniowanie tej *Prima Primarii* węgierski jej historyk, Ojciec Adalbert Bangha[1]) — że Towarzystwo Jezusowe w wielkiej części zapomocą Kongregacji Marjańskiej wszystko to osiągnęło, czego dokonało... zwłaszcza... za czasów reformy katolickiej w XVI i XVII stuleciu... Zapewne nie wyładował się ruch kongregacyjny w takim entuzjastycznym wybuchu... nastrojów rycersko-katolickich, jak np. Wojny Krzyżowe, niemniej jednak aktywność jego winna być w owych czasach upadku religijnego i buntu ogólnego przeciwko autorytetom kościelnym uważana za opatrznościową... Wówczas gdy całe kraje włącznie z inteligencją, a nawet częściami kleru, bez żadnego niemal oporu popadały w protestantyzm, powstawały wszędzie grupy i hufce laików, które nietylko że wykazywały wzorową obyczajność i niewzruszoną wierność Rzymowi, ale nadto, jako apostołowie świeccy, zastawiały się słowem i czynem za starą wiarę, a nowe obyczaje... Kongregacje były podchorążówkami armji świeckiej apostolatu katolickiego w dobie poreformacyjnej..."

„Pepinjerą" świętych staje się też rychło Kongregacja Marjańska. „Atleci Chrystusa" tu nabywają lub też ukrzepiają rozmach swój apostolski: przoduje im taki Karol Boromeusz, arcybiskup medjolański, możny i wczesny protektor Kongregacji; sekunduje ewangeliczny biskup sabaudzki św. Franciszek Salezy i przyjaciel jego, św. Wincenty à Paulo; otaczają wieńcem cnót najwyższych — Belg Berchmans, Hiszpan Claver, Flamand Canisius; Włosi: Bellarmin, Liguori i Gonzaga; Francuzi: Regis, Fourier i Eudes; Polacy: Kostka i Bobola (przez lat dziesięć na czele kongregacji wileńskiej); Benedykt Odescalchi, papież Odsieczy wiedeńskiej i tylu, tylu innych, aż do św. Teresy od Dzieciątka Jezus, sodaliski z Alençon, włącznie.

II.

Rok bieżący jest rokiem jubileuszowym nietylko naszej Kongregacji. 13 czerwca upłynęło bowiem równo lat 300 od

[1]) *Handbuch für die Leiter Marianischer Kongregationen*, Innsbruck, b. r. str. 20 nn.

dnia zawarcia sławetnego pokoju Polanowskiego, oznaczającego najszerszy rozwój terytorjalny Polski. Tu, na rubieży dwóch cywilizacyj, odstępywał książę Lwow imieniem cara pełnomocnikom polskim z kanclerzem Zadzikiem na czele ziemie: smoleńską, siewierską i czernichowską i zrzekał się wszelkich praw do Inflant, Kurlandji, Estonji oraz Rusi.

Na tle tej daty, na tle tego wiekopomnego pokoju staje w oczach naszych Polska siedmnastowieczna, Polska barokowych dziedzińców, jak te — kolegjum jezuickiego w Wilnie, gdzie Bobola był moderatorem czy prefektem, gdzie kaplicę sodalisów Marji wybudowano z funduszów Franciszka Wessla, podkomorzego domowego króla Stefana, gdzie młódź szlachecka odgrywać mogła misterja sodalisów Calderona della Barca czy Lope de Vega. Wstaje Polska, gdzie czyn zaczynał się od ślubu, a kończył ekswotem, gdzie za Smoleńsk płacono Bogu kościołami w Grodnie i Warszawie, a za Polanów eremem na Bielanach.

W samem zaraniu stulecia, w listopadzie 1601 r., w oratorjach nad zakrystjami kościoła św. Piotra, a później św. Barbary w Krakowie „dano... niejaki początek — pisze Wielewicki — kongregacji Wniebowzięcia N. M. P. dla akademików i literatów (*Congregatio nobilium ad domum professam Cracoviae*)..."

Kim byli ci pierwsi krakowscy *clientes Virginis* — jak podpisywał się jeden z cesarzy niemieckich? Nazwiska wśród nich były pierwszorzędne: biskupów jak Szyszkowski — łucki; Opaliński — poznański; Wołłowicz i Sanguszko — wileńscy; Maciejowski, Gembicki i Trzebicki — krakowscy; Sieciński — przemyski; Działyński — chełmiński; Weliamin Rutskij — metropolita kijowski; Kiszka — biskup żmudzki; Lipski — późniejszy prymas; Pstrokoński — kanclerz w. k. i t. d. Trzech nuncjuszów wstępowało również do Sodalicji, a mianowicie — w roku 1624 — Jan Baptysta Lancelotti; w trzy lata później — następca jego, kardynał Antoni Santacroce; w roku zaś 1631 — następca tegoż Honorat Visconti. Świeckich dostojników Kongregacji bywało coniemiara: szereg ich otwierał dzielny Jakób Sobieski, ojciec króla, otaczały go zaś nazwiska: Zebrzydowskich, Firlejów, Fredrów, Czartoryskich, Lanckorońskich, Branickich, Koniecpolskich,

Zamoyskich, Potockich, Wiśniowieckich (książę Jeremi wstępował w roku 1629), Denhoffów i w. i. Nie brakowało również w sodalicji krakowskiej i kilku profesorów lub doktorów uniwersytetu; nie brakowało wkońcu mieszczan. Egzotykę reprezentowały w albumie sodalicyjnym trzy nazwiska: Książe Jan Baptysta Ottoman, syn sułtana Mahometa III, a stryj Osmana, przeciwnika naszego z pod Chocima, tajemnie ochrzczony w obrządku greckim, w Krakowie zaś bawiący pod obcem nazwiskiem i przebrany, dalej — Porfirius Paleolog, Konstantynopolitańczyk, „z łaski Bożej arcybiskup... de Ochrida, Bułgarji, Serbji, Albanji, drugiej Macedonji i t. d., t. j. Góry Synai... arcybiskup-patrjarcha", oraz — podpisany w języku chaldejskim — „Jeremjasz, najpokorniejszy metropolita z Dirachium (Durazzo)... Obydwaj ci (ostatni) — pisze historyk Sodalicji — powracając z Rzymu, gdzie Urbanowi VIII (także sodalisowi) posłuszeństwo złożyli, zatrzymali się w Krakowie..."

III.

Wiek XVII, to — dla Polski — stulecie pięciu pod rząd królów-sodalisów.

Pierwszy z nich — to Zygmunt III, król Skargi. Lata w jego panowaniu burzliwe — początek wojny trzydziestoletniej. Prolog: 12 kwietnia 1618 r., roku wybuchu wojny: „Dnia 12 kwietnia... wpisuje się król (do albumu sodalisów), a za jego przykładem, dnia 16 kwietnia... królowa Konstancja, dnia 13 (zaś) t. m. królewicz Władysław..."

Rok następny (marzec):

„(Hrabia Althan) — pisze Szelągowski [1]) — (przywiózł) ze sobą (do Warszawy) statuta świeżo założonego w Wiedniu zakonu Rycerzy Chrześcijańskich *(militia christiana)* pod wezwaniem N. Marji Panny i św. Jerzego, który miał na celu walkę zarówno z niewierną Turcją i protestancką Europą; miał (dalej) pomóc Zygmuntowi III do odzyskania straconej korony dziedzicznej... Zygmunt III przyjął protektorat nad tym zakonem, a, za jego przykładem, zapisało się w poczet rycerzy N. M. Panny wielu znakomitych panów, jak Łukasz Opaliński, kasztelan gnieźnieński, mianowany przeorem; Samuel ks. Korecki; Albrecht St. Radziwiłł, podkanclerzy lit.; Stanisław Lubomirski, wojewoda sandomierski

[1]) *Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego*, Lwów 1904, str. 68 nn.

i inni... W zakonie tym „Rycerzy N. M. Panny" — konkluduje historyk — widzimy powrót do tradycyj średniowiecznych — zakonów nawpół rycerskich, nawpół religijnych. Te próby odświeżenia ducha katolicyzmu reminiscencjami wypraw krzyżowych są cechą znamienną tego czasu..."

Epilog: zamach na króla-sodalisa, wykonany przez kalwina Piekarskiego, 15 listopada 1620, w chwili gdy Zygmunt wchodził do kollegjaty św. Jana w Warszawie.

IV.

Drugi król-sodalis, Władysław IV, to król „orderu Niepokalanego Poczęcia".

„Dzięki staraniom hiszpańskiego Filipa IV — pisze historyk zakonu Jezuitów, Ojciec Załęski [1]) — wydał roku 1617 papież Paweł V dekret, zabraniający pod karą cenzur kościelnych wszelkich publicznych wystąpień: przeciw Niepokalanemu Poczęciu N. M. P.... Odtąd w Hiszpanji zaczęto obchodzić z wielką uroczystością dzień 8 grudnia... Pod tem też wezwaniem założył król jedno bractwo w Krakowie, przy kościele OO. Reformatów..." „Pobożność Władysława... — pisze znów inny historyk jezuicki Rudawski — była budującym przykładem dla obywateli w założeniu *Sodalitatis Marianae* w Warszawie przy kościele Societatis. Wraz z królem wielu pierwszych dygnitarzy swe imiona wpisało, tak, że potrzeba było rozdzielić Kongregację na trzy części: polską, niemiecką i włoską, stosownie do narodowości dworzan pańskich. Początek Kongregacji dano 1 stycznia 1642. O. Jerzy Schoenhoff, doktor teologji i teolog nadworny królowej Cecylji, wyłuszczył w kazaniu znaczenie i ustawy sodalisów w obecności króla, królowej i nader licznego dworu. Pierwszy swe imię podpisał król Władysław, przyrzekając, że tej Królowej będzie wiernym sługą, a jej Niepokalanego Poczęcia, że gotów jest krwią swoją bronić. Potem królowa, bracia królewscy: Jan-Kazimierz Karol-Ferdynand i siostry: Katarzyna i Konstancja, prymas i biskupi, senatorowie i inni dygnitarze tymże ślubem się zobowiązali, wpisując swoje imiona do album..." (W kilka lat potem, 1645 r.) odwiedził król Władysław z liczną świtą kościół (*Sodalitatis regiae,*) byli tam: nuncjusz papieski, posłowie zagraniczni od cesarza, króla Francji i Rzeczypospolitej weneckiej. Do zgromadzonych miano kazania w polskim, włoskim, francuskim i niemieckim języku. Prezesem sodalisów wybrano nuncjusza. Poślubiona nieba-

[1]) „Trzechsetletni jubileusz Kongregacji Sodalisów Marji" (*Przegląd Powszechny*, styczeń 1885, str. 53). Powyższej monografji zawdzięczam również inne niektóre dane, potrzebne do mojego referatu.

wem (w czerwcu) Władysławowi królowa Marja-Ludwika z domu Gonzagów, czcicielka swego krewnego św. Alojzego, odwiedziwszy w dzień jego kościół nasz — konkluduje historyk zakonny — poleciła Polakom tego świętego..."

Nadmienić jeszcze należy, że

„uroczystości weselne z pierwszą żoną i koronacyjne postanowił (był) Władysław zakończyć wprowadzeniem do Polski nowego zakonu rycerskiego (zgodnie z zamiarami ojcowskiemi, t. zw. „Kawalerji Niepokalanego Poczęcia")... (Uzyskał zatwierdzenie odnośnego) statutu w czasie poselstwa Ossolińskiego w Rzymie... Sam król miał być wielkim mistrzem (tego zakonu). Liczba braci w Koronie miała wynosić 72, a zagranicą 24. Wszystkich miała zobowiązywać przysięga, „że za Boga i ojczyznę walczyć będą". Do przystąpienia do zakonu („Niepokalanego Poczęcia") zaprosił król dwunastu najznakomitszych w kraju senatorów, między innymi Stanisława Lubomirskiego, Stanisława Koniecpolskiego, Albrechta i Aleksandra Radziwiłłów, Kazimierza i Andrzeja Sapiehów, Jerzego Ossolińskiego, królewicza Jana-Kazimierza i wielu innych. Uroczyste wprowadzenie orderu miało się odbyć 14 września 1637 roku..." [1])

V.

Te „śluby Władysława IV" rozbiły się wszakże w znacznej mierze, dla pobudek drugorzędnych, o opór możnowładców i szlachty. Szczęśliwszy w tym względzie od ojca i brata był trzeci nasz król-sodalis, Jan Kazimierz, gdy w katedrze lwowskiej, po wiekopomnym cudzie częstochowskim, po klęsce sztandarów różnowierczo-masońskich Karola Gustawa, 1 kwietnia 1656 roku, składał zkolei śluby swoje Matce Boskiej.

Piotr Vidoni, nuncjusz apostolski, odprawiał wtedy wotywę przed cudownym obrazem „Najświętszej Panny Łaskawej", po kazaniu zaś przystąpił król wraz z senatorami do ołtarza, ukląkł na najniższym stopniu i, oddawszy pokłon, czytać zaczął:

„Wielka Boga-Człowieka Matko, Najświętsza Dziewico! Ja, Jan-Kazimierz, za zmiłowaniem Syna Twego, Króla Królów, Pana mojego i Twego miłosierdzia król, do Przenajświętszych stóp Twoich upadłszy, Ciebie za Patronkę swoją i za Królowę państw swoich dzisiaj obieram..." [2])

---

[1]) Krajewski: „Władysław IV" (*Historja polityczna Polski*, wyd. Polskiej Akademji Umiejętności, t. II. 274 nn.)

[2]) Kubala: *Wojna szwedzka*, Lwów—Warszawa—Poznań, b. r. str. 307.

Był to bodaj-że punkt kulminacyjny uczuć czy nastrojów marjańskich w społeczeństwie polskiem.

VI.

„Roku 1669, dnia 3 grudnia, w uroczystość świętego Franciszka Ksawerego, Jego Królewska Mość król Michał (czwarty sodalis na tronie polskim, a dziedziczny w Wiśniowieckich), zwiedziwszy kościół św. Barbary (w Krakowie) i dom profesów (jezuickich), wstąpił także do oratorjum sodalisów i imię swoje w ich album własnoręcznie zapisał..."

Dwa lata potem (w roku 1671) uczyniła to samo żona jego „Eleonora Regina".[1])

VII.

A wreszcie Jan Trzeci, piąty w szeregu królów-sodalisów. Od Korzona dowiadujemy się,[2]) że

„jako „sodales Mariani" (dziedzicznie niejako po ojcu), t. j. członkowie Bractwa Niepokalanego Poczęcia N. M. P., obaj bracia (Marek i Jan Sobiescy) miewali w kościele mowy do kolegów..."

Sodalis Jan Sobieski mógł tedy później porozumieć się łatwo z sodalisem Benedyktem Odescalchi, kiedy jeden — jako król Jan III, drugi zaś — jako papież Inocenty XI — otrąbili krucjatę przeciwko Turkom.

VIII.

Zygmunt III i Władysław IV, Jan II i Michał i Jan III „poszli gnić między królami", posłannictwo zaś duchowe narodu od tamtych królów przejęli teraz „królowie niekoronowani", wieszcze. 350 zaś letnia praca Sodalicji w Polsce, ugruntowana na tysiącletnim blisko, wrodzonym narodowi, kulcie Marji, poprzez szkoły, poprzez czynność duszpasterską, poprzez samąż nareszcie organizację naszą, wszczepiała ideę Marjańską coraz głębiej w żywy organizm ojczyzny.

Począwszy od legendarnego „mistrza Twardowskiego", co od „kabały" i „nowinek" uciekł wkońcu, z pieśnią Ma-

[1]) Załęski, l. c.
[2]) *Dola i niedola Jana Sobieskiego*, Kraków 1892, I, 17.

rjańską na ustach, pod osłonę płaszcza Przenajświętszej Dziewicy, aż do fikcyjnego kaprala, co wykrzykuje w *Dziadach:*

Vivat Polonus, unus defensor Mariae,

od „Bogarodzicy" do *Wyzwolenia* Wyspiańskiego — snuje się skroś całej naszej literatury złota nić Marjańska.

W pierwszej dobie ucisku (*Potopu*) rzewnie żali się tak Matce Boskiej śpiewak „Psalmodji" Kochowski:

„Jak się owo dziecko bierze,
Rozkwilone do macierze,
Kiedy swawolne, bojąc się chabiny,
Gniewnemu ojcu czyni przeprosiny,
Więc do matki ręce wznosi
I ratunku od niej prosi,
Pod nią się tuli, jej zakrywa szatą,
Aż je pojedna z zagniewanym tatą,
Polsko moja, w tak złej toni
Któż cię dźwignie?...

W drugiej dobie ucisku (rozbiorów) staje znów na placu inny czciciel Marji — konfederat barski i śpiewa:

„Matka łaskawa, tuszę, że się stawi,
Dzielnością swoich rąk pobłogosławi,
A że gdy przybraną — będę miał wygraną,
Wiary obrońca.
Boć nie nowina Marji puklerzem
Zasłaniać Polskę — wojować z rycerzem,
Przybywa w osobie — sukurs dawać tobie,
Miła Ojczyzno!

W trzeciej zaś dobie ucisku (porozbiorowej) stają na placu — na odmianę — trzej wieszcze i każdy z nich na swój sposób wysławia Matkę Najświętszą.

Mickiewicz dedykuje Jej *Tadeusza,* a gloryfikuje kult Jej w *Dziadach* i *Księgach Pielgrzymstwa;* Słowacki uwielbia Ją szeregiem strof najpiękniejszych, jak wdzięczna kolenda ze *Złotej Czaszki,* jak nieporównane ustępy z *Do autora Trzech Psalmów, Króla Ducha, Księdza Marka* i innych.

Krasiński wreszcie w *Przedświcie* wzniósł się bodajże na szczyty polskiej poezji marjologicznej. Któż z nas bowiem nie pamięta cudnej owej jego apostrofy:

„Przewodowo — zwolna — święcie
Idą, idą wszystkie mary;
Patrzaj, patrzaj, w dziwnej chwale
Wszyscy z trumien polskich rodem!
Idą, idą przez te fale
Chrystusowym do nas chodem:
Tam buńczuki, tam sztandary,
Śnieżne pióra i korony,
Katolicki krzyż wzniesiony,
W koło herby — tarcze —znaki
I tłum szabel — i szyszaki
Przeciągają — Patrz! tam żywa
Twarz z powietrza się wyrywa,
Twarz, czy widzisz Anielicy?
Jak gwiazdeczka na ciemnicy,
W górze, w górze zawieszona,
Wschodzi, weszła, tli, drga, płonie.
Ot! z błękitów i szkarłatów
Już otęcza ją przesłona!
Na tle z pereł czy tle z kwiatów
Diamentowa lśni korona...
W krzyż na piersiach zwite dłonie,
Złote gwiazdy na jej łonie,
Czy poznajesz ją, to ona?
Witaj, witaj — to królowa —
Po swym ludu długo wdowa
I dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali jej ojcowie...“

Słusznie powiada Ojciec Załęski w cytowanem już przez nas studjum swojem, że

„pod koniec wieku XVIII, w onej twardej dla Kościoła dobie, gdy i bezsumienna polityka gabinetów z góry i rewolucja i sekty masońskie z dołu nań szturm przypuściły, słabnąć i stygnąć poczęły owe *Sodalitates Marianae*... Ale znów w pierwszych dziesiątkach naszego stulecia, kiedy rewolucyjna burza przeszumiała..., ocknęło się i odnowiło świetnie owo pobożne braterstwo“.

Papieże zaś poprzedniego stulecia, dwaj właśnie z tych, którzy równocześnie najostrzej przeciwstawili się masonerji, Leon XII i Leon XIII, w *breviach* swoich z roku 1824 i 1884 *Frugiferas inter Sodalitates* położyli nowe podstawy pod dalszy a świetny rozwój Sodalicji.

I znowu spełniało się jakgdyby to samo widzenie Krasińskiego:

Pani! Pani!
Wszak z pomarłem sług plemieniem
Ty zstępujesz do otchłani,
Po raz drugi zdeptać węża...
Świeć im oczu Twych spojrzeniem,
Niech przepada kłamca stary,
Który wieków był złudzeniem!

K. M. Morawski.

Współczesna literatura polska a szkoła.[1])

Postulat wprowadzenia w program nauki języka polskiego do szkół średnich utworów literackich bieżącej chwili, wysuwany jest coraz częściej zarówno przez pisarzy współczesnych, jak również i krytyków. Władze szkolne zachowują wobec niego dobrze zrozumianą rezerwę, natomiast czynnik najwięcej uprawniony do wypowiedzenia się w tej sprawie, jakim jest samo nauczycielstwo, nie zdobył się dotąd na określenie swego stanowiska. Jest to zjawisko o wiele gorsze, niż wypowiedzenie się choćby najbardziej negatywne. Wynikiem tego stanu rzeczy jest pewien chaos w doborze lektury dla klas najwyższych szkoły średniej. Wizytatorzy szkolni bardzo często domagają się wykazu lektury współczesnych pisarzy przy egzaminach dojrzałości, a gorliwsi nauczyciele na własną rękę dokonują tego wyboru niezawsze szczęśliwie. Wystarczy wspomnieć, że w pewnych gimnazjach i to koedukacyjnych, omawia polonista razem z młodzieżą powieść Choromańskiego: *Zazdrość i medycyna*. Dyskusja gruntowna i rzeczowa w tej sprawie staje się palącą potrzebą, a głos w niej obok nauczycieli powinni zabrać wszyscy wychowawcy, rodzice i publicyści.

Zagadnienie zasadnicze.

Czy uczyć współczesnej literatury polskiej w szkole? Oto pytanie zasadnicze. Prąd, przenikający całą współczesną szkołę polską, kieruje się do współczesności, do życia dla od- i prze-

[1]) Artykuł ten, omawiający bardzo ważną i aktualną kwestję, podajemy jako temat do dyskusji. Jaknajchętniej zamieścimy uwagi czytelników naszych, o tej sprawie, albo przynajmniej ich streszczenie. *Przypisek Redakcji.*

budowy odzyskanej ojczyzny. Nawet przeszłość interesuje nas tylko o tyle, o ile daje się zaktualizować. Dlaczegożby zatem wiążąca się ściśle z naszemi przeobrażeniami, literatura miała pozostawać poza kręgiem naszych zainteresowań? W ten sposób stawiają sprawę nauki literatury współczesnej ci wszyscy, którzy popierają postulat wprowadzenia jej w program szkoły średniej. Jeżeli staniemy na płaszczyźnie współczesności jako podstawowego wymagania polskiej szkoły nowoczesnej, to wszelka dyskusja zasadnicza na ten temat jest istotnie zbyteczną. Możnaby wtedy ograniczyć się jedynie do rozważania, jak dokonać wyboru odpowiedniej lektury i które z dzieł współczesnych pisarzy należałoby przy tej lekturze uwzględnić.

Propagatorzy tego postulatu zapominają, że właśnie nie kto inny, ale polskie władze szkolne, określiły w programach szkolnych, że celem szkoły polskiej nie jest samo nauczanie, ale wychowanie, nie względy dydaktyczne, ale wychowawcze. I dlatego problem nauczania współczesnej literatury polskiej w szkole średniej nie jest tak prosty, jak się wydaje, i dlatego także wymaga dyskusji zasadniczej.

Trudności wprowadzenia dzisiejszej literatury polskiej w program szkolny.

Wchodzimy w okres współczesności. Historycy literatury polskiej obejmują tą nazwą cały okres twórczości literackiej od roku 1863 do roku 1934. Otóż należy zaznaczyć na wstępie, że przedmiotem dyskusji nie może być tak szeroko przez historyków literatury pojęty okres współczesnej literatury polskiej, gdyż czołowi pisarze z czasów przed wojną światową stanowią już dawno integralną część kursu literatury polskiej w szkole. Sporną kwestją jest jedynie okres literatury polskiej od roku 1914 do chwili obecnej. W tym przełomowym czasie odeszło z tego świata prawie całe przedwojenne pokolenie pisarzy polskich. Pozostali z niego: Sieroszewski, Strug, Berent, Staff, Nałkowska, Rostworowski, Leśmian, Irzykowski, Rodziewiczówna, Świętochowski.

Znaczna większość pisarzy współczesnych to ludzie nowi, na dorobku literackim. Którzy z nich przejdą do potomności i będą przez nią czytani, tego nie potrafi nikt już dziś z całą pewnością określić. I to jest pierwsza trudność przy wprowadzaniu dzisiejszych pisarzy w program szkolny. Kanon lektury

szkolnej nie może uwzględniać wielkości efemerycznych, wydętych przez modę lub poklask czytelników, przez przejściową doktrynę, grupę lub reklamę, ale musi się opierać o wartości nieprzemijające, które wytrzymały zarówno ogień krytyki, jak również próbę gustu i mody.

Inną trudność wprowadzenia dzisiejszych autorów w program lektury szkolnej stanowi klasa talentu, poleconego dla młodzieży pisarza. Przedmiotem lektury szkolnej nie mogą być dzieła pisarzy przeciętnych. Wymagana jest bowiem pewna klasa artyzmu. Ale sam artyzm nie jest jeszcze wystarczającą rekomendacją dzieła sztuki, gdy idzie o młodzież szkolną. Dzieło takie winno posiadać wysokie walory etyczne. Inaczej nie może ono wywierać wpływu wychowawczego, który to wpływ musi mieć szkoła dzisiejsza na oku przedewszystkiem. Sprawę tę wobec dzisiejszego załamywania się wszystkich zasad moralnych w społeczeństwie musimy postawić twardo i jasno. Wiemy, że wśród najmłodszego pokolenia pisarzy szerzy się szeroko kult sztuki dla sztuki, w imię którego zwalnia się autor z wszelkich obowiązków moralnych, wiążących go ze społeczeństwem. Wiemy jednak także, że hasło sztuka dla sztuki, które wysunął wiek XIX, należy do grupy tych samych utopij, co inne hasła owego wieku jak bezwzględna wolność, równość i braterstwo. Sztuka nie była nigdy niezależną, bo nie był nim nigdy artysta. Artysta zależy od swego natchnienia, to zaś ma swe ukryte źródło w życiu. Ale artysta kieruje swem natchnieniem zależnie od zasad, które w sobie wyrobił, od tradycji, która w nim tkwi, od dogmatów, które przyjął, w które wierzy. Jeżeli tych nie ma, to uzależnia swe natchnienie od swych namiętności, które nim rządzą. Hasło sztuki dla sztuki nie zostało wysunięte dla celów emancypacji sztuki, bo ta jest utopją, ale szerzone jest dzisiaj dla celów zwalczania piękna i etyki w sztuce. Sztuka, która nie służy pięknu, służy brzydocie, jeśli nie służy dobremu, służy złu. Dlatego wszyscy wielcy genjusze świata uważali związek sztuki z pięknem i dobrem za naturalny. Zarówno Platon, jak Dante, zarówno Schiller jak Słowacki. Stwierdzali oni tem samem istnienie pewnych odwiecznych prawd moralnych w sztuce, które są prawdami człowieka. Szkoła nie wymaga od sztuki niczego więcej, jak tylko tego, aby ona utwierdzała w tych odwiecznych prawdach młode pokolenie. Temi prawdami kierowała się szkoła zawsze, gdy pow-

stawały wątpliwości co do doboru lektury pisarzy współczesnych, gdy szło o literaturę z okresu pozytywizmu, jak również, gdy szło o wybór z literatury „Młodej Polski". Jeżeli dzieła Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza, Konopnickiej, Asnyka, a potem Wyspiańskiego, Kasprowicza, Rejmonta, Żeromskiego spotkały się z pełną aprobatą szkoły wbrew pewnym zastrzeżeniom starszej generacji nauczycieli, to tylko dlatego, że w dziełach wymienionych autorów widziała szkoła nietylko wysokie wartości artystyczne, lecz moralne, zdolne przekształcać pierwotne instynkty młodzieży w porywy idealne.

Równocześnie jednak wychowawcy nigdy nie zalecali utworów tych samych pisarzy, o ile moralna postawa autora nie dość jasno się w nich zarysowywała, albo ulegała pod brzemieniem opisów erotycznych, kryminalnych, pełnych brutalności i egoizmu. Dlatego dotąd nie pochwalamy tego, że może jakiś niezrównoważony polonista podsuwa młodzieży *Dzieje grzechu* Żeromskiego, albo *Salome* Kasprowicza, albo utwory Daniłowskiego.

Nie jest to daleko posunięty purytanizm szkoły, ale oparte na nazbyt częstem i smutnem doświadczeniu, spostrzeżenie, że młodzież, czytając książki, pragnie przedewszystkiem naśladować to, co w danym utworze silnie na nią oddziaływa. Hamulce krytyczne są w niej, w okresie młodości bardzo słabe i nierozwinięte. O wpływie pewnych obrazów i myśli rozstrzygają drzemiące w młodzieży siły żywotne, które nie liczą się z następstwami swych czynów.

A zresztą nie łudźmy się! Młodzież nie będzie nigdy gruntownie analizować.

Jest to przywilej i cecha umysłów dojrzałych. Młodzież pragnie asymilować. W ten sposób tylko powstaje u niej naturalne rozszerzenie horyzontów psychicznych. Dzisiejsza młodzież tem różni się od młodzieży przedwojennej, że jest o wiele mniej krytyczna, że pragnie przedewszystkiem wierzyć i naśladować.

Dlatego słusznem jest stanowisko szkoły, która usiłuje uchronić młodzież na czas jej rozwoju przed rozkładowym wpływem pewnych wyobrażeń i pojęć, choćby one były odbiciem istniejącego w życiu zamętu. Zarówno lekarze szkolni, jak i psychologowie, domagają się aby w okresie, kiedy młodzież się rozwija, kiedy niedorosła jeszcze do łamania trudności, przechodzących

jej siły, aby na ten czas trzymać ją zdala od ciężkich i zawiłych problemów życia, któremi przeważnie zajmuje się współczesna literatura, a przedewszystkiem powieść.

Wprawdzie mógłby ktoś postawić zarzut, że młodzież dzisiejsza spotyka się w codziennem życiu z tylu zjawiskami zła, które ją deprawują więcej niż jakiekolwiek dzieło sztuki na temat erotyczny lub kryminalny, że obawy i troski wychowawców nie wytrzymują krytyki życia.

Ale z tego nie wynika, że szkoła, wprowadzająca niewłaściwą lekturę, że taka szkoła jest ze sobą w porządku. Młodzież zdaje sobie lepiej od starszych sprawę, że musi istnieć jakiś autorytet w sprawach moralnych i że w okresie młodości tym autorytetem winna być szkoła.

Dlatego szkoła, któraby przez wprowadzenie niewłaściwej lektury chciała schlebiać instynktom młodzieży, przekreślałaby zgóry rację swego istnienia. Z przytoczonych wyżej względów widocznem jest, jak łatwo żonglować hasłem wprowadzenia literatury najnowszej do lektury szkolnej w imię współczesności, a jak trudne i odpowiedzialne jest położenie szkoły, gdy się ma decydować na jakiś w tym kierunku pozytywny krok. W każdym razie nie może on być podjęty bez uprzedniego przedyskutowania nietylko samego zagadnienia współczesnej literatury jako lektury w szkole średniej, lecz także wartości tej literatury samej w sobie i jej wpływu wychowawczego na młodzież.

Omówiwszy, chociaż ogólnikowo, zagadnienie zasadnicze, przechodzę zkolei do rozpatrzenia wartości i wpływu wychowawczego najnowszej literatury polskiej na młodzież.

Stan, wartość i wpływ wychowawczy dzisiejszej literatury polskiej.

Jakkolwiek wszelkie wartościowanie dzisiejszej literatury polskiej może się wydać przedwczesne, wobec tego, że większość pisarzy dzisiejszych znajduje się dopiero na literackim dorobku, jednak szesnastoletni okres rozwoju literatury naszej w wolnem państwie jest wystarczający, aby ogólnie scharakteryzować wartość dotychczasowej naszej literatury.

Pierwszem zjawiskiem, rzucającem się w oczy, jest zerwanie się bezpośredniego kontaktu pisarzy dzisiejszego pokolenia z poprzedniem. Zwrócił na to uwagę Jan Lorentowicz, wybitny

znawca literatury polskiej, w świątecznym numerze *Kurjera Warszawskiego*. Lorentowicz stwierdził, że na przełomie Polski niewolnej do wolnej, wymarli prawie wszyscy czołowi pisarze pokolenia przedwojennego. Fakt ten, który z radością powitał Pomirowski, autor *Nowej literatury w nowej Polsce*, musiał w istocie rzeczy wpłynąć bardzo ujemnie na stan dzisiejszej polskiej literatury. Zerwała się bowiem w ten sposób ciągłość tradycji polskiej literatury. Tradycja w literaturze utrzymuje się w ten sposób, że młode pokolenie dorasta ze swemi światoburczemi pomysłami w cieniu skrzydeł starszego pokolenia, przeciwstawiając się starszym w tem wszystkiem, co było u nich przejściowem, przejmuje równocześnie od nich to, co było wiecznem i wartościowem. Otóż fakt, że dzisiejsze pokolenie polskich pisarzy nie mogło się wychować pod patronatem starszych, musiał ujemnie zaważyć na całym charakterze dzisiejszej literatury, która wygląda jakby zjawisko oderwane od całokształtu polskiego ducha. Okoliczność ta ułatwia pisarzom, którzy mają polskość tylko w paszporcie, a posługującym się polskim językiem, do wtargnięcia w dziedzinę literatury, strzeżoną dotąd przez wybrańców i genjusz narodu.

Innem zjawiskiem, cechującem najnowszy okres polskiej literatury, jest brak wielkich talentów. Nie mamy ani jednego pisarza pomiędzy żyjącymi, któryby potrafił dzierżyć rząd dusz tak, jak go dzierżył Prus, Sienkiewicz, Żeromski. Jest wielu pisarzy poczytniejszych od nich, ale nieposiadających tej sugestywnej siły przerabiania ludzi przyziemnych na jednostki wartościowe i twórcze. Nie jest to tylko wina samej techniki artystycznej, która u dzisiejszych pisarzy jest nieraz wysoka, ale raczej braku zdolności do syntezy, do odkrywania wiecznych prawd w nowem życiu. Żaden z dzisiejszych pisarzy nie stał się głosem sumienia dzisiejszego pokolenia. Być może, że przyczyna tego zjawiska leży głębiej, może nawet w naszych stosunkach politycznych. Jest bowiem rzeczą dowiedzioną, że wszędzie tam, gdzie państwo wchodzi ze swemi uprawnieniami w każdy kąt życia jednostki, twórcza siła jednostki przez te uprawnienia w zarodku kurczy się i nieuchronnie zanika. Wielkim dyktaturom w życiu politycznem towarzyszą zawsze w literaturze miernoty. Nie wchodząc głębiej w analizę przyczyn braku twórczych talentów, należy stwierdzić, iż zjawisko braku wielkich talentów jest symptomem wyjałowienia, spłycenia i wycieńczenia literatury.

Trzeciem charakterystycznem zjawiskiem obecnego okresu naszej literatury jest brak polotu i fantazji. Wyobraźnia jako czynnik obrazotwórczy stanowi nieodzowny warunek wszelkiego postępu. Nigdy słabość u pisarzy nie wystąpiła jaskrawiej jak w naszych czasach. Będzie ona tem widoczniejsza, jeśli porównamy rezultaty literackiej produkcji z rezultatami współczesnej techniki. Gdy technika, opierając się na kilku pewnikach, stwierdzonych doświadczeniem, urzeczywistnia najśmielsze fantazje ludzkości, to literatura, twórczyni świata wewnętrznego, mająca granice możliwości o wiele szersze i łatwiejsze, cierpi na widoczny niedorozwój.

To samo możemy zauważyć, gdy porównamy dzisiejszą literaturę z literaturą z doby pozytywizmu lub Młodej Polski. Prus, Sienkiewicz, czy Wyspiański, nie ograniczali się nigdy do odtwarzania rzeczywistości, jaką ona była, ale wyobraźnią swoją rozszerzali granice naszej możliwości. I dlatego właśnie, że stworzyli kreacje, rozszerzające granice codziennej rzeczywistości, stali się pionierami ewolucji duchowej swego pokolenia, czego o żadnym z dzisiejszych pisarzy powiedzieć nie można.

Już te pierwsze ogólne uwagi o dzisiejszej literaturze polskiej, stwierdzane niemal przez wszystkich krytyków, dowodzą, że dzisiejsza literatura mniej się nadaje na przedmiot nauczania w szkole średniej, niż dawniejsza i większe w wyborze nastręcza trudności. Nie ograniczajmy się jednak do tych ogólników i wejdźmy w meritum rzeczy.

Żyjemy w okresie nowego realizmu. Siłą rzeczy na front wysuwa się w takich okresach powieść, a w dziedzinie poezji komedja. Powieściopisarzy polskich, piszących dzisiaj, mamy istotnie cały legjon. Najsilniej reprezentowaną jest powieść obyczajowo-społeczna o podłożu psychologicznem, a obok niej rozwija się powieść egzotyczna, historyczna i podróżnicza.

Grupa pierwsza rozporządza około dwudziestu pisarzami, między którymi na czoło wysuwają się kobiety. Jeżeli jednak idzie o klasę talentu, to z tej wielkiej liczby mogą zaledwie trzy nazwiska wchodzić w rachubę. Są to: Marja Dąbrowska, Michał Choromański i Juljusz Kaden-Bandrowski. Marja Dąbrowska w cztero-tomowym cyklu p. t. *Noce i dnie* stworzyła sagę rodu Niechciców. Jest ona narratorką pierwszej klasy. Wzgardziwszy sensacją, stanowiącą żer małych talentów, potrafiła z powszedniej codzienności życia Bogumiła i Barbary, tego małżeństwa

drobnych ziemian, wykrzesać tyle zainteresowania, że tem samem złożyła dowód niezwykłego talentu epickiego. Niestety ani jeden typ nie porusza silniej naszej wyobraźni. Przeciętności ludzi szarych towarzyszy ograniczoność. Ludzie jej poruszają się jak raz nakręcone zegarki. Wobec zjawisk życia, jakiemi są choroby lub zgony osób najbliższych i najdroższych, przechodzą oni do codziennych zajęć tacy sami, jakimi byli przed temi wypadkami. Możnaby powiedzieć, że bohaterowie ci nie rozwijają się ale wegetują. Pewną odmianę w życie wprowadzają ich dzieci, a zwłaszcza Agnisia, która staje się zagorzałą socjalistką w czasie swego studjum uniwersyteckiego zagranicą i jej mąż, student uniwersytetu, również fanatyczny propagator socjalizmu. Para ta jednak stanowi tylko jeden z epizodów w monotonnem życiu Bogumiła i Barbary. Jeżeli idzie o wpływ wychowawczy, jaki ta powieść może mieć na młodzież szkolną, to zgóry można przepowiedzieć, że nie będzie żadnego. Młodzież nasza w tej codzienności nie znajdzie dla siebie nic interesującego. Będzie ją czytała pod przymusem, a to już dowodzi jej niewystarczalności, jeśli idzie o zainteresowanie młodzieży.

Drugim zkolei autorem, na którego mógłby paść wybór szkoły, jest Michał Choromański. Jego powieść *Zazdrość i medycyna*, przedstawiająca zapomocą świetnych skrótów tragedję Widmara, którego żona Rebeka zdradza z utalentowanym chirurgiem, nie nadaje się już przez samo ujęcie tematu na lekturę dla młodzieży. Nie mówiąc już o poszczególnych scenach, z których głównemi są operacje ginekologiczne, atmosfera kłamstwa, w jakiej żyją przedstawieni przez Choromańskiego ludzie, jest wysoce niezdrową i zatruwającą.

Trzecim wreszcie autorem mógłby być Kaden-Bandrowski. Młodzież zna tego autora z pięknych powieści na temat dzieciństwa *Miasto mojej matki* i *W cieniu zapomnianej olszyny*. Dziełem Kadena-Bandrowskiego, któreby mogło aspirować do wejścia w kanon lektury szkolnej, jest *Mateusz Bigda*. Powieść ta jest obrazem życia działacza politycznego, który wyszedł z ludu i razem z całym sztabem kompanów ujmuje ster polityki ludowej w swoje ręce. Niestety powieść ta nie jest zwierciadłem duszy chłopskiej w jej dobrych i złych objawach, ale jest satyrą na demagogję chłopską, przechodzącą bardzo często w ostry i jednostronny pamflet. Ten brak umiaru, brak sprawiedliwego roz-

dzielenia świateł i cieni, umniejsza wartość powieści, która mogła być epopeą. Na to jednak trzeba było, żeby autor umiał ukochać człowieka i uszanować go w chłopie. W powieści tej zanadto się czuje pewną utajoną pogardę dla chłopa za to tylko, że chłop w nowej Polsce chce być czemś więcej, niż spokojnym rolnikiem. Młodzież miejska może się bawić karykaturą demagoga, stworzoną przez Kaden-Bandrowskiego, ale młodzież wiejska naszych szkół średnich wyczuje tam z każdego rozdziału, że autor jej głęboko nie lubi. Mimo więc narracyjnych zalet i kunsztu pisarskiego żaden nauczyciel nie mógłby stanąć w obronie tego wklęsłego zwierciadła.

Żaden z wymienionych utworów nie nadaje się na lekturę dla młodzieży szkolnej. Łatwiej byłoby zrobić ten wybór z innych dzieł tychże autorów, gdyby ich forma była doskonalsza. Zagłębiając się w dzisiejszą powieść, odkrywamy szereg pisarzy, których wpływ na młodzież mógły być pozytywny, gdyby forma, język i styl tych powieści, stały na poziomie dzieła sztuki. Do takich autorów zaliczylibyśmy przedewszystkiem powieści J. Kossowskiego, G. Morcinka, P. Gojawiczyńskiej, nowele Małaczewskiego i Z. Nowakowskiego.

Naogół powieść dzisiejsza nie wychodzi poza ramy reportażu, który wyjątkowo tylko może mieć pretensję do artyzmu. Ulubionym sztafażem scenerji naszych realistów jest: więzienie, melina, ulica, szpital, garsonjera, sala rozpraw sądowych, komisarjat policji, przytułek noclegowy, bar i sala dancingowa.

Realizm tych pisarzy, trzeźwość patrzenia na rzeczywistość, jest wprost przygnębiającą i prozaiczną. Nie jest to jednak nic innego, jak zdolność przystosowania się do warunków otoczenia, z którego pisarze nasi swoje spostrzeżenia czerpali. Ze stanowiska wychowawczego nie wnoszą ci autorowie nic idealniejszego, żadnych pierwiastków szlachetniejszych, któreby mogły wznieść naszą młodzież nad poziom najniższych funkcyj życia.

Lepiej przedstawia się w naszej powieści gatunek egzotyczny. Dwa nazwiska o szerszym już dziś rozgłosie narzucają się nam jako godne analizy. Jest to Ferdynand Goetel i Ferdynand Ossendowski. Powieści Goetla odznaczają się nietylko głębią ujętego tematu, ale i dużym kunsztem techniki literackiej. One też mogłyby wejść w skład zaleconej dla młodzieży lektury. Jego nostalgja za kulturą serca, którą podziwia u ludzi prostych,

choć pierwotnych, rozbudza atmosferę idealizmu, który pragnie się wyrwać z piekła dzisiejszych warunków życiowych i odmienić oblicze starego świata.

Natomiast powieści Ossendowskiego, odpowiadające więcej celom popularyzacyjnym, mogą stanowić godną zalecenia lekturę na niższych stopniach nauki szkolnej.

Duże znaczenie dla nauki języka polskiego, która opiera się obecnie o historję kultury, posiadają stylizowane obrazy powieściowe Wasylewskiego i Parandowskiego. Obaj subtelni i wytrawni znawcy kultury intuicją swoją, wyrażającą się w świetnem naśladowaniu dawnych czasów, mogą ułatwić naszej młodzieży wniknięcie w trudne do zrozumienia dla niej epoki i stanowią nieodłączny komentarz tychże.

Drugą dziedziną dzisiejszej sztuki jest dość szeroko uprawiana poezja liryczna. Ma ona już za sobą urozmaiconą historję przemian od pierwszych futurystów i skamandrytów począwszy a skończywszy na awangardzistach. Niektórzy z pomiędzy dzisiejszych liryków osiągneli wysoki stopień wirtuozostwa. Ale od liryki, jako najgłębszej formy poezji, wymagamy czegoś więcej, niż samego kunsztu formy. Liryka w swoich skrótach winna być odbiciem najgłębszych przemian duszy swego pokolenia i wyrażać jego pogląd na świat. Pod tym względem spotyka nas zawód, gdyż nasi poeci liryczni, albo powtarzają utarte komunały, albo tak odbiegają od tego wszystkiego, co przeżywa społeczeństwo, że nie mogą uchodzić za wyraz czasu i pokolenia dzisiejszego. Pożytek z takiej lektury w szkole średniej byłby bardzo mały, a udostępnienie jej dla młodzieży wymagałoby wysiłku, nieopłacającego się w żadnym kierunku. Zdaje się, że jeszcze dość długo musimy czekać, zanim ukaże się liryk tego typu, co Asnyk lub Tetmajer dla swego pokolenia.

Ostatnią dziedziną sztuki, uwzględnianej przez lekturę szkolną, byłaby poezja dramatyczna. Nazywam ją ostatnią, bo reprezentuje się ona narazie najsłabiej i poza Szaniawskim trudno jest znaleźć autora dramatycznego, którego walory artystyczne i pedagogiczne zalecałyby do kanonu pisarzy szkolnych.

Obfita twórczość dzisiejszych komedjo-pisarzy polskich, obsługujących naszą publiczność teatralną, nie wydała dotąd ani jednej komedji na miarę Fredry lub Zapolskiej.

Wnioski.

Reasumując uwagi o dzisiejszej literaturze polskiej jako przedmiocie nauczania w szkole średniej, dochodzimy do niezbyt dla niej przychylnych wniosków.

Ogólne obniżenie się polotu i wyobraźni naszego pisarstwa, brak wielkich talentów i zerwanie gwałtowne z tradycją naszej literatury, stawiają okres współczesny naszego piśmiennictwa pod znakiem wyczerpania, wyjałowienia i łatwizny. Nie da się zaprzeczyć, że pisarze nasi zrobili duży wysiłek, aby wniknąć w dzisiejszą rzeczywistość i psychologicznie ją pogłębić. Nie zaprzeczamy również dużego postępu w zakresie samej techniki pisarskiej i zdobyciu nowych środków ekspresji artystycznej. Ale z drugiej strony nie mamy dotąd ani jednego utworu, któryby można nazwać arcydziełem, a przynajmniej dziełem o tyle klasycznem, by godnem było gruntownej analizy wszechstronnej, jak się tego domaga nauka literatury w szkole średniej. Gorączkowy pośpiech, cechujący dzisiejszych twórców, który jest wyrazem niepokoju naszych czasów, wydaje dzieła niedojrzałe i niezrównoważone, a z drugiej strony pretensjonalne i niepogłębione. Aby tę literaturę wprowadzić do szkół średnich, trzebaby obniżyć wymagania, stawiane dotąd autorom wszystkich epok naszej historji literatury, a to równałoby się ogólnemu obniżeniu całej szkoły.

Ludwik Skoczylas.

Katolicka książka na Słowaczyźnie.[1])

Książka słowacka zawdzięcza swój początek działalności Ks. Bernoláka, który dał narodowi i słownik i gramatykę jego mowy i uczynił tę mowę językiem literackim. Jego też imię złączone jest z założeniem *Učeného Tovaryšstva* (1793). „Uczone Towarzystwo" miało pielęgnować czytanie i poparcie tworzenia oraz wydawania książek słowackich. Po dniach wzlotu przyszły lata osłabienia i organizacja zanikła.

Pod hasłem: „národ, ktorý sa sám neopúšťa, nebýva opustený" podjął to zadanie Martin Hamuljak. W r. 1834 zakłada on *Spolok milovníkov reči a literatúry slovenskej.* I ten długo nie istniał, zanim się jednak rozwiązał (1850), utworzył się w r. 1848 w Peszcie *Spolok na vydávanie dobrých i lacných* (tanich) *knih,* przeznaczonych dla katolików Madjarów, Niemców i Słowaków. Ale dla Słowaków wydał tylko jedną książkę członkowską (*Verná Róza*), szafował zaś groszem na wydawnictwa w języku madjarskim. Dobrze, że przynajmniej słowackim swym członkom dawał Spolok *Katolicke Noviny.*

W tem ogólnopaństwowem Towarzystwie, Słowacy nie mieli siły ni możności pracować dla swego narodu. Przeto w 1850 r. zapoczątkowali nowe wydawnictwo w Bańskiej Sztiavnicy p. t. *Cyril a Method.* Redaktorem był zrazu Ján Palárik (później proboszcz w Majcichowie pod Trnavą), a po nim od 1857 roku dr. Andrej Radlinský. Energiczny ten organizator zdobył i piękne ofiary (kanonik nitrzański Juraj Tvrdý dał 1000 guldenów) i piękną liczbę prenumeratorów (750), tak że pismo zdołało się już samo utrzymywać.

[1]) Por. Ján Pösténvi: *Dejiny Spolku Sv. Vojtecha.* Trnava 1930.

A. Radlinský dar kanonika Tvrdého przeznaczył już na inny cel, na nasienie funduszu wydawania religijno-literackich dziełek i w pomyśle swoim nową organizację zamierzoną już nazywał Spolkem sv. Vojtecha. Zorganizował tymczasowy zarząd i starał się o zatwierdzenie statutu u prymasa ostrihomskiego i gubernium cesarsko-królewskiego. Dowiedziało się o akcji tej budapeszteńskie towarzystwo i dalejże zabiegać u prymasa i w urzędzie, aby nie dopuszczono do organizowania się Słowaków. Prymas nie dał swego placet. Na swą rękę podjęli pracę Bystriczanie. Radlinský dostał probostwo w Kútach, (u granicy Moraw) i nanowo przemyślał organizację i statut nowy przedstawił 19 maja 1862 r. dekanatowi szasztińskiemu, a zgromadzenie dystryktualnej Kongregacji statut przyjęło i już teraz od siebie zwróciło się do prymasa o zatwierdzenie. Przyszłemu wydziałowi Radlinský wręczył 4335 zł. i 85 krajcarów majątku Towarzystwa. Tysiąclecie św. Cyryla i Metodego sprzyjało dalszym krokom organizatorów i w atmosferze jubileuszowej już ani kościelna ani świecka władza administracyjna nie czyniły trudności zasadniczych, chyba formalne np. prymas sprzeciwiał się patronatowi św. Wojciecha, że to niby Vojtech jest imię pogańskie.

Nareszcie doczekali się Słowacy lepszej godziny, gdy arcybiskupstwo ostrihomskie otrzymał Jan Simor, znany ze sprawiedliwości bezwzględnej. Statut obwędrował Ostrihom, i Rzym, Wiedeń i Budapeszt. Ostatecznie Radlinský triumfował. Dnia 14 września 1860 r. odbyło się w Trnavie pierwsze walne zgromadzenie członków Towarzystwa im. św. Wojciecha. Zjechało się 500 katolików Słowaków. Przed samem otwarciem zebrania wpisało się ponad 300 członków. Prezesem został wybrany generalny wikarjusz trnawski Henryk Szajbély. Radlinský został tylko honorowym wiceprezesem.

Spolok uznał *Katolícke Noviny* za swój organ urzędowy. W pierwszych latach postarał się S. przedewszystkiem o słowackie p o d r ę c z n i k i dla szkół ludowych. (Zwięzłe dzieje biblijne wytłoczono w 20 tysiącach egzemplarzy. Do nauki religji wydano do r. 1918 katechizmu i biblji po 200.000 egz.) Ale madjarskie i madjarońskie sfery nie mogły patrzeć spokojnie na tak chlubne początki Spolku. Gdy w r. 1871 odbywało się w Nitrze drugie walne zebranie, do seminaryjnej sali obrad wdarli się urzędnicy państwowi i miejscy z gromadą najętych ulicników, zgromadze-

nie rozbili i jeszcze na ulicy rzucali kamieniami na uciekających uczestników. Brutalność madjarska oburzyła Europę i wywołała sympatje dla Słowaków. Na III dorocznym zjeździe zarząd już się cieszy, że Spolok ma 1949 członków i że każdy z nich otrzymuje corocznie kalendarz (Kalendár Pútnik svätovojteššký) i jeszcze jedną książkę do czytania. W 1872 r. już Stolica Apostolska uradowana rozwojem i działalnością Spolku posyła Słowakom błogosławieństwo, a biskupi przedlitawscy i zalitawscy (z polskich lwowski) ślą Spolkowi dary i pozdrowienia.

S. rozszerzył swe zadania, uchwalając w 1876 r. pilne baczenie na czystość językową w artykułach *Kat. Nov.* i wydawnictwach swoich oraz zobowiązując się do stałego wspierania finansowo słowacko katolickiego gimnazjum w Klasztorze pod Znievom (wznowione po wojnie światowej, dyrektor Fran. Hrušovský, wychowanek Jagiellońskiej wszechnicy opiekuje się czynnie nadobowiązkową nauką języka polskiego).

Po zapale i rozmachu przyszło ostudzenie i osłabienie. Dyrektor Spolku ks. Slotta w akcji wyborczej politycznej stracił majątek własny i z Towarzystwa się usunął, duch ożywiciel zaś Radlinský umarł 29 maja 1879 roku. Nowy ożywca znalazł się w ofiarnym dla Spolku sekretarzu Pawle Nováku. Były i ofiary nowe np. Józef Ščasný ku uczczeniu tysiąclecia śmierci św. Metodego złożył 5000 zł. na wydanie Pisma Świętego a wkrótce na 50-lecie swego kapłaństwa (1886) dodał drugie 5000 zł. na tenże fundusz. Mimo wszystko S. dźwigał się z ledwością (lata 1879—1886). Godnym dopiero zastępcą Radlińskiego był Andrzej Kubina, pierwszy, co pomyślał także o Słowaku — emigrancie.

Kubina zmodernizował pracę w organizacji podczas swej dyrektury w Spolku. Postarał się on o przyzwoite pomieszczenie biur i o księgi organizacyjne. Doprowadził rychło do liczby 5276 członków, gdy ogólnowęgierskie Towarzystwo im. św. Szczepana (zał. 1848 r.), wspierane przez rząd i duchowieństwo madjarskie miało w r. 1898 ledwie 4287 członków. Kubina, Sasinek i Kollár wzięli się energicznie do przekładania Pisma św. Wyłonił się jednak spór między Kubiną a Osvaldem, na swoją rękę tłumaczącym księgi święte, spór oparł się o władze Spolkowe i duchowne. Kubina choć czuł się usprawiedliwionym wewnętrznie i wobec świata, usunął się ze Spolku i wstąpił do klasztoru Jezuitów w Trnawie, aby tam — wedle słów Osvalda — „žil ideálu

svojho stavu (stanu) a srdca v nikdy nepretrženom snažení (dążeniu, tęsknocie) za Najvyšším a Najlepším". I tam jednak dla S. pracował. Wysłana do jezuickiego klasztoru deputacja prosiła jego przełożonych, aby Kubinie dali możność ukończenia przekładu Pisma św.

Lata 1891—1901 są dość szarym okresem w życiu Spolku, a są nawet i blade punkty np. gdy prezes się żali, „že valného shromaždenia sa súčastňuje sotva 15 kňazov a do 5 svetských inteligentov", albo gdy autor stwierdza, iż u uczonych ani u księży ani u świeckich nie znać zamiłowania do książki. Jasnym natomiast punktem jest, że w drewnianych domkach na stołach i na półkach są „celé knižnice Spolkom vydávaných podielov a poučných kníh". Lepszy dzień zaświtał dla S. dopiero, gdy w 1902 r. stanęła do pracy młoda generacja duchownych, wychowana przez Osvaldove *Literárne Listy* i *Kazateľňę*, gdy nadto amerykańscy Słowacy pobudzili rodaków w ojczyźnie.

W Ameryce działa ks. Stefan Furdek,[1]) który w r. 1900 do *Katolíckych Novín* pisze: my tu mamy już w 50 miejscowościach kościoły słowackie, zorganizowani jesteśmy w „Jednocie", która ma 14 tysięcy członków i w skarbonie 50 tysięcy dolarów, tak powinno być i w ojczyźnie „nože, bratia, urobte už raz základný (gruntowny) poriadok"... I dodaje: „czy to nie hańba, gdy oderwana gałązka musi upominać pień własny: „pozor na seba, začínaš schnúť". Amerykańscy Słowacy wpisują się do Spolku

---

[1]) Ks. Stefan Furdek (1855—1915) pochodził z Trsteny, orawskiego miasteczka. Przeganiany przez madjarów, studja zaczęte w Nitrze ukończył w Pradze. Biskup clevelandzki R. Gimour zaprosił go do Ameryki, ułatwił mu studja teologiczne, wyświęcił go i wyznaczył go na proboszcza czeskiej kolonji w Clevelandzie. Tam pracował przez 35 lat.

Pracą poza-parafjalną objął swych bliższych rodaków w Stanach Amer. półn. W 1906 r. zwołał do Wilkesbare słowacki kongres katolicki, a w 3 miesiące potem zjazd ogólnosłowacki do Pittsburga. Stowarzyszył wszystkich dziennikarzy Słowaków, założył fundusz zapomogowy, z którego opłacano koszta politycznych ruchów na Węgrzech i żywiono skazańców politycznych. W r. 1907 w maju zwołał nowy kongres Słowaków do Clevelandu. W obronie rodaków gnębionych w ojczyźnie, zebrano w Ameryce 30 wieców z jego podniety. Koroną działalności jego było utworzenie I katolickiej jednoty a organem, do dziś wychodzącym *Jednota*. — Zasłużył sobie na tablicę pamiątkową, którą w domu jego rodzinnym w Trstenie odsłonięto 23 lipca 1933 r.

(1902 roku 635 nowych przeważnie z za Oceanu). Za amerykańskimi wpisują się do S. i rolnicy w ojczyźnie pozostali.

Dodało to otuchy dyrektorowi Spolku Kollárowi, który odważył się na kupno domu dla Towarzystwa za 35.000 koron. Tem znowu rozjudził madjarską organizację i znowu zaczęły się ataki na Spolok. W obronie Spolku odezwali się amerykańscy Słowacy, którzy imieniem 300 emigrantów wystosowali pismo do Stolicy Apostol. i do Prymasa. Wewnątrz kraju zaś wielką pomoc dali Towarzystwu Dominikanie koszyccy, Franciszkanie bardyjowscy, proboszcz Čarský (dziś biskup w Koszycach) i biskup koszycki Aug. Fischer-Colbrie, acz nie Słowak i nie Słowianin. W obronie Spolku szarżowali żywem słowem i pismem młodzi księża narodowcy, wychowankowie wiedeńskiego Pazmaneum: dr. Fr. Jehlicska i Ferdiš Juriga — imiona i dziś głośne w politycznem życiu czeskosłowackiem. Bojowy rok wprowadził młodych i do redakcji *Katol. Novin.* Kollár oddał ich pod ster Jehličce.

Młodzi rozruszali Spolok. Z 1906 samych nowych członków jest 7131. Głosy wołają o drukarnię i księgarnię własną, osobna komisja ma się o to starać. Na zjazdy katolickiego Spolku zjeżdżają w charakterze przyjaznych gości ewangelicy tak wybitni jak: Svetozár Hurban Vajanský — najwybitniejszy przed wojną pisarz i polityk słowacki. Józef Škultéty (dziś prezes Maticy Slov.), dr. Milan Ivanka (adwokat i znany słowianofil). Działalność Spolku chwalono publicznie coraz głośniej np. biskup polowy Bielopotocký moralność wysoką pułku preszburskiego przypisywał wpływowi lektury dzieł Spolkowych.

Aby żywioły niepożądane i nieodpowiednie nie dostały się do zarządu, nad tem czuwał politycznie wyszkolony Ambro Pietor, na każdym zjeździe obecny. Występują energicznie nowi działacze — i dziś jeszcze żywo czynni, choć na innych polach — dr. Ludovít Okánik (dziś główny proboszcz w Bratislavie, do niedawna burmistrz tego miasta), Andrej Hlinka (wódz polit. ludowców), Marjan Blaha (dziś biskup bańskobystrycki). Młodzi bojowcy zamierzali ze Spolku zrobić wielkie przedsiębiorstwo drukarskie i wydawnicze i tego ostatecznie dopięli. Powstała w 1919 r. wielka „učastinárska spoločnosť" przy zreorganizowaniu Spolku z nowym statutem.

W latach falowania walut znowu Spolkowi przyszli z pomocą amerykańscy rodacy: ze Scrantonu przysłali 279.000 kor. i zaku-

pili za nią połowę książek leżących na składzie, ks. Paweł Lisický przysłał zebranych 51.000 kor. a tyloletni redaktor *Kat. Nov.* Martin Kollár ofiarował Spolkowi cenny księgozbiór i 2000 koron.

Od 4 listopada 1920 prezesem Spolku jest ks. Hlinka a kierownikiem i zarządcą ks. Jan PösténYi do dzisiaj i dalej nieprzerwanie. Pod ich skrzydłami opiekuńczemi Spolok otrzymał nowe gmachy nowoczesne w Trnawie, rozwinął się w instytucję wydawniczą, rywalizującą z Maticą slovenską (narodową, ale międzywyznaniową).

Pierwsze dziesięciolecie niepodległości narodowej to czas organizowania się katolików Słowaków: *Orol* (gimnastyczny), *Omladina* męska i *Jednota* żeńska (kulturalne organizacje), pomoc Spolkowi daje ružomberski *Lev*, (wydawnictwo też katolickie). Z Trnawy również wyszedł pomysł dziennika politycznego. Dziecięctwo swoje *Slovák* przeżył w Ružomberku, dziś rozwija się w Bratislawie, gdzie zmógł się już na własny dom redakcyjny i drukarnię. Z Ameryką stosunki zostały zacieśnione. W 1923 wyjechali delegaci Spolku, zwiedzili 109 osad, wygłosili ponad 150 kazań i wykładów, nawiązali nici redakcyjne z *Jednotą*, *Katol Sokolem, Bratstvem* i *Obraną*, rozpoczęła się wymiana artykułów ze Słowacji posyłanych do Ameryki, a od amerykańskich Słowaków korespondencje do ojczyzny. Delegacja zyskała 2.156 członków nowych i szczodre dary pieniężne. Druga misja zostawiła w Ameryce 5.800 egzemplarzy Pisma św. i zdobyła nowych 1.500 członków. Misja z r. 1926 była liczna i wielostronna: była delegacja Spolku, byli biskupi (bańskobystrycki, spiski, trnavski i koszycki), było wydawnictwo Orla, Jednoty žien, Svoradova, byli i politycy (Hlinka i Józ. Buday).

Spolok prowadzi: drukarnię, wydawnictwo nakładowe, skład książek i księgarnię. Nakładnictwo ma swój program. Wydaje książki treści moralno-nauczającej, dziełka pomocnicze w nauce religji, powieści, opowiadania historyczne, dalej objaśniające literaturę i sztuki piękne. Od założenia swego do r. 1930 wydał Spolok 6,671.125 egz. książek słowackich. Kosztem ponad 700.000 kor. wydał Pismo Święte, którego rękopis (przekładu) przez 20 lat poprawiał i wygładzał zasłużony Fr. Osvald i właśnie w dniu tym życie zakończył, (14. IV. 1926), kiedy ostatnia strona wyszła z druku. Wznowiony został w 1923 r. *Púfnik*, wydawany dziś

w 17.000 egz. przy cenie 6 kor. rocznie. Wierny pamięci Osvalda S. wydaje dla duchowieństwa: *Duchovného Pastiera*, *Katolicke Kázne* i *Literárne Listy*.

Rok 1927 przyniósł Spolkowi wielkie ofiary, które umożliwiły rozbudowanie działalności Towarzystwa. Szlachetnie rozpoczął spiski biskup Ján Vojtaššák, składając 150.000 kor. narazie na stypendja naukowe i wydawnictwa dzieł naukowych, a później na fundusz *Katolickej Slovenskej Akademie*. Na założenie takiej Akademji przypłynęły dalsze ofiary jak: od amerykańskich Słowaków 1,898.573 kor., od ks. Lisickiego 50.000 kor., od wielu kanoników i dziekanów po tysiącu i po kilka tysięcy. Akademja ma być koroną zorganizowanej nauki katolickiej w Słowacji. Zalążkiem jej stanie się utworzony w 1930 r. *Literárno-vedecký odbor* w Spolku. W r. 1934 ma już 1.708 członków. Jego organem stał się nowy miesięcznik *Kultúra*, do końca 1934 redagowana w Trnavie, od 1935 w Bratislavie.

Ponieważ S. jest ogniskiem ruchu katolickiego i dla wyznaniowych szkół katolickich wydawał podręczniki za Węgier, i w początkach Czechosłowacji uznał za swój obowiązek także bronić prywatnego szkolnictwa katolickiego. Zdołał też zebrać 740 tysięcy podpisów na manifeście w tej sprawie.

Aby wdzięczność okazać zasłużonym i żywym czynem pociągnąć do swej idei nowych szermierzy, od r. 1930 corocznie w dniach pamiątkowych Spolok poświęca widome znaki (tablice, nagrobki, budynki kulturalne...), pamięci współtwórców i dawnych pracowników Spolku (zob. *Przegląd Powszechny* z r. 1931. Nr. 571—2, str. 79—95).

W roku ostatnim (1. VII 1934) Spolok miał 96.597 członków. [1]) Obrót nakładów Wydawnictwa wyraża się liczbą 1,434.849 kczs. przy 20 książkowych wydaniach w ilości 554.200 egzemplarzy. Perjodyki Spolku miały następujące liczby przedpłacicieli: *Púťnik* 8.500. *Duchovný Pastier* i *Kat. Kazne* 1.100, *Plameň* 18.374. Majątek Towarzystwa wzrósł o 600 tysięcy do sumy 9,313.199 kor. cz. S. posiada wzorowo skatalogowaną bibljotekę i cenne archiwum (rękopisy i korespondencje wybitnych Słowaków, pamiątki po Uczenem Tovaryszstwie...) i 8 sal muzeowych. W muzeum przednie miejsce zajmują świadectwa i pamiątki trnav-

[1]) *Púťnik* nr. 2, 1935 donosi, że liczba członków podniosła się na 99.597. (Za niecałe 2 miesiące + 3.000 członków).

skiego uniwersytetu,[1]) którego 300-letnią rocznicę w 1935 13. XI naród słowacki uroczyście będzie święcił (równocześnie z Madjarami, którzy tę samą rocznicę peszteńskiej wszechnicy przypisali z tytułu, że jest ona dalszym ciągiem trnawskiej).

Podziwu i uznania godną jest zapobiegliwość Spolku w zjednoczeniu wszystkich katolickich dusz słowackich i po słowacku czujących. Dla budapeszteńskich Słowaków S. otwarł filję księgarni swej, w Jugosławji rozszerza swe wydawnictwa z pomocą i za pośrednictwem bratniej organizacji *Družstva sv. Jeronyma,* w Wiedniu, we Francji, Rumunji, Australji i Ameryce połudn. tworzą się koła Spolkowe. „V Polsku sme udržali svoje pozície na členstve v obciach v bývalom Spiši a na Orave". Obszerny i imienny spis wszystkich członków (str. 97—487) zainteresuje polskiego czytelnika na stronach 424—428, gdzie są wymienieni i zliczeni członkowie Spolku w granicach Polski. Koło jabłonkowskie ma (w 1929 roku) 119, górnozubrzyckie 81, bukowińsko-podszklane 39, jurgowskie 83, kamińskie 22, krempaskie 72, lipnickie 156, łapszyckie 10, w Orawce 36, w Piekielniku 11, Podwilku 187, Trybszu 39, ogółem 880. Dla polityka i filologa spis tych nazwisk przedstawia wdzięczny i ciekawy materjał do studjum naukowego.

[1]) Założycielami uniwersytetu byli arcybiskup kardynał Piotr Pázmány i Jezuici.

(Do bibljografji: „Spolok sw. Vojtecha", *I. K. C.* z 12. 5 1930, nr. 124.)

Dr Jan Magiera.

Przegląd piśmiennictwa.

Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie W. O. Jakóba Wujka T. J. Tekst poprawili oraz wstępami i krótkim komentarzem opatrzyli: Stary Testament ks. Stanisław Styś T. J. prof. egzegezy w Kolegj. Bobolanum w Lublinie, Nowy Testament ks. Jan Rostworowski T. J., były prof. teol. dogm. w Kolegj. Krak. Kraków 1935. Wydawnictwo Księży Jezuitów, str. 1121+287*.

Dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności byłem zapewne pierwszym czytelnikiem, któremu danem było przeczytać to „nowe" polskie wydanie Pisma św. od deski do deski, jeszcze zanim mogło ono ukazać się na półkach księgarskich. Poczuwam się do wdzięczności względem tych, którzy mi ułatwili wcześniejsze zaznajomienie się z tak ważną i pożyteczną publikacją, a korzystam z tego, by udzielić i innym czytelnikom spostrzeżeń, poczynionych przy tej mojej lekturze.

O przygotowaniu tego nowego wydania Pisma św. dowiedziałem się wprawdzie dopiero wówczas, kiedy praca nad niem była już daleko posunięta, ale zaraz zrozumiałem, jak bardzo ono jest na czasie. Już dawno odczuwano u nas potrzebę podręcznego i taniego wydania Pisma św., a na przeszłorocznym zjeździe teologicznym zastanawiano się nawet nad sposobem zaradzenia tej potrzebie; przy tej okazji podano do szerszej wiadomości stan prac podjętych około niniejszego wydania.

Będziemy więc mieli naszą *Revised Version*, t. zw. przerobione wydanie Wujkowego przekładu Pisma św., coprawda już nie pierwsze bo w ostatnim dziesiątku lat wydaje Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu swoje Pismo św., któremu brak tylko jednego jeszcze tomu, mającego zawierać listy Apostolskie i Objawienie św. Jana.

Jaki jest stosunek recenzji OO. Rostworowskiego i Stysia, do tamtej pod względem języka, nie mogę powiedzieć, gdyż dotychczas nie miałem, niestety, sposobności zapoznać się bliżej z wydaniem św. Wojciecha. Wiem tylko, że jest ono wielotomowe (Stary Test. obejmuje cztery tomy, Nowy będzie w dwóch), z długiemi wstępami do poszczególnych ksiąg, licznemi objaśnieniami do tekstu a nawet z ilustracjami.

Istnieje podobno wydanie Starego Testamentu także w jednym tomie na cieńszym papierze, i to samo zrobi się zapewne i z Nowym, ale cena tych dwu tomów z pewnością nie będzie tak przystępna jak niniejszego tomiku.

Forma zewnętrzna tekstu nowego wydania jest znacznie ulepszona. Jest on podzielony na ustępy według treści. Na początku poszczególnych ustępów jest zawsze dłuższa lub krótsza dyspozycja. Poszczególne wiersze nie zaczynają się *a linea*, w Starym zaś Testamencie nawet nie od wielkiej litery, co ułatwia zrozumienie. Numeracja wierszy jest umieszczona na marginesie, w tekście zaś początek nowego wiersza jest uwydatniony większym odstępem między wyrazami (choć, zdaje się, nie przeprowadzono tego konsekwentnie), w Nowym Testamencie ponadto wielką literą, rozpoczynającą pierwszy wyraz nowego wiersza, choćby on nie następował po kropce.

Język stał się zrozumialszym aniżeli był u Wujka przez to, że wydawcy nie trzymali się niewolniczo łacińskiego szyku słów, który cechuje stare tłumaczenie, a zwłaszcza, że usunęli prawie zupełnie zwyczaj podporządkowywania zdań przy pomocy zaimków lub przysłówków względnych tam, gdzie język polski woli współrzędność. Wystarczy przeczytać pierwszy lepszy ustęp, aby się przekonać ile na tem tekst zyskał.

Poprawili wydawcy niektóre błędy lub niejasności, jakie wkradły się bądźto do samej Wulgaty, bądź do Wujka. Tak np. Rozdz. 4, 7 powiedziano bardzo dobrze: „Czyż jeśli dobrze czynić będziesz, nie otrzymasz; a jeśli źle, natychmiast we drzwiach grzech twój n i e będzie?" W Rozdz. 8, 7 zgodnie z hebr. i kontekstem powiedziano o kruku „...który wychodził i wracał się" zamiast: *qui egrediebatur et n o n revertebatur* Wulgaty. Por. także Rozdz. 18, 28 i inne. Albo czyż nie lepiej brzmi zamiast Wujkowego Mat. 18, 14. „Takci nie jest wola przed Ojcem waszym, który jest w niebiesiech, aby zginął jeden z tych małych" w nowem wydaniu: „Tak też nie chce Ojciec wasz, który jest w niebiesiech, aby zginął jeden z tych małych"? O ileż łatwiej czyta się u Marka 9, 37, 38: „Powiedział mu Jan: Nauczycielu widzieliśmy jednego, który nie chodzi za nami, wyrzucającego czarty w imię twoje, i zakazaliśmy mu. A Jezus rzekł: Nie zakazujcie mu; albowiem taki, który czyni cuda w imię moje nie będzie prędko źle mówić o mnie", zamiast Wujkowego: „Odpowiedział mu Jan, mówiąc: Nauczycielu! widzieliśmy niektórego w imię twoje czarty wyrzucającego, który nie chodzi za nami, i zakazaliśmy mu. A Jezus rzekł: Nie zakazujcie mu; albowiem żaden nie jest, któryby czynił cuda w imię moje, a mógłby prędko źle mówić o mnie". Ze szczególną przyjemnością czyta się księgi Mądrości i Eklezjastyka, których nawet tekst łaciński jest trudno zrozumiały, bo nie był przez św. Hieronima poprawiony. Wydawca przerobił tekst Wujka przy pomocy tekstu oryginalnego,

tak iż stworzył właściwie nowy przekład. W Pieśni nad Pieśniami kursywą w nawiasach zaznaczono osoby dialogu, co też bardzo ułatwi zrozumienie tego pięknego poematu. W Nowym zaś Testamencie listy Apostolskie zostały czytelnikowi, jak tylko było można uprzystępnione, tak iż i tu także trzeba właściwie mówić o nowem, bardzo zresztą dobrem, by nie powiedzieć znakomitem, tłumaczeniu.

Tu i ówdzie dla łatwiejszego zrozumienia tekstu dodano w nawiasie jakieś słówko, które w Nowym Testamencie odróżniono ponadto kursywą, w Starym, niestety nie, przez co nie można ich rozpoznać od innych nawiasów, stanowiących integralną część tekstu świętego.

Nie znaczy to jednak, żeby język tego nowego wydania był już wszędzie całkowicie zmodernizowany. Pozostało w Starym Testamencie jeszcze trochę hebraizmów. Rozdz. 7, 15 powiedziano „dwoje i dwoje" zamiast „po dwoje"; 16, 10 „Mnożąc rozmnożę"; po polsku wystarczy powiedzieć: rozmnożę; 26, 13: „postępował mnożąc się i rosnąc" — „coraz bardziej rozmnażał się i rósł". Hebrajskie „b j a d" tam gdzie chodzi o mówienie Boga przez kogoś, zostało przetłumaczone „przez usta" gdzieindziej dosłownie „przez ręce"; wszędzie jednak lepiej byłoby powiedzieć poprostu „przez". Niepotrzebnie także zatrzymano archaiczne wyrazy jak: kolca, bojowisko, poczwórne, „tło" w znaczeniu „podłogi", oboźny tam, gdzie chodzi o ślusarza, walecznicy, trzewa zam. trzewia, robota haftarska zam. hafciarska, rzewniwy, „wybiegać się" w znaczeniu „uciec". Bardzo dobrze natomiast zmieniono hiacynt na błękit. We wstępie ogólnym na str. 6 nie uważałbym za szczęśliwe nazwanie ksiąg dydaktycznych Pisma św. „naukowemi"; niech się raczej nazywają „pouczającemi".

Uwagi do tekstu niektórych ksiąg są wcale obfite, są zaś natury rzeczowej i językowej; gdyby się jeszcze np. nieco uzupełniło uwagi do Psalmów, otrzymałoby się całkowite przetłumaczenie tej księgi z języka hebrajskiego.

Wstępy do poszczególnych ksiąg lub do ich grup są krótkie i podają wiadomości o treści, celu, autorze, dacie powstania, kanoniczności danej księgi, oraz odpowiadają czasami na nasuwające się trudności.

Do druku, widocznie skutkiem pośpiechu spowodowanego chęcią zadośćuczynienia wielu prośbom, wkradły się nieliczne zresztą pomyłki, których wykaz umieszczony na końcu książki, czytelnik bez trudności uwzględni. W ewentualnem późniejszem wydaniu będą one mogły być usunięte.

Jakkolwiek więc, jak wynika z tego, co wyżej powiedziałem, to nowe wydanie Pisma św. uważać należy za wielki postęp w usiłowaniach uprzystępnienia słowa Bożego polskiemu czytelnikowi, jednak nie trzeba się niem zadowolnić, lecz starać się go ulepszyć. Niech będzie tekst Wulgaty, ale oczyszczony z hebrai-

zmów i latynizmów. W uwagach podać tłumaczenie z tekstów oryginalnych tam, gdzie Wulgata od nich się różni. Na końcu zaś trzeba będzie dołączyć cztery mapki: jedną starożytnego Wschodu, drugą samej Palestyny za czasów Chrystusa Pana, trzecią samego miasta Jerozolimy, czwartą podróży św. Pawła.

Ks. Ludwik Semkowski T. J.
Profesor Papieskiego Instytutu Biblijnego.

Polski Słownik Biograficzny.

Starannie przygotowane od wielu lat, obliczone na dalszych lat dwadzieścia, rozpoczęło się z początkiem bieżącego roku wielkie wydawnictwo encyklopedyczne, na które czekaliśmy z niecierpliwością. W przeciwieństwie do wszystkich niemal innych narodów, Polska nie posiadała dotąd swego Słownika Biograficznego. Badacz lub miłośnik przeszłości, pragnąc się poinformować o jakiejkolwiek interesującej go postaci, musiał własne w każdym wypadku prowadzić poszukiwania albo też zadowolić się wzmianką w encyklopedji ogólnej.

Zastąpić takie przygodne informacje przez systematyczny zbiór biografij, źródłowo opracowanych piórem najwybitniejszych specjalistow i zaopatrzonych w obfite wskazówki bibljograficzne, oto cel, który przyświeca nowemu Słownikowi, wydawanemu przez Polską Akademję Umiejętności pod naczelną redakcją autora całego projektu prof. Wł. Konopczyńskiego, ze współpracą zorganizowaną we wszystkich ośrodkach polskiego życia umysłowego. Toteż już w stadjum przygotowawczem projekt ten wzbudzał ogólne zainteresowanie, które niewątpliwie wzrośnie obecnie, po ukazaniu się pierwszego zeszytu Słownika. [1])

Wbrew pierwotnym zamiarom układ całego dzieła — nie zaś każdego poszczególnego tomu, których ma być dwadzieścia, każdy po pięć zeszytów — jest ściśle alfabetyczny. Mogą stąd wyniknąć, zwłaszcza na początku, pewne przeoczenia, ale niebezpieczeństwo to jest zredukowane do minimum dzięki dwom okolicznościom. Po pierwsze redakcja Słownika posiada już kartotekę, od lat kompletowaną, obejmującą oczywiście cały alfabet; po drugie zaś, w miarę przygotowania poszczególnych zeszytów wykazy artykułów, mających się w nich ukazać, są rozsyłane dla rewizji najwybitniejszym rzeczoznawcom. Zresztą przewiduje się wydanie tomów dodatkowych, do których wejdą także biografje osób dziś żyjących, narazie wykluczone.

[1]) Kraków 1935, str. 96. Zeszyt ten zawiera biografje od „Abakanowicz" do „Andronicus". Na okładce podano skład redakcji, zasady wydawnictwa i warunki prenumeraty. Równocześnie ukazał się szczegółowy prospekt. Dalsze zeszyty będą wychodziły co dwa miesiące z przerwą wakacyjną.

W tym układzie, niewątpliwie najbardziej celowym i przejrzystym, przesuną się przed oczyma czytelników postacie w ogólnej liczbie około dwudziestu tysięcy, od zarania dziejów Polski przed tysiącem lat aż do chwili obecnej, z szerszem oczywiście uwzględnieniem czasów najnowszych i tego jedynego w swym rodzaju procesu dziejowego, który dzięki wytrwaniu i wysiłkom kilku ostatnich pokoleń narodu, doprowadził do odbudowania niepodległej Ojczyzny. Nie zabraknie głośnych nazwisk o obfitej dziś już literaturze biograficznej, której zwięzłe artykułu Słownika oczywiście nie zastąpią, dając tylko próby syntezy i ułatwiając orjentację w badaniach dotychczasowych. Ale bodaj czy nie największą wartość mieć będą pierwsze nieraz i jedyne szkice biograficzne o jednostkach niemal nieznanych szerokiemu ogółowi, których rola będzie w ten sposób przekazana potomnym bez względu na dziedzinę życia, w której pracowali, dzielnicę lub warstwę społeczną, z której pochodzili. Stąd Słownik, najciekawszy dla historyków w najszerszem tego słowa znaczeniu, obejmującem też historyków literatury i sztuki, będzie niezbędny też dla przedstawicieli innych nauk, a również i dla działaczów politycznych i społecznych, którzy odnajdą w nim korowód swoich, tak szybko zapominanych, poprzedników.

Tę ogólną charakterystykę niech ilustrują przykłady zaczerpnięte z pierwszego zeszytu! Pouczą one także o metodzie pracy i o doborze autorów, przedewszystkiem zaś wykażą, że Słownik, z którym to tytułem łączy się zwykle pojęcie czegoś suchego i nudnego, oprócz niewyczerpanej kopalni informacyj stanowi też niezwykle zajmującą lekturę. Przyczyniła się do tego i ta okoliczność, że wbrew surowym przepisom instrukcji, autorowie, aczkolwiek wszyscy piszą rzeczowo „bez tendencji politycznej ani moralizatorskiej", nie wahają się nieraz wyrazić własną opinję, a zwłaszcza nakreślić daną sylwetkę z pewnem ciepłem, z próbą sympatycznego, choć krytycznego, wczucia się w daną postać. Najwyraźniej to występuje w biografjach, które są zarazem rodzajem wspomnień osobistych lub rodzinnych. Niczem nie obniżyło to wysokiego poziomu naukowego wydawnictwa ani też nie zamąciło jego objektywności, a natomiast przyczyniło się do tego, że każdy niemal artykuł jest napisany żywo, zachęcająco do głębszego zapoznania się z omawianą osobistością.

„Z wieku i z urzędu" pierwsze miejsce należy się tajemniczej „Białej Knegini", owej Adelajdzie, o której — jak wyjaśnia R. Grodecki — dotąd niewiadomo napewno, czy była siostrą Mieszka I, czy też Bolesława Chrobrego, matką lub macochą św. Stefana węgierskiego. Od innych średniowiecznych Piastów, których ruskie koligacje ustala M. Korduba, ciekawszy jest zapomniany niemal ks. cieszyński z końca XVI i początku XVII w. Adam Wacław, którego sylwetkę kreśli F. Popiołek, stwierdzając, że na tym piastowskim dworze i wówczas jeszcze najczęściej roz-

brzmiewał język polski. Wielkich królów jagiellońskich reprezentuje pod literą A ten z nich, o którym powszechnie wiadomo, że był najmniej wielki, o którym jednak stwierdza F. Papée, w treściwym skrócie wieloletnich badań, że go do niedawna zbyt surowo sądzono. Temu samemu autorowi zawdzięczamy artykuł całkiem innego typu, gdzie się przekonujemy o wybitnej, rożnorodnej roli odegranej w tych latach przez niemal nieznanego dotąd sekretarza wielkoksiążęcego Adama z Wilna.

Im bardziej się posuwamy w nowsze czasy, tem obficiej autorowie korzystają z niewydanych źródeł archiwalnych. W ich świetle poznajemy dzięki K. Tyszkowskiemu i K. Lepszemu szereg wybitnych panów z dworu Zygmunta III, a dzięki St. Kotowi, H. Baryczowi i in. liczniejszych jeszcze przedstawicieli kultury polskiej z czasów Odrodzenia i Reformacji; dwie zaś autorki, Ł. Charewiczowa i K. Pieradzka, wprowadzają nas w ówczesny świat patrycjatu miejskiego, zwłaszcza Lwowa i Krakowa. Całą galerję z czasów saskich od królewicza Albrechta, syna Augusta III, aż do złowrogiego pułkownika kozackiego Abazyna, odtworzył W. Konopczyński, a z artykułem K. Chodynickiego o Albertrandim wchodzimy w przełomowy okres rozbiorowy i napoleoński, którego licznych bojowników poznajemy z prac M. Kukiela, S. Pomarańskiego, H. Mościckiego i t. d. Na późniejsze pokolenia powstańcze i emigracyjne sporo światła rzucą bogate zbiory rapperswilskie, o czem świadczy artykuł A. Lewaka, aż wreszcie dochodzimy do tych, którzy już doczekali się odbudowania państwa polskiego, czy to będą artyści, jak obaj Ajdukiewicze, o których piszą L. Lepszy i M. Treter, czy też uczeni jak prof. St. Anczyc, syn znanego pisarza, którym obu ciepłe słowa poświęcili W. Mozer i M. Szyjkowski, czy wreszcie politycy jak Dawid Abrahamowicz, o którym opowiada długoletni towarzysz jego pracy St. Starzyński.

Pominęliśmy naturalnie mnóstwo innych ciekawych artykułów i zasłużonych autorów. Może czytelnik, zainteresowany temi dorywczemi przykładami, sam je odszuka, idąc śladem swych osobistych studjów czy upodobań. Koniecznie jednak należy podkreślić na tem właśnie miejscu, ile znajdujemy cennych przyczynków do dziejów Kościoła w Polsce, zaczynając i w tym wypadku od zamierzchłej przeszłości, od biskupa płockiego Aleksandra z XII wieku, kapłana-rycerza, a zarazem niepospolitego mecenasa sztuki, którego nam odtworzył M. Gębarowicz. Duchownymi z Litwy zajmuje się ks. Cz. Falkowski, pomorskimi ks. P. Czaplewski, szczególnie zaś licznych wydobyto z zapomnienia Jezuitów polskich, dzięki zwłaszcza poszukiwaniom ks. St. Bednarskiego.

Wreszcie jeszcze jedno! Dzięki słusznej zasadzie, że należy również uwzględnić osoby obcego pochodzenia, wyjaśniając ich „uczestnictwo w sprawach narodu i państwa polskiego", czytamy też o takich postaciach, jak Albrecht pruski lub car Aleksander I,

których stosunek do Polski przedstawili St. Bodniak i J. Iwaszkiewicz. Stąd nasz Słownik biograficzny musi też zainteresować naukę obcą, na tych zaś wszystkich, którym leżą na sercu postęp i honor nauki polskiej, tem bardziej ciąży obowiązek, aby — każdy w swoim zakresie — poparli to niezbędne dla każdego wydawnictwo i dopomogli w ten sposób do jego pomyślnego, możliwie rychłego ukończenia.

O. Halecki.

Richard N. Coudenhove-Kalergi: E u r o p a s i ę b u d z i (Europa erwacht!) Paneuropa-Verlag, Zürich — Wien — Leipzig r. 1934, str. 295.

Niezmordowany propagator Paneuropy hr. R. N. Coudenhove-Kalergi, wnuk pochowanej na Powązkach, Rosjanki greckiego pochodzenia, Marji Muchanow-Kalergi (znanej z ciekawych pamiętników z okresu powstania styczniowego), przyjaciółki Polski, syn dyplomaty i arystokraty austrjackiego pochodzenia belgijskiego, oraz Japonki Mitsu Aoyama, mąż znanej artystki dramatycznej Idy Roland, pochodzącej z Wiedeńskiego ghetta, jest zapewne predestynowany do kosmopolitycznego światopoglądu. Jest to jednak równocześnie jego słabością. Nie jest on bowiem „europejczykiem" jak inni, mówi on o „nacjonaliźmie" z teoretycznego punktu widzenia, nie mając w sobie ani atomu jakiegokolwiek narodowego patrjotyzmu. Kolegowałem z nim ongiś w Terezjanum i znam to jego nastawienie nawylot. Przytem nie jest on właściwie, jak wynika z jego dzieł, chrześcijaninem. Jego stosunek do Kościoła jest czysto utylitarny. W gruncie rzeczy widzi on w chrześcijaństwie pewien przeżytek i mimo całej swojej animozji do hitleryzmu, bliskim jest mistycyzmu „bohaterskiego" i animalizmu rodzinnego znanych doktrynerów „Trzeciej Rzeszy". Coudenhove wiele się już nauczył. Jego szlachetny idealizm, dążący do realizacji niewątpliwie wzniosłego, wielkiego i pożądanego dla ludzkości celu, jego nadzwyczajna energja propagandystyczna i jego podziwu godna płodność pisarska zasługują z pewnością na najwyższe uznanie. Równocześnie jednak wspomniana jego „słabość" przyczynia się do wielu iluzyj i mrzonek, które mu zasłaniają cokolwiek rzeczywistą rzeczywistość.

Autor tkwi bardzo głęboko w liberalizmie „praw człowieka i obywatela". Z tego liberalizmu czyni on cechę ustroju europejskiego w chwili, kiedy liberalizm ten załamuje się kolejno w państwach starego świata... i nie tylko starego! Stara się on o znalezienie pomostu pomiędzy parlamentaryzmem demokratycznym a korporacjonizmem, by ułatwić zjednoczenie Europy. Odrzuca jednak dyktaturę całkowitą, państwo totalne; odrzuca on „rasizm" i piętnuje hitleryzm jako „rewolucję przeciw Europie". Nie uznaje on odrębności rasowej żydów (!), widząc w nich jedynie odmianę (Spielart) europejskiej mieszaniny rasowej. (Jest to pogląd bardzo rozpowszechniony wśród „asymilatorów".) To też

pragnie on realizować „narazie" federację europejską bez Niemiec, które przystąpiłyby do niej po „pogodzeniu się z Europą", co autor uważa widocznie za sprawę bliskiej przyszłości (po obaleniu hitleryzmu!?).

Słusznie uważa on Rosję (Eurazję) i Anglję (Imperjum Brytyjskie) za nienadające się do udziału w proponowanej federacji, która miałaby się urzeczywistnić etapami. Natomiast łudzi się on możliwością pokrycia płaszczem Paneuropy dzisiejszych antagonizmów rewizyjnych, mniejszościowych, celnych, zbrojeniowych i t. d. Nie rozumie on, że warunkiem federacji może być tylko ugruntowanie stosunków pomiędzy państwami a narodami na etyce chrześcijańskiej i przeświadczenie o konieczności opierania patrjotyzmu o więzy rodzinne, plemienne, tradycyjne a nie o przemoc. Słusznym wydaje się jego projekt wspólnej waluty europejskiej („deci" = $^1/_{10}$ gr. złota) i przełamania plagi autarkji nacjonalistycznej samostarczalnością kontynentalną jako etapem do gospodarki światowej. Słusznym jest postulat podziału Ligi Narodów na podligi kontynentalne. Iluzją jest jednak przypuszczenie, że nędza i bezrobocie znikłyby jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej w razie realizacji Paneuropy. Doszukiwanie się winy oporu przeciw Paneuropie w dobrobycie władców — pachnie demagogją. Powoływanie się na wybitny udział w ruchu paneuropejskim ś. p. kanclerza Austrji ks. prałata Seipla oraz na przychylny komentarz w *Osservatore Romano* nie jest jeszcze dowodem braku wpływów masońskich w propagandzie Paneuropy. Przeciwnie, wszystkie niemal przytoczone przez autora nazwiska jego przyjaciół francuskich, od ś. p. Brianda i Herriota do Painlevégo i Paul Boncoura znane są z dziejów współczesnej masonerji francuskiej. Nic w tem dziwnego. Zagadnienie językowe rozwiązuje autor albo na wzór szwajcarski, albo — indyjski. (W wielojęzycznych Indjach przyjęto język angielski — język wrogów — jako ogólno porozumiewawczy).

Najciekawsza jest część książki Coudenhove'a poświęcona dziejom idei wspólnoty europejskiej od czasów starożytnych (Imperium Romanum) poprzez cesarstwo średniowieczne (Karol Wielki — Karol V) do Napoleona i Świętego Przymierza. Widzi on w Kościele katolickim do reformacji pierwsze urzeczywistnienie się jedności Europy pod władzą Papieży. Przytacza on obszernie projekty federacji Dantego (De Monarchia), Piotra Dubois (De recuperatione terrae sanctae), sprytnego husyckiego króla Jerzego Podiebrada (wrogiego supremacji Papieży i cesarzy), ks. Sully, kanclerza Henryka IV, (Grand Dessein), Alberoniego, księdza de St. Pierre, wreszcie hr. de Saint-Simon... Są to częściowo projekty, podające szczegóły statutu ustrojowego Europy o charakterze federacyjnym, przeważnie z ostrzem przeciwtureckiem. Do Paneuropejczyków zalicza zresztą hr. Coudenhove na podstawie ich dzieł Rousseau, Voltaire'a, króla Leszczyńskiego, Lamartine'a,

Renana, Wiktora Hugo, Novalisa, Krausego, Leibniza, Kanta, Wielanda, Nietzschego i t. d. Na czele Europejczyków czynu stawia on Mazziniego (Młoda Europa), Garibaldiego, poczęści Crispiego, Nowikowa, Frieda, Buszczyńskiego i t. d. Paneuropejczyków widzi on w młodych faszystach z rzymskiej „Antieuropy".

Najbliższym celu był hr. Coudenhove w chwili powołania do życia przez ś. p. Brianda komitetu Paneuropejskiego w łonie Ligi Narodów i wystosowania przezeń do rządów Europy olbrzymiego memorjału, uzasadniającego konieczność realizacji federacji europejskiej. Inicjatywa ta „ugrzęzła w piasku". Oddziały krajowe nie wykazują aktywności. W Polsce z chwilą śmierci ś. p. Lednickiego brak kierownika...

Lecz hr. Coudenhove wydaniem swojej ostatniej książki, dowodzi, że ani na chwilę nie zwątpił w swoje powołanie. „Europa się budzi" — stwierdza on... Vederemo!

Adam Romer.

„Dzieje Cerkwi Prawosławnej w Z. S. R. R." przez Antoniego Starodworskiego, Warszawa 1934, Wyd. Instyt. Nauk. Badania Komunizmu.

Ukazała się książka biegłego u nas znawcy komunizmu i dziejów przełomu w Rosji. Ogłoszone dzieło daje obfity materjał do poznania „bezstronności" komunizmu rosyjskiego względem religji, w szczególności względem Kościoła Prawosławnego, który już 17 lat dźwiga na swych barkach ciężki krzyż. Dzieło składa się z 11 rozdziałów. Każdy z nich budzi coraz większą ciekawość i przynosi materjał, jeżeli już niezawsze nowy, to jednak w nowem ujęciu i nadzwyczaj interesująco wyłożony. Książkę czyta się jednym tchem.

Jedne rozdziały traktują o ruchach reformatorskich w łonie samej Cerkwi rosyjskiej, inne o metodach bolszewickich zwalczania religji i Cerkwi chrześcijańskiej.

Cerkiew rosyjska po upadku caratu znalazła się na bezdrożu. Ruch jednak samoobrony spowodował zwołanie Synodu Krajowego (17. IV, 15. VIII 1917 r. do września 1918), który, między wielu sprawami najpierw załatwił sprawę naczelnego kierownictwa Cerkwią i wskrzesił instytucję patrjarchatu, zniesionego przez Piotra W. w r. 1720. 5 listopada 1917 r. tron patrjarszy objął biskup Moskwy Tichon. Jego życie, jak i Cerkwi całej, było 8-letnią drogą krzyżową. Cerkiew rozpadła się na grupy, wzajemnie zwalczające się, które w odpowiednim momencie były sprytnie wyzyskiwane przez bolszewików w celu ostatecznego rozbicia i skompromitowania tego czcigodnego odłamu chrześcijaństwa wschodniego. „Cerkiew" prywatna, „cerkiew żywa", „apostolska", „odnowienia", „odrodzenia", „synodalna" i „małego synodu" — oto strzępy potężnego niedawno Kościoła.

Przerażeniem i oburzeniem napełnia każdego kulturalnego człowieka prawo bolszewickie normujące sprawy religji i zastosowanie go w życiu kościelnem (rozdz. VII i VIII). Oto parę przykładów: duchowieństwo nie ma praw wyborczych, jako sfera „niepracująca" płaci olbrzymie podatki — do 10.000 rubli rocznie, musi wykupywać patent na spełnianie posług duchownych, za mieszkanie płaci 18 do 24 rb. za najmniejszy pokoik, pozbawione jest kartek żywnościowych, zmuszone jest do pracy fizycznej na rzecz wsi np. do rąbania drzewa; dzieci księży nie mogą korzystać ze szkół; poczty i telegrafy nie chcą przyjmować od księży lub przekazywać im zleceń i przesyłek. Parafjanie muszą płacić olbrzymie sumy za używanie swoich cerkwi i urządzeń cerkiewnych. Oto kilka obrazków z życia męczenników Chrystusowych i dowód głoszonej przez bolszewików „równości, braterstwa i wolności".

Żal nam również załamania się prawosławia w jego zwierznikach (rozd. IX), najpierw samego patrjarchy Tichona, później zastępcy jego Sergjusza, którzy ogłosili akty oficjalnego uznania rządów bolszewickich, ich słuszności i nawet częściowej apologji. Szkoda, że brakło im, zwłaszcza czcigodnemu patrjarsze Tichonowi odwagi i wytrwania na pierwotnem stanowisku, potępiającem gwałty bolszewickie (encykliki z dn. 12. XI 1917 i 28. II 1922).

Groźne memento zawiera r. X, w którym autor przedstawia cele i zamiary bolszewizmu w stosunku do chrześcijaństwa, oraz pewne jego metody, jak np. szerzenie i popieranie wszelkiego rodzaju bezbożników i organizacyj wolnomyślnych. Mamy je już w wielu krajach i obok siebie.

Wreszcie dokumenty w formie fotografji dają ciekawy materjał ilustrujący (rozd. XI) przedstawione martyrologjum Cerkwi prawosławnej w Rosji.

Mielibyśmy do zarzucenia autorowi co następuje: 1) że może zbyt lekko ocenia wartość prawosławia rosyjskiego przedwojennego i obecnego. W prawosławiu należy odróżnić sprawy hierarchiczne, zewnętrzne i wewnętrzną spoistość przez wiarę i sakramenty. Organizacja zewnętrzna niestety tam zawsze szwankowała, odkąd Cerkiew ta zerwała z centrum chrześcijaństwa — z Rzymem. Nie znaczy to jednak, że przez rozbicie zewnętrznej organizacji prawosławie zanika, przeciwnie, w bardzo wielu wypadkach staje się ono mocniejsze, głębsze, żywsze, bo wraca do wewnętrznej siły, wiary i sakramentów, stąd te objawy religijności, która przeraża bolszewików.

O wysokiej zaś kulturze przedwojennej świadczą akademje prawosławne: w Moskwie, Kijowie, Petersburgu, Kazaniu, świadczą poważne miesięczniki teologiczne: *Christijanskoje Czenije, Trudy, Bogosłowskij Wiesłnik, Prawosławnyj Sobiesiednik* i inn. pisma, które nie stoją zbyt daleko poza podobnemi miesięcznikami Kościoła zachodniego.

2) Ilustracja na str. 147, która ma być dowodem „bałwochwalstwa" prawosławnego, ponieważ przedstawia cesarzową Aleksandrę i małego Aleksego w a u r e o l a c h może nas nie przerażać. Jest to bowiem obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus, dla którego artysta wziął wzór z żywych osób, co praktykuje się i u nas, proszę zobaczyć nowe dzieła sztuki Rozena w katedrze ormiańsko-katol. we Lwowie, (św. Benedykt — ks. metrop. Szeptycki, św. Piotr — ks. metrop. Twardowski i t. d.).

3) W tak ciekawej monografji chcielibyśmy widzieć dokładniej przedstawione tarcia i rozczłonkowywanie się hierarchji prawosławnej w krytycznych latach 1918—1925. Zainteresowanych możnaby odesłać do *Orientalia Christiana,* wydawanych przez OO. Jezuitów Instytutu Wschodniego w Rzymie n. n. 14 i 15 (1925 r.), n. 67 (r. 1931), a głównie n. 46 z r. 1928.

Ks. M. Niechaj.

R. S. Coulet S. J.: L e C a t h o l i c i s m e e t l a C i v i l i s a t i o n e n p é r i l, Paris, Edition „Spes", 1934. — 10 fr.

Już od 1920 r. W. O. Coulet wygłasza w katedrze arcybiskupiego miasta Bordeaux, serję konferencyj wielkopostnych dla mężczyzn, na tematy religijno-społeczne, które wychodzą potem jako tomiki w 8-ce, wydawnictwa „Action populaire Spes".

W ubiegłych latach mówił on o Kościele w stosunku do zagadnień socjalnych, ekonomicznych, politycznych, międzynarodowych; przez siedem lat zrzędu mówił o rodzinie, dziś tak zagrożonej; w 1932 r. o katolicyzmie a laicyzmie; w 1933 r. o katolicyzmie a kryzysie wszechświatowym; wreszcie roku zeszłego o katolicyzmie a zagrożonej cywilizacji. Ten ostatni tom mamy właśnie przed sobą.

Zawiera on 5 konferencyj: I Cywilizacja w niebezpieczeństwie. — II Bezwiedni wrogowie (*les naufrageurs* — ci, co powodują rozbicie się okrętu) cywilizacji. — III Katolicyzm a cywilizacja. — IV Pozorne niepowodzenie katolicyzmu. — V Godzina katolików.

Na wstępie stara się autor wyjaśnić znaczenie słowa „cywilizacja". Niejeden sądzi, że jest to zespół wszystkich wynalazków techniki nowoczesnej i urządzeń ułatwiających życie zbiorowe i indywidualne; a więc koleje żelazne, samochody, samoloty, telefony, telegrafy, gaz, elektryczność i kanalizacja: zapewne są to bardzo wygodne i użyteczne wytwory i zdobycze cywilizacji — ale to nie ona sama. A może to luksusowe sklepy, ogromne fabryki, szkoły, bibljoteki, akademje, muzea, laboratorja lub szpitale? Także nie. — Są tacy (a może takie), co uważają za szczyt cywilizacji zbytkowną bieliznę, jedwabne pończochy, kosztowne suknie wieczorowe, modne pijamy lub wytwornego kroju smo-

kingi, plażowanie w stroju środkowo-afrykańskich plemion, bridge'a, teatr, kino, dancingi, życie salonowe i kodeks grzeczności.

Wszystko to cechuje rzeczywiście cywilizację XX wieku. Wiemy, że były w przeszłości cywilizacje innego typu, jak egipska, chińska, grecka lub rzymska, a bliżej nas średniowieczna lub renesansowa — bardzo różne od naszej. Lecz niektóre cechy są im wszystkim wspólne — i to właśnie pomoże nam do znalezienia prawdziwej definicji. Człowiek bowiem przestaje być dzikim a robi się cywilizowanym z chwilą i w miarę, jak przestaje zachowywać się po zwierzęcemu, a zaczyna żyć jak istota rozumna, zdolna do kultury duchowej i intelektualnej, oraz wolna, poddająca się świadomie pewnym prawom normującym życie społeczne, i utrzymującym w karności ślepe i nieokiełznane instynkta pierwotnego organizmu. W ślad za tem idzie dopiero organizacja życia tak indywidualnego jak i kolektywnego w sposób coraz bardziej odpowiedni postępowi moralnemu, intelektualnemu, artystycznemu lub wreszcie czysto materjalnemu ludzkości.

Otóż cywilizacja współczesna przenosi coraz bardziej punkt ciężkości ze strony moralnej i duchowej, którą chrystjanizm tak wysoko postawił, na stronę głównie — żeby nie powiedzieć wyłącznie — materjalną. Człowiek dzisiejszy opanował ślepe, wczoraj jeszcze nieznane siły przyrody i wprzęgnął je w swoją służbę; umysł jego zbadał tajniki dotąd niezbadane. Ale zato ta cywilizacja dawniej chrześcijańska, albo przynajmniej spirytualistyczna, zmierza dziś do całkowitego zmaterjalizowania i spoganienia, szuka jedynie używania i rozkoszy, popada coraz głębiej w niewolę pieniądza, najgorszego z tyranów, i doprowadzi nas niechybnie do „cywilizowanego barbarzyństwa".

A tymczasem prawdziwa cywilizacja jest w niebezpieczeństwie; zagrażają jej głównie: rozluźnienie obyczajów, materjalizm ekonomiczny, socjalizm, komunizm, wygórowany nacjonalizm i ciągłe niebezpieczeństwo zbrojnego konfliktu.

Nie sposób w krótkiem sprawozdaniu streścić całej książki. Najlepiej będzie powtórzyć tu słowa J. E. kardynała Andrieu, arcybiskupa Bordeaux, w liście do autora, umieszczonym na czele tomu: „Zawsze dbały o zastosowanie wskazań moralności katolickiej do rzeczywistości obecnej doby, ostrzegasz W. Ojcze, przed niebezpieczeństwami zagrażającemi prawdziwej cywilizacji, przed nieroztropnością tych, co ją bezwiednie podkopują; podnosisz walory cywilizacyjne katolicyzmu i wykazujesz katolikom dzisiejszym jak mogą — jeśli zechcą — stać się prawdziwymi zbawcami zagrożonej cywilizacji. Słusznie mówisz W. Ojcze że, jeżeli katolicyzm nie zdołał zachować naszej cywilizacji od grożących jej niebezpieczeństw, winić o to trzeba samąż tę cywilizację, która wymyka się jak może z pod jego zbawczego wpływu, a także i licznych katolików, którzy nie umieli żyć w pełni wiarą, którą wyznają. Oby Twe wymowne słowa zdołały rozwiać ich złu-

dzenia, wyrwać ich z niekonsekwencji, z którą działają, i doprowadzić do odegrania tej ważnej roli, do której są przeznaczeni".

S. M. R.

Wolnomularstwo w świetle encyklopedyj. Wypisy, Warszawa 1934. Skład główny „Dom Książki Polskiej" S. A. stron 358.

Autor tej pracy wolał zostać anonimowym. Składa się ona z wypisów z różnych dzieł m. in. z historji wolnomularstwa polskiego St. Małachowskiego, Łempickiego, z *Podręcznej Encyklopedji Kościelnej*, z *Encyklopedji Powszechnej* Orgelbranda, z *Ilustrowanej Encyklopedji* Trzaski, Everta i Michalskiego, z *Internationales Freimaurerlexikon* (Polen), z *Grand Dictionnaire Universel* Larousse'a, z *Grande Encyclopedie*, z *Meyers Lexikon*, z *Der Grosse Brockhaus*, z *Religion in Geschichte und Gegenwart*, z *Encyclopaedia Britannica*, z *Encyclopaedia of Religion and Ethics*, z *Encyclopaedia Americana*, z *New International Encyclopaedia* i t. d. Zawiera ona bardzo ciekawe statystyki i indeksy.

Autor oświadcza w słowie wstępnem, że wypisy zebrał „od autorów różnych narodów, różnych obozów ideowych i religijnych. Obfitość materjału i dobór źródeł, wolnych od uprzedzeń, świadczą najlepiej o bezstronności czy raczej wszechstronności tego zbioru. Reprezentowane tu są poglądy katolickie i protestanckie, romańskie i anglosaskie, antymasońskie i masońskie. Całość daje czytelnikowi — w syntezie pełny, objektywny i wyrazisty obraz tego, czem jest naprawdę wolnomularstwo".

Trudno czytelnikowi katolickiemu podzielić to zdanie. Autor zaczyna coprawda od wstępu o masonerji, zawartego w *Historji Kościoła Katolickiego* ks. Romana Archutowskiego i podaje odnośny rozdział z *Podręcznej Encyklopedji Kościelnej*. Wszystkie inne jednak obszernie cytowane źródła poza garstką skąpych urywków z prac i encyklopedyj polskich, są wyraźnie pochodzenia masońskiego. Skoro zaś ustępy z nich zajmują olbrzymią większość książki omawianej, więc — komentarzy nie potrzebujemy. Znajdujemy tam zresztą wiele panegiryków masońskich, pełnych perfidnych insynuacyj pod adresem Kościoła katolickiego.

Niemniej praca ta zawiera wiele ciekawych i cennych materjałów. Najwięcej ich znajdujemy w źródłach anglosaskich, niechętnych Wielkiemu Wschodowi i zależnym od niego organizacjom masońskim państw romańskich i słowiańskich.

Źródła te m. i. dość zgodnie podkreślają brak jakichkolwiek stosunków oficjalnych pomiędzy wolnomularstwem anglosaskiem, niemieckiem i skandynawskiem z jednej a zależnemi od Wielkiego Wschodu Paryskiego lożami z drugiej strony. W lożach tych, w przeciwieństwie do lóż anglo-saskich, skandynawskich i niemieckich, wyznających światopogląd protestancko-liberalno-zacho-

wawczy, koncentruje się ruch „wolnomyślny", zwrócony zarówno przeciwko Kościołowi jak i przeciwko — rządom autorytatywnym. W imię walki z „tronem i ołtarzem", pod hasłem *le cléricalisme, voilà l'ennemi*, zależne od Wielkiego Wschodu loże romańskie i słowiańskie walczą o ugruntowanie demokracji parlamentarnej „integralnej" przeciwko „zakusom" — „Watykanu", „dyktatur" i i. p. To nastawienie, loże anglosaskie, niemieckie i skandynawskie, nie zajmujące się polityką, żądające od członków oddawania czci „Wielkiemu Budowniczemu Świata i — mimo niechęci do „nietolerancji" „kleru katolickiego" — stojące na gruncie „ogólno chrześcijańskim", wysuwają oficjalnie jako powód zerwania z „Wielkim Wschodem" i nienależenia do „międzynarodowego zrzeszenia wolnomularskiego", będącego organem nadrzędnym politycznego wolnomularstwa międzynarodowego, operującego na ziemiach Europy romańskiej i słowiańskiej (wraz z Austrją, Szwajcarją, Węgrami, Grecją, Egiptem i t. d.), oraz w Ameryce Łacińskiej (wraz z niektóremi częściami Ameryki Północnej). Źródła anglosaskie podkreślają wyraźnie swoją niechęć do masonerji, mieszającej się do ustrojów wewnętrznych państw, do ich stosunku z Kościołem i t. d., oraz interpretującej podstawową zasadę masońską, tolerancję braterską, równą i wolnościową w sensie nietolerancji względem wyznawców religji katolickiej i idei rządów autorytatywnych. Natomiast „Wielka Loża Anglji" uznała oficjalnie powstałą w 1914 r. „Grande Loge Nationale Indépendante et Régulière pour la France", złożoną z dysydentów masońskich, niezadowolonych z radykalizmu antyreligijnego i skrajnie demokratycznego Wielkiego Wschodu. Tylko *Encyclopaedia Americana*, w której współpracuje mason angielski Klein, twierdzi, że jednak w 1913 r., naskutek usiłowań wysłanego specjalnie do Francji lorda Amphilla, zastępcy w. mistrza wielkiej loży Anglji ks. Connaught, doszło do „pogodzenia" pomiędzy Wielkiem Wschodem a masonerją angielską!? Pamiętać trzeba, że masonerja francuska założona została ongiś właśnie przez Anglików. (Masonerja niemiecka została przez Hitlera rozwiązana!)

Pomijam znane przeważnie dzieje poszczególnych odłamów masońskich, m. i. różokrzyżowców, o których wspominają „wypisy" z tej książki. Zaznaczę jedynie, że dane o masonerji polskiej współczesnej, autor czerpie wyłącznie z pracy E. Lenhoffa i O. Posnera, *Internationales Freimaurerlexikon*. Rewelacyj tam nie ma. Wiedzieliśmy już, że „Wielka Loża Narodowa Polski", obrządku szkockiego, jak wszystkie zależne od Wielkiego Wschodu masonerje (w przeciwieństwie do „obrządku angielskiego") powstała w 1920 r. z inicjatywy założonej w 1916 r. w Rzymie loży „Polonja". Pierwszym w. mistrzem był lekarz prof. Rafał Radziwiłłowicz, sekretarzem historyk I. Dąbrowski. (Następnymi w. mistrzami wybrani zostali p. p. Andrzej Strug i W. Junosza Stępowski. Lóż jest w Polsce 11 z „Kopernikiem" w Warszawie na czele i 450

członkami (wraz z lożą „ukraińską"). Jest to w porównaniu z masonerją anglosaską, liczącą około 25.000 lóż (z tego 16.500 w Ameryce) i $4^1/_2$ miljona członków (z tego 3,306.300 w Ameryce), a nawet z masonerją francuską (698 lóż i 49.200 członków) i b. niemiecką (722 lóż i 76.360 członków), „potęga" całkowicie bez znaczenia; wpływy jej jak wiadomo dają się odczuwać jedynie dzięki małej odporności moralnej naszego społeczeństwa katolickiego, którego przywiązanie do Wiary zbyt często jest pustym frazesem. Znajdujemy w tej książce również dane o masonerji żydowskiej „Buai Britt", z którą loże „chrześcijańskie" nic nie chcą mieć wspólnego.

Adam Romer.

Ferdynand Hoesick: Juljan Klaczko. Życie i prace. Warszawa (1934). 8°. str. 471. (Pism zbiorowych tom dziewiąty).

Dziewiąty tom Pism zbiorowych bardzo pracowitego literata, jakim jest p. Ferdynand Hoesick, zawiera przedruk szeregu jego studjów o Klaczce, ogłoszonych w latach 1897 do 1907. Autor sam charakteryzuje swój zbiór w przedmowie, jako całość luźną wprawdzie, ale przecież organiczną, dodając ujmujące wyznanie osobistych uczuć względem znakomitego pisarza: „Należąc do generacji, która pozostawała pod urokiem prześwietnych prac Klaczki i mając szczęście go znać osobiście... jako gorący wielbiciel Klaczki... pozostawałem często pod jego sugestywnym wpływem." [1]) Stwierdza też, że pamięć świetnego autora *Wieczorów florenckich* znikła niemal zupełnie pośród dzisiejszego pokolenia, a losy jego sławy pośmiertnej potwierdza melancholijny czterowiersz Asnyka:

Rozgłos i sława przemija tak marnie
Jak tuman pyłu, którym wicher kręci...
Choć nagle cały widnokrąg ogarnie,
Znikając z oczu, znika i z pamięci.

Dlatego przedruk studjów o Klaczce jest poniekąd spłaceniem długu wdzięczności względem jego wielkiego ducha i bardzo pożyteczną przysługą oddaną współczesnym.

Z pośród przedrukowanych artykułów na pierwszy plan wybija się życiorys, pochodzący z r. 1904, jedna z najlepszych prac autora, a zarazem pierwsze opracowanie tematu. Sposób ujęcia zwięzły, rzeczowy i przejrzysty czyni z tej pracy naprawdę doskonałe źródło informacyjne. Należałoby sobie może życzyć obszerniejszego podawania zawartości omawianych prac Klaczki i bardziej pogłębionego stosunku do psychiki omawianego pisarza. Listy jego, wplecione w późniejszą książkę Tarnowskiego, dowodzą jasno, na jak wysoki diapazon była ta dusza nastrojona. Szkoda, że Hoesick, wydając powtórnie swą cenną pracę, nie uzupełnił

[1]) Na dowód tego wpływu dołącza nakońcu swój dialog o „Beatrix Cenci" Słowackiego.

jej i nie rozszerzył materjałem, który przyniosły publikacje późniejsze, jak przedewszystkiem dzieło Tarnowskiego, a to tembardziej, że dały one też odmienne oświetlenie szczegółów, z których wiele domaga się objektywnego ustalenia. Tak jak jest obecnie, przedstawia praca Hoesicka przykre luki w zakresie duchowej historji Klaczki: pomija np. zupełnie tak przecież ciekawe i podniosłe dzieje jego nawrócenia i chrztu, wzruszająco odmalowane w listach do ks. Jana Koźmiana. Klaczko, świetny publicysta, polityk i poeta — to nie cały Klaczko przecież. Klaczko — to nietylko znakomite *ingenium,* ale i niezłomny charakter, a o tem w pracy Hoesicka stanowczo zamało.

Szczegóły biograficzne, pominięte w „Rysie życia i prac" zawierają dalsze studja, które jednak nie wypełniają całokształtu życiorysu Klaczki: „Pierwsza młodość Juljana Klaczki", „W Heidelbergu", Juljana Klaczki początki działalności literackiej francuskiej", „Schyłek życia i śmierć Juljana Klaczki", a wreszcie bardzo żywe i ciepłe wspomnienie wizyty „U Juljana Klaczki" w jego krakowskiem azylum. W pierwszym z tych artykułów autor nie uzasadnia dość wyraźnie, dlaczego uważa opisy domu Białostockich w *Powieści bez tytułu* Kraszewskiego za oparte na rzeczywistej atmosferze domu Klaczków w Wilnie. Pozostałe studja zajmują się literacką stroną prac Klaczki.

Słusznie podkreśla autor, że jego praca zastąpi do pewnego stopnia tym, co o Klaczce nie słyszeli, wyczerpane dzieło St. Tarnowskiego; nacisk trzeba jednak położyć na słowach „do pewnego stopnia". O zastąpieniu jej zupełnem niema mowy. Praca Tarnowskiego, zbyt niekiedy subjektywna i mentorska, pozostanie niemniej nadal pierwszorzędnem źródłem informacyjnem, dzięki zgromadzonemu materjałowi biograficznemu. Ale nie zastępując tamtego dzieła, praca Hoesicka uzupełnia je znakomicie.

Podkreślić trzeba piękny, czysty i żywy styl autora, który sprawia, że rzecz, podobnie, jak inne jego prace, czyta się doskonale.

Z. K. Ciechanowska.

Antoni Waśkowski: G w i a z d a W a w e l u. Sceny dramatyczne. Wydaw. Tow. św. Michała Arch. Miejsce Piastowe, 1934, str. 192.

W związku z aktualnością sprawy beatyfikacji królowej Jadwigi i z zeszłorocznemi uroczystościami Antoni Waśkowski w utworze swoim *Gwiazda Wawelu* usiłuje podjąć dziewiczy jeszcze w literaturze temat jej tragedji i ofiary. Temat ogromnie trudny, gdyż zmusza współczesnego autora do przedostania się przez gąszcz łatwizny i ładności literackiej, grożącej banałem na każdym kroku. Waśkowski, choć nie uniknął może wszystkich tych niebezpieczeństw, zwrócił jednak uwagę na konieczność literackiego wyrazu dla jednej z najdramatyczniejszych postaci naszej historji.

Na wstępie zaraz zaznaczyć należy, że *Gwiazda Wawelu* nie jest dramatem. Waśkowski wyraźnie podkreślił swoje stanowisko, nazywając utwór „scenami dramatycznemi". Stąd próżnoby zarzucać mu brak struktury dramatycznej, brak dramatycznego pogłębienia charakterów, brak wykończonej artystycznie całości. Autor zamierzał tylko dać szereg luźnych scen, odzwierciedlających ofiarne i święte życie Jadwigi, przyozdobić w poetycką szatę to, co już żyło w historji i legendzie. I trzeba przyznać, że cel swój osiągnął, potrafił owiać niektóre zwłaszcza obrazki urokiem prawdziwego liryzmu.

Na formie zewnętrznej zaważył wpływ St. Wyspiańskiego. Począwszy od wstępu, powtarzającego dokładnie rytm wierszowanych objaśnień — refleksyj do *Wyzwolenia*, cały utwór jest pod wybitną sugestją tego poety. Ten sam język, stylizowany na gwarze, przez pół archaizowany, niewiele jednak mający wspólnego z naukowem archaizowaniem, a będący niezaprzeczoną własnością Wyspiańskiego; ten sam charakterystyczny ośmiozgłoskowiec przechodzący w siedmiozgłoskowiec przy rymach męskich, ta sama długa kolejność identycznych rymów i częste używanie refrenu, te same wyrażenia, zwroty, to samo tło romantycznych wież Wawelu, tak dla Wyspiańskiego charakterystyczne, nawet druk i rozmieszczenie objaśnień wskazują na świadome (chyba?) nawiązanie do dramatu Wyspiańskiego.

Podobieństwo widać też i w samej konstrukcji utworu. I u Wyspiańskiego spotykamy bowiem szereg pozornie luźnych scen, związanych tylko jedną ideą przewodnią.

Ale na tem kończą się podobieństwa. O ile ta właśnie idea sama w sobie miewa u Wyspiańskiego tragiczne napięcie, punkty kulminacyjne i rozwiązanie, o ile jest ona silną dramatyczną więzią, czyniącą z utworu dramat w całem tego słowa znaczeniu; o tyle u Waśkowskiego odgrywa ona tylko rolę łagodnego łącznika między luźnemi scenami.

Dr T. Ledóchowska.

Jeanne Ancelet-Hustache: Les Soeurs des Prisons Collection „Les grands Ordres monastiques et Instituts religieux" tome XVI, Paris Grasset, 1933; XV+312 str. w 8-ce.

Autorka tej książki jest zaszczytnie znana ze swych studjów psychologiczno-mistycznych: *Mechtilde de Magdebourg*, dzieło uwieńczone przez Akademję francuską w 1926 r. — *Vie mystique d'un monastère de Dominicaines au moyen âge* (*Toess*) — *Les Vitae Sororum d'Unterlinden*, sławnego klasztoru Dominikanek w Colmar: — *Les Clarisses*, wydane w tej samej kolekcji co obecna książka: wreszcie *L'Immaculée Conception*, która wyszła z druku roku zeszłego u Flammariona w cyklu *Les belles Fêtes*.

P. Ancelet-Hustache podaje nam tu ciekawe dzieje zasłużonego we Francji od lat stu zakonu Sióstr więziennych de Marie-

Joseph, założonych około 1840 r. przez Matkę Marję od św. Augustyna Quinon, zmarłą w 1859 r. Instytut jej ma regułę św. Augustyna, z obszernemi Konstytucjami, zastosowanemi do specjalnego powołania jego członków.

Na czele książki czytamy długi a bardzo ciekawy rozdział p. t. „Quelques pages d'histoire", gdzie autorka kreśli nam smutny obraz więzień nie już w czasach przedchrześcijańskich, barbarzyńskich lub średniowiecznych, lecz w tak zw. Złotym Wieku Ludwika XIV, w czasie W. Rewolucji, oraz na początku XIX stulecia. Wylicza różne próby reformy systemu karnego, wysiłki rządów królewskiego, cesarskiego i republikańskiego w tym kierunku; usiłowania te były częściowe, chwilowe, miejscowe; brakowało im trwałości, ciągłości, jednolitego kierunku. Widział to rząd Ludwika Filipa i choć niekoniecznie pobożny, uznał, że nic się nie osiągnie, póki się nie odda nadzoru więzień zgromadzeniom zakonnym — męskim dla mężczyzn, żeńskim dla kobiet.

I tak Siostry Więzienne mają zarząd pięciu więzień centralnych i 23 departamentalnych we Francji. Prowadzą 7 schronisk dla kobiet, które ukończyły karę, a nie mają dachu nad głową; kierują szwalniami, tkalniami, warsztatami różnego rodzaju, przytułkami dla zagrożonych dziewcząt, domami poprawy dla przestępczyń nieletnich i t. p.

Pouczają nas o tem rozdziały traktujące o tych dziełach miłosierdzia osobnego rodzaju, mających dla niektórych dusz nieprzeparty urok — urok pracy tak bardzo podobnej do pogoni Dobrego Pasterza za zbłąkaną owieczką. Weźmy np. pracę Sióstr Więziennych w wielkich więzieniach paryskich Saint-Lazare lub la Roquette; w tych przybytkach najstraszliwszej nędzy moralnej, wśród najgorszych mętów społecznych snują się one z dobrym uśmiechem na ustach, z jasnem spojrzeniem istot żyjących na codzień najszczytniejszem poświęceniem i bezwiednym heroizmem: na czarnym habicie i białym rąbku okalającym twarz, noszą welon koloru nieba; ma on nietylko przypominać swą barwą Najśw. Pannę, główną Patronkę Zgromadzenia, ale wedle słów założycielki „rozweselać swym jasnym kolorem smutne mury wiezienne i nasuwać ich biednym mieszkańcom pogodniejsze myśli".

Rząd francuski nie jest religijny, a jednak ceni i na każdym kroku wyszczególnia Siostry Więzienne: taka S. Leonida, dekorowana wstęgą Legji Honorowej za 60 lat pracy w więzieniu Saint-Lazare, jest jedną z najpopularniejszych postaci Paryża: ma lat przeszło 80, zawsze czynna w swym niebieskim fartuchu, z pękiem kluczy u pasa, żywa, rumiana, o bystrych szarych oczach z dowcipną odpowiedzią na każde zapytanie. Zapewne nie przeczyta ona nigdy książki mówiącej o niej, bo nie ma czasu na „literaturę". Trafi bez tego do nieba ze swemi współsiostrami, może nie dekorowanemi, lecz równie zasłużonemi jak ona, gdzie je

uwieńczy Ten, który powiedział: „Byłem więźniem, a nawiedziliście mnie". [1])

S. M. R.

Méditations sur les vérités et excellences de Jésus-Christ Notre-Seigneur par le R. P. François Bourgoing, édition revue et enrichie de sommaires par le P. Ingold, de l'Oratoire, Paris, Téqui, 1934, 3 vol. [2])

Trzydzieste piąte wydanie rozmyślań na wszystkie dni roku kościelnego, napisanych w XVII wieku przez trzeciego Generała francuskich Oratorjanów dla SS. Karmelitanek, a obecnie na prośby tychże zakonnic na nowo przedrukowane. Oto co pisała niedawno do wydawcy przeorysza jednego z Karmelów we Francji: „Nadaremnie poszukujemy egzemplarzy tego dzieła: wyczerpane! Jaka szkoda! Książka ta, tak pobożna, tak wewnętrzna, ma ogromny urok dla dusz bogomyślnych... Czy nie możnaby jej przedrukować na nowo? Jest to skarb, którego zakopywać się nie godzi. Ile Karmelów, ile innych społeczności zakonnych powitałoby z radością nowe wydanie tak znakomitego dzieła!"

Życzeniu temu stało się zadość! O. Ingold, Oratorjanin, wydał nanowo *Rozmyślania* O. Bourgoing, nie zmieniając nic w oryginalnym tekście, prócz dawnej ortografji i zbyt przestarzałych zwrotów. Format wygodny (16-ka), druk duży i wyraźny. Tyle o zewnętrznej szacie.

A teraz o tem, co *intrinsecus latet:* najczystsza to doktryna t. zw. „Szkoły francuskiej", o której ks. Bremond tyle pisał w swojej wspaniałej 10-cio tomowej *Historji ruchu religijnego we Francji XVII wieku.* Szkoła ta mistyczna, zapoczątkowana przez św. Franciszka Salezego, a kończąca się na mistykach Tow. Jezusowego, jak Lallemant, Caussede, Grou, sięgających już XVIII wieku, dosięgła swego szczytu we wspaniałej trójcy następujących po sobie Generałów „Oratorjum Jezusa", t. j. kardynała de Bérulle, który sprowadził Karmelitanki do Francji, W. O. de Condren i O. Bourgoing.

Wiadomo, jak wielki Bossuet go cenił, kiedy wypowiedział na jego grobie tę piękną mowę pogrzebową, która jest jedną z pereł literatury francuskiej. Oto co w niej mówi o książce, która nas w tej chwili zajmuje:

„Czytajcie te rozmyślania, pełne światła i łaski. Są one we wszystkich rękach: — zakonników, ludzi świeckich, kaznodziei, dusz kontemplacyjnych, uczonych i prostych; O. Bourgoing bowiem umiał w nich podać mocnym chleb, słabszym mleko, —

[1]) Słowa te umieszczone są na pieczęci Zgromadzenia przedstawiającej P. Jezusa uwięzionego w pretorjum Piłata.

[2]) I tom. Od Adwentu do Oczyszczenia N. M. P. — II t. Od Oczyszczenia do Wielkanocy. — III t. Od Wielkanocy do Adwentu.

a w tym chlebie, w tem mleku, wszystkim — tego samego Jezusa Chrystusa."

Do tych słów „Orła z Meaux" nic dodawać nie potrzeba, chyba to życzenie, aby *Rozmyślania* O. Bourgoing znalazły jak najrychlej dobrego polskiego tłumacza.

S. M. R.

Siostra Marja od Baranka Bożego, ze Zgromadzenia N. M. P. Wynagradzającej, przez S. S. z przedmową René Bazin'a, przekład p. Wandy Bogdanowiczowej, Lwów 1935.

Une Religieuse Réparatrice. Znana czytelnikom francuskim pod tym tytułem książka wyszła świeżo, po polsku we Lwowie, nakładem Bibljoteki Religijnej, jako III tom Bibljoteki Przekładów „Veritas", pod kierunkiem ks. Adama Bogdanowicza i ks. Karola Czesznáka. Tłumaczenie czcigodnej matki jednego z wydawców, p. Wandy Bogdanowiczowej, polecone jest listem J. E. ks. arcybiskupa Teodorowicza, gdyż ta „która się podjęła tego przekładu, włożyła w to dzieło zarówno swą pracę, jak i odczucie dla przedmiotu, tak potrzebne dla oddania w tłumaczeniu subtelnych odcieni."

S. Marja od Baranka Bożego (Marie de l'Agnus Dei) (1877—1901) była bratanicą niedawno zmarłego wybitnego pisarza René Bazin, członka Akademji francuskiej, którego łabędzi śpiew, prześliczna powieść p. t. *Magnificat*, jest we wszystkich rękach. To też napisał on długą, głęboko ujętą i odczutą przedmowę do tego życiorysu swojej krewnej, napisanego przez S. S. — zapewne jedną z Sióstr zakonnych bohaterki tej pięknej książki — a opartego na świadectwach współsióstr, na listach i zapiskach zmarłej przedwcześnie, bo w 24-ch latach życia, zakonnicy.

Marja-Anna Hervé-Bazin, pochodząca z rodziny nawskroś katolickiej, wstąpiła mając lat 18 do nieznanego w Polsce Zgromadzenia Marie-Réparatrice, założonego w połowie XIX wieku przez Elżbietę z hr. Oultremont baronową d'Hoogvorst, Belgijkę. Celem tego zakonu kontemplacyjnego jest zadośćuczynienie za grzechy świata, adoracja Najśw. Sakramentu, szerzenie życia wewnętrznego przez rekolekcje dla pań i przygodna katechizacja. Zakonnice noszą habit biały, szkaplerz i welon turkusowo-niebieski.

Podczas rekolekcyj przed ślubami, Pan Jezus ukazał się młodej nowicjuszce i zapytał, czy zgodzi się „na życie całe z krzyżów i poświęceń złożone?" — „Nie umiejąc Mu niczego odmówić, powiedziałam „tak" z całego serca." Od tej chwili zdrowie S. Marji od Baranka Bożego, dotąd kwitnące, poczęło się chwiać; straciła swój piękny głos, chwilami nawet mowę; ręce a potem i nogi odmawiały jej posłuszeństwa; lekarze i całe jej otoczenie

kładło te objawy na karb „nerwów"; wreszcie przekonano się, że to groźna, nieuleczalna choroba mlecza pacierzowego. S. Marja wiedziała, że lękano się zajęcia mózgu. „Wszak baranek przeznaczony jest na ofiarę, — czytamy w jej zapiskach, — to jego powołanie! Mam zostać idjotką?... Zgadzam się i na to, Panie mój!"

Ale Bóg nie zażądał tej najcięższej ofiary: młoda zakonnica umarła śmiercią wybranych w pełni swoich władz, po 18 miesięcznej chorobie, w Liège (Belgja), dokąd ją wysłano po ogłoszeniu we Francji bezbożnej ustawy przeciw Zgromadzeniom zakonnym w 1901 roku, nakazującej ich rozproszenie.

Żywot jej, z talentem napisany, zasługuje w nowej polskiej szacie na szerokie rozpowszechnienie i możemy być wdzięczni czcigodnej tłumaczce, że tak wartościowe dzieło naszej literaturze ascetycznej przyswoiła.

S. M. R.

J. Donat S. I.: Summa philosophiae christianae: Logica, ed. 8—9 recognita, 1935, RM. 3·— — Ontologia, ed. 8 emendata, 1933, RM. 3·60 — Ethica generalis, ed. 6 mutata et aucta, 1934, RM. 4·—, Ethica specialis, ed. emendata et aucta, 1934, RM. 4·50.

W tych nowych wydaniach niewielkiej uległa zmianie Logika, paru zmianom Ontologja, większym przestawieniom i zmianom Etyka. Autor pozostaje wiernym swej metodzie nawiązywania do nowoczesnych systemów i teoryj filozoficznych, by na ich tle tem jaśniejsze rzucić światło na wieczyste zasady filozofji chrześcijańskiej. Zwłaszcza etyka jego podaje w formie podręcznikowej wszystkie zagadnienia moralne współczesne, z któremi wciąż spotyka się katolik dzisiejszy. Dlatego i to nowe wydanie tomików *Summae philosophiae christianae* O. Donata, prof. fil. na Uniwersytecie w Innsbruku, uważamy za bardzo godne polecenia.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Antoni Waśkowski: Z moich wspomnień o Stanisławie Wyspiańskim. Nakładem Tow. św. Michała Archanioła. Miejsce Piastowe, 1934, str. 68.

Miłe, pełne prostoty opowiadanie ciotecznego brata poety przynosi sporo materjału anegdotycznego o wczesnej młodości i późniejszem życiu wielkiego twórcy. Między innemi, szczegół „Chochoł i dzieci" wprowadza więcej prawdopodobieństwa w tak dyskutowany problem Chochoła w twórczości Wyspiańskiego.

T. L.

Z literatury powieściowej.

Giovanni Papini: Skończony człowiek, tłumaczył Edward Boyé Wyd. Płomień. — Zygmunt Nowakowski: Rubikon, wyd. Gebethner. — Marja Kuncewiczowa: Dyliżans warszawski, wyd. Rój. — Jalu Kurek: Grypa szaleje w Naprawie, wyd. Gebethner. — Franciszek Kőrmendi: 7^{15} via Bodenbach, tłumaczył Reszö Schutza, wyd. Gebethner. — Jan Wielowieyski: Bohaterskie loty, wyd. Sp. Wyd. Płomień. — Jarosław Janowski: Dzień jak noc, wyd. Hoesick. — Irena Pannenkowa: Więzy, wyd. św. Wojciech. — Wanda Miłaszewska: Dusza domu, wyd. św. Wojciech.

W bardzo dobrym przekładzie Edwarda Boyégo ukazała się niedawno po polsku książka G. Papiniego *Skończony człowiek*. Książkę tę pisał Papini bardzo dawno temu, długo przed swojem nawróceniem, które jak wiadomo nastąpiło w roku 1919. *Człowiek skończony* jest rodzajem wewnętrznej autobiografji autora. Najlepiej określa ją sam Papini: „Książka ta zawiera nie moją biografję, lecz bieg mych wewnętrznych przeżyć... To nie dzieło sztuki — tylko spowiedź przed samym sobą i przed innymi". Spowiedź ta, jak wszystko co wychodzi z pod pióra wielkiego pisarza, jest namiętna i gwałtowna, w słowach płomiennych przedstawia nam burze i walki, które wstrząsały nienasyconym umysłem i ognistą duszą autora. Mały chłopiec, którego poznajemy na pierwszych kartach książki, już jest trawiony jakimś niepohamowanym głodem wiedzy, głodem prawdy. Już w początku swego życia ma jedno hasło: wszystko. „Wszystko lub nic! Pragnąłem zawsze wszystkiego". To, co jako dziecko, potem jako młodzieniec i jako człowiek dorosły widzi koło siebie — wydaje mu się marne, małe, niewystarczające, niepewne i nieprawdziwe. Czuje, że gdzieś, w czemś, musi być jakaś prawda bezwzględna, jakaś pewność, jakiś absolut i pełnia. Odkrycia tej zagadki bytu i człowieka pragnie za wszelką cenę. Pragnie ponad wszystko na świecie pewności. „Potrzeba mi koniecznie odrobiny pewności, muszę posiadać jakąś prawdę. Nie mogę się obejść bez tego, nie mogę dalej bez tego żyć!... pragnę pewności za jakąkolwiek cenę. Pragnę niewzruszonej, ale przytem jednej tylko wiary... jednej prawdy."

Z tem namiętnem poszukiwaniem prawdy i pewności łączy się u Papiniego od lat najmłodszych, w sposób bardzo ciekawy, potrzeba czynu, potrzeba apostolstwa i prozelityzmu. Sam nie wie gdzie jest prawda, ale czuje, że jest i że trzeba ją ludziom odkryć. Poszukiwania łączą się stale z chęcią reformowania. Naprzód rzuca się Papini w wiedzę. W książkach chce znaleźć słowo zagadki. Przechodzi kolejno studja przyrodnicze, całą literacką twórczość ludzkości, rzuca się w filozofję, w umysłową spekulację, potem kolejno w sztukę, w futuryzm, w dziennikarstwo, w teozofję, w okultyzm. Każdą z tych gałęzi zaczyna uprawiać

z zapałem neofity, w każdej bankrutuje. I szukając zagadki świata ciągle równocześnie innym ją chce narzucać. Już jako młody chłopiec zaczyna pisać encyklopedję „o wszystkiem", książkę, w której ma być zawarta cała mądrość ludzka. Potem chce napisać komentarz do Pisma św., komentarz tak wyczerpujący i jasny, żeby odrazu podkopał i obalił wszystkie religje świata! Potem chce przemienić oblicze świata dziełem sztuki, jakiego jeszcze nie było. Marzy o wielkim dramacie, w którem występowałaby cała ludzkość, zebrana w dniu sądu ostatecznego. Sceną ma być pustynia Sahary, orkiestrą wichry; ma to być wizja przewyższająca wizję Dantejską; przy jej wymiarach mają blednąć tytaniczne postacie Michała Anioła. (Coś z tych potężnych wizyj weszło najwidoczniej potem w upiorne i wspaniałe obrazy, znane nam z „Goga".) Dla tej duszy artysty sztuka jest rzeczą najbardziej fascynującą, ale apostoł, niestrudzony poszukiwacz Boga i prawdy jest jednak silniejszy od estety. W swych poszukiwaniach za prawdą i pewnością wyczuwa Papini jakiś istniejący choć jemu nieznany absolut. Czuje, iż w świecie, a zwłaszcza w jego duszy krąży jakiś dech Boskości, przeczuwa, że tylko na płaszczyźnie Boskości da się rozwiązać tajemnicę świata i człowieka. Sztuka pociąga go dlatego, iż wyczuwa w niej jakieś boskie, nieśmiertelne pierwiastki. Ale i tu czeka go rozczarowanie. Czemżeż jest cała literatura świata? Próchnem, nędzą, martwotą. Dwa tylko duchy wznoszą się nad miernotę i przeciętność: Dante i Goethe. Ale i oni, czyż zmienili oblicze świata, czy wstrząsnęli duszą człowieka? Patrząc na dorobek literacki ludzkości, *sub specie aeternitatis* (bo choć nie wierzył, był to jedyny kąt, pod którym na świat patrzył) widział w nim tylko „błazeństwo słowa", „wodnisty atrament", przymilanie się czytelnikowi, zbędny i niepotrzebny estetyzm. On marzył o innej literaturze: pragnął, aby każde jego słowo wznosiło się w górę jak „gryzący, błogosławiony dym". „O gdybyż każde moje słowo było karabinową kulą świszczącą w powietrznych przestworzach! O gdybyż każde moje zdanie było strumieniem ognia! O gdybyż każdy mój rozdział był wspaniale wzniesioną barykadą!" Ale ostre i ciężkie głazy słów, które rzucał w ludzkość nie miażdżyły jej, nie raniły, nie przebudowały. Nie zmieniały „radykalnie istoty ludzkiej", więc niestrudzony reformator pychą swą sięga wyżej. Nie znalazł dostatecznej i dość skutecznej dla przebudowy świata boskości w sztuce. Zaczyna jej szukać w sobie. Czuje w sobie także jak i dookoła siebie jakąś iskrę nieśmiertelną, czuje w sobie jakieś skrzydła, które mogłyby go do Boga dźwignąć. I w swej obłąkańczej pysze, sam chce Boga stworzyć, sam chce nim zostać. „Nie wierzyłem w Boga. Tem niemniej czułem się czasem drugim Chrystusem". „Bóg nie istniał dla mnie, chciałem go stworzyć"! Chce zdobyć tajemnice ezoteryczne, zdobyć Bożą wszechmoc i wszechwiedzę. Gdy i to zawodzi chce szukać tajemnicy Bożej w samotności pu-

styni. Z tych rekolekcyj pychy i obłędu wraca złamany, wraca „człowiekiem skończonym". Tym wyrazem, tem bankructwem ideowem chciał najwidoczniej zamknąć Papini swoją tragiczną spowiedź. Ale jakiś tajemny pierwiastek buntuje się w nim. Jak zawsze szczery ze sobą, przyznaje to. Cóż dla niego znaczy „budowa książki"? Książka jest dla niego prawdą, nie estetycznem wypracowaniem. Zgłębiwszy całą ludzką wiedzę i mądrość, całe piękno i sztukę świata, przepaliwszy swoją duszę wszystkiemi ogniami i pragnieniami, ma odwagę zapytać. „A jeżeli ja jeszcze wogóle nie zacząłem?"

Na ostatniej karcie dramat jest równie krwawiący, równie otwarty, jak na pierwszej. Odpowiedź na swoje pytania miał otrzymać Papini znacznie później, miał ją otrzymać w cichej, tajemniczej, nieznanej nam chwili Łaski. Nawrócenie Papiniego jest ostatnim i najwymowniejszym rozdziałem tej tragicznej i obłąkańczej książki. I tylko w świetle tego nawrócenia oglądana — a inaczej oglądana być nie może — nabiera ona pełnego i patetycznego wyrazu, w tem świetle staje się niezmiernie ciekawym i cennym dokumentem ludzkiej duszy.

Bardzo wielu nawróconych pisarzy zostawiło nam opisy swoich nawróceń. Ale zawsze historje te pisane były *post factum*. Opisy walk, trudności, pokus — robione już były pod pewnym kątem, oglądane z przystani pewności. Papini nie opowiedział nam nigdzie historji swego nawrócenia. Jego dramatyczności i męki domyśleć się tylko możemy z drgającego tak bardzo osobistą nutą, żywotu św. Augustyna. Natomiast w *Człowieku skończonym* dał nam świadectwo żywe, autentyczne, duszy, która prawdy szuka, jeszcze jej nie znalazłszy; daje nam na gorąco schwytany obraz godziny przed świtem, godziny pełnej jeszcze trwogi i mroku nocy, ale pozwalającej już domyślać się chwały słonecznego dnia!... Bardzo trafnie powiada Edward Boyé w przedmowie: „Nie wiem czy można mówić o nawróceniu, skoro w duszy artysty żyła zawsze podświadomie wola wiary, skojarzona ze straszną tęsknotą za idealną czystością wewnętrzną". I to właśnie uderza nas najbardziej, najbardziej wzrusza w tej książce. Wola wiary, pragnienie czystości, pragnienie doskonałości, jakiś straszny głód Boga, jakaś przedewszystkiem wielka powaga wewnętrzna, zupełny brak sceptycyzmu. Papiniego nie zadawala żaden pozór, nie łudzi żadne mamidło; zawsze wie, że nie o to chodzi. Nie chce zadowolnić się kompromisem życiowym, żadną jego radością, żadną przyjemnością. Wszystko jest mu dymem i pianą wobec jednego wielkiego pytania: poco człowiek żyje, w imię czego; do czego dąży. Czuje z całą pewnością niewystarczalność człowieka i wszystkiego co ludzkie. I rozumiemy, że człowiek, który nie znał kompromisu, który „w walkę zaklął całego siebie" musiał wkońcu zwyciężyć, rozumiemy, że pod powłoką tej szatańskiej, bluźnierczej pychy

istniał głód pokory, tej pokory, która chce uklęknąć jedynie przed Najwyższym i Nieśmiertelnym!

Jeżeli o tej wspaniałej książce mówię pod kątem jej treści wewnętrznej, to stosuję się w tem do życzeń autora, który gardził estetyzmem i literackością, który nie chciał stworzyć „dzieła sztuki". Że je stworzył jest wynikiem jego olbrzymiego talentu. Papini, jak wiele bardzo wybitnych indywidualności, ma wrogów i wielbicieli. Przyznaję otwarcie, że należę do wielbicieli. Wyczuwam jakieś wielkie i biorące piękno w tych słowach gorących, namiętnych, nieraz brutalnych, nieraz rażących, ale zawsze bezpośrednich, zawsze pełnych, w słowach „niosących się jak huragan po kartach papieru".

Rubikon Zygmunta Nowakowskiego jest dalszym ciągiem *Przylądka dobrej nadziei.* Opowiada dzieje gimnazjalne chłopca, którego w Przylądku znaliśmy jeszcze małem dzieckiem. Zbytecznem jest rozwodzić się szeroko nad wartością literacką tej książki. *Rubikon,* jak każda książka Nowakowskiego, jest świetny. Bo Nowakowski choć ma także swoich niechętnych, niechętnych, których zdobywa sobie najczęściej złośliwą ciętością swych feljetonów — jest niewątpliwie pisarzem świetnym, pisarzem dużej klasy. Książki jego klasyfikują się przedewszystkiem doskonałym, jędrnym, wyrazistym językiem. Styl Nowakowskiego odznacza się lapidarnością i dosadnością krótkich, rąbanych a znakomicie się wiążących zdań. Ten urywany, błyskawiczny styl jest jakby koniecznem narzędziem właściwego Nowakowskiemu *tour d'esprit.* Umysłowość Nowakowskiego odznaczająca się dużą inteligencją, ma jakiś chwyt trzeźwy, realny a przytem dowcipny, cięty i złośliwy, skłonny do oglądania każdego człowieka, każdej sytuacji od strony śmiesznej i niekorzystnej. Nowakowski ma jakąś specjalną zdolność przebijania powierzchni oficjalnej, uświęconej, tradycyjnej i dostawania się do tych pokładów duszy, gdzie zło graniczy z dobrem, wielkość z małością. Z tego tajemnego zazębiania zła i dobra, wielkości i małości chwyta zawsze nitkę śmieszności i nią, wyłącznie nią, rysunek swój szkicuje. Ta mała, śmieszna prawda o człowieku jest także prawdą, ale ponieważ nie jest prawdą całkowitą, staje się nieraz prawdą wykoszlawioną i niesprawiedliwą. Te refleksje przychodzą przy czytaniu *Rubikonu,* bo w tej książce, bardziej jak w innych, wychodzi najaw to „demaskowanie" człowieka, bo mniej jak w innych łagodzone jest dyskretnym zawsze, ale wyraźnym sentymentem, tym sentymentem, który np. taką istotną poezją owiewał życie Edmunda Sulimy. I dlatego *Rubikon* choć jest świetnie pisany, choć dużo w nim z humorem i prawdą oddanych scen z życia szkolnego, choć nie brak mu szeroko podmalowanego tła historyczno-obyczajowego — robi przedewszystkiem wrażenie książki dziwnie przykrej, cierpkiej i złośliwej. Bohater *Rubikonu* jest

wprost antypatyczny. Zły i złośliwy, nienawidzi wszystko i wszystkich, nie chce i nie pragnie niczego. Źle czuje się i w szkole i w rodzinie i wśród kolegów, źle nawet „na labie", wśród zabawy i rozrywki. Żadną stroną umysłowości, żadną stroną duszy nie przylega do otaczającego go świata, jest z nim do głębi skłócony. Niema w nim ani cienia młodego entuzjazmu, żadnego zapału, żadnej struny drgającej jakiemś uczuciem. Tłumaczymy sobie coprawda, że autor opisuje nam niewdzięczny okres życia ludzkiego, epokę *Sturm und Drang periode*, epokę w której zwykle człowiek buntuje się „z urzędu". Ale w tym chłopcu niema nic z entuzjastycznej burzy młodości, nic z anarchicznych a pełnych zapału porywów, jest tylko jakiś starczy cynizm, dojrzałe a przykre rozgoryczenie. Zresztą całe otoczenie bohatera odmalowane jest tą samą, żółcią rozprowadzaną, farbą. Nauczyciele, całe ciało pedagogiczne, to zbiór tępych, złośliwych nic nierozumiejących matołów. Nawet ci „dobrzy" są jeszcze źli, a zwłaszcza chwiejni, bladzi i niedołężni. Specjalną jakąś niechęć żywi autor do wszystkiego co dotyczy Kościoła, kleru i wogóle religji. Nietylko katecheci są najgorszymi z pośród profesorów tumanami i najwstrętniejszemi figurami, ale nawet ci z kolegów, którzy są religijni i pobożni, to typy podłych i lichych lizusów. Tę nutę apriorystycznej niechęci do wszystkiego, co religją, łagodzi jedynie doskonała i wzruszająca historja spowiedzi bohatera, a mądry i łagodny ksiądz, jest jedynym, który umie znaleźć klucz do zbuntowanej duszy chłopca. *Rubikon* mimo swej przesady, mimo niesprawiedliwości względem opisywanych ludzi i stosunków, ma jednak akcenty tak głębokiej i bolesnej prawdy, że niesposób przejść koło niego obojętnie. Czytając historję tego zawziętego i złośliwego chłopaka musimy sobie zadać pytanie, czy dokoła nas nie przechodzą ciągle tacy mali cierpiący ludzie w uczniowskich czapkach?

Może naszą trzeźwością, naszą przez życie urobioną kompromisowością ranimy i razimy ich wrażliwość, ich absurdalnie doskonałą, dziecinną logikę, ich namaszczoną młodą powagę? Może nasza tolerancyjność jest nie do zniesienia dla ich transcendentalnego ideału doskonałości? może nasza „sztuka życia" wypacza się w ich oczach w podłą i śmieszną karykaturę? Może ta nasza wyrozumiałość, tak szeroka dla nas i dla równych nam, ustaje wobec dzieci? Tak łatwo, tak swobodnie mówimy „chłopcze zmień się", uważając, że łatwe i proste powinno być dla dziecka to, co dla nas jest wysiłkiem nadludzkim! Słyszałam niedawno jak mała dziewczynka na jakiś zakaz matki odpowiedziała rozpaczliwym okrzykiem: „mamo dzieci są też ludzie!" Ten właśnie okrzyk wydobywa się z kart *Rubikonu*. Woła on, że dzieci są też ludźmi, ludźmi cierpiącymi, nieraz zrozpaczonymi, ale mówi też swym ostatnim okrzykiem „mamo", że ci cierpiący ludkowie, od których tak wiele wymagamy, są jednak także słabemi,

biednemi dziećmi! Ale ta pełna niedobrej goryczy i zapiekłego bólu książka, jest nietylko doniosłą książką o nieznośnem i złem, ale także jakżeż biednem dziecku-człowieku — jest także, jak każda, „licząca się" książka, książką o człowieku. Dramat młodego chłopca jest tak nieprzypadkowy, tak istotny, że właściwie jest czysto ludzkim dramatem, jest dramatem człowieka, dla którego cały świat zjeżył się nieżyczliwością, który na zawsze, z całem otoczeniem skłócony, trwa w tej najboleśniejszej ze samotności: w samotności niechęci i goryczy.

Kto wziąłby do ręki jedną z pierwszych i jedną z ostatnich książek Marji Kuncewiczowej i nie wiedział, że pisała je ta sama osoba, mógłby łatwo nie domyśleć się tego. Rzeczywiście przepaść cała dzieli styl takiego np. *Przymierza z dzieckiem* i styl świeżo wydanego *Dyliżansu Warszawskiego*. Różnica ta jest całkowicie na korzyść obecnej Kuncewiczowej. Wyszukana sztuczność, barokowy metaforyzm kazały się obawiać, że Kuncewiczowa wpadnie we wprost nieznośną manierę. Stało się przeciwnie. Styl jej doskonali się z każdą książką. Jak wino, które z początku „robi", bo jest za młode, a potem klaruje się w płyn przejrzysto-złoty i szlachetny — tak i styl Kuncewiczowej klarował się i wyrabiał, aż nabrał dziś prostej szlachetności stylów najlepszych. Ten śliczny język, który upraszczając się, nie stracił nic z barwności i soczystości, a ze swej barokowej epoki zachował tylko jakąś miłą dalekość, jakąś błękitność pełną poezji, jest może głównym wdziękiem jej ostatniej książki. Książka ta *Dyliżans Warszawski* jest zbiorem feljetonów. Możnaby powiedzieć, że krótkie te obrazki są jako rodzaj *feuilleton pur*. Są o niczem i o wszystkiem. Mają wdzięk i lekkość błahostki, a wagę i perspektywę dzieła sztuki. Opisują wrażenia z życia Warszawy, z życia jej ulicy, teatru, kina, z życia domów, ogrodów, kawiarń. Autorka chodzi po mieście i widzi rzeczy, których nie widzą inni, a raczej z tych rzeczy, które widzą wszyscy wyczytuje mnóstwo historji, mnóstwo znaczeń, mnóstwo „sensów", tak jak uczony matematyk wyczytuje pasjonujące prawdy z kabalistycznych równań algebry, które dla profanów są tylko bezsensownem zestawieniem liter. Widzi ludzi jadących autobusami, panie czeszące się u fryzjera, dzieci ciągnące blaszane pajace, publiczność siedzącą w teatrze i to wszystko ma dla niej wielkie znaczenie. Patrząc na tak znane nam ruchy ludzi, oddających płaszcze w garderobie, wysiadających na przystankach, zastawiających święcone — duma nad ich losami, duma nad ich duszą, duma nad temi życiami toczącemi się po szarych monotonnych koleinach. Gdzie jadą i spieszą ci ludzie, jakim kosztem zdobył mężczyzna sobolowy kołnierz, który właśnie zarzuca na ramiona żony, do kogo telefonuje dama z paznokciami jeszcze mokremi od lakieru? Jaki sens tych poruszeń, tego pośpiechu, tej wrzawy, a także tej sen-

ności, tej rytualności ludzkich ruchów i żyć? Czego szukają ci ludzie w teatrze i kinie, czego przed klatką tygrysa, czego spodziewają się po dziecku, na które oczekują, czego po książce, posiedzeniu, zebraniu? Pod barwnym kalejdoskopem życia utrwalonego na kliszy przebija jakieś zdjęcie inne, nieuchwytne i zamazane. Pod życiem ulicy warszawskiej tętni głęboki, tajemny a istotny nurt życia, wyłania się jakaś istotna prawda o człowieku, o jego samotności, doli i niedoli. Film przesuwa się szybko, czasami na mgnienie oka zatrzymuje się i pozwala dostrzec, pozwala domyśleć się wartości trwałych, niezmiennych, wartości, których niedostrzega zaśpieszony tłum, tłum który sennym a gorączkowym rytmem snuje się po powierzchni życia. Czasami w obliczu piękna ziemi zatrzymuje się człowiek, by zadumać się o wielkości Boga, częściej jednak wciąga tego Boga i jego aniołów w swe drobne, nieraz mało budujące sprawy! Wśród ludzi żywych, ludzi ulicy, snują się też ich koledzy z książek: snuje się Dawid Copperfield, snują się „szczawiowe, barchanowe ciotki" te wszystkie postacie fikcyjne i realne, postacie na wzór tych ludzi zrobione, a teraz tychże samych ludzi na swój kształt urabiające...

Głęboka zaduma, rozgryzanie każdego faktu, każdego zjawiska do jego jądra, doszukiwanie się we wszystkiem smaku istotnego, są obok piękności języka głównym urokiem tej książki. Trudno oczywiście porównywać zbiór artykułów z powieścią, ale nawet tu uderzają kompozycyjne zdolności autorki. Tak jak *Dwa księżyce* komponowały szereg nowel w dobrze zbudowaną powieść, tak i tu luźne feljetony komponują się w całość, w książkę jednolitą i zwartą, w książkę pełną wdzięku i poezji.

Nagrodę młodych udzielaną rok rocznie poniżej lat 30 otrzymał w tym roku Jalu Kurek za książkę *Grypa szaleje w Naprawie*. Książka ta ma wszelkie cechy młodości, ma zalety młodego talentu ale i niedociągnięcia i niedowarzenia młodości. Możnaby o niej powiedzieć, że jest dobrze pisana, a źle napisana. Opisuje rozpaczliwą nędzę wsi podhalańskiej, Naprawy — i posępne, beznadziejne życie małego miasteczka Jordanowa. Jest to jedna z dość licznych dziś książek nie posiadająca centralnego bohatera, tylko wiele równorzędnych postaci. Przed oczyma czytelnika przesuwa się cały szereg podhalańskich chłopów, młoda nauczycielka w Naprawie, nauczyciel seminarjalny w Jordanowie, emerytowany urzędnik, prostytutki i t. d. W tych postaciach ma się wcielać cała beznadziejna nuda Jordanowa i rozpaczliwa nędza górskiej, nieurodzajnej wsi. Technika powieściowa jest, jak trafnie określił Emil Breiter „pointylistyczna", to jest, że opowiadanie nie toczy się normalnym biegiem narracji, ale składa się z szeregu scen i obrazów dość luźnie ze sobą związanych. Taka technika jest bardzo trudna. Nato by luźne frag-

menty zlały się w perspektywie w całość jednolitą, musi tę jednolitość wizji mieć autor. Musi mieć wielki talent kompozycyjny. Ten talent Jalu Kurek posiada niewątpliwie. Ale jest on jeszcze jakby niewydoskonalony. Między fragmentami widnieją szpary i luki. Natomiast poszczególne sceny, jak śmierć Franka, dancing w Rabce i wiele innych są naprawdę doskonałe w swej plastyczności i sugestywności. Na uwagę przedewszystkiem zasługują opisy przyrody. Niektóre, jak odpowiadające sobie w nocy chóry dziewczęce i chłopięce, jak wracający kilkakrotnie opis nachodzącej na Naprawę nocy są naprawdę pełne poezji. Najbardziej może blado wypadają ludzie. Obok dość mało zróżniczkowanych chłopów występują tak bardzo już przez powieść zużyte postacie jak postać ślepego skrzypka i postacie szlachetnych prostytutek! Wszyscy zresztą ludzie robią wrażenie raczej jakichś biernych i bezwolnych kukieł, niż ludzi żywych. Mogłaby istnieć jakaś ponura piękność w takiem przedstawianiu ludzi-marjonetek, ale tu ta postawa kłóci się z przebijającą co chwilę nutą prawie że reportażu, z głosem społecznika, wołającego o pomoc o wyrównanie krzywd.

Gdyby ostatecznie autor ukazał nam jedynie tragiczną sytuację Naprawy, wsi biednej wygłodzonej, moglibyśmy się solidaryzować z nim w wołaniu o pomoc dla tej wsi, moglibyśmy uwierzyć, że tam, w tem właśnie miejscu, wyjątkowa nędza i głód doprowadziły do takiego beznadziejnego stanu rzeczy. Ale w tem samem ponurem i tragicznem świetle jest wystawione życie nauczyciela seminaryjnego i nauczycielki ludowej i emerytowanego urzędnika i całej małomiasteczkowej inteligencji Jordanowa. Jeżeli głód był u dna nędzy Naprawskiej, to co leży u dna tej niezrozumiałej tragiczności żyć tamtych ludzi? A więc nie wyjątkowe okoliczności, którym można zaradzić, są źródłem tego tragizmu życia, ale jakiś fatalizm, jakieś nieuniknione przeznaczenie? Poco więc oskarżać i wołać o pomoc? Pod koniec książki zjawia się na jej kartach jakaś Maeterlinckowska śmierć-widmo i w swym nieubłaganym pochodzie kosi wszystkich. Umierają biedni i bogaci, głodni i syci, chłopi i inteligenci, wogóle wszyscy. Grypa? Tyfus głodowy? Nie, raczej jakaś Ananke. Na tyfus głodowy można ostatecznie zaradzić, można z nim walczyć, nie można walczyć z fatum. Tu leży jakieś nieporozumienie, jakiś fałsz w założeniu książki. Taki sam, tym razem już artystyczny dysonans, leży w traktowaniu tego upiornego motywu śmierci. Powieść z początku ściśle realistyczna przechodzi na płaszczyznę fantastyczną, prawie symboliczną, wpada w nastrój wizyjności i upiorności à la Choromański. Te dwa motywy stanowczo artystycznie nie są skoordynowane. Te wszystkie błędy, przesady, braki perspektywy, braki skoordynowania są typowemi błędami młodości. Może też na karb tej młodości i jej braku umiaru można złożyć przykrą realistyczność opisów. Nie oszczę-

dził nam autor ani drastycznych opisów zwierzęcego erotyzmu wsi Naprawy, ani najbardziej odrażających szczegółów fizjologicznych. Zdawaćby się mogło, że sadził się na brutalność, upatrując w niej cechy śmiałości i prawdy! Ale choć mówiąc o tej książce musi się mówić o jej dużych i tak rażących błędach, nie można nie widzieć w niej i cech sympatycznych. Temi są głównie, jakaś bezpośredniość, szczerość, jakaś szlachetna pasja, głębokie zrozumienie ludzkiej biedy, a przedewszystkiem niewątpliwy i silny choć mocno niedojrzały jeszcze talent.

Sukces jest rzeczą niebezpieczną. Wielkie powodzenie pierwszej książki zachęca młodych autorów do zbyt pośpiesznego pisania, do zbytniego zadufania w przereklamowanym talencie. Obawiam się, że taka właśnie katastrofa sukcesu zdarzyć się może młodemu węgierskiemu pisarzowi, Franciszkowi Körmendi, którego pierwsza książka *Przygoda w Budapeszcie,* zdobyła sobie wszechświatowy rozgłos. Do tego przypuszczenia skłania, o wiele niższa klasa, jego świeżo wydanej powieści *7'15 via Bodenbach.* Körmendi ma niewątpliwie dużą zgrabność w pisaniu powieści. Ta zgrabność w ostatniej jego książce jeszcze się wydoskonaliła. *Via Bodenbach* jest zbudowana ściśle, pisana żywo, autor umie operować efektami, umie trzymać czytelnika w napięciu, umie zgrabnie manewrować tajemniczością. Umie także podchwytywać drobne charakterystyczne rysy ludzkie, oddawać nastroje (nastrój kolejowy jest bardzo prawdziwy), umie notować żywe dialogi i charakterystyczne scenki. Ale i w tej, niewątpliwie bardzo dobrej, technice powieściowej są błędy. Autor przeliczył się w swojej zgrabności. Opowiadanie prowadzone jest w trzeciej osobie, ale tak gęsto przeplatane monologami wewnętrznemi bohatera, młodego inżyniera-wynalazcy Jerzego Kovacsa, że wkońcu czytelnik nie może się połapać kto mówi, bohater czy autor, nie może się połapać kto jest „ja", a kto jest „on". Ten system pozwala coprawda autorowi wpleść w kilkugodzinną podróż kolejową swego bohatera, całe jego uprzednie życie, które poznajemy retrospektywnie, ale jednak z pewnem znużeniem. Dookoła tej podróży opleciona anegdota polega na tem, że inżynier Kovacs poznaje w kolei starszego pana, pana Szabo i jego trzynastoletniego synka, oraz młodą ładną dziewczynę, która podaje się za malarkę Alice, a okazuje się potem pospolitą awanturnicą, Anną Morek. Wiadomości, które zebrał młody inżynier z obserwacji własnych i z rozmów, kompletuje potem restaurator Dworzak, na stacji w Bodenbach. W kilkugodzinnej podróży przesunęło się przed oczyma Kovacsa kilka zgrabnie z szczegółów odtworzonych żyć. Anegdota powieściowa, zapewne dla większej poczytności urozmaicona jest tu i ówdzie szczerze pornograficznemi wstawkami. Nigdy dosyć podkreślać nie wystarczy, że ten właśnie rodzaj ozdobnych scenek odgrywających w książce rolę kuszącej

i drażniącej opaski z napisem: „dla dorosłych", jest istotą pornografji. Wstawki Körmendiego nie mają napewno brutalności i ostrości opisów omawianej uprzednio książki Jalu Kurka, ale nie mają też usprawiedliwienia jego pewnej szczerości, bezpośredniości, gwałtowności, jego rzetelnego talentu i szczerej pasji pisarskiej; mają natomiast to, czego nie mają tamte: posmak pornografji. Tu w ciągle dyskutowanej kwestji moralności i niemoralności książek leży trudna do uchwycenia, a tak bardzo istotna różnica: książka Jalu Kurka jest brutalna, książka Körmendiego, o tyle dyskretniejsza, jest brudna.

Oprócz niewątpliwie zgrabnie zaaranżowanej, z niewątpliwym talentem pisarskim skreślonej anegdoty, nie ma nam Körmendi w swej nowej książce nic do powiedzenia. I znowu na tej tak przeciętnej i nieciekawej książce można stwierdzić ciekawe, choć literacko bardzo zrozumiałe zjawisko. *7'15 via Bodenbach* jest niewątpliwie lepiej zbudowaną, nawet lepiej napisaną książką jak *Przygoda w Budapeszcie*, a jednak jest od tamtej o tyle niższa, o tyle mniej warta. Niema w niej już tych szerokich horyzontów, tych perspektyw myślowych, niema przedewszystkiem tego, co w tamtej, rzetelnego wysiłku twórczego. Bez wahań, bez trudności, ale też z jakąś płytkością toczy się to opowiadanie tak banalne w swej pseudo - oryginalności. Cały ton, cały poziom tej książki, każą nam się obawiać, że młody autor pójdzie drogą najmniejszego oporu, a najrentowniejszego sukcesu!...

Bohaterskie loty Jana Wielowieyskiego są książką fascynującą. Autor w krótkich, pełnych żywości i prostoty opowiadaniach zdaje sprawę z całego szeregu — jak się to dziś mówi w sportowym żargonie — „wyczynów lotniczych". A więc opisuje lot braci Adamowiczów, lot kapitana Skarżyńskiego, przelot nad Mount Ewerestem, przygody „latającej rodziny", ekspedycje profesora Picarda, dziwne koleje życiowe lotniczki Marysy Hilsz, dalekie raidy „dziewczyny z nieba" Amy Johnson, transatlantycki lot jej męża, Jamesa Molissona — i cały szereg innych dziwnych, wzruszających i bohaterskich historyj o uskrzydlonych ludziach. Naprawdę, że ze stale rosnącym podziwem i wzruszeniem czyta się te rzeczowe, proste opowieści, dziwniejsze i fantastyczniejsze niż historje o latającym dywanie i złotym ptaku! Czyta się je z podziwem dla twórczej potęgi człowieka, który zwyciężył czas i przestrzeń, który przekreślił swym lotem oceany, spojrzał z góry w niebosiężne szczyty Himalajów, wdarł się w podgwiezdne próżnie, spojrzał w twarz czarnemu, z atmosfery odartemu firmamentowi, rzucał się w pustkę dzielącą niebo i ziemię! Ale jeszcze większy jak dla wiedzy człowieka, ma się podziw dla jego charakteru, dla jego bohaterstwa. Nie pomogłyby śmigi i turbiny, aparaty tlenowe i jedwabie spadochronów, gdyby człowiek, aparatów, zdobytych potęgą swej myśli, nie uskrzydlił potęgą swej woli,

gdyby na szalę mierzącą jego moc nie rzucał stale i szaleńczo ceny swego życia. Człowiek zawieszony w pustce morza i nieba, człowiek kołysany wzburzonemi falami na łupinie rozbitego aparatu, człowiek walczący z wichrem i burzą, szybujący nad beznadziejnością pustyni, grozą tajgi, zdradliwością w mgły spowitych szczytów Atlasu — człowiek zwyciężający trwogę śmierci i samotności, ból zimna, udrękę głodu — to jest prawdziwy zwycięzca materji. Jego nadludzki wysiłek, hart woli, nieugiętość charakteru to jest motor napędowy postępu.

Jan Wielowieyski opisując człowieka zwyciężającego morze, pustynię, czas, trwogę i przestrzeń, zwyciężającego przedewszystkiem siebie — nie robi literatury, nie ma literackich ambicyj i w tem własnie leży literacki smak i powab jego książki. W obliczu człowieka patrzącego nieustannie śmierci w oczy, niema miejsca na arabeski słów, na zawiłe i subtelne zagadnienia estetyczne, na grandilokwencję i stylizację. Rzetelnie i rzeczowo opisywane fakty same mówią za siebie, komentarzy nie potrzebują. Sam czytelnik wyczytuje na marginesie tej książki o bohaterstwie, wielką glossę, glossę mówiącą faktami, że cały postęp ludzkości, nawet postęp techniczny, odbywa się wyłącznie na płaszczyźnie moralnej, na płaszczyźnie ducha.

Jarosław Janowski jest młodym, zdolnym krytykiem literackim. Jego artykuły, sprawozdania i recenzje, drukowane przeważnie w *Czasie*, świadczą o dużej kulturze, szerokich zainteresowaniach i talencie pisarskim autora. Ten młody, zdolny krytyk, pokusił się o szczęście na polu nowelistyki. Jego *Dzień jak noc* jest zbiorem nowel. Mój Boże! Któż nowel nie pisał za młodu? Każdego, kto pióro trzymał w ręku kusi zawsze, żeby wypowiedzieć się już nie w suchem, rozsądnem słowie artykułu, ale w żywem, bezpośredniem słowie powieści czy noweli. Te próby są oczywiście niebezpieczne. Talent publicystyczny, czy krytyczny, jest zupełnie różny od talentu powieściowego, w niektórych punktach jest mu nawet przeciwny. W artykule chodzi, aby z wielką, jasnością i precyzją wyrazić swoją myśl, aby co do niej nie zostawić wątpliwości, aby ją czytelnikowi narzucić. Artykuł musi być refleksyjny, przemyślany; wszystkie odczucia, wszystkie elementy podświadome muszą w nim być rozwiązane, wydobyte, rozwiązane myślowo. Technika twórczości powieściowej jest nieco inna. Zbytnia refleksyjność jest tu raczej zawadą. Autor musi się bardziej usunąć, musi więcej poddać się podświadomemu dyktatowi swego instynktu. Im silniejszy jest ten imperatyw twórczy, te jakieś pobudki napół uświadomione — tem zazwyczaj żywiej i plastyczniej wychodzi powieść. Jej osoby muszą żyć życiem własnem, muszą mieć pewną swobodę i niezależność, pewną autonomję. Dlatego nieraz zdolni powieściopisarze pisują artykuły mętne i niezrozumiałe, a dobrzy pisarze krytyczni obarczają bo-

haterów swych powieści zbytnią refleksyjnością, przez co postacie te stają się trochę papierowe i nieprzekonywujące. Coś z tej różnicy uzdolnień występuje w nowelach J. Janowskiego. Są jakby za mało irracjonalne, za bardzo refleksyjne, zanadto chcą wypowiadać autora. Oprócz tego, mam wrażenie, że młody krytyk popełnił jeszcze w nich inny typowy błąd publicysty: za wcześnie je na świat wypuścił. Nie dał im czasu dojrzeć, bo mimo wszystkich zastrzeżeń, są w tych nowelach rzeczy dobre. Weźmy dla przykładu nowelę *Sensacja w Poleksie.* Pomysł historji o człowieku, który namówił swego kolegę do kradzieży, a potem ręce od tego umył i pierwszy na niego kamieniem rzucił, jest bardzo dobry. Scena przedstawiająca pierwsze pokusy do nieuczciwości jest żywa i doskonała; psychologja nieuczciwego kasjera przekonywująca i trafna. W pomyśle i w scenach jest materjał na bardzo dobrą nowelę. Ale nowela ta musiałaby być bardziej skondensowana. Nowela ma swoje specjalne wymagania, musi mieć jakąś specjalną treściwość, musi być jakimś fragmentem wyłamanym z życia. Musi zostawić pewne rzeczy domyślności czytelnika. Opowiadanie Janowskiego trochę się rozpływa. Jest raczej opowiedzianą anegdotą niż nowelą. Równie dobre w pomyśle i równie niedojrzałe w wykonaniu są nowele: *Pogromca, W cichym dworku.* O ile większość z tych nowel, dobrych w założeniu cierpi na brak oszlifowania i skondensowania — to nowela pierwsza *Dzień jak noc* wymagałaby znowu rozbudowy. Jest to raczej szkic powieściowy. Interes jej polega na zestawieniu kultur i zwyczajów amerykańskich i europejskich. Zbytnia krótkość nie pozwala się tym motywom dostatecznie rozwinąć i uwypuklić. Mimo więc, że w tych nowelach krytyk i publicysta zbytnio jeszcze tłumi powieściopisarza, widać jednak poprzez różnorodność i bogactwo pomysłów, poprzez żywość i wyrazistość poszczególnych scen i poszczególnych sylwetek, że w przyszłości te dwie gałęzie talentu Jarosława Janowskiego mogą się od siebie uniezależnić, że obok Janowskiego krytyka, może się wyrobić Janowski powieściopisarz czy nowelista, zupełnie dobrej klasy.

Kolekcja powieściowa św. Wojciecha należy pod względem szaty zewnętrznej do najładniejszych kolekcyj wydawniczych w Polsce. Zgrabny format, staranny druk, estetyczne okładki tworzą całość zachęcającą. Niestety, wartość literacka dzieł niezawsze odpowiada tej ponętnej szacie zewnętrznej. Do tych powieści, które rzeczywiście niewiadomo dlaczego zostały napisane i dlaczego wydane, należy powieść Ireny Pannenkowej *Więzy.* Jest to powieść z czasów wojny, ale rozgrywa się poza frontem. Ma oddać nastroje kraju podczas wojny, odmalować polityczne orjentacje. Potrąca o legjony, o wojnę ruską, o poczynania komitetu genewskiego. Ale nie mówi nam pod tym względem nic ciekawego ani nic nowego. Nie „bierze" nas też

ani fabułą, ani charakterystyką postaci. Rozpływa się w najzwyklejszych komunałach. Pisana jest przytem dziwnie nieporadnie, bez żadnej znajomości techniki powieściowej. Robi raczej wrażenie podręcznika szkolnego o czasach wojennych niż powieści. Autorka tej zewszechmiar nieudanej powieści jest znaną historyczką i publicystką, i wiele cennych prac wyszło z pod jej pióra. Że taka osoba napisała taką powieść, jest jednym dowodem więcej jak trudno na samokrytycyzm zdobywają się ludzie nawet najinteligentniejsi!

Także ostatnia książka Wandy Miłaszewskiej *Dusza domu* wydana jest w ładnej szacie, przypominającej angielskie Albatrosy. Ale tym razem niema dysharmonji między „formą a treścią". Krótko mówiąc książka Miłaszewskiej jest naprawdę ładna, ukazuje nam Miłaszewską w jej najlepszej „formie". *Dusza domu* „Imionnik" jak mówi podtytuł, to zbiór krótkich opowiadań i sylwetek. W przedmowie zaznacza autorka: „Postacie, które w nim występują nie są wytworami fantazji, ale żywymi ludźmi, chociaż wielu z nich kryje mogiła. Niektórych znałam zbliska, niektórych tylko z opowiadań bliskich mi osób. Poza nielicznemi wyjątkami, trzymałam się prawdy tak dalece, że „bohaterom" zostawiłam ich prawdziwe imiona i nazwiska". W dalszym ciągu przedmowy mówi Miłaszewska, że postacie te, tu podane jakby na surowo, wchodziły w różnych transpozycjach i warjantach w szereg jej powieści. Gdy w świetle tych objaśnień przejdziemy myślą całą twórczość Miłaszewskiej zrozumiemy lepiej rodzaj jej rzetelnego, choć nierównego, talentu. Zobaczymy, że talent ten rozkwita, nabiera świeżości i wdzięku, gdy autorka jest jakby wczepiona w rzeczywistość, w prawdę życia. Miłaszewska umie patrzeć na życie i ludzi; ludzie prawdziwi, zdarzenia prawdziwe same komponują się w dobre i pełne wdzięku całości pod jej żywem piórem. Umie z ludzi i zdarzeń wysnuwać melodje rzewne, niepozbawione poezji, umie poprzez prawdę życia ukazywać nawet ładne i dalekie perspektywy. Natomiast brakiem jej talentu jest czysto powieściowa fikcja. Widzieliśmy to na przykro przesadzonej fabule *Trzech sióstr*, o robiącej wrażenie fabuły powieści sensacyjnej; w *Duszy domu* obserwujemy to na nowelach, które wyglądają dokomponowane przez autorkę jak *Balbina* i *Ciocia Mecia*. Tam natomiast gdzie autorka tkwi w prawdzie życia, jak w *Agaciulce, Łabieńcu, Huterskim* daje rzeczy naprawdę śliczne. Tę samą nutę prawdy i piękna widzieliśmy już w *Czarnej Hańczy*. Te uwagi nie mają za cel obniżanie wartości talentu Miłaszewskiej, stwierdzają tylko jego właściwości. W literaturze każdy „gatunek" jest dobry, o ile naprawdę... dobry! Równie wielkim może być pisarz opowiadający baśnie, układający w piękne wzory majaki swej fantazji, jak autor umiejący życie obserwować i oddawać. Nawet w chwili obecnej, ten rodzaj talentu, talentu „realistycznego", ma wyższy kurs na literackiej

giełdzie. W takiem np. arcydziele jak *Noce i dnie* Dąbrowskiej niema ani jednej postaci, niema prawie szczegółu „wymyślonego". Nie chodzi bowiem o to, żeby wymyślać, ale żeby dobrze pisać. Pisać zaś Miłaszewska umie. I gdy bierze na warsztat tematy odpowiednie swemu talentowi, gdy idzie po linji jego możliwości, tworzy rzeczy naprawdę dobre, jak właśnie *Dusza domu.*

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Notatki bibljograficzne.

Kpt. Dr. Stefan Pomarański: W awangardzie. Ze wspomnień Piłsudczyka. Wyd. 2. Warszawa 1934. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Str. 116 z ilustr. (1.50 zł.)

Książka niniejsza, której pierwsze wydanie ukazało się jeszcze w r. 1915, jest jednem z najbardziej bezpośrednich źródeł i przyczynków do dziejów i walk I-ej Brygady, ponieważ autor, b. oficer tejże, przedstawia tu przejścia szlakiem „Kadrówki", od wymarszu z Krakowa, a potem szczegółowiej te wypadki, w których sam brał udział. Życiorysy dwóch wybitnych, poległych oficerów legjonowych, oraz imienny spis nazwisk i pseudonimów „Kadrówki" uzupełniają całość.

Władysław Piątkiewicz: Pod pruskim hełmem. Powieść. Warszawa 1935, nakł. tygodnika „Wiarus". Str. 331 (3.50 zł.).

Jest to jeden więcej pamiętnik wojenny, przedstawiający walki w ramach małych oddziałów, dzięki czemu tem lepiej uwidacznia się życie frontowe oraz dola świata podoficerskiego i żołnierskiego. Rzecz dzieje się w ostatnich kilku miesiącach wojny światowej na froncie belgijskim i częściowo francuskim, a opisuje ją Polak, podoficer pruski. Opis to prosty, ale realny, odtwarza doskonale zarówno straszne nieraz przeżycia na froncie, jak psychikę żołnierza w tym czasie, walczącego w najcięższych warunkach, a przytem coraz bardziej obojętniejącego na wszystko, co go otacza.

Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Lwów-Warszawa, Książnica-Atlas. Styczeń i luty 1935.

Trzeci tom znanej już Czytelnikom z dotychczasowych wzmianek encyklopedji zaczął wychodzić z b. rokiem. W dwóch pierwszych jego zeszytach zastajemy m. i. artykuły: komunikacja, komunizm, konserwatyzm, konstytucja, Kopernik, Kościół, kredyt, krew, kryształy, kryzys, książka, kształcenie, kultura, kwanty, lasy, ląd, legjony i t. d.

J. Koenig, abbè: La Vierge de Lourdes. Lumiére des incrédules et Guide des croyants. Paris 1934, Pierre Téqui. Str. 348 z ilustr.

Książka powyższa jest pewnego rodzaju popularną apologetyką na tle Lourdes. Pierwsza część opisuje dość szczegółowo i naogół słowami błog. Bernad. Soubirous, objawienia Najśw. Panny w grocie, poczem następuje opis niektórych cudów, badań tychże przez specjalną komisję lekarską i bliższa analiza w celu wykazania ich charakteru nadprzyrodzonego. Druga część to apologetyczne wnioski z powyższych faktów, poparte przykładami i rozprowadzone szerzej teoretycznie.

R. W. Horoszkiewicz: W pierwszym pułku. Notatki Legjonisty Warszawa 1935, Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Str. 106 (2 zł.)

Do przyszłej historji Legjonów gromadzą się materjały. Powyższa broszura jest jednym więcej przyczynkiem, pisanym przez legjonistę 1-o pułku i obejmującym 20 obrazów z różnych przejść wojennych, w kraju i na włoskim froncie. Obok walk zastajemy tu również opisy wewnętrznych przeżyć, oraz codziennego trybu życia legjonistów, oddane szczerze i z całą bezpośredniością. Na końcu znajduje się spis alfabetyczny nazwisk.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem różnych:

Adama Mickiewicza dzieła wszystkie (Wyd. Sejmowe). Tom IV: Pan Tadeusz. Tekst ustalił Wilh. Bruchnalski, dodatek krytyczny przygotował Stan. Pigoń. Warszawa 1934, Kasa im. Mianowskiego. Str. 602.

Jahrbuch für katholische Erziehung in Österreich. I Band 1933. Herausgegeben von Dr. Benedikt Reetz O. S. B. Abtei Seckau (Steiermark). Str. XVI+262.

Dr. med. i fil. Kazimierz Dąbrowski: Podstawy psychologiczne samodręczenia (automutylacji). Warszawa 1934, Lekarskie T-stwo Wyd. *Przyszłość*. Str. 98.

P. Max Kassiepe O. M. J.: Die katholische Volksmission in der neuen Zeit. Grundsätzlisches und Praktisches für Seelsorger. Paderborn 1934, Ferdinand Schöningh. Str. 200.

Dr. Karl Wilk: Führende Gestalten. Eine Kirchengeschichte in Heiligenleben. Tamże. 1935. Str. 432 i 1 ilustr.

Ernst Käsemann: Leib und Leib Christi. Eine Untersuchung zur paulinischen Begrifflichkeit. Tübingen 1933, J. C. B. Mohr (Paul Siebeck). Str. IV+188.

Enrique Heras S. J.: Los Estudios Historicos en la India y el „Indian Historical Research Institute" de Bombay. Madrid 1934, „Razon y Fe". Str. 66.

Wacław Mejbaum: Polskie problemy dnia. Glossy. Warszawa 1935, Wyd. Droga. Str. 72.

Eugène O'Neill: Księżyc nad Karybami. Bibljoteczka dramatyczna Drogi, nr. 7. Warszawa 1934. Str. 30.

Dialog o grzeszniku i łasce Bożej. Biblj. dram. Drogi, nr. 8. Str. 32.

Beiträge zur Vorgeschichte und Geschichte der Julirevolte. Herausgegeben auf Grund amtlicher Quellen. Mit 8 Bildtafeln, Wien 1934, im Selbstverlage des Bundeskommisariates für Heimatdienst. Str. 121.

Grzegorz Gerw. Gorczycki: Introitus: Rorate coeli. Na 4 głosy. Opracował ks. Wendelin Świerczek C. M. Kraków, Wyd. Związku Chórów Kościelnych Archid. Krak. Str. 8.

Ks. Dr. J. Slipyj: Pałomnyctwo do światoi zemli. Lwów 1935. Str. 200 z ilustr.

Ks. Władysław Staich: Chrzciciele Litwy. Udział polskich Franciszkanów w nawracaniu ludu litewskiego, Wilno Wyd. OO. Franciszkanów. Str. 56 z ilustr. (60 gr.).

Elżbieta Łubieńska: Sam na sam z Bogiem. Rozważania. Warszawa 1935, Wyd. Ks. Pallotynów. In 16°, str. 28 (30 gr.).

Józef Birkenmajer: Sienkiewicz a Śląsk. Cieszyn 1935, Druk. „Dziedzictwa". Str. 28.

Dr. Michael Niechaj: Oratio liturgica pro defunctis in Ecclesia Russa Orthodoxa (Exquisitio dogmatica). Lublin 1933, T-stwo Wiedzy Chrześć. Str. 280.

C. Wessels S. J.: Histoire de la Mission d'Amboine 1546—1605. Traduit du néerlandais pas J. Roebroek S. J. Louvain 1934, Museum Lessianum. Str. 238 i 2 mapy.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Stolica święta wobec niebezpieczeństwa wojny. — Sytuacja religijna w dzisiejszej Francji. — Nowy akt meksykańskiej tragedji. — Postępy Akcji Katolickiej w Polsce.

Pomimo ustawicznych konferencyj i wymiany wizyt wybitnych mężów stanu, pomimo wysiłków tak Ligi Narodów jak prywatnych czy to myślicieli czy polityków, widmo wojny nietylko nie znika z horyzontu dziejów współczesnych, ale staje się coraz groźniejszem i bliższem. Po wielu poprzednich ostrzeżeniach, świeżo jeszcze odezwał się Ojciec święty, że choć niesłychanie ciężkie jest obecne położenie świata, to, co przyszłość kryje w swem łonie nie może nie napełniać umysłów większym jeszcze niepokojem i trwogą. Bo w rzeczy samej, wbrew wszystkim zapewnieniom o pokojowych tendencjach wielkich mocarstw, zbrojenia przybierają wszędzie to szalone tempo, które nie może nie wróżyć wielkich międzynarodowych konfliktów; rozpinają się rzekomo dla utrzymania równowagi politycznej, skomplikowane sieci umów i porozumień; na dalekim Wschodzie, zarówno jak w sercu Europy zbierają się bardzo ciemne chmury. Sytuacja jest taka, że pierwsza lepsza, nie już wina, ale nieostrożność, może rozpętać nieobliczalną w następstwach swoich, katastrofę.

Wobec takiego stanu rzeczy nie może milczeć Ten, któremu przed wszystkimi musi leżeć na sercu Chrystusowe dziedzictwo pokoju. To też raz po raz powraca Pius XI do tego samego tematu, a z nową zawsze siłą myśli i uczucia. Po potężnych, niemal wstrząsających słowach, jakie wypowiedział w wilję Bożego Narodzenia do Kardynalskiego Kolegjum, znowu porusza sprawę pokoju w liście wystosowanym pod dniem 10 stycznia b. r. do Ks. Gerlier, biskupa Tarbes i Lourdes, zapowiadając uroczystości, jakiemi w kwiet-

niu tego roku ma zamknąć się w Lourdes, rozszerzony na cały świat, jubileusz Odkupienia. Pokój i przedewszystkiem pokój wysuwa Ojciec św. na czoło wszystkich tych intencyj, w jakich mają się odprawiać w tym czasie czy to niezliczone msze święte — w samej cudownej grocie odprawiać się będą bez ustanku przez trzy dni i trzy noce — czy modlitwy całego świata chrześcijańskiego, który uroczystem trzydniowem nabożeństwem łączyć się będzie z tłumami pielgrzymów, jakie na te obchody do Lourdes popłyną.

Ale żądając modlitw, bo ratunku oczekuje tylko od Boga, nie waha się Namiestnik Chrystusowy wskazać na właściwe przyczyny tej ciężkiej międzynarodowej sytuacji i klęsk, jakiemi ona grozi. *Ubi pervicax humanae mentis superbia peccat, ibi potissimum poenam luere necesse est.* Zuchwałe zapoznawanie praw Bożych w życiu publicznem a stąd niemniej grzeszne lekceważenie praw bliźnich na korzyść własnego tylko zbiorowego egoizmu — to jest w myśl Papieża główne, jeśli nie jedyne, źródło nieszczęść, które wiszą dzisiaj nad całą ludzkością i lada chwila mogą spaść na nią straszliwym ciężarem. Gdzie bowiem nie uznaje się wyższego prawa, nakładającego obowiązki i państwom i narodom, tam o wyniku partyj, rozgrywanych na wielkiej szachownicy świata może decydować przez jakiś czas zręczność, posługująca się wielorakim podstępem, a w ostatniej instancji tylko siła.

Niestety trzeba stwierdzić, i pomiędzy wierszami odezw Ojca świętego da się to łatwo wyczytać, że w tej chwili jesteśmy świadkami wznowienia kultu siły przed prawem. Jeszcze lat temu kilkanaście, gdy świeże były w pamięci wszystkich okropności wielkiej wojny, przynajmniej w teorji starano się o jakieś uzasadnienie prawne międzynarodowych poczynań i o jakąś sankcję na czyny temu prawu przeciwne. Tym tendencjom zawdzięcza swoje istnienie Liga Narodów. Dzisiaj, kiedy ta Liga zdała już niewątpliwy egzamin zupełnej swej bezsilności, kiedy ponad jej głową organizują się inne ciche trybunały, jedynie o siłę oparte, kiedy wreszcie wystarczy areopag genewski opuścić, zatrzaskując drzwi za sobą, by mieć się za zwolnionego od wyznawanych przezeń zasad, wchodzimy wyraźnie w ten niebezpieczny okres, w którym prawo jeszcze mniej niż dotąd, ważyć będzie na szali zdarzeń. To, co dokonało się i dokonywa na dalekim Wschodzie, a teraz, może na mniejszą skalę, rozpoczyna się w Afryce wschodniej, to wreszcie, co próbowano już przeprowadzić w środkowej Europie i co tam zapowiada się na przyszłość, jest aż nadto wymowną ilustracją tego, co ten nowy okres ze sobą niesie, a zapewne i do czego doprowadzi.

I tutaj, żeby ograniczyć się do samych tylko europejskich wypadków, ostatniemi czasy częściej jeszcze niż przedtem, zaczęła pojawiać się w prasie teorja, jakoby Niemcy dlatego tylko były puszką Pandory dla świata, że duszą się w zbyt ciasnem terytorjum, uniemożliwiającem naturalną ekspansję. Że ta rzecz ma w sobie maleńką cząstkę prawdy, to niewątpliwe. Żeby jednak przyjąć za dobrą monetę, że tylko brak miejsca wywołuje w Niemczech tę psychozę wojenną, która jest istotnem i bardzo aktualnem niebezpieczeństwem dla europejskiego pokoju, trzebaby zapomnieć, co działo się w umysłach niemieckich przed wielką wojną, wtedy, gdy nie brakło Niemcom, szerokiego nawet, „miejsca na słońcu", trzebaby wcale nie znać tej niesłychanej książki „Wodza", która stała się ewangelją Trzeciej Rzeszy, trzebaby nic nie wiedzieć czy to o świeżem postępowaniu oficjalnych kół niemieckich względem słabej i tak ciężko doświadczanej Austrji, czy wogóle o usposobieniu względem państw ościennych, które jak zarzewie pod popiołem, kryje się pod pokrywką pokojowych oświadczeń.[1])

Prawdziwą groźbą dla pokoju ze strony Niemiec jest ten odwieczny, im właściwy duch zaborczości i nieokiełznanego szowinizmu narodowego, w tej chwili wysoce jeszcze spotęgowany pogańskim kultem krwi i wznowieniem starogermańskich wierzeń. To też i Ojciec święty, choć nie wymienia wyraźnie nazwisk, mówiąc o przyczynach wiszących nad światem nieszczęść wojennych, na pierwszem miejscu wspomina o „opłakania godnym, w wielu miejscach, powro-

---

[1]) Postępowanie Rządu niemieckiego względem Austrji, a zwłaszcza wpływ jego na lipcowy zamach, który przypłacił życiem bohaterski „mały Kanclerz" demaskuje na podstawie urzędowych, poczęści fotografowanych, dokumentów, doniosłe dziełko, wydane przez *Bundeskommissariat für Heimatdienst* p. t. *Beiträge zur Vorgeschichte und Geschichte der Julirevolte*. Gwałty inspirowane z za północnego kordonu niestety trwają w Austrji dalej, owszem, po zwycięstwie odniesionem w Saarze, przybrały na intensywności.

Co dotyczy Polski, prawdziwych uczuć względem niej nie należy szukać w tej „gleichschaltowanej" prasie wewnętrznej, która na komendę, nawet w ton przyjaźni uderzać potrafi, ale w prasie niemieckiej zagranicznej. Tak np. całkiem świeżo w pragskiej *Deutsche Presse*, pojawił się artykuł, powtórzony niestety z aprobatą przez *Schönere Zukunft*, który oburza się na nowo „grabieżą" dokonaną na Niemczech przez Wersalski traktat, przez rozdanie sąsiadom zgórą 70.000 klm. kwadr. „niemieckiej ziemi". *Polen hat ohne Abstimmung fast die ganze Provinz Posen (16.000) erhalten, ausserdem von der Provinz Westpreussen 15.900, von der Provinz Ostpreussen 500... von der Provinz Schlesien 500... Was Frankreich betrifft, so raubte es Elsass-Lothringen, mit der Begründung, dieses Gebiet sei ihm 1870/71 ebenfalls „geraubt" worden. Dass das Land 1688 von Ludwig XIV dem Reiche weggenommen worden war, schien vergessen zu sein".* Czyżby *Deutsche Presse*, która tak dobrze pamięta o zaborze Alzacji i Lotaryngji przez Ludwika XIV, nie pamiętała o tem, jaką drogą, i to o cały wiek później, wcielone zostały do Reichu Poznańskie i Prusy Królewskie?

cie do pogańskich obyczajów i o zachwalaniu pogańskiej nauki, sprzecznej z nauką niebiańską, przez Jezusa Chrystusa przyniesioną".

Nie wiemy czy Niemcy, jak w najnowszej swojej książce *Jahre der Entscheidung* twierdzi Oswald Spengler, powołane są do uratowania ginącej cywilizacji Zachodu, ale to wiemy, że przestaną dla tej cywilizacji być niebezpieczeństwem i może nawet staną się jej zbawieniem tylko wtedy, gdy szczerze odnowią ten sojusz z Chrystusem, o którym tak pięknie mówił w swych głośnych kazaniach sędziwy kardynał Monachijski.

Nie może więc dla nikogo być wątpliwem, co przedewszystkiem leży Papieżowi na sercu, gdy ogólnym modłom kończącego się miłościwego lata stawia za główny cel uproszenie u Boga pokoju. Nie chodzi o to lub owo państwo czy naród, nie o te czy inne ugrupowania polityczne mocarstw, ale o powrót wszystkich, o ile możności, ludów do posłuszeństwa Bożemu prawu, do zasad pełnej sprawiedliwości, a póki sprawiedliwość nie da się całkowicie osiągnąć, do tej cierpliwości wzajemnej i wyrozumienia, które płyną z miłości chrześcijańskiej. A przeciw tym, co wiedzeni „samobójczym i zabójczym dla narodów szałem, woleliby wojnę niż pokój", będzie wołać do Boga, za swoim najwyższym Pasterzem cały Kościół: *Dissipa gentes quae bella volunt* — „rozprosz narody, które chcą wojen".

Po niewidzianej od lat siedmdziesięciu wizycie członka rządu francuskiego w Watykanie, pojawiły się w prasie pytania, czy nie jest to może pierwsza jaskółka, zwiastująca zmianę nastawienia sfer kierowniczych Francji w stosunku do katolickiego Kościoła. Za uzasadnieniem tych domysłów zdawała się przemawiać ta okoliczność, że nie można było wskazać żadnej specjalnej racji, która miałaby skłonić ministra Lavala do tego aktu kurtuazji względem Stolicy świętej i że rozmowy jego czy to z Papieżem czy z Kardynałem Sekretarzem Stanu, przynajmniej o ile doszły do wiadomości publicznej, nie obracały się koło takich zagadnień, które same przez się mogłyby wytłumaczyć tak ważne i niepraktykowane przez ministrów Republiki, posunięcie.

Niestety jednak, pomimo tych wszystkich prawdopodobieństw, nadzieja na zmianę kursu religijnego w rządzie francuskim była, jeżeli nie chybiona, to w każdym razie przedwczesna. Rząd ten, stojący dotąd pod przeważnym wpływem radykałów i socjalistów zgodził się na wizytę Lavala z tej bezwątpienia — najrozumniejszej zresztą — racji stanu, w imię której lat temu czternaście, wywalczył Briand wznowienie poselstwa francuskiego przy Watykanie. Zrozu-

miano mianowicie, nawet w kołach tych polityków, którzy są Kościołowi wyraźnie niechętni, że nie jest wskazane i że jest to owszem dla interesów narodu wprost szkodliwe, świecić nieobecnością tam, gdzie skupiają się jednak około najwyższej duchowej potęgi świata i bardzo wybitni ludzie i bardzo doniosłe sprawy. Być może, że wpłynęły też na wizytę Lavala, zwłaszcza po zbliżeniu francusko-włoskiem, dobre stosunki, jakie łączą w tej chwili ze Stolicą świętą rząd Italji, a może też wydało się niewłaściwem, żeby Francja, która świeżo jeszcze przez usta swego ambasadora przy Watykanie, przedstawiała Papieżowi, ile robi dla katolicyzmu w swych kolonjach, uchylała się od obowiązków grzeczności względem Głowy chrześcijaństwa na dużo ważniejszym, europejskim gruncie.

Ale chociaż byłoby rzeczą zbyt śmiałą, upatrywać w kroku francuskiego ministra spraw zagranicznych jakiś punkt zwrotny, niemniej trzeba stwierdzić, że dużo zmieniło się od czasu, kiedy w r. 1903 prezydent Loubet i p. Delcassé, za swej bytności w Rzymie, oficjalnie ignorowali Stolicę świętą. A zmieniło się poprostu dlatego, że nieprzerwany, po wojnie bardzo jeszcze spotęgowany proces uchrześcijanienia inteligencji francuskiej, nie mógł nie pozostać bez wpływu na bardzo nawet niechętne rządowe koła. Czy chcą czy nie chcą, muszą ministrowie to widzieć i z tem się liczyć, że życie katolickie kraju, na którego czele stoją, zrobiło w ostatnich latach i wciąż jeszcze robi ogromne postępy. We wszystkich szkołach wyższych Paryża, frekwencja do sakramentów i głęboka religijność wśród młodzieży wybitnie wzrosła; *L'Association catholique de la Jeunesse Fraçaise* (ACJF) która w ostatnich dniach stycznia odbyła w Paryżu wspaniały kongres, rozwija się niezmiernie obiecująco i ostatniemi czasy bardzo gorąco zajmuje się akcją katolicką wśród ludu; wiedza i literatura oraz prasa katolicka święci prawdziwe triumfy; ofiarność społeczeństwa tak na misje zagraniczne jak na robotę katolicką wewnątrz kraju jest wprost zdumiewająca; życie organizacyjne katolickie bardzo kwitnące a obchodów, kongresów, pielgrzymek, prawie aż za wiele; liczba powołań duchownych tak wzrasta, że kiedy w roku 1925 liczono w całej Francji 8316 seminarzystów, a 3801 studentów teologji, to w roku 1933 liczono pierwszych 10780, drugich 5698. Podobnie wzrasta liczba kościołów, zwłaszcza w zaniedbanych do niedawna przedmieściach wielkich miast, gdzie zbierały się najsmutniejsze męty społeczne; a dla umoralnienia chrześcijańskiego ludu i chronienia go od moralnych lub religijnych niebezpieczeństw, powstają coraz to nowe i dobrze pomyślane instytucje. Świeżo np. zorganizowano centralę katolicką pod

nazwą *Choisir* dla kierowania doborem filmów i audycyj radjowych.

Ale jeżeli te i przeróżne inne dowody żywotności katolicyzmu we Francji zdawałyby się wróżyć, że przyszłość, i to niezbyt już odległa, należy stanowczo do dzieci Kościoła, to nie można sobie taić, że ten rosnący w siły obóz wiernych ma jeszcze do przezwyciężenia niezmiernie silne opozycje. Jedną jest masonerja, która do nieprawdopodobnego stopnia potrafiła opleść siecią swych lóż wszystkie niemal sfery rządzące, lub do rządu zbliżone i trzymające go pod swym wpływem, drugą jest socjalizm i komunizm, który oprócz szerokich kół robotniczych, ogarnął zwłaszcza nauczycielstwo szkół powszechnych i przez nie wywiera fatalny wpływ na ludność wsi i małych miasteczek, aż dotąd bardzo silnie odchrześcijanioną.

Trzeba to więc powitać jako objaw bardzo zdrowy i dobrze pomyślany, że nie poprzestając na pozytywej pracy katolickiej, zwrócono się ostatniemi czasy wprost przeciw tym wielkim wrogom królestwa Bożego we Francji, aby wpływy ich paraliżować i dawać im katolicką przeciwwagę.

W tej mierze mamy do zanotowania kilka, bardzo pomyślnych faktów.

Przedewszystkiem utworzył się specjalny związek dla walki z masonerją na tym terenie, na którym ona była dotąd niemal wszechwładną, t. j. na terenie parlamentarnym. Do tego związku, pod kierownictwem p. Cousin, weszło grono deputowanych, którzy wzięli sobie za zadanie wykrywać i zwalczać wpływy wolnomularstwa w politycznej dziedzinie. A rzecz ta jest tem bardziej na czasie, że, jak stwierdza *Revue internationale des sociétés secrètes,* w tem głównem ognisku akcji antykatolickiej, jakiem jest paryski Wielki Wschód, powzięto uchwałę, żeby pozornie stępić nieco ostrze walki z Kościołem i nawet, wzorem lóż szkockich, pokazywać dla religji pewną sympatję, aby tem skuteczniej móc szkodzić. Być może, że w związku z tą zmianą taktyki francuskiego wolnomularstwa jest proces, jaki wydał świeżo Wielki Wschód dwom katolickim pismom *La France Catholique* i *L'Écho de Paris* o zniesławienie i niesłuszne napaści. W obronie oskarżonych oświadczył przed sądem szef Ligi i dyrektor Akcji Katolickiej gen. Castelnau, że on i jego stronnictwo „nie występują przeciw poszczególnym osobom, ani nawet przeciw wszystkim członkom lóż masońskich, ale tylko przeciw tajnej sekcie, której założenia filozoficzne i polityczne hasła, oraz cała działalność i jej metody podkopują religję, wywołują chaos w umysłach i rozprzężenie obyczajów, grożąc temsamem ruiną i moralnemu dziedzictwu, przekazanemu przez wieki całe przeszłości chrześcijańskiej."

Można mieć nadzieję, że ten zwarty front antymasoński katolików francuskich zdoła wreszcie przerwać te tajemne pęta, które słusznie nazwano *l'étreinte maçonnique,* t. j. powróz duszący za gardło znaczną i dzielną większość katolickiego narodu.

Drugim pomyślnym objawem jest rozszerzenie na Francję stowarzyszenia *Pro Deo,* które, zawiązane w Genewie, łącząc w sobie i katolickie i wierzące protestanckie koła, stara się przeciwdziałać idącej z Rosji propagandzie bezbożnictwa. Z pomocą tego stowarzyszenia otwarto świeżo w Strasburgu wystawę antybezbożniczą, taką samą, jaka już poprzednio miała miejsce w Paryżu, a poza Francją, w Londynie, w Genewie i szeregu innych wielkich miast. Przy sposobności tej wystawy wskazano w specjalnym odczycie na planowość i niesłychaną zaciekłość walki z Bogiem, rozwijanej przez bezbożników rosyjskich, którzy ściągają z różnych krajów materjał na propagandystów i po specjalnem wyszkoleniu rozsyłają go po całym świecie. Osobliwie dla Francji pokazało się bardzo zgubnem zbliżenie polityczne do Sowietów i dopuszczenie Rosji do Ligi Narodów. Nie ulega jednak wątpliwości, że i z tych spotęgowanych niebezpieczeństw dzielny katolicyzm francuski potrafi wyjść zwycięsko.

Jak wyglądałoby w świecie, gdyby komunizm i bezbożnictwo miały wziąć górę, tego żywym dowodem jest nieszczęsny Meksyk. W całych dziejach świata zaledwie gdzie dałby się znaleźć przykład tej brutalności i tego cynizmu w okrucieństwie, z jakiem banda łotrów, która siłą dorwała się władzy i siłą tylko przy niej się utrzymuje, nogami depcze najświętsze prawa obywateli, ich wiarę i honor i wolność.

Że umowa zawarta z Episkopatem przez rząd Portes Gil'a w r. 1929, była jedynie aktem przebiegłości i podstępu, to aż do oczywistości pokazały następne wypadki. Rząd republiki czuł się znużonym wojną domową i bojkotem ekonomicznym swych instytucyj i dlatego tylko pozornie złagodził ten reżym niesłychanych gwałtów, jaki panował w kraju za prezydentury Callesa. Ale przez ten czas gotowano się do nowej, jeszcze zaciętszej walki. Najpierw trzeba było pozbyć się obrońców Kościoła. W tym celu nietylko zapełniły się po brzegi więzienia, ale blisko 500 z pomiędzy najdzielniejszych przywódców opozycji katolickiej padło ofiarą skrytobójczego morderstwa. Co się zaś tyczy duchownych, oznaczenie liczby, w jakiej mieli być tolerowani, pozostawiono gubernatorom poszczególnych stanów, którzy wywiązali się z poleconego sobie zadania w ten sposób, że w takiem Quéretaro pozwolono pozostać jednemu kapłanowi na

300 000 mieszkańców, w Aguascalientes jednemu na 200 000, w innych stanach jednemu na sto tysięcy. Tylko w Nayarit ustalono łagodniejszą proporcję jednego do 25 000, a w jednym jedynym stanie S. Luis Potosi nie wprowadzono żadnych ograniczeń. Gubernator Colimy dodał nadto do dekretu regulującego liczbę kapłanów następujące dwa artykuły: „1. Funkcje urzędu swego będą mogli spełniać w stanie Colima tylko księża upoważnieni prawem, o ile wymaganiom tego prawa odpowiedzą i to nie gdzieindziej tylko w stołecznem mieście stanu, w lokalach na ten cel wyznaczonych, pod ustawicznym nadzorem władzy. 2. Księża o tyle będą mogli otrzymać patent na spełnianie swych funkcyj, o ile przedłożą dowód, że mają nie mniej niż lat 50 wieku, że przez ślub cywilny wstąpili w związki małżeńskie, że uiścili profesjonalny podatek." Przy usuwaniu kapłanów przychodziło zarazem do zamykania kościołów, a przytem często bardzo do obfitego rozlewu krwi, gdy ludność zastawiała się siłą za swe świętości, broniąc ich od rabunku i zniewagi.

Gdy przeciw tym i wielu innym podobnym nadużyciom, gwałcącym przyjęty w r. 1929 *modus vivendi* zaprotestowała Stolica święta encykliką z 22 września 1932 r., w rezultacie, prócz wypędzenia Delegata Apostolskiego, zaczęto usuwać z kraju co dzielniejszych biskupów. Trudno jest zdobyć wiadomości całkiem dokładne, ale pewnem jest, że wywieziono w ten sposób arcybiskupów Morelia, Guadalajara, Yucatán, Oaxaca i biskupów Papantla, Colima, Chiapas, Zacatecas, Chihuahua, Sonora, Tulancingo, Chilapa. Z kwitnącej hierarchji meksykańskiej pozostały tylko szczątki: bardzo nieliczni biskupi i zaledwie 200 kapłanów na 16 miljonów ludności, prawie wyłącznie katolickiej, a ci pozostali są tak skrępowani przez drakońskie przepisy i najdokuczliwszy nadzór policyjny, że zaledwie mogą służyć wiernym pomocą duchowną.

Główne jednak ostrze prześladowania zwróciło się w stronę wychowania młodzieży. Wprowadzono wszędzie obowiązkowe wychowanie w duchu socjalistycznym, t. zn. zaprawiające pozytywnie do bezbożności, w której meksykańscy bolszewicy nieomal już przewyższyli rosyjskich i deprawujące serca najszkaradniejszym sposobem uświadomienia seksualnego, podawanego w brutalnej formie już od klas najniższych. Do nauczycieli, wzbraniających się iść na rękę rządowi, zastosowano karę natychmiastowej utraty posady, a do rodziców, odmawiających posyłania dzieci do szkół rządowych, dotkliwe represje. Wśród tych represyj główne miejsce zajmuje konfiskata na rzecz państwa czy to gruntów na wsi, czy nieruchomości po miastach, i to w takich rozmiarach, że tą nagłą zmianą stanu posiadania wstrząśnięte

jest w tej chwili całe ekonomiczne życie kraju. Wyszła np. ubiegłego roku ustawa, że każdy dom, w którym od r. 1859 do chwili obecnej istniała kiedykolwiek szkoła katolicka albo kaplica prywatna, przechodzi na własność państwa. Łatwo pojąć ile owe konfiskaty dawały i dają sposobności do prostego rabunku i do formalnych znęcań nad niewinną ludnością. Ale to wszystko nie wchodzi w rachubę dla rządu, który postawił sobie za cel, bezwzględnie wprowadzić do Meksyku system komunistyczny na wzór rosyjski, a nawet pójść dalej nad to, czego żądają z Kremlu twórcy nowego porządku świata. Wszakże niedawno pojawił się już wniosek w Radzie związkowej stanów, żeby narodową tricolorę zastąpić sztandarem czerwonym i czarnym.

Jak na to dzikie, bezprzykładne prześladowanie odpowiada katolicka ludność, to opisaliśmy obszerniej kilka miesięcy temu.[1]) Utworzyły się potężne związki: Stowarzyszenie ojców rodzin, Liga dla obrony wolności religijnej, Zrzeszenie dla walki o swobodę nauczania, Konfederacja narodowa młodzieży i inne jeszcze i związki te rozwijają bardzo żywą, nieraz bohaterstwem zaprawioną działalność. Ale jeśli chodzi o jej zewnętrzne rezultaty, to są one znikomo małe. Prześladowcy nieraz, jakby na szyderstwo, powtarzają, że wolno jest obywatelom dążyć legalną drogą do zmiany ustaw i samej nawet osławionej Konstytucji z 1917 roku, ale w rzeczy samej owe legalne środki nie prowadzą do niczego tam, gdzie panuje najczystsza przemoc, operującą brutalnym gwałtem. Zdaje się więc, że nieszczęśliwym obrońcom, nietylko już religji, ale prawa i wolności, nie pozostaje w Meksyku nic innego do roboty, jak chwycić się napowrót zbrojnego powstania. Przed pięciu laty, już po zadaniu wojskom rządowym dotkliwych porażek, wytrąciła broń z rąk powstańców sama wola Kościoła, szukającego wówczas innych dróg wyzwolenia; dziś rozpoczyna się napowrót, i z pewnością przybierze większe rozmiary, owa *guerilla*, która jest, smutnym zapewne, ale w tej chwili ostatnim środkiem ratunku. W nieszczęśliwym kraju znowu popłynie krew, lecz będzie to, da Bóg, krew, nietylko już męczeństwa, jak dotąd, ale wybawienia z pod najniegodziwszej i bezecnej tyranji.

Cokolwiek w tej mierze przyszłość przyniesie, w każdym razie zaczyna już dzisiaj sympatja cywilizowanego świata, nawet niezbyt życzliwego Kościołowi, stawać wyraźnie po stronie uciśnionych, przeciw ciemiężcom. W senacie Waszyngtońskim — być może że naskutek wstrząsających rewelacyj tygodnika *America* — przedstawił senator Wagner wniosek o zerwanie z Meksykiem wszelkich stosunków handlowych i o turystyczny bojkot tego kraju, na znak pro-

[1]) Por. *Przegląd Powszechny* na listopad 1934.

testu przeciw barbarzyńskim metodom prześladowania, jakich Meksyk jest widownią. W ślad za tym protestem rozpoczęły kampanję przeróżne, między innemi tak potężne dzienniki, jak *New-York Times* i *Tablet* z Brooklynu, zbierając setki tysięcy podpisów, potępiających meksykańskie zbrodnie i organizując w sferach handlowych walkę z meksykańskim importem, który dochodził jednak rocznie do wysokości czterdziestu blisko miljonów dolarów. Podobnież podniosły głos całe, tak liczne i wpływowe korporacje jak np. Rycerze Kolumba, a charakterystycznem jest, że do tych protestów katolickich przyłączyły się w bardzo wielkiej liczbie zrzeszenia protestanckie a nawet żydowskie. Wśród niezmiernie licznych pism europejskich, piętnujących niegodziwe gwałty popełniane przez rząd meksykański na własnych poddanych odezwał się świeżo w bardzo energicznym tonie *Journal de Genève*, odzwierciedlający opinję Ligi Narodów, kończąc swoje uwagi wróżbą, że przez takie postępowanie zgotują sobie sami prześladowcy nieuchronną zgubę. Nietylko już dla dobra wiary, ale dla dobra kultury ludzkości trzeba sobie życzyć, by ta przepowiednia spełniła się jaknajrychlej.

Po dłuższym okresie dyskusyj i prób i wahań, zaczyna wreszcie ogromne dzieło rozbudowy Akcji Katolickiej w Polsce wchodzić na właściwe tory. We wszystkich parafjach wszystkich diecezyj dźwigają się, jakby cztery ściany wielkiego gmachu, te cztery podstawowe a tak naturalne stowarzyszenia: mężów, niewiast, młodzieży płci obojej, które złączone w wyższe jedności diecezjalne i krajowe, mają odtąd tworzyć główne kadry pracowników i bojowników świeckich na niwie katolickiej. Rzecz zupełnie prosta, że w jednych diecezjach i parafjach organizacyjna ta robota postępuje szybciej i sprawniej niż w innych, ale ogółem mówiąc, rzecz wyszła już wszędzie ze stadjum przygotowań i wchodzi w tę fazę, która pozwala już oczekiwać pierwszych rzeczywistych owoców.

Niepodobna nam tu wyliczać tych bardzo pocieszających szczegółowych wiadomości o działaniu Akcji Katolickiej, które napływają obficie z całego kraju. Tutaj odbyły się podniosłe i bardzo liczne zebrania, tam tygodnie społeczne lub kursy organizacyjne tego lub owego z czterech głównych stowarzyszeń, gdzieindziej znowu urządzono serję rekolekcyj dla zarządów, albo ułożono wyborne programy pracy i t. d. i t. d., a to wszystko dzieje się w takich rozmiarach, że z zupełną oczywistością konstatuje się wielką żywotność tej idei i tego dzieła, które zdaje się rokować jaknajlepsze nadzieje.

Zamiast szczegółów, których pełno po specjalnych organach Akcji Katolickiej i pismach diecezjalnych, będą tu może bardziej na miejscu pewne ogólne uwagi, zdolne rzucić nieco światła na całą tę niesłychanie ważną i obiecującą robotę.

Otóż przedewszystkiem zewsząd prawie dochodzą wiadomości, że lud jest do tej pracy daleko lepiej przygotowany, niż możnaby było się spodziewać. Najpierw przygotowany intelektualnie, czyto żeby rozumieć doniosłość sprawy, czy żeby do wykonania jej dopomagać. Nietylko mężczyźni, ale i kobiety, zwłaszcza w pewnych okolicach, potrafią na zebraniach doskonale przemawiać, poddają się organizacyjnej dyscyplinie, wybornie wchodzą w myśl kierowników i wyższej kościelnej władzy. Najwidoczniej zrobiły jednak swoje i bardzo wzmożone na wsi czytelnictwo i intensywna praca oświatowa czy szkolna czy pozaszkolna i najzbawienniejsza działalność stowarzyszeń młodzieży polskiej i przeróżne te środki, jakiemi podnoszono u nas kulturę ludu.

Ale powtóre, przynajmniej w równej mierze dopisało i moralne przygotowanie. Mimo wszystko, co mogłoby było wywołać nieufność do tej pracy, prowadzonej przez duchowieństwo, lud naogół garnie się do swych stanowych stowarzyszeń całkiem chętnie i niepodejrzliwie. Choć dotkliwa bieda mogłaby utrudniać wszystko, co nie wiąże się z bezpośrednią troską o chleb powszedni, a zwłaszcza co pociąga, nieznaczne wprawdzie, ale zawsze jakieś, wydatki, samo ubóstwo, o ile nie łączą się z niem inne powody, zaledwie gdzie stanowi dla Akcji Katolickiej poważniejszą przeszkodę. A wreszcie pokazało się już w ludzie i niewątpliwie pokaże się jeszcze więcej, dużo materjału na prawdziwych apostołów świeckich. Zwłaszcza wtedy, gdy wybitniejsze jednostki, wciągnięte do pracy w Akcji Katolickiej, przejdą serję dobrych rekolekcyj zamkniętych, bardzo często wyrabiają się zupełnie niepospolicie i rozwijają potem w służbie sprawy Bożej najzbawienniejszą działalność.

Nie brakuje więc u nas niczego, co do doskonałego postawienia Akcji Katolickiej jest potrzebne. Cała rzecz w tem, żeby ten wyborny materjał umiejętnie wyzyskać. Do tego zaś trzeba przedewszystkiem, żeby najniższym komórkom całego organizmu t. j. kołom parafjalnym wskazać pole pracy prawdziwie pożytecznej, niezbyt wyłącznie dewocyjnej, nie zajętej już przez inne stowarzyszenia, nie zanadto ściśniętej pewnym biurokratyzmem związkowym i ciągłą zależnością od wyższych organów Akcji. O ile bowiem z jednej strony konieczna jest w Związku zwartość organizacyjna, o tyle z drugiej nieodzowna jest też taka gibkość, żeby najniższe koła stykające się bezpośrednio z polem pracy, miały

pewną swobodę w wyborze działania, pod kierunkiem oczywiście i pod kontrolą wyższych władz związkowych. Gdzie bowiem niema tej swobody, tam bardzo trudno o prawdziwy zapał a nawet o istotnie dobry wybór roboty, za czem idzie pewien nastrój koła, dla żywotności związku wprost zabójczy, że członkowie nie bardzo wiedzą poco się schodzą i w przynależności do stowarzyszenia widzą raczej akt posłuszeństwa władzy niż rzeczywisty pożytek.

Ale u nas w tej chwili nie może być obawy, żeby gdzieś zabrakło pracy, nietylko już pożytecznej, lecz bardzo potrzebnej. Zależnie od okolic — tutaj trzeba zwalczać szkaradną bezbożniczą propagandę lub towarzyszące jej nieraz komunistyczne nauki, tam znowu przeróżne sekty i formy narodowego kościoła, który — jak stałe doświadczenie poucza — zawsze zostawia po sobie w duszach jakąś smutną zgniliznę, stanowiącą gotowy materjał dla bezbożnictwa i bolszewizmu. Tu trzeba przeciwdziałać zepsuciu moralnemu wśród młodzieży, albo pijaństwu, albo zawadjactwu i bijatykom; tam trzeba paraliżować wpływy destruktywnych związków o różnym charakterze i podłożu, albo działanie takiego Legjonu Młodych, który stara się i w lud wnosić te same wywrotowe zasady, jakiemi żyje. Co się zaś tyczy pozytywnej pracy, może być tylko kłopot z wyborem. Czy to jest szerzenie dobrej prasy, czy rozmaite sposoby karytatywnego działania czy głębsze kształcenie się w znajomości wiary, czy staranie o kulturalne podniesienie wiosek i t. d. i t. d., to wszystko mogą sobie koła miejscowe obrać za przedmiot swych wysiłków i zarazem za środek do ćwiczeczenia się w realnej, prawdziwie katolickiej pracy.

Nie wątpimy, że aparat organizacyjny wnet już będzie zupełnie gotowy i że ta konkretna, żywa, nie „papierowa" tylko praca wyda całe mnóstwo najlepszych owoców. Wtedy pokaże się Akcja Katolicka prawdziwem błogosławieństwem dla kraju i zapisze się złotemi głoskami w dziejach Kościoła polskiego.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Jeszcze o koedukacji na VI Międzynarodowym Kongresie Wychowania Moralnego w Krakowie.

Tematy i przebieg VI-o Międz. Kongresu Wychowania Moralnego, odbytego w Krakowie w dniach od 12—15 września ub. roku, zostały dostatecznie omówione w naszem piśmie przez ks. St. Bednarskiego (zesz. z paźdz. 1934 r., str. 130). Jeśli wracam jeszcze do niego, czynię to z powodu sprawozdania, jakie p. t. „Koedukacja w świetle opinji VI Międz. Kongresu Wychowania

Mor. w Krakowie" zamieściła p. Janina Hełm-Pirgowa w ostatnim zeszycie czasopisma *Zrąb*, poświęconego zagadnieniom wychowawczym (Warszawa tom 19—20 str. 125).

Zagadnienie koedukacji interesowało zawsze pedagogów, a w ostatnich latach, wobec wzmożonej tendencji do wprowadzania jej do naszego szkolnictwa, zajęły się niem i szersze inteligentne sfery społeczeństwa polskiego. Świadczył o tem wymownie fakt, że poświęcona tej sprawie Sekcja na Kongresie cieszyła się największą chyba frekwencją, a lista zgłaszających się do dyskusji była tak wielką, że mimo skrócenia czasu przemawiania nie zdołano jej wyczerpać. Że zainteresowanie to trwa nadal wśród sfer nauczycielskich, dowodzi nadmienione powyżej (choć dość spóźnione) specjalne sprawozdanie o wynikach obrad nad koedukacją. Niestety, jako zajmujący się również tem zagadnieniem i uczestnik Kongresu, muszę stwierdzić, że w wielu szczegółach i w ogólnej ocenie nie odpowiada ono rzeczywistości. A ponieważ nie sądzę, żeby w zamiarach tak poważnego pisma jak *Zrąb*, leżało dezorjentowanie opinji publicznej w sprawie bądź co bądź ważnej, zamieszczam poniżej szereg wyjaśnień, oddających istotny przebieg i wyniki posiedzeń Sekcji.

Głównym tematem referatów była koedukacja w szkole, dyskusja zaś ograniczyła się do koedukacji w szkole średniej. To ostatnie stało się zgodnie z postawionem przez przewodniczącego założeniem, że należy skupić uwagę na najważniejszy punkt zagadnienia — na koedukację młodzieży w latach przejściowych, a więc przeciętnie od 13—16 względnie 17-o roku życia.

Jaki był ostateczny wynik tych obrad? Które zdanie przeważyło na Kongresie? — Zdaniem p. Hełm-Pirgowej „opinja publiczna wypowiedziała się przeciw koedukacji", podczas gdy „referenci wypowiedzieli się za koedukacją" i to Ferrière i Redin „ostrożniej", a pozostali „bez zastrzeżeń, jako za normalną formą współczesnego wychowania".

Czy tak było rzeczywiście?

Referaty, wygłoszone na Kongresie można podzielić na dwie kategorje: jedne omawiały konkretne doświadczenia i obserwacje, drugie miały charakter ogólny. Do pierwszej kategorji zaliczymy referaty pp. Maurette, Redin, Iwaszkiewiczowej; do drugiej pp. Ferrière, Friedländer'a, Męczkowskiej, Jaworskiej. Zanalizujmy je pokolei.

1) P. Th. Maurette, dyrektorka międzynarodowej szkoły koedukacyjnej w Genewie, przedstawiła jej organizację i poczynione tam spostrzeżenia. — Lecz: a) Przykład ten jest tak odosobniony, że dla rozstrzygania zagadnienia koedukacji nie można go brać w rachubę, a to ze względu na wyjątkowe warunki. Pomijając już wyposażenie finansowe i szczególny dobór nauczycieli, szkoła ta liczy 160 wychowanków (-ek), w wieku

od 6—18 lat, ale z 30 blisko narodowości, a więc zespół niejednolity i nie dający się porównać z żadną inną normalną szkołą koedukacyjną. b) Mimo te pomyślne i niezwykłe warunki prelegentka nie tai, że trudności na tle stosunku płci zachodzą; co najważniejsze, podnosi nadto, że interwencja grona wychowawców była skuteczna dzięki temu, że „zakochanie się" nastąpiło między uczniem a uczennicą tejże szkoły, a „zupełnie inaczej" przedstawiałaby się sprawa, gdyby zakochano się w kimś z poza szkoły. Lecz któż tę ostatnią ewentualność może wykluczyć? c) Końcowe uwagi referentki o niedobrych wspomnieniach, jakie sama wyniosła z szkoły wyłącznie żeńskiej, dowodzą tylko, że ze strony jej samej lub szkoły czy domu były jakieś braki, ale nie wykazują, że właśnie koedukacja byłaby temu zapobiegła.

2) P. Mats Redin w swym referacie o szkołach koedukacyjnych w Szwecji sam przyznaje, że dowodów na zbawienny wpływ koedukacji dać nie może: a) jeśli szkoły powszechne są tam koedukacyjne, to decydowały o tem względy finansowe (mała liczba dzieci w danej miejscowości). Szkół średnich koedukacyjnych prywatnych było w całej Szwecji zaledwie 12, a państwowe zaczęto zakładać dopiero od r. 1927 i tu znowu rozstrzygały względy finansowe. b) Z krótkiego tego okresu trwania wynika, że „na ostateczny sąd jest jeszcze zawcześnie"; narazie można tylko powiedzieć, że „naogół zdaje się" jest dobrze, lecz jak wypływa z dalszych słów prelegenta, ocena ta dotyczy pracy naukowej (że dziewczęta nie czują się przeciążone nauką), a nie wychowawczej. c) Owszem autor, choć osobiście zwolennik koedukacji, sam zaznacza, że „z punktu widzenia koedukacji szkoły państwowe są dalekie od tego, żeby były zadawalające", gdyż brak im odpowiednio opracowanych programów. d) Myliłby się również, ktoby sądził, że w Szwecji istnieje jakiś „ogólny entuzjazm dla koedukacji." e) Jeśli więc — dodajmy od siebie — referent osobiście uważa szkołę koedukacyjną na „bardziej odpowiednią formę wychowania", to sąd jego nie jest ani odbiciem opinji, ani wynikiem stwierdzonym doświadczalnie w jego ojczyźnie.

3) Krótki referat p. Iwaszkiewiczowej, oparty na spostrzeżeniach, poczynionych na wieczornych kursach dokształcających oświaty pozaszkolnej w Warszawie, łączących młodzież obojga płci, nie wnosi do omawianego tematu żadnych dowodów, gdyż jest tylko lokalną i wśród pozaszkolnej starszej młodzieży dokonaną obserwacją.

Przejdźmy teraz do referatów natury ogólnej. 1) Prof. Ad. Ferrière (Szwajcarja) uważa koedukację za wskazaną, ale tylko przy bardzo sprzyjających warunkach; dodaje jednak, że „takie instytucje, zbliżające się do doskonałości, są rzadkie." Ogólne zaś racje, jakie wysuwa, że zmienione warunki dzisiejsze (większa swoboda obcowania, praca zawodowa kobiet) wymagają koedukacji,

nie wykazują wcale, że właśnie tą drogą można jedynie lub najłatwiej czy najlepiej przygotować młodzież do życia.

2) Dr. Michał Friedländer (Kraków) zajmuje się głównie kwestją koinstrukcji (wspólnego nauczania) w szkole i sądzi, że nie prowadzi ona bynajmniej do niwelacji odrębności płci, owszem pozwala na indywidualne wyrobienie, oraz przygotowanie do przyszłej współpracy mężczyzny i kobiety. Lecz: a) warunkiem osiągnięcia tych wyników jest niezwykle staranny dobór i praca grona nauczycielskiego, oraz odpowiedni dobór wychowanków; nieodpowiednich należy usuwać ze szkoły. b) Już z tych wysokich wymagań wypływało, że prelegent, choć zwolennik koedukacji, przyjmuje jako wskazaną tylko niewielką liczbę szkół tego rodzaju; w rozmowie prywatnej, na pytanie z mej strony, czy sądzi, że koedukacja byłaby systemem nadającym się do ogólnego wprowadzenia w szkołach, odpowiedział: „absolutnie nie“ i motywował to ogromną trudnością pracy w takich szkołach.

3) Referat p. Teodory Męczkowskiej (Warszawa) był jedynym, który entuzjastycznie wypowiedział się za koedukacją, choć na udowodnienie tego twierdzenia nie podał ani jednego przekonywującego dowodu. Zastajemy tylko u prelegentki dużo dobrych chęci, wiele naiwnego optymizmu w zbawczą rolę koedukacji i zbyt daleko niekiedy posunięte upraszczanie dowodzenia, naprz. kiedy twierdzi, że „prawie wszyscy“ pedagogowie są zgodni w uznaniu „dobroczynnego wpływu koedukacji“, co więcej, że doświadczenia poczynione w tego rodzaju szkołach i rozliczne ankiety wykazują „jednomyślnie“, iż koedukacja jest systemem odziaływującym dodatnio na młodzież.

4) Referat p. Jaworskiej o znaczeniu koedukacji ze stanowiska społecznego, był szerszej natury i nie wniósł nic istotnego dla sprawy koedukacji w szkole.

Jeżeli więc zestawimy wyniki wszystkich referatów, wypowiedzianych w sprawie koedukacji na Kongresie otrzymamy następujący obraz: 1) osobiste sympatje dla koedukacji zastajemy naogół u referentów [1]); sympatje te wszakże podziela tylko jeden bez zastrzeżeń (p. Męczkowska), podczas gdy pozostali stawiają jako warunek powodzenia duże wymagania. 2) Dowodów wykazujących niezbicie, zasadniczo lub na podstawie doświadczenia, już nie konieczności koedukacji, ale choćby wyższości jej nad wychowaniem odrębnem płci, nie zastajemy u żadnego z referentów. 3) Tem bardziej żaden z nich nie wykazał, że koedukacja powinna być ogólnie przyjętą formą wychowania w szkole. 4) Parę referatów (pp. Maurette, Redin, Iwaszkiewiczowa) nie wykroczyło poza ramy sprawozdań

[1]) W świetle informacyj, jakie otrzymałem prywatnie — że Komitet org. odrzucił ofertę referatu przeciw koedukacji — zaznaczone tu „zgodne“ stanowisko referentów byłoby zupełnie zrozumiałe.

lokalnych i w tych jeszcze granicach były częściowo (Redin) podane z zastrzeżeniami. [1])

Referaty programowe nie wykazały więc wcale, ani że koedukacja w szkole średniej jest konieczna, ani że potrafi wnieść te cenne dla życia i wychowania wartości, jakich nie zdoła dać szkoła odrębna dla obu płci. Stwierdzenie to nabiera zaś tem większej wagi, że referaty owe były nastawione stronniczo, gdyż oświetliły zagadnienie koedukacji jednostronnie, wyszukiwały same dodatnie jej strony, broniły jej wszędzie, a nie wchodziły, poza pewnemi tylko szczegółami, w ujemne strony koedukacji. A przecież należało obie te strony poruszyć, jeśli zagadnienie miało być prawdziwie naukowo postawione!

Stwierdzenie powyższe ma dalsze jeszcze znaczenie. P. Hełm-Pirgowa przyznaje lojalnie, że podczas dyskusji na Kongresie opinja publiczna wypowiedziała się przeciw koedukacji, ale usiłuje osłabić to wrażenie, wyrażając się o przytoczonych tamże racjach lekceważąco. Fakt zaś, że zwolennicy koedukacji przegrali w dyskusji, tłumaczy tem, że „krępowało ich przytaczanie" argumentów za koedukacją, podanych w referatach. — Skoro jednak, jak staraliśmy się wykazać powyżej, referaty nie przyniosły żadnych rzeczywistych dowodów, „krępowanie się" było zbyteczne, a będący na sali uczestnicy nie znaleźli widocznie lepszych racyj.

Lekceważące zdanie o przeciwnikach koedukacji, przemawiających na Kongresie, jest zresztą niesłuszne, gdyż wysunęli oni różne rzeczowe racje, których druga strona bynajmniej nie zbiła, a których część tylko p. Hełm-Pirgowa przytacza i to w takiem oświetleniu, że rzeczywiście zdają się być małoznaczące. Dziwić jednak musi takie potraktowanie głosów dwóch znanych profesorów uniwersytetów polskich i jednego z zagranicznych wyższych uczelni, oraz paru innych dobrze z przedmiotem obeznanych osób.

A wreszcie jeden z najważniejszych zarzutów, jaki musimy podnieść na marginesie sprawozdania *Zrębu*, to całkowite pominięcie milczeniem rzeczowego i fachowego referatu przeciw koedukacji, wygłoszonego nadprogramowo przez przewodniczącego tej Sekcji na Kongresie, dra Ritter'a (Niemcy). Jako lekarz i pedagog był on szczególnie uprawniony do zabierania głosu w tej sprawie i wypowiedział się, w imię nauki i doświadczenia, przeciw koedukacji, zarówno w referacie jak w dłuższej odpowiedzi, w jakiej pod koniec dyskusji zebrał wszystkie racje zwolenników koedukacji. Oczywiście, jeśli się taki głos przemilczy i wysunięte poważne racje zlekceważy, wówczas można triumfować. Ale nie będzie to sprawo-

[1]) Nie wiemy czy Komitet org. wyda w całości referaty Kongresu; narazie posiadamy jednak dokładne ich streszczenie, podane przez samych autorów w *Résumé des Communications présentées su Congrès*. Cracovie 1934 (o koedukacji p. t. II. str. 231—262).

zdanie rzeczowe, nie będzie to żadnym dowodem na rzecz koedukacji!

Zgadzam się zupełnie z Autorką, że poszczególne przemówienia w dyskusji „nie stały na poziomie". Były one z obu stron, ale jeśli chodzi o niewłaściwe, także co do sposobu wystąpienia, słyszeliśmy je jedynie po stronie (polskich) obrońców koedukacji. O tem pamiętają uczestnicy zebrań.

Mógłbym sporo jeszcze uwag poczynić na marginesie sprawozdania *Zrębu,* lecz nie pozwala mi na to brak miejsca. Na dwie wszakże rzeczy chciałbym zwrócić uwagę w związku z zagadnieniem koedukacji, Zwolennicy tejże posługują się często argumentem, że wymagają jej „nowe formy życia, większa swoboda obcowania, praca zawodowa kobiety", niekiedy nawet „nowa moralność". Lecz każdy myślący i nieuprzedzony człowiek musi przyznać, że takie postawienie sprawy jest logicznie błędne, gdyż suponuje to, co należałoby naprzód udowodnić, — że koedukacja stanie się rzeczywiście takim czynnikiem, przygotowującym do nowych form życia. A tymczasem to stoi pod znakiem zapytania, owszem na podstawie poważnych racyj jest kwestjonowane przez innych. Należałoby więc naprzód zasadniczo zbadać, czy koedukacja nie pociągnie za sobą, obok pewnych dodatnich, również innych ujemnych następstw, które przeważą tamte? I czy wobec tego nie będzie wskazanem pozostać przy utrzymaniu wychowania odrębnego płci, tylko udoskonalić je i dostosować do nowych potrzeb?

Drugi punkt jest może jeszcze ważniejszy. Zwolennicy koedukacji — widać to również w referatach Kongresu — twierdzą, że dopiero dalsze „doświadczenia" pozwolą nam wydać ostateczny sąd o koedukacji i dlatego żądają wprowadzenia jej w życie. Otóż — pomijając już fakt, że tym sposobem chce się przemycić rzecz, której wartość wychowawcza nie została wykazana, owszem którą inni kompetentni uważają za niebezpieczną — postulat ten opiera się na milczącem fałszywem założeżeniu, że doświadczenie a nie zasady rozstrzygają w sprawach dotyczących sfery moralnej i wychowania. Gdyby to założenie było prawdziwe, wówczas trzebaby pozwolić i na rosyjski bolszewizm i Lindsey'owskie małżeństwa koleżeńskie i socjalistyczne wychowanie, bo należałoby wszędzie „stwierdzić doświadczalnie", czy metody te nie okażą się dobre. Doświadczenie jest cenną i konieczną nieraz pomocą, ale tam tylko, gdzie nie zachodzi możliwość ważniejszych ujemnych następstw. Przy koedukacji obawa ta jest aż nadto uzasadniona i dlatego młodzież nie powinna tu być przedmiotem eksperymentów, jak silnie w dyskusji podkreślił jeden z profesorów uniwersytetu. Dodajmy zresztą, że w obecnym wypadku ta droga byłaby beznadziejną. Każdy jako tako orjentujący się w rzeczy pedagog zdaje sobie chyba sprawę z tego, że doświadczalnie nigdy nie

rozstrzygniemy ostatecznie zagadnienia koedukacji, gdyż zawsze, niezależnie nawet od nieuniknionych błędów i subjektywnego naświetlenia, znajdą się próby dodatnie i ujemne.

Sporo rzeczy, z tem zagadnieniem bezpośrednio związanych, mamy zresztą już dokładnie zbadanych i doświadczalnie stwierdzonych. Wiemy, że wiek rozwojowy wymaga szczególnej oględności co do skali wymagań, zarówno naukowych jak wychowawczych. Wiek ten przypada w innych latach u chłopców niż u dziewcząt, i dlatego łączenie ich w tym okresie jest tylko utrudnianiem pracy zarówno nauczycielstwu jak młodzieży; unika się natomiast tego w szkole niekoedukacyjnej. Nadto spore trudności zachodzą również w dziedzinie moralnej, przyczem niekoniecznie musimy zaraz straszyć „zepsuciem"; wystarczy — jak słusznie na Kongresie podniósł dr. Ritter — pamiętać o niewątpliwych danych psychologji wieku dojrzewania, że należy młodzież w tym okresie oszczędzać, nie narażać jej na trudności, zapewnić jej „spokój" chociaż w sali szkolnej, by mogła oddać się swobodnie pracy naukowej.

Śmiesznem byłoby również, gdyby ktoś „równość" kształcenia chłopców i dziewcząt chciał zasadzać na ich łączeniu; równość nie wyklucza różności programów, podobnie jak „równymi" a jednak „różnymi" są kobieta i mężczyzna; lecz różność programów wymaga rozdziału płci przy pracy szkolnej, inaczej w najlepszym nawet wypadku praca będzie bardzo utrudniona.

Rozdział w szkole nie oznacza zresztą jakiegoś całkowitego odosobnienia w życiu. Oczywiście zupełna separacja młodzieży żeńskiej od męskiej nie jest wskazana, byłaby nawet szkodliwa; lecz tak niemądrego postulatu przeciwnicy koedukacji nie stawiają. Fakt zaś, przez obrońców tejże podnoszony, że dziś młodzież obojga płci wszędzie spotyka się razem i wysuwany stąd przez nich wniosek, że „szkoła nie powinna stanowić wyjątku" — można także tłumaczyć wprost przeciwnie: że właśnie dlatego chwilowy rozdział w szkole nie zaszkodzi młodzieży, owszem pozwoli jej odnieść stąd większą korzyść i w zakresie nauki, która będzie mogła lepiej być wtedy dostosowana do potrzeb każdej płci, i w zakresie przygotowania do życia, ponieważ łatwiej będzie można każdej stronie udzielić tych pouczeń, których podanie byłoby skrępowane przy wspólnem przebywaniu.

Uwagi powyższe dotyczą zagadnienia koedukacji wogóle, a przedewszystkiem w szkołach średnich. Nie zaprzeczamy i nie zaprzeczono na Kongresie, że przy szczególnie sprzyjających warunkach może ona przynieść dobre wyniki; ale z tego nie wynika przecież, że jest ona „zbawczym systemem", jak tego chcą jej zwolennicy. Nie wykazał tego również VI-ty Kongres Wychowania Moralnego, owszem przeciwnie — wzmocnił pośrednio pozycję przeciwników koedukacji. Mimo bowiem dość przejrzystej tendencji organizatorów stwierdził, że niema żadnych prze-

konywujących dowodów na wyższość koedukacji od systemu odrębnego wychowania płci, a wskazał liczne jej trudności i niebezpieczeństwa.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Z dziejów dyplomacji w Polsce.[1])

Rzecz o dyplomacji i protokule na dworze królów polskich, której pierwszy tom pięknie i gustownie wydany został niedawno w Paryżu, jest historją ambasad i przedstawicielstw dyplomatycznych akredytowanych w Polsce. Jest to w historjografji polskiej pewnego rodzaju novum; mamy bowiem liczne prace o stosunkach dyplomatycznych Rzeczypospolitej z innemi państwami, mamy szereg wydawnictw źródłowych, zawierających raporty i korespondencje działających w Polsce dyplomatów, ale nikt z historyków polskich nie pokusił się dotąd o odpowiedź na pytanie, jak wyglądało życie korpusu dyplomatycznego w dawnej Rrzeczypospolitej i jakie koleje przechodziły obce poselstwa i ambasady od pierwszej chwili nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską aż do końca XVIII w. Dzieło to podjął wreszcie hr. Rajnold Przeździecki pragnąc wykazać w ten sposób ciągłość tradycji dyplomatycznej w Polsce. Gdy dnia 1-go stycznia 1920 r. — zaznacza w przedmowie autor — dyplomaci, akredytowani w Polsce w ciągu roku 1919, zgromadzili się w pałacu łazienkowskim, aby złożyć Naczelnikowi Państwa życzenia noworoczne, dziekan korpusu dyplomatycznego Mgr. Achilles Ratti w swej przemowie do marszałka Piłsudskiego wymownie podkreślił fakt, iż dyplomaci, w których imieniu głos zabrał, nie byli pierwszymi reprezentantami swych krajów w Polsce, lecz mieli przed wiekami już swych poprzedników. Otóż „przypomnieć ich nazwiska i wywołać ich wspomnienie" jak się autor wyraża, oto cel omawianej książki. Powiedzmy odrazu, że hr. Przeździecki ma bardzo poważne kwalifikacje do opracowania tego tematu. Nie jest wprawdzie historykiem zawodowym, jest w najlepszem zresztą znaczeniu tego wyrazu historykiem-amatorem, godnie podtrzymującym tradycyjne w swej rodzinie umiłowanie naszej przeszłości, (że wymienimy tylko ś. p. Aleksandra Przeździeckiego, zasłużonego dziejopisarza i wydawcę źródeł). Ma jednak hr. Przeździecki tę przewagę nad historykiem zawodowym, że pracując od kilkunastu lat w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zna życie ciała dyplomatycznego z bezpośredniego w niem udziału. Stwierdzić należy stanowczo, że zawsze w badaniach historycznych przewagę nad czystym teoretykiem mieć będzie historyk, biorący czynny udział w życiu publicznem na jakimbądź terenie. Historyk działacz bowiem może znacznie lepiej niż oderwany od życia uczony wczuć się w psy-

[1]) Comte Renaud Przeździecki: *Diplomatie et protocole à la Cour de Pologne.* Tome premier. Editions Les Belles Letres, Paris 1934 str. XXIII+380.

chikę ludzi, których działania opisuje, i znacznie lepiej zrozumieć zawiłe sytuacje życiowe. To też rysowany przez niego obraz przeszłości zawsze bliższy będzie prawdy, niż wykład czystego teoretyka, który w oderwaniu od życia całą swą mądrość i wiedzę czerpie z książek jedynie i pokrytym kurzem archiwalnym starych dokumentów. Gdyby książkę o *Dyplomacji i protokule na dworze polskim* pisał historyk zawodowy, wyłącznie nauce się poświęcający, zebrałby niewątpliwie znacznie kompletniejszą bibljografję przedmiotu, uwzględniłby szereg prac, pominiętych przez hr. Przeździeckiego, w przypiskach podawałby dokładne cytaty zawsze z pełnym tytułem i wymienieniem stronicy, ale napewno nie umiałby wczuć się tak bardzo w psychikę dyplomatów i wżyć się tak głęboko we wszystkie opisywane przez siebie sprawy. W istocie bowiem, któż lepiej może zrozumieć i przedstawić wszelkie spory o *préséance* i wogóle życie korpusu dyplomatycznego, akredytowanego w Polsce, niż wieloletni dyrektor Protokułu Dyplomatycznego, który w ciągu swej pracy w pałacu Brühlowskim niejednokrotnie oczywiście takie delikatne sprawy sam załatwiał i regulował.

Opublikowany właśnie tom pierwszy składa się z trzech części i zawiera jakby trzy monografję: o nuncjaturach apostolskich w Polsce, o poselstwach francuskich i brandenbursko-pruskich. Na dobrze podmalowanem tle historji dyplomatycznej Polski rysuje autor sylwety poszczególnych dyplomatów, opowiada dzieje ich misji i wreszcie daje czytelnikowi barwne obrazy życia na dworze polskim.

„Z pośród wszystkich misyj dyplomatycznych w Polsce — temi słowy rozpoczyna autor swą książkę — nuncjatura apostolska posiada najstarsze tradycje, jak zresztą we wszystkich krajach, które od początku związane były z Rzymem i zaliczone do państw tworzących wielką Rzeczpospolitą Chrześcijańską, dziedziczkę imperjum rzymskiego, a matkę świata nowożytnego". Polska od X. wieku od przyjęcia Chrześcijaństwa utrzymywała bardzo ścisłe związki ze Stolicą Apostolską, która widziała w niej bądź najdalej wysunięty i najbardziej zagrożony bastjon Chrześcijaństwa wśród ludów pogańskich, bądź też katolicyzmu pośród narodów protestanckich i schizmatyckich. Temu przypisać należy fakt, iż widzimy w Polsce najwybitniejszych dyplomatów papieskich, z których wielu miało objąć później najwyższą w świecie i Kościele godność; nuncjatura polska zaś uważana jest za jedno z najważniejszych stanowisk w dyplomacji papieskiej. To też nuncjusze akredytowani w Polsce przeważnie po ukończeniu misji powoływani byli do Św. Kolegjum. Zdarzyło się wszakże raz jeden, że w 1670 r. powstał zatarg między Stolicą Apostolską a dworem polskim właśnie na tle dalszej karjery opuszczającego placówkę warszawską, nuncjusza. Oto mgr. Marescotti, któremu zawdzięczamy bardzo ciekawy opis nuncjatury w Polsce, został

odwołany i przeniesiony do Madrytu. Król uczuł się mocno dotknięty tem, że nuncjusz nie otrzymał, jak znaczna większość jego poprzedników, kapelusza kardynalskiego, lecz mianowany został na inne stanowisko, co mogło być uważane jako awans i wywołać ogólne wrażenie, iż St. Apostolska przyznaje pierwszeństwo dworowi hiszpańskiemu nad polskim. Jeśli mgr. Pignatelli późniejszy papież Inocenty XII., został przeniesiony z Warszawy do Wiednia, nie mogło to w niczem dotknąć ani króla ani Rzeczypospolitej, gdyż uznawano pierwszeństwo dworu cesarskiego w świecie chrześcijańskim, nominacja, wszakże do Madrytu poczytana została za lekceważenie króla. Fakt ten nie powtórzył się jednak później; odtąd nuncjusze polscy, jeśli nie otrzymywali purpury przy odjeździe z Polski, mogli obejmować tylko placówkę wiedeńską.

Nuncjusze, jak wiadomo, tylko wyjątkowo nie posiadają sakry biskupiej. Taki właśnie wypadek zdarzył się w Polsce za panowania króla Stefana, kiedy nuncjusz Caligari został w Warszawie wyświęcony na biskupa. Uroczystość odbyła się 12 stycznia 1580 r. w katedrze Św. Jana w Warszawie w obecności króla Stefana Batorego i królowej Anny. Konsekratorem był biskup kujawski Karnkowski, a znany kaznodzieja ks. Sokołowski wygłosił przemówienie okolicznościowe. Królowa Anna osobiście zajęła się udekorowaniem kościoła, co bardzo wzruszyło mgr. Caligarego. Po zakończeniu ceremonij kościelnych nuncjusz wydał w swych apartamentach, w klasztorze św. Jerzego przy ul. Świętojańskiej, bankiet, na który dla szczupłości miejsca nie mógł zaprosić pary królewskiej; zgromadził wszakże przy swym stole 32 dygnitarzy — w tem 7 biskupów, kanclerza wielkiego koronnego i innych senatorów. Przeździecki, który dzisiejszą rzeczywistość chętnie łączy z tradycjami dawnej Rzeczypospolitej, zaznacza, że uroczystość taka miała powtórzyć się dopiero w 339 lat później, gdy 28 października 1919 r. kardynał Kakowski, również w katedrze św. Jana w Warszawie, udzielił sakry biskupiej Mgrowi Rattiemu.

Część II. poświęcona ambasadom francuskim przynosi moc nowych, nieraz bardzo ciekawych szczegółów anegdotycznych zwłaszcza z II. poł. XVII. i z XVIII. wieku. Jeszcze ciekawsza jest wszakże część IV. o poselstwach brandenbursko-pruskich. Autor charakteryzuje przedewszystkiem krótko i trafnie genezę państwa pruskiego, a następnie opowiada dzieje pruskich, a później brandenbursko-pruskich przedstawicielstw dyplomatycznych w Polsce, podkreślając wciąż lenny stosunek książąt pruskich do korony polskiej i wynikające stąd komplikacje. Po opisie, znanym zresztą ogólnie, pamiętnego hołdu pruskiego w 1525 r., opisuje autor szczegółowo o wiele mniej znany hołd, jaki w 1641 r. złożył w Warszawie królowi Władysławowi IV. Fryderyk Wilhelm t. zw. wielki elektor, twórca wielkości Prus, ten sam butny władca,

Str.

Dr Stan. Frankl: Doctrina Hosii de notis Ecclesiae in luce saeculi XVI considerata (Ks. S. Felczak T. J.) 121

Ks. Kazimierz Werbel: Św. Cyryl Jerozolimski jako katecheta (Ks. W. Więcek T. J.) 123

Z literatury powieściowej. Wacław Berent: Nurt, opowieści biograficzne: T. I. Ludzie starodawni, II. Pogrobowcy. — Jarosław Iwaszkiewicz: Czerwone tarcze. — Wiesław Wohnout: Miłość i sprawa. — Tad. Łopalewski: Prowincjusze. — Melchior Wańkowicz: Szczenięce lata. — Malwina Szczepkowska: Schody w górę. — Izabela Lutosławska: Małżeństwo Zazy. — F. A. Ossendowski: Polesie. — Wacław Niezabitowski: Golfsztrom (Z. Starowieyska-Morstinowa) 123

Notatki bibljograficzne. Mezger M.: Monika jedzie na Madagaskar. — Robert Leighton: Kiddi, dziecię obozu. — K. Makuszyński, M. Walentynowicz: 4-ta księga przygód koziołka Matołka. — Helena i Jerzy M. Rytardowie: Wilczur z Prohyby. — Książka rozrachunkowa i Informacyjno-Gospodarcza, na rok 1935. — Świat i życie. zesz. 9 i 10. — Ks. K. Sudbrack T. J.: Szkoła a wczesna Komunja św. dzieci 139

Dominicus Prümmer O. P.: Manuale iuris canonici ad usum scholarum (Ks. J. Roth T. J.) 241

B. Korzeniewski: „Drama" w Warszawskim Teatrze Narodowym podczas dyrekcji L. Osińskiego (C. Zgorzelski) 245

Krzyżanowski Juljan: Romans polski wieku XVI. (Dr Z. K. Ciechanowska) 246

Ks. Dr Józef Umiński: Historja Kościoła T. II. Czasy nowożytne (Ks. J. Poplatek T. J.) 248

A. Załuska: Poezja opisowa Delile'a w Polsce (C. Zgorzelski) 249

Joh. Hollnsteiner: Die Spruchpraxis der S. Romane Rota in Ehenichtigkeitsprozessen seit Geltung des C. J. C. (Ks. S. Podoleński T. J.) 253

Światopogląd morski. Serja: Dominium Maris, zesz. 6. (Ks. J. Poplatek T. J.) 253

Nikolai Bierdiajew: Wahrheit und Lüge des Kommunismus (Ks. J. Urban) 255

Tad. Kasprzycki: Kartki z dziennika oficera I. brygady (Ks. J. Poplatek T. J.) 255

Henri Davenson: Fondements d'une Culture chrétienne (Ks. J. Urban) 257

Anton Orel: Wahre Ständeordnung, Ihr Geist, Wesen, Wirken (Ks. R. Moskała T. J.) 257

Tihamér Tóth: Życie piękne i czyste (W. Markucki T. J.) 258

Dr Stef. Pomarański: Józef Piłsudski. Życie i czyny (J. Poplatek T. J.) 259

Friedrich Lorentz — Adam Fischer — Tad. Lehr-Spławiński: Kaszubi. Kultura ludowa i język (Ks. J. Poplatek T. J.) 259

Robert Mäder: Chrystus Wielki Monarcha (Ks. R. M. T. J.) . 260

Str.

Notatki bibljograficzne. Ks. Dr W. Śpikowski: W krzyżu zbawienie. — Inż. Jerzy Grabowski: Piłka nożna. — J. Baran, W. Sikorski, A. Wójcicki: Piłka koszykowa. — Jerzy Podoski: Pistolet w walce i sporcie. — L. Dobrzyńska-Rybicka: Powodzenie życiowe. — Dr Jan Galicz: Bibljoteka polska Teologów Wrocławskich w Ołomuńcu i Widnawie. — J. Doyen: Cloches intérieures. — Dr W. Mut: Pójdźmy drogą krzyża. — Ks. Stan. Pasławski: Pokrzyżowane plany. — Bajki Kryłowa. — Edward Nehring: Zasady łyżwiarstwa. — Włodzim. Krygier: Hokej na lodzie. — Dr Wacław Korabiewicz: Kajakiem do minaretów. — Ks. Franc. Dymarski i Zygmunt Hoffman-Krystyańczyk: Sztokholm i okolice 260

Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie W. O. Jakuba Wujka T. J. (Ks. L. Semkowski T. J.) 360

Polski Słownik Biograficzny. (O. Halecki) 363

Richard N. Coudenhove-Kalergi: Europa się budzi (A. Romer) 366

Dzieje Cerkwi Prawosławnej w Z. S. R. R. przez Antoniego Starodworskiego (Ks. M. Niechaj) 368

R. S. Coulet S. J.: Le Catholicisme et la Civilisation en péril (S. N. R.) 370

Wolnomularstwo w świetle encyklopedyj (A. Romer) 372

Ferdynand Hoesick: Juljan Klaczko. Życie i prace (Z. K. Ciechanowska) 374

Antoni Waśkowski: Gwiazda Wawelu. (Dr. T. Ledóchowska) 375

Jeanne Ancelet-Hustache: Les Soeurs des Prisons (S. M. R.) 376

Méditations sur les vérités et excelences de Jésus-Christ Notre-Seigneur (S. M. R.) 378

Siostra Marja od Baranka Bożego (S. M. R.) 379

J. Donat S. I.: Summa philosophiae christianae: Logica. (Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.) 380

Antoni Waśkowski: Z moich wspomnień o Stanisławie Wyspiańskim. (T. L.) 380

Z literatury powieściowej. Giovanni Papini: Skończony człowiek. — Zygmunt Nowakowski: Rubikon. — Marja Kuncewiczowa: Dyliżans warszawski. — Jalu Kurek: Grypa szaleje w Naprawie. — Franciszek Körmendi: 7^{15} via Bodenbach. — Jan Wielowieyski: Bohaterskie loty. — Jarosław Janowski: Dzień jak noc. — Irena Pannenkowa: Więzy. — Wanda Miłaszewska: Dusza domu. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 381

Notatki bibljograficzne. Kpt. Dr Stefan Pomarański: W awangardzie. — Władysław Piątkiewicz: Pod pruskim hełmem. — Świat i życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. — J. Koenig, abbé: La Vierge de Lourdes. — R. W. Horoszkiewicz: W pierwszym pułku. 394, 395

Nadesłane 141, 264, 395

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Str.

Sprawy Kościoła:

Luty: Wzmacnianie się w świecie pozycyj katolickich. — Logika antychrystjanizmu, — O dziennik katolicki w Polsce (Ks. J. Rostworowski T. J.) 266

Marzec: Stolica święta wobec niebezpieczeństwa wojny. — Sytuacja religijna w dzisiejszej Francji. — Nowy akt meksykańskiej tragedji. — Postępy akcji Katolickiej w Polsce. 397

Encyklopedja Jezuicka (Ks. S. Bednarski T. J.) 143

Opieka społeczna nad dorosłymi w Polsce (Ks. S. Podoleński T. J.) 227

Jeszcze o koedukacji na VI Międzynarodowym Kongresie Wychowania Moralnego w Krakowie (Ks. St. Podoleński T. J.) . . 408

Z dziejów dyplomacji w Polsce (J. Pajewski) 415